



**MICHAEL CONNELLY**

**PRAWNIK  
Z LINCOLNA**



[www.michaelconnelly.com](http://www.michaelconnelly.com)

LINCOLN  
4/31  
2014



**W ekranizacji  
PRAWNIKA Z LINCOLNA  
główne role zagrali  
Matthew McConaughey,  
Marisa Tomei, Ryan Philippe  
i William H. Macy**

Mickey Haller nie należy do adwokackiej elity Los Angeles. Jego biuro mieści się na tylnym siedzeniu lincolna (jednego z czterech), którym jeździ od sądu do sądu, by bronić kolejnych szemranych klientów: dilerów narkotykowych, pijanych kierowców i recydywistów. W systemie sprawiedliwości Mickeya kwestie winy i niewinności schodzą na dalszy plan; liczą się jedynie skuteczne negocjacje i manipulacje. Nieoczekiwanie trafia mu się zlecenie, o jakim marzy każdy prawnik: obrona zamożnego playboya z Beverly Hills, oskarżonego o pobicie i gwałt. Początkowo sprawa wygląda na banalnie prostą. Gdy jednak Haller zagłębia się w zagmatwaną przeszłość oskarżonego, na jaw wychodzą niepokojące fakty. Mickey zaczyna zdawać sobie sprawę, iż staje oko w oko ze złem w najczystszej postaci. On i jego bliscy znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie...

LIONSGATE ENTERTAINMENT PRESENTS A LIONSGATE ENTERTAINMENT PRODUCTION A MICHAEL CONNELLY NOVEL "LINCOLN" STARRING MATTHEW MCCONAUGHEY, MARISA TOMEI, RYAN PHILIPPE, AND WILLIAM H. MACY. CASTING BY JANE WOOD. COSTUME DESIGNER: JANE WOOD. HAIR: JANE WOOD. MAKEUP: JANE WOOD. PRODUCTION DESIGNER: JANE WOOD. EXECUTIVE PRODUCERS: JANE WOOD, JANE WOOD. PRODUCED BY JANE WOOD. WRITTEN BY JANE WOOD. DIRECTED BY JANE WOOD. LIONSGATE ENTERTAINMENT PRESENTS A LIONSGATE ENTERTAINMENT PRODUCTION "LINCOLN" STARRING MATTHEW MCCONAUGHEY, MARISA TOMEI, RYAN PHILIPPE, AND WILLIAM H. MACY. CASTING BY JANE WOOD. COSTUME DESIGNER: JANE WOOD. HAIR: JANE WOOD. MAKEUP: JANE WOOD. PRODUCTION DESIGNER: JANE WOOD. EXECUTIVE PRODUCERS: JANE WOOD, JANE WOOD. PRODUCED BY JANE WOOD. WRITTEN BY JANE WOOD. DIRECTED BY JANE WOOD. LIONSGATE ENTERTAINMENT PRESENTS A LIONSGATE ENTERTAINMENT PRODUCTION "LINCOLN" STARRING MATTHEW MCCONAUGHEY, MARISA TOMEI, RYAN PHILIPPE, AND WILLIAM H. MACY. CASTING BY JANE WOOD. COSTUME DESIGNER: JANE WOOD. HAIR: JANE WOOD. MAKEUP: JANE WOOD. PRODUCTION DESIGNER: JANE WOOD. EXECUTIVE PRODUCERS: JANE WOOD, JANE WOOD. PRODUCED BY JANE WOOD. WRITTEN BY JANE WOOD. DIRECTED BY JANE WOOD.

**MICHAEL CONNELLY**

# PRAWNIK Z LINCOLNA

Z angielskiego przełożył  
ŁUKASZ PRASKI



Tytuł oryginału: THE LINCOLN LAWYER

Copyright © Hieronymus Inc. 2005

Published by arrangement with Little, Brown & Co., New York USA

Cover illustration <sup>TM</sup> & copyright © Lakeshore Entertainment Group LLC  
and Lions Gate Films Inc. 2010

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2006

Zdjęcie na okładce

z filmu *The Lincoln Lawyer* dzięki uprzejmości Monolith Films

Pierwsze polskie wydanie książki ukazało się

pod tytułem *Adwokat* nakładem Wydawnictwa Prószyński i sp.

Redakcja: Jacek Ring

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-365-4

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.gandalf.com.pl](http://www.gandalf.com.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2011. Wydanie I Druk: Opolgraf S.A., Opole

*Dla Daniela F. Daly 'ego  
i Rogera O. Millsa*

*Żaden klient nie budzi takiego strachu  
jak człowiek niewinny*

J. Michael Haller,  
adwokat, obrońca w procesach karnych,  
Los Angeles, 1962

# CZEŚĆ I

## Interwencja przedprocesowa

*Poniedziałek, 7 marca*

## Rozdział 1

Wiatr znad pustyni Mojave pod koniec zimy przynosi najczystsze i najbardziej rześkie powietrze, jakim można oddychać rano w okręgu Los Angeles. Czuć w nim smak obietnicy. Kiedy tak zaczyna wiać, lubię otwierać okno swojego biura. Ten zwyczaj zna kilka osób, na przykład Fernando Valenzuela. Poręczyciel, nie baseballista. Zadzwoił do mnie, gdy jechałem na posiedzenie wstępne, jakie miało się odbyć o dziewiątej w Lancaster. Pewnie usłyszał świst wiatru w słuchawce.

— Mick, będziesz dzisiaj rano na północy? — zapytał.

— Właśnie jestem — odrzekłem, zakręcając okno, żeby go lepiej słyszeć. — Masz coś?

— Owszem. Chyba kandydata na licencję. Ale staję przed sądem dopiero o jedenastej. Zdążysz na tę godzinę?

Valenzuela ma biuro na Van Nuys Boulevard, przecnicę od centrum administracyjnego obejmującego dwa budynki sądowe i areszt. Nazwał swoją firmę Poręczenia Majątkowe „Wolność”. Numer jego telefonu, umieszczony na czerwonym neonie nad firmą, doskonale widać ze strzeżonego skrzydła na trzecim piętrze aresztu. Numer jest też wydrapany na ścianach obok wszystkich automatów telefonicznych na każdym oddziale aresztu.

Można rzec, że jego nazwisko jest na trwałe wyskrobane na



mojej bożonarodzeniowej liście. Pod koniec roku ofiarowuję każdej osobie z listy puszkę solonych orzeszków. Mieszanki świątecznej. Puszki są przewiązane wstążkami z kokardą. Ale wewnątrz nie ma orzeszków — tylko gotówka. Na swojej bożonarodzeniowej liście mam wielu poręczycieli. Potem aż do wiosny jem orzeszki z pojemników Tupperware. Od ostatniego rozwodu zdarza się, że to cała moja kolacja.

Zanim odpowiedziałem na pytanie Valenzueli, pomyślałem o rozprawie, na którą jechałem. Mój klient nazywał się Harold Casey. Jeżeli sprawy z wokandy będą szły alfabetycznie, bez kłopotu zdążę na posiedzenie o jedenastej w Van Nuys. Ale sędzia Orton Powell piastował swój urząd już ostatnią kadencję. Odchodził na emeryturę. Oznaczało to, że nie musiał się już przejmować reelekcją i nic go nie obchodziły naciski ze strony adwokatów. Chcąc zademonstrować swoją wolność — i być może odpłacić się tym, od których przez dwanaście lat był politycznie uzależniony — lubił wprowadzać zamieszanie na sali sądowej. Czasem rozpatrywał sprawy według kolejności alfabetycznej, czasem w odwrotnej, innym razem według daty wniesienia oskarżenia. Nigdy nie było wiadomo, który będziesz, dopóki się nie zjawiłeś na miejscu. Często obrońcy musieli tkwić na sali ponad godzinę. Bo tak się podo- bało sędziemu Powellowi.

— Na jedenastą chyba zdążę — powiedziałem, nie mając pewności, czy tak rzeczywiście będzie. — Co to za sprawa?

— Od faceta czuć grubą forszę. Mieszka w Beverly Hills, zaraz potem wparował adwokat rodziny. Mick, to naprawdę duży kaliber. Zgarnęli go na pół melona, a adwokat jego matki jest gotowy przepisać na zabezpieczenie kaucji nieruchomości w Malibu. W ogóle nie pytał, czy można obniżyć. Chyba nie za bardzo się boją, że może prysnąć.

— Za co go zgarnęli? — spytałem.

Mój głos nie zdradzał żadnych emocji. Zapach pieniędzy często wywołuje niezdrowe rozgorączkowanie, ale zadbałem o kieszeń Valenzueli z okazji niejednego Bożego Narodzenia

i wiedziałem, że mam u niego przywilej wyłączności. Mogłem sobie pozwolić na spokój.

— Gliny na początek wlepiły mu zarzut o czynną napaść, poważne uszkodzenie ciała i próbę gwałtu — odrzekł poręczyciel. — O ile wiem, prokurator jeszcze nie wniósł oskarżenia.

Policja zwykle przesadzała z zarzutami. Ważne, co ostatecznie przedstawią sądowi prokuratorzy. Zawsze twierdzę, że sprawy przychodzą wołem, a wylatują wróblem. Oskarżenie o próbę gwałtu i czynną napaść z poważnym uszkodzeniem ciała mogło z powodzeniem wylecieć jako zwykłe pobicie. Nie byłoby w tym nic dziwnego i nie wykroiłaby się z tego żadna sprawa z licencją. Mimo to, gdybym miał szansę ustalenia z klientem wysokość honorarium na podstawie zarzutów, nie wyszedłbym na tym źle, nawet gdyby prokuratura spuściła trochę z tonu.

— Znasz jakieś szczegóły? — zapytałem.

— Zatrzymali go wczoraj wieczorem. Chyba nie poszedł mu podryw w barze. Adwokat rodziny twierdzi, że kobiecie zależy na kasie. Wiesz, po sprawie karnej wytoczyłaby mu proces cywilny. Ale nie jestem taki pewien. Z tego, co słyszałem, dziewczyna wygląda dość paskudnie.

— Jak się nazywa ten adwokat?

— Chwila. Mam tu gdzieś wizytówkę.

Czekając, aż Valenzuela znajdzie wizytówkę, wyrząłem przez okno. Za dwie minuty miałem się znaleźć w Lancaster, a za dwa-nastcie na sali sądowej. Potrzebowałem co najmniej trzech z tych minut, aby naradzić się z klientem i przekazać mu złą wiadomość.

— Mam — odezwał się Valenzuela. — Facet nazywa się Cecil C. Dobbs. Mieszka w Century City. Widzisz, mówiłem.

Pieniądze.

Valenzuela miał rację. Ale to nie adres adwokata zapowiadał grube pieniądze. Tylko nazwisko. Znałem reputację C.C. Dobbsa i przypuszczałem, że na liście jego klientów nie ma prawie nikogo, kto nie mieszkałby w Bel-Air czy Holmby Hills. Jego klienta

jeździła do domu tam, gdzie gwiazdy zdawały się sięgać ziemi i dotykać namaszczonych wybrańców losu.

— Podaj mi nazwisko klienta — powiedziałem.

— Louis Ross Roulet.

Przeliterowałem i zapisałem imię i nazwisko w notatniku.

— Prawie jak ruletka, tylko wymawia się „ru-lej” — ciągnął Valenzuela. — Przyjedziesz, Mick?

Najpierw zanotowałem nazwisko Dobbsa, po czym odpowiedziałem mu pytaniem:

— Dlaczego ja? Sam o mnie spytał czy ty mnie zaproponowałeś?

Musiałem uważać. Trzeba było zakładać, że Dobbs jest sumiennym prawnikiem, który w mgnieniu oka zawiadomiłby kalifornijską adwokaturę, gdyby trafił na obrońcę płacącego poręczycielom za namiary na klientów. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy Valenzuela nie padł przypadkiem ofiarą przygotowanej przez palestrę prowokacji. Nie należałem do pieszczoszków korporacji adwokackiej. Już wcześniej miałem z nią na pieńku. I to nieraz.

— Po prostu spytałem Rouleta, czy ma adwokata. Obrońcę przed sądem karnym. Powiedział, że nie. Wspomniałem mu o tobie. Nie naciskałem. Powiedziałem tylko, że jesteś dobry. Rozumiesz, dyskretna reklama, nic więcej.

— A Dobbs zjawił się wcześniej czy później?

— Później. Roulet zadzwonił do mnie rano z aresztu. Wsadzili go na strzeżone piętro i chyba zobaczył neon. Dobbs pokazał się dopiero potem. Powiedziałem mu, że w to wchodziś, dałem ci referencje i łyknął bez problemu. Ma tam być o jedenastej. Poznasz go i sam się przekonasz.

Przez dłuższą chwilę milczałem. Zastanawiałem się, jak dalece Valenzuela jest ze mną szczery. Taki tuz jak Dobbs musiał mieć swojego człowieka. Jeśli akurat sprawy karne nie były jego mocną stroną, na pewno miał specjalistę w kancelarii albo przynajmniej trzymał kogoś w odwodzie. Wersja przedstawiona przez Valenzuelę przeczyła jednak takiej hipotezie. Roulet zgłosił się

do niego z pustymi rękami. Wniosek z tego taki, że w sprawie było więcej niewiadomych niż pewników.

— Hej, Mick, jesteś tam? — popędził mnie Valenzuela.

Podjąłem decyzję. Decyzję, która miała mnie zaprowadzić do Jesusa Menendezza i której miałem wielokrotnie żałować. Ale w tej chwili uznałem, że tak właśnie powinienem postanowić.

— W porządku — powiedziałem do telefonu. — Do zobaczenia o jedenastej.

Już się miałem rozłączyć, gdy usłyszałem jeszcze głos Valenzueli.

— Będziesz o mnie pamiętał, Mick? No wiesz, jeżeli się okaże, że to faktycznie licencja.

Nigdy wcześniej Valenzuela nie upominał się o swoje należności. Jego prośba tylko pogłębiła moje paranoiczne obawy. Ostrożnie dobierając słowa, sformułowałem odpowiedź, która mogła usatysfakcjonować jego i korporację adwokacką — w razie gdyby słuchali mnie jej przedstawiciele.

— Nie martw się, Val. Jesteś na mojej świątecznej liście.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zamknąłem komórkę i poleciłem kierowcy wysadzić się przed sądem przy wejściu dla personelu. Spodziewałem się, że będzie tu krótsza kolejka do wykrywacza metalu, a strażnicy zwykle nie zwracali uwagi na przemykających chyłkiem adwokatów, którzy spieszyli się na rozprawę. Rozmyślając o Louisie Rossie Roulecie i jego sprawie, o czekających mnie bogactwach i niebezpieczeństwach, otworzyłem okno, przez ostatnią minutę rozkoszując się chłodnym powietrzem. Wciąż czułem w nim smak obietnicy.

## Rozdział 2

Kiedy wszedłem do sali wydziału 2A, po obu stronach barierki tłoczyli się już prawnicy, którzy naradzali się i gawędzili. Widząc woźnego sądowego, który siedział już za swoim biurkiem, odga-dłem, że sesja rozpocznie się punktualnie. Za chwilę na sali miał się pojawić sędzia.

W okręgu Los Angeles funkcję woźnych sądowych pełnili zastępcy szeryfa przydzieleni do służby w areszcie. Podszedłem do biurka ustawionego obok barierki tak, aby obywatele mogli zadawać woźnemu pytania, nie naruszając przestrzeni przeznaczonej dla prawników, oskarżonych i personelu sądowego. Zobaczyłem, że przed zastępcą szeryfa leży wokanda. Zerknąłem na przypiętą do munduru plakietkę z nazwiskiem — R. Rodriguez.

— Roberto, masz na liście mojego klienta? Harolda Caseya?

Woźny przesunął palcem po kartce, ale szybko go zatrzymał.

Miałem szczęście.

— Tak, Casey. Jest drugi.

— Dzisiaj jedziemy alfabetycznie. To dobrze. Będę miał czas z nim pogadać?

— Nie, wprowadzają już pierwszą grupę. Właśnie ich wywołałem. Zaraz wyjdzie sędzia. Może będziesz miał parę minut, gdy twój klient znajdzie się w zagrodzie.

— Dziękuję.

Kiedy ruszyłem w kierunku bramki w barierce, woźny zawołał za mną:

— Mam na imię Reynaldo, nie Roberto!

— Jasne. Przepraszam, Reynaldo.

— W mundurach wszyscy wyglądamy tak samo, nie?

Nie wiedziałem, czy miał to być żart, czy przytyk. Nie odpowiedziałem. Uśmiechnąłem się tylko i wszedłem za barierkę. Skinałem głową kilku prawnikom, których nie znałem, i kilku, których znałem. Jeden z nich zatrzymał mnie, by zapytać, ile czasu zamierzam zająć sędziemu, bo chciałby mniej więcej wiedzieć, kiedy ma wrócić na rozpatrzenie sprawy swojego klienta. Odparłem, że moja będzie krótka.

Podczas posiedzenia wstępnego oskarżonych wyprowadza się z aresztu w grupach po czterech i umieszcza w części oddzielonej od reszty sali sądowej barierą z drewna i szkła, zwanej potocznie zagrodą. Dzięki temu podsądni mogą się naradzać z adwokatami, czekając, aż zostaną wywołani przez sąd.

Zbliżyłem się do zagrody w chwili, gdy zastępca szeryfa otworzył drzwi celi przylegającej do sali, skąd wyszło czterech oskarżonych pierwszych na liście. Ostatni w drzwiach ukazał się Harold Casey, mój klient. Zająłem miejsce przy bocznej ścianie, żebyśmy mieli odrobinę prywatności — przynajmniej z jednej strony — po czym przywołałem go gestem.

Casey był wysoki i zwały, podobnie jak wszyscy członkowie gangu motocyklowego Road Saints — albo klubu, jak wolą się nazywać. Podczas pobytu w areszcie w Lancaster zgodnie z moją prośbą ostrzygł się i ogolił, dlatego prezentował się całkiem porządnie, jeśli nie liczyć tatuaży pokrywających całe ramiona i wystających spod kołnierzyka. Z tym jednak nic się nie dało zrobić. Nie wiem za bardzo, jakie wrażenie na ławie przysięgłych wywołują tatuaże, ale podejrzewam, że niezbyt korzystne, zwłaszcza gdy skórę oskarżonego zdobią wyszczerzone czaszki. Wiem natomiast, że przysięgłym na ogół nie przeszkadza, jeśli podsądny lub jego obrońca nosi kucyk.

Casey vel Hardy Kask lub Hardziel, jak nazywano go w klubie, został oskarżony o uprawianie i posiadanie marihuany oraz handel nią, postawiono mu także zarzuty dotyczące twardych narkotyków i broni. W trakcie porannego nalotu na ranczo, gdzie mieszkał, zastępcy szeryfa znaleźli szopę i kompleks blaszanych baraków, które zamieniono w cieplarnie. Zabezpieczono więcej niż dwa tysiące dorodnych roślin oraz ponad dwadzieścia osiem kilo zebranej marihuany, opakowanej w plastikowe torebki różnej wielkości. Do tego trzysta czterdzieści gramów czystej metedryny, którą podczas pakowania posypano zebrane rośliny, żeby wzmocnić działanie trawki, oraz mały arsenał broni, której spora część, jak się później okazało, była kradziona.

Na pozór Hardy Kask był ugotowany. Stan Kalifornia miał go na widelcu. Kiedy go znaleźli, spał na kanapie w szopie, półtora metra od stołu do pakowania. W dodatku wcześniej już dwa razy skazano go za przestępstwa związane z narkotykami i był na zwolnieniu warunkowym. W stanie Kalifornia obowiązywała zasada „do trzech razy sztuka”. Realistycznie rzecz biorąc, nawet gdyby wszystko poszło dobrze, Caseyowi groziło co najmniej dziesięć lat więzienia.

Niezwykłość sprawy Caseya polegała jednak na tym, że oskarżony, nawet mając w perspektywie skazanie, nie mógł się doczekać procesu. Odmówił zrzeczenia się prawa do szybkiego procesu i niecałe trzy miesiące po aresztowaniu niecierpliwie czekał na rozprawę. Niecierpliwił się, bo jego jedyną nadzieją była apelacja od prawdopodobnego wyroku. Dzięki swemu obrońcy Casey zobaczył światelko w tunelu — promyczek nadziei, który w mroku sprawy potrafi odnaleźć tylko dobry adwokat. Światelko dało początek strategii obrony, która mogła przynieść Caseyowi wolność. Plan był odważny i wymagał od Caseya poświęcenia czasu, jaki musiał upłynąć przed rozprawą apelacyjną, ale mój klient i ja wiedzieliśmy, że to jedyna realna szansa.

Rysa na oskarżeniu nie polegała na przyjęciu założenia, że Casey uprawiał, pakował i sprzedawał marihuanę. Oskarżenie

przyjęło absolutnie słuszne założenie, na które miało niezbite dowody. Słabą stroną argumentów był jednak sposób zdobycia tych dowodów. Podczas rozprawy musiałem wskazać rysę, dokładnie ją przeanalizować, dopilnować, by znalazła się w protokole, a następnie przekonać sąd apelacyjny do tego, do czego nie udało mi się przekonać sędziego Ortona Powella we wniosku przedprocesowym — wycofania dowodów z postępowania.

Ziarno oskarżenia zostało posiane w pewien wtorek w połowie grudnia, gdy Harold Casey wszedł do Home Depot w Lancaster i zrobił zwykłe zakupy, wśród których znalazły się trzy żarówki używane w uprawach hydroponicznych. Traf chciał, że tuż za nim w kolejce do kasy stał zastępca szeryfa po służbie, który kupował lampki świąteczne. Funkcjonariusz rozpoznał niektóre z tatuaży na ramionach Caseya — w szczególności czaszkę z aureolą będącą symbolem Road Saints — i szybko skojarzył fakty. Mimo że zastępca szeryfa był po służbie, służbiście ruszył za harleyem Caseya i dotarł do rancza w niedalekim Pearblossom. Informację o tym przekazał wydziałowi narkotykowemu w biurze szeryfa, który wysłał nad ranczo nieoznakowany helikopter z kamerą termowizyjną. Następnie sędzia otrzymał zdjęcia ukazujące krwiście czerwone plamy w miejscu, gdzie stała szopa i barak, wraz ze złożonym pod przysięgą oświadczeniem zastępcy szeryfa, który widział, jak Casey kupował żarówki. Nazajutrz rano zbudzono śpiącego na kanapie Caseya, przedstawiając mu podpisany nakaz rewizji.

W trakcie wcześniejszego posiedzenia starałem się dowieść, że wszystkie dowody przeciw Caseyowi należy wyłączyć ze sprawy, ponieważ prawdopodobna przyczyna rewizji stanowiła naruszenie jego prawa do prywatności. Wykorzystanie codziennych zakupów w sklepie jako punktu wyjścia do dalszego naruszenia prywatności w formie obserwacji z ziemi i powietrza oraz wykonywania zdjęć kamerą termowizyjną z pewnością zostałyby uznane za nadużycie przez autorów konstytucji.

Sędzia Powell odrzucił moją argumentację i sprawa miała zostać rozstrzygnięta w drodze procesu lub ugody. Tymczasem



na jaw wyszły nowe informacje, które mogły zwiększyć szanse powodzenia apelacji. Analiza zdjęć zrobionych podczas przelotu nad domem Caseya i specyfikacja ogniskowej obiektywu kamery używanej przez zastępców szeryfa wykazały, że w chwili robienia zdjęć helikopter leciał nie wyżej niż sześćdziesiąt metrów nad ziemią. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych postanowił, że obserwacja lotnicza nieruchomości podejrzanego nie narusza jego prawa do prywatności, jeżeli samolot lub helikopter pozostaje w publicznej przestrzeni powietrznej. Poleciałem Raulowi Levinowi, mojemu detektywowi, sprawdzić dane lotu w Federalnym Zarządzie Lotnictwa. Nad ranczem Caseya nie przebiegał żaden korytarz powietrzny żadnego lotniska. Minimalny pułap lotu nad ranczem wyniósł trzysta metrów. W trakcie zbierania dowodów przeciw Caseyowi funkcjonariusze z biura szeryfa wyraźnie naruszyli jego prywatność. Musiałem więc złożyć wniosek o rozpatrzenie sprawy w drodze procesowej, a podczas rozprawy wycisnąć z zastępców szeryfa i pilota zeznanie, na jakiej wysokości lecieli nad ranczem. Jeżeli powiedzą prawdę, będą moi. Jeśli skłamią, też będą moi. Nie przepadam za upokarzaniem stróżów prawa przed obliczem sądu, ale miałem nadzieję, że skłamią. Kiedy ława przysięgłych widzi, że glina występujący jako świadek kłamie, sprawa ma duże szanse zakończyć się tu i teraz. Od wyroku uniewinniającego oskarżeniu nie przysługuje odwołanie.

Tak czy owak, byłem pewien, że wygrana mam w kieszeni. Należało tylko przystąpić do rozprawy. Pojawiła się jednak istotna przeszkoda i właśnie o niej musiałem porozmawiać z Caseyem, zanim jeszcze na sali zjawi się sędzia.

Mój klient wolnym krokiem zbliżył się do rogu zagrody. Nie przywitał się ze mną, ja też dałem sobie spokój z uprzejmościami. Wiedział, czego chcę. Już wcześniej odbywaliśmy podobne rozmowy.

— Haroldzie, to jest posiedzenie wstępne — zacząłem. Muszę powiedzieć sędziemu, czy jesteśmy gotowi do procesu, wiem, że oskarżenie jest gotowe. Dzisiaj kolej na nas.

— No i?

— No i jest mały kłopot. Ostatnim razem, kiedy tu byliśmy, mówiłeś, że dostanę pieniądze. Znowu się spotykamy, a pieniędzy nie ma.

— Nie martw się. Mam twoje pieniądze.

— Dlatego właśnie się martwię. Ty masz moje pieniądze. Nie ja.

— Są w drodze. Wczoraj gadałem z szefem. Są w drodze.

— Ostatnim razem mówiłeś to samo. Nie pracuję za darmo, Haroldzie. Ekspert, który oglądał zdjęcia, też nie pracuje za darmo. Po zaliczce nie ma już śladu. Potrzebuję więcej pieniędzy, bo inaczej będziesz musiał sobie znaleźć nowego obrońcę. Z urzędu.

— Żadnych obrońców z urzędu. Chcę ciebie.

— Mam wydatki i muszę jeść. Wiesz, ile co tydzień kosztują ogłoszenia w książce telefonicznej? Zgadnij.

Casey milczał.

— Okrągły tysiąc. Średnio tysiąc tygodniowo tylko po to, żeby nie zdjęli mi ogłoszenia, nie licząc jedzenia, raty hipotecznej, utrzymania dziecka i benzyny do lincolna. Nie robię tego w zamian za obietnice, Haroldzie. Do pracy zachęcają mnie zielone papierki.

Moje słowa nie wywarły na Caseyu żadnego wrażenia.

— Zorientowałem się co i jak — odrzekł. — Nie możesz mnie zostawić. Nie teraz. Sędzia ci na to nie pozwoli.

Sala umilkła, ponieważ w drzwiach gabinetu ukazał się sędzia, wspiął się po dwóch schodkach i zasiadł w swoim fotelu. Woźny zarządził ciszę. Kurtyna poszła w górę. Przez dłuższą chwilę patrzyłem na Casey'a, po czym odsunąłem się od zagrody. Mój klient miał wiedzę o prawie i jego mechanizmach wyniesioną z więzienia. Wiedział więcej niż inni. Mimo to czekała go niespodzianka.

Zająłem miejsce przy barierce za ławą oskarżonych. Pierwsza rozpatrywana sprawa dotyczyła ponownego ustalenia kaucji i sąd szybko się z nią uporał. Kiedy po chwili urzędnik zapowiedział

sprawę „Stan Kalifornia przeciw Caseyowi”, podszedłem do stołu.

— W imieniu obrony Michael Haller — powiedziałem.

Prokurator także zameldował swoją obecność. Młody człowiek nazywał się Victor DeVries. Nie miał pojęcia, co go czeka podczas procesu. Sędzia Orton Powell zadał rutynowe pytanie, czy w ostatniej chwili nie pojawiła się możliwość ugody. Każdy sędzia ma szczerze wypełniony kalendarz i z mocy swojego urzędu może wydać postanowienie o rozstrzygnięciu sprawy w drodze porozumienia. Ostatnią wiadomością, jaką chciałby usłyszeć, jest oświadczenie o braku zgody między stronami, co oznacza konieczność przeprowadzenia procesu.

Ale Powell przyjął złe wieści ode mnie i od DeVriesa z niezmaconym spokojem, po czym spytał, czy jesteśmy gotowi stawić się przed sądem jeszcze w tym tygodniu. Prokurator przytaknął, ja nie.

— Wysoki Sądzie — powiedziałem — jeśli to możliwe, prosiłbym o odroczenie rozprawy do przyszłego tygodnia.

— Mogę poznać powód tej zwłoki, panie Haller? — spytał niecierpliwie sędzia. — Oskarżenie jest gotowe, a ja zamierzam zakończyć tę sprawę.

— Ja także, Wysoki Sądzie. Ale obrona ma kłopoty z ustaleniem miejsca pobytu świadka, którego koniecznie należy przesłuchać. Niezbędnego świadka, Wysoki Sądzie. Mam nadzieję, że odroczenie o tydzień powinno wystarczyć. W przyszłym tygodniu będziemy gotowi do rozprawy.

Jak mogłem się spodziewać, DeVries sprzeciwił się zwłoce.

— Wysoki Sądzie, oskarżenie pierwszy raz dowiaduje się o braku świadka. Pan Haller miał prawie trzy miesiące na jego odnalezienie. Sam naciskał na przyspieszony proces, a teraz chce czekać. Przypuszczam, że to zagrywka taktyczna, ponieważ wobec niezbitych dowodów w sprawie...

— Resztę proszę zachować dla przysięgłych, panie DeVries — przerwał mu sędzia. — Panie Haller, czy wystarczy panu tydzień na rozwiązanie tego problemu?

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Wobec tego oczekuję pana i pana Caseya w przyszły poniedziałek. Spodziewam się, że będzie pan gotów. Czy wyraziłem się jasno?

— Tak, Wysoki Sądzie. Dziękuję.

Urzędnik wywołał następną sprawę, a ja odsunąłem się od stołu obrony, przyglądając się, jak zastępca szeryfa wyprowadza z zagrody mojego klienta. Casey zerknął na mnie z miną wyrażającą złość i zarazem dezorientację. Podszedłem do Reynalda Rodrigueza i zapytałem, czy wpuści mnie do celi, żebym mógł się jeszcze przez chwilę naradzić z klientem. Była to uprzejmość zwyczajowo wyświadczana stałym bywalcom sali sądowej. Rodriguez wstał, otworzył drzwi za swoim biurkiem i gestem zaprosił mnie do środka. Pamiętałem, aby tym razem zwrócić się do niego, używając właściwego imienia.

Casey siedział w celi z jeszcze jednym oskarżonym — tym, którego sprawę wywołano wcześniej. Pod trzema ścianami przestronnego pomieszczenia stały ławki. Nieszczęście aresztantów polegało na tym, że jeśli ich sprawa znalazła się na początku wokandy, musieli potem czekać w tej klatce, aż zbierze się w niej tyle osób, by zapełnić furgonetkę, która miała ich odeskortować do aresztu okręgowego. Casey natychmiast podszedł do krat, żeby ze mną porozmawiać.

— Co to niby za świadek? — natarł na mnie.

— Pan Kasa — odparłem. — Żeby ruszyć ze sprawą, potrzebujemy tylko pana Kasy.

Casey skrzywił się ze złością. Próbowałem uprzedzić jego atak.

— Posłuchaj, Haroldzie, wiem, że szybko chcesz mieć z głowy proces, a potem apelację. Ale za pospieszny trzeba zapłacić. Z własnych bolesnych doświadczeń wiem, że ściąganie z kogoś forsy, kiedy już bryka na swobodzie, nigdy nie wychodzi mi na dobre. Chcesz grać, to płać. Teraz, nie potem.

Skinąłem głową i już miałem się odwrócić w stronę drzwi prowadzących na wolność, ale postanowiłem powiedzieć mu coś jeszcze.

— Niech ci się nie wydaje, że sędzia nie wie, o co chodzi — oznajmiłem. — Trafił ci się prokurator żółtodziób, który nie musi się co miesiąc martwić o zarobek. Ale sędzia Powell, zanim go wybrali na urząd, przez długie lata był adwokatem. Dobrze wie, co to jest poszukiwanie „niezbędnych świadków”, pewnie nie potraktuje zbyt życzliwie oskarżonego, który nie płaci swojemu obrońcy. Puściłem do niego oko, Haroldzie. Jeżeli zechcę, będę mógł oddać sprawę. Wolałbym jednak wrócić tu w przyszły poniedziałek i powiedzieć mu, że znaleźliśmy świadka i jesteśmy gotowi. Rozumiesz?

Casey z początku się nie odzywał. Odszedł w głąb celi i usiadł na ławce. Wreszcie, nie patrząc w moją stronę, powiedział:

— Muszę się tylko dostać do telefonu.

— To już brzmi lepiej. Powiem zastępcy szeryfa, że musisz zadzwonić. Zadzwoni, a potem cierpliwie czekaj. Widzimy się w przyszłym tygodniu i zabieramy do roboty.

Szybkim krokiem skierowałem się do drzwi. Nie cierpię aresztów. Prawdę mówiąc, nie wiem dlaczego. Chyba czasami granica wydaje mi się zbyt cienka. Granica oddzielająca obrońcę kryminalisty od kryminalisty. Czasem nie mam pewności, po której stronie krat właściwie jestem. I kiedy wychodzę z celi, tak samo jak wszedłem, zawsze uważam to za niepojęty cud.

## Rozdział 3

W korytarzu sądowym włączyłem komórkę i zadzwoniłem do swojego kierowcy, informując go, że już wychodzę. Potem sprawdziłem pocztę głosową, gdzie znalazłem wiadomości od Lorny Taylor i Fernanda Valenzuela. Postanowiłem oddzwonić do nich już z samochodu.

Earl Briggs, mój szofer, podstawił lincolna tuż przed wyjściem. Earl nie wysiadł ani nie otworzył mi drzwi — nic z tych rzeczy. Zawarliśmy umowę, według której miał mnie wozić, by w ten sposób odpracować honorarium, jakie był mi winien za wyrok dozoru sądowego, który otrzymał za handel kokainą. Płaciłem mu dwadzieścia dolarów za godzinę, ale połowę potrącałem na poczet zaległego honorarium. Było to wprawdzie mniej dochodowe zajęcie niż dilerka w osiedlach, ale na pewno bezpieczniejsze, legalne i znacznie lepiej wyglądało w CV. Earl twierdził, że chce zacząć porządne życie, a ja mu wierzyłem.

Podchodząc do lincolna, usłyszałem dobiegający zza zamkniętych okien pulsujący hip-hop. Ledwie jednak dotknąłem klamki, Earl wyłączył muzykę. Usiadłem z tyłu i poleciłem zawieźć się z powrotem do Van Nuys.

- Czego słuchałeś? — spytałem.
- Hm, to był Three Six Mafia.
- Dirty south?

— Aha.

W ciągu lat zdobyłem niezłe rozeznanie w subtelnych zróżnicowaniach rapu i hip-hopu, gatunkowych, regionalnych i innych. Tej muzyki na ogół słuchała większość moich klientów, a wielu czerpało z niej natchnienie do podejmowania decyzji w życiu.

Wziąłem pudełko po butach pełne kaset ze sprawy Boylestona i wybrałem jednana chybił trafił. Sprawdziłem jej numer i czas w spisie nagrań, jaki miałem w pudełku. Podałem taśmę Earlowi, który załadował ją do odtwarzacza w desce rozdzielczej. Nie musiałem mu mówić, żeby ściszył, ustawiając głośność na poziomie dźwiękowego tła. Earl pracował u mnie od trzech miesięcy. Wiedział, co robić.

Roger Boyleston był jednym z niewielu moich klientów z przydziału sądowego. Postawiono mu kilka zarzutów o handel narkotykami. Dzięki podsłuchowi, jaki założyła w jego telefonach Agencja do Walki z Narkotykami, aresztowano Boylestona i zabezpieczono sześć kilogramów kokainy, którą zamierzał rozprzecznić przez sieć dilerów. Taśm było mnóstwo — ponad pięćdziesiąt godzin nagranych rozmów telefonicznych. Boyleston rozmawiał z wieloma osobami o tym, co się może zdarzyć i kiedy. Dla rządu sprawa była pestką. Boylestona czekała długa odsiadka, a mnie nie pozostało nic innego, jak wynegocjować ugodę i postarać się o niższy wyrok w zamian za współpracę oskarżonego. To jednak nie miało żadnego znaczenia. Ważne były kasety. Wziąłem sprawę właśnie ze względu na taśmy. Rząd federalny płacił mi za to, żebym je przesłuchał, przygotowując się do obrony. Oznaczało to, że rząd do spółki z Boylestonem fundował mi co najmniej pięćdziesiąt pełnopłatnych godzin pracy jeszcze przed ogłoszeniem wyroku. Dlatego pamiętałem, aby podczas podróży lincolnem sumiennie wymieniać taśmy. I gdyby przyszło mi położyć dłoń na księdze i przysiąc, że będę mówił prawdę, mógłbym z czystym sumieniem oświadczyć, że wysłuchałem wszystkich kaset, za które wystawiłem rachunek Wujowi Samowi.

Najpierw zadzwoniłem do Lorny Taylor. Lorna była menedżerem moich spraw. W ogłoszeniu na pół strony książki telefonicznej i w reklamach rozlepionych na trzydziestu sześciu przystankach autobusowych w znanej z największej liczby przestępstw południowej i wschodniej części okręgu był wydrukowany numer telefonu w jej dwupokojowym mieszkaniu przy Kings Road w West Hollywood. Ten sam adres jest znany korporacji adwokackiej Kalifornii oraz wszystkim urzędnikom sądowym.

Lorna stanowiła moją strefę buforową. Jeśli ktoś chciał się ze mną skontaktować, najpierw musiał zgłosić się do niej. Numer komórki daję niewielu osobom, a mojej prywatności strzeże Lorna. Jest nieugięta, inteligentna, profesjonalna i piękna. Od pewnego czasu o tej ostatniej cesze mogę się jednak przekonywać zaledwie raz na miesiąc, kiedy zabieram ją na lunch albo podpisuję rachunki — Lorna prowadzi także moją księgowość.

— Biuro prawne — usłyszałem w słuchawce.

— Przepraszam, byłem jeszcze w sądzie — powiedziałem, tłumacząc, dlaczego nie odebrałem jej telefonu. — Co jest?

— Rozmawiałeś z Valem, prawda?

— Tak. Właśnie jadę do Van Nuys. Mam zdążyć na jedenastą.

— Dzwonił do mnie, żeby się upewnić. Wydawał się zdeenerwowany.

— Uważa, że trafiliśmy na żyłę złota. Chce mieć pewność, że dostanie swoją działkę. Oddzwonię i go uspokoję.

— Sprawdziłam wstępnie tego Louisa Rossa Rouleta. Wyplącalność bez zarzutu. Nazwisko kilka razy pojawia się w archiwum „Timesa”. Same transakcje sprzedaży nieruchomości. Chyba pracuje w biurze handlu nieruchomościami w Beverly Hills. Firma nazywa się Windsor Residential Estates. I wygląda na to, że obsługuje tylko najbardziej ekskluzywne okolice... żadnych domów z tabliczkami na frontach.

— To dobrze. Coś jeszcze?



— W tej sprawie nic. Poza tym telefony jak zwykle.

Czyli miała zwyczajną liczbę zgłoszeń od ludzi, którzy zobaczyli ogłoszenie w książce telefonicznej albo na przystanku i potrzebowali adwokata. Zanim jednak klient wzbudził moje zainteresowanie, musiał przekonać Lornę, że może zapłacić za usługę. Praca Lorny przypominała zadanie pielęgniarki w rejestracji izby przyjęć. Trzeba jej było pokazać ważną polisę ubezpieczeniową, żeby udzieliła pozwolenia na wizytę u lekarza. Obok telefonu Lorna trzymała cennik rozpoczynający się od stałego honorarium w wysokości pięciu tysięcy za jazdę po pijanemu po stawki za godzinę pracy w sądzie w wypadku poważnych przestępstw. Moja menedżer sprawdza, czy każdy potencjalny klient jest wypłacamy i czy zna cenę występku, o który jest oskarżony. Powiada się: „Jeśli nie chcesz w pudle gnąć, lepiej w zgodzie z prawem żyć”. Lorna ma własną wersję: „Jeśli nie chcesz płacić nic, lepiej w zgodzie z prawem żyć”. Przyjmuje MasterCard i Visę i zdobywa potwierdzenie transakcji, zanim jeszcze klient zjawi się u mnie.

— Nikt znajomy? — zapytałem.

— Z Twin Towers dzwoniła Gloria Dayton.

Jęknąłem. Twin Towers był głównym aresztem okręgowym w centrum miasta. Jedną wieżę zajmowały kobiety, drugą mężczyźni. Gloria Dayton była drogą prostytutką, która od czasu do czasu korzystała z moich usług prawnych. Pierwszy raz reprezentowałem ją co najmniej dziesięć lat temu, gdy była młodsza, nie ćpała, a w jej oczach jeszcze tliło się życie. Dziś broniłem jej gratis. Nigdy nie wystawiałem jej rachunków. Próbowałem ją tylko przekonać, żeby zaczęła żyć inaczej.

— Kiedy ją zgarnęli?

— W nocy. Właściwie dzisiaj rano. Staje przed sądem po lunchu.

— Nie wiem, czy zdążę z Van Nuys.

— Jeszcze jeden problem. Poza tym, co zwykle, jest zarzut o posiadanie kokainy.

Wiedziałem, że Gloria szuka klientów wyłącznie przez Internet,

gdzie na różnych stronach występuje jako Glory Days\*.

\* Dni chwały.

Nie włóczyła się po ulicach ani podejrzanych barach. Bywała zatrzymywana zwykle przez tajniaków z obyczajówki, którym udało się pokonać jej system zabezpieczeń i umówić się na randkę. To, że w chwili spotkania miała przy sobie kokainę, świadczyło albo o jej wyjątkowym zaniedbaniu, albo o tym, że narkotyk podrzucił jej gliniarz.

— Dobra, jeżeli się znowu odezwie, powiedz jej, że spróbuję tam dojechać, a jak mnie nie będzie, to kogoś przyślę. Zadzwońisz do sądu i potwierdzisz godzinę posiedzenia?

— Zaraz się tym zajmę. Ale, Mickey, kiedy zamierzasz jej powiedzieć, że to ostatni raz?

— Nie wiem. Może dzisiaj. Coś jeszcze?

— A nie dosyć jak na jeden dzień?

— Chyba wystarczy.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o moim planie zajęć na resztę tygodnia. Otworzyłem laptop na składanym blacie, żeby się upewnić, czy mój kalendarz zgadza się z terminami zapisanymi u Lorny. Miałem dwie poranne rozprawy w sądzie, a w czwartek całodzienny proces. Same sprawy o narkotyki z południa miasta. Mój chleb powszedni. Pod koniec rozmowy obiecałem, że zadzwonię do niej zaraz po posiedzeniu w Van Nuys i dam jej znać, jaki wpływ może mieć sprawa Rouleta na mój harmonogram.

— Jeszcze jedno — dodałem. — Mówiłaś, że firma, w której pracuje Roulet, zajmuje się wyłącznie ekskluzywnymi nieruchomościami, tak?

— Tak. We wszystkich umowach z archiwum, w których figurował jego podpis, były siedmiocyfrowe kwoty. W paru nawet ośmiocyfrowe. Holmby Hills, Bel-Air, tylko takie okolice.

Skinąłem głową, myśląc, że ze względu na swój status Roulet może być obiektem zainteresowania mediów.

— Daj cynk Trójnogowi — zaproponowałem.

- Jesteś pewien?
- Tak, może uda się na tym skorzystać.
- Zrobi się.
- Pogadamy później.

Gdy zamykałem telefon, Earl wjechał na autostradę Antelope Valley i ruszyliśmy na południe. Było dość wcześnie i uznałem, że bez problemu zdążymy do Van Nuys na jedenastą, gdy Roulet miał się stawić przed obliczem sądu. Zadzwoiłem do Fernanda Valenzuela, żeby go o tym poinformować.

- Bardzo dobrze — oznajmił poręczyciel. — Będę czekał.

Zobaczyłem dwa motocykle mijające mój samochód. Obaj motocykliści byli ubrani w czarne skórzane kurtki z naszytą na plecach czaszką w aureoli.

- Coś jeszcze? — spytałem.

— Tak, powinieneś chyba o czymś wiedzieć — odrzekł Valenzuela. — Kiedy jeszcze raz sprawdzałem w sądzie godzinę posiedzenia, dowiedziałem się, że do sprawy wyznaczono Maggie McPershing. Nie wiem, czy to dla ciebie problem, czy nie.

Tak się składało, że Maggie McPershing, czyli Margaret McPherson, była jednym z najsurowszych zastępców prokuratora okręgowego pracujących w sądzie w Van Nuys i działała z precyzją i niszczycielską siłą rakiety średniego zasięgu. Tak się również składało, że była moją pierwszą ekszoną.

— Dla mnie żaden — odparłem bez wahania. — To ona będzie miała problem.

Oskarżony ma prawo wyboru adwokata. Jeżeli między obrońcą a oskarżycielem występuje konflikt interesów, wycofać musi się prokurator. Wiedziałem, że Maggie obarczy mnie odpowiedzialnością za utratę szansy prowadzenia nieźle zapowiadającej się sprawy, ale nic nie mogłem na to poradzić. Już się tak nieraz zdarzało. Wciąż miałem w laptopie wniosek o odsunięcie prokuratora z poprzedniej sprawy, w której przecięły się nasze drogi. W razie potrzeby wystarczyło tylko zmienić nazwisko oskarżonego i wydrukować. Jeden ruch i Maggie znika ze sceny.

Dwa motocykle znalazły się teraz przed nami. Odwróciłem się i spojrzałem przez tylną szybę. Za nami jechały jeszcze trzy harleye.

— Wiesz chyba, co to znaczy — powiedziałem.

— Nie, co?

— Będzie chciała skasować kaucję. Zawsze tak robi w występstwach przeciwko kobietom.

— Cholera, i może się jej udać? Stary, liczę na ładną sumkę.

— Nie wiem. Mówiłeś, że facet ma ustawioną rodzinę i C.C. Dobbsa. Postaram się to wykorzystać. Zobaczymy.

— Cholera.

Valenzuela już widział znikające za horyzontem wielkie pieniądze.

— Do zobaczenia na miejscu, Val.

Zamknąłem komórkę i spojrzałem na Earla.

— Jak długo już mamy eskortę? — zapytałem.

— Dopiero się zjawili — odparł Earl. — Mam coś zrobić?

— Najpierw zobaczymy, o co im...

Nie musiałem kończyć zdania. Jeden z motocyklistów z tyłu zrównał się z lincolnem i dał nam znak, żebyśmy skręcili w najbliższy zjazd prowadzący do parku Vasquez Rocks. Poznałem w nim Teddy'ego Vogela, mojego byłego klienta i najważniejszego z Road Saints, który nigdy nie trafił za kratki. Fizycznie też był chyba najpotężniejszy w gangu. Ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilo i wyglądał jak gruby dzieciak siedzący na motorze młodszego brata.

— Zjedź, Earl — powiedziałem. — Zobaczymy, o co mu chodzi.

Zatrzymaliśmy się na parkingu obok ostrych skał nazwanych na pamiątkę bandyty, który ukrywał się w nich sto lat temu. Na jednym z najwyższych występów skalnych dwoje ludzi urządziło sobie piknik. Pomyślałem, że nie czułbym się najlepiej, jedząc kanapkę w tak niebezpiecznym miejscu i tak niewygodnej pozycji.

Gdy Teddy Vogel podszedł do samochodu, otworzyłem okno. Czterej pozostali wyłączyli silniki, ale nie zsiadali z motocykli.

Vogel pochylił się i oparł masywne przedramię na krawędzi okna. Poczułem, jak auto przechyliła się na bok o kilka centymetrów.

— Jak leci, mecenasie? — zapytał.

— Wspaniale, Ted — odrzekłem, nie używając jego przydomku. Road Saints nazywali swojego herszta Misiek.

— Gdzie się podziała twoja kitka?

— Nie podobała się paru osobom, więc obciąłem.

— Przysięgłym, co? Pewnie sami sztywniaci.

— O co chodzi, Ted?

— Dzwonił do mnie Hardziel z pudła w Lancaster. Mówił, że jedziesz na południe i że mogę cię złapać w drodze. Podobno przeciągasz jego sprawę i weźmiesz się do roboty, dopiero jak dostaniesz kasę. To prawda, mecenasie?

Powiedział to normalnym tonem. Ani w głosie, ani w słowach nie wyczuwało się groźby. I nie czułem się zagrożony. Dwa lata temu Vogelowi postawiono zarzut czynnej napaści i porwania, ale udało mi się wytargować zwykłe zakłócenie spokoju. Misiek prowadził należący do Saints klub ze striptizem przy Sepulveda w Van Nuys. Aresztowano go, kiedy się dowiedział, że jedna z jego najbardziej dochodowych tancerek rzuciła pracę i przeniosła się do konkurencji naprzeciwko. Vogel poszedł na drugą stronę ulicy, ściągnął dziewczynę ze sceny i zaniósł z powrotem do swojego klubu. Tancerka była naga. Policję zawiadomił mijający ich kierowca. Ta sprawa była jednym z moich lepszych występów i Vogel dobrze o tym wiedział. Miał do mnie słabość.

— Mniej więcej prawda — odrzekłem. — Żyję z tej pracy. Jeżeli Casey chce, żebym dla niego pracował, musi mi płacić.

— W grudniu dostałeś pięć kawałków — przypomniał mi Vogel.

— Dawno ich nie ma, Ted. Ponad połowa poszła na eksperta, który ma rozwalić oskarżenie. Resztę wziąłem ja, ale już odpracowałem te godziny. Jeżeli mam iść na proces, muszę napełnić bak.

— Chcesz jeszcze pięć?

— Nie, potrzebuję dziesięciu. Powiedziałem o tym Hardzielowi w zeszłym tygodniu. Proces będzie trwał trzy dni, a eksperta przywożę z Kodaka z Nowego Jorku. Muszę mu zapłacić, na dodatek facet chce lecieć pierwszą klasą i zamieszkać w Chateau Marmont. Wydaje mu się, że będzie pił w barze z gwiazdami filmowymi. Najtańsze pokoje kosztują cztery stowy za dobę.

— Dobijasz mnie, mecenasie. Co się stało z twoim hasłem z książki telefonicznej? „Niska wiarygodność dowodów za niską cenę”. Dziesięć kawałków to ma być niska cena?

— Podobało mi się to hasło. Przyciągnęło masę klientów. Ale korporacja miała na ten temat inne zdanie i kazała mi je zmienić. Dziesięć to ostateczna cena, Ted, i zapewniam cię, że niska. Jeżeli nie możesz albo nie chcesz zapłacić, jeszcze dziś wypisuję papiery. Wycofuję się ze sprawy i Casey może sobie brać obrońcę z urzędu. Przekażę mu wszystko, co mam. Tylko że obrońca z urzędu pewnie nie będzie miał funduszy na eksperta fotograficznego.

Vogel zmienił pozycję przy oknie, a samochód zadygotał pod ciężarem jego masywnego ciała.

— Nie, nie, chcemy ciebie. Hardziel jest dla nas ważny, rozumiesz? Ma wyjść i wracać do roboty.

Patrzyłem, jak sięga do wewnętrznej kieszeni kamizelki. Miał tak mięsistą dłoń, że kostki wydawały się wklęśłe. Pojawiła się w niej gruba koperta, którą mi podał.

— To gotówka? — spytałem.

— Gotówka. Coś nie tak?

— Nie. Ale muszę wypisać pokwitowanie. Tak każe urząd skarbowy. Całe dziesięć?

— Co do centa.

Zdjąłem pokrywkę z kartonowego pudła na akta, które zawsze mam na siedzeniu obok siebie. Kwitariusz tkwił za aktami bieżących spraw. Zacząłem wypisywać pokwitowanie. Większość adwokatów traci uprawnienia zawodowe z powodu naruszenia

przepisów finansowych. Uchybień w przyjmowaniu albo sprzeniewierzenia honorarium. Prowadzę skrupulatny rejestr i przechowuję wszystkie pokwitowania. Nie zamierzam dać się podejść korporacji z tej strony.

— A więc cały czas miałeś je przy sobie — powiedziałem, nie przerywając pisania. — A gdybym spuścił do pięciu? Co byś zrobił?

Vogel się uśmiechnął. Brakowało mu dwóch przednich dolnych zębów. Pewnie jakaś bójka w klubie. Poklepał się po kieszeni kamizelki.

— Tu mam drugą kopertę, mecenasie — odrzekł. — Byłem przygotowany.

— Cholera, teraz żałuję, że zostawiam cię przy forsie.

Wydarłem pokwitowanie i podałem mu przez okno.

— Wypisałem na Caseya. To on jest klientem.

— Może być.

Misiek wziął kwit i wyprostował się, zdejmując rękę z okna. Samochód wrócił do pionu. Chciałem zapytać, skąd ma pieniądze, z jakiego kryminalnego przedsięwzięcia gangu pochodzą, czy sto dziewczyn musiało tańczyć przez sto godzin, żeby mógł mi zapłacić, ale uznałem, że lepiej będzie, jeśli nie poznam odpowiedzi na to pytanie. Przyglądałem się, jak Vogel wolnym krokiem wraca do swojego harleya i przerzuca przez siodełko udo grubości kubła na śmieci. Dopiero teraz zauważyłem podwójne amortyzatory na tylnym kole. Kazałem Earlowi zawrócić na autostradę i jechać do Van Nuys, gdzie przed spotkaniem z nowym klientem musiałem jeszcze wstąpić do banku.

W czasie jazdy otworzyłem kopertę i przeliczyłem pieniądze, w dwudziestkach, pięćdziesiątkach i setkach. Zgadzało się co do centa. Bak był pełen, a ja byłem gotów stanąć przed obliczem sądu u boku Harolda Caseya. Zamierzałem dać nauczkę młodemu prokuratorowi. I wygrać jeśli nie proces, to z pewnością apelację. Casey wróci na łono rodziny Road Saints i do pracy. Wypełniając druk wpłaty honorarium na rachunek, w ogóle się nie zastanawiałem

nad jego winą za zarzucane mu przestępstwa.

— Panie Haller? — odezwał się po jakimś czasie Earl.

— Tak, Earl?

— Co z tym ekspertem z Nowego Jorku, o którym mu pan mówił? Mam po niego jechać na lotnisko?

Pokręciłem głową.

— Nie ma żadnego eksperta z Nowego Jorku, Earl. Najlepsi na świecie spece od zdjęć i filmowania są na miejscu, w Hollywood.

Earl skinął głową i na chwilę zatrzymał wzrok na moim odbiciu w lusterku wstecznym. Potem wrócił spojrzeniem na drogę.

— Rozumiem — powiedział, znów kiwając głową.

Ja też skinąłem głową. Zawsze wszystko robiłem i mówiłem bez wahania. Na tym polegała moja praca. Po piętnastu latach praktyki adwokackiej miałem bardzo jasną wizję prawa. To wielka, zardzewiała maszyna, która wciąga ludzi i pieniądze. Ja byłem tylko mechanikiem. Stałem się ekspertem, który wchodzi do wnętrza maszyny, naprawia to i owo, a w zamian bierze, czego mu potrzeba.

Przestałem dostrzegać w prawie wartości, które kiedyś ceniłem. Wyniesione ze studiów przekonania o zaletach postępowania kontradycyjnego i mechanizmu równowagi oraz dochodzeniu prawdy uległy zniszczeniu jak twarze posągów postawionych przez inne cywilizacje. Prawo nie miało nic wspólnego z prawdą. Polegało na negocjacji, neutralizacji i manipulacji. Nie zajmowałem się winą ani niewinnością, bo wszyscy byli winni. Każdy miał coś na sumieniu. Ale to i tak bez znaczenia, bo każda moja sprawa przypominała dom wzniesiony na fundamentach wylanych przez przepracowanych i źle opłacanych robotników. Odstawiali fuszere. Popełniali błędy. A potem zamalowywali własne błędy kłamstwem. Moim zadaniem było zdrapać farbę i znaleźć rysy. Potem, za pomocą narzędzi i własnych rąk, musiałem poszerzyć i pogłębić rysy w murze, tak żeby dom legł w gruzach, a gdyby nie udało mi się go zburzyć, żeby mógł się przez nie prześliznąć mój klient.



Większość ludzi uważała mnie za diabła, ale bardzo się mylili. Byłem śliskim aniołem. To nie Road Saints byli świętymi, ale ja. Byłem potrzebny. Każdej ze stron. Smarowałem maszynę. Dzięki mnie jej tryby się obracały. Pomagałem napędzać system.

Ale sprawa Rouleta miała wszystko odmienić. W życiu moim, Rouleta i z pewnością Jesusa Menendezza.

## Rozdział 4

Louis Ross Roulet siedział w celi z siedmioma mężczyznami, których furgonetka przywiozła do sądu Van Nuys z odległego o niecałą przecznicę aresztu Van Nuys. Dwaj biali siedzieli obok siebie na ławce, a sześciu czarnych zajęło drugą stronę celi. Była to forma darwinowskiej segregacji. Nie znali się, ale mieli przewagę liczebną.

Ponieważ Roulet podobno pochodził z bogatej rodziny z Beverly Hills, spojrzałem na dwóch białych, bez trudu rozpoznając swojego potencjalnego klienta. Jeden z mężczyzn był chudy jak szczapa, a w zażawionych oczach miał rozpacz ćpuna, który od dawna nie dostał swojej działki. Drugi wyglądał jak przysłowiowe dziecko we mgle.

— Pan Roulet? — spytałem, wymawiając nazwisko tak, jak mi polecił Valenzuela.

Dziecko we mgle skinęło głową. Dałem mu znak, by podszedł do krat, żebym nie musiał mówić zbyt głośno.

— Nazywam się Michael Haller. Wszyscy mówią mi Mickey. Będę pana dzisiaj reprezentował przed sądem.

Znajdowaliśmy się w areszcie budynku sądowego, dokąd zwyczajowo wpuszczano adwokatów, aby naradzili się z klientami przed rozpoczęciem sesji. Na podłodze przed celami była namalowana niebieska linia wyznaczająca strefę szerokości metra. Musiałem pozostać w tej odległości od klienta.

Roulet złapał się krat. Jego ręce i nogi, podobnie jak pozostałych siedzących w klatce, skuwał łańcuch przytroczony do pasa. Aresztantów rozkuwano dopiero na sali rozpraw. Miał niewiele ponad trzydziestkę i mimo metra osiemdziesięciu wzrostu i osiemdziesięciu kilogramów wagi wydawał się drobny. Tak na człowieka wpływa więzienie. Miał jasnoniebieskie oczy, w których wyraźnie dostrzegłem panikę odróżniającą go od większości moich klientów. Ci nieraz trafiali do pułda i zwykle mieli zimne jak lód spojrzenia drapieżników. Inaczej nie poradziliby sobie w więzieniu.

Lecz Roulet był inny. Wyglądał jak ofiara drapieżnika. Był przerażony i nie obchodziło go, czy ktoś to widzi.

— Zostałem wrobiony — zapewnił mnie gorączkowo, nawet nie starając się ściszyć głosu. — Musi mnie pan stąd wydostać. Pomyliłem się co do tej kobiety, to wszystko. Teraz próbuje mnie zrobić i...

Gestem kazałem mu przerwać.

— Niech pan uważa na wszystko, co pan tu mówi — poradziłem cicho. — Niech pan uważa, dopóki pana stąd nie wyciągniemy i nie będziemy mogli porozmawiać na osobności.

Rozejrzał się, najwyraźniej nie rozumiejąc.

— Nigdy nie wiadomo, kto słucha — wyjaśniłem. — I nigdy nie wiadomo, kto powie, że coś od pana usłyszał, nawet gdyby nic pan nie mówił. Najlepiej w ogóle nie mówić o sprawie. Rozumie pan? Najlepiej z nikim o niczym nie rozmawiać, koniec kropka.

Skinął głową i pokazałem mu ławkę stojącą przy kratkach. Sam zająłem ławkę pod przeciwległą ścianą.

— Przyszedłem pana poznać i przedstawić się — powiedziałem. — Sprawę omówimy, kiedy już pan stąd wyjdzie. Rozmawiałem z adwokatem pańskiej rodziny, panem Dobbsem. Postanowiliśmy zawiadomić sędziego, że jesteśmy gotowi wpłacić kaucję. Zgoda?

Otworzyłem skórzaną teczkę Mont Blanc i przygotowałem się do sporządzenia notatek. Roulet przytaknął. Zaczynał się uczyć.

— To dobrze — ciągnąłem. — Proszę mi o sobie opowiedzieć. Ile pan ma lat, czy jest pan żonaty, co pan robi w życiu.

— Mam trzydzieści dwa lata. Mieszkam tu całe życie, nawet tu studiowałem. Na UCLA. Nie jestem żonaty. Nie mam dzieci. Pracuję...

— Rozwiódł się pan?

— Nie, nigdy się nie ożeniłem. Pracuję w firmie rodzinnej. Windsor Residential Estates. Windsor to nazwisko drugiego męża mojej matki. Nieruchomości. Sprzedajemy nieruchomości.

Wszystko notowałem. Nie unosząc głowy, zapytałem cicho:

— Ile pan w zeszłym roku zarobił?

Gdy Roulet nie odpowiedział, spojrzałem na niego.

— Po co chce pan to wiedzieć?

— Bo mam zamiar pana stąd wyciągnąć jeszcze przed zachodem słońca. Dlatego muszę dokładnie znać pańską sytuację. W tym także finansową.

— Nie wiem, ile dokładnie zarobiłem. Duża część to udziały w firmie.

— Nie składał pan zeznania podatkowego?

Obejrzawszy się przez ramię na pozostałych aresztantów, Roulet zniżył głos do szeptu.

— Składałem. Według niego moje dochody wyniosły ćwierć miliona.

— Ale twierdzi pan, że razem z udziałami w firmie tak naprawdę zarobił pan więcej.

— Owszem.

Przy kracie obok Rouleta stanął jeden z jego współwięźniów. Drugi biały. Jego zachowanie zdradzało nerwowość — bezustannie poruszał rękami, łapiąc się za kieszenie i rozpaczliwie zaciskając palce.

— Słuchaj pan, ja też potrzebuję adwokata. Ma pan wizytówkę?

— Nie dla ciebie, stary. Mają tam już dla ciebie obrońcę.

Ponownie spojrzałem na Rouleta, czekając, aż ćpun odejdzie. Ani myślał. Zerknąłem na niego.

— Słuchaj, to prywatna rozmowa. Mógłbyś zostawić nas samych?

Ćpun wykonał nieokreślony gest i poczłapał z powrotem do rogu celi. Zwróciłem się do Rouleta:

— A organizacje charytatywne?

— Co pan ma na myśli? — spytał.

— Czy bierze pan udział w akcjach dobroczynnych? Wspomaga instytucje charytatywne?

— Tak, firma wspiera fundację Make-a-Wish i schronisko dla dzieciaków, które uciekają z domu. Dom nazywa się U Przyjaciela czy coś takiego.

— Świetnie.

— Wyciągnie mnie pan stąd?

— Spróbuję. Zarzuty są poważne — przed przyjazdem zdążyłem się dowiedzieć — poza tym mam przeczucie, że prokurator będzie chciała złożyć prośbę o odmowę zwolnienia za kaucją, ale mamy coś w ręku. Myślę, że uda mi się to wykorzystać.

Wskazałem na notatki.

— Nie będzie kaucji? — powiedział z przerażeniem w głosie.

Pozostali spojrzeli w jego stronę, bo to, co usłyszeli, było ich wspólnym koszmarem. Odmowa zwolnienia za kaucją.

— Proszę się uspokoić — rzekłem. — Mówiłem, że będzie chciała złożyć taką prośbę. Nie powiedziałem, że dostanie zgodę. Kiedy ostatni raz był pan aresztowany?

Zawsze znienacka zadaje to pytanie, patrząc klientowi w oczy, żeby się przekonać, czy nic mnie nie zaskoczy na sali rozpraw.

— Nigdy. Nigdy nie byłem aresztowany. Ta cała historia...

— Wiem, wiem, ale o tym nie będziemy tu rozmawiać, pamięta pan?

Skinął głową. Zerknąłem na zegarek. Zaraz miało się zacząć posiedzenie, a ja musiałem jeszcze pogadać z Maggie McPershing.

— Muszę iść — powiedziałem. — Zobaczymy się za kilka minut i wkrótce się okaże, czy będzie pan mógł stąd wyjść. Na

sali proszę nic nie mówić bez konsultacji ze mną. Jeżeli sędzia spyta, jak się pan czuje, konsultuje się pan ze mną. Zgoda?

— A nie mam powiedzieć „niewinny” w odpowiedzi na zarzuty?

— Nie, nawet pana o to nie pytają. Dzisiaj tylko odczytają zarzuty, pomówią o kaucji i wyznaczą datę przedstawienia aktu oskarżenia. Dopiero wtedy nie przyzna się pan do winy. A więc dzisiaj nie mówi pan nic. Żadnych wybuchów oburzenia, nic. Jasne?

Przytaknął, marszcząc brwi.

— Poradzisz sobie, Louis?

Znów ponuro pokiwał głową.

— Muszę cię też poinformować — ciągnąłem — że za udział w pierwszej rozprawie i ustaleniu kaucji biorę dwa i pół tysiąca dolarów. Nie będzie z tym kłopotu?

Przecząco pokręcił głową. Dobrze, że nie mówił. Większość moich klientów zdecydowanie za dużo gada. Zwykle gadanie prowadzi ich prosto za kratki.

— To dobrze. O reszcie porozmawiamy, kiedy już stąd wyjdiesz i znajdziemy jakieś spokojne miejsce.

Zamknąłem skórzaną teczkę, w nadziei, że ją zauważył i doceenił, a potem wstałem.

— Jeszcze jedno — powiedziałem. — Dlaczego wybrałeś akurat mnie? Jest tylu adwokatów, dlaczego ja?

Pytanie nie mogło wpłynąć na nasze wzajemne relacje, ale chciałem sprawdzić prawdomówność Valenzueli. Roulet wrzucił ramionami.

— Nie wiem — odparł. — Chyba widziałem pana nazwisko w gazecie i zapamiętałem.

— Co o mnie przeczytałeś?

— Artykuł był o sprawie, w której sąd odrzucił dowody przeciwko jakiemuś facetowi. Chyba chodziło o narkotyki. Wygrał pan sprawę, bo nie było innych dowodów.

— Sprawa Hendricksa?

Była to jedyna historia, jaka w ciągu ostatnich miesięcy mogła trafić do gazet. Hendricks był moim kolejnym klientem z Road Saints i ludzie z biura szeryfa założyli mu w harleyu nadajnik GPS, żeby namierzyć punkty dostawy towaru. Dopóki śledzili go na publicznych drogach, wszystko było w porządku. Kiedy jednak na noc schował motocykl we własnej kuchni, nadajnik stał się podstawą do oskarżenia policji o bezprawne najście. Sędzia oddalił sprawę już przy wstępnym przesłuchaniu, a „Times” zamieścił bardzo ładny kawałek na pierwszej stronie.

— Nie pamiętam, jak się nazywał klient — rzekł Roulet. — Zapamiętałem tylko pana nazwisko. Kiedy dzwoniłem dzisiaj do poręczyciela, podałem mu nazwisko Haller i poprosiłem, żeby pana zawiadomił i dał znać mojemu adwokatowi. Czemu pan pyta?

— Bez powodu. Z ciekawości. Dziękuję za ten telefon. Do zobaczenia na sali.

Odnotałem w pamięci rozbieżności między wersją Rouleta a tym, co Valenzuela opowiedział mi o okolicznościach mojego zatrudnienia. Decydując, że zastanowię się nad tym później, wszedłem do sali rozpraw. Zobaczyłem Maggie McPershing siedzącą za stołem oskarżenia. Towarzyszyło jej pięciu prokuratorów. Stół był duży i miał kształt litery L, dzięki czemu mógł pomieścić nieustannie zmieniającą się liczbę prawników, którzy zawsze siedzieli zwróceni twarzą w stronę fotela sędziowskiego. Większość rutynowych procedur w ciągu dnia obsługiwał prokurator przydzielony do sali. Wyjątkowe sprawy potrafiły jednak przyciągnąć tu grube ryby z drugiego piętra sąsiedniego budynku, gdzie mieściła się prokuratura okręgowa. Jak magnes działały także kamery telewizyjne.

Wchodząc za barierkę, ujrzałem człowieka ustawiającego kamerę wideo na statywie obok biurka woźnego sądowego. Ani na kamerze, ani na stroju nie miał żadnego logo stacji. Mężczyzna był wolnym strzelcem, który zwietrzył dużą sprawę i zamierzał nakręcić przebieg posiedzenia, a potem spróbować sprzedać materiał którejś z lokalnych telewizji, gdyby szefowi wiadomości

akurat brakowało jakiejś trzydziestosekundowej wstawki. Kiedy wcześniej sprawdzałem, który na liście jest Roulet, woźny poinformował mnie, że sędzia wyraził zgodę na filmowanie.

Zaszedłem swoją byłą żonę z tyłu i pochyliłem się, by szepnąć jej do ucha. Przeglądała zdjęcia w aktach. Miała na sobie granatowy kostium w szare prążki. Jej kruczoczarne włosy były związane wstążką w takim samym szarym kolorze. Uwielbiałem, kiedy się tak czesała.

— To ty miałaś sprawę Rouleta?

Uniosła głowę, nie rozpoznając mojego szeptu. Bezwiednie zaczęła się uśmiechać, ale gdy tylko mnie zobaczyła, uśmiech przeobraził się w gniewny grymas. Świetnie wiedziała, dlaczego użyłem czasu przeszłego. Zatrzasnęła teczkę z aktami.

— Tylko nie to — powiedziała.

— Przykro mi. Spodobało mu się, co zrobiłem dla Hendricksa, i zadzwonił do mnie.

— Sukinsyn. Chciałam prowadzić tę sprawę, Haller. Już drugi raz mi to robisz.

— Chyba to miasto jest za małe dla nas dwojga — odparłem, nieudolnie naśladowując Cagneya.

Jęknęła.

— W porządku — powiedziała zrezygnowanym tonem, kapi-tulując. — Zaraz po tej rozprawie grzecznie się wycofam. Chyba że nie zgodzisz się nawet na mój udział w pierwszym posiedzeniu.

— Mógłbym się nie zgodzić. Chcesz wnioskować o odmowę kaucji?

— Owszem. Ale zmiana prokuratora nie załatwi sprawy. Takie było polecenie z drugiego piętra.

Skinąłem głową. Oznaczało to, że kaucji był przeciwny prokurator nadzorujący postępowanie.

— Facet ma pozycję w społeczeństwie. I nigdy nie był aresztowany.

Przyglądałem się jej reakcji, ponieważ nie miałem czasu



sprawdzić, czy Roulet mówił prawdę, gdy zaprzeczył, że kiedykolwiek był aresztowany. Zawsze mnie zdumiewa, ilu klientów wprowadza mnie w błąd, twierdząc, że nigdy nie wciągnęła ich machina prawa, skoro i tak wiedzą, że to kłamstwo ma krótkie nogi.

Mina Maggie świadczyła jednak, że nie słyszała o dawnych sprawkach mojego klienta. Może rzeczywiście nie kłamał. Może trafił mi się autentyczny nienotowany debiutant.

— Nieważne, czy ma coś na koncie — oświadczyła Maggie.  
— Ważne, co zrobił wczoraj wieczorem.

Otworzyła teczkę i szybko przerzuciła zdjęcia. Gdy znalazła to, którego szukała, wyciągnęła fotografię i podsunęła mi pod nos.

— Oto czego wczoraj dokonał ten twój filar społeczeństwa. Dlatego naprawdę nie obchodzi mnie, co robił wcześniej. Zamierzam dopilnować, żeby nigdy więcej już tego nie zrobił.

Zdjęcie przedstawiało kobiecą twarz w zbliżeniu. Prawe oko tak opuchło, że powieka była szczelnie zamknięta. Kobieta miała złamany i przemieszczony nos. Z obu nozdrzy wystawały przesiąknięte krwią kawałki gazy. Nad prawą brwią widniała głęboka rana, a na niej dziewięć motylkowych szwów. Opuchlizna rozciętej dolnej wargi miała wielkość kuli bilardowej. Największą grozę budziło jednak zdrowe oko. Kobieta wpatrywała się przez łyzy w obiektyw, a jedyne oko wyrażało strach, ból i upokorzenie.

— Jeżeli w ogóle on to zrobił — powiedziałem, bo tak powinienem powiedzieć.

— Zgoda — odparła Maggie. — Jeżeli to zrobił. Aresztowano go u niej w domu i miał na sobie jej krew, ale masz rację, to kluczowe pytanie.

— Lubię, kiedy jesteś taka sarkastyczna. Masz tu raport z aresztowania? Chciałbym dostać kopię.

— Dostaniesz od tego, kto przejmie ode mnie sprawę. Żadnych przysług, Haller. Nie tym razem.

Czekałem, spodziewając się dalszych oznak oburzenia,

docinków, może kolejnych ostrzegawczych strzałów, ale Maggie nic więcej nie powiedziała. Uznałem, że nie uda mi się już nic z niej wyciągnąć na temat sprawy. Zmieniłem temat.

— Powiedz, jak ona się czuje?

— Boi się jak wszyscy diabli i wariuje z bólu. Jak miałyby się czuć?

Spojrzawszy na mnie, natychmiast się zorientowała, o co pytam, i z jej oczu wyczytałem, co sądzi o mojej postawie.

— Nawet cię nie interesuje stan ofiary, prawda?

Nie odpowiedziałem. Nie chciałem kłamać.

— Twoja córka czuje się świetnie — odrzekła zdawkowo. — Podobają się jej rzeczy, które przysłałeś, ale wołałaby trochę częściej oglądać cię osobiście.

To nie był ostrzegawczy strzał, ale bezpośredni atak, na który sobie zresztą zasłużyłem. Bez przerwy uganiałem się za pracą, nawet w weekendy. Tymczasem w głębi duszy wiedziałem, że częściej powinienem gonić się z własną córką po podwórku. Dopóki jest jeszcze na to czas.

— Zobaczysz mnie — obiecałam. — I to bardzo niedługo. Co myślisz o najbliższym weekendzie?

— W porządku. Mam jej dzisiaj powiedzieć?

— Hm, może zaczekaj do jutra, żebym miał pewność.

Pokiwała głową, robiąc znaczącą minę. Już to przerabialiśmy.

— Świetnie. Daj mi znać jutro.

Tym razem nie podobał mi się jej sarkazm.

— Czego jej potrzeba? — spytałem, starając się zachować spokój w głosie.

— Już ci mówiłam. Więcej twojej obecności.

— Dobrze. Obiecuję spotkać się z nią w weekend.

Nie odpowiedziała.

— Naprawdę, Maggie. Jutro zadzwonię.

Utkwiła we mnie wzrok, gotowa rozpocząć ogień z obu łuf.

Już wcześniej wysłuchiwałem, że jako ojciec znacznie więcej gadam, niż robię. Ocalił mnie jednak początek posiedzenia. Sędzia wyszedł z gabinetu i zasiadł w fotelu. Woźny zarządził ciszę.

Nie mówiąc już ani słowa do Maggie, odszedłem od stołu prokuratora i zająłem jedno z krzesel przy barierce.

Sędzia spytał sekretarza, czy są jakieś kwestie do omówienia przed wprowadzeniem na salę aresztowanych. Ponieważ nie było żadnych, polecił przyprowadzić z celi pierwszą grupę. Podobnie jak w sądzie w Lancaster, dla podsądnych wydzielono dużą część sali. Wstałem i podszedłem do okienka w szklanej ścianie. Kiedy w drzwiach ujrzałem Rouleta, skinąłem na niego.

— Idziesz na pierwszy ogień — poinformowałem go. — Poprosiłem sędziego o przysługę i zgodził się rozpatrzeć twoją sprawę na początku. Będę próbować wyciągnąć cię stąd.

To nie była prawda. O nic sędziego nie prosiłem, a gdybym nawet to zrobił, sędzia na pewno nie wyświadczyłby mi takiej przysługi. Roulet miał być pierwszy ze względu na obecność mediów na sali. Przyjęto, że najpierw rozpatrywano sprawy, którymi interesowały się media. Była to uprzejmość wobec kamerzysty, na którego przypuszczalnie czekały inne obowiązki. Poza tym prawnicy, oskarżeni, a nawet sędzia odczuwali znaczną ulgę, gdy przestawało ich śledzić oko kamery.

— Co tu robi kamera? — spytał mnie przerażonym szeptem Roulet. — To z mojego powodu?

— Zgadza się. Musieli się skądś dowiedzieć o sprawie. Jeżeli nie chcesz być filmowany, schowaj się za mnie.

Roulet przesunął się tak, abym mógł go zasłonić przed obiektywem kamery stojącej na drugim końcu sali. Dzięki temu malało prawdopodobieństwo, że operatorowi uda się sprzedać materiał któremuś z lokalnych programów informacyjnych. To był jeden plus. Oznaczało to także, że gdyby udało mu się sprzedać materiał, główną postacią na zdjęciach będę ja. Drugi plus.

Kiedy zapowiedziano sprawę Rouleta, którego nazwisko urzędnik wymówił błędnie, Maggie zgłosiła się w imieniu oskarżenia, ja w imieniu obrony. Maggie, zgodnie ze swoim *modus operandi* McPershinga, podniosła stawkę. Postawiła Rouletowi

zarzut próby morderstwa oraz próby gwałtu. Miało to ułatwić przejście wniosku o odmowę zwolnienia za kaucją. Sędzia poinformował Rouleta o przysługujących mu prawach konstytucyjnych i ustalił datę odczytania aktu oskarżenia na dwudziestego pierwszego marca. W imieniu Rouleta poprosiłem o rozpatrzenie kaucji. Mój wniosek wywołał ożywioną wymianę zdań między Maggie a mną, w której sędzia pozostawał bezstronnym arbitrem. Wiedział, że byliśmy małżeństwem, bo przyszedł na nasz ślub. Podczas gdy Maggie wyliczała okrucieństwa, jakich oskarżony dopuścił się wobec ofiary, ja wyliczałem związki Rouleta ze społecznością, wspominając o jego wkładzie w działalność charytatywną i wskazując siedzącego wśród publiczności C.C. Dobbsa za propozycją, by zaprosić go na miejsce dla świadka i wysłuchać dalszych szczegółów na temat pozycji społecznej Rouleta. Dobbs był moim asem w rękawie. Jego renoma w prawniczym świecie mogłaby przyćmić wszelkie moje zapewnienia o kryształowym charakterze Rouleta i z pewnością wpłynąć na decyzję sędziego, który piastował urząd dzięki głosom wyborców — a także osobom wspierającym kampanię.

— Wysoki Sądzie, sedno tkwi w tym, że oskarżenie nie może uznać tego człowieka za zagrożenie dla społeczeństwa ani podejrzewać go o chęć ucieczki — podsumowałem. — Pan Roulet znalazł swoje miejsce w społeczeństwie, a jego jedynym zamiarem jest stanowcze rozprawienie się z fałszywymi oskarżeniami, jakie na niego rzucono.

Celowo użyłem sformułowania „stanowcze rozprawienie się”, na wypadek gdyby moje wystąpienie ukazało się na antenie i obejrzała je kobieta, która go oskarżyła.

— Wysoki Sądzie — odezwała się Maggie — odkładając na bok tanie popisy, nie należy zapominać, że ofiara tego czynu została brutalnie...

— Pani McPherson — przerwał jej sędzia. — Wydaje mi się, że poświęciliśmy już temu dość uwagi. Już wiem, jakie obrażenia odniosła ofiara i jaką pozycję społeczną ma pan Roulet. Mam też

dzisiaj bardzo długą wokandę. Ustalam wysokość kaucji na milion dolarów. Nakładam także na pana Rouleta dozór sądowy, który będzie wymagał od niego cotygodniowego stawiennictwa. Jeżeli nie zgłosi się chociaż raz, pożegna się z wolnością.

Szybko zerknąłem na ławy dla publiczności, gdzie obok Fernanda Valenzueli siedział Dobbs. Adwokat był szczupły i gładko golił głowę, chcąc ukryć łysinę. Jego szczupłość szczególnie rzucała się w oczy w porównaniu z tuszą Valenzueli. Czekałem na sygnał, czy zaakceptować wysokość kaucji, czy próbować ją obniżyć. Czasem, gdy sędzia jest przekonany, że daje prezent, jego decyzja może przynieść odwrotny skutek i wywołać naciski o zwiększenie sumy — a w tym wypadku o zmniejszenie.

Dobbs zajmował pierwsze krzesło w pierwszym rzędzie. Usłyszawszy decyzję o kaucji, po prostu wstał i ruszył do wyjścia, zostawiając Valenzuelę samego. Uznałem to za sygnał, że powinienem dać spokój i rodzina Rouleta może wyłożyć milion. Odwróciłem się do sędziego.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie — powiedziałem.

Urzędnik natychmiast zapowiedział następną sprawę. Zerknąłem na Maggie, gdy zamykała teczkę z aktami sprawy, której nie miała już prowadzić. Potem wstała, wyszła za barierkę i ruszyła głównym przejściem sali. Z nikim nie rozmawiała i nie patrzyła w moją stronę.

— Panie Haller?

Odwróciłem się do klienta. Za jego plecami zobaczyłem zastępcę szeryfa, który zabierał go z powrotem do celi. Teraz Roulet miał zostać odwieziony do aresztu, a w zależności od tempa działań Dobbsa i Valenzueli jeszcze dziś zwolniony.

— Porozumiem się z panem Dobbsem i wyciągnę cię stąd — obiecałem. — Potem będziemy mogli porozmawiać o sprawie.

— Dziękuję — powiedział Roulet, kiedy eskortowano go do celi. — Dziękuję, że pan tu był.

— Pamiętaj, co mówiłem. Nie rozmawiaj z obcymi. Z nikim nie rozmawiaj.

— Pamiętam.

Gdy opuścił salę, wyszedłem za barierkę. Valenzuela czekał na mnie przy bramce. Na jego twarzy jaśniał promienny uśmiech. Prawdopodobnie nigdy dotąd nie podpisywał poręczenia w takiej wysokości. Co oznaczało, że nigdy dotąd nie zarobił takiej prowizji. Klepnął mnie w ramię.

— Nie mówiłem? — powiedział. — Mamy licencję, szefie.

— Zobaczymy, Val — odparłem. — Zobaczymy.

## Rozdział 5

Każdy adwokat funkcjonujący w maszynie prawnej ma dwie taryfy. Taryfa A obejmuje honoraria, jakie adwokat chciałby otrzymać za świadczone klientowi usługi. Jest także taryfa B — honoraria, jakie jest skłonny przyjąć, bo na wyższe klienta nie stać. Klient licencyjny to oskarżony, który chce procesu i ma pieniądze, by zapłacić stawki według taryfy A. Od pierwszego posiedzenia przez odczytanie aktu oskarżenia, przesłuchanie wstępne, proces aż po apelację klient licencyjny żąda od prawnika setek, a nawet tysięcy płatnych godzin pracy. Dzięki niemu bak jest pełen przez dwa lub trzy miesiące. Na moim terenie łowieckim tacy klienci trafiają się najrzadziej, a są najbardziej poszukiwaną zwierzyną w całej dżungli.

Wyglądało na to, że Valenzuela nie pomylił się ani trochę. Louis Roulet zaczynał się zapowiadać na klienta licencyjnego. Ostatnio miałem długi okres posuchy. Prawie od dwóch lat nie zgłosił się do mnie nikt, kto mógłby być przynajmniej kandydatem na licencję. Mam na myśli sprawę, która przyniosłaby sześciocyfrowe honorarium. Wielu klientów z początku zapowiadało się na mocnych zawodników, zdolnych do osiągnięcia tak wyśrubowanego rezultatu, ale żaden nie dotrwał do końca.

Kiedy wyszedłem z sali, C.C. Dobbs czekał w korytarzu. Stał przy przeszklonej ścianie wychodzącej na dziedziniec centrum

sądowego. Zbliżyłem się do niego szybkim krokiem. Do nadejścia Valenzuela miałem kilka sekund i chciałem je wykorzystać, by pomówić z Dobbssem w cztery oczy.

— Przepraszam — rzekł Dobbs, zanim zdążyłem się odezwać. — Nie chciałem tam zostawać ani minuty dłużej. Widok chłopaka na tym żalonym castingu był zbyt przygnębiający.

— Chłopaka?

— Louisa. Prowadzę sprawę rodziny od dwudziestu pięciu lat. Chyba wciąż uważam go za chłopca.

— Poradzi pan sobie z kaucją?

— Z tym nie będzie kłopotu. Muszę zadzwonić do matki Louisa i spytać, jak chce to załatwić, czy zastawi nieruchomość, czy zdecyduje się na poręczenie.

Kaucję miliona dolarów można było zabezpieczyć nieruchomością tylko wówczas, gdy część jej wartości w wysokości co najmniej miliona dolarów nie była obciążona hipoteką. Dodatkowo sąd mógł sobie zażyczyć aktualnej wyceny nieruchomości, co dla Rouleta oznaczałoby wiele dni w areszcie. Natomiast Valenzuela oferował poręczenie za cenę dziesięcioprocentowej prowizji. Różnica polegała na tym, że te dziesięć procent nie podlegało zwrotowi. Zostawało w kieszeni Valenzuela jako koszt ponoszonego przez niego ryzyka i było przyczyną jego promiennego uśmiechu na sali sądowej. Po potrąceniu ubezpieczenia kaucji zgarniał prawie dziewięćdziesiąt tysięcy. A wcześniej prosił mnie, żebym o nim nie zapominał, gdyby się okazało, że mamy licencję.

— Czy mogę coś zaproponować? — spytałem.

— Proszę.

— Kiedy widziałem Louisa w celi, wyglądał na bezradnego. Na pańskim miejscu wyciągnąłbym go stamtąd jak najszybciej. Dlatego powinien pan poprosić Valenzuelę o wypisanie poręczenia. Kosztuje to sto tysięcy, ale chłopak będzie wolny i bezpieczny, rozumie pan, o czym mówię?

Dobbs odwrócił się do okna i oparł o balustradę biegnącą wzdłuż szyby. Spojrzałem w dół na dziedziniec, który wypieñiali



ludzie wychodzący z budynków sądowych na przerwę na lunch. Dostrzegłem wiele osób z biało-czerwonymi identyfikatorami na piersi, które jak wiedziałem, nosili przysięgli.

— Rozumiem, o czym pan mówi.

— Poza tym takie sprawy często wywabiają z dziur szczury.

— To znaczy?

— To znaczy, że zgłaszają się różni więźniowie i twierdzą, że słyszeli, jak ktoś coś powiedział. Zwłaszcza przy okazji spraw, o których mówi się w wiadomościach albo pisze w gazetach. Słyszą coś w telewizji, a potem próbują wszystkim wmówić, że człowiek puścił farbę w areszcie.

— To przestępstwo — oburzył się Dobbs. — Nie powinno się do tego dopuszczać.

— Tak, wiem, ale się zdarza. A im dłużej Louis będzie tam siedział, tym lepszą okazję będzie miał któryś z jego towarzyszy.

Przy balustradzie obok nas stanął Valenzuela. Nie odzywał się.

— Zaproponuję jej poręczenie — rzekł Dobbs. — Już dzwoniłem, ale była na spotkaniu. Kiedy tylko oddzwoni, zaczniemy działać.

Jego słowa przypomniały mi o kwestii, jaka nurtowała mnie podczas posiedzenia.

— Nie mogła wyjść ze spotkania, żeby porozmawiać o aresztowaniu syna? Zastanawiałem się, dlaczego nie było jej dzisiaj w sądzie, skoro ten chłopak, jak pan go nazywa, jest tak uczciwy i przyzwoity.

Dobbs spojrział na mnie takim wzrokiem, jak gdybym od miesiąca nie mył zębów.

— Pani Windsor jest bardzo zajęta i wpływową kobietą. Gdybym ją zawiadomił, że chodzi o zdarzenie z udziałem jej syna, na pewno bezzwłocznie odebrałaby telefon.

— Pani Windsor?

— Po rozwodzie z ojcem Louisa ponownie wyszła za męż. Dawno temu.

Skinąłem głową, myśląc, że mam jeszcze z Dobbsem wiele

rzeczy do omówienia, ale nie chciałem poruszać żadnego z tych tematów przy Valenzueli.

— Val, może sprawdzisz, kiedy Louisa odwieżą do aresztu i będziesz mógł się po niego zgłosić.

— Nie ma potrzeby — odparł Valenzuela. — Pojedzie pierwszą furgonetką po lunchu.

— Lepiej będzie, jeśli się upewnisz, a ja tymczasem ustalę pewne sprawy z panem Dobbsem.

Valenzuela już miał zaprotestować, że nie ma po co się upewniać, ale wreszcie zrozumiał, o co mi chodzi.

— W porządku — powiedział. — Pójdę sprawdzić.

Po jego odejściu przez chwilę przyglądałem się Dobbsowi. Chyba dobiegał sześćdziesiątki. Odnosił się do innych z szacunkiem, którego prawdopodobnie nabrał w ciągu trzydziestu lat pracy u bogatych ludzi. Przypuszczałem, że sam przy okazji znacznie się wzbogacił, ale nie miało to wpływu na jego zachowanie.

— Skoro mamy razem pracować, powinienem spytać, jak mam się do pana zwracać. Cecil? C.C.? Panie Dobbs?

— Wystarczy Cecil.

— A więc Cecil, moje pierwsze pytanie brzmi, czy rzeczywiście będziemy razem pracować. Jestem przyjęty?

— Pan Roulet wyraźnie dał mi do zrozumienia, że chce, abys go reprezentował w tej sprawie. Szczerze mówiąc, gdyby to ode mnie zależało, nie wybrałbym twoich usług. Być może w ogóle nie pomyślałbym o tobie, bo przyznaję, że nigdy o tobie nie słyszałem. Ale wybór pana Rouleta padł na ciebie i jestem gotów to zaakceptować. Zresztą uważam, że całkiem dobrze spisałeś się na sali, zwłaszcza że prokuratorka była wyraźnie wrogo nastawiona do pana Rouleta.

Zauważyłem, że „chłopak” stał się „panem Rouletem”. Ciekawe, z jakiego powodu tak nagle awansował w oczach Dobbsa.

— Rzeczywiście, nazywają ją Maggie McPershing. Bardzo poważnie podchodzi do obowiązków.

— Odniosłem wrażenie, że trochę przesadzała. Czy jest jakiś

sposób, żeby ją odsunąć od sprawy i wziąć kogoś nieco mniej... wystrzałowego?

— Nie wiem. Próby handlu prokuratorami mogą być niebezpieczne. Ale jeżeli sądzisz, że powinna odejść, postaram się to załatwić.

— To dobrze. Może już wcześniej powinienem cię poznać.

— Może. Chcesz od razu omówić kwestię honorarium i mieć to z głowy?

— Jeśli sobie zyczysz.

Rozejrzałem się po korytarzu, sprawdzając, czy w pobliżu nie kręcą się żadni prawnicy. Zamierzałem podać najwyższe stawki z taryfy A.

— Za dziś liczę sobie dwa i pół tysiąca, a Louis już wyraził na to zgodę. Jeżeli od tej chwili wolisz przejść na rozliczenie godzinowe, biorę trzysta za godzinę, ale w fazie procesu pięćset, bo mniej nie mogę. Gdybyś wybrał ryczałt, do zakończenia przesłuchania wstępnego będę chciał sześćdziesiąt tysięcy. Jeżeli sprawa zakończy się ugodą, dodatkowo dostaję dwanaście. Jeżeli postanowimy przystąpić do procesu, w dniu, kiedy zapadnie ta decyzja, będę potrzebował jeszcze sześćdziesięciu i dwudziestu pięciu, gdy zacznie się selekcja przysięgłych. Sprawa zapowiada się najwyżej na tydzień, wliczając skompletowanie ławy, ale jeżeli się przeciągnie, dostanę dwadzieścia pięć za każdy dodatkowy tydzień. Gdyby konieczna była apelacja, porozmawiamy o niej w swoim czasie.

Zawahałem się przez moment, czekając na reakcję Dobbsa. Jego mina nie wyrażała niczego, więc naciskałem dalej.

— Jeszcze dziś będę potrzebował trzydziestu tysięcy zaliczki plus dziesięć dla detektywa. Nie chcę tracić czasu. Wyślę detektywa, żeby się zorientował co i jak, zanim sprawa trafi do mediów i policja zacznie przesłuchiwać zamieszanych w nią ludzi.

Dobbs wolno pokiwał głową.

— To twoje standardowe stawki?

— Tak, jeżeli stać na nie klienta. Jestem wart tej ceny. A ile tobie płaci rodzina, Cecil?

Byłem pewien, że po tym epizodzie nie będzie narzekał na biedę.

— To sprawa między mną a klientem. Ale nie musisz się martwić. Poruszę temat twojego honorarium w rozmowie z panią Windsor.

— Będę wdzięczny. Pamiętaj, że detektyw musi zacząć jeszcze dzisiaj.

Podąłem mu wizytówkę, którą wyciągnąłem z prawej kieszeni marynarki. Na wizytówkach w prawej kieszeni jest numer mojej komórki. Na wizytówkach w lewej jest numer telefonu w mieszkaniu Lorny Taylor.

— Mam jeszcze posiedzenie w centrum — powiedziałem. — Kiedy wyciągniecie Louisa z aresztu, zadzwoń i umówmy się na spotkanie. Najlepiej jak najszybciej. Po południu i wieczorem powinienem być wolny.

— Doskonale — odrzekł Dobbs, chowając w kieszeni wizytówkę, na którą nawet nie raczył rzucić okiem. — Spotkamy się u ciebie?

— Nie, u ciebie. Chciałbym zobaczyć, jak mieszka nasza elita w wieżowcach w Century City.

Dobbs uśmiechnął się sztucznie.

— Sądząc po twoim garniturze, znasz i szanujesz stare porzekadło, że adwokat nie powinien za dobrze się ubierać do sądu. Zamiast ci zazdrościć, przysięgli mają cię polubić. Cóż, Michaelu, adwokat z Century City nie może mieć ładniejszego biura niż jego klienci. Zapewniam cię, że nasze biura są bardzo skromne.

Skinąłem głową. Mimo to czułem się urażony. Miałem na sobie swój najlepszy garnitur. Jak w każdy poniedziałek.

— Dobrze wiedzieć — powiedziałem.

Otworzyły się drzwi sali sądowej i ukazał się w nich operator, taszcząc kamerę i złożony statyw. Na jego widok Dobbs natychmiast zeszywniał.

— Media — syknął. — Jak je można powstrzymać? Pani Windsor nie będzie...

— Chwileczkę.

Zawołałem kamerzystę, który podszedł do nas. Błyskawicznie wyciągnąłem rękę. Żeby ją uścisnąć, musiał postawić statyw na podłodze.

— Nazywam się Michael Haller. Widziałem, że filmował pan mojego klienta.

Przedstawiając się pełnym imieniem i nazwiskiem, nadałem mu zaszyfrowany komunikat.

— Robert Gillen — odparł kamerzysta. — Nazywają mnie Trójnóg.

Wskazał na statyw. Jego imię i nazwisko także było szyfrem. Zrozumiał, że gramy.

— To zlecenie czy niezależna inicjatywa? — zapytałem.

— Dzisiaj niezależna inicjatywa.

— Skąd się pan dowiedział o rozprawie?

Wzruszył ramionami, jak gdyby miał opory przed ujawnieniem swojego źródła.

— Mam kontakty. Od gliniarza.

Skinąłem głową. Gillen włączył się do gry.

— Ile pan dostanie, jeżeli sprzeda pan materiał wiadomościom?

— To zależy. Za wyłączność biorę siedemset pięćdziesiąt, a za niewyłączność pięćset.

„Niewyłączność” oznaczała, że każdy szef programu informacyjnego, który kupił od niego taśmę, mógł ją sprzedać konkurencyjnej stacji. Gillen podwoił swoje rzeczywiste stawki. To był dobry ruch. Kiedy filmował posiedzenie, musiał pewnie słuchać, co się mówiło.

— Wie pan co? A gdybyśmy odkupili materiał na prawach wyłączności? — zaproponowałem.

Gillen doskonale odgrywał swoją rolę. Zawahał się przez chwilę, jak gdyby rozważając, czy przyjęcie naszej oferty jest zgodne z etyką zawodową.

— Zaokrąglimy do tysiąca — dodałem.

— Zgoda — rzekł. — Stoi.

Kiedy Gillen stawiał kamerę na podłodze i wyciągał kasety, sięgnąłem do kieszeni po zwitek banknotów. Zostawiłem sobie tysiąc dwieście z pieniędzy Road Saints, jakie na drodze wręczył mi Teddy Vogel. Odwróciłem się do Dobbsa.

— Mogę to wliczyć w koszty?

— Naturalnie — odparł. Był radośnie uśmiechnięty.

Wymieniłem gotówkę na taśmę i podziękowałem Gillenowi.

Trójnóg schował pieniądze i szczęśliwy ruszył w stronę wind.

— To było kapitalne — oznajmił Dobbs. — Trzeba nad tym panować. Rozgłos mógłby dosłownie zniszczyć interesy rodziny — wydaje mi się, że to jeden z głównych powodów, dla których pani Windsor dziś tu nie przyszła. Nie chciała zostać rozpoznana.

— Będziemy o tym musieli porozmawiać, jeżeli postanowimy rozegrać sprawę do samego końca. Tymczasem postaram się, żeby media nie wzięły jej na cel.

— Dziękuję.

Rozległ się dzwonek komórki, grając jakiś utwór Bacha albo Beethovena, albo innego nieboszczyka, niechroniony prawem autorskim. Dobbs sięgnął do kieszeni, wydobył aparat i zerknął na wyświetlacz.

— To ona — powiedział.

— Wobec tego znikam.

Odchodząc, usłyszałem, jak Dobbs mówi:

— Mary, wszystko jest pod kontrolą. Teraz trzeba przede wszystkim go stąd wyciągnąć. Będziemy potrzebować trochę pieniędzy...

Kiedy winda jechała w górę, pomyślałem, że na pewno trafiłem na klienta i rodzinę, dla których „trochę pieniędzy” oznacza więcej, niż kiedykolwiek widziałem. Przypomniałem sobie uwagę Dobbsa na temat mojego stroju. Wciąż czułem się dotknięty.

Prawda była taka, że nie miałem w szafie ani jednego garnituru, który kosztowałby mniej niż sześćset dolarów, i w każdym czułem się dobrze i pewnie. Ciekawe, czy chciał mnie obrazić, czy miał na myśli co innego — może już na wstępie próbował zaznaczyć, że on tu jest szefem nadzorującym mnie i całą sprawę. Uznałem, że powinienem uważać na Dobbsa. Zamierzałem z nim współpracować, ale nie tak ściśle, jak by sobie życzył.

## Rozdział 6

Sznur aut zmierzający do centrum utknął w wąskim gardle przełęczy Cahuenga. Siedziałem w samochodzie, rozmawiając przez telefon i starając się nie myśleć o dyskusji na temat moich obowiązków rodzicielskich, jaką odbyłem z Maggie McPershing. Moja była żona miała rację i to właśnie najbardziej mnie bolało. Przez długi czas przedkładałem praktykę adwokacką nad praktykę rodzicielską. Obiecałem sobie to zmienić. Potrzebowałem tylko trochę czasu i pieniędzy, żeby zwolnić obroty. Miałem nadzieję, że jedno i drugie dostanę od Louisa Rouleta.

Z tylnego siedzenia lincolna najpierw zadzwoniłem do Raula Levina, mojego detektywa, żeby był gotowy na spotkanie z Rouletem. Poprosiłem go, aby wstępnie zbadał sprawę i sprawdził, ile się można dowiedzieć. Levin odszedł na wcześniejszą emeryturę z Departamentu Policji Los Angeles, gdzie wciąż miał kontakty i znajomych, którzy od czasu do czasu wyświadczali mu przysługi. Prawdopodobnie miał swoją listę bożonarodzeniową. Poradziłem, żeby nie marnował na wywiad za dużo czasu, dopóki nie będę pewien, że Roulet jest wypłacamy. Nieważne, co C.C. Dobbs mówił mi w poufnej rozmowie na korytarzu sądowym. Nie uwierzę, że mam sprawę, dopóki nie dostanę pierwszej wypłaty.



Potem sprawdziłem aktualną sytuację kilku spraw i zadzwoniłem do Lorny Taylor. Wiedziałem, że zazwyczaj dostaje pocztę tuż przed południem. Lorna poinformowała mnie jednak, że nie przyszło nic ważnego. Żadnych rachunków ani pilnej korespondencji z sądów.

— Sprawdziłaś termin Glorii Dayton? — zapytałem.

— Tak. Zdaje się, że zatrzymają ją do jutra z powodów zdrowotnych.

Jęknąłem. Od chwili aresztowania stan ma czterdzieści osiem godzin na postawienie zatrzymanej osoby przed obliczem sędziego i przedstawienie jej zarzutów. Odłożenie pierwszej rozprawy Glorii Dayton do następnego dnia z przyczyn zdrowotnych oznaczało, że prawdopodobnie była nafaszerowana prochami. To mogło tłumaczyć, dlaczego podczas aresztowania miała przy sobie kokainę. Nie widziałem jej ani z nią nie rozmawiałem co najmniej od siedmiu miesięcy. Musiała się stoczyć w szybkim tempie. Przekroczyła cienką granicę, tracąc kontrolę nad narkotykami i pozwalając im przejąć kontrolę nad sobą.

— Dowiedziałaś się, kto wnosi oskarżenie? — spytałem.

— Leslie Faire.

Znów jęknąłem.

— No to pięknie. Dobra, pojedę tam i zobaczę, co da się zrobić. Nie mam nic do roboty, dopóki się nie dowiem, co z Rouletem.

Leslie Faire była prokuratorem o niezbyt fortunnym nazwisku\*, a jej pogląd na temat rozstrzygnięcia wątpliwości na korzyść oskarżonego polegał na propozycji wydłużenia nadzoru podczas zwolnienia warunkowego.

\* *Fair* — sprawiedliwy, uczciwy.

— Mick, kiedy się wreszcie nauczysz rozumu? — Lorna miała na myśli Glorię Dayton.

— Rozumu? — powtórzyłem, choć dobrze wiedziałem, co powie.

— Ile razy masz z nią do czynienia, zawsze cię dołuje. Nigdy się od ciebie nie odczepi, a teraz jeszcze za każdym następnym razem na pewno będziesz miał dwa w jednym. Wszystko byłoby w porządku, tylko że nigdy nie dostajesz od niej ani grosza.

„Dwa w jednym” oznaczało, że od tej chwili sprawy Glorii Dayton miały być bardziej złożone i czasochłonne, ponieważ do zarzutów o prostytutkę i proponowanie nierządu dojdą jeszcze zarzuty związane z narkotykami. Lorna martwiła się, że będę miał przez to więcej pracy, ale żadnych większych pieniędzy.

— Korporacja wymaga, żeby wszyscy adwokaci w ramach praktyki świadczyli bezpłatne usługi. Wiesz, że...

— W ogóle mnie nie słuchasz, Mick — ucięła. — Dlatego właśnie nie mogliśmy być dłużej małżeństwem.

Zamknąłem oczy. Co za dzień. Udało mi się rozzłościć obie moje ekszony.

— Co ona na ciebie ma? — pytała Lorna. — Dlaczego nie bierzesz od niej nawet najniższej stawki?

— Słuchaj, Gloria nic na mnie nie ma — powiedziałem. — Moglibyśmy zmienić temat?

Nie miałem ochoty jej opowiadać, jak przed wielu laty, przeglądając zakurzone księgi rachunkowe mojego ojca, odkryłem, że miał słabość do tak zwanych kobiet nocy. Bronił wiele z nich, ale od niewielu brał pieniądze. Może po prostu kontynuowałem rodzinną tradycję.

— Proszę bardzo — odrzekła Lorna. — Jak poszło z Rouletem?

— Pytasz, czy dostałem tę robotę? Chyba tak. Val pewnie już go wyciąga z aresztu. Potem mamy się umówić na spotkanie. Prosiłem już Raula, żeby trochę powęszył.

— Dostałeś czek?

— Jeszcze nie.

— Zaczekaj, aż dostaniesz czek, Mick.

— Pracuję nad tym.

— Jak wygląda sprawa?  
— Widziałem tylko zdjęcia, ale nie za dobrze. Będę wiedział więcej, kiedy Raul coś znajdzie.

— A Roulet?

Rozumiałem, o co pyta. Jakie sprawia wrażenie jako klient? Czy przysięgli, gdyby doszło do procesu, poczują do niego sympatię, czy pogardę? Opinia ławy przysięgłych o oskarżonym często bywa ważną przyczyną zwycięstwa albo klęski.

— Sprawia wrażenie zagubionego dziecka.

— Dziewica?

— Nigdy nie oglądał pudła od środka.

— A zrobił to?

Lorna zawsze zadawała to nieistotne pytanie. Dla strategii w sprawie nie było ważne, czy oskarżony „to zrobił”, czy nie. Liczyły się tylko dowody przeciwko niemu i sposób, w jaki można je było zneutralizować. Moim zadaniem było zakopać dowody, przemalować je na szaro. Szary był barwą niskiej wiarygodności dowodów.

Dla Lorny jednak kwestia, czy oskarżony to zrobił, czy nie, była ważna.

— Kto to wie, Lorno? To niewłaściwe pytanie. Trzeba zapytać, czy jest wypłacamy. Moim zdaniem chyba tak.

— Dobrze, w takim razie daj znać, kiedy będziesz potrzebował... ach, jeszcze jedno.

— Co?

— Dzwonił Trójnóg i mówił, że jest ci winien czterysta dolarów, kiedy się następnym razem spotkacie.

— Rzeczywiście jest.

— Całkiem nieźle ci dzisiaj idzie.

— Nie narzekam.

Pozegnaliśmy się w przyjaznej atmosferze, porzucając na jakiś czas temat Glorii Dayton. Może Lornę udobruchała wiadomość o złowieniu klienta gotowego wyłożyć duże pieniądze i mniej była skłonna krytykować mój udział w sprawach, które prowadziłem za

darmo. Lecz zastanawiałem się, czy zareagowałyby podobnie, gdybym zamiast prostytutki bronił za darmo dilerów narkotyków. Lorna i ja przeżyliśmy krótkie i przemiłe małżeństwo, szybko się jednak zorientowaliśmy, że oboje wykonaliśmy zbyt pośpieszny ruch tuż po własnych rozwodach. Zakończyliśmy nasz związek, pozostając przyjaciółmi, a Lorna postanowiła w dalszym ciągu u mnie pracować, choć już nie dla mnie. Nasz układ nie podobał mi się tylko w chwilach, gdy znów zachowywała się jak żona, wygłaszając opinie na temat moich klientów i wymądrzając się, od kogo mam brać pieniądze i ile.

Czując się pewniej po dobrze rozegranej rozmowie z Lorną, zadzwoniłem do prokuratury w Van Nuys. Poprosiłem o połączenie z Margaret McPherson i zastałem ją w biurze przy lunchu.

— Chciałem cię tylko przeprosić za dzisiaj rano. Wiem, że chciałaś tę sprawę.

— Pewnie potrzebujesz jej bardziej niż ja. Facet musi nieźle płacić, skoro papier nosi za nim C.C. Dobbs.

Maggie miała na myśli papier toaletowy. Większość prokuratorów uważała, że zadanie drogich adwokatów polega głównie na podcieraniu tyłków znanych i bogatych.

— Fakt, przyda mi się — mówię o pieniądzach, nie o podcieraniu tyłka. Dawno nie trafiła mi się żadna licencja.

— Parę minut temu miałeś mniej szczęścia — szepnęła do słuchawki. — Sprawę przejął Ted Minton.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— To jeden z młodych wilczków Smithsona. Niedawno przeszedł do nas z centrum, gdzie oskarżał w prostych sprawach o posiadanie narkotyków. Zanim tu trafił, nigdy nie był na sali rozpraw.

John Smithson był ambitnym szefem prokuratury okręgowej w Van Nuys. Miał większe zdolności polityczne niż prawnicze i dzięki swoim talentom szybko wyprzedził bardziej doświadczonych prokuratorów w wyścigu o fotel szefa. Do pokonanych należała między innymi Maggie McPherson. Gdy tylko Smithson

objął urząd, zaczął sprowadzać młodych prokuratorów, którzy w przeciwieństwie do starej kadry nie czuli do niego urazy i byli lojalni z wdzięczności za daną im szansę.

— Nigdy nie był na sali sądowej? — zdziwiłem się, nie rozumiejąc, dlaczego pojedynek z żółtodziobem ma być dla mnie pechem, jak zasugerowała Maggie.

— Brał udział w kilku procesach, ale zawsze z niańką. Sprawa Rouleta ma być jego pierwszym solowym występem. Smithson uważa, że to pestka i ma wygraną w kieszeni.

Wyobraziłem sobie, że mój nowy przeciwnik siedzi w tym momencie w boksie niedaleko Maggie.

— Nie bardzo łapię, Mag. Jeżeli facet jest zielony, to niby czemu mam pecha?

— Bo wszyscy pupile Smithsona są ulepieni z tej samej gliny. Aroganckie dupki. Uważają się za wzory doskonałości, a poza tym...

Jeszcze bardziej ściszyła głos.

— Nie grają fair. O Mintonie mówi się, że to oszust. Uważaj na siebie, Haller. A przede wszystkim uważaj na niego.

— Dzięki za ostrzeżenie.

Maggie jednak jeszcze nie skończyła.

— Wielu nowych niczego nie rozumie. Dla nich to nie jest powołanie. Nie chodzi im o sprawiedliwość. Dla nich to po prostu gra. Zbierają punkty, żeby jak najwyżej awansować. Tak naprawdę wszyscy są Smithsonami juniorami.

Powołanie. Ono właśnie stało się ostateczną przyczyną końca naszego małżeństwa. W kategoriach intelektualnych Maggie potrafiła się pogodzić z faktem, że jest żoną człowieka pracującego po drugiej stronie barykady. Rzeczywistość pokazała jednak, że mieliśmy dużo szczęścia, wytrzymując ze sobą aż osiem lat. „Skarbie, jak ci minął dzień? Och, udało mi się wytargować siedem lat dla faceta, który szpikulcem do lodu zabił swojego współlokatora. A tobie? Och, wsadziłam na pięć lat faceta, który ukradł radio z samochodu, żeby mieć na prochy...”. To po prostu nie

miało prawa funkcjonować. Po czterech latach zjawiła się córka, ale nie ze swojej winy potrafiła utrzymać nasz związek jeszcze przez cztery lata.

Mimo to niczego nie żałowałem. Troszczyłem się o córkę. Była jedynym dobrem, jakie mi się w życiu przydarzyło i z jakiego mogłem być dumny. W głębi serca uważałem, że nie widywałem jej dość często — uganiając się za pracą — bo czułem się niegodny. Jej matka była bohaterką. Wsadzała do więzienia złych ludzi. Co dobrego i heroicznego mógłbym powiedzieć córce, skoro sam już dawno temu straciłem rozeznanie, o co w tym naprawdę chodzi?

— Hej, Haller, jesteś tam?

— Jestem, Mag. Co jesz?

— Sałatkę orientálną. Nic szczególnego. Gdzie jesteś?

— Jadę do centrum. Słuchaj, powiedz Hayley, że przyjdę po nią w tę sobotę. Ułożę jakiś plan. Zrobimy coś wyjątkowego.

— Mówisz serio? Nie chcę jej robić nadziei.

Wiadomość, że córka czekała na spotkanie ze mną z nadzieją, podniosła mnie na duchu. Trzeba Maggie przyznać, że rozmawiając z Hayley, nigdy mnie nie krytykowała. To nie leżało w jej naturze. Zawsze ją za to podziwiałem.

— Na pewno — obiecałem.

— Świetnie, powiem jej. Daj mi znać, kiedy przyjedziesz... albo czy ja mam ją podrzucić.

— W porządku.

Zawahałem się przez chwilę. Chciałem jeszcze z nią trochę pogadać, ale właściwie nie miałem nic więcej do powiedzenia. Pożegnałem się więc i zamknąłem telefon. Po kilku minutach wyjechaliśmy z korka. Spojrzałem przez okno, ale nie zauważyłem żadnego wypadku. Nikt nie złapał gumy, na poboczu nie stał żaden radiowóz. Nie zobaczyłem nic, co mogłoby wyjaśnić zator na drodze. Często tak było. Ruch na autostradach Los Angeles podlegał równie niezbadanym prawom jak małżeństwo. Wszystko szło płynnie, aż nagle bez widocznej przyczyny zwalniało i zamierało.

Pochodzę z rodziny adwokackiej. Prawnikami byli mój ojciec, przyrodni brat, bratanica i bratanek. Mój ojciec był znanym adwokatem w czasach, kiedy nie istniała jeszcze telewizja kablowa ani kanał Court TV. Przez prawie trzy dekady był dziekanem prawa karnego w Los Angeles. O jego klientach, od Mickeya Cohena po dziewczyny Mansona, pisano na pierwszych stronach gazet. Ja byłem nieoczekiwanym epizodem schyłku jego życia, niespodziewanym owocem drugiego małżeństwa z aktorką drugorzędnych filmów, znaną z latynoskiej urody, choć nie ze zdolności aktorskich. Stąd moja ciemnoirlandzka uroda. Kiedy się urodziłem, ojciec był już starym człowiekiem i nie zdążyłem go naprawdę poznać ani porozmawiać z nim o powołaniu. Pozostawił mi tylko nazwisko. Mickey Haller, prawnicza legenda. Wciąż otwierała niejedne drzwi.

Ale mój starszy brat — przyrodni, z pierwszego małżeństwa — mówił mi, że ojciec rozmawiał z nim o praktyce adwokackiej. Mawiał, że podjąłby się obrony samego diabła, jeśli go tylko było stać na honorarium. Jedynym znanym klientem, któremu odmówił, był Sirhan Sirhan. Ojciec wyznał bratu, że za bardzo lubił Bobby'ego Kennedy'ego, żeby bronić jego zabójcy, choć święcie wierzył, że oskarżony zasługuje na najlepszą i najbardziej zaciętą obronę, jaką można mu zapewnić.

Dorastając, przeczytałem wszystkie książki o moim ojcu i sprawach, które prowadził. Podziwiałem jego zręczność, energię i wyrafinowanie w układaniu strategii obrony. Był znakomity i czułem się dumny, że noszę jego nazwisko. Ale prawo się zmieniło. Stało się bardziej szare. Ideały zostały zdegradowane do pojęć. Pojęcia były kwestią wyboru.

Zadzwoił telefon. Zanim odebrałem, zerknąłem na wyświetlacz.

— Co jest, Val?

— Wyciągamy go. Odwieźli go już do aresztu i załatwiamy papierkowe sprawy.

— Dobbs zdecydował się na poręczenie?

— Jasne.

W jego głosie słyszałem radość.

— Jeszcze się nie upajaj. Jesteś pewien, że nie pryśnie?

— Pewności nigdy nie ma. Chcę mu założyć bransoletkę. Jak go stracę, stracę dom.

Zdałem sobie sprawę, że to, co wziąłem za radość z powodu nieoczekiwanego przyływu gotówki, jaki miała mu przynieść kaucja miliona dolarów, w istocie było nerwowym podnieceniem. Valenzuela do samego końca sprawy będzie siedział jak na szpilkach, bez względu na to, jaki miałby to być koniec. Nawet gdyby sąd nie wydał takiego postanowienia, Valenzuela zamierzał założyć Rouletowi elektroniczny lokalizator na kostkę. Nie chciał ryzykować.

— Gdzie jest Dobbs?

— Czeka w moim biurze. Jak tylko Roulet wyjdzie, odstawię go na miejsce. To nie powinno długo potrwać.

— Jest tam Maisy?

— Tak.

— Dobra, zadzwonię do biura.

Zakończyłem rozmowę i wstukałem kombinację numeru Poręczeń Majątkowych „Wolność” zapisanego w pamięci telefonu. Odebrała asystentka Valenzueli.

— Maisy, tu Mick. Możesz mi dać pana Dobbsa?

— Nie ma sprawy, Mick.

Po kilku sekundach w słuchawce odezwał się Dobbs. Wydawał się rozdrażniony, co było słyhać nawet w tonie, jakim powiedział:

— Cecil Dobbs, słucham.

— Mówi Mickey Haller. Jak leci?

— Jeżeli wziąć pod uwagę, że zaniedbuję obowiązki wobec klientów, siedząc tu i czytając czasopisma sprzed roku, to niedobrze.

— Nie nosisz komórki?

— Noszę. Ale nie o to chodzi. Moi klienci nie rozmawiają ze mną przez komórkę. Kontaktują się osobiście.



— Rozumiem. Ale mam dobrą wiadomość. Dowiedziałem się, że niedługo zwolnią naszego chłopaka.

— Naszego chłopaka?

— Pana Rouleta. Valenzuela powinien to załatwić w ciągu godziny. Właśnie idę na spotkanie z klientem, ale tak jak mówiłem, po południu będę wolny. Chcesz uczestniczyć w omówieniu sprawy z naszym wspólnym klientem czy mam się nią zająć sam?

— Nie, pani Windsor nalegała, żebym wszystko pilnie monitorował. Być może nawet sama się zjawi.

— Nie mam nic przeciwko poznaniu pani Windsor, ale jeżeli chodzi o szczegóły sprawy, będzie o nich rozmawiać tylko obrona. Do zespołu można włączyć ciebie, ale nie matkę. Zgoda?

— Rozumiem. Powiedzmy o czwartej w moim biurze. Zawiadomię Louisa.

— Będę.

— W mojej firmie pracuje świetny detektyw. Powiem mu, żeby uczestniczył w spotkaniu.

— To nie będzie konieczne, Cecil. Mam swojego człowieka, który już zaczął działać. Do zobaczenia o czwartej.

Zakończyłem rozmowę, zanim Dobbs zdążył rozpocząć dyskusję, którego detektywa powinniśmy zatrudnić. Musiałem uważać, żeby Dobbs nie zaczął kontrolować śledztwa, przygotowania i strategii sprawy. Monitorowanie swoją drogą. Ale to ja byłem teraz adwokatem Louisa Rouleta, nie on.

Gdy zadzwoniłem do Raula Levina, poinformował mnie, że właśnie jedzie na komendę policji w Van Nuys po kopię raportu z aresztowania.

— Tak po prostu? — zdziwiłem się.

— Nie, nie tak po prostu. Można powiedzieć, że ten raport kosztował mnie dwadzieścia lat pracy.

Zrozumiałem. Levin skorzystał z kontaktów, jakie zdobył dzięki długoletniemu doświadczeniu, zaufaniu i przysługom. Nic dziwnego, że jeżeli mógł, brał pięćset dolarów za dzień.

Powiedziałem mu o spotkaniu o czwartej i obiecał, że przyjdzie i przedstawi nam punkt widzenia policji na sprawę.

Lincoln zatrzymał się, kiedy zamykałem telefon. Byliśmy przed aresztem Twin Towers. Budynek nie miał jeszcze dziesięciu lat, ale jego piaskowe mury zaczynały już szpeciść szarobure osady smogu. Było to smutne i odpychające miejsce, w którym spędziłem już za dużo czasu. Otworzyłem drzwi samochodu i wysiadłem, by jeszcze raz wejść do Twin Towers.

## Rozdział 7

Korzystając ze specjalnego okienka dla adwokatów, mogłem ominąć długą kolejkę osób, które przyszły na widzenie z bliskimi uwięzionymi w jednej z wież. Gdy poinformowałem dyżurnego, do kogo przyszedłem, funkcjonariusz wstukał nazwisko do komputera, nie wspominając ani słowem, że z Glorią Dayton nie można się zobaczyć ze względu na jej stan zdrowia. Wydrukował przepustkę dla odwiedzających i wsunął do plastikowej plakietki, którą kazał mi przypiąć i nosić na terenie aresztu. Następnie polecił mi odejść od okienka i czekać na eskortę.

— To może potrwać parę minut — dodał.

Z doświadczenia wiedziałem, że w budynku aresztu komórka nie odbiera sygnału, a gdybym wyszedł na zewnątrz zadzwonić, w tym czasie mogłaby nadejść eskorta i byłbym zmuszony przechodzić całą procedurę od początku. Dlatego zostałem w korytarzu, obserwując twarze tłoczących się ludzi. Na ogół były czarne i brązowe. Z większości można było wyczytać, że to dla nich rutynowa wizyta. Prawdopodobnie o wiele lepiej ode mnie znali się na panujących tu zasadach.

Po dwudziestu minutach zjawiła się potężna kobieta w mundurze zastępcy szeryfa i zabrała mnie z poczekalni. Domyślałem się, że kiedy przyjmowali ją do biura szeryfa, musiała mieć znacznie

mniejsze rozmiary. Dziś dźwigała co najmniej czterdzieści pięć kilo nadwagi, które wyraźnie utrudniały jej chodzenie. Wiedziałem też jednak, że kiedy już ktoś trafił do służby, trudno go było usunąć. Gdyby ktoś próbował uciec z aresztu, wystarczyłoby, żeby eskortująca mnie funkcjonariuszka oparła się o drzwi, a nikt nie mógłby ich otworzyć.

— Przepraszam, że to tak długo trwało — powiedziała, gdy czekaliśmy między dwojgiem stalowych drzwi prowadzących do wieży dla kobiet. — Musiałam ją znaleźć i sprawdzić, czy jeszcze żyje.

Gdy dała znak do kamery nad drzwiami, że wszystko w porządku, szcęknął zwalniany zamek. Policjantka pchnęła furtę.

— Była w skrzydle szpitalnym. Musieliśmy ją doprowadzić do porządku — wyjaśniła.

— Doprowadzić do porządku?

Nigdy nie słyszałem, żeby areszt prowadził terapię narkomanów, „doprowadzając ich do porządku”.

— Tak, jest trochę pokiereszowana — odrzekła funkcjonariuszka. — Była mała przepychanka. Zresztą sama panu powie.

Zrezygnowałem z dalszych pytań. Właściwie poczułem ulgę, że jej kłopoty ze zdrowiem nie były spowodowane — przynajmniej nie bezpośrednio — zażyciem czy uzależnieniem od narkotyków.

Zastępczyni szeryfa zaprowadziła mnie do sali dla obrońców, w której spotykałem się już z wieloma klientami. Ogromną większość moich klientów stanowili mężczyźni i choć nigdy nikogo nie dyskryminowałem, tak naprawdę nie cierpiałem reprezentować kobiet, które siedziały w areszcie. I prostytutki, i morderczynie — a broniłem wszystkich — za kratkami wyglądają żałośnie. Odkryłem, że prawie za każdym przestępstwem popełnionym przez kobietę stoi mężczyzna. Mężczyzna, który się nad nią znęcał, który ją opuścił, który wyrządził jej krzywdę. Nie twierdzę, że kobiety nie są odpowiedzialne za swoje czyny ani że niektóre nie zasługują na wymierzoną karę. Są wśród nich drapieżcy, okrucieństwem

dorównujący samcom. Mimo to kobiety, które widziałem w areszcie, wydawały się zupełnie inne od mężczyzn siedzących w drugiej wieży. Mężczyznom pozostaje spryt i siła. Kobieta, gdy traci wolność, traci wszystko.

W sali widzeń znajdował się rząd kabin, po jednej stronie było miejsce dla adwokata, a naprzeciw niego siadał klient oddzielony od obrońcy czterdziestopięciocentymetrową ścianką z pleksiglasu. W oszklonej kabinie na końcu sali dyżurował zastępca szeryfa, który pilnie obserwował przebieg widzenia, choć podobno nie słuchał rozmowy. Jeśli klientowi trzeba było przekazać jakiś dokument, adwokat musiał go pokazać funkcjonariuszowi do akceptacji.

Policjantka wprowadziła mnie do kabiny, po czym wyszła. Dziesięć minut później ukazała się po drugiej stronie pleksiglasu w towarzystwie Glorii Dayton. Od razu spostrzegłem opuchliznę na lewym oku mojej klientki i pojedynczy szew na małym rozcięciu nad nasadą nosa. Gloria Dayton miała kruczoczarne włosy i oliwkową cerę. Kiedyś była piękna. Kiedy bronilem jej pierwszy raz, siedem czy osiem lat temu, była piękna. Na widok jej urody człowiek nie mógł uwierzyć, że ją sprzedaje, że postanowiła się sprzedawać obcym, uznając to za najlepszy, a może jedyny sposób na życie. Teraz rysy jej twarzy nabrały twardości. Skóra wydawała się zbyt napięta. Zajmujący się Glorią chirurdzy nie należeli do najlepszych, a zresztą niewiele mogli zrobić z oczami, które zbyt wiele widziały.

— Mickey Mantle — powitała mnie. — Znowu będziesz grał w mojej drużynie?

Powiedziała to głosem małej dziewczynki, który jak przypuszczałem, uwielbiali jej stali klienci. W moich uszach zabrzmiał dziwnie, zwłaszcza że należał do kobiety o mocno ściągniętych ustach i oczach, w których było tyle życia co w dwóch czarnych kamieniach.

Gloria zawsze nazywała mnie Mickey Mantle, chociaż kiedy się urodziła, wielki baseballista zdążył już zakończyć karierę, a ona prawdopodobnie niewiele o nim wiedziała, tak jak i o sporcie,

który uprawiał. Dla niej to było po prostu znane nazwisko. Przypuszczam, że w innym wypadku nazywałaby mnie Mickey Mouse, czym raczej nie byłbym zachwycony.

— Spróbuję, Glorio — odparłem. — Co się stało z twoją twarzą? Kto ci to zrobił?

Lekceważąco machnęła ręką.

— Małe nieporozumienie z dziewczynami pod celą.

— O co poszło?

— Takie tam dziewczynskie sprawy.

— Ćpasz tutaj?

Posłała mi spojrzenie pełne oburzenia, a potem próbowała się nadąsać.

— Nie, nie ćpam.

Przyjrzałem się jej uważnie. Chyba mówiła prawdę. Może rzeczywiście nie ćpała i nie to było powodem bójk.

— Nie chcę tu dłużej zostać, Mickey — powiedziała swoim normalnym głosem.

— Nie dziwię ci się. Sam źle się tu czuję i zaraz wychodzę.

Natychmiast pożałowałem tego zdania, które przypomniało Glorii o jej sytuacji. Chyba jednak nie zwróciła na nie uwagi.

— Myślisz, że udałoby się załatwić ten przedprocesowy coś tam, żebyś mogła stanąć na nogi?

Ciekawe, pomyślałem, narkomani używają określenia „stanąć na nogi”, mówiąc i o odwyku, i o braniu.

— Kłopot w tym, że już ostatnim razem zgodziliśmy się na przedprocesowy program interwencyjny, pamiętasz? I dobrze wiadomo, że nic z tego nie wyszło. Dlatego nie wiem, jak tym razem będzie. Liczba miejsc jest ograniczona, poza tym sędziowie i prokuratorzy nie są skłonni wysyłać tam drugi raz kogoś, kto nie potrafi wykorzystać szansy.

— O co ci chodzi? — zaprotestowała. — Przecież wykorzystałam. Chodziłam od początku do końca.

— Owszem. I bardzo dobrze. Ale po zakończeniu wróciłaś do tego, co robiłaś wcześniej, i dlatego spotykamy się tu, a nie gdzie indziej. Sąd nie nazwałby tego sukcesem. Będę z tobą

szczerzy, Glorio. Nie sędzę, żeby tym razem udało się załatwić program. Musisz się przygotować, że potraktują cię ostrzej.

Spuściła oczy.

— Nie dam rady — powiedziała słabym głosem.

— Posłuchaj, w więzieniach też są programy terapeutyczne. Odrują cię, a jak wyjdiesz, będziesz mogła spróbować zacząć jeszcze raz.

Pokręciła głową; wyglądała na zupełnie zagubioną.

— To trwało już za długo i najwyższy czas przestać — mówiłem dalej. — Na twoim miejscu pomyślałbym o wyjeździe. Mam na myśli wyjazd z Los Angeles. Powinnaś gdzieś pojechać i zacząć wszystko od początku.

Spojrzała na mnie ze złością.

— I co miałabym robić? Popatrz na mnie. Do czego ja się nadaję? Miałabym wyjść za mąż, rodzić dzieci i sadzić kwiatki?

Na to nie miałem dobrej odpowiedzi, ona też nie.

— Pogadamy o tym we właściwym czasie. Na razie trzeba się zająć twoją sprawą. Opowiedz mi, co się stało.

— To co zawsze. Sprawdziłam gościa i wszystko się zgadzało. Wydawał się w porządku. Ale okazało się, że to glina, i tyle.

— Poszłaś do niego?

Przytaknęła.

— Do Mondriana. Miał apartament... to też mnie zmyliło. Gliny rzadko biorą apartamenty. Budżet im nie pozwala.

— Nie mówiłem ci, że to głupota nosić kokę, kiedy idziesz pracować? A jeżeli facet prosi, żebyś przyniosła kokę, od razu wiadomo, że to gliniarz.

— Wiem i wcale mnie nie prosił. Zapomniałam, że ją mam. Dostałam od gościa, u którego byłam przedtem. Co miałam z nią zrobić, zostawić w samochodzie, żeby obsługa parkingu się poczęstowała?

— Od kogo ją dostałaś?

— Od faceta z Travelodge na Santa Monica. Byłam u niego i sam mi zaproponował, rozumiesz, zamiast forsy. Jak wychodziłam,

odśluchałam wiadomości i zobaczyłam, że dzwonił do mnie ten gość z Mondriana. No to oddzwoniłam, umówiłam się i od razu do niego pojechałam. Zapomniałam, że mam towar w torebce.

Kiwając głową, nachyliłem się bliżej. Zaczynałem dostrzegać promyczek nadziei, światełko w tunelu.

— Kim był ten facet w Travelodge?

— Nie wiem, widział moje ogłoszenie na stronie.

Gloria umawiała się z klientami za pośrednictwem strony internetowej, na której były umieszczone zdjęcia, numery telefonów i adresy e-mailowe pańienek.

— Mówił ci, skąd jest?

— Nie. Musiał być z Meksyku, Kuby czy coś takiego. Pocił się, było widać, że bierze prochy.

— Kiedy ci dawał kokę, zauważyłaś, czy miał więcej?

— Tak, trochę miał. Myślałam, że znowu zadzwoni... ale chyba spodziewał się kogoś innego.

Gdy ostatni raz oglądałem jej ogłoszenie na LA-Darlings.com, chcąc sprawdzić, czy jeszcze działa w branży, zobaczyłem zdjęcia co najmniej sprzed pięciu lat, na których Gloria wyglądała dziesięć lat młodziej. Przypuszczałem, że jej klienci doznawali pewnego rozczarowania po otwarciu drzwi.

— Ile było tego towaru?

— Nie wiem. Wiedziałaś tylko, że ma więcej, bo gdyby to było wszystko, na pewno by mi nie dał.

Dobry argument. Światełko było coraz wyraźniejsze.

— Sprawdziłaś go?

— Jasne.

— Co oglądałaś, prawo jazdy?

— Nie, paszport. Powiedział, że nie ma prawa jazdy.

— Jak się nazywał?

— Hector jakiś tam.

— Gloria, wysył trochę pamięć. Hector i jak dalej? Spróbuj sobie...

— Hector jakiś tam Moya. Miał drugie imię. Ale pamiętam



„Moya”, bo kiedy wyciągnął kokę, powiedziałam: „Hector, ta działka będzie moja”.

— W porządku.

— Myślisz, że to mi może pomóc?

— Być może, zależy, kim jest ten facet. Jeżeli uda się coś za niego wytargować.

— Chcę stąd wyjść.

— Posłuchaj, Glorio. Pójdę do prokuratoroki, dowiem się, co o tym myśli, i zobaczę, co da się zrobić. Wyznaczyli dwadzieścia pięć tysięcy kaucji.

— Co?!

— Jest wyższa niż zwykle z powodu narkotyków. Pewnie nie masz dwudziestu pięciu kawałków na kaucję, co?

Potrząsnęła głową. Zobaczyłem, jak ściągnęły się mięśnie jej twarzy. Domyślałem się, co zaraz nastąpi.

— Mickey, mógłbyś za mnie wyłożyć? Obiecuję, że...

— Nie mogę, Glorio. Taka jest zasada i gdybym ją złamał, narobiłbym sobie kłopotów. Będziesz tu musiała zostać do jutra, a rano staniesz przed sądem.

— Nie — powiedziała i zabrzmiało to bardziej jak jęk niż słowo.

— Wiem, że będzie ciężko, ale musisz wytrzymać. I rano masz być czysta, bo inaczej w ogóle nie spróbuję obniżyć kaucji ani cię stąd wyciągnąć. Dlatego nie waż się tknąć tych świństw, którymi tu handlują. Zrozumiałaś?

Uniosła ręce nad głowę, jak gdyby chciała się zasłonić przed spadającym gruzem. Bezsilnie zacisnęła dłonie w pięści. Czekala ją długa noc.

— Musisz mnie jutro wyciągnąć.

— Zrobię, co będę mógł.

Dałem znak pilnującej nas z budki policjantce. Byłem gotów do wyjścia.

— Jeszcze jedno — powiedziałem. — Pamiętasz, w którym pokoju mieszkał ten facet w Travelodge?

Zastanowiła się przez moment.

— Tak, łatwo było zapamiętać. Trzysta trzydzieści trzy.

— Dobra, dzięki. Zobaczę, co się da zrobić.

Kiedy wstałem, Gloria nie podniosła się z miejsca. Po chwili zjawiała się funkcjonariuszka i poinformowała mnie, że będę musiał poczekać, aż odeskortuje Glorię do celi. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła druga. Nic jeszcze dziś nie jadłem i zaczynała mnie boleć głowa. Miałem tylko dwie godziny, żeby pojechać do prokuratury i porozmawiać z Leslie Faire, a potem do Century City na spotkanie z Rouletem i Dobbsem.

— Nie może mnie odprowadzić ktoś inny? — spytałem zirytowany. — Muszę jechać do sądu.

— Przykro mi, ale tak już u nas jest.

— No to proszę się pospieszyć.

— Zawsze się staram.

Piętnaście minut później zdałem sobie sprawę, że przez moje narzekania policjantka kazała mi czekać znacznie dłużej, niż gdybym siedział cicho. Powinienem być mądrzejszy, a tak znalazłem się w identycznej sytuacji z klientem, który poskarżył się, że dostał zimną zupę, a po chwili z kuchni przyniesiono mu gorącą, z pikantnym dodatkiem śliny.

W drodze do siedziby sądów karnych zadzwoniłem do Raula Levina. Detektyw był u siebie w Glendale i przeglądał raporty policyjne z zatrzymania Rouleta. Poprosiłem go, żeby odłożył to na później i prześwietlił mężczyznę z pokoju 333 w Travelodge na Santa Monica. Dodałem, że potrzebuję tych informacji na wczoraj. Wiedziałem, że Raul ma swoje źródła i sposoby, aby sprawdzić Hectora Moyę. Nie chciałem jednak wiedzieć jakie. Interesowało mnie tylko to, co zdoła ustalić.

Kiedy Earl zaparkował lincolna przed gmachem sądu, poleciłem mu, żeby w czasie, gdy będę w środku, skoczył do Phillipe's i kupił nam kanapki z wołowiną. Swoją zamierzałem zjeść w drodze do Century City. Podałem mu dwudziestodolarowy banknot i wysiadłem.

Czekając na windę w zatłoczonym jak zawsze holu, wyciągnąłem z teczki tylenol i połknąłem pastylkę w nadziei, że pomoże

złagodzić nadciągającą migrenę, wywołaną głodem. Podróż na dziewiąte piętro trwała dziesięć minut, a kolejne piętnaście musiałem odczekać, aż Leslie Faire łaskawie zgodziła się udzielić mi audiencji. Nie miałem jej jednak tego za złe, ponieważ zanim wszedłem do gabinetu, zadzwonił Raul Levin. Gdyby Faire przyjęła mnie od razu, nie miałbym w zanadrzu dodatkowej amunicji.

Levin poinformował mnie, że mężczyzna z pokoju 333 w Travelodge zameldował się jako Gilberto Garcia. Motel nie wymagał od niego okazania dokumentów, ponieważ zapłacił gotówką za tydzień z góry plus pięćdziesiąt dolarów zaliczki na poczet rozmów telefonicznych. Levin sprawdził także nazwisko, jakie mu podałem, i znalazł niejakiego Hectora Arrande Moyę, poszukiwanego listem gończym Kolumbijczyka, który uciekł z San Diego, gdy federalna wielka ława przysięgłych wydała decyzję o oskarżeniu go o handel narkotykami. Zyskałem argument, który zamierzałem wykorzystać w rozmowie z prokuratorem.

Faire urzędowała w gabinecie z trzema innymi prokuratorami. Każdy miał biurko w rogu pomieszczenia. Kiedy wszedłem, dwóch z nich nie było — prawdopodobnie wyszli na rozprawy — ale przy biurku naprzeciw Faire siedział mężczyzna, którego nie znałem. Musiałem przystać na to, że będzie wszystko słyszał. Nie cierpię takich sytuacji, zauważyłem bowiem, że prokurator potrafi popisywać się przed kolegami, starając się grać sprytnego i nieugiętego, czasem kosztem moich klientów.

Wziąłem jedno z wolnych krzesel, postawiłem przed biurkiem Faire i usiadłem. Pomiąłem uprzejmości, bo nie miałem nic uprzejmego do powiedzenia, i od razu przystąpiłem do rzeczy, ponieważ byłem głodny i nie miałem czasu.

— Dzisiaj rano oskarżyłaś Glorię Dayton — zacząłem. — To moja klientka. Chcę się dowiedzieć, co możemy zrobić w jej sprawie.

— Może się przyznać i dostanie trzy lata z warunkiem po roku we Frontera.

Powiedziała to rzeczowym tonem, z wyraźnie złośliwym uśmiechem.

— Myślałem o interwencji przedprocesowej.

— A ja myślałam, że już tego próbowała i nie za bardzo jej smakowało. Nie ma mowy.

— Ile miała przy sobie tej koki? Dwa gramy?

— Wszystko jedno ile, to zawsze nielegalne. Gloria Dayton miała niejedną okazję, żeby się zresocjalizować i uniknąć więzienia. Szanse się jednak skończyły.

Prokurator pochyliła się nad biurkiem, otworzyła teczkę i spojrzała na pierwszą stronę akt.

— W ciągu ostatnich pięciu lat aresztowana dziewięć razy — powiedziała. — To jej trzeci zarzut posiadania narkotyków, a w areszcie nigdy nie siedziała dłużej niż trzy dni. Możesz zapomnieć o programie. Dziewczyna musi się czegoś nauczyć i wreszcie przyszedł na to czas. Nie ma dyskusji. Jeżeli się przyzna, dam jej trzy z warunkiem po roku. Jeżeli nie, będzie musiała zaryzykować proces i wyrok sądu. Zamierzam wnioskować o maksymalną karę.

Skinąłem głową. Usłyszałem od Faire dokładnie to, czego się spodziewałem. Wyrok trzech lat z warunkiem po roku skończyłby się zapewne dziewięciomiesięcznym pobytem w pudle. Wiedziałem, że Gloria Dayton mogłaby to wytrzymać i prawdopodobnie powinna. Ale miałem jeszcze jedną kartę w rękawie.

— A gdyby miała coś na wymianę?

Faire parsknęła krótkim śmiechem, jakby to miał być żart.

— Na przykład?

— Numer pokoju hotelowego, w którym działa poważny dealer.

— Proszę jaśniej.

Rzeczywiście wyraziłem się dość tajemniczo, ale ton jej głosu sugerował zainteresowanie. Każdy prokurator lubi wymianę.

— Zadzwoń do chłopców z narkotykowego. Poproś, żeby

wrzucili do komputera nazwisko Hector Arrande Moya. Kolumbijczyk. Zaczekam.

Zawahała się. Wyraźnie nie miała ochoty być manipulowana przez adwokata, zwłaszcza w obecności innego prokuratora. Ale połknęła już haczyk.

Ponownie odwróciła się do biurka i zadzwoniła. Usłyszałem tylko, jak prosi o informacje o Moi. Czekwała przez chwilę, a potem słuchała odpowiedzi. Podziękowała rozmówcy i odłożyła słuchawkę. Wolno odwróciła się w moją stronę.

— W porządku — powiedziała. — Czego chce Dayton?

Na to miałem gotową odpowiedź.

— Miejsca w przedprocesowym programie interwencyjnym. I odstąpienia od zarzutów po jego udanym ukończeniu. Nie będzie zeznawać przeciw temu człowiekowi i jej nazwisko nie pojawi się w dokumentach. Po prostu poda nazwę hotelu i numer pokoju, a wy zajmiecie się resztą.

— Trzeba będzie przygotować oskarżenie. Dayton musi zeznawać. Zakładam, że te dwa gramy pochodziły od tego faceta. Będzie nam musiała o tym powiedzieć.

— Nie, nie będzie. Osoba, z którą rozmawiałaś, na pewno mówiła, że wystawili list gończy. To wystarczy jako podstawa aresztowania.

Faire zastanawiała się przez dłuższą chwilę, poruszając szczęką, jak gdyby próbowała smaku naszego układu, nie mogąc się zdecydować, czy chce zjeść więcej. Znałem powód jej niepewności. Układ polegał na wymianie, ale jej skutkiem miała być sprawa federalna. Oznaczało to, że mogą przymknąć faceta, ale potem przejmą go federalni. Leslie Faire nie okryje się prokuratorowską chwałą — chyba że pewnego dnia zamierzała zająć fotel w prokuraturze federalnej.

— Federalni cię za to ozłocą — dodałem, próbując poruszyć jej sumienie. — Ten bandyta pewnie niedługo się wymelduje i straciecie szansę.

Spojrzała na mnie jak na robaka.

— Nie próbuj mnie podejść, Haller.

— Przepraszam.

Znów się zamyśliła. Spróbowałem jeszcze raz.

— Kiedy już będziecie wiedzieli, gdzie jest, zawsze możecie spróbować zakupu kontrolowanego.

— Mógłbyś się z łaski swojej uciszyć? Trudno mi się skupić.

Uniosłem ręce w obronnym geście i zamknąłem się.

— No dobrze — oznajmiła wreszcie. — Pogadam z szefem. Daj mi swój numer, odezwę się później. Ale już teraz mogę ci powiedzieć, że jeżeli na to pójdziemy, Dayton będzie musiała przejść terapię zamkniętą. Na przykład w okręgowym-USC.

Nie będziemy dla niej marnować stałego miejsca.

Po chwili namysłu skinąłem głową. Szpital okręgowy-USC miał skrzydło więzienne, gdzie leczono chorych, rannych i uzależnionych więźniów. Faire proponowała mi program, dzięki któremu Gloria Dayton mogła się pozbyć nałogu, a potem wyjść na wolność. Nie będą już na niej ciążyć żadne zarzuty, nie będzie jej grozić odsiadka.

— Zgoda — odrzekłem.

Spojrzałem na zegarek. Musiałem już iść.

— Nasza oferta pozostaje aktualna do jutrzejszego posiedzenia — dodałem. — Potem dzwonię do DEA i pytam, czy chcą się tym zająć bezpośrednio. Wtedy tracisz sprawę.

Posłała mi pełne złości spojrzenie. Wiedziała, że jeśli wejdę w układ z federalnymi, będzie po niej. W bezpośrednim starciu federalni zawsze biorą górę nad stanem. Wstałem, kładąc na biurku wizytówkę.

— Nie próbuj mnie brać pod włos, Haller — ostrzegła. — Jeżeli to zahaczy o ciebie, oberwie twoja klientka.

Nie odpowiedziałem. Odstawiłem pożyczone krzesło z powrotem do biurka. W jej następnym zdaniu nie usłyszałem już groźby.

— W każdym razie na pewno załatwimy to tak, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Obejrzałem się, stojąc przy drzwiach.

— Wszyscy oprócz Hectora Moi — zauważyłem.

## Rozdział 8

Biuro prawne Dobbsa i Delgada znajdowało się na dwudziestym dziewiątym piętrze jednej z bliźniaczych wież, których sylwetki stanowiły charakterystyczny widok Century City. Przybyłem na miejsce punktualnie, ale wszyscy już siedzieli w sali konferencyjnej za długim lśniącym stołem. Przeszklona ściana wychodziła na zachód Santa Monica i Pacyfik z wyspami na horyzoncie. W przejrzystym powietrzu widziałem zarys Cataliny i Anacapy na samym skraju świata. Zachodzące słońce świeciło prosto w oczy, dlatego okno zasłaniała folia przeciwsłoneczna. Wyglądało to tak, jakby pokój założył ciemne okulary.

Okulary miał mój klient. Louis Roulet, w ray-banach w czarnych oprawkach, zajmował miejsce u szczytu stołu. Nie miał już na sobie szarego więziennego drelichu, lecz ciemnobrązowy garnitur i jasną jedwabną koszulkę. Wyglądał jak opanowany i pewny siebie młody rekin rynku nieruchomości, w niczym nie przypominając zalęknionego chłopca, którego widziałem w areszcie sądowym.

Po lewej ręce Rouleta siedział Cecil Dobbs, a obok niego zadbaną starsza kobieta, elegancko uczesana i obwieszona biżuterią — jak przypuszczałem, matka Rouleta. Przypuszczałem także, że Dobbs nie powiedział jej, iż nie powinna brać udziału w spotkaniu.

Krzeseł po prawej ręce Rouleta było puste i czekało na mnie. Miejsce obok niego zajmował mój detektyw, Raul Levin, przed którym na stole leżała zamknięta teczka.

Dobbs przedstawił mi Mary Alice Windsor. Kobieta mocno uścisnęła mi dłoń. Kiedy usiadłem, Dobbs wyjaśnił, że pani Windsor będzie płacić za obronę syna i zgodziła się na zaproponowane przeze mnie warunki. Następnie podsunął mi kopertę. Zajrzawszy do środka, ujrzałem czek na sześćdziesiąt tysięcy dolarów wystawiony na moje nazwisko. Była to zaliczka, o którą prosiłem, ale spodziewałem się dostać na początek tylko połowę tej kwoty. Prowadziłem już sprawy, za które łączne honorarium było wyższe, lecz była to największa suma, jaką kiedykolwiek otrzymałem w jednym czeku.

Czek wystawiono na konto Mary Alice Windsor w bardzo solidnym banku — First National w Beverly Hills. Zamknąłem kopertę i przesunąłem po blacie z powrotem do Dobbsa.

— Zapłacić musi Louis — powiedziałem, patrząc na panią Windsor. — Nie interesuje mnie, czy pani da mu pieniądze, a on przekaze mnie. Czek powinien podpisać Louis. Pracuję dla niego i to musi być jasne od początku.

Odbiegało to od moich zwyczajów — nawet dziś rano przyjąłem pieniądze od osoby trzeciej. Była to jednak kwestia ustalenia nadzoru nad obroną. Wystarczył rzut oka na Mary Alice Windsor i C.C. Dobbsa siedzących po drugiej stronie stołu, aby się zorientować, że muszę im wyraźnie dać do zrozumienia, kto prowadzi sprawę i kto jest odpowiedzialny za wygraną lub przegraną.

Spostrzegłem z zaskoczeniem, jak rysy Mary Windsor tężeją. Matka Rouleta przypominała mi w tej chwili stary zegar z płaską, kwadratową tarczą zamiast twarzy.

— Mamo — rzekł szybko Roulet, chcąc zażegnać wybuch, zanim jeszcze nastąpił. — Wszystko w porządku. Wypiszę czek. Powiniennem sobie poradzić, dopóki nie dostanę od ciebie pieniędzy.

Spojrzała na mnie, potem na syna i znowu na mnie.



— Doskonale — powiedziała.

— Pani Windsor — zacząłem. — To bardzo ważne, że wspiera pani syna. Nie mam na myśli tylko strony finansowej. Jeżeli nie uda się nam obalić zarzutów i zdecydujemy się na proces, będzie bardzo ważne, aby okazała mu pani wsparcie publicznie.

— Proszę nie mówić głupstw — odparła. — Bez względu na to, co się stanie, zawsze będę przy nim stała. Trzeba go uwolnić od tych nedorzecznych zarzutów, a ta kobieta... nie dostanie od nas ani grosza.

— Dziękuję, mam — powiedział Roulet.

— Ja też pani dziękuję — ciągnąłem. — Obiecuję, że będę panią informować, zapewne za pośrednictwem pana Dobbsa, gdzie i kiedy pani obecność będzie konieczna. Ważne, że syn może liczyć na pani pomoc.

Zamilkłem. Nie musiałem długo czekać, by zrozumiała, że została odprawiona.

— Czyli moja obecność tu i teraz nie jest konieczna, czy tak?

— Owszem. Musimy omówić sprawę, a najlepiej dla Louisa będzie, jeśli zrobi to tylko z zespołem obrony. Poufność między adwokatem a klientem nie obejmuje nikogo innego. Być może będzie pani zmuszona zeznawać przeciw synowi.

— Jeżeli wyjdę, kto odwiezie Louisa do domu?

— Mam kierowcę. Odwiozę go.

Pani Windsor spojrzała na Dobbsa w nadziei, że wykorzysta swoją pozycję, aby się sprzeciwić. Dobbs uśmiechnął się i wstał, by odsunąć jej krzesło. Dając za wygraną, podniosła się z miejsca.

— Doskonale — powiedziała. — Louis, do zobaczenia na kolacji.

Dobbs odprowadził ją na korytarz, gdzie jeszcze przez chwilę rozmawiali. Nie słyszałem, o czym mówili. Następnie pani Windsor wyszła, a Dobbs wrócił do sali konferencyjnej, zamykając za sobą drzwi.

Wyjaśniłem Rouletowi wstępne kroki postępowania, informując

go, że w ciągu dwóch tygodni zostanie mu przedstawiony akt oskarżenia, do którego będzie się musiał ustosunkować. Wówczas będzie także miał okazję zawiadomić oskarżenie, że nie skorzysta z odstąpienia od prawa do szybkiego procesu.

— To pierwsza decyzja, jaką musimy podjąć — powiedziałem. — Czy chcesz zwlekać, czy od razu przystąpić do rzeczy i przycisnąć oskarżenie.

— Jaki mamy wybór? — spytał Dobbs.

Spojrzałem na niego przelotnie, potem znów skupiłem uwagę na Roulecie.

— Będę szczery — odrzekłem. — Kiedy mam klienta, który nigdy nie był aresztowany, jestem skłonny doradzać zwłokę. W grę wchodzi jego wolność — najlepiej wykorzystać jej jak najwięcej, zanim zapadnie wyrok.

— Mówisz o winnym człowieku — zauważył Roulet.

— Z drugiej strony — ciągnąłem — jeżeli oskarżenie ma słabe dowody, może wykorzystać zwłokę, żeby dobrać sobie mocniejsze karty. W tym momencie czas jest naszą jedyną bronią. Jeśli nie odstąpimy od prawa do szybkiego procesu, prokurator znajdzie się pod presją.

— Nie zrobiłem tego, co mi zarzucają — oznajmił Roulet. — Nie mam ochoty tracić czasu. Chcę jak najszybciej wyjaśnić te brednie.

— Jeżeli zdecydujemy się na szybki proces, wtedy teoretycznie muszą wyznaczyć go w ciągu sześćdziesięciu dni od odczytania aktu oskarżenia. W rzeczywistości jednak najpierw dochodzi do przesłuchania wstępnego, a termin procesu się przeciąga. Podczas wstępnego sędzia słucha zeznań i decyduje, czy dowody dają podstawę do wszczęcia procesu. To czysta formalność. Sędzia odroczy proces, znowu przedstawią ci akt oskarżenia i dopiero od tej chwili zaczyna się odliczanie sześćdziesięciu dni.

— Nie wierzę — powiedział Roulet. — To potrwa wieki.

— Zawsze możemy odstąpić od przesłuchania wstępnego. Wtedy zmusimy oskarżenie do odsłonięcia kart. Sprawę przejął

młody prokurator. Nie ma doświadczenia w poważnych przestępstwach. Być może to najlepsze wyjście.

— Chwileczkę — wtrącił Dobbs. — Czy przesłuchanie wstępne to nie jest dobry sposób, żeby poznać dowody oskarżenia?

— Niekoniecznie — odparłem. — W każdym razie już nie. Jakiś czas temu legislatura próbowała usprawnić postępowanie i zmieniła wstępne w formalność, łagodząc zasady niedopuszczalności dowodów ze słyszenia. Teraz zwykle zeznaje tylko policjant prowadzący śledztwo. Obrona nawet nie ma okazji zobaczyć innych świadków. Moim zdaniem najlepsza strategia to zmuszenie prokuratora, żeby pokazał, co ma w rękę, albo spasował. I sześćdziesiąt dni będzie się liczyło od pierwszego odczytania oskarżenia.

— Podoba mi się ten pomysł — rzekł Roulet. — Chcę to mieć jak najszybciej za sobą.

Skinąłem głową. Powiedział to takim tonem, jak gdyby uniewinnienie było już przesądzone.

— Niekoniecznie musi nawet dojść do procesu — odezwał się Dobbs. — Jeżeli zarzuty okażą się wątpliwe...

— Prokurator na pewno od nich nie odstąpi — przerwałem mu. — Zazwyczaj jest tak, że policja przesadza z zarzutami, a prokurator trochę je łagodzi. Tu było inaczej. Prokuratura postawiła poważniejszy zarzut. Płyną stąd dwa wnioski. Pierwszy jest taki, że w swoim przekonaniu mają mocne dowody, a drugi, że podwyższyli stawkę, żeby mieć lepszą pozycję wyjściową, kiedy zaczniemy negocjować.

— Mówisz o ugodzie? — zapytał Roulet.

— Tak, o porozumieniu stron.

— Daj spokój, nie ma mowy o żadnej ugodzie. Nie pójdę do więzienia za coś, czego nie zrobiłem.

— Nie musisz wcale iść do więzienia. Nie jesteś noto...

— Nie o to chodzi, czy będę wolny, czy nie. Nie mam zamiaru przyznawać się do czegoś, czego nie zrobiłem. Jeżeli masz na ten temat inne zdanie, to od razu będziemy się musieli pożegnać.

Przyjrzałem mu się uważnie. Prawie każdy mój klient w którejś fazie sprawy zarzekał się, że jest niewinny. Zwłaszcza gdy było to nasze pierwsze spotkanie. Ale Roulet wygłosił to otwarcie i z zapalem, jakiego dawno nie widziałem. Kłamcy często się jękają. Odwracają wzrok. Roulet niewzruszenie patrzył mi prosto w oczy.

— Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę odpowiedzialność cywilną — dodał Dobbs. — Przyznanie się do winy pozwoli tej kobiecie...

— Świetnie to wszystko rozumiem — znów mu przerwałem. — Wydaje mi się jednak, że uprzędzamy fakty. Chciałem tylko przedstawić Louisowi w zarysie to, co go czeka. Co najmniej przez dwa tygodnie nie musimy wykonywać żadnego ruchu ani podejmować ostatecznych decyzji. Musimy po prostu wiedzieć przy odczytaniu oskarżenia, jak chcemy to rozegrać.

— Louis przez rok studiował prawo na UCLA — powiedział Dobbs. — Sądzę, że ma pewne rozeznanie w sytuacji.

Roulet skinął głową.

— W porządku — odrzekłem. — Wobec tego do rzeczy. Louis, zacznijmy od ciebie. Twoja matka wspomniała, że czeka na ciebie z kolacją. Mieszkasz w domu? To znaczy, u niej?

— Mieszkam w domku gościnnym. Matka zajmuje główny dom.

— Ktoś jeszcze z wami mieszka?

— Służąca. W głównym domu.

— Żadnego rodzeństwa, przyjaciół, przyjaciółek?

— Nikt więcej.

— I pracujesz w firmie matki?

— Właściwie prowadzę firmę. Matka rzadko ją odwiedza.

— Gdzie byłeś w sobotę wieczorem?

— W sobo... czyli wczoraj, tak?

— Nie, pytam o sobotę. Zaczynij od soboty.

— W sobotę nie robiłem nic szczególnego. Siedziałem w domu i oglądałem telewizję.

— Sam?

— Zgadza się.  
— Co oglądałeś?  
— Stary film na DVD. *Rozmowę Coppoli*.  
— Czyli nikt ci nie towarzyszył ani cię nie widział. Obejrzałeś film i poszedłeś spać.

— W zasadzie tak.  
— W zasadzie. Dobra. Mamy niedzielę rano. Co robiłeś wczoraj w ciągu dnia?

— Grałem w golfa w Rivierze, jak zwykle parę drużynowych partyjek. Zacząłem o dziesiątej i skończyłem o czwartej. Wróciłem do domu, wziąłem prysznic, przebrałem się, zjadłem kolację w domu matki. Chcesz wiedzieć, co podano?

— Niekoniecznie. Ale później prawdopodobnie będę chciał poznać nazwiska osób, z którymi grałeś w golfa. Co się działo po kolacji?

— Powiedziałem matce, że wracam do siebie, ale tak naprawdę wyszedłem.

Zauważyłem, że Levin wyciągnął z kieszeni niewielki notes i zaczął notować.

— Jakim jeździsz samochodem?

— Mam dwa, range rovera z dwutysięcznego czwartego, którym wożę klientów, i carrerę z dwutysięcznego pierwszego do własnego użytku.

— Czyli wczoraj wieczorem wzięłeś porsche, tak?

— Zgadza się.

— Dokąd pojechałeś?

— Na drugą stronę wzgórza, do Doliny.

Powiedział to takim tonem, jakby wypad chłopca z Beverly Hills do robotniczych dzielnic San Fernando Valley był niebezpieczną wyprawą.

— Dokąd dokładnie pojechałeś?

— Na Ventura Boulevard. Wypiłem drinka w Nat's North, potem wstąpiłem kawałek dalej do Morgan's i tam też wypiłem drinka.

— To są bary, gdzie się chodzi na podryw, prawda?

- Tak. Dlatego właśnie tam poszedłem.  
Był rzeczowy i spodobała mi się jego szczerość.
- A więc szukałeś kogoś. Kobiety. Konkretnej? Kogoś znajomego?
- Nikogo konkretnego. Chciałem coś zaliczyć, tak po prostu.
- Co się stało w Nat's North?
- Tam było raczej smętnie, więc wyszedłem. Nawet nie skończyłem drinka.
- Często tam bywasz? Barmani cię znają?
- Tak, znają. Wczoraj pracowała Paula.
- Dobrze, czyli tam nic nie wskórałeś i zmieniłeś lokal. Pojechałeś do Morgan's. Dlaczego Morgan's?
- Też często w nim bywam.
- Znąją cię tam?
- Powinni. Nie oszczędzam na napiwkach. Wczoraj za barem były Denise i Janice. Obie mnie znają.
- Odwróciłem się do Levina.
- Raul, jak się nazywała ofiara?
- Levin otworzył teczkę, żeby wyciągnąć policyjny raport, ale nawet do niego nie zaglądając, odrzekł:
- Regina Campo. Znajomi nazywają ją Reggie. Dwadzieścia sześć lat. Powiedziała policji, że jest aktorką, ale zajmuje się akwizycją telefoniczną.
- I niedługo zamierza zakończyć tę pracę — dodał Dobbs. Zignorowałem jego uwagę.
- Louis, znałeś wcześniej Reggie Campo? — zapytałem. Roulet wzruszył ramionami.
- Tak jakby. Widywałem ją w knajpach. Ale nigdy przedtem z nią nie byłem. Nawet z nią nie rozmawiałem.
- Próbowałeś?
- Nie, właściwie nigdy do niej nie poszedłem. Zawsze była w towarzystwie, czasem pokazywała się w większej grupie. Nie przepadam za tłokiem. Zwykle szukam samotnych.
- A wczoraj, na czym polegała różnica?

- Wczoraj sama do mnie podeszła.
- Opowiedz nam o tym.
- Nie ma o czym. Byłem u Morgana, nikomu nie przeszkadzałem, rozglądałem się za okazją, a ona siedziała na drugim końcu baru z jakimś facetem. Dlatego nie brałem jej nawet pod uwagę, bo wyglądało na to, że jest już zajęta, rozumiesz?
- Mhm. Co było potem?
- Po jakimś czasie ten facet wstaje, żeby pójść się odlać albo zapalić, i kiedy wychodzi, dziewczyna wstaje, siada koło mnie i pyta, czy jestem zainteresowany. Powiedziałem, że tak, ale co z tamtym? Mówi, żebym się nim nie przejmował, że o dziesiątej się go pozbędzie i będzie wolna całą noc. Zapisała mi adres i powiedziała, żebym wpadł po dziesiątej. Obiecałem, że przyjdę.
- Na czym zapisała adres?
- Na serwetce, ale odpowiadając na następne pytanie — nie, już jej nie mam. Zapamiętałem adres i wyrzuciłem serwetkę. Pracuję w nieruchomościach. Pamiętam adresy.
- O której mniej więcej to było?
- Nie wiem.
- Jak to, powiedziała, żebyś przyszedł o dziesiątej. Nie patrzyłeś na zegarek, żeby zobaczyć, jak długo jeszcze musisz czekać?
- Chyba było między ósmą a dziewiątą. Jak tylko ten facet wrócił, wyszli.
- A ty o której wyszedłeś?
- Posiedziałem jeszcze parę minut. Zanim do niej pojechałem, wstąpiłem w jeszcze jedno miejsce.
- Gdzie?
- Dziewczyna mieszkała w Tarzana, więc poszedłem do Lamplighter. Miałem po drodze.
- Po co?
- No wiesz, chciałem zobaczyć, czy nie znajdę innej okazji. Mogłem trafić coś lepszego, na co nie będę musiał czekać ani...

— Ani co?

Nie dokończył.

— Brać używanego towaru?

Skinął głową.

— Dobra, idźmy dalej. Z kim rozmawiałeś w Lamplighter?  
Gdzie to w ogóle jest?

Był to jedyny z odwiedzonych przez niego lokali, którego nie znałem.

— Na Ventura, przy White Oak. Właściwie z nikim tam nie rozmawiałem. Był tłok, ale nie znalazłem nikogo, kto by mnie zainteresował.

— Barmani też cię tam znają?

— Nie, raczej nie. Nie bywam tam za często.

— Udaje ci się trafić okazję przed trzecią knajpą?

— Nie, zwykle po dwóch próbach rezygnuję.

Skinąłem głową, grając na czas i zastanawiając się, o co go jeszcze zapytać, zanim przejdę do tego, co się zdarzyło w mieszkaniu ofiary.

— Ile czasu spędziłeś w Lamplighter?

— Około godziny. Może trochę mniej.

— Siedziałeś przy barze? Ile wypięś?

— Tak, dwa drinki przy barze.

— Ile w sumie drinków wypięś, zanim dotarłeś do mieszkania Reggie Campo?

— Hm, najwyżej cztery. W ciągu dwóch, dwóch i pół godziny. Jednego drinka w Morgan's zostawiłem nietkniętego.

— Co piłeś?

— Martini. Gray Goose.

— Czy w którymś z barów płacił pan za drinki kartą kredytową? — zadał swoje pierwsze pytanie Levin.

— Nie — odparł Roulet. — Kiedy wychodzę, płacę gotówką.

Spojrzałem na Levina, czekając na dalsze pytania. W tym momencie wiedział o sprawie więcej niż ja. Chciałem dać mu wolną rękę, by pytał, o co chce. Levin zerknął na mnie i lekko kiwnął głową. Oddawał mi głos.



— Dobrze — podjąłem. — O której przyszedłeś do Reggie Campo?

— Za dwanaście dziesiąta. Patrzyłem na zegarek. Chciałem się upewnić, czy nie zapukam za wcześnie.

— Co więc robiłeś przez te dwanaście minut?

— Czekałem na parkingu. Powiedziała, że o dziesiątej, to czekałem do dziesiątej.

— Widziałeś faceta, z którym wyszła z Morgan's?

— Tak, widziałem. Wszedł z budynku i odjechał, a ja wszedłem.

— Jaki miał samochód? — spytał Levin.

— Żółtą corvette — odrzekł Roulet. — Wersję z lat dziewięćdziesiątych. Nie znam dokładnego rocznika.

Levin skinął głową. Skończył. Wiedziałem, że próbuje dowiedzieć się czegoś bliższego o mężczyźnie, który był u Campo przed Rouletem. Znow przejąłem pałeczkę.

— A więc on wychodzi, a ty wchodzisz. Co było potem?

— Wszedłem do budynku i znalazłem jej mieszkanie na drugim piętrze. Zapukałem do drzwi i mi otworzyła.

— Chwileczkę. Nie chcę żadnych skrótów. Jak się dostałeś na drugie piętro? Schodami, windą? Musimy znać szczegóły.

— Windą.

— Ktoś jeszcze był w windzie? Ktoś cię widział?

Roulet pokręcił głową. Dałem mu znak, żeby kontynuował.

— Uchyliła drzwi, zobaczyła mnie i zaprosiła do środka.

Za drzwiami był dość wąski korytarz. Musiałem ją wyminąć, żeby mogła zamknąć. Tak znalazła się za moimi plecami. Dlatego nie zorientowałem się, co się święci. Czymś mnie uderzyła i upadłem. Urwał mi się film.

Zamilkłem, zastanawiając się nad tym i usiłując wyobrazić sobie tę scenę.

— Czyli zanim do czegokolwiek doszło, tak po prostu walnęła cię w głowę? Nic nie powiedziała, nie krzyczała, tylko ot tak podeszła do ciebie od tyłu i łup?

— Zgadza się.

— Dobrze, co dalej? Pamiętasz, co się potem stało?

— Jak przez mgłę. Pamiętam, że jak się ocknąłem, siedziało na mnie dwóch facetów. Przytrzymywali mnie. Potem wpadła policja. I ratownicy. Siedziałem oparty o ścianę, miałem skute ręce, a ratownik podsuwał mi pod nos jakiś amoniak czy coś takiego. Wtedy dopiero zupełnie oprzytomniałem.

— Ciągle byłeś w jej mieszkaniu?

— Tak.

— Gdzie wtedy znajdowała się Reggie Campo?

— Siedziała na kanapie, a drugi ratownik opatrywał jej twarz. Płakała i opowiadała gliniarzowi, że ją zaatakowałem. To jedno wielkie kłamstwo. Że zaskoczyłem ją w drzwiach, uderzyłem pięścią w twarz i groziłem, że ją zgwałcę i zabiję. Niczego takiego nie zrobiłem. Poruszyłem się, żeby obejrzeć ręce, które miałem skute za plecami. Zobaczyłem, że jedna jest w jakiejś plastikowej torebce, i spostrzegłem krew. Wtedy już się domyśliłem, że mnie wrobiła.

— Co masz na myśli?

— Pomazała krwią moją rękę, żeby wyglądało to tak, jakbym ją uderzył. Ale lewą rękę. Nie jestem mańkutem. Gdybym miał kogoś uderzyć, użyłbym prawej.

Wykonał w powietrzu cios prawą ręką, chcąc to zilustrować, gdybym przypadkiem nie zrozumiał. Wstałem z krzesła i podszedłem do okna. Miałem wrażenie, jakbym był wyżej niż słońce. Oglądałem zachód. Opowieść Rouleta wzbudziła we mnie niepokój. Brzmiała tak niewiarygodnie, że mogła być prawdziwa. I to mnie martwiło. Zawsze się bałem, że mogę nie rozpoznać niewinnego człowieka. W moim zawodzie było to tak rzadkie zjawisko, że ciągle towarzyszył mi lęk, iż nie będę na to przygotowany. Że tego nie zauważę.

— Dobrze, zatrzymajmy się na tym — powiedziałem, nie odwracając się od okna. — Twierdzisz, że umazała ci rękę krwią, żeby cię wrobić. I umazała lewą. Gdyby jednak chciała cię wrobić, umazałaby prawą, bo ogromna większość ludzi jest praworęczna, zgadza się? Nie pomyślała o statystyce?

Odwrociłem się w stronę stołu i ujrzałem skonsternowane mi-  
ny.

— Mówiłeś, że uchyliła drzwi i zaprosiła cię do środka —  
powiedziałem. — Widziałeś jej twarz?

— Niecałą.

— A co widziałeś?

— Oko. Lewe oko.

— Czyli nie widziałeś prawej połowy jej twarzy? Nawet kie-  
dy wszedłeś?

— Nie, stała za drzwiami.

— Zgadza się! — wtrącił w podnieceniu Levin. — Kiedy za-  
pukał do drzwi, była już ranna. Schowała się przed nim, a gdy  
wszedł, grzmotnęła go w głowę. Obrażenia były tylko z prawej  
strony twarzy, dlatego umazała mu krwią lewą rękę.

Pokiwałem głową, uznając jego rozumowanie za logiczne.  
Wydawało się, że jest w tym jakiś sens.

— No dobrze — powiedziałem, odwracając się od okna i  
spacerując po sali. — To się może przydać. Louis, mówiłeś nam,  
że widywałeś tę kobietę w barach, ale nigdy z nią nie byłeś. Nie  
znaliście się. Po co miałyby to zrobić? Po co miałyby cię, jak  
twierdzisz, wrobić?

— Dla pieniędzy.

Nie powiedział tego Roulet. Odpowiedzi udzielił mi Dobbs.  
Spojrzałem na niego. Wiedział, że wyrwał się zupełnie nie w porę,  
ale najwyraźniej się tym nie przejmował.

— To oczywiście — ciągnął. — Kobieta chce pieniędzy od  
niego i rodziny. Pewnie już składa pozew. Zarzuty kryminalne  
stanowią tylko prelude do procesu cywilnego. Będzie żądała  
pieniędzy. O to jej naprawdę chodzi.

Usiadłem, wymieniając spojrzenia z Levinem.

— Dzisiaj w sądzie widziałem zdjęcie tej kobiety — oznaj-  
miłem. — Miała zmasakrowaną połowę twarzy. Obrona ma przy-  
jąć, że sama to sobie zrobiła?

Levin otworzył teczkę i wyciągnął arkusz papieru. Była to

czarno-biała kserokopia zdjęcia, które pokazała mi w sądzie Maggie McPherson. Widniała na nim spuchnięta twarz Reggie Campo. Levin miał dobre źródła, ale nie tak dobre, by dotrzeć do oryginalnej fotografii. Przesunął kserokopię po stole w stronę Dobbbsa i Rouleta.

— Prawdziwe zdjęcia dostaniemy po ujawnieniu dowodów — dodałem. — Wyglądają znacznie, znacznie gorzej i jeżeli mamy trzymać się twojej wersji, to przysięgli — jeśli oczywiście staniesz przed ławą przysięgłych — będą musieli uwierzyć, że sama to sobie zrobiła.

Obserwowałem Rouleta, gdy się przyglądał zdjęciu. Jeżeli to rzeczywiście on zaatakował Reggie Campo, nie dał tego po sobie poznać, oglądając własne dzieło.

— Wiecie co? — powiedziałem. — Uważam się za dobrego prawnika, który potrafi przekonywać przysięgłych. Ale nawet ja nie bardzo mogę uwierzyć w tę historię.

## Rozdział 9

W sali konferencyjnej przysłała kolej na Raula Levina. Rozmawialiśmy wcześniej, kiedy jechałem do Century City i jadłem kanapkę z wołowiną. Podłączyłem komórkę do głośnika telefonu w samochodzie i kazałem kierowcy włożyć słuchawki. W pierwszym tygodniu jego pracy kupiłem mu iPoda. Levin przekazał mi najważniejsze informacje o sprawie, dzięki którym mogłem przeprowadzić wstępne przesłuchanie klienta. Teraz detektyw objął przewodnictwo spotkania i przystąpił do omówienia sprawy, posługując się raportami policji i dowodami, które miały roznieść w proch wersję zdarzeń Louisa Rouleta i pokazać nam, jaką bronią dysponuje oskarżenie. Chciałem, aby przynajmniej na początku zrobił to Levin, ponieważ jeśli w naszym zespole miał nastąpić podział dobry/zły obrońca, ja chciałem być tym, do którego Roulet będzie czuł sympatię i któremu będzie ufał. Chciałem być tym dobrym.

Poza kopiami raportów policyjnych zdobytymi ze swoich źródeł Levin miał własne notatki. Oczywiście obrona miała prawo wglądu we wszystkie materiały, które miały zostać okazane w trakcie ujawnienia dowodów, ale dostęp do nich kanałami sądowymi mógł trwać tygodniami, a Levin znalazł wszystko w ciągu kilku godzin. Mówiąc, nie odrywał oczu od dokumentów.

— Wczoraj o dwudziestej drugiej jedenaście centrala zgłoszeniowa Departamentu Policji Los Angeles otrzymała wezwanie z numeru dziewięćset jedenaście od Reginy Campo zamieszkałej na White Oak Boulevard tysiąc siedemset sześćdziesiąt mieszkania dwieście jedenaście. Campo zawiadomiła o wtargnięciu do jej domu intruza, który ją zaatakował. Na wezwanie odpowiedział patrol, który przybył na miejsce o dwudziestej drugiej siedemnaście. Wieczór musiał być spokojny, skoro tak szybko zareagowali. Szybciej niż zwykle w nagłych wypadkach. W każdym razie funkcjonariusze patrolu spotkali na parkingu panią Campo, która powiedziała, że po napaści uciekła z mieszkania. Poinformowała ich, że intruza zatrzymali dwaj sąsiedzi, Edward Turner i Ronald Atkins. Posterunkowy Santos udał się do mieszkania, gdzie zastał domniemanego intruza, zidentyfikowanego później jako pan Roulet. Napastnik leżał na podłodze obezwładniony przez Turnera i Atkinsa.

— Te cioty po prostu na mnie siedziały — wtrącił Roulet.

Zobaczyłem w jego oczach błysk gniewu, który jednak szybko zgasł.

— Funkcjonariusze aresztowali podejrzanego — ciągnął Levin, jak gdyby niczego nie usłyszał. — Pan Atkins...

— Chwileczkę — przerwałem mu. — Gdzie leżał na podłodze? W którym pokoju?

— Nie ma tu o tym mowy.

Spojrzałem na Rouleta.

— W salonie. Niedaleko drzwi wejściowych. Nie wszedłem tak daleko do mieszkania.

Levin zanotował coś, po czym podjął relację.

— Pan Atkins przekazał patrolowi składany nóż z otwartym ostrzem, który jak twierdził, znalazł na podłodze obok intruza.

Funkcjonariusze skuli podejrzanego, a następnie wezwali karetkę, aby opatrzono panią Campo i pana Rouleta, który miał rozciętą głowę i doznał lekkiego wstrząśnienia mózgu. Pani Campo została przewieziona na dalsze leczenie do szpitala Holy Cross, gdzie technik zrobił jej fotografie do celów dowodowych. Pana

Rouleta zabrano do aresztu Van Nuys. Mieszkanie pani Campo zostało zaplombowane w celu zabezpieczenia miejsca zdarzenia przez ekipę kryminalistyczną, a prowadzenie śledztwa powierzono detektywowi Martinowi Bookerowi z biura detektywów w San Fernando Valley.

Levin rozłożył na stole kolejne kserokopie policyjnych zdjęć Reginy Campo. Fotografie przedstawiały jej twarz z profilu i en face, a także dwa zbliżenia zasinienia na szyi i małej rany kłutej poniżej szczęki. Ich jakość pozostawiała wiele do życzenia, ale wiedziałem, że nie warto poświęcać za dużo uwagi kopiom. Zauważyłem jednak, że wszystkie obrażenia są tylko na prawej stronie twarzy Campo. Tutaj Roulet miał rację. Albo ktoś zadał jej kilka ciosów lewą ręką — albo zrobiła to sama prawą ręką.

— Te zdjęcia wykonano w szpitalu, gdzie detektyw Booker wysłuchał zeznań pani Campo. Ich treść w skrócie przedstawia się tak: w niedzielę pani Campo wróciła do domu około dwudziestej trzydzieści i była sama, gdy około dwudziestej drugiej ktoś zapukał do drzwi. Pan Roulet przedstawił się jako jej znajomy, więc mu otworzyła. Intruz natychmiast wymierzył jej cios pięścią w twarz i wepchnął ją w głąb mieszkania. Napastnik wszedł i zamknął drzwi na klucz. Pani Campo usiłowała się bronić, ale została uderzona jeszcze co najmniej dwa razy i upadła na podłogę.

— Co za cholerne brednie! — krzyknął Roulet.

Walnął pięściami w stół i gwałtownie wstał, aż krzesło poleciało do tyłu, uderzając z hałasem w szybę.

— Hej, ostrożnie! — ostrzegł go Dobbs. — Jeszcze wybijesz okno, a siedzimy tu jak w samolocie. Wyssie nas na zewnątrz i spadniemy na ulicę.

Nikt nie zareagował uśmiechem na żart.

— Louis, usiądź — powiedziałem spokojnie. — To są tylko raporty policji. Nikt nie twierdzi, że to prawda. Opisują po prostu, jak wygląda prawda z czyjegoś punktu widzenia. Chcemy się tylko przyjrzeć sprawie i ustalić, z czym będziemy mieli do czynienia.

Roulet bez dalszych protestów przysunął krzesło z powrotem do stołu i usiadł. Skinieniem głowy dałem Levinowi znak, aby kontynuował. Zauważyłem, że Roulet dawno już przestał się zachowywać jak potulna ofiara, którą widziałem dziś w celi.

— Pani Campo zeznała, że mężczyzna, który ją zaatakował, miał pięść owiniętą kawałkiem białego materiału.

Spojrzałem przez stół na dłonie Rouleta i nie dostrzegłem żadnej opuchlizny ani śladów stłuczenia na kostkach i palcach. Jeśli owinał pięść tkaniną, mógł uniknąć tak widocznych znaków.

— Czy ten materiał włączono do dowodów? — spytałem.

— Tak — odparł Levin. — W spisie dowodów figuruje jako płócienna serwetka z plamami krwi. Krew i tkanina są teraz poddawane analizie.

Pokiwałem głową i spojrzałem na Rouleta.

— Czy policja oglądała albo fotografowała twoje ręce?

Roulet przytaknął.

— Detektyw obejrzał mi ręce, ale nikt nie robił zdjęć.

Poprosiłem Levina, by kontynuował.

— Intruz usiadł okrakiem na pani Campo leżącej na podłodze i jedną ręką złapał ją za szyję — rzekł. — Zapowiedział, że ją zgwałci i jest mu wszystko jedno, czy będzie żywa, czy martwa. Nie odpowiedziała, ponieważ podejrzany ją dusił. Gdy zwolnił uścisk, powiedziała, że nie będzie się opierać.

Levin położył na stole kolejną kserokopię. Była to fotografia składanego, ostro zakończonego noża z czarną rękojeścią. Tłumaczyło to, skąd się wzięła rana punktowa u nasady szyi ofiary.

Roulet przysunął sobie kopię zdjęcia i uważnie ją obejrzał. Wolno pokręcił głową.

— To nie jest mój nóż — oświadczył.

Nie odpowiedziałem, a Levin ciągnął:

— Kiedy podejrzany i ofiara wstali z podłogi, intruz kazał pani Campo zaprowadzić się do sypialni. Cały czas szedł za ofiarą, przyciskając ostrze noża do lewej strony jej gardła.



W chwili gdy pani Campo weszła do krótkiego korytarza prowadzącego do dwóch sypialni, odwróciła się i pchnęła napastnika na duży wazon stojący na podłodze. Podejrzany potknął się i upadł tyłem na wazon, a ofiara rzuciła się do drzwi wyjściowych. Zorientowała się, że napastnik zdoła wstać i dopaść ją przy drzwiach, więc wycofała się do kuchni i chwyciła stojącą na blacie butelkę wódki. Kiedy intruz mijał drzwi kuchni, pani Campo wyskoczyła z ukrycia i uderzyła go w tył głowy, zwalając go na podłogę. Następnie przeskoczyła leżącego napastnika, otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz. Z mieszkania na pierwszym piętrze zajmowanego przez Turnera i Atkinsa zadzwoniła na policję. Turner i Atkins poszli do jej mieszkania, gdzie znaleźli nieprzytomnego napastnika. Obezwładnili go, gdy zaczął odzyskiwać świadomość, i pozostali w mieszkaniu do przybycia policji.

— Nie do wiary — powiedział Roulet. — Nie wierzę, że muszę tu siedzieć i wysłuchiwać takich bredni. Jak coś takiego mogło mnie spotkać? Nie zrobiłem tego. Ja chyba śnię. Ta kobieta kłamie! Wciska...

— Jeżeli rzeczywiście kłamie, to zapowiada się najłatwiejsza sprawa, jaką kiedykolwiek prowadziłem — odrzekłem. — Rozedrę tę babę na strzępy i wrzucę jej wnętrzności do morza. Zanim jednak zaczniemy zastawiać pułapki, żeby ją przyskrzynić, trzeba się dowiedzieć, co dokładnie zeznała. Jeżeli wysłuchanie tego przekracza twoje siły, zaczekaj na proces, a wówczas wszystko będzie wałkowane całymi dniami zamiast kilka minut. Louis, musisz nad sobą panować. I pamiętać, że w swoim czasie przyjdzie kolej na nas. Zawsze przychodzi czas na przedstawienie stanowiska obrony.

Dobbs poklepał Rouleta po przedramieniu uspokajającym ojcowskim gestem. Roulet odtrącił jego rękę.

— Właśnie o to chodzi, żebyś ją przyskrzynił — rzekł, celując palcem w moją pierś. — Chcę, żebyś do tego wykorzystał wszystkie środki.

— Po to tu jestem i przyrzekam ci, że to zrobię. No dobrze,

zanim skończymy, chcę jeszcze zadać kilka pytań swojemu partnerowi.

Umilkłem, czekając, czy Roulet ma coś więcej do powiedzenia. Nie miał. Odchylił się na krześle i splótł dłonie.

— Skończyłeś, Raul? — zapytałem.

— Na razie tak. Ciągłe pracuję nad raportami. Jutro rano powinienem dostać zapis wezwania pod dziewięćset jedenaście, czekam też na inne rzeczy.

— Dobrze. Co z testami gwałtu?

— Nie było. Według raportu Bookera odmówiła, bo do niego nie doszło.

— Co to są testy gwałtu? — spytał Roulet.

— Badania medyczne, podczas których zbiera się z ciała ofiary gwałtu płyny ustrojowe, włosy i włókna — wyjaśnił Levin.

— Nie było żadnego gwałtu! — krzyknął Roulet. — Nawet jej nie dot...

— Wiemy — przerwałem mu. — Nie po to pytam. Szukam słabych punktów oskarżenia. Ofiara mówi, że nie została zgwałcona, ale zgłoszenie na pewno zakwalifikowano jako przestępstwo seksualne. Policja zwykle się upiera, żeby przeprowadzić testy gwałtu, nawet jeżeli ofiara twierdzi, że do niego nie doszło. Robi się tak na wypadek, gdyby jednak ofiara została zgwałcona, ale czuła się zbyt upokorzona, żeby o tym mówić, albo próbowała chronić przed odpowiedzialnością męża czy krewnego. To standardowa procedura i jeżeli tej kobiecie udało się jej uniknąć, ten fakt może się okazać dla nas ważny.

— Nie chciała, żeby zidentyfikowano DNA tego człowieka, który był u niej wcześniej — zasugerował Dobbs.

— Kto wie — odparłem. — Powodów może być wiele. Ale to może być słaby punkt. Idźmy dalej. Raul, jest gdzieś jakaś wzmianka o tym facecie, z którym widział ją Louis?

— Żadnej. W aktach nie ma o nim mowy.

— Co znaleźli kryminaliści?

— Nie mam raportu, ale podczas przeszukania mieszkania nie znaleziono żadnych istotnych dowodów.

— To dobrze. Żadnych niespodzianek. Co z nożem?

— Jest na nim krew i odciski palców. Ale nie znam jeszcze wyników analiz. Ustalenie właściciela jest mało prawdopodobne. Takie noże można kupić w każdym sklepie ze sprzętem wędkarskim albo turystycznym.

— Powtarzam, że to nie jest mój nóż — wtrącił Roulet.

— Trzeba zakładać, że odciski palców zostawił człowiek, który oddał go policji — powiedziałem.

— Atkins — przypomniał Levin.

— Zgadza się, Atkins. — Zwróciłem się do Rouleta: — Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby znaleziono też na nim twoje odciski. Nie wiadomo, co się zdarzyło, kiedy byłeś nieprzytomny. Jeżeli wysmarowała ci dłoń krwią, prawdopodobnie włożyła ci też do ręki nóż.

Roulet skinął głową i chciał coś powiedzieć, ale nie dopuściłem go do głosu.

— Jest coś o jej wizycie w Morgan's? — spytałem Levina.

Przecząco pokręcił głową.

— Nie, przesłuchanie odbyło się w szpitalnej izbie przyjęć i miało nieformalny charakter. Dotyczyło tylko najważniejszych faktów i nie pytali o cały wieczór. Nie wspominała o tamtym facecie i nie mówiła nic o Morgan's. Powiedziała po prostu, że od wpół do dziewiątej była w domu. Pytali, co się stało o dziesiątej. Nie interesowało ich, co robiła wcześniej. Na pewno uzupełnią to w trakcie śledztwa.

— No dobra, jeżeli przeprowadzą oficjalne przesłuchanie, chcę dostać zapis.

— Zajmę się tym. Pewnie będzie nagranie wideo.

— Jeżeli kryminaliści zrobili zapis wideo, też chcę go mieć. Muszę zobaczyć jej mieszkanie.

Levin skinął głową. Wiedział, że odgrywam komedię przed klientem i Dobbsem, dając im do zrozumienia, że trzymam w rękę wszystkie sznurki i pilnuję każdego szczegółu. Tak naprawdę nie

musiałem Raulowi nic mówić. Dobrze wiedział, co ma robić i co będzie mi potrzebne.

— Coś jeszcze? — zapytałem. — Cecil, masz jakieś pytania?

Dobbs, zaskoczony, że tak nagle go zahaczyłem, szybko pokręcił głową.

— Nie, nie mam. Nieźle nam idzie. Jesteśmy na dobrej drodze.

Nie miałem pojęcia, co to za „dobra droga”, ale nie chciałem pytać.

— I co o tym sądzisz? — zapytał Roulet.

Spojrzałem na niego, odwlekając odpowiedź o parę sekund.

— Wydaje mi się, że oskarżenie ma przeciwko tobie mocne dowody. Znalezione cię w jej mieszkaniu, mają nóż i obrażenia ofiary. Mają też, jak przypuszczam, jej krew na twoich rękach. Poza tym bardzo przekonujące fotografie. No i oczywiście będą mieli jej zeznanie. Ponieważ nigdy nie widziałem tej kobiety i z nią nie rozmawiałem, nie wiem, jakie wrażenie może wyrzucić na przysięgłych.

Znów zamilkłem, wykorzystując do maksimum chwilę ciszy.

— Ale wielu rzeczy im brakuje: dowodów włamania, DNA podejrzanego, motywu, a nawet podejrzanego, który miałby na koncie podobne przestępstwo. Miałeś wiele powodów — uzasadnionych powodów — aby znaleźć się w mieszkaniu. Na dodatek...

Spojrzałem ponad Rouletem i Dobbsem w okno. Słońce chowało się za Anacape, oblewając niebo na horyzoncie różem i purpurą. Widok bił na głowę wszystkie zachody, jakie oglądałem przez okna swojego biura.

— Co na dodatek? — spytał zniecierpliwiony Roulet.

— Na dodatek masz mnie. Udało mi się odsunąć od sprawy Maggie McPershing. Nowy prokurator jest dobry, ale to żółto-dziób i nigdy nie miał do czynienia z kimś takim jak ja.

— Jaki więc ma być nasz następny krok? — zapytał Roulet.

— Następny krok należy do Raula, który będzie robił swoje, szukał informacji o domniemanej ofierze, próbował ustalić,

dlaczego kłamała, że była sama. Musimy się dowiedzieć, kim jest ta kobieta, kim jest jej tajemniczy towarzysz i jaki związek może mieć ze sprawą.

— A ty co zamierzasz robić?

— Pogadam z prokuratorem. Spróbuję go podejść i zobaczyć, co planuje. Wtedy będziemy mogli zdecydować, jaki ruch wykonamy. Nie mam wątpliwości, że uda mi się wytargować mniejszy zarzut, do którego będziesz się mógł przyznać i skończyć sprawę na tym etapie. Ale to wymaga ustępstw. Musiałbyś...

— Już mówiłem. Do niczego się nie przy...

— Pamiętam, co mówiłeś, ale musisz mnie wysłuchać. Gdybym wynegocjował dobrowolne poddanie się karze, nie musiałbyś się nawet formalnie przyznawać do winy, ale nie wydaje mi się, żeby oskarżenie było skłonne wycofać wszystko. Będziesz musiał ponieść pewne konsekwencje. Możliwe, że unikniesz więzienia, ale prawdopodobnie każą ci wykonać jakąś pracę społeczną. To punkt pierwszy. Będzie więcej. Jako twój obrońca jestem zobowiązany przedstawić ci wszystkie możliwości i upewnić się, że je rozumiesz. Wiem, że nie chcesz i nie jesteś skłonny zaakceptować takiego rozwiązania, ale mam obowiązek pouczyć cię o wszystkich sposobach rozstrzygnięcia sprawy, jasne?

— W porządku. Jasne.

— Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że każde ustępstwo z twojej strony będzie sygnałem dla pani Campo, która natychmiast wnieśie pozew. Jak się domyślasz, szybkie zakończenie sprawy karnej w rezultacie będzie cię kosztować o wiele więcej niż moje honorarium.

Roulet pokręcił głową. Ugoda wyraźnie nie wchodziła w grę.

— Rozumiem już, jakie mam możliwości — powiedział. — Spełniłeś swój obowiązek. Ale nie zamierzam płacić ani centa za coś, czego nie zrobiłem. Nie zamierzam się przyznawać ani poddawać karze za coś, czego nie zrobiłem. Jeżeli będzie proces, potrafisz go wygrać?

Zanim odpowiedziałem, patrzyłem mu przez chwilę w oczy.

— Zdajesz sobie sprawę, że nie wiem, co się zdarzy przed procesem, i niczego nie mogę zagwarantować... ale, tak, biorąc pod uwagę obecny stan sprawy, potrafię ją wygrać. Tego jestem pewien.

Skinąłem głową Rouletowi i chyba ujrzałem w jego oczach cień nadziei. Zobaczył światełko w tunelu.

— Istnieje jeszcze trzecia droga — odezwał się Dobbs.

Spojrzałem na niego, zastanawiając się, jak chce zatrzymać pracującą już maszynę licencji.

— Jaka? — spytałem.

— Przeprowadzimy gruntowne śledztwo. Nasi ludzie mogą pomóc panu Levinowi. Prześwietlimy tę kobietę na wylot, ustalimy fakty, wysuniemy własną wiarygodną hipotezę, znajdziemy dowody i przedstawimy prokuratorowi. Ukręcimy sprawie łeb jeszcze przed procesem. Pokażemy temu żółtodziobowi, że nie ma szans wygrać, i zmusimy do wycofania zarzutów, zanim zdąży się skompromitować jako prawnik. Poza tym ten człowiek na pewno pracuje dla innego człowieka, który stoi na czele prokuratury i jest bardzo podatny na, powiedzmy... naciski polityczne. Użyjemy tej broni i wszystko ułoży się po naszej myśli.

Miałem ochotę kopnąć Dobbsa pod stołem. Ten plan mógł nie tylko zmniejszyć o połowę moje największe w historii honorarium, a lwią część pieniędzy klienta przeznaczyć na opłacenie detektywów, w tym jego własnych, ale mógł także powstać w głowie adwokata, który w ciągu całej kariery nikogo nie bronił w sprawie karnej.

— Tak, to jest jakiś pomysł, ale bardzo ryzykowny — odrzekłem spokojnie. — Jeżeli będziesz znał sposób, jak zetrzeć oskarżenie na proch, i wyjawisz go przed procesem, dasz im w prezencie dokładne wskazówki, co mają robić, a na co uważać podczas procesu. Nie mam na to ochoty.

Roulet przytaknął, a Dobbs zrobił lekko zakłopotaną minę. Postanowiłem na razie dać spokój, a potem przemówić Dobbsowi do rozsądku, kiedy nie będzie z nami klienta.

— Co z mediami? — spytał Levin, szczęśliwie zmieniając temat.

— Właśnie — rzekł Dobbs, z ulgą podchwytyjąc jego słowa. — Sekretarka powiedziała mi, że dzwonili już z dwóch gazet i dwóch stacji telewizyjnych.

— Do mnie pewnie też — odparłem.

Nie wspomniałem, że do Dobbsa dzwoniła na moje polecenie Lorna Taylor. Media nie zainteresowały się jeszcze sprawą, jeśli nie liczyć kamerzysty, który przyszedł na pierwsze posiedzenie. Chciałem jednak, żeby Dobbs, Roulet i jego matka uwierzyli, że w każdej chwili mogą się pojawić na pierwszych stronach.

— Nie chcemy żadnego rozgłosu — rzekł Dobbs. — To najgorsza reklama, jaką można sobie zrobić.

Był mistrzem wygłaszania oczywistości.

— Wszystkich dziennikarzy należy kierować do mnie — powiedziałem. — Zajmę się mediami. Najlepszy sposób na nie to wszystko ignorować.

— Ależ musimy coś mówić, żeby go bronić — zaprotestował Dobbs.

— Nie, nie musimy niczego mówić. Mówiąc o sprawie, sankcjonujemy ją. Jeżeli zaczniemy rozmawiać z dziennikarzami, sprawa będzie żyła. Informacje to dla niej tlen. Bez niego ginie w mediach. Moim zdaniem, lepiej, żeby zginęła. Chyba że nie będziemy mogli tego uniknąć. Wtedy tylko jedna osoba będzie mówić w imieniu Louisa. Tą osobą będę ja.

Dobbs niechętnie skinął głową. Wycelowałem palec w Rouleta.

— Pod żadnym pozorem nie rozmawiaj z reporterami, nawet gdybyś tylko chciał zaprzeczyć oskarżeniom. Jeśli ktoś się z tobą skontaktuje, odeślij go do mnie. Jasne?

— Jasne.

— To dobrze.

Uznałem, że jak na pierwsze spotkanie powiedzieliśmy już sobie dosyć. Wstałem.

— Louis, odwożę cię do domu.

Ale Dobbs nie miał zamiaru tak szybko wypuścić klienta z rąk.

— Ja też zostałem zaproszony na kolację do matki Louisa — powiedział. — Zabiorę go, bo sam tam jadę.

Zgodziłem się. Widocznie obrońców w sprawach kryminalnych nie zaprasza się na kolację.

— W porządku — powiedziałem. — Ale też tam pojedziemy. Chcę, żeby Raul obejrzał jego mieszkanie, a Louis musi mi dać czek, o którym wcześniej rozmawialiśmy.

Jeżeli sądzili, że zapomniałem o pieniądzach, musieli się jeszcze sporo nauczyć. Dobbs zerknął na Rouleta, który wyraził zgodę skinieniem głowy. Dobbs także przytaknął.

— A więc ustalone — rzekł. — Do zobaczenia na miejscu.

Piętnaście minut później siedziałem z Levinem na tylnej kanapie lincolna. Podążaliśmy za srebrnym mercedesem, którym jechali Dobbs i Roulet. Zadzwoeniłem do Lorny. Jedyna ważna wiadomość nadeszła od prokurator prowadzącej sprawę Glorii Dayton. Leslie Faire zgodziła się na układ.

— No — powiedział Levin, gdy zamknąłem telefon. — Co naprawdę o tym myślisz?

— Uważam, że na tej sprawie zarobimy mnóstwo pieniędzy i właśnie jedziemy po pierwszą ratę. Przepraszam, że cię tam ciągnę. Nie chciałem, żeby to wyglądało, jakby chodziło tylko o czek.

Levin pokiwał głową, ale się nie odezwał. Po chwili podjąłem:

— Właściwie jeszcze nie wiem, co myśleć. Cokolwiek się zdarzyło w tamtym mieszkaniu, rozegrało się szybko. To dla nas szansa. Nie ma gwałtu, nie ma DNA. Widać promyczek nadziei.

— Trochę przypomina mi sprawę Jesusa Menendeza, tyle że bez DNA. Pamiętasz go?

— Tak, ale wolałbym zapomnieć.

Starłem się nie myśleć o klientach, którzy siedzieli w więzieniu bez szans na apelację i czekały ich tylko lata odsiadki.



Zawsze robię, co tylko potrafię, ale czasami nic się nie da zrobić. Sprawa Jesusa Menendeza była jedną z takich spraw.

— Jak stoisz z czasem? — spytałem, wracając myślami do terażniejszości.

— Mam parę rzeczy, ale mogą zaczekać.

— Teraz będziesz musiał pracować wieczorami. Chcę, żebyś odwiedził te bary. Muszę wiedzieć wszystko o nim i o niej. Na razie sprawa wydaje się prosta. Jeżeli załatwimy dziewczynę, sprawę też mamy załatwioną.

Levin skinął głową. Trzymał na kolanach teczkę.

— Masz tu swój aparat?

— Jak zawsze.

— Kiedy przyjedziemy do niego, pstryknij Rouletowi kilka zdjęć. Nie chcę, żebyś pokazywał w knajpach fotkę z kartoteki. To może wszystko zepsuć. Mógłbyś zdobyć zdjęcie tej kobiety, kiedy nie miała rozkwazzonej twarzy?

— Mam zdjęcie z prawa jazdy, w miarę aktualne.

— Dobrze. Weź je i zrób obchód. Będziesz wielki, jeśli znajdziesz świadka, który widział, jak wczoraj podeszła do Rouleta w Morgan's.

— Tam właśnie chciałem zacząć. Daj mi jakiś tydzień. Odezwę się przed odczytaniem oskarżenia.

Skinąłem głową. Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu, rozmyślając o sprawie. Sunęliśmy przez płaskie Beverly Hills, zmierzając do dzielnic, gdzie czekały prawdziwe pieniądze.

— Wiesz, co jeszcze myślę? — odezwałem się. — Pomijając forszę i całą resztę, wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że Roulet nie kłamie. Historia jest taka zakręcona, że może być prawdziwa.

Levin cicho gwizdnął przez zęby.

— Myślisz, że znalazłeś niewinnego klienta? — spytał.

— To by był pierwszy — odparłem. — Gdybym rano o tym wiedział, doliczyłbym premię za niewinność. Niewinny płaci więcej, bo o wiele trudniej go bronić.

— Co racja, to racja.

Zamyśliłem się nad niebezpieczeństwem, jakie wiązało się z pracą dla niewinnego klienta.

— Wiesz, co o niewinnym kliencie mówił mój ojciec?

— Zdawało mi się, że twój ojciec umarł, jak miałeś sześć lat.

— Ściśle mówiąc — pięć. Nawet nie zabrali mnie na pogrzeb.

— I rozmawiał z tobą o niewinnych klientach, kiedy miałeś pięć lat?

— Nie, przeczytałem to w książce długo po jego śmierci. Powiedział, że najgorszy jest niewinny klient. Bo jeżeli coś spieprzysz i trafi za kratki, na całe życie zostanie ci blizna.

— Tak powiedział?

— Mniej więcej. Powiedział, że w przypadku niewinnego klienta nie ma żadnych półśrodków. Żadnych negocjacji, ugody, żadnych kompromisów. Jest tylko jeden werdykt. Na tablicy wyników musisz sobie wypisać NIEWINNY. Nie ma innego wyroku.

Levin w zamyśleniu pokiwał głową.

— Sęk w tym, że mój stary był cholernie dobrym adwokatem i nie lubił niewinnych klientów — dodałem. — Chyba cierpię na to samo.

## Rozdział 10

Pierwsza reklama, jaką zamieściłem w książce telefonicznej, brzmiała: „Każda sprawa, w każdym czasie, w każdym miejscu”, ale po kilku latach zmieniłem slogan. Nie dlatego, że nie spodobał się korporacji, ale dlatego, że mnie przestał się podobać. Stałem się bardziej wybredny. Okręg Los Angeles przypomina wielki pomarszczony koc pokrywający dziesięć i pół tysiąca kilometrów kwadratowych od pustyni po Pacyfik. O miejsce na kocu walczy ponad dziesięć milionów ludzi, a wielu z nich, gdy wybiera drogę życiową, decyduje się na działalność przestępczą. Według najnowszych statystyk rocznie w okręgu popełnia się prawie sto tysięcy brutalnych przestępstw. W zeszłym roku aresztowano za nie sto czterdzieści tysięcy osób, a kolejne pięćdziesiąt tysięcy za poważne naruszenia prawa związane z narkotykami i seksem. Jeśli dodać do tego pijanych kierowców, co roku można by zapełnić potencjalnymi klientami dwa stadiony Rose Bowl. Trzeba jednak pamiętać, żeby nie wybierać klientów spośród osób zajmujących tańsze miejsca. Liczą się tylko ci siedzący przy linii pięćdziesięciu jardów. Ci, którzy mają kieszenie wypchane pieniędzmi.

Kiedy przestępcy zostają złapani, przekazuje się ich wymiarowi sprawiedliwości, który dysponuje ponad czterdziestoma sądami rozsianymi po całym okręgu jak lokale Burger Kinga, gotowymi

ich szybko i sprawnie obsłużyć — tyle że to oni trafiają na talerz. Do tych kamiennych fortec ciągną prawnicy, jak drapieźniki do wodopojów, przy których gaszą pragnienie i polują. Sprytny łowca szybko się orientuje, gdzie można znaleźć najsmaczniejsze kąski, gdzie zaspokajają pragnienie wypłacalni klienci. Przy łowcach należy jednak uważać. Trzon klienteli niekoniecznie odzwierciedla strukturę społeczną i ekonomiczną okolicy, w jakiej działa sąd. Dzięki sądom w Compton, Downey i wschodnim Los Angeles miałem nieprzerwany strumień wypłacalnych klientów. Większość oskarżono o handel narkotykami, ale płacili równie autentycznymi pieniędzmi jak kanciarze giełdowi z Beverly Hills.

Siedemnastego rano stałem się w sądzie w Compton, gdzie reprezentowałem Dariusza McGinleya podczas ogłaszania wyroku. Recydywiści to stali klienci, a McGinley kwalifikował się do obu kategorii, jak zresztą większość mojej klienteli. Po raz szósty od początku naszej znajomości został aresztowany i oskarżony o handel crackiem. Tym razem działał w Nickerson Gardens, osiedlu, o którym jego mieszkańcy mówili „Nixon Gardens”. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, czy miał to być skrót prawdziwej nazwy, czy nazwano je tak na cześć prezydenta, za którego kadencji powstawał kompleks mieszkaniowy i rynek narkotyków. McGinley został aresztowany w następstwie sprzedaży tuzina porcji cracku podstawionemu funkcjonariuszowi wydziału antynarkotykowego. Podczas transakcji był zwolniony za kaucją po aresztowaniu za identyczne przestępstwo, jakie popełnił dwa miesiące wcześniej. Miał też na koncie cztery wyroki skazujące za dilerkę.

Sytuacja dwudziestotrzyletniego McGinleya nie przedstawiała się najlepiej. Tyle razy złamał prawa systemu, że system w końcu stracił do niego cierpliwość. Ramię sprawiedliwości szykowało się do ciosu. Mimo że wcześniej rozpieszczano McGinleya nadzorem sądowym i aresztem okręgowym, tym razem prokurator wyznaczył wyższą stawkę, żądając więzienia. Każda próba negocjacji ugody musiałaby się rozpocząć i zakończyć na wyroku pozbawienia

wolności. Bez tego warunku nie byłoby mowy o układzie. Prokurator skwapliwie sięgnął po dwie zaległe sprawy i złożył wniosek o dwucyfrowy wyrok.

Wybór był trudny do przyjęcia, ale prosty. Oskarżenie miało w rękę wszystkie karty — niezbite dowody dwukrotnej bezpośredniej sprzedaży narkotyku. Fakty były takie, że mój klient wyglądał na z góry skazanego na porażkę. McGinley zdawał sobie z tego sprawę. Fakty były takie, że sprzedaż koki wartości trzystu dolarów gliniarzowi będzie go kosztować co najmniej trzy lata życia.

Dla wielu moich młodych klientów z południa miasta więzienie jest nieodłącznym i spodziewanym etapem życia. McGinley także dorastał w przekonaniu, że kiedyś wyląduje za kratkami. Pozostawało tylko pytanie: kiedy, na ile lat i czy będzie żył dostatecznie długo, by doczekać wolności. W ciągu licznych spotkań w areszcie dowiedziałem się, że McGinley wyznaje filozofię inspirowaną życiem, śmiercią i muzyką rap Tupaca Shakura, poety bandytów, malującego w swoich wierszach nadzieję i beznadzieję ponurych ulic, które były domem McGinleya. Tupac trafnie przepowiedział swoją tragiczną śmierć. Na południu Los Angeles roilo się od młodych ludzi mających identyczną wizję przyszłości.

Należał do nich McGinley. Recytował mi długie frazy z płyt Tupaca. Tłumaczył znaczenie słów z getta. Ceniłem sobie te lekcje, ponieważ McGinley był jednym z wielu klientów, którzy wierzyli, że ich miejscem przeznaczenia jest „Dom bandytów” \* znajdujący się między niebem a ziemią, dokąd trafiali wszyscy gangsterzy. Więzienie było więc dla McGinleya jedynie rytuałem inicjacji w drodze do tego miejsca i był gotów go przejść.

\* „Thugz Mansion” z piosenki Tupaca pod tym samym tytułem.

— Wycofam się, nabiorę sił, zmądrzeję i wrócę — oświadczył mi.

Powiedział, żebym robił swoje i wynegocjował ugodę. Dostałem przekaz na pięć tysięcy dolarów — nie pytałem go, skąd są

pieniądze — i poszedłem do prokuratora. Przekonałem go, żeby dwie nierozstrzygnięte sprawy połączyć w jedną, a McGinley przyzna się do winy. Poprosił mnie tylko, żebym spróbował mu załatwić miejsce w więzieniu gdzieś blisko, żeby jego matka i troje dzieci nie musieli daleko jeździć na widzenia.

Kiedy rozpoczęło się posiedzenie, w drzwiach gabinetu ukazał się sędzia Daniel Flynn w szmaragdowej todze, której widok wywołał nieszczerze uśmiechy na twarzach wielu prawników i pracowników sądowych. Wiedziano, że sędzia ubiera się na zielono tylko dwa razy do roku — w dzień świętego Patryka i w piątek przed meczem futbolowym Notre Dame Fighting Irish i USC Trojans. Wśród prawników pracujących w sądzie w Compton był znany jako „Danny Boy”, o którym mawiali „Nasz Danny Boy to nieczuły irlandzki kutas, no nie?”.

Kiedy urzędnik zapowiedział sprawę, zgłosiłem się w imieniu obrony. Przez boczne drzwi wprowadzono McGinleya, który stanął obok mnie ubrany w pomarańczowy kombinezon i z dłońmi przykutymi do pasa. Na ławach dla publiczności nie było nikogo, kto przyszedłby towarzyszyć mi w pożegnaniu z wolnością. Miał na sali tylko mnie.

— Dzień dobry, panie McGinley — powiedział z irlandzkim akcentem Flynn. — Wie pan, jaki dziś mamy dzień?

Wbiłem wzrok w podłogę. McGinley mruknął:

— Dzień mojego skazania.

— Ach, to też. Ale mam na myśli dzień świętego Patryka, panie McGinley. Dzień, w którym oddajemy cześć dziedzictwu kultury irlandzkiej.

McGinley odwrócił się nieznacznie, by na mnie spojrzeć. Znał ulice jak własną kieszeń, ale życie nieco gorzej. Nie rozumiał, co się dzieje. Czy to część orzeczenia, czy jakaś forma pogardy białego człowieka. Chciałem mu powiedzieć, że sędzia zachował się nietaktownie i prawdopodobnie jest rasistą. Zamiast tego nachyliłem się i szepnąłem mu do ucha:

— Spokojnie. To dupek.

— Zna pan pochodzenie swojego nazwiska, panie McGinley?  
— zapytał sędzieja.

— Nie, Wysoki Sądzie.

— A interesuje to pana?

— Nie bardzo. To chyba nazwisko właściciela niewolników.  
Co mnie może obchodzić, kim był ten skurwiel?

— Proszę o wybaczenie, Wysoki Sądzie — powiedziałem szybko.

Znów nachyliłem się nad McGinleyem.

— Darius, uspokój się — szepnąłem. — I nie wyrażaj się.

— Czepia się — odburknął trochę głośniejszym głosem, niż powinien.

— Ale jeszcze nie ogłosił wyroku. Chcesz, żeby ugodę diabli wzięli?

McGinley odsunął się ode mnie i spojrzał na sędziego.

— Przepraszam za wyrażenie, Wysoki Sądzie. Wychowałem się na ulicy.

— To widać — odrzekł Flynn. — Wstyd, że nie interesuje się pan historią. Ale jeżeli pana nie obchodzi geneza pańskiego nazwiska, mnie tym bardziej. Czas przedstawić wyrok i wysłać pana do więzienia, co pan na to?

Ostatnie zdanie wymówił wesoło, jak gdyby się cieszył, że wysła McGinleya do Disneylandu, najszczęśliwszego miejsca na ziemi.

Odczytanie wyroku poszło już szybko. W raporcie w postępowaniu przedsądowym nie było nic poza tym, co wszystkim było wiadomo. Odkąd Darius McGinley skończył jedenaście lat, miał tylko jeden zawód — diler narkotyków. Miał tylko jedną prawdziwą rodzinę — gang. Nigdy nie wyrobił prawa jazdy, chociaż jeździł bmw. Nigdy się nie ożenił, chociaż był ojcem trojga dzieci. Była to ta sama historia recytowana kilkanaście razy dziennie w sądach całego okręgu. McGinley żył w społeczeństwie, które spotykało się z resztą Ameryki tylko w salach sądowych. Był tylko pożywieniem maszyny. Maszyna musiała jeść, a McGinley leżał na talerzu. Flynn skazał go na uzgodnione pięć lat z możliwością

zwolnienia warunkowego po trzech, po czym przystąpił do odczytywania wszystkich formułek prawnych towarzyszących ugodzie. Chcąc rozbawić obecnych na sali — choć radość udzieliła się tylko personelowi sądowemu — czytał swoim akcentem. Na tym posiedzenie się zakończyło.

Wiedziałem, że McGinley sprzedawał śmierć i zniszczenie w formie kokainy i prawdopodobnie popełnił niejedno brutalne przestępstwo, za które nigdy nie postawiono mu zarzutów, mimo to współczułem mu. Uważałem go za kolejnego nieszczęśnika, któremu było dane zaznać wyłącznie bandyckiego życia. Nie znał swojego ojca i rzucił szkołę w szóstej klasie, żeby się uczyć dilerki. Potrafił liczyć pieniądze w hurtowni prochów, ale nigdy nie miał konta w banku. Nigdy nie był na plaży i przez całe życie nie wystawił nosa z Los Angeles. Teraz miał odbyć pierwszą podróż w furgonetce z okratowanymi oknami.

Zanim odprowadzono go do celi i przygotowano do transportu do więzienia, podałem mu rękę, choć utrudniał to skuwający mu ręce łańcuch, i życzyłem powodzenia. Rzadko wykonuję taki gest wobec klientów.

— Spoko — odrzekł. — Jeszcze wrócę.

Nie wątpiłem w to. W pewnym sensie Darius McGinley był prawie takim samym klientem licencyjnym jak Louis Roulet. Interes z Rouletem był prawdopodobnie jednorazowy. Miałem jednak przeczucie, że McGinley z biegiem lat stanie się moim „dożywotnim”. Będzie darowanym mi wielokrotnie prezentem, jeśli wytrzymać trudny czas i przeżyje.

Kiedy zapowiadano następną sprawę, włożyłem teczkę McGinleya do aktówki i wyszedłem za barierkę. Na zatłoczonym korytarzu czekał na mnie Raul Levin. Umówiliśmy się na spotkanie, żeby przedyskutować to, co udało mu się ustalić w sprawie Rouleta. Musiał przyjechać do Compton, ponieważ miałem napięty plan dnia.

— Dzięk dobry — powiedział Levin, naśladowując irlandzki akcent.

— Tak, widziałeś?



— Zajrzałem do sali. Facet ma rasistowskie skłonności, nie sądzisz?

— I uchodzą mu na sucho, bo odkąd połączono wszystkie sądy w okręgu, jego nazwisko pojawia się na listach wszędzie. Nawet gdyby ludzie z Compton zjednoczyli się przeciwko niemu, ci z zachodu mogliby ich spokojnie przegłosować. Popieprzony system.

— Jakim cudem w ogóle został sędzią?

— Jak skończysz prawo i będziesz właściwie dbał o interesy właściwych osób, to możesz zostać sędzią. Mianował go gubernator. Cały figiel w tym, jak wygrać pierwsze wybory, żeby zostać na stołku. Ale jemu się udało. Nigdy nie słyszałeś historii Flynnna?

— Nie.

— Jest świetna. Mniej więcej sześć lat temu Flynn odbiera nominację od gubernatora. Jeszcze przed unifikacją sądów. Wcześniej sędziowie byli wybierani przez wyborców swojego rejonu. Sędzia nadzorujący okręg Los Angeles sprawdza jego kompetencje i dość szybko się orientuje, że ma do czynienia z facetem o szerokich koneksjach politycznych, ale z zerowym talentem i doświadczeniem sądowym. Flynn pracował głównie w biurze. Pewnie nie mógłby znaleźć budynku, nie mówiąc o sądeniu jakiegokolwiek sprawy. Tak więc przewodniczący okręgu zsyła go do karnego w Compton, bo zasada jest taka, że musisz kandydować w wyborach po roku od mianowania na urząd. Przewodniczący przypuszcza, że Flynn da dupy i wkurzy ludzi, którzy go odrzucają w głosowaniu. Rok na stołku i do widzenia.

— Z głowy.

— Otóż to. Tyle że się nie udało. W ciągu pierwszej godziny pierwszego dnia zgłaszania się kandydatów na sędziów do biura wkracza Fredrica Brown i składa papiery jako kontrkandydatka Flynnna. Znasz Freddie Brown?

— Osobiście nie. Słyszałem o niej.

— Pewnie wszyscy stąd o niej słyszeli. Poza tym, że jest

znakomitym adwokatem, jest też kobietą, jest czarna i popularna wśród mieszkańców. Zgniotłaby Flynna stosunkiem głosów co najmniej pięć do jednego.

— No to jak to się stało, że w końcu wybrali Flynną?

— Właśnie do tego zmierzam. Kiedy na liście zjawiała się Freddie, nie zgłosił się już nikt więcej. Po co, przecież była pewniakiem, chociaż ciekawe, dlaczego chciała zostać sędzią i zarabiać mniejsze pieniądze. Wtedy musiała dostawać niezłe sześciocyfrowe honoraria.

— I co?

— To, że dwa miesiące później, tuż przed zamknięciem listy kandydatów, Freddie wraca do biura i wycofuje papiery.

Levin skinął głową.

— A Flynn startuje bez konkurentów i zostaje na stołku — rzekł.

— Właśnie. Potem przyszło połączenie sądów i już nigdy nie da się go stąd wywalić.

Levin wyglądał na oburzonego.

— Co za bzdura. Na pewno był jakiś układ. Musiało dojść do naruszenia przepisów wyborczych.

— Tylko jeżeli da się udowodnić, że to był układ. Freddie zawsze twierdziła, że nikt jej nie zapłacił i że nie brała udziału w żadnym planie spreparowanym przez Flynną. Powiedziała, że po prostu zmieniła zdanie, kiedy zdała sobie sprawę, że z pensją sędziego nie będzie mogła prowadzić dotychczasowego trybu życia. Ale powiem ci jedno. Kiedy prowadzi jakąś sprawę sądzoną przez Flynną, idzie jej wyjątkowo dobrze.

— I nazywają to wymiarem sprawiedliwości.

— Owszem.

— A co sądzisz o Blake'u?

To nazwisko musiało paść. Tylko o nim teraz mówiono. Robert Blake, aktor filmowy i telewizyjny, został poprzedniego dnia uniewinniony przez sąd okręgowy Van Nuys z zarzutu zamordowania żony. Prokurator i policja przegrali kolejną głośną sprawę i gdziekolwiek by się poszło, wszędzie był to temat numer jeden.

Media i większość ludzi żyjących i pracujących poza machiną prawa niczego nie rozumieli. Pytanie nie brzmiało, czy Blake to zrobił, ale czy w procesie przedstawiono wystarczająco mocne dowody, żeby go skazać. Były to dwie zupełnie różne rzeczy, lecz w publicznej dyskusji, jaka wybuchła po ogłoszeniu wyroku, mieszano je ze sobą.

— Co sądzę? Podziwiam przysięgłych, że cały czas skupiali się wyłącznie na dowodach. Jeżeli niczego nie dowodziły, to nie dowodziły. Nie cierpię, kiedy prokuratorowi wydaje się, że ława może wydać wyrok, kierując się tylko zdrowym rozsądkiem. „Jeżeli nie on, to kto mógł to zrobić?”. Daj spokój. Jak chcesz skazać człowieka i wsadzić do pudła na resztę życia, to pokaż dowody. Nie możesz czekać, że przysięgli cię wyręcą.

— Jakbym słyszał prawdziwego adwokata.

— Żyjesz dzięki adwokatom, stary. Powinieneś to sobie wbić do głowy. Skończ już z tym Blakiem. Jestem zazdrosny i męczy mnie to gadanie o nim w kółko. Mówiłeś przez telefon, że masz dla mnie dobre wiadomości.

— Mam. Gdzie chcesz pogadać i posłuchać, czego się dowiedziałem?

Spojrzałem na zegarek. Miałem posiedzenie wstępne w siedzibie sądów karnych w centrum. Musiałem tam być przed jedenastą i nie mogłem się spóźnić, bo spóźniłem się dzień wcześniej. Po tem miałem pojechać do Van Nuys, żeby poznać Teda Mintona, prokuratora, który przejął sprawę Rouleta od Maggie McPherson.

— Nie mam czasu nigdzie iść — powiedziałem. — Możemy usiąść w samochodzie i napić się kawy. Masz ze sobą materiały?

W odpowiedzi Levin uniósł teczkę i zabębnił w nią palcami.

— Co z twoim kierowcą?

— Nie musisz się nim przejmować.

— No to chodźmy.

## Rozdział 11

Gdy wsiedliśmy do lincolna, kazałem Earlowi znaleźć gdzieś w okolicy Starbucksa. Musiałem się napić kawy.

— Tu nie ma Starbucksów — oświadczył Earl.

Wiedziałem, że Earl pochodzi z tych stron, lecz wydawało mi się niemożliwe, by w okręgu, jeżeli nie na całym świecie, były takie miejsca, gdzie w promieniu jednego kilometra nie znalazłby się lokal Starbucksa. Nie zamierzałem jednak dyskutować. Chciałem tylko kawy.

— Dobrze, wobec tego jedź i znajdź jakieś miejsce, gdzie dają kawę. Tylko nie oddalaj się za bardzo od sądu. Musimy odwieźć Raula z powrotem.

— Nie ma sprawy.

— Earl? Kiedy będziemy rozmawiać o sprawie, mógłbyś założyć słuchawki?

Earl włączył iPod, wsunął do uszu słuchawki i ruszył Acacia Avenue w poszukiwaniu małej czarnej. Po chwili usłyszeliśmy dobiegające z przedniego siedzenia przytłumione dźwięki hip-hopu i Levin otworzył aktówkę na składanym stoliku wbudowanym w oparcie fotela kierowcy.

— No, co dla mnie masz? — spytałem. — Dzisiaj spotykam się z prokuratorem i chcę mieć w rękawie więcej asów niż on. W poniedziałek mamy odczytanie oskarżenia.

— Chyba znalazłem parę asów — odparł Levin.

Przerzucił kilka rzeczy w teczce i przystąpił do prezentacji.

— Zaczniemy od twojego klienta, a potem przejdziemy do Reggie Campo. Gość jest czysty jak łąza. Poza mandatami za złe parkowanie i przekraczanie szybkości — które lubi zbierać, ale znacznie mniej płacić — nie ma grzechów na sumieniu. Zwykły, niczym niewyróżniający się obywatel.

— A te mandaty?

— W ciągu ostatnich czterech lat zebrało mu się sporo niezapłaconych mandatów za parkowanie i parę za przekroczenie szybkości. W obu wypadkach wydali nakaz egzekucji, ale wtedy do akcji wkroczył twój kolega C.C. Dobbs, uregulował i wszystko rozeszło się po kościach.

— Cieszę się, że C.C. może się jednak na coś przydać. „Uregulował” — rozumiem, że zapłacił mandaty, a nie dał w łapę sędziom.

— Miejmy nadzieję. Poza tym u Rouleta znalazłem tylko jedną ciekawostkę.

— Jaką?

— Na pierwszym spotkaniu, kiedy wbijałeś mu do głowy, czego ma się spodziewać i tak dalej, w rozmowie wyszło, że przez rok studiował na UCLA i trochę zna się na prawie. No więc sprawdziłem. Połowa mojej roboty to ustalanie, kto kłamie albo kto jest największym kłamcą ze wszystkich. Dlatego sprawdzam prawie wszystko. Najczęściej nie mam z tym kłopotów, bo wszystko jest w komputerze.

— Rozumiem. Co więc z tymi studiami, kłamał?

— Na to wygląda. Zajrzałem do dziekanatu i okazuje się, że na UCLA nigdy nie było takiego studenta prawa.

Zastanowiłem się nad tym. O studiach prawniczych wspomniał Dobbs, a Roulet tylko przytaknął. Dziwne kłamstwo, bo właściwie nie mogło im przynieść żadnej korzyści. Pomyślałem o aspekcie psychologicznym. Może to miało coś wspólnego ze mną? Czyżby chcieli mnie przekonać, że Roulet jest na tym samym poziomie co ja?

— Jeżeli więc skłamał w takiej sprawie... — powiedziałem, myśląc na głos.

— Racja — przytaknął Levin. — Chciałem, żebyś wiedział. Ale muszę przyznać, że to na razie jedyna skaza Rouleta. Być może skłamał o swoich studiach, ale chyba nie kłamał na temat niedzielnych wydarzeń — tak przynajmniej wynika z tego, co ustaliłem.

— Mów.

— Potwierdza się jego trasa tego wieczoru. Mam świadków, którzy widzieli go w Nat's North, w Morgan's, a potem w Lamplighter, bach, bach, bach, trafienie jedno po drugim. Robił dokładnie to, co nam powiedział. Zgadza się nawet liczba martini. Cztery, a co najmniej jednego nie dopił i zostało na barze.

— Tak dobrze pamiętają? Pamiętają nawet, że nie dokończył drinka?

Doskonała pamięć zawsze wzbudza we mnie podejrzenia, bo nie istnieje. Moja praca i talent polegają na odkryciu luk w pamięci świadków. Ilekroć ktoś pamięta za dużo, zaczynam się denerwować — zwłaszcza jeżeli chodzi o świadka obrony.

— Nie, nie polegam tylko na pamięci barmanki. Mam tu coś, za co mnie chyba ozłocisz, Mick. Tym bardziej że kosztowało mnie okrągły tysiąc.

Z dna aktówki wyciągnął futerał, w którym spoczywał mały odtwarzacz DVD. Widziałem kiedyś takie urządzenia u ludzi w samolotach i zamierzałem kupić coś takiego do samochodu. Z odtwarzacza mógłby korzystać kierowca, czekając na mnie przed sądem. Sam od czasu do czasu mógłbym z niego korzystać w takich sprawach jak ta.

Levin włożył płytę do urządzenia. Zanim jednak włączył odtwarzanie, samochód się zatrzymał i spojrzałem przez okno. Staliśmy przed lokalem o nazwie Central Bean.

— Chodź, kupimy kawę i potem mi pokażesz — powiedziałem.

Spytałem Earla, czy ma na coś ochotę, ale podziękował.

Levin i ja wysiedliśmy i weszliśmy do środka. Po kawę stała kilkosobowa kolejka. Czekając, Levin opowiedział mi o DVD, które mieliśmy obejrzeć w samochodzie.

— No więc jestem w Morgan's i chcę pogadać z barmanką, Janice, ale ona mówi, że najpierw muszę spytać o zgodę szefa. Idę do niego na zaplecze, a on pyta, czego właściwie chcę się dowiedzieć. Wydał mi się jakiś dziwny. Zastanawiałem się, po co chce tyle wiedzieć. Potem wszystko się wyjaśniło, bo przedstawił mi propozycję. Powiedział, że przed rokiem miał kłopoty w barze. Ktoś podkradał pieniądze z kasy. W ciągu tygodnia pracuje tam kilkunastu barmanów i facet nie potrafił ustalić, który ma lepkie rączki.

— Zamontował kamerę.

— Trafiłeś. Ukrytą kamerę. Przyłapał złodzieja i wywalił na zbity pysk. Ale sprzęt tak mu się spodobał, że go zostawił. System nagrywa na taśmie o dużej gęstości codziennie od ósmej do drugiej. Jest włącznik czasowy. Na jednej kasecie mieści się zapis czterech wieczorów. Jeżeli są jakieś kłopoty albo coś ginie, szef zawsze może wszystko spokojnie obejrzeć. Robi bilans co tydzień, więc używa dwóch kaset i zawsze ma pod ręką zapis z całego tygodnia.

— Niedzielny wieczór też jest na taśmie?

— Jest.

— I chciał za to tysiąc dolarów.

— Chciał.

— Gliny o tym wiedzą?

— Jeszcze nawet nie dotarły do baru. Na razie znają tylko wersję Reggie.

Skinąłem głową. Nic dziwnego. Policja miała na głowie za dużo śledztw, które musiała przeprowadzić skrupulatnie i do końca. Zresztą i tak zgromadzili już potrzebną amunicję. Mieli naocznego świadka, podejrzanego zatrzymanego w mieszkaniu, krew ofiary na rękach podejrzanego, a nawet broń. Nie było powodu szukać dalej.

— Ale nas interesuje bar, nie kasa — zauważyłem.

— Wiem. Kasa stoi pod ścianą za barem. Kamera jest zamontowana w wykrywaczu dymu na suficie. Ściana w głębi jest wyłożona lustrami. Kiedy zobaczyłem zapis na taśmie, zaraz się zorientowałem, że widzę cały bar w lustrze. Wszystko jest odwrócone. Zapisałem obraz na płycie, bo lepiej nim manipulować. Robić zbliżenia, powiększać i tak dalej.

Nadeszła nasza kolej. Zamówiłem dużą kawę ze śmietanką i cukrem, a Levin butelkę wody. Zabraliśmy napoje z powrotem do samochodu. Kazałem Earlowi poczekać, aż obejrzymy DVD. Potrafię czytać podczas jazdy, ale podejrzewałem, że od wpatrywania się w mały ekran w trakcie pokonywania wyboistych ulic południowej części okręgu dostanę choroby lokomocyjnej.

Levin włączył DVD, uzupełniając zdjęcia o słowny komentarz.

Na ekranie ukazał się prostokątny bar Morgan's widziany z góry. Krzątały się przy nim dwie barmanki w czarnych dżinsach i białych koszulkach związanych z przodu, by odsłaniały płaskie brzuchy, przekłute pępki i fragmenty tatuaży z tyłu nad paskami spodni. Tak jak mówił Levin, kamera była skierowana w stronę ściany i kasy, ale w lustrach w głębi widać było rząd klientów przy barze. Ujrzałem Louisa Rouleta siadającego samotnie w centralnym punkcie kadru. W lewym dolnym rogu ekranu był licznik klatek, a w prawym data i godzina. Wynikało z nich, że był szósty marca, godzina dwudziesta jednaście.

— Przychodzi Louis — powiedział Levin. — A tutaj mamy Reggie Campo.

Wcisnął kilka guzików i zatrzymał obraz. Następnie przesunął na środek prawy margines ekranu. Przy krótszym boku baru z prawej siedzieli obok siebie kobieta i mężczyzna. Levin zrobił ich zbliżenie.

— Na pewno? — spytałem.

Widziałem tę kobietę tylko na zdjęciach, na których miała posiniaczoną i spuchniętą twarz.

— Tak, to ona. Oto nasz pan X.

— W porządku.



— Patrz teraz.

Levin ponownie włączył odtwarzanie i poszerzył kadr, żebyśmy znów widzieli cały bar. Następnie zaczął przewijać obraz do przodu.

— Louis pije martini, rozmawia z barmankami i prawie przez godzinę nic się nie dzieje — wyjaśnił.

Zerknął do notesu, gdzie miał notatki opatrzone numerami klatek. We właściwym momencie zwolnił obraz do normalnej prędkości i znów go przesunął tak, by pośrodku ekranu ponownie byli Reggie Campo i pan X. Zauważyłem, że była już dwudziesta czterdzieści trzy.

Pan X wziął z baru paczkę papierosów i zapalniczkę, po czym wstał. Ruszył w prawo, znikając z kadru.

— Idzie do wyjścia — powiedział Levin. — Na tarasie jest palarnia.

Reggie Campo patrzyła za odchodzącym panem X, a potem zsunęła się ze stołka i zaczęła iść wzdłuż głównej części baru, za plecami klientów. Mijając Rouleta, przesunęła palcami lewej ręki po jego ramionach, jak gdyby chciała go połaskotać. Roulet odwrócił się i spojrzał na Campo, która poszła dalej.

— Mały flirt — rzekł Levin. — Poszła do toalety.

— Według Rouleta było inaczej — przypomniałem mu. — Twierdził, że podeszła do niego, dała mu swój...

— Chwila — uspokoił mnie Levin. — Musi przecież stamtąd wrócić.

Czekałem, obserwując Rouleta przy barze. Spojrzałem na zegarek. Na razie wszystko było w porządku, ale nie mogłem się spóźnić na posiedzenie w centrum. I tak już poprzedniego dnia znacznie nadużyłem cierpliwości sędzi.

— Idzie — rzekł Levin.

Pochylając się bliżej ekranu, przyglądałem się Reggie Campo zmierzającej wzdłuż baru w stronę poprzednio zajmowanego miejsca. Tym razem, kiedy doszła do Rouleta, wcisnęła się między niego a mężczyznę zajmującego sąsiedni stołek. Musiała to zrobić bokiem, przyciskając biust do ramienia Rouleta. Lepszy

wabik trudno sobie chyba wyobrazić. Coś powiedziała i Roulet nachylił się bliżej jej ust, żeby ją usłyszeć. Po kilku chwilach skinął głową, a potem zobaczyłem, jak dziewczyna wsuwa mu w dłoń coś, co wyglądało na zgniecioną serwetkę. Zamienili jeszcze kilka słów, po czym Reggie Campo pocałowała Louisa Rouleta w policzek i odeszła od baru, wracając na swoje miejsce.

— Jesteś cudowny, Mish — oznajmiłem, zwracając się do niego imieniem, jakie mu nadałem, gdy wyjaśniał mi swój rodowód, nazywając go wielkim żydowsko-meksykańskim miszmaszem. — I mówisz, że gliny tego nie mają? — upewniłem się.

— W zeszłym tygodniu, kiedy dostałem taśmę, nic o niej jeszcze nie wiedzieli, a kasetą ciągle jest u mnie. Nie, raczej nie mają i pewnie nawet o niej nie wiedzą.

Zgodnie z przepisami o przedprocesowym ujawnieniu dowodów będę musiał przekazać zapis DVD prokuratorowi, kiedy Roulet zostanie oficjalnie oskarżony. Formalnie rzecz biorąc, nie musiałem przekazywać niczego, dopóki nie byłem pewien, czy wykorzystam to w procesie. Dawało mi to dużo swobody i czasu.

Wiedziałem, że zapis na płycie jest ważny i z pewnością zostanie wykorzystany podczas procesu. Sam w sobie mógł stanowić przyczynę uzasadnionych wątpliwości. Na ekranie było widać, że ofiara i domniemany napastnik się znali, o czym nie było mowy w dowodach oskarżenia. Co więcej, taśma zarejestrowała ich w sytuacji, w której zachowanie ofiary można było zinterpretować jako przynajmniej częściową przyczynę tego, co potem zaszło. Nie chodziło o sugestię, że zdarzenie nie miało kryminalnego charakteru i było dopuszczalne, ale przysięgłych zawsze interesują przyczyny przestępstwa i związki zamieszanych w nie osób. Zapis wideo przesunął przestępstwo, które można było widzieć w czarno-białych barwach, w strefę szarości. Jako adwokat żyłem w strefach szarości.

Druga strona medalu była taka, że zapis na DVD mógł się okazać za dobry. Stał w jawnej sprzeczności z zeznaniem ofiary

która oświadczyła, że nie zna napastnika. Kwestionował jej wiarygodność i dowodził jej kłamstwa. Wystarczyło jedno kłamstwo, żeby zburzyć całe oskarżenie. Taśma była, jak to nazywam, „cho-dzącym dowodem”. Mogła zakończyć sprawę, zanim jeszcze dojdzie do procesu. Mój klient mógłby wyjść z tego bez najmniejszego zadrapania.

Zabierając ze sobą najdroższą licencję, jaka mi się trafiła.

Levin znów przewijał obraz.

— Popatrz teraz na to — powiedział. — Reggie i pan X zmywają się o dziewiątej. Ale uważaj, kiedy on wstaje.

Levin zrobił zbliżenie Campo i nieznajomego. Kiedy zegar pokazał za minutę dziewiątą, ustawił odtwarzanie w zwolnionym tempie.

— Już się zbierają do wyjścia — rzekł. — Patrz na ręce face-ta.

Patrzyłem. Mężczyzna wychylił ostatni łyk drinka, przechyla-jąc głowę do tyłu. Następnie zsunął się ze stołka, pomógł wstać Campo i razem wyszli poza kadr.

— Co? — spytałem. — Coś przegapiłem?

Levin cofnął obraz do momentu, w którym mężczyzna dopijał drinka. Wtedy zatrzymał odtwarzanie i pokazał jeden punkt na ekranie. W stop-klatce mężczyzna trzymał na blacie lewą rękę, aby utrzymać równowagę, przechylając się do tyłu.

— Trzyma szklankę w prawej ręce — powiedział. — A na lewej nosi zegarek. Czyli jest praworęczny, tak?

— Co z tego? Po co to nam? Ofiara została zaatakowana le-wą ręką.

— Przypomnij sobie, co mówiłem wcześniej. Po chwili zro-zumiałem.

— Lustro. Wszystko jest odwrócone. Jest mańkutem.

Levin przytaknął i wykonał w powietrzu cios lewą ręką.

— To nam może ustawić całą sprawę — powiedziałem, nie bardzo wiedząc, czy to dobrze.

— Wszystkiego najlepszego z okazji dnia świętego Paddy'ego

— rzekł Levin z irlandzkim akcentem, nie zdając sobie sprawy, że właśnie przechodzi mi koło nosa interes wszech czasów.

Pociągnąłem gorący łyk kawy, próbując obmyślić strategię wykorzystania wideo. Nie widziałem sposobu, by przetrzymać je do procesu. Policja pewnie w końcu rozpocznie śledztwo uzupełniające i dowie się o nagraniu. Zatrzymując je u siebie, miałem tykającą bombę.

— Nie wiem jeszcze, jak to wykorzystam — powiedziałem.

— Ale mogę cię zapewnić, że pan Roulet, jego matka i Cecil Dobbs będą z ciebie bardzo zadowoleni.

— Powiedz im, że zawsze mogą wyrazić swoją wdzięczność finansowo.

— Dobrze, co jeszcze jest na tej taśmie?

Levin zaczął przewijać obraz do przodu.

— Niewiele. Roulet czyta i zapamiętuje adres z serwetki. Siedzi jeszcze dwadzieścia minut i zwija żagle, zostawiając na barze pełnego drinka.

Zwolnił obraz w chwili, gdy Roulet zbierał się do wyjścia. Mój klient pociągnął łyk nowego martini i odstawił prawie pełny kieliszek. Następnie wziął serwetkę, którą dała mu Reggie Campo, zgniótł i upuścił na podłogę. Wstał i odszedł od baru, zostawiając na nim drinka.

Levin wyciągnął płytę i schował z powrotem do plastikowej koperty. Wyłączył odtwarzacz i zaczął go pakować.

— To tyle, jeśli chodzi o materiał multimedialny.

Stuknąłem Earla w ramię. Wciąż miał w uszach słuchawki.

Wyciągnąłem jedną i spojrzał na mnie przez ramię.

— Wracajmy do sądu — powiedziałem. — Nie wyjmuj słuchawek.

Earl spełnił polecenie.

— Co jeszcze? — spytałem Levina.

— Reggie Campo — odrzekł. — Nie jest Królową Śnieżką.

— Czego się dowiedziałeś?

— Nie chodzi o to, czego się dowiedziałem. Raczej, co podejrzewam. Widziałeś na taśmie, jak się zachowywała. Kiedy jeden facet na chwilę odchodzi, ona zaraz podrzuca liściki miłosne innemu. Poza tym poszperałem tu i ówdzie. Reggie jest aktorką, ale obecnie nie pracuje w zawodzie. Może z wyjątkiem, nazwijmy to, prywatnych przestuchań.

Podał mi profesjonalny kolaż zdjęć przedstawiających Reggie Campo w różnych pozach i rolach. Takie zestawy fotografii wysyła się na castingi w całym mieście. Największym zdjęciem był portret. Pierwszy raz zobaczyłem jej twarz bez szpecących sińców i opuchlizny. Reggie Campo była bardzo atrakcyjną kobietą i jej twarz wydawała mi się dziwnie znajoma, choć nie wiedziałem, gdzie mógłbym ją widzieć. Może w jakimś programie telewizyjnym albo reklamie. Zajrzałem na odwrotną stronę fotografii i przeczytałem listę jej osiągnięć. Występowała w programach, których nie oglądałem, i reklamach, których nie pamiętałem.

— W policyjnych raportach podała, że jej obecnym pracodawcą jest Topsail Telemarketing. Firma jest w Marinie. Przyjmuje telefoniczne zamówienia na ten chłam, który wieczorami reklamują w telewizji. Przyrzędy do ćwiczeń i tak dalej. Tak czy owak to praca dzienna. Pracujesz, kiedy chcesz. Sęk w tym, że od pięciu miesięcy Reggie nie przepracowała tam ani jednego dnia.

— Co chcesz przez to powiedzieć, że nabrała policję?

— Przez trzy ostatnie wieczory trochę ją poobserwowałem i...

— Co takiego?!

Odwrociłem się i spojrzałem na niego. Gdyby prywatny detektyw pracujący dla oskarżonego w sprawie karnej został przyłapany na śledzeniu ofiary brutalnego przestępstwa, wybuchłaby potężna afera i wszystko skrupiłoby się na mnie. Prokuratorowi wystarczyłoby iść do sędziego, złożyć oświadczenie o nękanu i zastraszaniu ofiary, a zastępcy szeryfa dopadliby mnie szybciej niż wiatr Santa Ana wiejący przez przełęcz Sepulveda i aresztowali za obrazę

sądu. Jako ofiara przestępstwa Reggie Campo pozostawała nietykalna, dopóki nie zajęła miejsca dla świadków. Dopiero wtedy była moja.

— Nie martw się — uspokoił mnie Levin. — Byłem dyskretny. Bardzo dyskretny. I cieszę się, że to zrobiłem. Albo te sińce i opuchlizna zdążyły już zniknąć, albo dobrze zamaskowała je makijażem, bo ta dama przyjmuje mnóstwo gości. Samych mężczyzn, w różnych porach wieczoru i nocy. Codziennie stara się umieścić w swoim karneciku co najmniej dwóch.

— Zaczepia ich w barach?

— Nie, siedzi w domu. To muszą być stali klienci, bo dobrze znają drogę. Mam parę numerów rejestracyjnych. Jeżeli będzie trzeba, mogę im złożyć wizytę i zadać kilka pytań. Zrobiłem parę zdjęć w podczerwieni, ale jeszcze nie rzuciłem na płytę.

— Nie, na razie wstrzymaj się z wizytami. Dziewczyna może się dowiedzieć. Musimy być bardzo ostrożni. Wszystko jedno, czy nabiera policję, czy nie.

Wypiłem kolejny łyk kawy, zastanawiając się, jak mam to rozegrać.

— Sprawdziłeś ją? Nienotowana?

— Zgadza się, czysta. Przypuszczam, że jest świeża w biznesie. Wiesz, ciężko jest dziewczynom, które chcą zostać aktorkami. Łatwo się załamują. Pewnie zaczęła przyjmować pomoc od facetów tu i tam, potem rozkręcił się z tego interes. Amatorka przeszła na zawodowstwo.

— I w raportach nie ma o tym ani słowa?

— Nie. Mówiłem ci, śledztwo jest dopiero na początku drogi. Przynajmniej na razie.

— Jeżeli awansowała z amatorki na profesjonalistkę, równie dobrze mogła się posunąć do wrobienia takiego faceta jak Roulet. Jeździ niezłym wozem, nieźle się ubiera... widziałeś jego zegarek?

— Tak, rolex. Jeżeli autentyk, to nosi na rękę z dziesięć kawałków. Mogła zauważyć przy barze. Może dlatego go wybrała.

Dotarliśmy z powrotem do sądu. Musiałem zawrócić w stronę

centrum. Spytałem Levina, gdzie zostawił samochód, i detektyw pokazał Earlowi parking.

— Wszystko świetnie — powiedziałem. — Ale to znaczy, że Louis skłamał nie tylko o studiach na UCLA.

— Owszem — zgodził się Levin. — Wiedział, że nie idzie się bawić za friko. Powinien ci o tym powiedzieć.

— Tak, ale teraz ja sobie z nim o tym pogadam.

Zatrzymaliśmy się przed parkingiem na Acacia. Levin wyciągnął z aktówki teczkę. Była do niej przymocowana gumką kartka papieru. Kiedy mi ją pokazał, zobaczyłem, że to faktura na prawie sześć tysięcy dolarów za osiem dni usług detektywistycznych plus wydatki. Biorąc pod uwagę to, co usłyszałem w ciągu pół godziny, była to okazyjna cena.

— Masz tu wszystko, o czym mówiłem, plus płytę z kopią wideo z Morgan's — powiedział Levin.

Z wahaniem wziąłem teczkę. Przyjmując ją, zgadzałem się na to, że będę musiał przekazać materiały oskarżeniu podczas ujawnienia dowodów. Nie przyjmując ich od Levina, zostawiałem sobie furtkę, pole manewru na wypadek starcia z prokuratorem.

Postukałem palcem w rachunek.

— Przekażę go Lornie i wyślemy ci czek — powiedziałem.

— Co u Lorny? Stęskniłem się za nią.

Kiedy byliśmy małżeństwem, Lorna nieraz ze mną jeździła i towarzyszyła mi na salach sądowych, przyglądając się procesom. Kiedy nie miałem kierowcy, sama siadała za kółkiem. Levin widywał ją wtedy znacznie częściej.

— Wszystko w porządku. Ciągłe jest tą samą Lorną.

Levin otworzył drzwi, ale nie wysiadał.

— Chcesz, żebym dalej pilnował Reggie?

Oto było pytanie. Gdybym się zgodził, nie mógłbym niczemu zaprzeczyć, gdyby coś poszło nie tak. Ponieważ już wiedziałem, co robi Levin. Po chwili wahania przytaknąłem.

— Bardzo dyskretnie. I nikomu tego nie zlecaj. Ufam tylko tobie.

- Nie musisz się martwić. Sam się tym zajmę. Coś jeszcze?
- Mańkut. Musimy się dowiedzieć, kim jest pan X, czy miał w tym jakiś udział, czy jest po prostu klientem.

Levin skinął głową i znów wymierzył w powietrzu cios.

- Zrobi się.

Nałożył ciemne okulary i wysiadł. Sięgnął po aktówkę i nieotwartą butelkę wody, po czym pożegnał się i zatrzasnął drzwi. Przyglądałem się, jak idzie przez parking, szukając swojego samochodu. Powinienem być w siódmym niebie po tym, co od niego usłyszałem. Wszystko sprzyjało mojemu klientowi. Wciąż jednak czułem dziwny niepokój, którego przyczyny nie potrafiłem zrozumieć.

Earl wyłączył muzykę i czekał na dyspozycje.

- Zabierz mnie do centrum, Earl.
- Nie ma sprawy — odparł. — Do karnych?
- Tak. Słuchaj, co to była za muzyka? Coś chyba słyszałem.
- Snoop. Trzeba go grać głośno.

Skinąłem głową. Rodowity mieszkaniec Los Angeles. I były oskarżony, który z zarzutem morderstwa stawiał czoło machinie i wyszedł z tej próby zwycięsko. Ulica nie mogła mieć lepszego źródła inspiracji.

- Earl? Jedź siedemset dziesiątą. Mamy mało czasu.



## Rozdział 12

Sam Scales był hollywoodzkim kanciarzem. Specjalizował się w oszustwach internetowych, wyludzając numery kart kredytowych i innych danych uwierzytelniających, które następnie sprzedawał podziemnemu rynkowi finansowemu. Kiedy pierwszy raz razem pracowaliśmy, został aresztowany za sprzedaż sześciuset numerów kart kredytowych wraz z towarzyszącymi im poufnymi informacjami — datami ważności, adresami, numerami ubezpieczeń i hasłami prawowitych właścicieli kart — podstawionemu zastępcy szeryfa.

Scales zdobył numery kart, wysyłając e-maile do pięciu tysięcy osób, które były na liście klientów firmy z Delaware sprzedającej przez Internet preparat odchudzający o nazwie TrimSlim6. Listę wykrał z komputera firmy haker współpracujący ze Scalesem. Korzystając z komputera w kawiarence internetowej w Kinko's i tymczasowego adresu e-mailowego, Scales rozesłał wiadomości do wszystkich osób z listy. Przedstawił się jako radca FDA, Urzędu do spraw Żywności i Leków, i poinformował ich, że koszty zakupu TrimSlim6 zostaną im zrefundowane ze względu na decyzję FDA o wycofaniu produktu z rynku. Podstawą były przeprowadzone przez urząd badania, które wykazały, że preparat nie miał właściwości odchudzających. Zawiadomił klientów, że jego producenci zgodzili się zwrócić koszty zakupu w zamian za

wycofanie zarzutu oszustwa. Zamieścił także w e-mailu instrukcję, jak otrzymać zwrot. Należało podać numer karty kredytowej, jej datę ważności i inne konieczne dane.

Spośród pięciu tysięcy odbiorców wiadomości sześciuset poknęło haczyk. Scales skontaktował się przez Internet z finansowym podziemiem i umówił się na transakcję z ręki do ręki — sześćset numerów kart i poufnych danych za dziesięć tysięcy dolarów w gotówce. Oznaczało to, że w ciągu kilku dni skradzione numery miały być wytłoczone na czystych kartach, które trafiłyby na rynek. Oszustwo mogło przynieść straty liczone w milionach dolarów.

Operacja została udaremniona w kawiarni w West Hollywood, gdzie Scales wręczył kupcowi wydruk i otrzymał grubą kopertę z gotówką. Kiedy wychodził z lokalu z kopertą i mrożoną bezkofeinową kawą z mlekiem, czekali na niego ludzie szeryfa. Okazało się, że sprzedał numery tajniakowi.

Scales zatrudnił mnie, abym wynegocjowałam ugodę. Miał wówczas trzydzieści trzy lata i czyste konto, mimo że wszystkie dowody wskazywały, iż nigdy nie splamił się legalną pracą. Skupiając uwagę prokuratora na kradzieży kart zamiast na potencjalnych stratach, jakie mogło spowodować oszustwo, zdołałem uzyskać wyrok odpowiadający oskarżonemu. Scales przyznał się do kradzieży danych osobowych i dostał rok w zawieszeniu, sześćdziesiąt dni pracy w stanowym wydziale transportu oraz cztery lata nadzoru sądowego.

To był pierwszy raz. Trzy lata temu. Sam Scales nie skorzystał z szansy, jaką dawał mu łagodny wyrok. Ponownie trafił do aresztu i bronilem go w sprawie o oszustwo — tak karygodne, że od początku było wiadomo, iż nie uda mi się go uchronić przed więzieniem.

Dwudziestego ósmego grudnia dwa tysiące czwartego roku Scales zarejestrował w Internecie domenę SunamiHelp.com na fikcyjną firmę. Na stronie głównej witryny zamieścił zdjęcia zniszczeń i ofiar tragedii, jaka rozegrała się dwa dni wcześniej,

gdy tsunami na Oceanie Indyjskim spustoszyło wybrzeża Indonezji, Sri Lanki, Indii i Tajlandii. Fotografiiom towarzyszył apel o wpłaty na konto SunamiHelp, które z kolei miało rozdysponować darowizny wśród licznych instytucji pomagających ofiarom katastrofy. Na stronie znalazło się również zdjęcie przystojnego białego mężczyzny przedstawionego jako wielobny Charles, który krzewił chrześcijaństwo w Indonezji. Wielobny Charles w osobistej notce apelował do internautów o dar serca.

Scales był cwany, ale nie aż tak. Nie chciał kraść darowizn przekazywanych na konto witryny. Chciał tylko skraść numery i informacje o kartach kredytowych. W śledztwie po jego aresztowaniu odkryto, że wszystkie wpłaty były kierowane do Amerykańskiego Czerwonego Krzyża i rzeczywiście przeznaczono je na rzecz pomocy dla ofiar tsunami.

Ale numery kart kredytowych, za pomocą których wpłacano pieniądze, trafiły do podziemnej finansjery. Scales został aresztowany, gdy witrynę znalazł detektyw z wydziału do spraw oszustw Departamentu Policji Los Angeles, Roy Wunderlich. Wiedząc, że katastrofy zawsze przyciągają tłumy hochsztaplerów, Wunderlich zaczął wpisywać różne adresy internetowe, w których w słowie „tsunami” był jakiś błąd ortograficzny. Znalazł kilka legalnych stron zbierających fundusze na pomoc, próbował więc wpisywać przeróżne warianty ich adresów, celowo robiąc błąd. Przypuszczał, że zakładając fałszywe strony, oszuści napiszą „tsunami” błędnie, aby znaleźć potencjalne ofiary wśród osób o niskim wykształceniu. SunamiHelp.com była jedną z kilku podejrzanych witryn znalezionych przez detektywa. Większością zajęła się specjalna grupa FBI powołana w celu kontroli tego procederu w skali kraju. Kiedy jednak Wunderlich sprawdził podmiot rejestrujący domenę Sunami-Help.com, odkrył numer skrytki pocztowej w Los Angeles. Podejrzany działał w jego rejonie. Detektyw postanowił zostawić SunamiHelp.com sobie.

Skrytka pocztowa okazała się martwym adresem, ale to nie

zraziło Wunderlicha. Wypuścił sondę, czyli innymi słowy dokonał zakupu kontrolowanego, a w tym wypadku kontrolowanej darowizny.

Podany przez detektywa numer karty kredytowej miał być monitorowany dwadzieścia cztery godziny na dobę przez oddział Visy zajmujący się oszustwami, który miał natychmiast zawiadomić Wunderlicha, gdy tylko zostanie dokonana jakaś transakcja z obserwowanego konta. Po trzech dniach od wpłacenia darowizny ktoś zapłacił kartą o tym numerze jedenaście dolarów za lunch w restauracji Gumbo Pot w Farmers Market przy Fairfax i Trzeciej. Wunderlich wiedział, że to tylko próbna transakcja. Coś taniego, co nabywca bez trudu mógł kupić za gotówkę, gdyby wynikły jakies kłopoty z płatnością kartą.

Kiedy transakcja w restauracji została zaakceptowana, Wunderlich wraz z czterema detektywami z wydziału oszustw wyruszyli do Farmers Market, rozległego centrum handlowo-usługowego z mnóstwem starych i nowych sklepów i lokali, które zawsze było zatłoczone, dlatego świetnie nadawało się na teren działania kanciarzy z podrobioną kartą kredytową. Policjanci mieli zająć pozycję w całym kompleksie i czekać, podczas gdy Wunderlich słuchał przez telefon komunikatów o użyciu karty.

Dwie godziny po pierwszej transakcji numer pojawił się przy okazji zakupu skórzanej kurtki za sześćset dolarów w Nordstrom. Uwierzytelnienie karty trwało dość długo, lecz została zaakceptowana. Detektywi wkroczyli do akcji i aresztowali młodą kobietę, która właśnie kupiła kurtkę. Sprawa zmieniła się w tak zwany łańcuszek — policja szła od podejrzanego do podejrzanego, a aresztowania następowały jedno po drugim, zmierzając coraz wyżej.

Wreszcie dotarli do człowieka siedzącego na samym szczycie piramidy, Sama Scalesa. Kiedy o sprawie zaczęto pisać w prasie, Wunderlich nazwał podejrzanego „Svengali Tsunami” — od powieściowego hipnotyзера — ponieważ ofiarą oszusta padły w większości kobiety, które chciały pomóc przystojnemu pastorowi

ze zdjęcia na stronie internetowej. Przydomek denerwował Scalesa, który w rozmowach ze mną mówił o detektywie „Wunderkind”.

Dotarłem do wydziału 124 na trzynastym piętrze budynku sądów karnych o dziesiątej czterdzieści pięć, ale sala sądowa była pusta, jeśli nie liczyć Marianne, asystentki sędzi. Przeszedłem przez barierkę i stanąłem przy jej biurku.

— Nie idą dzisiaj sprawy z wokandy? — zapytałem.

— Czekamy na ciebie. Zaraz wszystkich wezwę i zawiadomię sędzię.

— Jest na mnie zła?

Marianne wzruszyła ramionami. Nie chciała mówić w imieniu sędzi. Zwłaszcza w rozmowie z adwokatem. Ale na swój sposób poinformowała mnie, że sędzia nie jest zbyt zadowolona.

— Scales jeszcze jest?

— Powinien być. Nie wiem tylko, gdzie poszedł Joe.

Odwróciłem się, poszedłem do stołu obrony i usiadłem.

W końcu drzwi do aresztu się otworzyły i do sali wkroczył Joe Frey, woźny przydzielony do wydziału 124.

— Masz tam jeszcze mojego klienta?

— Za chwilę już by go nie było. Myśleliśmy, że znowu się nie pokażesz. Chcesz wejść?

Przytrzymał stalowe drzwi i wszedłem do małego pomieszczenia, z którego schody prowadziły do głównego aresztu na czternastym piętrze, a dwoje drzwi do mniejszych cel wydziału 124. W jednych drzwiach było oszklone okienko. Ta cela służyła do spotkań adwokata z klientem i przez szybę ujrzałem Sama Scalesa siedzącego samotnie przy stole. Był ubrany w pomarańczowy kombinezon i miał skute ręce. Nie udzielono mu zgody na zwolnienie za kaucją, ponieważ ostatnie aresztowanie nastąpiło podczas obowiązywania nadzoru sądowego za sprawę TrimSlim6. Fantastyczna ugoda, którą wtedy wynegocjowałem, miała się okazać niewarta funta kłaków.

— Nareszcie — powiedział Scales, gdy wszedłem do celi.

— Chyba nigdzie się nie wybierasz. Jesteś gotowy?

— Jeżeli nie mam wyboru.

Usiadłem naprzeciw niego.

— Sam, zawsze masz wybór. Wyjaśnię ci jeszcze raz. Mają cię na widelcu. Przyłapali cię na obrabianiu ludzi, którzy chcieli pomóc ofiarom jednej z największych katastrof żywiołowych w historii. Mają trzech współników, którzy poszli na ugodę, żeby zeznawać przeciwko tobie. Mają znaną u siebie listę numerów kart. Chcę ci tylko powiedzieć, że kiedy w końcu staniesz przed sędzią i przysięgłymi — gdyby był proces — wzbudzisz w nich tyle współczucia co gwałciciel dzieci. Może nawet mniej.

— Wiem, ale mogę być pożyteczny dla społeczeństwa. Mógłbym uczyć ludzi. W szkole, w klubach. Gdybyś załatwił mi dozór, mówiłbym ludziom, na co powinni uważać.

— Powinni uważać na takich jak ty. Ostatnim razem zmarnowałeś szansę i prokurator powiedział, że to ostateczna propozycja. Jeżeli jej nie przyjmiesz, pójdą na całość. Gwarantuję ci, że możesz nie liczyć na żadną litość.

Mam wielu klientów podobnych do Sama Scalesa. Rozpaczliwie wierzą, że za drzwiami pali się światło. I to ja muszę im mówić, że drzwi są zamknięte, zresztą żarówka i tak dawno się już przepaliła.

— No to chyba muszę — rzekł Scales, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakbym to ja był winien, że nie ma innego wyjścia.

— Wybór należy do ciebie. Chcesz procesu, będzie proces. Oskarzenie zażąda dziesięciu lat plus okres, jaki ci został do końca dozoru. Jeżeli naprawdę ich wkurzysz, mogą cię jeszcze wysłać do FBI, a federalni dorzucą międzystanowe oszustwo internetowe.

— Chcę cię o coś spytać. Jakby był proces, to możemy wygrać?

Omali się nie roześmiałem, ale wciąż tliły się we mnie resztki współczucia.

— Nie, Sam, nie możemy wygrać. Nie słuchałeś tego, co od

dwóch miesięcy wbijam ci do głowy? Mają cię. Nie możesz wygrać. Ale zrobię, czego sobie zażyczysz. Jak mówiłem, będziesz chciał procesu, nie ma sprawy. Tylko muszę ci powiedzieć, że jeśli się zdecydujesz, twoja matka musi mi znowu zapłacić. Masz mnie tylko do dzisiaj.

— Ile ci już zapłaciła?

— Osiem tysięcy.

— Osiem kawałków! Kurwa, to z jej emerytury!

— Dziwne, że coś jej jeszcze zostało, jeżeli ma takiego syna.

Zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem.

— Przepraszam, Sam. Nie powinienem tego mówić. Twoja matka twierdziła, że jesteś dobrym synem.

— Jezu Chryste, powinienem iść na prawo. Wiesz co, Haller, jesteś takim samym oszustem jak ja. Tylko działasz legalnie, bo masz papiery.

Klienci zawsze obwiniają adwokata, że zarabia na życie. Jak gdyby żądanie zapłaty za pracę było przestępstwem. Gdyby Scales powiedział mi coś takiego, gdy byłem rok czy dwa po studiach, zareagowałbym bardzo gwałtownie. Ale słyszałem podobne obelgi już tyle razy, że nauczyłem się nie zwracać na nie uwagi i robić swoje.

— Co ci mogę powiedzieć, Sam? Nieraz już o tym rozmawialiśmy.

Skinął głową. Nie odezwałem się, uznając jego gest za zgodę na ofertę prokuratora. Cztery lata w więzieniu stanowym i dziesięć tysięcy dolarów grzywny, a potem pięć lat zwolnienia warunkowego. Scales wyjdzie po dwóch i pół roku, ale dla urodzonego oszusta warunek był zbyt dotkliwą karą, by mógł ją wytrzymać, nie naruszając wymogów zwolnienia. Po kilku minutach wstałem i wyszedłem z celi. Zapukałem do drzwi i zastępca szeryfa Frey wpuścił mnie z powrotem do sali sądowej.

— Jest gotowy — powiedziałem.

Zająłem swoje miejsce przy stole obrony, a po chwili Frey przyprowadził Scalesa i posadził koło mnie. Mój klient wciąż

miał kajdanki. Milczał. Kilka minut później ze swojego gabinetu na piętnastym piętrze zszedł Glenn Bernasconi, prokurator przydzielony do wydziału 124. Poinformowałem go, że zgadzamy się na rozstrzygnięcie sprawy w drodze ugody i akceptujemy warunki.

O jedenastej z gabinetu wyszła sędzia Judith Champagne, zajmując swoje miejsce, a Frey zarządził ciszę na sali. Sędzia była drobną, atrakcyjną blondynką, eksprokuratorem, która zajmowała fotel sędziowski co najmniej od początku mojej praktyki. Reprezentowała dawną szkołę, sądząc sprawiedliwie, choć surowo, a salę traktowała jak swoje lenno. Czasem zjawiała się na rozprawach ze swoim psem, owczarkiem niemieckim o imieniu Justice. Gdyby sędzia miała swobodę decyzji w wydaniu wyroku na Sama Scalesa, dla mojego klienta nie byłoby ratunku. Mimo że Sam Scales chyba sobie nawet nie zdawał z tego sprawy, negocjując ugodę, uchroniłem go od tragedii.

— Dzień dobry — powiedziała sędzia. — Cieszę się, że dziś znalazł pan dla nas czas, panie Haller.

— Przepraszam, Wysoki Sądzie. Sędzia Flynn zatrzymał mnie trochę dłużej w Compton.

Nie musiałem niczego dodawać. Sędzia wiedziała, kim jest Flynn. Zresztą wszyscy wiedzieli.

— I to akurat w dzień świętego Patryka — zauważyła.

— Owszem, Wysoki Sądzie.

— Rozumiem, że zawarto ugodę w sprawie Svengali Tsunami.

Natychmiast spojrzała na protokółantkę.

— Michelle, wykreśl to ostatnie.

Popatrzyła na prawników.

— Rozumiem, że zawarto ugodę w sprawie Scalesa. Czy tak?

— Tak — odparłem. — Jesteśmy gotowi do wysłuchania wyroku.

— To dobrze.

Bernasconi, częściowo czytając, częściowo recytując z pamięci, wygłosił wszystkie formułki konieczne do przyznania się do



winy przez oskarżonego. Scales odstąpił od swoich praw i przyznał się do postawionych zarzutów. Nie powiedział nic więcej. Sędzia zaakceptowała ugodę i odczytała wyrok.

— Ma pan szczęście, panie Scales — dodała. — Odnoszę wrażenie, że pan Bernasconi okazał panu wyjątkową wielkoduszność. Ja potraktowałabym pana inaczej.

— Nie nazwałbym tego szczęściem, Wysoki Sądzie — powiedział Scales.

Frey stuknął go lekko w plecy. Scales wstał i odwrócił się do mnie.

— Chyba koniec — powiedział.

— Powodzenia, Sam — odrzekłem.

Odprowadzałem go wzrokiem, gdy eskortowano go do stalowych drzwi. Na pożegnanie nie podałem mu ręki.

## Rozdział 13

Civic Center w Van Nuys to długi betonowy plac otoczony rządowymi budynkami. Z jednego końca zamyka go komenda policji w Van Nuys. Wzdłuż placu wznoszą się dwa gmachy sądowe, a naprzeciwko biblioteka publiczna i budynek administracji miejskiej. Po drugiej stronie betonowo-szklanego tunelu stoi budynek administracji federalnej i poczta. Siedziałem na betonowej ławce przed biblioteką, czekając na Louisa Rouleta. Dziedziniec był pustawy mimo wspaniałej pogody. Wyglądał zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia, gdy kłębił się tu tłum dziennikarzy z kamerami i mikrofonami, którzy jak muchy otaczali Roberta Blake'a i jego prawników, usiłując wydobyć z niego wypowiedź potwierdzającą, że wyrok uniewinniający oznacza prawdziwą niewinność.

Było ładne, spokojne popołudnie. Zwykle lubiłem przebywać na powietrzu. Na ogół pracuję w pozbawionych okien salach sądowych lub na tylnym siedzeniu lincolna, kiedy więc tylko mogę, uciekam na dwór. Tym razem jednak nie zwracałem uwagi ani na ciepły wietrzyk, ani na świeże powietrze. Denerwowałem się, bo Louis Roulet się spóźnił i dlatego, że wciąż jak bolesny cierń tkwiły we mnie słowa Sama Scalesa, który nazwał mnie oszustem z papierami. Kiedy wreszcie ujrzałem Rouleta idącego przez plac, zerwałem się z ławki.

— Gdzie byłeś? — spytałem ostro.

— Mówiłem, że przyjadę jak najszybciej. Kiedy dzwoniłeś, właśnie pokazywałem klientowi dom.

— Przejdźmy się.

Ruszyłem w kierunku budynku federalnego, ponieważ była to najdłuższa trasa, jaką mogliśmy pokonać bez zawracania. Za dwadzieścia pięć minut w starszym z gmachów sądowych miałem umówione spotkanie z Mintonem, nowym prokuratorem, który przejął sprawę. Uświadomiłem sobie, że nie wyglądamy jak adwokat z klientem omawiający strategię obrony, ale raczej jak prawnik i pośrednik handlu nieruchomościami dyskutujący o możliwości zajęcia ziemi. Miałem na sobie garnitur od Hugo Bossa, a Roulet zielony golf i jasnobrązową marynarkę oraz mokasyny ze srebrnymi sprzączkami.

— W Pelican Bay nie będzie żadnych pokazów domów — powiedziałem.

— Co to znaczy? Gdzie to jest?

— Tak się nazywa więzienie o najostrzejszym rygorze, w którym trzymają sprawców brutalnych przestępstw seksualnych. Bardzo ładnie będziesz się tam prezentował w tym golfie i mokasynach.

— Coś się stało? O co ci chodzi?

— O to, że żaden klient nie może kłamać adwokatowi. Za dwadzieścia minut mam spotkanie z człowiekiem, który chce cię wysłać do Pelican Bay. Żeby cię przed tym uchronić, muszę wiedzieć wszystko, co się da, a nie ułatwiasz mi pracy, kiedy mnie okłamujesz.

Roulet zatrzymał się i spojrzał na mnie. Uniósł ręce w geście, który mówił, że nie ma nic do ukrycia.

— Nie okłamałem cię! Naprawdę nie. Nie wiem, czego chce ta kobieta, ale...

— Odpowiedz mi na jedno pytanie, Louis. Ty i Dobbs powiedzieliście, że przez rok studiowałaś prawo na UCLA, prawda? Nie nauczyli cię niczego o zasadzie zaufania między adwokatem a klientem?

— Nie wiem. Nie pamiętam. Krótko byłem na prawie.

Zrobiłem krok w jego stronę, naruszając jego strefę prywatną.

— Widzisz? Właśnie to jest to cholerne kłamstwo. Nie byłeś na prawie. Nie studiowałeś w UCLA ani przez rok, ani przez jeden dzień.

Opuścił dłonie i klepnął się w uda.

— Tylko o to chodzi, Mickey?

— Tak, o to, poza tym nie nazywaj mnie więcej Mickey. Tak mówią do mnie tylko przyjaciele. Nie klienci łgarze.

— Co to ma wspólnego ze sprawą, czy dziesięć lat temu byłem, czy nie byłem na prawie? Nie rozumiem...

— Bo jeżeli skłamałeś o jednym, możliwe, że skłamiesz o czymkolwiek. Jeżeli mam cię bronić, nie mogę na to pozwolić.

Powiedziałem to zbyt głośno. Zobaczyłem siedzące na ławce dwie kobiety, które przyglądały się nam z uwagą. Do bluzek miały przypięte plakietki przysięgłych.

— Chodźmy tędy.

Zawróciłem, kierując się w stronę komendy policji.

— Posłuchaj — powiedział cicho Roulet. — Skłamałem ze względu na matkę, rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem. Wyjaśnij.

— Moja matka i Cecil myślą, że przez rok studiowałem prawo. Chcę, żeby dalej w to wierzyli. Cecil wspomniał o tym w rozmowie, a ja po prostu mu przytaknąłem. Ale to było dziesięć lat temu! Co w tym złego?

— To, że mnie okłamujesz — odrzekłem. — Kłamać możesz matce, Dobbsowi, księdzu i policji. Ale kiedy ja cię o coś pytam, nie kłam. Muszę działać, opierając się na faktach. Niezaprzeczalnych faktach. Dlatego kiedy zadaję ci pytanie, mów prawdę. W każdej innej sytuacji możesz mówić, co ci się żywnie podoba.

— Dobrze już, dobrze.

— No więc skoro nie poszedłeś na uniwersytet, gdzie byłeś? Roulet pokręcił głową.

— Nigdzie. Po prostu nic przez rok nie robiłem. Przeważnie

siedziałem w swoim mieszkaniu niedaleko kampusu, czytałem i zastanawiałem się, co właściwie chcę w życiu robić. Byłem tylko pewien, że nie chcę zostać prawnikiem. Bez obrazu.

— Nie czuję się obrażony. Czyli przez rok siedziałeś na tyłku, a potem zacząłeś sprzedawać bogaczom nieruchomości.

— Nie, to było później.

Zaśmiał się z zażenowaniem.

— Postanowiłem zostać pisarzem — na college'u studiowałem literaturę — i próbowałem napisać powieść. Zaraz się jednak zorientowałem, że nie dam rady. W końcu dałem spokój i zacząłem pracować u matki. Ona tak chciała.

Uspokoilem się. Zresztą i tak złościłem się głównie na pokaz. Staralem się go zmiękczyć przed ważniejszymi pytaniami. Uznałem, że już przyszedł na nie czas.

— Skoro już ruszyło cię sumienie i do wszystkiego się przyznajesz, opowiedz mi o Reggie Campo.

— Co mam ci o niej powiedzieć?

— Miałeś jej zapłacić za seks, zgadza się?

— Dlaczego twierdzisz, że...

Nie pozwoliłem mu dokończyć, łapiąc go za kłapy drogiej marynarki. Był wyższy i lepiej ode mnie zbudowany, ale w tej rozmowie to ja byłem górą. Natarłem na niego.

— Kurwa, odpowiedz na pytanie.

— W porządku, tak. Miałem jej zapłacić. Ale skąd o tym wiesz?

— Bo jestem cholernie dobrym adwokatem. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym pierwszego dnia? Nie rozumiesz, jak to zmienia sprawę?

— Przez matkę. Nie chciałem, żeby wiedziała, że... no wiesz.

— Louis, usiądźmy.

Zaprowadziłem go do jednej z długich ławek przed komendą policji. Było tu dużo miejsca i nikt nie mógł nas usłyszeć. Usiadłem na środku ławki, a Roulet po mojej prawej ręce.

— Matki nie było już w biurze, kiedy rozmawialiśmy o sprawie. Wydaje mi się też, że nie było jej wcześniej, gdy wypląnął

temat twoich studiów.

— Ale był Cecil, a on wszystko jej powtarza.

Skinąłem głową, odnotowując w pamięci, aby od tej chwili wyłączyć Cecila Dobbsa z kręgu osób wtajemniczonych w szczegóły sprawy.

— W porządku, chyba rozumiem. Ale kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć? Nie rozumiesz, że to wszystko zmienia?

— Nie jestem prawnikiem.

— Louis, opowiem ci, jak działa cały ten mechanizm. Wiesz, kim naprawdę jestem? Neutralizatorem. Moim zadaniem jest neutralizacja oskarżenia. Muszę wziąć każdy dowód i wykombinować, jak go wyeliminować ze sprawy. Podobnie jak magicy na promenadzie w Venice. Widziałeś tam kiedyś faceta, który kręci talerzami na patykach?

— Chyba tak. Dawno tam nie byłem.

— Nieważne. Magik ma takie cienkie długie patyki, na których ustawia talerze i zaczyna nimi kręcić, żeby utrzymywały równowagę. Wiele talerzy wiruje jednocześnie i magik co chwila sprawdza, czy wszystkie są na miejscu i utrzymują równowagę. Kumaszą?

— Tak. Rozumiem.

— Tak właśnie wygląda oskarżenie, Louis. Jak kilka wirujących talerzy. Każdy z nich to dowód przeciwko tobie. Moje zadanie polega na tym, żeby zatrzymać każdy talerz i rzucić nim o ziemię, żeby roztrzaskał się w drobny mak i nie nadawał się do użytku. Jeżeli na niebieskim talerzu jest krew ofiary na twoich rękach, muszę znaleźć sposób, żeby go rozbić. Jeżeli na żółtym jest nóż z twoimi odciskami palców, ten też muszę stracić. Zneutralizować. Nadążasz?

— Tak, nadążam, Ale...

— A pośrodku tego lasu talerzy na patykach kręci się największy. Wielki półmisek. I jeśli skurczybyk spadnie, pociągnie za sobą resztę. Każdy talerzyk. Cała sprawa runie w gruzy. Wiesz, co jest tym półmiskiem, Louis?

Przecząco pokręcił głową.

— Półmisek to ofiara, główny świadek oskarżenia. Jeżeli uda się strącić półmisek, to koniec numeru i gapie idą dalej.

Czekałem na jego reakcję. Roulet milczał.

— Louis, prawie przez dwa tygodnie ukrywałeś przede mną sposób na strącenie półmiska. Pytanie tylko dlaczego. Dlaczego człowiek z pieniędzmi, z roleksem na rękę, porsche na parkingu i domem w Holmby Hills używałby noża, żeby nakłonić do seksu kobietę, która i tak się sprzedaje? Kiedy wszystko sprowadzisz do tego pytania, sprawa zaczyna się chwiać, bo odpowiedź jest bardzo prosta. Nie musiałby tego robić. Tak podpowiada zdrowy rozsądek. Jeśli dojdiesz do takiego wniosku, wszystkie talerze przestają wirować. Widzisz pułapkę, widzisz, że zostałeś wrobiony, i teraz oskarżony zaczyna wyglądać jak ofiara.

Spojrzałem na niego. Skinął głową.

— Przepraszam — powiedział.

— I słusznie — odparłem. — Sprawa mogła się rozwiązać prawie dwa tygodnie temu i pewnie nie siedzielibyśmy tu teraz, gdybyś od początku był ze mną szczery.

W tym momencie zorientowałem się, jakie jest prawdziwe źródło mojego gniewu. Nie chodziło o to, że Roulet się spóźnił, że skłamał ani o to, że Sam Scales nazwał mnie oszustem z papierami. Zżerała mnie złość, bo uświadomiłem sobie, że licencja wymyka mi się z rąk. Nie będzie procesu, nie będzie sześciocyfrowego honorarium. Będę miał szczęście, jeżeli uda mi się zatrzymać całą zaliczkę, jaką dostałem na początku. Sprawa zakończy się jeszcze dzisiaj, gdy wejdę do prokuratury i powiem Tedowi Mintonowi, co wiem i jakie mam dowody.

— Przepraszam — jęknął znowu Roulet. — Nie chciałem tak namieszać.

Spoglądałem na ziemię pod swoimi nogami. Nie patrząc na niego, położyłem mu rękę na ramieniu.

— Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem.

— To co teraz zrobimy?

— Muszę ci zadać jeszcze kilka pytań na temat tamtego wieczoru, a potem wejdę do tego budynku, spotkam się z prokuratorem i strącę wszystkie talerze. Kiedy wyjdę, pewnie będzie po wszystkim i będziesz mógł dalej pokazywać rezydencje bogaczom.

— Tak po prostu?

— Formalnie rzecz biorąc, prokurator może ci kazać pójść do sądu i poprosić sędziego, żeby oddalił sprawę.

Roulet w zdumieniu otworzył usta.

— Michael, nie wiem, jak mam ci...

— Możesz do mnie mówić Mickey. Przepraszam za tamto.

— W porządku. Dziękuję. O co chcesz mnie jeszcze zapytać?

Zastanowiłem się przez chwilę. Właściwie przed spotkaniem z Mintonem nie potrzebowałem już niczego więcej. Byłem zwarty i gotowy. Miałem chodzący dowód.

— Co tam było napisane? — spytałem.

— Gdzie?

— Na serwetce, którą ci dała w Morgan's.

— Och, jej adres, a pod spodem napisała „czterysta dolarów” i „przyjdź po dziesiątej”.

— Szkoda, że nie ma tej serwetki. Ale powinno wystarczyć to, co jest.

Pokiwałem głową i spojrzałem na zegarek. Do umówionej godziny wciąż miałem piętnaście minut, ale skończyłem rozmowę z Rouletem.

— Możesz już iść, Louis. Zadzwoń, kiedy będzie po wszystkim.

— Na pewno? Mogę zaczekać, jeżeli chcesz.

— Nie wiem, ile czasu to zajmie. Muszę mu to wszystko wyłożyć. Być może będzie chciał iść z tym do szefa. To trochę potrwa.

— No dobrze, w takim razie chyba pójdę. Ale zadzwonisz?

— Tak, zadzwonię. Prawdopodobnie w poniedziałek albo we wtorek pójdziemy do sędziego.

Wyciągnął do mnie rękę, którą uścisnąłem.



— Dzięki, Mick. Jesteś najlepszy. Kiedy się zjawiłeś, wiedziałem, że mam najlepszego adwokata.

Patrzyłem za nim, gdy przecinał dziedziniec, idąc między gmachami sądów w stronę podziemnego parkingu.

— Tak, jestem najlepszy — powiedziałem do siebie.

Poczułem czyjąś obecność i kiedy się odwróciłem, zobaczyłem jakiegoś mężczyznę siedzącego na tej samej ławce. On także na mnie spojrzał i równocześnie rozpoznaliśmy się nawzajem. To był Howard Kurlen, detektyw z wydziału zabójstw komendy Van Nuys. Zetknęliśmy się kilka razy przy okazji różnych spraw.

— Proszę, proszę — rzekł Kurlen. — Oto duma korporacji adwokackiej Kalifornii we własnej osobie. Mówi pan do siebie?

— Być może.

— Gdyby to się rozniosło, mógłby pan mieć problemy zawodowe.

— Jakoś się tym nie przejmuję. Co u pana, detektywie?

Kurlen rozpakowywał kanapkę wyciągniętą z brązowej torebki.

— Dużo pracy. Ledwie znalazłem chwilę na lunch.

Wyłuskał z papieru kanapkę z masłem orzechowym. Na masle dostrzegłem warstwę czegoś jeszcze, ale to nie był dżem. Nie potrafiłem tego zidentyfikować. Zerknąłem na zegarek. Zostało mi jeszcze kilka minut, zanim będę musiał stanąć w kolejce do wykrywacza metalu przy wejściu do sądu, ale nie byłem pewien, czy chcę spędzić ten czas w towarzystwie Kurlena i jego wstrętnej kanapki. Przyszło mi do głowy, żeby poruszyć temat wyroku Blake'a, lekko wbijając szpilę policji, ale to Kurlen pierwszy wbił szpilę.

— Jak się miewa mój znajomy Jesus? — zapytał detektyw.

Kurlen prowadził sprawę Jesusa Menendez. Tak go załatwił, że Menendez nie miał wyboru i musiał się przyznać, modląc się o łut szczęścia. Mimo to dostał dożywocie.

— Nie wiem — odrzekłem. — Nie spotykam się już z Jesusem.

— Tak, kiedy już pójdą na ugodę i wyjadą na północ, przestaje się pan pewnie nimi interesować. Żadnych widoków na apelację, żadnej roboty.

Skinąłem głową. Wszyscy gliniarze są uprzedzeni do adwokatów. Jak gdyby wierzyli, że sami wszystkie śledztwa prowadzą wzorowo i niczego nie można im zarzucić. Nie wierzyli w system sprawiedliwości oparty na mechanizmie równowagi.

— Chyba tak jak pan — powiedziałem. — Po prostu biorę następną sprawę. Mam nadzieję, że skoro ma pan dużo pracy, to szykuje pan dla mnie nowego klienta.

— Nie myślę o tym w ten sposób. Zastanawiam się jednak, czy dobrze pan spija.

— A wie pan, nad czym ja się zastanawiam? Z czym, do diabła, ma pan tę kanapkę?

Detektyw pokazał mi zawartość niedojedzonego lunchu.

— Z masłem orzechowym i sardynkami. Dużo zdrowego białka, żebym miał siły na łapanie drani. I rozmowę z nimi. Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Sypiam dobrze, detektywie. Wie pan dlaczego? Bo mam ważne zadanie w systemie. Potrzebne — podobnie jak pan. Kiedy ktoś zostaje oskarżony o przestępstwo, ma okazję wypróbować system. Jeżeli chce to zrobić, przychodzi do mnie. I tylko o to w tym chodzi. Kiedy człowiek to zrozumie, nie ma kłopotów ze snem.

— Ładna historyjka. Mam nadzieję, że pan w nią wierzy, kiedy zamyka pan oczy.

— A pan, detektywie? Zastanawiał się pan kiedyś przed snem, czy nie zdarzyło się panu przymknąć niewinnego człowieka?

— Nie — odrzekł szybko z pełnymi ustami. — Nigdy. I nigdy tak nie pomyślę.

— Taka pewność musi być miła.

— Ktoś mi kiedyś powiedział, że kiedy człowiek znajdzie się

na końcu swojej drogi, powinien popatrzeć na stos drewna, z którego korzysta cała jego wspólnota, i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy w życiu więcej do niego dołożył, czy z niego wziął. Ja dokładam do stosu, Haller. Dobrze sypiam. Ale zastanawiam się nad takimi jak pan. Wszyscy adwokaci tylko bierzecie z tego wspólnego stosu.

— Dziękuję za kazanie. Przypomnę sobie, kiedy będę rąbał drewno.

— Jeżeli się panu nie podoba, to opowiem panu dowcip. Jaka jest różnica między adwokatem a sumem?

— Hm, nie wiem, detektywie.

— Pierwszy to śliskie bydlę żerujące w mętnej wodzie, a drugie to ryba.

Ryknął gromkim śmiechem. Wstałem. Musiałem już iść.

— Mam nadzieję, że umyje pan zęby po zjedzeniu czegoś takiego — powiedziałem. — Nie chciałbym być w skórze pańskiego partnera.

Odszedłem, rozmyślając o tym, co mówił o wspólnym stosie drewna i słowach Sama Scalesa o oszuście z papierami. Dostawało mi się dzisiaj od wszystkich.

— Dzięki za radę! — zawołał za mną Kurlen.

## Rozdział 14

Ted Minton umówił się ze mną na naradę w sprawie Rouleta na taką godzinę, żeby zastępca prokuratora okręgowego, który dzielił z nim gabinet, był w tym czasie na rozprawie, tak więc mogliśmy spokojnie porozmawiać. Minton przywitał mnie już w poczekalni. Wyglądał na niewiele więcej niż trzydzieści lat, ale jego zachowanie zdradzało dużą pewność siebie. Prawdopodobnie miałem nad nim przewagę dziesięciu lat i stu procesów, jednak Minton nie okazywał mi przesadnego szacunku. Sprawiał wrażenie, jak gdyby traktował nasze spotkanie jak zło konieczne. Nie miałem nic przeciwko temu. To było normalne. Miałem pełny bak.

Kiedy weszliśmy do małego, pozbawionego okien gabinetu, Minton wskazał mi miejsce swojego partnera i zamknął drzwi. Usiedliśmy i spojrzeliśmy na siebie. Pozwoliłem mu zacząć.

— Najpierw chciałem pana poznać — powiedział. — Właściwie dopiero rozpoczynam pracę w Dolinie i nie zdążyłem jeszcze spotkać zbyt wielu tutejszych adwokatów. Wiem, że pracuje pan w całym okręgu, ale nie mieliśmy okazji się wcześniej zetknąć.

— Może dlatego, że dotąd nie skarżył pan w zbyt wielu procesach o ciężkie przestępstwa.

Uśmiechnął się i skinął głową, jak gdybym zdobył jakiś punkt.

— Być może — odrzekł. — Muszę jednak panu powiedzieć, że kiedy studiowałem prawo na USC, czytałem książkę o pańskim ojcu i jego sprawach. Miała tytuł *Haller w imieniu obrony* czy jakoś tak. Ciekawy człowiek i ciekawe czasy.

Przytaknąłem.

— Zmarł, zanim zdążyłem go naprawdę poznać, ale jest o nim parę książek i wszystkie przeczytałem po kilka razy. Przypuszczam, że dlatego robię to, co robię.

— Poznawać ojca z książek... to musiało być dla pana trudne.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem ochoty wchodzić z Mintonem w tak zażyłe stosunki, zwłaszcza że szykowałem mu coś nieprzyjemnego.

— Cóż, tak się zdarza — rzekł.

— Tak.

Klasnął w dłonie gestem oznaczającym „przejdźmy do rzeczy”.

— No dobrze, powodem naszego spotkania jest Louis Roulet.

— Wymawia się „ru-lej”.

— Niech będzie, „ruu-lej”. Mam tu coś dla pana.

Odwrócił się do biurka, wziął z niego cienką teczkę i podał mi.

— Chcę grać fair. Znajdzie tu pan najświeższe dowody.

Wiem, że ujawnienie powinno nastąpić dopiero po odczytaniu aktu oskarżenia, ale co tam, nie będziemy się bawić w formalności.

Z doświadczenia wiem, że jeśli prokurator zapowiada grę fair, lepiej uważać. Przejrzałem zawartość teczki, niczego jednak nie czytając. Teczka, którą dostałem od Levina, była co najmniej cztery razy grubsza. Nie ucieszyłem się, że Minton powiedział tak niewiele. Podejrzywałem, że ukrywa coś w zanadrzu. Większość prokuratorów każe czekać na ujawnienie dowodów, o które trzeba się tak długo dopominać, że czasem jedynym wyjściem jest złożenie skargi u sędziego. A Minton bez żadnych ceregieli przekazał mi przynajmniej część materiałów. Albo musiał się jeszcze wiele

nauczyć o oskarżaniu w procesach karnych, albo było to jakieś chytre zagranie.

— To wszystko? — zapytałem.

— Wszystko, co mam.

Typowy ruch. Kiedy prokurator nic nie miał, mógł odwlekać udostępnienie dowodów obronie w nieskończoność. Przekonałem się — będąc mężem prokuratora — że nakłanianie policji przez prokuratora, aby nie spieszyła się z gromadzeniem dokumentów, nie jest niczym niezwykłym. Następnie oskarżyciel oświadczał obronie, że chce grać fair, po czym przekazywał materiał, w którym nie było praktycznie nic. Adwokaci często nazywali zasady ujawnienia zasadami ujajenia. Reguła oczywiście działała w obu kierunkach. Ujawnienie miało być procesem dwustronnym.

— I z tym chce pan iść na proces?

Machnąłem teczką, jak gdybym chciał zademonstrować, że jest tak cienka jak dowody oskarżenia.

— O dowody jestem spokojny. Ale jeśli chce pan rozmawiać o porozumieniu, proszę bardzo.

— Nie, ugoda nie wchodzi w rachubę. Zagramy ostro. Rezygnujemy ze wstępnego i od razu idziemy na proces. Nie ma na co czekać.

— Klient nie odstępuje od prawa do szybkiego procesu?

— Nie. Sześćdziesiąt dni od poniedziałku i odkrywa pan karty albo pas.

Minton ściągnął usta, jakby liczył się z taką możliwością, a moja decyzja oznaczała dla niego tylko mało znaczący kłopot. Dobrze się maskował. Wiedziałem, że mój cios był celny.

— No dobrze, wobec tego powinniśmy chyba porozmawiać o ujawnieniu dowodów drugiej strony. Co pan dla mnie ma?

W jego głosie nie słyszałem już uprzejmego tonu.

— Nadal gromadzę materiał — powiedziałem. — Ale będę gotowy na poniedziałek, przed odczytaniem oskarżenia. Wydaje mi się jednak, że większość moich dowodów jest już chyba w teczce, którą mi pan dał, prawda?

— Najprawdopodobniej.

— Znalazła się tu informacja, że rzekoma ofiara jest prostytutką, która nagabywała mojego klienta?

Minton na ułamek sekundy otworzył usta i zamknął, ale to był dobry znak. Mój drugi cios także okazał się celny. Przeciwnik szybko się jednak otrząsnął.

— Prawdę mówiąc, zdaję sobie sprawę, czym trudni się ofiara. Dziwię się natomiast, skąd pan już o tym wie. Mam nadzieję, że nie węszyć pan za ofiarą, panie Haller.

— Mów mi Mickey, Ted. Tym, co robię, najmniej powinien się przejmować. Lepiej uważnie przyjrzyj się sprawie. Wiem, że jesteś nowy, i przypuszczam, że nie chcesz przegraną na dzień dobry. Zwłaszcza po fiasku sprawy Blake'a. A na tej możesz się porządnie sparzyć.

— Naprawdę? A to dlaczego?

Spojrzałem na stojący na jego biurku komputer.

— Da się na tym obejrzeć DVD?

Minton podążył za moim wzrokiem. Komputer wyglądał na przedpotopowy.

— Chyba się da. Co to będzie?

Uświadomiłem sobie, że pokazując mu zapis wideo z kamery w Morgan's, przedwcześnie wyciągnę asa z rękawa, ale byłem pewien, że gdy Minton to zobaczy, w poniedziałek nie dojdzie do odczytania oskarżenia i będzie po sprawie. Miałem zneutralizować dowody i wyciągnąć klienta spod młota maszyny. A to był najlepszy sposób.

— Wprawdzie nie mam jeszcze wszystkich materiałów, ale zdobyłem to — powiedziałem.

Podąłem Mintonowi płytę DVD, którą dostałem od Levina. Prokurator włożył ją do komputera.

— Zapis z kamery nad barem w Morgan's — wyjaśniłem mu, gdy próbował uruchomić napęd. — Nie dotarliście do lokalu, ale dotarł tam mój człowiek. Nagranie pokazuje, co się tam działo w niedzielę wieczorem, kiedy doszło do rzekomej napaści.

— Mogło zostać spreparowane.  
— Mogło, ale nie zostało. Możesz to sprawdzić. Oryginał ma mój detektyw. Powiem mu, żeby go udostępnił po odczytaniu oskarżenia.

Po kilku próbach Mintonowi udało się włączyć odtwarzanie. Oglądał zapis wideo w milczeniu, podczas gdy ja objaśniałem szczegóły tak jak wcześniej Levin mnie, zwracając jego uwagę na licznik czasu oraz pana X i jego leworęczność. Zgodnie z moim poleceniem, Minton przewinął obraz do przodu i zwolnił w chwili, gdy Reggie Campo podeszła do mojego klienta przy barze. Prokurator w skupieniu marszczył brwi. Gdy zapis się kończył, wyciągnął płytę z komputera i spytał:

— Mogę ją zatrzymać, dopóki nie dostanę oryginału?  
— Naturalnie.

Minton włożył płytę do opakowania i położył na pliku akt na biurku.

— Co jeszcze? — zapytał.

Teraz to ja w zaskoczeniu otworzyłem usta.

— Jak to — co jeszcze? To nie wystarczy?

— Do czego ma wystarczyć?

— Słuchaj, Ted, dajmy sobie spokój z pierdołami.

— Zgoda.

— O co ci chodzi? Przez tę płytę sprawa wali się w gruzy. Zamiast o oskarżeniu i procesie, pogadajmy lepiej o tym, czy w przyszłym tygodniu mamy iść do sądu ze wspólnym wnioskiem o oddalenie. Chcę udupić sprawę raz na zawsze, Ted. Bez możliwości wznowienia, gdyby ktoś postanowił zmienić zdanie.

Minton z uśmiechem pokręcił głową.

— Nie da rady, Mickey. Ta kobieta została brutalnie pobita. Zmasakrowana przez jakiegoś bydlaka. Dlatego nie zamierzam składać żadnego wniosku o...

— Brutalnie pobita? Przecież przez cały tydzień przyjmuje klientów. Powinieneś...

— Skąd o tym wiesz?



Pokręciłem głową.

— Próbuję ci pomóc, oszczędzić ci wstydu, a ty się przejmujesz, czy nie naruszyłem jakichś zasad ochrony ofiary. No to posłuchaj. Ona nie jest żadną ofiarą. Nie rozumiesz, o co tu chodzi? Jeżeli przysięgli zobaczą obraz z tej płyty, wszystkie talerzyki sypią się w drobny mak. Będzie po sprawie, Ted, a ty będziesz musiał iść na dywanik i wytłumaczyć Smithsonowi, dlaczego dałeś się zaskoczyć. Nie znam za dobrze Smithsona, ale wiem jedno. Nie lubi przegrywać. A po tym, co się wczoraj stało, wydaje mi się, że ma jeszcze mniejszą ochotę na następną plamę.

— Prostitutek też bywają ofiarami. Nawet amatorki.

Pokręciłem głową. Postanowiłem odślonić wszystkie karty.

— Wrobiła go — oznajmiłem. — Wiedziała, że ma pieniądze, i zastawiła na niego pułapkę. Chce go pozwać i zarobić. Albo sama się pobiła, albo kazała to zrobić swojemu chłopakowi z baru, temu mańkutowi. Żadna ława przysięgłych na świecie nie kupi tego, co chcesz wcisnąć. Krew na ręce czy odciski palców na nożu — wszystko zostało sfingowane, kiedy leżał nieprzytomny.

Minton kiwał głową, jak gdyby śledził mój logiczny wywód, po czym zaatakował mnie znienacka:

— Obawiam się, że być może próbujesz zastraszyć ofiarę, kazać ją śledzić i nękać.

— Co?!

— Znasz zasady walki. Masz zostawić ofiarę w spokoju, bo inaczej będziemy o tym musieli porozmawiać z sędzią.

Pokręciłem głową, bezradnie rozkładając ręce.

— Słyszałeś, co do ciebie mówiłem?

— Tak, słyszałem wszystko, ale to w niczym nie zmienia moich zamiarów. Mam jednak dla ciebie propozycję, która jest aktualna tylko do poniedziałkowego posiedzenia. Potem nie będzie już wyboru. Twój klient staje przed sędzią i przysięgłymi na własne ryzyko. Nie uda ci się mnie zastraszyć terminem sześćdziesięciu dni. Będę gotowy.

Poczułem się, jakbym tkwił zanurzony w wodzie i każde moje słowo zmieniało się w bańkę powietrza, która pękała na powierzchni i ulatywała. Nikt nie rozumiał, co mówię. Nagle uświadomiłem sobie, że chyba coś przeoczyłem. Coś istotnego. Być może Minton był żółtodziobem, ale nie był głupi, a ja lekkomyślnie założyłem, że jest. Prokuratura okręgowa Los Angeles przyjmowała najlepszych z najlepszych absolwentów prawa. Minton wspominał o USC, a tamtejszy wydział prawa opuszczali wybitni fachowcy. To tylko kwestia doświadczenia. Mintonowi być może brakowało doświadczenia, ale nie brakowało mu prawniczej inteligencji. Zdałem sobie sprawę, że odpowiedzi na tę zagadkę muszę szukać u siebie, nie u Mintona.

— Coś przeoczyłem? — spytałem.

— Nie wiem — odparł Minton. — Reprezentujesz potężną obronę. Co mógłbyś przeoczyć?

Przez chwilę wpatrywałem się w niego, aż wreszcie zrozumiałem. W ujawnionych przez niego dowodach czaił się jakiś haczyk. Cienka teuczka kryła coś, czego nie było w grubej teuczce Levina. Coś, co pozwoliłoby oskarżeniu przymknąć oko na fakt, że Reggie Campo sprzedawała seks. Minton sam mi to zdradził. *Prostytutki też bywają ofiarami.*

Miałem ochotę przerwać tę rozmowę, otworzyć teczkę z dowodami i porównać je ze wszystkim, co wiedziałem o sprawie. Ale nie mogłem tego zrobić w jego obecności.

— No dobrze — powiedziałem. — Jak brzmi twoja propozycja? Klient i tak jej nie przyjmie, ale mu przekażę.

— Czeka go odsiadka. To nie podlega dyskusji. Jesteśmy skłonni złagodzić zarzut do napaści z bronią i pobicia z uśiłowaniem gwałtu. Wyrok mniej więcej ze środka skali, czyli około siedmiu lat.

Skinąłem głową. Napaść z bronią w rękę, pobicie i uśiłowanie gwałtu. Siedem lat oznaczało w istocie cztery lata za kratkami. Propozycja nie była zła, ale tylko przy założeniu, że Roulet naprawdę popełnił przestępstwo. Jeżeli był niewinny, żadna oferta nie była do przyjęcia.

Wzruszyłem ramionami.

— Powtórzę mu — powiedziałem.

— Pamiętaj, tylko do odczytania oskarżenia. Jeżeli się zgodzi, lepiej zadzwoń do mnie w poniedziałek z samego rana.

— W porządku.

Zamknąłem aktówkę i wstałem. Pomyślałem sobie, że Roulet pewnie czeka na mój telefon z wiadomością, że koszmar się skończył. Tymczasem ja miałem mu przedstawić propozycję siedmioletniej odsiadki.

Minton podał mi rękę. Obiecałem, że do niego zadzwonię, po czym opuściłem gabinet. W korytarzu prowadzącym do portierni natknąłem się na Maggie McPherson.

— Hayley świetnie się bawiła w sobotę — powiedziała, mając na myśli naszą córkę. — Jest zachwycona i ciągle o tym mówi. Podobno w ten weekend też chcesz się z nią zobaczyć.

— Tak, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— Dobrze się czujesz? Wyglądasz na lekko oszołomionego.

— To był ciężki tydzień. Cieszę się, że jutro nie mam żadnych spotkań. Co Hayley bardziej pasuje, sobota czy niedziela?

— Wszystko jedno. Widziałeś się z Tedem w sprawie Rouleta?

— Tak. Przedstawił mi propozycję.

Uniosłem aktówkę, pokazując, że wynoszę od niego ofertę ugody.

— Teraz muszę spróbować ją sprzedać — dodałem. — Może być ciężko. Facet twierdzi, że tego nie zrobił.

— Myślałam, że wszyscy tak mówią.

— Z tym jest inaczej.

— To powodzenia.

— Dzięki.

Ruszyliśmy w przeciwne strony, ale coś sobie przypomniałem i zawołałem za nią:

— Wszystkiego dobrego z okazji świętego Patryka!

— Och.

Zawróciła i podeszła do mnie.

— Stacey zostaje dzisiaj z Hayley dwie godziny dłużej. Parę osób od nas wybiera się po pracy do Four Green Fields. Masz ochotę na zielone piwo?

Four Green Fields to był irlandzki pub niedaleko administracyjnego centrum Van Nuys. Bywali tam prawnicy z obu stron barykady. Animozje rozpuszczały się w guinnessie o temperaturze pokojowej.

— Sam nie wiem — odrzekłem. — Muszę jechać za wzgórze do klienta, ale nie wiadomo, może zdążę wrócić.

— Będę tam tylko do ósmej, potem muszę zwolnić Stacey.

— Dobra.

Znów się rozstaliśmy i wyszedłem z budynku sądowego. Ławka, gdzie siedziałem z Rouletem, a potem z Kurlenem, była pusta. Usiadłem, otworzyłem aktówkę i wyciągnąłem teczkę z dowodami, które przekazał mi Minton. Przekartkowałem raporty, których kopie zdobyłem już dzięki Levinowi. Nie zauważyłem tu nic nowego, dopóki nie dotarłem do porównawczej analizy daktyloskopijnej, która potwierdzała to, co przypuszczaliśmy od początku: odciski zakrwawionych palców na nożu należały do mojego klienta, Louisa Rouleta.

Nie mogłem sobie jednak wytłumaczyć tym faktem zachowania Minton. Przeglądałem dalej, aż wreszcie znalazłem odpowiedź w raporcie z analizy broni. Raport, jaki dostałem od Levina, był zupełnie inny, jak gdyby pochodził z innej sprawy i dotyczył innej broni. Czytając go, poczułem, jak na czoło występuje mi pot. Dałem się podejść. Ośmieszyłem się przed Mintonem, a co gorsza, przedwcześnie odkryłem swoją najsilniejszą kartę. Prokurator miał wideo z Morgan's i mnóstwo czasu, żeby się przygotować do wykorzystania tego dowodu w sądzie.

Wreszcie zatrzasnąłem teczkę i wyciągnąłem komórkę. Levin odebrał po dwóch dzwonekach.

— Jak poszło? — zapytał. — Premia dla wszystkich?

— Niezupełnie. Wiesz, gdzie Roulet ma biuro?

— Tak, na Canon w Beverly Hills. Dokładny adres mam w papierach.

— Spotkajmy się tam.

— Teraz?

— Będę za pół godziny.

Zakończyłem rozmowę, nie wdając się w dłuższą dyskusję, a potem zadzwoniłem do Earla. Musiał mieć w uszach słuchawki iPoda, bo odezwał się dopiero po siedmiu dzwoneczkach.

— Czekam na ciebie — powiedziałem. — Pojedziemy za wzgórze.

Zamknąłem telefon i wstałem z ławki. Idąc w stronę przejścia między gmachami sądu, skąd miał mnie zabrać Earl, czułem gniew. Na Rouleta, na Levina, a przede wszystkim na siebie. Miałem jednak świadomość, że sytuacja ma też dobre strony. Byłem pewien tylko jednego — że moja licencja i dzień wielkiej zapłaty nie zniknęły z horyzontu. Sprawa miała się rozegrać do samego procesu, jeżeli Roulet nie zgodzi się na ofertę oskarżenia. A możliwość takiego rozstrzygnięcia była moim zdaniem podobna do możliwości, że w Los Angeles spadnie śnieg. Mogło do tego dojść, ale nie uwierzylibym, dopóki bym tego nie zobaczył.

## Rozdział 15

Kiedy bogacze z Beverly Hills chcą roztrwonić małą fortunę na odzież i biżuterię, jadą na Rodeo Drive. Kiedy chcą roztrwonić wielką fortunę na domy i mieszkania, idą kilka przecznic dalej, na Canon Drive, którą obsiadły ekskluzywne firmy handlu nieruchomościami prezentujące w swoich witrynach fotografie rezydencji wartych miliony dolarów, ustawione na złożonych stojakach jak dzieła Picassa czy van Gogha. Właśnie na tej ulicy w czwartek po południu znalazłem Windsor Residential Estates i Louisa Rouleta.

Gdy dotarłem na miejsce, Raul Levin już czekał — dosłownie. Z butelką wody siedział w salonie jak w poczekalni, a Louis rozmawiał przez telefon w swoim gabinecie. Sekretarka, mocno opalona blondynka z fryzurą, która przesłaniała połowę jej twarzy jak kosa, poinformowała mnie, że szef przyjmie nas za kilka minut. Skinąłem głową i odszedłem od jej biurka.

— Możesz mi powiedzieć, co się dzieje? — zapytał Levin.

— Za chwilę, kiedy wejdziemy.

Po obu stronach salonu biegły rozciągnięte od sufitu do podłogi stalowe druty, na których zawieszono zdjęcia przedstawiające nieruchomości na sprzedaż wraz z opisami. Udając, że oglądam domy, na które nie będzie mnie stać nawet za sto lat, ruszyłem w głąb korytarza prowadzącego do części biurowej. Dostrzegłem

uchylone drzwi i usłyszałem głos Louisa Rouleta. Ze strzępków rozmowy wywnioskowałem, że umawia się z pośrednikiem na pokaz rezydencji przy Mulholland Drive, oświadczał rozmówcy, że klient życzy sobie pozostać anonimowy. Spojrzałem na Levina, który wciąż siedział w głębi salonu.

— Dość tych bzdur — oznajmiłem, dając mu znak.

Przeciąłem korytarz i wkroczyłem do luksusowo urządzonego gabinetu Rouleta. Na podręcznym biurku piętrzyły się dokumenty i katalogi ofert. Ale Rouleta przy nim nie było. Siedział na prawo od biurka rozparty na kanapie, z papierosem w jednej i telefonem w drugiej ręce. Zmierzył mnie zaskoczonym spojrzeniem. Przypuszczałem, że sekretarka nawet nie raczyła go zawiadomić o naszej wizycie.

Levin wszedł za mną, a za jego plecami ukazała się sekretarka, która biegła truchtem, aby nas dogonić. Blond kosa kołysała się niebezpiecznie i bałem się, czy nosa jej nie utnie.

— Panie Roulet, przepraszam, ci panowie właśnie weszli...

— Liso, muszę kończyć — powiedział do telefonu Roulet. — Zadzwoń później.

Odłożył słuchawkę na szklany blat stolika.

— W porządku, Robin — rzekł. — Możesz nas zostawić.

Odprawił sekretarkę niedbałym gestem. Robin spojrzała na mnie, jak gdybym był łanem pszenicy, który miała ochotę skosić swoją blond fryzurą, a potem wyszła. Zamknąłem drzwi i popatrzyłem na Rouleta.

— Co się stało? — spytał. — Już po wszystkim?

— Akurat — odparłem.

Miałem w ręku teczkę z dowodami oskarżenia. Raport z anali-  
zy broni był na wierzchu. Rzuciłem go na stół obok kanapy.

— Udało mi się tylko ośmieszyć się przed prokuratorem. Nie wycofają zarzutów i prawdopodobnie czeka nas proces.

Rouletowi zrzędała mina.

— Nie rozumiem — powiedział. — Mówiłeś, że go zgnoisz i zmieszasz z błotem.

— Najgłupszym gnojkiem okazałem się ja. Bo znowu nie byłeś ze mną szczerzy.

Spoglądając na Levina, dodałem:

— I dlatego, że dałeś się podejść.

Roulet otworzył teczkę. Zobaczył kolorową fotografię noża z krwią na czarnej rękojeści i czubku ostrza. Nie był to ten sam nóż, który pierwszego dnia sprawy w biurze Dobbsa pokazał nam Levin na kserokopii uzyskanej ze swoich policyjnych źródeł.

— Cholera, co to jest? — zdziwił się Levin, patrząc na zdjęcie.

— Nóż. Ten prawdziwy, który Roulet miał przy sobie, gdy poszedł do Reggie Campo. Z jej krwią i na dodatek z jego inicjałami.

Levin usiadł na kanapie obok Rouleta. Ja stałem, patrząc na nich z góry. Zacząłem od Levina.

— Poszedłem dzisiaj do prokuratora, żeby go załatwić na cacu, a skończyło się tak, że to on mnie załatwił. Tym. Kto był twoim źródłem, Raul? Bo wyraźnie dał ci znaczoną talię.

— Czekaj. To nie jest...

— Nie, nie będę czekał. Raport o tym nożu, którego właściciela niby nie da się ustalić, był lipny. Podrzucili ci go do papierów jak śmierdzące jajo. Żeby nas zmylić, co im się zresztą udało, bo wparowałem tam pewien, że już wygrałem, i dałem mu wideo z Morgan's. Wyciągnąłem je jak królika z kapelusza, myśląc, że to będzie bomba. Tyle że numer mi nie wyszedł. Niech to szlag.

— To goniec — powiedział Levin.

— Co?

— Goniec. Nosi papiery między policją a prokuraturą. Mówię mu, która sprawa mnie interesuje, a on kopiuje odpowiednie akta.

— No więc widocznie dobrali mu się do tyłka i świetnie go wykorzystali. Lepiej do niego zadzwoń i powiedz mu, że jeżeli będzie szukał adwokata, na mnie niech nie liczy.



Zorientowałem się, że spaceruję nerwowo przed kanapą, ale się nie zatrzymałem.

— Teraz ty — zwróciłem się do Rouleta. — Dostaję prawdziwy raport i dowiaduję się, że to nie tylko nóż zrobiony na zamówienie, ale że właściciela można bez trudu ustalić, bo są na nim twoje cholerne inicjały! Znowu mnie okłamałeś!

— Nie kłamałem! — krzyknął Roulet. — Próbowałem ci powiedzieć. Mówiłem, że to nie mój nóż. Mówiłem dwa razy, ale nikt mnie nie słuchał.

— W takim razie powinieneś wyjaśnić, co miałeś na myśli. Jeżeli mówisz, że to nie twój nóż, to tak, jakbyś powiedział, że tego nie zrobiłeś. Powinieneś powiedzieć: „Hej, Mick, z tym nożem może być problem, bo na tym zdjęciu jest jakiś inny”. Myślałeś, że ci się upiecze?

— Proszę, trochę ciszej — zaprotestował Roulet. — W salonie mogą być klienci.

— Nic mnie to nie obchodzi! W dupie mam twoich klientów. Jak cię zamkną, nie będziesz potrzebował już żadnych klientów. Nie rozumiesz, że nóż przebija wszystkie nasze karty? Wziąłeś broń na spotkanie z prostytutką. Nikt ci tego noża nie podrzucił. Był twój. Czyli wersję o pułapce możemy sobie wsadzić... Jak możemy utrzymywać, że we wszystko cię wrobiła, jeśli prokurator udowodni, że kiedy do niej wchodziłeś, miałeś przy sobie ten nóż?

Nie odpowiedział, ale nie dałem mu zbyt wiele czasu do namysłu.

— Zrobiłeś to, kurwa, i mają to jak na dłoni — powiedziałem, celując w niego palcem. — Nic dziwnego, że nie zawracali sobie głowy żadnym śledztwem w barze. Po co im śledztwo, skoro mają twój nóż i odciski twoich zakrwawionych palców.

— Nie zrobiłem tego! Wrobiła mnie. Powtarzam, NIE ZROBIŁEM! To wszystko...

— I kto teraz krzyczy? Słuchaj, nie obchodzi mnie, co powiesz. Nie mogę pracować z klientem, który mi kłamie, który nie rozumie, że w jego interesie jest informowanie adwokata o

wszystkim. Prokurator składa ci ofertę i moim zdaniem powinie-  
neś ją przyjąć.

Roulet wyprostował się i chwycił leżącą na stoliku paczkę pa-  
pierosów. Wyciągnął jednego i zapalił od trzymanego jeszcze w  
ręku niedopałka.

— Nie przyznam się do czegoś, czego nie zrobiłem — po-  
wiedział zaskakująco spokojnym tonem, zaciągnąwszy się głębo-  
ko dymem.

— Siedem lat. Wyjdiesz po czterech. Propozycja obowiązu-  
je do rozprawy w poniedziałek, a potem koniec. Przemysł to, a  
potem daj mi znać, że się zgadzasz.

— Nie zgodzę się. Nie zrobiłem tego i jeżeli nie doprowa-  
dzisz do procesu, znajdę kogoś innego.

Levin trzymał teczkę z dowodami oskarżenia. Wyrwałem mu  
ją, żeby mieć przed oczami raport z analizy broni.

— Nie zrobiłeś? — zwróciłem się do Rouleta. — Dobra, sko-  
ro tak, to mógłbyś mi powiedzieć, po co poszedłeś do prostytutki  
ze zrobionym na zamówienie nożem Black Ninja o trzynastocen-  
tymetrowym ostrzu, na którym po obu stronach były wygrawero-  
wane twoje inicjały?

Skończywszy czytać opis broni z raportu, rzuciłem teczkę z  
powrotem Levinowi. Detektyw nie zdążył jej złapać i wylądowała  
mu na piersi.

— Bo zawsze noszę go przy sobie!

Po tej odpowiedzi wygłoszonej zdecydowanym tonem w gabi-  
necie zapadła cisza. Znów przespacerowałem się tam i z powro-  
tem.

— Zawsze go nosisz przy sobie — powtórzyłem.

— Zgadza się. Sprzedaję nieruchomości. Jeżdżę drogimi sa-  
mochodami. Noszę drogą biżuterię. I często spotykam się sam na  
sam z nieznanymi w pustych domach.

Znów umilkłem. Mimo wzburzenia wciąż logicznie myślałem i  
dostrzegłem promy czek. Levin spojrzał na Rouleta, a potem na  
mnie. On też zrozumiał.

— Co ty wygadujesz? — spytałem. — Przecież sprzedajesz  
domy bogatym ludziom.

— Skąd mam wiedzieć, że są bogaci, kiedy dzwonią i mówią, że chcą obejrzeć nieruchomość?

Zdezorientowany rozłożyłem ręce.

— Musisz mieć chyba jakiś sposób, żeby ich sprawdzić, nie?

— Jasne, sprawdzamy wypłacalność i możemy poprosić o referencje. Ale i tak z reguły musimy polegać na tym, co sami powiedzą, a tacy ludzie nie lubią czekać. Kiedy chcą obejrzeć jakąś nieruchomość, to chcą i już. Na rynku jest duża konkurencja. Jeżeli nie będziemy działać szybko, zawsze ktoś może nas ubiec.

Skinąłem głową. Promyczek nadziei stawał się jaśniejszy. Być może to był jakiś punkt zaczepienia.

— Dochodziło nawet do morderstw — ciągnął Roulet. — Każdy agent wie, że kiedy idzie sam do jakiegoś domu, zawsze istnieje niebezpieczeństwo. Przez jakiś czas w mieście grasował, jak go nazywała prasa, „wampir domów na sprzedaż”. Napadał i okradał kobiety w pustych budynkach. Moja matka...

Nie dokończył. Czekałem, ale milczał.

— Co twoja matka?

Roulet zawahał się przez moment.

— Miała pokazać komuś dom w Bel-Air. Była sama, ale sądziła, że jest bezpieczna, to w końcu Bel-Air. Ten bydlak ją zgwałcił. Związał i zostawił. Kiedy nie wróciła do biura, pojechałem tam. I ją znalazłem.

Roulet wpatrywał się w przestrzeń, wspominając tamto zdarzenie.

— Kiedy to się stało? — zapytałem.

— Jakies cztery lata temu. Potem matka przestała sprzedawać. Została w biurze i nigdy więcej nikomu nie pokazywała nieruchomości. Ja zająłem się handlem. Wtedy sprawiłem sobie nóż. Mam go od czterech lat i wszędzie go ze sobą noszę, z wyjątkiem samolotów. Miałem go w kieszeni, kiedy wszedłem do tego mieszkania. Nie zamierzałem go użyć.

Opadłem na fotel naprzeciw kanapy. Myślałem gorączkowo. To mogłoby mieć ręce i nogi. Ale jednak obrona opierałaby się

na zbiegu okoliczności. Roulet wpadł w pułapkę zastawioną przez Reggie Campo, która ogłuszywszy go, przypadkiem znalazła u niego nóż, co ułatwiło jej sprawę. Mogło się udać.

— Czy matka zgłosiła to policji? — zapytał Levin. — Przeprowadzono śledztwo?

Roulet pokręcił głową, rozgniatając papierosa w popielniczce.

— Nie, za bardzo się wstydziła. Bała się, że to mogłoby się dostać do gazet.

— Kto jeszcze o tym wie? — zapytałem.

— Ja, hm... i na pewno Cecil. Prawdopodobnie nikt więcej. Ale nie możesz tego wykorzystać. Nie zgodziłaby...

— Nie wykorzystam tego bez jej zgody — uspokoiłem go. — Ale to może się okazać ważne. Będę z nią musiał o tym porozmawiać.

— Nie, nie chcę...

— Louis, tu chodzi o twoje życie i karierę. Jeżeli trafisz do pudła, nici z kariery. Nie przejmuj się matką. Każda zrobi wszystko, żeby chronić młode.

Roulet spuścił wzrok i pokręcił głową.

— Sam nie wiem... — powiedział.

Odetchnąłem głęboko, starając się pozbyć napięcia. Może jednak udało się zapobiec katastrofie.

— Wiem jedno — dodałem. — Pójdę do prokuratora i powiem mu, że rezygnujemy z ugody. Stawiamy wszystko na jedną kartę i idziemy na proces.

## Rozdział 16

Ciosy spadały dalej. Drugie kukułcze jajo podrzucone przez oskarżenie odkryłem dopiero po tym, gdy podrzuciłem Earla na parking, gdzie co dzień rano zostawiał swój samochód, i wróciłem lincolnem do Van Nuys. Four Green Fields był kiszkwatym pubem przy Victory Boulevard — adwokaci lubili lokal chyba właśnie dlatego, że znajdował się na „bulwarze zwycięstwa”. Po lewej stronie ciągnął się długi bar, a po prawej rząd odrapanych stolików. Pub był zatłoczony jak wszystkie irlandzkie knajpy w dzień świętego Patryka. Podejrzałem, że kłębił się tu jeszcze większy tłum niż w zeszłym roku, bo pijackie święto wypadło w czwartek i wielu imprezowiczów zaczynało właśnie długi weekend. Sam też zadbałem o to, żeby mój terminarz na piątek był pusty. Zawsze po świętym Patryku robię sobie wolne.

Kiedy zacząłem się przedzierać przez ciżbę, szukając Maggie McPherson, z szafy grającej stojącej gdzieś w głębi buchnął obowiązkowy *Danny Boy*. Była to jednak punkrockowa wersja z początku lat osiemdziesiątych i gdy dojrzałem znajome twarze i usiłowałem zapytać, czy ktoś nie widział mojej bylej żony, łomoczący rytm skutecznie wszystko zagłuszał. Z urywków rozmów, jakie dochodziły do mnie, kiedy przeciskałem się przez tłum klientów, wynikało, że prawie wszyscy dyskutowali o Robercie Blake'u i

nieprawdopodobnym wyroku uniewinniającym z poprzedniego dnia.

Natknąłem się na Roberta Gillena. Kamerzysta sięgnął do kieszeni, wyciągnął cztery studolarowe banknoty i wręczył mi. Były to prawdopodobnie cztery z tych samych dziesięciu setek, jakie zapłaciłem mu przed dwoma tygodniami w sądzie Van Nuys, gdy starałem się zaimponować Cecilowi Dobbsowi swoimi umiejętnościami unieszkodliwiania mediów. Wliczyłem już ten tysiąc w koszty sprawy, obciążając nim konto Rouleta. Cztery stało się zysk.

— Tak myślałem, że cię tu spotkam! — krzyknął mi Gillen do ucha.

— Dzięki, Trójnóg — odrzekłem. — Będę miał na rachunek.

Wybuchnął śmiechem. Spojrzałem w tłum, szukając swojej byłej żony.

— Zawsze możesz na mnie liczyć — oświadczył.

Klepnął mnie w ramię, a ja przecisnąłem się obok niego i brnąłem dalej przez tłum. Wreszcie odnalazłem Maggie w ostatnim boksie. Przy stoliku siedziało sześć kobiet — prokurotek i sekretarek pracujących w Van Nuys. Większość znałem przynajmniej z widzenia, ale znalazłem się w dość niezręcznej sytuacji, ponieważ musiałem stać i przekrzykiwać muzykę i gwar. Poza tym wszystkie reprezentowały prokuraturę i uważały, że jako adwokat działam w zмовie z diabłem. Na stoliku stały dwa dzbanki guinnessa, z których jeden był pełen. Nie miałem jednak żadnych szans przechnąć się do baru po czystą szklankę. Maggie zorientowała się w moim położeniu i zaferowała mi swoją.

— Nie ma sprawy! — krzyknęła. — Kiedyś już i tak mieszaaliśmy ślinę.

Uśmiechnąłem się, odgadując, że to nie pierwsze dwa dzbanki. Pociągnąłem spory łyk. Piwo smakowało wspaniale. Guinness zawsze dodawał mi sił.

Maggie siedziała pośrodku kanapy z lewej strony, między dwiema młodymi prokuratorkami, o których wiedziałem, że wzięła

je pod swoje skrzydła. W Van Nuys większość młodych dziewczyn szukała wsparcia mojej byłej żony, ponieważ szef, Smithson, zwykle otaczał się ludźmi w rodzaju Mintona.

Ciągle stojąc, uniosłem piwo w toaście, ale Maggie nie mogła mi odpowiedzieć tym samym, bo zabrałem jej szklankę. Podniosła więc dzbanek.

— Zdrówko!

Nie posunęła się jednak do tego, by pić prosto z dzbanka. Odstawiła go i szepnęła coś na ucho siedzącej obok koleżance. Kobieta wstała, żeby wypuścić Maggie. Moja była żona cmoknęła mnie w policzek, oświadczając:

— W takich sytuacjach damie zawsze jest łatwiej zdobyć szklankę.

— Zwłaszcza pięknej damie — odrzekłem.

Posłała mi jedno ze swoich znaczących spojrzeń i odwróciła się w stronę nieprzebranego tłumu, jaki oddzielał nas od baru. Gwizdnęła przeraźliwie, zwracając na siebie uwagę czystej krwi Irlandczyka, który lał piwo z beczki i potrafił narysować w gęstej pianie harfę, anioła czy nagą kobietę.

— Jedną dużą szklankę! — krzyknęła.

Barman musiał czytać z ruchu jej warg. Po chwili szklanka, podawana z rąk do rąk, popłynęła w naszą stronę jak widz niesiony nad głowami publiczności na koncercie Pearl Jam. Maggie napełniła ją piwem ze świeżego dzbanka i trąciliśmy się szklankami.

— No — powiedziała. — Lepiej się czujesz, niż kiedy się dzisiaj widzieliśmy?

Skinąłem głową.

— Trochę.

— Dostałeś w kość od Mintona?

Znów przytaknąłem.

— Od niego i od glin.

— Chodzi o tego Corlissa? Mówiłam im, że chrzani od rzeźczy. Jak wszyscy zresztą.

Nie odpowiedziałem, starając się zachowywać, jakby informacja o tajemniczym Corlissie nie była dla mnie żadną nowością. Pociągnąłem duży łyk piwa.

— Chyba nie powinnam o tym mówić — dodała. — Ale moje zdanie i tak nie ma znaczenia. Jeżeli Minton jest na tyle głupi, żeby go wykorzystać, to na pewno go unieszkodliwisz.

Przypuszczałem, że mówi o jakimś świadku. Ale w teczce z dowodami oskarżenia nie znalazłem żadnej wzmianki o świadku, który nazywał się Corliss. Biorąc pod uwagę fakt, że Maggie mu nie ufała, doszedłem do wniosku, że to kapuś. Najprawdopodobniej kapuś z aresztu.

— Skąd o nim wiesz? — spytałem wreszcie. — Minton o nim z tobą rozmawiał?

— Nie, sama go wysłałam do Mintona. Wszystko jedno, co o nim myślę, ale miałam obowiązek odesłać go do prokuratora prowadzącego sprawę i to Minton będzie go oceniał.

— Ale dlaczego zgłosił się do ciebie?

Zmarszczyła brwi, ponieważ odpowiedź była dla niej oczywista.

— Bo byłam na pierwszym posiedzeniu. A on siedział w zagrodzie. Myślał, że ciągle prowadzę sprawę.

Zrozumiałem. Corliss był na C. Rouleta wywołano na początku, poza porządkiem alfabetycznym. Corliss musiał być w grupie aresztantów, którą razem z nim wprowadzono na salę. Widział, jak spierałem się z Maggie o kaucję Rouleta. Dlatego sądził, że Maggie nadal jest oskarżycielem w sprawie. Zapewne zadzwonił do niej z donosem.

— Kiedy się do ciebie zgłosił? — spytałem.

— I tak powiedziałam ci za dużo, Haller. Nie zamierzam...

— Po prostu powiedz, kiedy dzwonił. Posiedzenie było w poniedziałek, czyli co — jeszcze tego samego dnia?

Gazety i telewizja milczały o sprawie. Ciekawiło mnie, skąd Corliss zdobył informację, którą próbował sprzedać prokuraturze. Musiałem wyjść z założenia, że nie pochodziła od Rouleta. Byłem pewien, że udało mi się go skutecznie nastraszyć, aby nie odzywał się do nikogo w celi. Skoro źródłem nie mogły być media, Corliss



mógł coś zapamiętać z sądu, kiedy przedstawiano zarzuty, a Maggie i ja klóciliśmy się o kaucję.

Uznałem, że to wystarczyło. Maggie bardzo drobiazgowo opisywała obrażenia Reggie Campo, próbując przekonać sędziego, by nie zgodził się na zwolnienie Rouleta za kaucją. Jeśli Corliss był wtedy na sali, musiał zostać wtajemniczony w szczegóły sprawy, na podstawie których złożył donos. Wystarczy dodać fakt, że przebywał w jednej celi z Rouletem, i mamy kapusia.

— Tak, dzwonił w poniedziałek— przyznała w końcu Maggie.

— Dlaczego uznałaś, że chrzani od rzeczy? Przecież już wcześniej kapował, nie? Jest zawodowcem.

Maggie zorientowała się, że próbuję ją ciągnąć za język. Pokręciła głową.

— Na pewno dowiesz się wszystkiego przy okazji ujawnienia dowodów. Nie moglibyśmy po prostu w spokoju napić się piwa? Za godzinę muszę wyjść.

Skinąłem głową, ale chciałem wiedzieć więcej.

— Wiesz co? — powiedziałem. — Chyba masz dość guinnessa jak na jedno święto Patryka. Co ty na to, żebyśmy skoczyli coś zjeść?

— Dlaczego? Żebyś mnie dalej wypytywał o sprawę?

— Nie, żebyśmy mogli porozmawiać o naszej córce.

Podejrzliwie zmrużyła oczy.

— Coś się stało?

— O ile wiem, nic. Ale chciałem o niej z tobą porozmawiać.

— Dokąd chcesz mnie zabrać na kolację?

Wymieniłem nazwę drogiej restauracji włoskiej na Ventura w Sherman Oaks i jej oczy natychmiast się rozświeciły. Chodziliśmy tam z okazji naszych rocznic i aby uczcić poczęcie Hayley. Nasze mieszkanie, które do dziś należało do Maggie, było kilka przecznic dalej, na Dickens.

— Myślisz, że zdążymy w godzinę? — spytała.

— Tak, jeżeli wyjdziemy od razu i zamówimy, nie czytając menu.

— Zgoda. Tylko się pożegnam.

— Pojedziemy moim wozem.

Okazało się, że to dobry pomysł, bo Maggie niezbyt pewnie trzymała się na nogach. Musiałem ją podtrzymywać, kiedy szliśmy do lincolna, a potem pomóc jej wsiąść.

Ruszyliśmy na południe Van Nuys w kierunku Ventura. Po chwili Maggie sięgnęła na siedzenie i wyciągnęła uwierając ją pudełko z płytą CD. Płyta należała do Earla. Kiedy byłem w sądzie, słuchał muzyki z odtwarzacza w samochodzie. Dzięki temu oszczędzał baterie iPoda. Była to płyta rapera dirty south, Ludacrisa.

— Nic dziwnego, że tak mi było niewygodnie — powiedziała. — Tego słuchasz, kiedy kursujesz między sądami?

— Nie, to płyta Earla. On ostatnio mnie wozi. Ludacris raczej nie jest w moim guście. Wolę oldskulowe kawałki. Tupac, Dre i tak dalej.

Parsknęła śmiechem, sądząc, że żartuję. Po kilku minutach wjechaliśmy w wąską alejkę prowadzącą do restauracji. Obsługa parkingu zabrała samochód i weszliśmy do środka. Szefowa sali poznała nas i zachowywała się, jakby od naszej ostatniej wizyty upłynęły najwyżej dwa tygodnie. Prawdopodobnie każde z nas odwiedziło ostatnio restaurację, ale w towarzystwie innego partnera.

Poprosiłem o butelkę singe shiraz i nie zaglądając do menu, zamówiliśmy pastę. Zrezygnowaliśmy z sałatek i przystawek, polecając kelnerowi, żeby przyniósł jedzenie jak najszybciej. Gdy zniknął, spojrzałem na zegarek. Zostało nam jeszcze czterdzieści pięć minut. Mnóstwo czasu.

Guinness zaczynał działać na Maggie. Z jej niewyraźnego uśmiechu odgadłem, że jest pijana. Uroczo pijana. Na rauszu nigdy nie zachowywała się nieprzyjemnie. Zawsze stawiała się przeziębienie. Pewnie dlatego mieliśmy ze sobą dziecko.

— Powinnaś chyba odstawić wino — poradziłem jej. — Inaczej będzie cię jutro bolała głowa.

— Nie przejmuj się mną. Sama wiem, co odstawić, kiedy się wstawić i do kogo się przystawić.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja odwzajemniłem uśmiech.

— Mów, co u ciebie, Haller. Pytam poważnie.

— Wszystko w porządku. A u ciebie? Też poważnie.

— Nigdy nie było lepiej. Otrząsałeś się już po Lornie?

— Tak, jesteśmy nawet przyjaciółmi.

— A my kim jesteśmy?

— Czy ja wiem. Czasem chyba przeciwnikami. Pokręciła głową.

— Nie możemy być przeciwnikami, skoro nie wolno nam pracować przy jednej sprawie. Poza tym zawsze dbam o twoje interesy. Jak z tym śmieciem Corlisse.

— Dzięki, ale już się stało.

— Po prostu nie mogę szanować prokuratora, który korzysta z usług kapusia. Nawet jeśli twój klient jest jeszcze gorszym śmieciem.

— Minton nie chciał mi zdradzić, co dokładnie Corliss mówił o moim kliencie.

— Jak to?

— Powiedział tylko, że ma donos. Ale nie ujawnił mi, co kapuś powiedział.

— To nie fair.

— Powiedziałem mu to samo. To naruszenie zasad ujawnienia, ale sędziego poznamy dopiero po odczytaniu oskarżenia w poniedziałek. Czyli nie mam nawet u kogo złożyć skargi. Minton zdaje sobie z tego sprawę. Jest tak, jak mi mówiłaś. Facet gra nie fair.

Jej policzki zaróżowił rumieniec. Trafiłem w czuły punkt, wywołując u niej gniew. Maggie uznawała tylko takie wygrane, gdy grało się fair. Dlatego była dobrym prokuratorem.

Siedzieliśmy przy długim stole pod ścianą w głębi restauracji. Zajmowaliśmy dwie strony na rogu. Maggie pochyliła się, ale za daleko, i zderzyliśmy się głowami. Zaśmiała się, po czym spróbowała jeszcze raz. Powiedziała cicho:

— Podobno spytał twojego klienta, za co siedzi, a on odpowiedział: „Za to, że dałem dziwce to, na co zasłużyła”. I mówił, że dał jej w twarz, ledwie otworzyła drzwi.

Odchyliła się z powrotem i chyba zrobiła to za szybko, bo za-  
uważyłem, że zakręciło się jej w głowie.

— Dobrze się czujesz?

— Tak, ale czy moglibyśmy zmienić temat? Nie chcę już ga-  
dać o pracy. Denerwuje mnie, że tylu tam dupków.

— Jasne.

W tym momencie kelner przyniósł kolację i wino. Wino było  
znakomite, a danie smakowało jak domowe. W milczeniu zaczęli-  
śmy jeść. Nagle Maggie ni stąd, ni zowąd rzuciła:

— Nic nie wiedziałeś o Corlissie, prawda? Dopóki nie puści-  
łam farby.

— Wiedziałem, że Minton coś ukrywa. Myślałem, że chodzi-  
ło o kapusia z...

— Bzdura. Upiłeś mnie, żeby ze mnie wszystko wyciągnąć.

— Wydaje mi się, że kiedy się spotkaliśmy, byłeś już pijana.  
Zastygła z uniesionym widelcem, z którego zwisała wstążka  
makaronu z sosem pesto. Potem wycelowała we mnie widelec.

— Słusznie. Podobno chciałeś rozmawiać o naszej córce?

Nie spodziewałem się, że pamięta. Wzruszyłem ramionami.

— Chyba miałaś rację w zeszłym tygodniu. Hayley musi czę-  
ściej widywać ojca.

— No i co w związku z tym?

— No i chcę z nią częściej być. Lubię na nią patrzeć. W so-  
botę byliśmy w kinie. Siedziałem trochę bokiem, żeby móc  
widzieć, jak ogląda film. Chciałem zobaczyć jej oczy.

— Witaj w klubie.

— Nie wiem. Może powinniśmy ustalić jakiś grafik, co? Że-  
bym mógł się z nią spotykać mniej więcej regularnie. Czasem  
mogłaby nawet u mnie przenocować — to znaczy, gdyby chciała.

— Mówisz poważnie? To u ciebie coś nowego.

— Rzeczywiście, ale dlatego, że wcześniej nie zdawałem so-  
bie z tego sprawy. Gdy była mała, właściwie nie potrafiłem z nią  
znaleźć wspólnego języka. Nie wiedziałem, co z nią robić. Głupio

się czułem. Teraz jest inaczej. Lubię z nią rozmawiać. Być z nią. Więcej się uczę od niej niż ona ode mnie, wiesz? Nagle poczułem na nodze jej dłoń.

— Wspaniale — powiedziała. — Cieszę się, że to mówisz. Ale nie spieszmy się za bardzo. Przez cztery lata widywała cię tak rzadko, że nie zamierzam robić jej nadziei, gdyby potem się okazało, że znowu znikniesz.

— Rozumiem. Zrobimy, jak sobie zażyczysz. Chcę ci tylko powiedzieć, że będę przy niej. Obiecuję.

Uśmiechnęła się, pragnąc mi wierzyć. A ja to samo obiecałem sobie.

— Świetnie — powiedziała. — Naprawdę się cieszę, że chcesz. Weźmiemy kalendarz, ustalimy daty i zobaczymy, jak to się ułoży.

Zabrała rękę i jedliśmy dalej w milczeniu. Kiedy prawie kończyliśmy, Maggie znów mnie zaskoczyła.

— Obawiam się, że nie mogę dzisiaj prowadzić — oświadczyła.

Skinąłem głową.

— Ja też.

— Jak to, nic po tobie nie widać. Wypiłeś tylko pół piwa w...

— Nie, ja też się obawiam, że masz rację. Ale nie musisz się martwić. Odwiozę cię do domu.

— Dziękuję.

Sięgając przez stół, położyła dłoń na mojej ręce.

— A przywiózłbyś mnie rano po samochód?

Uśmiechnęła się do mnie słodko. Spojrzałem na nią, usiłując przeniknąć duszę tej kobiety, która przed czterema laty kazała mi się wynosić. Kobiety, z którą nie umiałem sobie poradzić i za którą nigdy nie przestałem tęsknić, a kiedy mnie zostawiła, uwikłałem się w związek od początku skazany na klęskę.

— Jasne — odparłem. — Przywiozę.

## Rozdział 17

Zbudziwszy się rano, zobaczyłem swoją ośmioletnią córkę śpiącą między mną a moją byłą żoną. Przez wysokie okienko rozetowe do pokoju sączyło się światło. Kiedy tu mieszkałem, nie przepadałem za tym oknem, bo każdego ranka wpuszczało za dużo światła. Spoglądając na okrągły wzór rzucany na spadzisty sufit, analizowałem wydarzenia poprzedniego wieczoru, przypominając sobie, że w restauracji wypłem całą butelkę wina minus jeden kieliszek. Odwiozłem Maggie do domu, a kiedy wszedłem, zobaczyłem, że nasza córka już zasnęła — we własnym łóżku.

Po zwolnieniu opiekunki Maggie otworzyła drugie wino. Gdy je skończyliśmy, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do sypialni, którą dzieliliśmy przez cztery lata, lecz do której już od czterech lat nie miałem wstępu. Ale wino zasnuło mi pamięć mgłą i nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy powrót do sypialni okazał się triumfem czy porażką. Nie pamiętałem też, jakie słowa padły między nami i jakie zostały złożone obietnice.

— To nie fair wobec niej.

Odwrociłem głowę na poduszce. Maggie też się obudziła. Patrzyła na anielską twarzyczkę naszej śpiącej córki.

— Co jest nie fair?

— Że cię tu zobaczy, kiedy się obudzi. Może sobie niepotrzebnie robić jakieś nadzieje albo pomyśli coś, czego nie powinna.

— Jak się tu dostała?

— Przyniosłam ją. Miała koszmary.

— Często ma koszmary?

— Kiedy śpi sama. W swoim pokoju.

— Czyli zwykle śpi tutaj?

Coś w moim tonie się jej nie spodobało.

— Nie zaczynaj. Nie masz pojęcia, co to znaczy samotnie wychowywać dziecko.

— Wiem. Nic nie mówię. To co mam zrobić? Wyjść, zanim się obudzi? Mógłbym się ubrać i udawać, że właśnie wpadłem, żeby cię podrzucić po samochód.

— Nie wiem. Przede wszystkim się ubierz. I staraj się jej nie obudzić.

Wyśliznąłem się z łóżka, chwyciłem ubranie i ruszyłem do łazienki dla gości. Zachodziłem w głowę, co mogło wywołać u Maggie tak radykalną zmianę zachowania. Pewnie alkohol. Albo coś, co zrobiłem czy powiedziałem, kiedy przyjechaliliśmy do mieszkania. Ubrałem się szybko, wróciłem korytarzem do sypialni i zajrzałem do środka.

Hayley wciąż spała. Z ramionami rozrzuconymi na poduszkach przypominała aniołka z rozpostartymi skrzydłami. Maggie wkładała bluzę i spodnie od dresu, które miała jeszcze od czasów naszego małżeństwa. Przekroczyłem próg i podszedłem do niej.

— Wyjdę i wrócę za jakiś czas — szepnąłem.

— Co? — odburknęła ze złością. — Mieliśmy przecież pojechać po samochód.

— Mówiłaś, że nie chcesz, żeby mnie zobaczyła, kiedy się obudzi. Wyjdę, wypiję gdzieś kawę i wrócę za godzinę. Potem razem pojedziemy po samochód i podrzucę Hayley do szkoły. Mógłbym ją nawet odebrać, jeśli chcesz. Mam dzisiaj wolne.

— Tak po prostu? Zamierzasz zacząć wozic ją do szkoły?

— To moja córka. Nie pamiętasz, co ci wczoraj mówiłem?

Lekko wysunęła szczękę, a ja z doświadczenia wiedziałem, że to ostrzeżenie przed atakiem ciężkiej artylerii. Maggie wrzuciła wyższy bieg.

— No tak, ale sądziłam, że tylko tak mówisz — odparła.

— To znaczy?

— Myślałam, że próbujesz coś ze mnie wydobyć o swojej sprawie albo po prostu zaciągnąć mnie do łóżka. Nie wiem.

Zaśmiałem się, z niedowierzaniem kręcąc głową. Wszystkie fantazje, jakie jeszcze wczoraj snułem, prysły w jednej chwili.

— To nie ja zaprowadziłem cię do sypialni — zauważyłem.

— Ach, czyli chodziło tylko o sprawę. Chciałeś sprawdzić, co wiem.

Przez dłuższą chwilę przyglądałem się jej bez słowa.

— Nie dam rady z tobą wygrać, co?

— Na pewno nie, kiedy próbujesz mnie podejść i zachowujesz się jak adwokat.

Ilekcio dochodziło między nami do słownych potyczek, Maggie zawsze była górą. Prawdę mówiąc, cieszyłem się w duchu, że na gruncie zawodowym występował między nami konflikt interesów i nie musiałem stawać z nią w szranki podczas procesu. Po kilku latach pewni ludzie — w większości obrońcy, którzy polegli z jej ręki — zaczęli utrzymywać, że był to główny powód, dla którego się z nią ożeniłem. Żeby uniknąć spotkania z nią oko w oko w sądzie.

— Wiesz co — powiedziałem. — Wrócę za godzinę. Jeżeli chcesz, żeby cię podwieźć do samochodu, którym nie mogłaś wczoraj wrócić, bo byłaś zbyt pijana, bądź gotowa. I przygotuj Hayley.

— Nie trzeba. Weźmiemy taksówkę.

— Podwiozę was.

— Nie, weźmiemy taksówkę. I mów trochę ciszej.

Spojrzałem na córkę, która wciąż spała, mimo że jej rodzice toczyli zażarty słowny pojedynek.

— A Hayley? Chcesz, żebym ją zabrał jutro czy w niedzielę?

— Nie wiem. Zadzwoń jutro.



— W porządku. Do widzenia.

Zostawiłem ją w sypialni i wyszedłem z mieszkania. Musiałem przejść kawałek, żeby dotrzeć do lincolna, który stał krzywo zaparkowany przy Dickens. Za wycieraczką tkwił mandat z informacją, że zostałem ukarany za zaparkowanie za blisko hydrantu. Wsiadłem do samochodu, ciskając mandat na tylne siedzenie. Postanowiłem zająć się tym, kiedy następnym razem będę siedział z tyłu. Nie zamierzałem wzorem Louisa Rouleta dopuścić, żeby za mandaty wydano nakaz egzekucji. W okręgu było pełno gliniarzy, którzy z radością wciągnęliby mnie do rejestru.

Kłótnie zawsze wzmagaly mój apetyt i zorientowałem się, że umieram z głodu. Dotarłem do Ventura i skierowałem się w stronę Studio City. Było wcześniej, zwłaszcza jak na poranek po świętym Patryku, i zdążyłem zająć miejsce w DuPar's przy Laurel Canyon Boulevard, zanim zrobiło się tłoczno. Usiadłem w głębi sali i zamówiłem małą porcję naleśników i kawę. Próbując zapomnieć o Maggie McPershing, otworzyłem aktówkę i wyciągnąłem notatnik oraz akta Rouleta.

Zanim zagłębiłem się w dokumentach, zadzwoniłem do Raula Levina do Glendale, budząc go.

— Znalazłem ci coś do roboty — oznajmiłem.

— To coś nie może poczekać do poniedziałku? Parę godzin temu wróciłem do domu. Chciałem dzisiaj zacząć długi weekend.

— Nie, to nie może czekać. Jesteś mi coś winien za wczoraj. Poza tym żaden z ciebie Irlandczyk. Chcę, żebyś mi kogoś przedświetlił.

— Dobra, zaczekaj chwilę.

Odłożył słuchawkę, szukając zapewne kartki i długopisu.

— Mów.

— Siódmego przed sądem zaraz po Roulecie stawał niejaki Corliss. Był w pierwszej grupie i razem siedzieli w celi. Teraz próbuje kapować na Rouleta i chcę wiedzieć o nim wszystko, żeby dobrać mu się do tyłka.

— Znasz imię?  
— Nie.  
— Za co siedzi?  
— Nie wiem nawet, czy jeszcze siedzi.  
— Dzięki za pomoc. Co niby Roulet miał mu powiedzieć?  
— Że pobił dziwkę, bo sobie na to zasłużyła. Mniej więcej.  
— Dobra, co jeszcze o nim wiesz?  
— Nic, poza tym, że podobno nie pierwszy raz kapuje. Dowiedz się, kogo sypnął w przeszłości, może da się to jakoś wykozystać. Szukaj wszędzie, gdzie się da. Prokuratura zwykle nie grzebie im w papierach, bo się boi, że znajdzie jakiś smród. Woła o niczym nie wiedzieć.

— W porządku, biorę się do roboty.  
— Daj znać, kiedy coś będziesz wiedział.

Gdy zamykałem telefon, kelnerka właśnie przyniosła naleśniki. Połałem je obficie syropem klonowym i zacząłem jeść, przeglądając równocześnie zawartość teczki z dowodami oskarżenia.

Raport z analizy broni okazał się jedyną niespodzianką. Resztę, z wyjątkiem kolorowych zdjęć, znałem już z teczki Levina.

Zajrzałem do zebranych przez niego dokumentów. Jak można się spodziewać po prywatnym detektywie, Levin naszpikował teczkę wszystkimi szczegółami, do jakich udało mu się dotrzeć, łącznie z kopiami mandatów i wezwań za przekroczenie szybkości i złe parkowanie, jakie Roulet zgromadził i zlekceważył w ostatnich latach. Zdenerwowała mnie trochę ta skrupulatność, bo musiałem przekopać się przez masę śmieci, zanim dostałem się do rzeczy istotnych dla obrony Rouleta.

Kończyłem już lekturę, gdy przy stoliku stanęła kelnerka z dzbankiem kawy, zamierzając ponownie napełnić mój kubek. Odsunęła się raptownie na widok okaleczonej twarzy Reggie Campo na kolorowej fotografii, którą położyłem obok papierów.

— Przepraszam — powiedziałem.

Zasłoniłem zdjęcie teczką i dałem jej znak, żeby podeszła. Z ociąganiem wróciła i dołała mi kawy.

— Praca — wyjaśniłem ogólnikowo. — Wcale nie chcę zrobić pani czegoś podobnego.

— Mam tylko nadzieję, że złapie pan gnojka, który jej to zrobił.

Skinąłem głową. Wzięła mnie za glinę. Pewnie dlatego, że nie goliłem się od dwudziestu czterech godzin.

— Pracuję nad tym — odrzekłem.

Gdy odeszła, wróciłem do dokumentów. Wsuwając spod teckzi zdjęcie Reggie Campo, najpierw zobaczyłem nieuszkodzoną połowę jej twarzy. Lewą. Coś mnie zastanowiło i przyjrzałem się fotografii, skupiając się wyłącznie na lewej stronie twarzy. Jej widok znów wydał mi się dziwnie znajomy. Ale teraz też nie potrafiłem odgadnąć dlaczego. Wiedziałem tylko, że ta kobieta jest podobna do kogoś, kogo znałem lub przynajmniej kiedyś zobaczyłem.

Wiedziałem też, że będę się tym dręczył, dopóki nie ustalę, kogo mi przypomina. Zastanawiałem się, popijając kawę i bębniąc palcami w stolik, aż wreszcie postanowiłem przeprowadzić eksperyment. Złożyłem zdjęcie na pół w ten sposób, że jedna strona ukazywała okaleczoną połowę twarzy Reggie Campo, a druga zdrową. Wsunąłem fotografię do wewnętrznej kieszeni marynarki i wstałem.

W toalecie nie było nikogo. Szybko podszedłem do umywalki i wyciągnąłem zdjęcie. Pochyliłem się i przytknąłem je do lustra stroną z nieuszkodzoną częścią twarzy Reggie Campo. Powstał obraz całej nieuszkodzonej twarzy. Wpatrywałem się w nią długo i w końcu rozwiązałem zagadkę.

— Martha Rentería — powiedziałem.

Nagle drzwi toalety otworzyły się z hukiem i wpadło dwóch nastolatków, już od wejścia szarpiąc zamki rozporków. Błyskawicznie schowałem zdjęcie do kieszeni. Odwróciłem się od lustra i ruszyłem do drzwi. Usłyszałem, jak chłopcy wybuchają śmiechem. Nie miałem pojęcia, o co mnie mogli podejrzewać.

Wróciwszy do stolika, zebrałem papiery i zdjęcia i schowałem do aktówki. Zostawiłem pieniądze za rachunek i więcej niż

stosowny napiwek, po czym szybko opuściłem restaurację. Czułem się, jak gdyby jedzenie wywołało w moim organizmie dziwną reakcję. Paliła mnie twarz i miałem wrażenie, że się we mnie gotuje. Zdawało mi się też, że słyszę łomot własnego serca.

Piętnaście minut później zaparkowałem przed swoim magazynem na Oxnard Avenue w North Hollywood. Mam do dyspozycji budynek o powierzchni stu czterdziestu metrów kwadratowych z podwójną bramą garażową. Właścicielem jest człowiek, którego syna broniłem w sprawie o posiadanie narkotyków i uratowałem przed więzieniem dzięki programowi interwencji przedprocesowej. Zamiast honorarium jego ojciec na rok wynajął mi za darmo magazyn. Ale syn przez swój nałóg wciąż wpadał w tarapaty, dzięki czemu okres darmowego wynajmu sukcesywnie się wydłużał.

Trzymałem tu pudła z aktami starych spraw, a także dwa lincolny. W zeszłym roku, gdy byłem przy forsie, kupiłem cztery lincolny naraz, aby skorzystać z rabatu. Wykombinowałem, że będę używał każdego po kolei, dopóki na liczniku nie stuknie mu dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów, a wtedy odsprzedam go firmie wynajmującej limuzyny, żeby woził podróżnych na lotnisko. Na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem. Jeździłem drugim lincolnem, a wkrótce miała nadejść kolej na trzeciego.

Otworzyłem jedno skrzydło bramy i ruszyłem do archiwum, gdzie na przemysłowych regałach stały ułożone według lat pudła z aktami. Podeszedłem do półki z dokumentami sprzed dwóch lat i przesuwając palcem po liście klientów wypisanej na ścianie pudła, odnalazłem nazwisko Jesusa Menendeza.

Zdjąłem pudło, przykucnąłem i otworzyłem je na podłodze. Sprawa Menendeza miała krótki żywot. Klient przystał na warunki ugody, kiedy tylko prokurator złożył ofertę. Były tu więc tylko cztery teczki zawierające przede wszystkim kopie dokumentów ze śledztwa. Przerzuciłem je w poszukiwaniu zdjęć i w trzeciej teczce nareszcie znalazłem to, czego szukałem.

Martha Rentería padła ofiarą morderstwa, do którego przyznał się Jesus Menendez. Była dwudziestoczteroletnią tancerką o ciemnej urodzie i śnieżnobiałym uśmiechu. Znalaziono ją zakłutą nożem w jej mieszkaniu w Panorama City. Przed śmiercią została pobita, odnosząc obrażenia tylko lewej połowy twarzy, w przeciwieństwie do Reggie Campo. Do protokołu sekcji było dołączone zdjęcie jej twarzy w zbliżeniu. Znów zgiąłem fotografię wzdłuż, na nieuszkodzoną i okaleczoną połowę.

Złożyłem na podłodze zdjęcia Reggie i Marthy jak kawałki układanki. Jeśli nie liczyć faktu, że jedna z nich już nie żyła, półówki pasowały do siebie niemal idealnie. Kobiety były do siebie tak podobne, że mogły być siostrami.

## Rozdział 18

Jesus Menendez odsiadywał wyrok dożywocia w San Quentin, bo wytarł penisa w ręcznik w łazience. W zasadzie do tego wszystko się sprowadzało. Ręcznik okazał się jego największym błędem.

Siedziałem na betonowej podłodze magazynu, rozłożywszy wokół siebie akta Menendeza, przypominałem sobie fakty sprawy, nad którą pracowałem dwa lata wcześniej. Menendez został skazany za zabicie Marthy Renterii, którą śledził od Cobra Room, klubu ze striptizem w East Hollywood, do jej domu w Panorama City. Zgwałcił ją, a potem zadał jej ponad pięćdziesiąt ciosów nożem. Krwi było tyle, że przesiąkła przez łóżko, na którym leżała ofiara, i utworzyła kałużę na drewnianej podłodze. Następnego dnia krew przesiąkła przez szpary w podłodze i zaczęła kapać z sufitu w mieszkaniu piętro niżej. Wtedy wezwano policję.

Przeciw Menendezowi zgromadzono mnóstwo dowodów, lecz głównie poszlakowych. Menendez sam się pogrążył, zeznając policji — zanim jeszcze zająłem się sprawą — że w dniu morderstwa był w mieszkaniu ofiary. Ostatecznym dowodem okazało się jednak DNA na puszystym ręczniku w łazience. Nie sposób go było zneutralizować. Adwokaci nazywają taki dowód górą lodową, bo po zderzeniu z nim sprawa tonie.

Przyjąłem sprawę Menendeza w ramach tak zwanej akcji promocyjnej. Menendez nie miał pieniędzy, żeby zapłacić za żmudne i gruntowne przygotowanie dobrej obrony, ale sprawa nabrała znacznego rozgłosu, byłem więc skłonny poświęcić czas i pracę w zamian za darmową reklamę. Menendez zgłosił się do mnie, bo kilka miesięcy przed jego aresztowaniem z powodzeniem broniłem jego starszego brata Fernanda w sprawie o heroinę. Odniosłem sukces, przynajmniej we własnym mniemaniu. Udało mi się zredukować zarzut posiadania i handlu narkotykami do zwykłego posiadania. Zamiast więzienia dostał nadzór.

Dlatego wieczorem po aresztowaniu Jesusa pod zarzutem morderstwa Marthy Renterii zadzwonił do mnie Fernando. Jesus sam zgłosił się na komendę Van Nuys, żeby porozmawiać z policją. Jego portret pamięciowy pokazywano we wszystkich kanałach telewizyjnych w mieście, a szczególnie często w programach hiszpańskojęzycznych. Menendez oświadczył rodzinie, że pójdzie na policję wyjaśnić sprawę i wróci. Ale nie wrócił, toteż jego brat zadzwonił do mnie. Powiedziałem Fernandowi, że powinni mieć z tego nauczkę, by nigdy nie chodzić do detektywów wyjaśniać sprawę, dopóki nie skonsultują się z adwokatem.

Gdy Fernando do mnie dzwonił, zdążyłem już obejrzeć sporo relacji telewizyjnych o morderstwie egzotycznej tancerki, jak dziennikarze nazwali Renterię. Znalazł się w nich portret pamięciowy Latynosa, który rzekomo śledził ją w drodze z klubu do domu. Wiedziałem, że jeśli media interesują się sprawą przed aresztowaniem podejrzanego, to najprawdopodobniej będzie o niej głośno w telewizyjnych wiadomościach, a ja mogę na tym tylko skorzystać. Wszedłem w to i zgodziłem się przyjąć sprawę. Za darmo. Gratis. Dla dobra systemu. Poza tym sprawy o morderstwo należą do rzadkości. Ilekroć się trafiają, biorę je. Menendez był dwunastym oskarżonym o morderstwo, którego broniłem. Pierwszych jedenastu wciąż było za kratkami, ale żaden nie siedział w celi śmierci. Uważałem to za niezły wynik.

Zanim dotarłem do aresztu w komendzie Van Nuys, Menendez zdażył już złożyć obciążające go zeznanie. Powiedział detektywom Howardowi Kurlenowi i Donowi Craftonowi, że wcale nie śledził Renterii w drodze do domu, jak sugerowano w telewizji, ale że został przez nią zaproszony. Wyjaśnił, że tego samego dnia wygrał w kalifornijskim lotto tysiąc sto dolarów i był skłonny podzielić się tą sumą z Renterią w zamian za jej względy. Powiedział, że w jej mieszkaniu uprawiali seks za obopólną zgodą — choć użył nieco innych słów — a potem wyszedł, zostawiając ją żywą i bogatszą o pięćset dolarów w gotówce.

Kurlen i Crafton znaleźli wiele luk w wersji Menendezza. Po pierwsze, ani tego, ani poprzedniego dnia nie było losowania loterii stanowej, a w pobliskim sklepiku, gdzie Menendez rzekomo miał spieniężyć swój szczęśliwy los, nie wypłacono żadnej wygranej w wysokości tysiąca stu dolarów. Po drugie, w mieszkaniu ofiary znaleziono jedynie osiemdziesiąt dolarów. I wreszcie z protokołu sekcji wynikało, że stłuczenia i inne obrażenia wewnątrz pochwy ofiary wykluczają stosunek seksualny za obopólną zgodą. Patolog doszedł do wniosku, że Renteria została brutalnie zgwałcona.

W mieszkaniu znaleziono tylko odciski palców ofiary. Inne zostały pieczołowicie usunięte. W ciele ofiary nie znaleziono spermy, co wskazywało, że sprawca użył prezerwatywy albo nie miał wytrysku w trakcie gwałtu. Ale w łazience przylegającej do sypialni, gdzie popełniono morderstwo, technik kryminalistyczny za pomocą oświetlacza odkrył niewielką ilość spermy na różowym ręczniku wiszącym w pobliżu toalety. Przyjęto wówczas hipotezę, że po dokonaniu gwałtu i morderstwa sprawca wszedł do łazienki, zdjął prezerwatywę i wrzucił do toalety. Następnie wytarł penisa w ręcznik, który potem powiesił na miejscu. Usuając ślady zbrodni i wycierając powierzchnie, jakich mógł dotykać, zapomniał o ręczniku.

Prowadzący śledztwo nie ujawnili faktu wykrycia DNA ani przyjętej przez siebie hipotezy. Informacja o tym nie przedostała



się do mediów. Miała się stać asem atutowym Kurlena i Craftona.

Ponieważ Menendez zeznał, że był w mieszkaniu ofiary, a na dodatek kłamał, aresztowano go pod zarzutem popełnienia morderstwa, nie wydając zgody na zwolnienie za kaucję. Detektywi zdobyli nakaz rewizji, następnie pobrano z ust Menendeza próbkę DNA i wysłano do laboratorium w celu porównania z DNA znalezionym na ręczniku.

Mniej więcej wtedy wkroczyłem do sprawy. Jak mawiają w moim zawodzie, Titanic już odbił od nabrzeża. Na kursie czaiła się góra lodowa. Menendez pogrążył się, rozmawiając z policją i okłamując detektywów. Mimo to, choć nie wiedziałem o badaniu DNA w laboratorium, zobaczyłem promyczek nadziei. Można było spróbować neutralizacji zeznania — które, nawiasem mówiąc, media zdążyły już ogłosić jako przyznanie się do winy. Menendez urodził się w Meksyku i przyjechał do Stanów w wieku ośmiu lat. Jego rodzina w domu rozmawiała wyłącznie po hiszpańsku, a Jesus chodził do szkoły hiszpańskojęzycznej, dopóki jej nie rzucił, gdy miał czternaście lat. W mowie znał angielski w stopniu podstawowym, a jego bierna znajomość języka była chyba na jeszcze niższym poziomie. Kurlen i Crafton nie zadali sobie trudu, by sprowadzić tłumacza, a z nagranego przesłuchania wynikało, że ani razu nie spytali Menendeza, czy życzy sobie skorzystać z jego usług.

Była to rysa na sprawie, którą musiałem poszerzyć i wykorzystać. Fundament oskarżenia Menendeza stanowiło przesłuchanie. To był wirujący półmisek. Gdyby udało mi się go strącić, pozostałe talerze też musiałyby pospadać z patyków. Zamierzałem zaatakować przesłuchanie jako pogwałcenie praw Menendeza, który nie mógł nawet zrozumieć informacji, jakie podczas aresztowania odczytał mu Kurlen, ani napisanego po angielsku dokumentu wymieniającego przysługujące mu prawa, który podpisał na prośbę detektywa.

Tak wyglądała sprawa przez dwa tygodnie od aresztowania Menendeza, dopóki nie przyszły wyniki badań laboratoryjnych.

Według nich DNA Menendeza było identyczne z DNA znalezionym na ręczniku w łazience ofiary. Prokuratura nie potrzebowała już przesłuchania ani przyznania się do winy. Badanie DNA wykazało niezbicie, że brutalny gwałt i morderstwo to dzieło Menendeza. Mogłem próbować wariantu obrony O.J. Simpsona — podważając wiarygodność analizy DNA. Ale prokuratorzy i technicy laboratoryjni wyciągnęli naukę z tamtego fiaska i wiedziałem, że nie mam szans przekonać przysięgłych. DNA było górą lodową, której rozpadziony statek nie mógł już ominąć.

Wynik badania DNA na konferencji prasowej ogłosił sam prokurator okręgowy, informując dziennikarzy, że oskarżenie będzie się domagać dla Menendeza kary śmierci. Dodał, że detektywi znaleźli trzech naocznych świadków, którzy widzieli, jak Menendez wyrzucał nóż do rzeki Los Angeles. Przeszukano dno rzeki, lecz broni nie odnaleziono. Mimo to prokurator określił zeznania świadków jako bardzo wiarygodne — byli to trzej współlokatorzy Menendeza.

Biorąc pod uwagę dowody oskarżenia i zagrożenie karą śmierci, uznałem, że linia obrony O.J. Simpsona będzie zbyt ryzykowna. W towarzystwie Fernanda Menendeza jako tłumacza pojechałem do aresztu Van Nuys i oznajmiłem Jesusowi, że jego jedyną szansą jest przyjęcie oferty ugody złożonej przez prokuratora. Jeżeli Menendez przyzna się do zarzutu morderstwa, będę mógł uzyskać dla niego dożywocie z możliwością zwolnienia warunkowego. Powiedziałem mu, że wyjdzie po piętnastu latach. I że to jedyny sposób.

Rozmowa była bardzo bolesna. Obaj bracia z płaczem błagali mnie, żebym znalazł jakiś sposób. Jesus z uporem twierdził, że nie zabił Marthy Renterii. Powiedział, że okłamał policję, żeby chronić Fernanda, który dał mu pieniądze z miesięcznego utargu ze sprzedaży czarnej meksykańskiej heroiny. Jesus sądził, że gdyby detektywi dowiedzieli się o szczodrości brata, Fernando prawdopodobnie zostałby aresztowany.

Bracia nalegali, żebym przeprowadził własne śledztwo. Jesus

mówił, że tamtego wieczoru w Cobra Room Rentería miała jeszcze innych konkurentów. Zapłacił jej tak dużo, chcąc przebić oferty pozostałych amatorów jej usług.

Na koniec Jesus powiedział mi, że rzeczywiście wyrzucił nóż do rzeki, ale dlatego, że się bał. Nie była to broń, którą zamordowano Renterię. Noża używał w pracy, jaką udało mu się znaleźć w Pacoima. Był podobny do noża pokazywanego w hiszpańskojęzycznej telewizji, więc Jesus pozbył się go, zanim poszedł na policję wyjaśnić sprawę.

Wysłuchawszy go, powiedziałem, że żadne z jego tłumaczeń nie ma znaczenia. Liczyło się tylko DNA. Jesus miał wybór. Albo zgodzi się na piętnaście lat, albo zdecyduje się na proces, ryzykując wyrok kary śmierci lub dożywocia bez możliwości warunku. Przypomniałem mu, że jest jeszcze młody. Będzie mógł wyjść, zanim skończy czterdzieści lat. Wciąż będzie miał kawałek życia przed sobą.

Wychodząc z aresztu, miałem pozwolenie Jesusa Menendeza na przyjęcie warunków ugody. Potem widziałem go tylko raz. Na rozprawie, gdy stałem obok niego przed obliczem sędziego, instruując go, co ma mówić podczas składania oświadczenia o przyznaniu się do winy. Najpierw wysłali go do Pelican Bay, a potem do San Quentin. Przez sądową pocztę pantoflową dowiedziałem się, że jego brata znów zgarnęli — tym razem za używanie heroiny. Ale nie zadzwonił do mnie. Wziął innego adwokata i nie musiałem się zastanawiać dlaczego.

Siedząc na podłodze magazynu, otworzyłem protokół z sekcji zwłok Marthy Renterii. Szukałem dwóch szczegółów, na które wcześniej nikt nie zwrócił chyba zbytniej uwagi. Sprawa została zamknięta. Akta były martwe. Nikogo już nie obchodziły.

Pierwszym istotnym elementem była część protokołu poświęcona pięćdziesięciu trzem ranom kłutym, jakie podczas ataku zadano ofierze. W punkcie „Opis ran” napisano, że bronią użytą w zbrodni mógł być nóż długości najwyżej trzynastu centymetrów i szerokości dwóch i pół. Grubość ostrza określono na trzy milimetry. Odnotowano także fakt, że skóra na brzegrach ran była

poszarpana, co oznaczało, że nóż miał nierówną górną krawędź, czyli był bronią, która miała powodować uszkodzenia w chwili wbijania i wyciągania. Niewielka długość ostrza sugerowała, że mógł to być nóż składany.

W protokole znalazł się szkic przedstawiający ostrze bez rękojeści. Wyglądało znajomo. Przyciągnąłem stojącą na podłodze aktówkę i otworzyłem ją. W teczce z dowodami oskarżenia odnalazłem zdjęcie składanego noża z wygrawerowanymi inicjałami Louisa Rouleta. Porównałem ostrze z rysunkiem w protokole z autopsji. Nie było identyczne, ale bardzo podobne.

Następnie wyciągnąłem raport z analizy broni i jeszcze raz spojrzałem na akapit, który poprzedniego dnia przeczytałem na spotkaniu w biurze Rouleta. Nóż opisano jako składany model Black Ninja z ostrzem długości trzynastu centymetrów, szerokości dwóch i pół centymetra i grubości trzech milimetrów — takich samych rozmiarów jak nieznany nóż, którym zamordowano Marthę Renterię. Nóż, który Jesus Menendez wrzucił podobno do rzeki Los Angeles.

Wiedziałem, że trzynastocentymetrowe ostrze to jeszcze nic nadzwyczajnego. Niczego nie rozstrzygało, ale instynkt podpowiadał mi, że jestem na tropie istotnego odkrycia. Starąłem się zignorować przecucie, które gorącą falą zaczynało mi pulsować w piersi i gardle. Starąłem się skupić na faktach. Dalej studiowałem dokumenty. Musiałem sprawdzić, czy znajdę jedną konkretną ranę, ale nie chciałem oglądać zdjęć zamieszczonych na końcu protokołu — zdjęć chłodno i rzeczowo dokumentujących koszmarnie zmasakrowane ciało Marthy Renterii. Przeszedłem do strony, na której zamieszczono ogólne szkice przedniej i tylnej strony zwłok. Na rysunku przedniej strony ciała patolog zaznaczył i ponumerował wszystkie rany. Od 1 do 53. Wyglądało to jak makabryczna łamigłówka „połącz kropki” i nie wątpiłem, że Kurlen lub inny detektyw szukający tropów jeszcze przed zjawieniem się Menendeza połączył je, mając nadzieję, że morderca zostawił policji swoje inicjały czy inną dziwną wskazówkę.

Oglądając szyję, zauważyłem dwie kropki po obu stronach. Miały numery 1 i 2. Odwróciłem stronę, żeby przeczytać szczegółowe opisy ran.

Opis rany numer 1 brzmiał: *Powierzchowne nakłucie w prawym dolnym odcinku szyi z przedśmiertnym stężeniem histaminy świadczącym o ranie zadanej w celu wymuszenia postuszeństwa.*

Opis rany numer 2 brzmiał: *Powierzchowne nakłucie w lewym dolnym odcinku szyi z przedśmiertnym stężeniem histaminy świadczącym o ranie zadanej w celu wymuszenia postuszeństwa. Nakłucie o 1 cm większe od rany nr 1.*

Oznaczało to, że obie rany zadano, kiedy Martha Rentería jeszcze żyła. I prawdopodobnie dlatego umieszczono je na początku listy. Patolog sugerował, że rany powstały od przyłożenia noża do szyi — w ten sposób morderca wymusił na ofierze uległość.

Zajrzałem do dowodów oskarżenia w sprawie Campo. Wyciągnąłem fotografie Reggie Campo i protokoły z obdukcji przeprowadzonej w szpitalu Holy Cross. Campo miała niewielkie nakłucie z lewej strony szyi, ale z prawej nie było żadnych ran. Przebiegłem wzrokiem zeznanie, jakie złożyła policji, odnajdując fragment, w którym mówiła, w jaki sposób odniosła obrażenia. Napastnik podniósł ją z podłogi w salonie i kazał się zaprowadzić do sypialni. Gdy szli, prawą dłoń trzymał pasek stanika na jej plecach, a lewą przykładał nóż do jej szyi. Czując, jak na moment oparł rękę o jej ramię, Campo wykonała szybki obrót i pchnęła go do tyłu na stojący na podłodze wazon, a potem uciekła.

Chyba zrozumiałem, dlaczego Reggie Campo miała nakłucie tylko z jednej strony szyi, a nie dwa jak Martha Rentería. Gdyby dotarli do sypialni, a napastnik rzucił Campo na łóżko i położył się na niej, byłby zwrócony do niej twarzą. Trzymając nóż w tej samej ręce — lewej — musiałby przyłożyć ostrze z drugiej strony szyi. Gdyby znalazł ją martwą w łóżku, pewnie miałaby nakłucia z obu stron.

Odłożyłem akta na bok i przez długi czas bez ruchu siedziałem na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Moje myśli brzmiały jak szepty w mroku. Widziałem w pamięci zalaną łzami twarz Jesusa Menendeza, kiedy upierał się, że jest niewinny — i błagał, żebym mu uwierzył — a ja przekonywałem go, że musi się przyznać. Było to coś więcej niż udzielenie porady prawnej. Menendez nie miał pieniędzy, nie miał obrony i nie miał szans — w takiej właśnie kolejności — a ja powiedziałem mu, że w dodatku nie ma wyboru. I choć ostatecznie sam podjął decyzję i z jego ust padło w sądzie słowo „winny”, miałem wrażenie, jak gdybym to ja, jego własny adwokat, przyłożył mu do gardła nóż systemu i kazał to powiedzieć.

## Rozdział 19

Przed drugą wyjechałem z nowej dużej wypożyczalni samochodów przy międzynarodowym lotnisku San Francisco i skierowałem się na północ w stronę miasta. Z zapachu w lincolnie wynioskowałem, że korzystał z niego palacz — może poprzedni użytkownik albo pracownik, który umył i wysprzątał dla mnie auto.

Nie mam najlepszej orientacji w San Francisco. Wiem tylko, jak przejechać przez miasto. Trzy albo cztery razy w roku wybieram się do San Quentin, więzienia nad zatoką, aby porozmawiać z klientami lub świadkami. Bez trudu mógłbym każdemu wskazać drogę. Ale gdyby ktoś mnie spytał, jak znaleźć Coit Tower albo Fisherman's Wharf, miałbym nie lada kłopot.

Kiedy przejechałem miasto i znalazłem się po drugiej stronie mostu Golden Gate, dochodziła już druga. Byłem jednak spokojny. Wiedziałem, że pora widzeń z adwokatami kończy się o czwartej.

San Quentin ma ponad sto lat i wygląda, jak gdyby na jego ciemnych murach odcisnęły swoje piętno dusze wszystkich więźniów. Nigdy nie byłem w posępniejszym więzieniu, a odwiedziłem już wszystkie w Kalifornii.

Przeszukano moją aktówkę i kazano mi przejść przez bramkę wykrywacza metali. Potem dla pewności sprawdzili mnie jeszcze ręcznym detektorem. Mimo to i tak zabroniono mi bezpośredniego

kontakty z Menendezem, ponieważ moja wizyta nie została formalnie zaplanowana z przepisowym pięciodniowym wyprzedzeniem. Dlatego zostałem zaprowadzony do bezkontaktowej sali widzeń. Od więźnia oddzielała mnie pleksiglasowa ścianka z otworami wielkości dziesięciocentówek, przez które mieliśmy rozmawiać. Pokazałem strażnikowi sześć fotografii, jakie chciałem dać Menendezowi, ale usłyszałem, że będę musiał pokazać mu je przez szybę. Usiadłem, schowałem zdjęcia i nie musiałem długo czekać, gdy po drugiej stronie zjawił się Menendez.

Dwa lata temu, gdy przewieziono go do więzienia, Jesus Menendez był młodym człowiekiem. Teraz wyglądał, jakby już skończył czterdzieści lat, a według moich zapewnień w tym wieku miał wyjść na wolność. Spojrzał na mnie oczyma ciemnymi i nieruchomymi jak kamienie. Niechętnie usiadł. Nie byłem mu już do niczego potrzebny.

Darując sobie powitania, od razu przystąpiłem do rzeczy.

— Posłuchaj, Jesus, nie muszę cię pytać, jak jest. Wiem. Ale pojawiły się nowe informacje, które mogą mieć wpływ na twoją sprawę. Muszę ci zadać kilka pytań. Rozumiesz?

— Po co pytania? Wtedy nie miałeś pytań.

Skinąłem głową.

— Masz rację. Powinienem cię wtedy spytać o wiele rzeczy, ale tego nie zrobiłem. Nie wiedziałem tego, co teraz wiem. A przynajmniej wydaje mi się, że wiem. Staram się wszystko naprawić.

— Co chcesz?

— Chcę, żebyś mi opowiedział o tamtym wieczorze w Cobra Room.

Wzruszył ramionami.

— Posłem do niej, ale nie zabiłem.

— Wróćmy do klubu. Mówiłeś, że chciałeś dziewczynie za imponować, że musiałeś jej pokazać pieniądze i wydałeś więcej, niż chciałeś. Pamiętasz?



- No.
- Powiedziałeś, że chciał ją poderwać jakiś inny facet. Pamiętasz?
- *Si*, był i gadał. Poszła do niego, ale wróciła do mnie.
- I musiałeś jej więcej zapłacić, tak?
- Aha.
- No dobrze, pamiętasz tego faceta? Gdybyś zobaczył jego zdjęcie, rozpoznałbyś go?
- Tego, co się chwalił? Chyba tak.
- W porządku.

Otworzyłem aktówkę i wyciągnąłem sześć fotografii z policyjnych kartotek. Było wśród nich zdjęcie Louisa Rossa Rouleta zrobione po aresztowaniu, a pięć pozostałych wybrałem ze swojego archiwum w pudłach. Wstałem i jedno po drugim zacząłem przykładać do pleksiglasowej przegrody. Uznałem, że jeśli rozczepię palce, uda mi się przytrzymać przy szybie wszystkie naraz. Menendez wstał, żeby przyjrzeć się im bliżej.

W tym momencie z głośnika zadudnił głos:

— Odsunąć się od szyby. Obaj proszę odsunąć się od szyby i pozostać na miejscach, inaczej widzenie zostanie zakończone.

Pokręciłem głową, klnąc pod nosem. Zebrałem zdjęcia i usiadłem. Menendez też zajął miejsce.

— Strażnik! — zawołałem.

Patrzyłem na Menendeza i czekałem. Strażnika nie było.

— Strażnik! — krzyknąłem głośniejsze.

Wreszcie drzwi się otworzyły i do mojej części pomieszczenia wkroczył funkcjonariusz.

— Skończył pan?

— Nie. Chcę, żeby popatrzył na te zdjęcia.

Uniosłem plik fotografii.

— Niech mu pan pokaże przez szybę. Nie wolno mu niczego od pana przyjmować.

— Przecież zaraz je zabiorę.

— Nieważne. Nie może mu pan niczego dawać.

— Ale jeżeli nie pozwoli mi pan podejść do szyby, to jak ma je zobaczyć?

— To nie mój problem.

Rozłożyłem ręce w geście kapitulacji.

— No dobrze. Może pan zostać tu przez chwilę?

— Po co?

— Chcę, żeby pan to widział. Pokażę mu zdjęcia, a jeżeli kogoś zidentyfikuje, będzie pan świadkiem.

— Nie wciągaj mnie pan w swoje brudy.

Odwrócił się do drzwi i wyszedł.

— Niech to szlag — powiedziałem. Spojrzałem na Menendez.

— Dobrze, Jesus, i tak ci pokażę. Nie wstawaj i spróbuj zobaczyć, czy któregoś poznajesz.

Po kolei unosiłem fotografie, trzymając je w odległości trzydziestu centymetrów od szyby. Menendez wychylił się do przodu. Przy pierwszych pięciu zastanawiał się przez chwilę, po czym przecząco kręcił głową. Ale przy szóstym w jego oczach pojawił się błysk. Jak gdyby jednak tliło się w nich jeszcze życie.

— Ten — powiedział. — To on.

Odwrociłem zdjęcie, aby się upewnić. To był Roulet.

— Pamiętam — dodał Menendez. — On.

— Jesteś pewien?

Menendez pokiwał głową.

— Czemu jesteś taki pewien?

— Bo wiem. Każdą noc myślę o tym, cały czas.

Skinąłem głową.

— Kto to jest? — zapytał.

— Nie mogę ci na razie powiedzieć. Ale pamiętaj, że próbuję cię stąd wydostać.

— Co mam robić?

— To co dotychczas. Czekać, bądź ostrożny i uważaj na siebie.

— Uważaj?

— Tak. Kiedy tylko coś będę miał, na pewno się dowiesz. Chcę cię stąd wyciągnąć, Jesus, ale to może potrwać.

— To ty kazałeś mi tu przyjść.

— Wtedy nie sądziłem, że masz inny wybór.

— Czemu nigdy mnie nie pytałeś, czy zabiłem dziewczynę? Jesteś mój adwokat, nie? Ale tobie nie obchodziło. Nie słuchałeś.

Wstałem i zawołałem strażnika. Dopiero potem odpowiedziałem na pytanie Menendez.

— Żeby cię bronić przed sądem, nie musiałem znać odpowiedzi na to pytanie. Gdybym pytał klientów, czy są winni przestępstw, o jakie ich oskarżają, niewielu powiedziałoby mi prawdę. A gdyby powiedzieli, może nie umiałbym ich bronić najlepiej, jak potrafię.

Strażnik otworzył drzwi i spojrzał na mnie.

— Skończyliśmy — powiedziałem mu.

Spojrzałem na zegarek i pomyślałem, że jeżeli po drodze nie trafię na żadne korki, mogę zdążyć na samolot do Burbank o piątej. Najpóźniej na ten o szóstej. Wrzuciłem zdjęcia do aktówki i zamknąłem ją. Jeszcze raz popatrzyłem na Menendez, który nadal siedział po drugiej stronie plastikowej ścianki.

— Mogę przyłożyć rękę do szyby? — zapytałem strażnika.

— Tylko szybko.

Przechyliłem się nad blatem i położyłem na szybie otwartą dłoń. Czekałem, by Menendez zrobił to samo i abyśmy wymienili symboliczny więzienny uścisk ręki.

Menendez wstał, pochylił się i splunął na szybę w miejscu, gdzie była moja dłoń.

— Nigdy mi nie podałeś ręki — powiedział. — Ja ci też nie podam.

Skinąłem głową. Chyba pojąłem jego rozumowanie.

Strażnik uśmiechnął się kpiąco i wyprowadził mnie z sali. Po dziesięciu minutach byłem już za murami więzienia i szedłem po chrześzczącym żwirze do wypożyczonego samochodu.

Pokonałem sześćset kilometrów, żeby przeprowadzić pięciominutową rozmowę, ale te pięć minut było dla mnie druzgocące. Najgorsza chwila mojego życia i kariery zawodowej nadeszła godzinę później, kiedy siedziałem w kolejce wiozącej mnie do terminalu United. Nie musiałem się już koncentrować na prowadzeniu samochodu i martwić się, czy zdążę, mogłem więc myśleć tylko o sprawie. Właściwie o sprawach.

Pochyliłem się, opierając łokcie na kolanach i ukrywając twarz w dłoniach. Sprawdziła się moja najgorsza obawa, i to już przed dwoma laty, choć dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj. Stał przede mną człowiek niewinny, ale nie zdałem sobie z tego sprawy. Nie dostrzegając tego, rzuciłem go w paszczę maszyny jak wszystkich innych. Teraz jego niewinność, zimna i martwa jak kamień, tkwiła za fortecznym murem więzienia. A ja musiałem z tym żyć.

Nie pocieszyła mnie myśl, że gdybyśmy rzucili kostką i zdecydowali się na proces, Jesus prawdopodobnie siedziałby dziś w celi śmierci. Chociaż uniknął tego losu, w niczym nie zmieniło to mojego samopoczucia, bo miałem bolesną świadomość, że Jesus Menendez był niewinny. Spotkało mnie coś równie rzadkiego jak cud — przyszedł do mnie niewinny człowiek, a ja odwróciłem się do niego plecami.

— Zły dzień?

Uniosłem głowę. Naprzeciw mnie w głębi wagonu siedział jakiś mężczyzna. Byliśmy jedynymi pasażerami. Nieznajomy był o jakieś dziesięć lat starszy ode mnie i miał przerzedzone włosy, co nadawało mu wygląd mędrca. Może nawet był prawnikiem, ale wcale nie byłem go ciekaw.

— Wszystko w porządku — odparłem. — To tylko zmęczenie.

Uniosłem dłoń na znak, że nie życzę sobie rozmowy. Zwykle w podróży mam przy sobie słuchawki takie jak Earl. Wsuwam je do uszu, a kabel wkładam do kieszeni marynarki. Niczego nie słucham, ale przynajmniej nikt mnie nie zaczepia. Dziś rano za bardzo się spieszyłem i o nich zapomniałem. Spieszyłem się, by na koniec znaleźć się na dnie rozpaczy.

Mężczyzna z naprzeciwka zrozumiał i więcej się nie odezwał. Wróciłem do ponurych rozmyślań o Jesusie Menendezie. Sedno tkwiło w tym, że przypuszczalnie miałem klienta winnego morderstwa, za które inny klient odsiadywał wyrok dożywocia. Nie mogłem pomóc jednemu, nie krzywdząc drugiego. Musiałem znaleźć rozwiązanie. Musiałem opracować plan. Zdobyć dowód. Ale w tym momencie, siedząc w wagonie kolejki, myślałem tylko o martwych oczach Jesusa Menendezza. Wiedziałem, że to ja zgasiłem w nich blask.

## Rozdział 20

Kiedy tylko wysiadłem z samolotu na Burbank, włączyłem komórkę. Nie wymyśliłem żadnego planu, ale wymyśliłem następny krok, który wymagał telefonu do Raula Levina. Komórka zabręczała mi w dłoni, co oznaczało, że mam od kogoś wiadomości. Postanowiłem odsłuchać je dopiero po wydaniu dyspozycji Levinowi.

Raul odebrał i od razu na wstępie zapytał, czy dostałem od niego wiadomość.

— Dopiero wysiadłem z samolotu — odrzekłem. — Miałem wyłączoną komórkę.

— Z samolotu? Gdzie byłeś?

— Na północy. Co to za wiadomość?

— Nowiny o Corlissie. Jeżeli nie dzwonisz w tej sprawie, to o co chodzi?

— Co porabiasz dziś wieczorem?

— Siedzę w domu. Nie lubię wychodzić w piątki i soboty. To czas amatorów. Za dużo pijanych na ulicach.

— Chcę się z tobą zobaczyć. Muszę z kimś pogadać. Źle się dzieje.

Levin widocznie wyczuł coś w tonie mojego głosu, bo natychmiast zrezygnował ze swojej weekendowej zasady i umówiliśmy się w Smoke House przy Warner Studios. Niedaleko miejsca, w którym byłem, i niedaleko jego domu.

Przy okienku obsługi parkingu podałem bilet mężczyźnie w czerwonej kurtce i czekając na lincolna, odsłuchałem wiadomości.

W ciągu godzinnego lotu z San Francisco nadeszły trzy. Pierwsza była od Maggie McPherson.

„Michael, chciałam cię tylko przeprosić za moje zachowanie dzisiaj rano. Prawdę mówiąc, byłam wściekła na siebie za pewne rzeczy, które wczoraj powiedziałam i zrobiłam. Wyładowałam się na tobie, a nie powinnam. Hm, jeżeli jutro albo w niedzielę chcesz gdzieś zabrać Hayley, będzie zachwycona i kto wie, może i ja się przyłączę. W każdym razie daj mi znać”.

Niezbyt często nazywała mnie Michaeliem, nawet gdy byliśmy małżeństwem. Należała do kobiet, które zwracając się do ciebie tylko po nazwisku, potrafiły je wymawiać jak najbardziej pieśczośliwe słowo. Oczywiście, jeżeli chciała. Zawsze mówiła mi Haller. Od dnia, gdy poznaliśmy się w kolejce do wykrywacza metalu przed wejściem do siedziby sądów karnych. Szła na spotkanie informacyjne do prokuratury okręgowej, a ja na posiedzenie sądu do spraw wykroczeń, gdzie miałem bronić faceta, któremu zarzucono jazdę po pijanemu.

Zapisałem wiadomość, żeby później jeszcze jej posłuchać, i sprawdziłem następną. Spodziewałem się, że będzie od Levina, ale głos automatu poinformował mnie, że dzwoniło z numeru z kierunkowym 310. Po chwili usłyszałem głos Louisa Rouleta.

„To ja, Louis. Właśnie byłem się zgłosić w sądzie. Od wczoraj zastanawiam się, jak wygląda sytuacja. Mam ci też coś do powiedzenia”.

Wcisnąłem guzik, kasując wiadomość, po czym odsłuchałem trzeciej i ostatniej. Tym razem odezwał się Levin.

„Hej, szefie, zadzwoń do mnie. Mam coś o Corlissie. Nazywa się Dwayne Jeffery Corliss. Dwayne przez D-W. Ćpun, który ma na koncie parę donosów w Los Angeles. Nic dziwnego, nie? W każdym razie został aresztowany za kradzież motoru, który pewnie chciał przehandlować za trochę meksykańskiego towaru.

Zakapował Rouleta za dziewięćdziesiąt dni terapii zamkniętej w okręgowym-USC. Nie da rady z nim pogadać, chyba że namówisz sędziego, by nam to jakoś załatwił. Prokurator nieźle to rozegrał. W każdym razie sprawdzam go dalej. Znalazłem w Internecie jakąś sprawę z Phoenix. Może się nam przydać, jeżeli to ten sam gość. Tam mu chyba nie wyszło. Będę mógł to potwierdzić w poniedziałek. To tyle ode mnie. Odezwij się w weekend. Będę siedział w domu”.

Skasowałem wiadomość i zamknąłem telefon.

— Wszystko jasne — powiedziałem do siebie.

Kiedy usłyszałem, że Corliss jest ćpunem, nie potrzebowałem niczego więcej. Zrozumiałem, dlaczego Maggie mu nie ufała. Ćpuni — zwłaszcza dający sobie w żyłę — byli najbardziej desperowanymi i niewiarygodnymi ludźmi, na jakich można się natknąć w machinie prawnej. Gdyby mieli okazję, zakapowaliby własne matki za następny zastrzyk albo następny program terapii metadonowej. Wszyscy byli kłamcami i wszystkim bez trudu można było udowodnić kłamstwo przed sądem.

Zastanawiało mnie jednak, co kombinuje prokurator. Dwayne Corliss nie figurował w żadnym z dokumentów, jakie przekazał mi Minton. Mimo to prokurator postępował z nim tak jak ze świadkiem. Wysłał Corlissa na dziewięćdziesięciodniowy program odwykowy, żeby go przechować w bezpiecznym miejscu. W tym czasie proces Rouleta miał się rozpocząć i zakończyć. Czyżby ukrywał Corlissa? A może po prostu odłożył kapusia na półkę, żeby był pod ręką, na wypadek gdyby musiał złożyć zeznanie? W każdym razie na pewno działał w przekonaniu, że nic nie wiem o Corlissie. I gdyby Maggie McPherson się nie wygadała, rzeczywiście nic bym nie wiedział. Mimo to był to niebezpieczny ruch. Sędziowie nie są zbyt życzliwi dla prokuratorów, którzy tak jawnie lekceważą zasady ujawnienia dowodów.

Zacząłem rozmyślać nad możliwą linią obrony. Jeżeli Minton był na tyle głupi, żeby wyskoczyć z Corlissem w trakcie procesu, mógłbym nawet nie zgłaszać sprzeciwu w związku z naruszeniem



reguł ujawnienia. Pozwoliłbym narkomanowi zająć miejsce dla świadków, a potem na oczach przysięgłych mógłbym go rozedrzeć na strzępy jak kwitek po transakcji kartą kredytową. Wszystko będzie zależało od tego, co wyszpera Levin. Zamierzałem mu powiedzieć, żeby dalej grzebał w przeszłości Dwayne'a Jeffery'ego Corlissa. I niczego nie pomijał.

Corliss został umieszczony na terapii zamkniętej w szpitalu okręgowym-USC. Levin był w błędzie, podobnie jak Minton, sądząc, że świadek jest poza moim zasięgiem. Tak się złożyło, że do tego samego szpitala trafiła moja klientka Gloria Dayton, gdy złożyła donos na dilera narkotyków. W okręgowym-USC prowadzono wiele podobnych programów, ale niewykluczone, że brała udział we wspólnej terapii grupowej z Corlissesem albo nawet jadła posiłki w jego towarzystwie. Jeśli nawet nie mogłem się skontaktować z Corlissesem osobiście, to jako adwokat Glorii Dayton miałem prawo się z nią skontaktować i przez nią przekazać wiadomość Corlissowi.

Kiedy nadjechał lincoln, dałem dwa dolary człowiekowi w czerwonej kurtce. Opuściłem lotnisko i ruszyłem na południe Hollywood Way w kierunku centrum Burbank, gdzie znajdowały się wszystkie studia. Zjawiłem się w Smoke House przed Levinem i przy barze zamówiłem martini. W telewizji nadawano właśnie najnowsze wiadomości o rozpoczęciu turnieju koszykarskiej ligi uniwersyteckiej. W pierwszej rundzie Floryda pokonała Ohio. U dołu ekranu wyświetlił się napis „Marcowe szaleństwo”. Uniosłem w toaście kieliszek. Zaczynałem poznawać smak prawdziwego marcowego szaleństwa.

Wszedł Levin i przed kolacją zamówił piwo. Nalano mu zielone — jeszcze z obchodów dnia świętego Patryka. Pewnie był spokojny wieczór. Może wszyscy poszli do Four Green Fields.

— Nie ma to jak porządny klin, a najlepiej zielony — powiedział z irlandzkim akcentem, który powoli stawał się nudny.

Upił pianę, żeby bezpiecznie donieść szklanekę do stolika,

i podeszliśmy do szefowej sali, aby znalazła dla nas wolne miejsce. Zaprowadziła nas do wyłożonego czerwonym materiałem boksu w kształcie litery U. Usiedliśmy naprzeciw siebie, aktówkę postawiłem obok. Kiedy zjawiała się kelnerka, zamówiliśmy pełny zestaw: sałatki i steki z ziemniakami. Poprosiłem też o specjalność restauracji, grzanki serowo-czosnkowe.

— To dobrze, że nie lubisz nigdzie wychodzić w weekendy — powiedziałem do Levina, gdy kelnerka odeszła. — Zjesz taką grzankę, a twój oddech zabije pewnie każdego, kto się do ciebie zbliży.

— Chyba zaryzykuję.

Potem umilkliśmy na dłuższą chwilę. Czułem, jak alkohol zaczyna zagłuszać moje wyrzuty sumienia. Musiałem zamówić następne martini, kiedy przyniosą sałatki.

— No? — zapytał w końcu Levin. — To ty chciałeś się spotkać.

Skinąłem głową.

— Chcę ci opowiedzieć historię. Nie znam wszystkich szczegółów, ale opowiem ci ją tak, jak się moim zdaniem rozegrała. Potem ty mi powiesz, co o niej sądzisz i co powinienem zrobić, zgoda?

— Lubię historie. Mów.

— Ta chyba ci się nie spodoba. Zaczyna się dwa lata temu od...

Urwałem, ponieważ w tym momencie kelnerka postawiła na stoliku sałatki i koszyczek z serowymi grzankami. Poprosiłem o następne martini, mimo że kieliszek miałem jeszcze do połowy pełny. Chciałem mieć pewność, że nie będzie żadnej przerwy.

— No więc wszystko zaczyna się dwa lata temu — podjąłem po chwili. — Od Jesusa Menendeza. Pamiętasz go, nie?

— Tak, wspominaliśmy o nim któregoś dnia. DNA. Zawsze mówiłeś, że to ten klient, który trafił do pudła, bo wytarł fiuta w puszysty różowy ręcznik.

Uśmiechnął się, bo rzeczywiście często sprowadzałem sprawę Menendeza do tego wulgarnego szczegółu. I często rozbawiałem

nim innych prawników, gdy wymienialiśmy się frontowymi opiniami w Four Green Fields. Wtedy nie wiedziałem jeszcze tego co teraz.

Nie odwzajemniłem uśmiechu.

— No więc okazuje się, że on tego nie zrobił.

— Jak to? Ktoś inny wytarł mu ręcznikiem fiuta? Tym razem Levin głośno się roześmiał.

— Nie, nie rozumiesz. Chcę powiedzieć, że Jesus Menendez jest niewinny.

Levin spoważniał. Skinął głową, domyślając się reszty.

— Siedzi w San Quentin. Tam dzisiaj byłeś.

Przytaknąłem.

— Cofnę się do początku historii — powiedziałem. — Nie miałeś za dużo roboty przy sprawie Menendeza, bo właściwie nie było nic do zrobienia. Mieli DNA, jego zeznanie, w którym sam się pogrążył, i trzech świadków, którzy widzieli, jak wrzucił nóż do rzeki. Noża nie znaleźli, ale mieli świadków — jego współlokatorów. Sprawa była beznadziejna. Prawdę mówiąc, wszedłem w to tylko dla reklamy. Moja rola sprowadzała się w zasadzie do zawarcia ugody. Menendez nie chciał, mówił, że tego nie zrobił, ale nie było wyboru. Prokurator żądał kary śmierci. I Menendez dostałby ją albo dożywocie bez możliwości warunku. Wytargowałem dożywocie z warunkiem i zmusiłem gnojka, żeby to przyjął. Zmusiłem.

Spojrzałem na nietkniętą sałatkę. Uświadomiłem sobie, że nie mam ochoty jeść. Chciałem tylko pić i wytrawić wódką wszystkie komórki winy w mózgu.

Levin czekał na ciąg dalszy. On też nie jadł.

— Jeżeli nie pamiętasz, sprawa dotyczyła morderstwa kobiety, Marthy Renterii. Była tancerką w Cobra Room na East Sunset. Pewnie nigdy tam nie trafiłeś, co?

Levin przecząco pokręcił głową.

— Nie ma tam sceny — ciągnąłem. — Pośrodku mają taki dołek i przed każdym numerem wchodzi faceci przebrani za Aladyna, wnosząc na bambusowych kijach wielki kosz. Stawiają go

i zaczyna grać muzyka. Wtedy kosz się otwiera i ze środka zamiast kobry wychodzi dziewczyna i tańczy. Potem zrzuca górę. Taka nowa wersja tancerki w torcie.

— To Hollywood — zauważył Levin. — Musi być show.

— No więc show bardzo się spodobał Jesusowi Menendezowi. Miał przy sobie tysiąc sto dolarów, które dostał od brata, dilerą prochów, i wpadła mu w oko Martha Rentería. Może dlatego, że była jedyną tancerką niższą od niego. Może dlatego, że gadała z nim po hiszpańsku. Po jej występie usiedli, zaczęli rozmawiać, potem dziewczyna jeszcze trochę pokrążyła po sali, a kiedy wróciła, okazało się, że Menendez ma w klubie rywala. Ale przebił go, proponując jej pięćset dolarów, jeżeli zaprosi go do siebie.

— Ale kiedy do niej przyszedł, nie zabił jej?

— Nie. Pojechał za nią swoim samochodem. Wchodzi, uprawia z nią seks, potem wrzuca prezerwatywę do muszli, wyciera fiuta w ręcznik i wraca do domu. Wszystko zaczyna się dopiero po jego wyjściu.

— Prawdziwy morderca.

— Do drzwi puka prawdziwy morderca, może udaje Jesusa i mówi, że czegoś zapomniał. Dziewczyna otwiera. A może to następny umówiony klient. Spodziewała się kogoś, więc otwiera.

— Facet z klubu? Ten, którego przebił Menendez?

Skinąłem głową.

— Właśnie. Wchodzi, od progu wali ją kilka razy w twarz, żeby się nie stawiała, a potem wyciąga składany nóż, przykłada jej do szyi i prowadzi ją do sypialni. Brzmi znajomo? Tylko że Martha nie miała tyle szczęścia co dwa lata później Reggie Campo. Facet rzuca ją na łóżko, nakłada gumę i kładzie się na dziewczynie. Teraz trzyma nóż z drugiej strony i kiedy ją gwałci, cały czas wbija jej ostrze w szyję. A gdy kończy, zabija ją. Dźga ją tym nożem raz za razem. Nadmierna przemoc i okrucieństwo w skrajnym wydaniu. Mordując ją, coś sobie roi w swoim popieprzonym, chorym mózdzku.

Kelnerka przyniosła mi drugie martini, które wziąłem prosto z jej rąk i od razu wychyliłem połowę. Spytała, czy skończyliśmy już sałatki, po czym zabrała obie nietknięte porcje.

— Za chwilę będą steki — oznajmiła. — Czy może od razu mam je wrzucić do kubła, żeby oszczędzić panom czasu?

Popatrzyłem na nią. Uśmiechała się, ale byłem tak pochłonięty opowieścią, że nie usłyszałem, co powiedziała.

— Mniejsza z tym — dodała. — Zaraz przyniosę.

Podjąłem przerwana opowieść. Levin wciąż milczał.

— Potem morderca zaczyna sprzątać. Nie spieszy się, bo i po co. Nie ma obawy, że dziewczyna ucieknie czy kogoś zawiadomi. Dokładnie usuwa wszystkie ślady i odciski palców, jakie mógł zostawić. Przy okazji wyciera też odciski Menendeza. To bardzo niedobrze, bo kiedy Menendez idzie na policję wyjaśnić, że wprawdzie to jego portret pamięciowy, ale wcale nie zabił Marthy, gliny patrzą na niego i pytają: „Wobec tego czemu miał pan rękawiczki?”.

Levin pokręcił głową.

— Stary, jeżeli to prawda...

— Spokojna głowa, prawda. Menendez bierze adwokata, który kiedyś wybronił jego brata, ale adwokat nie poznałby niewinnego człowieka, nawet gdyby ten kopnął go w jaja. Dla adwokata jedyne rozwiązanie sprawy to ugoda. W ogóle nie pyta chłopaka, czy to zrobił. Po prostu zakłada, że zrobił, bo gliny mają jego DNA na ręczniku i świadków, którzy widzieli, jak wyrzucał nóż. Adwokat bierze się do roboty i negocjuje najlepsze warunki ugody, jakie się da. Jest nawet z siebie zadowolony, bo sądzi, że uratował Menendeza przed całą śmiercią i zostawił mu szansę, że może kiedyś wyjdzie. Idzie więc do Menendeza ogłosić mu wyrok. Każe mu przyjąć warunki, stanąć w sądzie i powiedzieć „winny”. Jesus trafia do więzienia i wszyscy są zadowoleni. Stan jest zadowolony, bo zaoszczędził na procesie. Rodzina Marthy Renterii, bo nie musi uczestniczyć w procesie, oglądać tych okropnych zdjęć z

autopsji ani wysłuchiwać opowieści, że ich córka tańczy nago w klubie i przyjmuje w domu facetów za pieniądze. Adwokat też jest zadowolony, bo dzięki sprawie co najmniej sześć razy pokazali go w telewizji, no i uratował następnego klienta przed całą śmiercią.

Przełknąłem resztę martini i zacząłem się rozglądać za naszą kelnerką. Chciałem jeszcze jedno.

— Jesus Menendez poszedł za kratki jako młody człowiek. Ma teraz dwadzieścia sześć lat, a wygląda na czterdzieści. Jest drobny. Wiesz, co się dzieje w pudle z takimi mikrusami.

Wbiąłem wzrok w stół, na którym nagle zjawił się jajowaty półmisek ze skwierczącym stekiem i parującymi ziemniakami. Spojrzałem na kelnerkę i kazałem jej podać następne martini. Nie poprosiłem, ale kazałem.

— Lepiej trochę przystopuj — poradził mi Levin, kiedy odeszła. — W okręgu nie ma pewnie gliniarza, który nie byłby zachwycony, gdyby mógł cię zgarnąć za jazdę po kielichu, wpakować do aresztu i wsadzić ci w tyłek latarkę.

— Wiem, wiem. To będzie ostatni. Jeżeli się okaże, że wypięłem za dużo, nie siądę za kółko. Przed wejściem zawsze stoi tak-sówka.

Uznałem, że jedzenie może pomóc, odkroiłem więc kawałek steku i zjadłem. Potem odłamałem kawałeczek grzanki spod serwetki, którą przykryto koszyczek, ale już zdążyła wystygnąć. Upuściłem grzankę na półmisek i odłożyłem widelec.

— Słuchaj, wiem, że cię to gryzie, ale o czymś zapominasz — powiedział Levin.

— Tak? Mianowicie?

— O zagrożeniu. Groziła mu czapa, sprawa była parszywa. Nie pracowałem nad nią, bo nie było nad czym. Mieli go na talerzu, a ty uratowałeś go przed czapą. To twoja robota i zrobiłeś, co do ciebie należało. A teraz wydaje ci się, że wiesz, co się naprawdę stało. Nie możesz się gryźć czymś, o czym wtedy nie wiedziałeś.

Przerwałem mu gestem.

— Chłopak był niewinny. Powinienem to zauważyć. Powinienem coś zrobić. A ja zrobiłem to co zwykle i jak ślepy załatwiłem sprawę rutynowo.

— Bzdura.

— Nie.

— Dobra, wróćmy do historii. Kim był ten drugi facet, który zjawił się w jej mieszkaniu?

Otworzyłem aktówkę i sięgnąłem do niej.

— Pojechałem dzisiaj do San Quentin i pokazałem Menendezowi sześć fotek. Policyjnych zdjęć moich klientów. Głównie byłych. W ciągu niecałych dziesięciu sekund Menendez wybrał jednego.

Rzuciłem na stół fotografię Louisa Rouleta. Wylądowała odwrócona wierzchem do dołu. Levin wziął ją, przyglądał się przez kilka chwil, po czym odłożył na stolik.

— Pokażę ci coś jeszcze — powiedziałem.

Moja dłoń znów powędrowała do aktówki i wyciągnęła dwa złożone zdjęcia Marthy Renterii i Reggie Campo. Rozejrzałem się, sprawdzając, czy nie nadchodzi kelnerka z moim martini, i podałem fotografie Levinowi.

— To taka układanka — wyjaśniłem. — Złóż je i zobacz, co wyjdzie.

Levin złączył ze sobą połówki zdjęć i skinął głową na znak, że zauważył podobieństwo. Morderca — Roulet — brał na cel kobiety, które pasowały do jakiegoś pożądanego modelu lub wzoru. Następnie pokazałem Levinowi szkic broni sporządzony przez technika przeprowadzającego autopsję Renterii i przeczytałem opis dwóch nakuć znalezionych na szyi.

— Wiesz, co pokazuje zapis wideo z baru? — spytałem. — Mordercę w akcji. Tak jak ty, zauważył, że pan X jest mańkutom. Kiedy zaatakował Reggie Campo, uderzył ją lewą ręką i w lewej trzymał nóż. Facet dokładnie wie, co robi. Zobaczył okazję i skorzystał z niej. Żadna kobieta nie miała takiego szczęścia jak Reggie Campo.

— Myślisz, że były inne? Inne morderstwa?

— Być może. Właśnie chciałbym, żebyś się dowiedział. Sprawdź wszystkie kobiety zamordowane nożem w ciągu ostatnich kilku lat. Znajdź zdjęcia ofiar i zobacz, czy pasują do modelu. I nie skupiaj się tylko na otwartych sprawach. Sprawa Marthy Renterii została zamknięta.

Levin nachylił się nad stolikiem.

— Słuchaj, nie dam rady przeczesać tego tak dobrze jak policja. Powinieneś zawiadomić o tym gliny. Albo FBI. Mają tam specjalistów od seryjnych morderców.

Pokręciłem głową.

— Nie mogę. Chodzi o mojego klienta.

— Menendez też jest twoim klientem i musisz go wyciągnąć z więzienia.

— Pracuję nad tym. I dlatego potrzebuję twojej pomocy, Mish.

Obaj wiedzieliśmy, że nazywałem go Mish, kiedy prosiłem o coś, co wykraczało poza granice naszych stosunków zawodowych, i odwoływałem się do naszej przyjaźni.

— Może byś wynajął kogoś od mokrej roboty — zasugerował Levin. — Rozwiązałybyś wszystkie problemy.

Skinąłem głową, wiedząc, że usiłuje żartować.

— Tak, to by była myśl — odrzekłem. — Świat od razu stał się lepszy. Ale Menendez nie wyjdzie na wolność.

Levin znów się nachylił. Miał poważną minę.

— Zrobię, co się da, Mick, ale nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy sposób. Mógłbyś zawiadomić Rouleta, że wystąpił konflikt interesów, i rzucić go w diabły. Potem spróbowałbyś wyciągnąć Menendeza z pudła.

— Jak?

— Zidentyfikował go na zdjęciu. To mocny dowód. Przecież nie potrafiłyby odróżnić gęby Rouleta od pozostałych, czemu więc wybrał akurat jego?

— Kto w to uwierzy? Jestem jego adwokatem! Nikt, od gliniarzy po radę do spraw ułaskawień, nie uwierzy, że tego nie ustawiłem. To teoria, Raul. Ty i ja wiemy, że to prawda, ale nie potrafimy nic udowodnić.



— A rany? Mogliby porównać nóż ze sprawy Campo z ranami Marthy Renterii.

Pokręciłem głową.

— Ciało poddano kremacji. Mają tylko opisy i zdjęcia z autopsji, a to żaden rozstrzygający dowód. Nie wystarczy. Poza tym nie mogę wystąpić w roli oskarżyciela własnego klienta. Jeżeli zwrócę się przeciw klientowi, to zwrócę się przeciw wszystkim swoim klientom. Nie mogę tego zrobić, bo wszystkich stracę. Muszę to rozegrać jakoś inaczej.

— Chyba się mylisz. Chyba...

— Na razie udaję, że o niczym nie wiem, rozumiesz? Ale zajmij się tym. Wszystkimi szczegółami. Oddziel od śledztwa w sprawie Rouleta, żebym nie musiał nic przekazywać w ramach ujawnienia dowodów. Podciągnij pod Jesusa Menendezę i wystaw rachunek za tamtą sprawę. Rozumiesz?

Zanim Levin zdążył odpowiedzieć, kelnerka przyniosła mi trzecie martini. Machnąłem przecząco ręką.

— Nie chcę. Proszę przynieść rachunek.

— Przecież nie odleję tego z powrotem do butelki — zauważyła cierpko.

— Niech się pani nie martwi, zapłacę. Po prostu nie mam już ochoty na następnego drinka. Proszę go dać człowiekowi, który przygotowuje grzanki, i przynieść rachunek.

Odwróciła się i odeszła, chyba zła, że nie jej zaproponowałem drinka. Spojrzałem na Levina. Wyglądał, jakby wszystko, co wyjawilem, sprawiło mu wielką przykrość. Dobrze wiedziałem, jak się czuje.

— Trafiła mi się licencja, co?

— No. Jak będziesz mógł normalnie z nim pracować, skoro chcesz równocześnie kopać w jego brudach?

— Z Rouletem? Zamierzam spotykać się z nim jak najrzadziej. Tylko kiedy to będzie konieczne. Nagrał mi dzisiaj wiadomość, mówił, że ma coś do powiedzenia. Ale nie oddzwoniłem.

— Dlaczego wybrał ciebie? Czemu miałby wybierać jedyne-  
go adwokata, który może skojarzyć obie sprawy?

Pokręciłem głową.

— Nie wiem. Zastanawiałem się nad tym przez cały lot z San Francisco. Może się bał, że dowiem się o sprawie i skojarzę jedną z drugą. Pomyślał, że jeśli zostanie moim klientem, zgodnie z etyką będę go musiał chronić. Przynajmniej na początku. No i jeszcze pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Pieniądze od matki. Licencja. Roulet wie, jaki to dla mnie zarobek. Największy w karierze. Może sądził, że przymknę oczy, żeby tylko forsa nie przestała płynąć.

Levin pokiwał głową.

— Może powinienem, co? — dorzuciłem.

Czując działanie alkoholu, chciałem zażartować, ale Levin nawet się nie uśmiechnął, a kiedy przypominałem sobie twarz Jesusa Menendezza za więziennym pleksiglasem, też nie potrafiłem się zdobyć na uśmiech.

— Słuchaj, chciałbym, żebyś zrobił coś jeszcze — powiedziałem. — Na niego też miej oko. Na Rouleta. Dowiedz się, ile będziesz mógł, ale uważaj, żeby się nie zorientował. I sprawdź tę historię o gwałcie matki w domu w Bel-Air.

Levin skinął głową.

— Zrobi się.

— I nikomu tego nie zlecaj.

To był nasz stały żart. Podobnie jak ja, Levin prowadził interes jednoosobowo. Nie miał komu zlecać roboty.

— Nie martw się. Sam się tym zajmę.

Tak brzmiała żelazna odpowiedź, lecz tym razem zabrakło jej udawanej szczerości i humoru. Levin odpowiedział mi mechanicznie.

Mijając nasz stół, kelnerka położyła rachunek, nie racząc nam podziękować. Rzuciłem kartę kredytową, nawet nie patrząc na jego wysokość. Chciałem jak najszybciej wyjść.

- Chcesz, żeby ci zapakowała stek? — spytałem.
- Nie trzeba — odrzekł Levin. — Chyba na razie straciłem apetyt.
- A twój pies obronny?
- Faktycznie. Zapomniałem o Brunie.
- Rozejrzał się za kelnerką, aby poprosić o pudełko.
- Mój też możesz zabrać — powiedziałem. — Nie mam psa.

## Rozdział 21

Mimo zamroczenia wódką udało mi się pokonać slalom Laurel Canyon, nie rozbijając po drodze lincolna i unikając spotkania z policją. Mój dom stoi na Fareholm Drive, która pnie się w górę wzniesienia w bok od południowego wylotu kanionu. Wszystkie budynki ciągną się szeregiem równo z linią ulicy i kłopot sprawił mi jedynie samochód terenowy, który jakiś głupek zaparkował przed moim garażem, uniemożliwiając wjazd. Parkowanie na wąskiej ulicy nigdy nie jest łatwe, a przestrzeń przed moim garażem zwykle jest zbyt kusząca, zwłaszcza w weekend wieczorem, kiedy zawsze któryś sąsiad urządza przyjęcie.

Minąłem swój dom i jakieś półtorej przecznicy dalej znalazłem miejsce na lincolna. Im bardziej oddalałem się od domu, tym bardziej byłem wściekły na właściciela terenówki. Wyobrażenia podsuwała mi różne obrazy: od naplucia na szybę, przez stłuczenie bocznego lusterka po przebicie opon i wgniecenie kopniakiem blach z boku. Ograniczyłem się jednak do wypisania na kartce spokojnie brzmiącej informacji: „To nie jest miejsce parkingowe! Następnym razem samochód zostanie odholowany”. W końcu nigdy nie wiadomo, kto w Los Angeles jeździ takim autem, a jeżeli li zaczniesz grozić kierowcy za parkowanie przed swoim domem, będzie już wiedział, gdzie mieszkasz.

Kiedy wróciłem pod dom i zacząłem wsuwać liścik pod wycieraczkę samochodu intruza, zauważyłem, że to range rover. Dotknąłem maski, ale silnik wydawał się zimny. Spojrzałem w okna swojego domu, lecz były ciemne. Przycisnąłem złożoną kartkę wycieraczką i ruszyłem po schodkach na taras. Byłem niemal pewien, że ujrzę Louisa Rouleta siedzącego na jednym ze składanych krzesłek i napawającego się widokiem mrugających światełek odległego miasta, ale go nie było.

Stałem w rogu tarasu i spojrzałem na miasto. Właśnie z powodu widoku postanowiłem kupić dom. Za progiem wszystko było zwyczajne i przestarzałe, ale widok Hollywood Boulevard z tarasu przed wejściem mógł obudzić milion marzeń. Pierwszą ratę zapłaciłem za honorarium z ostatniej sprawy licencyjnej. Kiedy się już jednak wprowadziłem i na horyzoncie nie pojawiała się żadna nowa licencja, wycofałem wkład, decydując się na drugą hipotekę. Prawdę mówiąc, co miesiąc z trudem udawało mi się zbierać na spłatę raty. Musiałem się pozbyć tego ciężaru, ale widok z tarasu po prostu mnie paraliżował. Przypuszczałem, że kiedy przyjdą z nakazem przejęcia domu i zabiorą mi klucz, wciąż będę się gapił na miasto.

Wiem, jakie to może nasuwać pytanie. Chociaż ledwie udaje mi się zachować płynność finansową, czy to sprawiedliwe, żeby po rozwodzie adwokat kupował dom na wzgórzu z widokiem za milion dolarów, a jego była żona prokuratorka z córką zostawała w małym mieszkaniu w Dolinie? Otóż Maggie McPherson mogłaby kupić dom, jaki by sobie życzyła, a ja pomógłbym jej na miarę swoich możliwości. Ale Maggie nie zgodziła się na przeprowadzkę, bo czekała na awans do prokuratury w śródmieściu. Kupno domu w Sherman Oaks czy gdziekolwiek indziej oznaczałoby niewłaściwy sygnał wysłany jej przełożonym. Uznaliby, że decyzja o osiedleniu się na stałe wynika z jej poczucia satysfakcji. Moja była żona nie chciała na zawsze zostać Maggie McPershing z Van Nuys. Nie chciała być lekceważona przez Johna Smithsona i jego młode wilczki. Była ambitna i pragnęła dostać się do centrum, gdzie podobno najzdolniejsi i najlepsi oskarżali w

najważniejszych sprawach. Nie mogła zaakceptować banalnej prawdy, że im jesteś lepszy, tym większe zagrożenie stanowisz dla zwierzchników, zwłaszcza jeśli pochodzą z wyborów. Wiedziałem, że Maggie nigdy się nie doczeka zaproszenia ze śródmieścia. Była po prostu za dobra.

Od czasu do czasu docierało to do niej i wtedy wybuchała w najmniej oczekiwanych momentach. Rzucała jakąś kąśliwą uwagę na konferencjach prasowych lub odmawiała współpracy w śledztwie prowadzonym w centrum. Albo po pijanemu w rozmowie z adwokatem i swoim byłym mężem ujawniała jakiś szczegół sprawy, o którym nie powinna mówić.

Usłyszałem dobiegający z domu dzwonek telefonu. Zacząłem niezdarnie manipulować kluczem w zamku, spiesząc się, żeby zdążyć odebrać. Dostęp do numerów moich telefonów przypomina piramidę. Numer z książki telefonicznej zna lub może poznać każdy. Piętro wyżej jest numer komórki, który rozdałem najważniejszym kolegom, detektywom, poręczycielom, klientom i innym trybikom maszyny. Mój numer domowy znajdował się na szczycie piramidy. Znało go bardzo niewiele osób. Żaden klient i żaden prawnik z wyjątkiem jednego.

Wpadłem do środka i złapałem słuchawkę telefonu w kuchni, zanim włączyła się poczta głosowa. Dzwonił jedyny prawnik, który znał numer. Maggie McPherson.

- Dostałeś moje wiadomości?
- Odsłuchałem jedną w komórce. Coś się stało?
- Nic się nie stało. Wcześniej zostawiłam ci wiadomość na domowym.
- Och, nie było mnie cały dzień. Dopiero wszedłem.
- Gdzie byłeś?
- Najpierw poleciałem do San Francisco, a potem zjadłem kolację z Raulem Levinem. Masz coś przeciwko temu?
- Po prostu jestem ciekawa. Co miałeś w San Francisco?
- Klienta.
- Czyli tak naprawdę pojechałeś do San Quentin i z powrotem.

— Zawsze byłaś dla mnie zbyt inteligentna, Maggie. Nigdy nie dałaś się nabrać. Dzwonisz z jakiegoś konkretnego powodu?

— Chciałam tylko sprawdzić, czy dotarły do ciebie moje przeprosiny. I zapytać, czy chcesz gdzieś jutro iść z Hayley.

— Tak na obydwie pytania. Ale nie musisz mnie za nic przepraszać, Maggie, i powinnaś o tym wiedzieć. To ja przepraszam za to, jak się zachowałem przed wyjściem. Jeżeli moja córka chce się jutro ze mną zobaczyć, to ja tym bardziej chcę. Powiedz jej, że pójdziemy na molo albo do kina.

— Prawdę mówiąc, chciałyby iść do galerii handlowej.

Powiedziała to tak niepewnie, jakby wchodziła na grząski grunt.

— Do galerii? Świetnie. Zabiorę ją do galerii. Co złego jest w galerii handlowej? Chodzi jej o coś konkretnego?

Nagle zwróciłem uwagę na obcy zapach w domu. Zapach dymu. Stojąc na środku kuchni, sprawdziłem kuchenkę i piekarnik. Były wyłączone. Nie mogłem się ruszyć z kuchni, bo telefon nie był bezprzewodowy. Rozciągając kabel, podszedłem do drzwi i pstryknąłem światło w jadalni. Była pusta, a lampa oświetliła sąsiednie pomieszczenie — salon, przez który przeszedłem, wchodząc do domu. Pokój też wydawał się pusty.

— Mają tam takie stoisko, gdzie można zrobić własnego miścia, wybrać kolor, futerko, głos, a do środka wkładają małe serduszko. Po prostu śliczne.

Chciałem jak najszybciej skończyć rozmowę i spenetrować dalszą część domu.

— Dobrze. Pójdziemy tam. Na którą się umówimy?

— Pomyślałam sobie, że najlepiej będzie koło południa. Może najpierw zjemy lunch.

— Zjemy?

— To ci będzie przeszkadzało?

— Nie, Maggie, absolutnie nie. A więc przyjdę w południe.

— Świetnie.

— To do zobaczenia.

Odłożyłem słuchawkę, zanim zdążyła się pożegnać. Miałem

w domu broń, ale to był okaz kolekcjonerski, z którego nigdy w życiu nie strzelałem. Trzymałem pistolet w kasetce w sypialni w głębi domu. Cicho otworzyłem szufladę w kuchni i wyciągnąłem krótki, ale ostry nóż do steków. Potem ruszyłem przez salon w stronę korytarza prowadzącego na tył domu. W korytarzu było troje drzwi. Do sypialni, łazienki i drugiej sypialni, w której urządziłem domowy gabinet — moją jedyną kancelarię z prawdziwego zdarzenia

W gabinecie paliła się lampka na biurku. Nie widziałem jej z korytarza, ale na pewno była włączona. Nie było mnie w domu od dwóch dni, ale nie pamiętam, żebym zostawił ją zapaloną. Wolno zbliżyłem się do otwartych drzwi, mając świadomość, że intruzowi może właśnie o to chodziło. Chciał odciągnąć lampką moją uwagę i zaczął się w ciemnej sypialni albo łazience.

— Wejdz, Mick. To tylko ja.

Poznałem głos, lecz wcale mnie to nie uspokoiło. W pokoju czekał Louis Roulet. Przystąpiłem próg i przystanąłem. Roulet siedział na skórzanym krześle przy biurku. Odwrócił się w moją stronę i założył nogę na nogę. Podciągnął przy tym nogawkę i zobaczyłem bransoletkę lokalizatora, którą kazał mu założyć Fernando Valenzuela. Jeśli Roulet przyszedł mnie zabić, to przynajmniej zostawi jakiś trop. Nie była to jednak pocieszająca myśl. Oparłem się o framugę, zasłaniając ciałem nóż.

— A więc tu prowadzisz swoją błyskotliwą praktykę prawniczą? — spytał Roulet.

— Częściowo. Co tu robisz, Louis?

— Przyszedłem cię odwiedzić. Nie oddzwoniłeś, więc chciałem sprawdzić, czy wciąż gramy w jednej drużynie.

— Nie było mnie w mieście. Dopiero wróciłem.

— A kolacja z Raulem? Coś o niej wspominałeś przez telefon, prawda?

— Raul jest moim przyjacielem. Zjadłem z nim kolację w drodze z Burbank. Jak się dowiedziałeś, gdzie mieszkam?

Odchrząknął i uśmiechnął się do mnie.



— Pracuję w nieruchomościach, Mick. Potrafię ustalić adres każdego. Kiedyś byłem nawet informatorem „National Enquirer”. Wiedziałeś o tym? Umiałem im powiedzieć, gdzie mieszka każda sława, nawet jeżeli kupowała nieruchomość przez podstawioną osobę albo firmę. Ale po jakimś czasie przestałem dla nich pracować. Nieźle pieniądze, ale praca taka... pretensjonalna. Rozumiesz, co mam na myśli, Mick? W każdym razie dałem sobie spokój. Ale ciągle potrafię ustalić, gdzie kto mieszka. I dowiedzieć się, czy przypadkiem nie przesadził z wyceną wartości hipoteki, a nawet czy na czas płaci raty.

Spojrzał na mnie ze znaczącym uśmiechem. Dawał mi do zrozumienia, iż wie, że dom jest w istocie finansową wydmuszką, że mam w nim zerowy wkład i zwykle spóźniam się o miesiąc ze spłatą dwóch rat hipotecznych. Fernando Valenzuela pewnie nie zgodziłby się przyjąć takiego zabezpieczenia, nawet gdyby chodziło o kaucję w wysokości pięciu tysięcy dolarów.

— Jak się tu dostałeś? — zapytałem.

— To zabawna historia. Okazuje się, że miałem klucz. Kiedy dom był na sprzedaż — jakieś półtora roku temu, zgadza się? — chciałem go obejrzeć, bo miałem zainteresowanego klienta, któremu zależało na widoku. Wziąłem więc klucz ze skrytki, przyjechałem się rozejrzeć i od razu stwierdziłem, że dom nie nadaje się dla mojego klienta — chciał czegoś ładniejszego. Wróciłem i zapomniałem oddać klucz. Mam taki niedobry nawyk. Czy to nie dziwne, że później w tym samym domu zamieszkał mój adwokat? Przy okazji, widzę, że nic tu nie zrobiłeś. Masz fantastyczny widok z tarasu, zgoda, ale trzeba by trochę odnowić.

Domyśliłem się, że ma mnie na oku już od czasów sprawy Menendez. I prawdopodobnie wie, że byłem dziś u niego na widzeniu w San Quentin. Przypomniałem sobie mężczyznę w wagonie kolejki. „Zły dzień?”. Później widziałem go w samolocie do Burbank. Czyżby mnie śledził? Pracował dla Rouleta? Może był detektywem, którego Cecil Dobbs usiłował wkręcić w sprawę? Nie

znałem wszystkich odpowiedzi, ale byłem pewien, że Roulet czekał na mnie w domu, bo wiedział to co ja.

— Czego właściwie chcesz, Louis? Próbujesz mnie nastraszyć?

— Nie, nie, to ja powinienem się bać. Przypuszczam, że chowasz tam jakąś broń. Co to jest, pistolet?

Zacisnąłem palce na nożu, ale go nie pokazałem.

— Czego chcesz? — powtórzyłem.

— Chcę ci złożyć ofertę. Nie, nie na kupno domu. Na twoje usługi.

— Już z nich korzystasz.

Przez chwilę milczał, kołyszając się na boki na obrotowym krześle. Zerknąłem na biurko, sprawdzając, czy niczego nie brakuje. Zauważyłem, że Roulet użył jako popielniczki glinianego naczynka zrobionego przez moją córkę. Miał to być pojemnik na spinacze.

— Zastanawiałem się nad twoim honorarium i trudnościami związanymi ze sprawą — powiedział. — Szczerze mówiąc, Mick, uważam, że za mało ci płacimy. Dlatego chciałbym ustalić nowe warunki. Dostaniesz wcześniej uzgodnioną sumę w całości jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Zamierzam jednak dorzucić premię za wynik. Kiedy ława przysięgłych złożona z moich współobywateli uzna mnie za niewinnego tego paskudnego przestępstwa, twoje honorarium zostanie automatycznie podwojone. Wypiszę ci czek od ręki w lincolnie, gdy wyjedziemy z sądu.

— To miłe, Louis, ale korporacja Kalifornii nie pozwala adwokatom przyjmować żadnych premii uzależnionych od pomyślnego wyroku. Nie mógłbym jej przyjąć. Doceniam gest, ale nie mogę.

— Ale tu nie ma nikogo z korporacji, Mick. Poza tym nie musimy tego traktować jako premii od wyniku, tylko jako część zwykłego honorarium. Bo przecież uda ci się mnie wybronić, prawda?

Utkwił we mnie spojrzenie, w którym wyczytałem groźbę.

— W sądzie nikt nie da ci żadnych gwarancji. Zawsze coś może pójść nie tak. Ale wszystko zapowiada się pomyślnie.

Na twarz Rouleta wypełził uśmiech.

— Co mogę zrobić, żeby zapowiadało się jeszcze pomyślniej?

Pomyślałem o Reggie Campo. Żywej i przygotowanej do procesu. Nie miała pojęcia, przeciw komu będzie zeznawać.

— Nic — odparłem. — Siedzieć i czekać. Nie próbować żadnych sztuczek. Najlepiej nie robić nic. Sprawa powoli się układa i powinna się dobrze skończyć.

Nie odpowiedział. Chciałem odwrócić jego uwagę, żeby nie myślał o zagrożeniu, jakie stanowi Reggie Campo.

— Ale pojawiło się coś nowego — dodałem.

— Naprawdę? Co takiego?

— Nie znam szczegółów. Dowiedziałem się od osoby, która nie mogła mi nic więcej powiedzieć. Podobno prokurator dostał donos z aresztu. Nie rozmawiałeś o sprawie z nikim z celi, prawda? Pamiętasz, że cię przed tym ostrzegałem.

— I nie rozmawiałem. Ktokolwiek mnie zakapował, to kłamie.

— Większość z nich kłamie. Chciałem się tylko upewnić. Poradzę sobie z kapusiem.

— To dobrze.

— Jeszcze jedno. Rozmawiałeś z matką o zeznawaniu w sprawie napaści w pustym domu? Trzeba będzie wyjaśnić, dlaczego miałeś przy sobie nóż.

Roulet zacisnął usta, lecz nie odpowiedział.

— Musisz nad nią popracować — ciągnąłem. — Bardzo ważne, żeby to wyraźnie uzmysłowić przysięgłym. Poza tym wzbudzisz w nich trochę współczucia.

Roulet skinął głową. Zrozumiał.

— Możesz ją poprosić?

— Poproszę. Ale będzie ciężko. Nie zgłosiła tego policji. Nie mówiła nikomu z wyjątkiem Cecila.

— Musi zeznawać, a potem Cecil mógłby potwierdzić jej zeznanie. Wprawdzie to słabsze od policyjnego raportu, ale wystarczy. Potrzebujemy jej, Louis. Jeżeli będzie zeznawać, sądzę, że przekona ławę. Przysięgli lubią starsze panie.

— Zgoda.

— Mówiła ci kiedyś, jak wyglądał ten człowiek czy ile miał lat?

Pokręcił przecząco głową.

— Nie potrafiła go opisać. Miał kominiarkę i gogle. Skoczył na nią, gdy tylko weszła do domu. Czaił się za drzwiami. Wszystko odbyło się szybko i brutalnie.

Gdy o tym mówił, drżał mu głos. Zdziwiłem się.

— Wcześniej mówiłeś, że napastnikiem był klient, z którym miała się spotkać — zauważyłem. — Był w domu wcześniej?

Uniósł wzrok.

— Tak. Jakoś się dostał do środka i czekał tam na nią. To było straszne.

Skinąłem głową. Nie miałem ochoty na razie drążyć tego tematu. Chciałem, żeby Roulet opuścił mój dom.

— Dziękuję za ofertę, Louis. Przepraszam cię, ale chciałbym się położyć. Miałem ciężki dzień.

Wskazałem mu korytarz prowadzący do wyjścia. Roulet podniósł się z krzesła przy biurku i podszedł do mnie. Cofnąłem się do korytarza, a potem do otwartych drzwi sypialni. Wciąż trzymałem za plecami nóż. Ale Roulet wyminął mnie bez żadnych incydentów.

— A jutro czeka cię spotkanie z córką — powiedział.

Zamarłem. Słuchał mojej rozmowy z Maggie. Nie odpowiedziałem. Za to on znów się odezwał.

— Nie wiedziałem, że masz córkę, Mick. To musi być cudowne.

Zmierzając w stronę drzwi, zerknął na mnie przez ramię i uśmiechnął się.

— Jest śliczna.

Otrząsnąłem się z bezwładu, nabierając nagłego impetu.

Ruszyłem za nim w głąb korytarza, czując, jak z każdym krokiem ogarnia mnie coraz większy gniew. Zacisnąłem dłoń na rękojeści noża.

— Skąd wiesz, jak wygląda? — zapytałem ostro.

Przystanął i ja też. Spojrzał na nóż w mojej dłoni, a potem na moją twarz. Powiedział spokojnie:

— Masz jej zdjęcie na biurku.

Zapomniałem o fotografii. Hayley w wirującej filizance w Disneylandzie.

— Ach tak.

Uśmiechnął się, odgadując moje myśli.

— Dobranoc, Mick. Miłego dnia z córką. Pewnie nie za często ją widzisz.

Odwrócił się, przeszedł salon i otworzył drzwi. Na progu jeszcze się obejrzał.

— Potrzebujesz dobrego adwokata — poradził. — Pomógłby ci uzyskać opiekę nad dzieckiem.

— Nie. Lepiej jej z matką.

— Dobranoc, Mick. Dzięki za rozmowę.

— Dobranoc, Louis. Poszedłem zamknąć za nim drzwi.

— Ładny widok — zauważył, stojąc na tarasie.

— Owszem — odparłem, zamykając drzwi na klucz. Stałem tam z ręką na klamce, czekając na odgłos jego kroków po schodach. Ale po chwili zapukał. Zamknąłem oczy i trzymając nóż w pogotowiu, otworzyłem drzwi. Roulet wyciągnął rękę. Cofnąłem się o krok.

— Twój klucz — powiedział. — Chyba powinienem ci go oddać.

Wzięłem z jego dłoni klucz.

— Dzięki.

— Nie ma za co.

Zatrzasnąłem drzwi i znów zamknąłem je na klucz.

*Wtorek, 12 kwietnia*

## Rozdział 22

Zaczął się dzień, o jakim marzy każdy adwokat. Nie miałem żadnej rozprawy w sądzie, żadnego spotkania z klientem. Wstałem późno, rano przeczytałem od deski do deski gazetę i dostałem bilet na trybunę honorową na otwierający sezon mecz Los Angeles Dodgers. Bywanie na tej imprezie należało do tradycji kultywowanej przez prawników występujących na sali sądowej po stronie obrony. Bilet przysłał mi Raul Levin. Zaprosił na mecz pięciu adwokatów, z którymi współpracował, chcąc im w ten sposób podziękować. Byłem pewien, że pozostali czterej będą narzekać, że przygotowując się do sprawy Rouleta, monopolizują usługi Levina. Nie zamierzałem się tym jednak przejmować.

Weszliśmy w pozornie spokojny etap przed procesem, gdy machina pracowała w wolnym i równym tempie. Rozpoczęcie procesu Rouleta wyznaczono za miesiąc. W miarę jak zbliżał się termin rozprawy, przyjmowałem coraz mniej klientów. Potrzebowałem czasu, aby się dobrze przygotować i opracować strategię. Mimo że proces miał się zacząć dopiero za parę tygodni, zwycięstwo lub porażka miały zależeć od informacji, które uda mi się zebrać właśnie teraz. Musiałem mieć pusty terminarz. Brałem wyłącznie sprawy stałych klientów — i tylko pod warunkiem, że płacili nieźle i z góry.

Proces przypominał strzał z procy. Najważniejsze było przygotowanie do strzału. Faza przedprocesowa polegała na załadowaniu odpowiedniego kamienia i wolnym napięciu gumy do granic możliwości. Na procesie należało strzelić z procy, posyłając pocisk prosto do celu. A cel był jeden. Wyrok uniewinniający. Żeby nie spudłować, należało starannie wybrać kamień i jak najmocniej naciągnąć gumę.

Procę napinał przede wszystkim Levin. Kontynuował przeświecanie wszystkich graczy w obu sprawach, Rouleta i Menendez. Obmyśliliśmy plan, któremu nadaliśmy nazwę „podwójna proca”, ponieważ mieliśmy trafić do dwóch celów jednocześnie. Nie miałem wątpliwości, że gdy w maju rozpocznie się proces, będziemy gotowi do strzału.

Prokuratura także pomogła nam załadować procę odpowiednim kamieniem. W ciągu tygodni, jakie upłynęły od pierwszej rozprawy Rouleta, akta oskarżenia puchły, w miarę jak sływały protokoły z kolejnych analiz, policja prowadziła dalsze śledztwo i pojawiały się nowe fakty.

Jednym ze znaczących faktów było ustalenie tożsamości pana X, mańkuta, który w dniu zdarzenia był z Reggie Campo w Morgan's. Detektywi, wykorzystując zapis wideo przekazany przeze mnie oskarżeniu, zidentyfikowali go, pokazując jedną z klatek filmu znanym prostytutkom, kiedy zatrzymywała je obyczajówka. Pan X nazywał się Charles Talbot. Był stałym klientem wielu panienek świadczących usługi seksualne. Niektóre twierdziły, że jest właścicielem albo pracownikiem sklepu na Reseda Boulevard.

Z raportów, jakie uzyskałem zgodnie z przepisami ujawnienia, wynikało, że po przesłuchaniu Talbota policja ustaliła, że szóstego marca wieczorem opuścił mieszkanie Reggie Campo krótko przed dziesiątą i pojechał do całodobowego sklepu, który rzeczywiście należał do niego. Wszedł sprawdzić, jak idzie interes, a przy okazji otworzył szafkę z papierosami, do której tylko on miał klucz. Taśma z zapisem w sklepie potwierdziła, że był tam między dwudziestą drugą a dwudziestą drugą pięćdziesiąt

jeden i uzupełnił pojemniki z papierosami umieszczone pod ladą. We wnioskach dołączonych do protokołu przesłuchania detektywu wykluczył jakikolwiek związek Talbota ze zdarzeniem, do którego doszło po jego wyjściu z mieszkania Campo. Był po prostu jednym z jej klientów.

W dowodach oskarżenia nie pojawiła się ani jedna wzmianka o Dwayne'cie Jefferym Corlissie, kapusiu, który zgłosił się do prokuratora z informacją rzekomo uzyskaną od Rouleta w areszcie. Minton postanowił albo nie powoływać go na świadka, albo zataić jego rolę i wykorzystać go tylko w sytuacji awaryjnej. Skłaniałem się raczej ku drugiej możliwości. Minton odizolował go, posyłając na terapię zamkniętą. Nie zwracałby sobie głowy Corlissiem, gdyby nie chciał go mieć w odwodzie. Nie miałem nic przeciwko temu. Minton nie wiedział, że Corliss jest kamieniem, którym zamierzałem załadować procę.

Choć akta oskarżenia zawierały niewiele informacji o ofercie przestępstwa, sporo się o niej dowiedziałem dzięki Raulowi Levinowi, który nadal niez mordowanie badał życie Reggie Campo. Odnalazł witrynę internetową pod adresem Pink-Mink.com, na której reklamowała swoje usługi. Nie był to tylko kolejny dowód potwierdzający, czym naprawdę zajmuje się Campo, ale znacznie ważniejsze odkrycie: reklama opisywała ją jako „wolną od uprzedzeń i skłoną do szaleństw” oraz „gotową do zabaw S&M” („możesz dać mi klapsa albo ja tobie”). Dobrze było mieć w zanzardzu taką amunicję. Argumenty tego rodzaju pomagały wyrobić opinię przysięgłych o ofercie lub świadku. A Campo była i jednym, i drugim.

Levin szperał także w przeszłości Louisa Rouleta. Dowiedział się, że mój klient był kiepskim uczniem i chodził do pięciu różnych szkół prywatnych w Beverly Hills i okolicach. Potem skończył literaturę angielską na UCLA, ale Levin rozmawiał z kilkoma z jego kolegów z college'u, którzy powiedzieli, że Roulet płacił innym studentom za prace semestralne, odpowiedzi do testów, a nawet dziewięćdziesięciostronicową pracę dyplomową o życiu i twórczości Johna Fante'a.



Dorośli Roulet okazał się znacznie mroczniejszą postacią. Levin znalazł wiele koleżanek, które twierdziły, że Roulet znęcał się nad nimi fizycznie lub psychicznie. Dwie kobiety, które znały go z czasów UCLA, wyznały Levinowi, że na przyjęciu bractwa studenckiego Roulet zaprawił im drinki tak zwaną pigułką gwałtu, a potem wykorzystał je seksualnie. Żadna nie zgłosiła tego policji, ale jedna z kobiet zrobiła badanie krwi następnego dnia po przyjęciu. Wykryto ślady chlorowodoru ketaminy, substancji wchodzącej w skład środków uspokajających stosowanych przez weterynarzy. Na szczęście dla obrony prowadzący śledztwo jeszcze nie dotarli do żadnej z tych kobiet.

Levin przyjrzał się również sprawom „wampira domów na sprzedaż” sprzed pięciu lat. Policja otrzymała zgłoszenia od czterech kobiet — pośredniczek handlu nieruchomościami — które zostały obezwładnione i zgwałcone przez mężczyznę czekającego na nich w domach opuszczonych przez właścicieli, które miały pokazać klientom. Sprawcy nie odnaleziono, ale po jedenastu miesiącach ataki ustały. Levin rozmawiał z pracującym nad sprawą policyjnym ekspertem specjalizującym się w przestępstwach seksualnych. Funkcjonariusz twierdził, iż zawsze miał przecucie, że gwałcicielem był ktoś z branży. Wiedział, jak się dostać do domów i jak zwabić tam agentki, tak by były same. Mimo podejrzeń, że gwałciciel może pracować na rynku nieruchomości, nikt nie aresztowano i sprawa nigdy nie wyszła poza etap hipotez.

Sprawdzając informacje o gwałtach, Levin nie znalazł nic, co mogłoby potwierdzać, że jedną z ofiar była Mary Alice Windsor. Matka Rouleta porozmawiała z nimi i zgodziła się złożyć zeznanie, w którym wyjawi swoją bolesną tajemnicę, ale tylko pod warunkiem, że okaże się to absolutnie konieczne. Podana przez nią data gwałtu zgadzała się z udokumentowanym okresem działania wampira, poza tym Mary Alice Windsor przekazała nam swój terminarz i inne dokumenty, z których wynikało, że istotnie w tym czasie miała się zająć sprzedażą domu w Bel-Air, gdzie jak twierdziła, doszło do napaści. Ale na dowód mieliśmy tylko jej słowa.

Nie było żadnych protokołów z badań medycznych wskazujących, że padła ofiarą gwałtu.

Mimo to historia opowiedziana przez Mary Windsor prawie co do joty zgadzała się z wersją, jaką usłyszeliśmy od Rouleta. Levinowi i mnie wydało się trochę dziwne, że Louis tak dokładnie zna przebieg napaści. Jeżeli matka postanowiła utrzymać sprawę w tajemnicy i nie zgłaszać się na policję, dlaczego zdradziła synowi tyle szczegółów swojego koszmarnego przeżycia? Levin postawił wówczas hipotezę, odrażającą i intrygującą jednocześnie.

— Wie tak dużo, bo chyba tam był — oświadczył Levin, gdy po rozmowie z Mary Windsor zostaliśmy sami.

— Myślisz, że wszystko widział i nie zrobił nic, żeby drania powstrzymać?

— Nie. Myślę, że to on mógł być draniem w goglach i kominiarce.

Zamilkłem. Gdzieś w podświadomości miałem chyba podobne podejrzenia, ale były zbyt koszarne, by przedostać się na powierzchnię.

— O kurczę... — powiedziałem.

Levin, w przekonaniu, że się z nim nie zgadzam, zaczął wyliczać argumenty na poparcie swojej teorii.

— To bardzo silna kobieta — powiedział. — Stworzyła firmę od zera, a w tym mieście rynek nieruchomości jest zbrojecki. Twarda z niej sztuka, dlatego nie wyobrażam sobie, żeby nie zgłosiła gwałtu i nie chciała złapać faceta, który jej to zrobił. Dla mnie są dwie kategorie ludzi. Jedni wyznają zasadę „oko za oko”, drudzy nadstawiają drugi policzek. Mary zdecydowanie należy do pierwszej i nie wyciszyłaby takiej sprawy — chyba że chciała ochronić sprawcę. Chyba że twój klient i on to ta sama osoba. Mowę ci, Roulet to samo zło. Nie wiem, skąd się to u niego bierze, ale im dłużej mu się przyglądam, tym częściej widzę diabła.

Wszystkie te informacje utrzymywaliśmy w ścisłej tajemnicy.

W żadnym razie nie mogłem ich wykorzystać w obronie. Należało je wyłączyć z dowodów podlegających ujawnieniu, dlatego niewiele z tego, co zdołaliśmy z Levinem ustalić, zostało utrwalone na piśmie. Ale musiałem to wszystko mieć na uwadze, podejmując decyzje przed procesem i przygotowując strategię jego rozegrania. Kiedy pięć po jedenastej nakładałem przed lustrem czapkę Dodgersów, odezwał się dzwonek domowego telefonu. Zanim odebrałem, zerknąłem w okienko wyświetlacza. Dzwoniła Lorna Taylor.

— Dlaczego masz wyłączoną komórkę? — zapytała.

— Bo mam wolne. Mówiłem ci, że nie przyjmuję dzisiaj żadnych telefonów. Wybieram się na mecz z Mishem i właśnie wychodzę, bo umówiłem się z nim trochę wcześniej.

— Kto to jest Mish?

— Raul. Czemu zawracasz mi głowę?

Zadałem to pytanie bez cienia niezyczliwości.

— Wydaje mi się, że akurat tym powinnam ci zawracać głowę. Poczta przyszła dzisiaj wcześniej i dostałeś zawiadomienie z Drugiego.

Drugi Okręgowy Sąd Apelacyjny rozpatrywał wszystkie sprawy wychodzące z okręgu Los Angeles. Stanowił pierwszy szczebel drabiny odwoławczej prowadzącej do stanowego Sądu Najwyższego. Ale nie podejrzewałem, by Lorna zadzwoniła, chcąc poinformować mnie o przegranej apelacji.

— W której sprawie?

Zazwyczaj Drugi rozpatrywał cztery czy pięć prowadzonych przeze mnie spraw.

— Jednego z Road Saints. Harolda Caseya. Wygrałeś!

Byłem w szoku. Nie zaskoczyło mnie zwycięstwo, ale tempo wydania orzeczenia. Składając odwołanie, starałem się działać szybko. Napisałem streszczenie sprawy, zanim jeszcze dostałem wyrok i dopłaciłem za przyspieszenie wydania stenogramów procesu. Złożyłem wniosek o apelację dzień po wyroku, prosząc o przyspieszone rozpatrzenie sprawy. Mimo to spodziewałem się wiadomości o Caseyju najwcześniej za dwa miesiące.

Poprosiłem Lornę, żeby przeczytała mi przez telefon decyzję sądu i słuchając jej, uśmiechałem się coraz radośniej. Było to przepisane niemal słowo w słowo moje streszczenie, włącznie z opinią, że przelot helikoptera nad ranczem Caseya na niedozwolonej wysokości stanowił naruszenie jego prywatności. Sąd uchylił wyrok skazujący, argumentując, że przeszukanie, w którym ujawniono hydroponiczną plantację trawki, było nielegalne.

Stan musiał teraz zdecydować, czy wszcząć drugie postępowanie przeciw Caseyowi, ale realistycznie rzecz biorąc, powtórny proces nie wchodził w grę. Oskarżenie nie miało dowodów, ponieważ sąd apelacyjny odrzucił wszystko, co zebrano w wyniku rewizji rancza. Orzeczenie Drugiego było wyraźnym zwycięstwem obrony, a wygrane apelacje należały do rzadkości.

— To wielki dzień dla tej ofiary!

— A w ogóle gdzie on jest? — zapytała Lorna.

— Być może jeszcze w tymczasowym areszcie, ale mieli go przenieść do Corcoran. Posłuchaj, zrobisz jakieś dziesięć kopii orzeczenia, włożysz do koperty i wyślesz do Caseya do Corcoran. Adres powinnaś mieć.

— Chyba teraz go wypuszczą?

— Jeszcze nie. Naruszył przepisy zwolnienia warunkowego, a apelacja nie ma na to żadnego wpływu. Wyjdzie dopiero wtedy, gdy zgłosi się w radzie do spraw zwolnień warunkowych i przekona ją, że zatrzymano go na podstawie dowodów zdobytych niezgodnie z prawem. Wszystko potrwa pewnie około sześciu tygodni.

— Sześciu tygodni? Wierzyć się nie chce.

— Jeśli nie chcesz w pudle gnić, lepiej w zgodzie z prawem żyć.

Zanuciłem to jak Sammy Davis.

— Mick, proszę, nie śpiewaj mi przez telefon.

— Przepraszam.

— Po co mam mu wysłać dziesięć kopii? Nie wystarczy jedna?

— Bo jedną zatrzyma sobie, a dziewięć rozda innym

więźniom i twój telefon zaraz się rozdzwoni. Adwokat, który potrafi wygrać apelację, to skarb. Tylu ich zaczniesz do siebie wydzwaniać, że będziesz mogła przebierać w klientach i wyszukiwać tych, którzy mają rodziny i będzie ich na mnie stać.

— Nie marnujesz żadnej okazji, co?

— Staram się. Coś jeszcze się działo?

— To co zwykle. Było parę telefonów, których i tak podobno nie chciałeś dzisiaj odbierać. Odwiedziłeś wczoraj w szpitalu Glory Days?

— Głorię Dayton. Owszem, odwiedziłem. Wygląda na to, że najgorsze ma już za sobą. Został jej jeszcze ponad miesiąc.

Prawdę mówiąc, Gloria Dayton wyglądała o niebo lepiej. Od lat nie widziałem jej tak ożywionej i radosnej. Wprawdzie poszedłem do szpitala okręgowego-USC spotkać się z nią w konkretnym celu, ale miło było zobaczyć, że powoli wychodzi na prostą.

Jak mogłem się spodziewać, Lorna znów weszła w rolę Kasandry.

— I kiedy znowu zadzwoni do mnie i powie: „Jestem w puddle, potrzebny mi Mickey”?

Ostatnie zdanie wymówiła marudnym, nosowym głosem Glorii Dayton. Mimo że nieźle ją naśladowała, zirytowała mnie. Na dodatek zaczęła śpiewać do melodii z kreskówki Disneya.

— M-I-C... do zobaczenia. K-E-Y... bo nie bierzesz ani grosza! M-O-U-S-E. Mickey Mouse... Mickey Mouse, adwokat, co nigdy...

— Lorno, proszę, nie śpiewaj mi przez telefon.

Roześmiała się do słuchawki.

— Chciałam tylko, żebyś znał moje zdanie.

Uśmiechałem się, ale próbowałem zachować surowy ton.

— No więc już poznałem. Muszę kończyć.

— Baw się dobrze... Mickey Mouse.

— Nawet gdybyś mi to śpiewała cały dzień, a Dodgersi przegrali dwadzieścia do zera, i tak zamierzam się dobrze bawić. Co może pójść źle po takim wyroku?

Pożegnałem się z nią i poszedłem do swojego gabinetu po numer komórki Teddy'ego Vogela, pozostającego na wolności herszta Road Saints. Przekazałem mu dobre wieści, sugerując, że potrafi zawiadomić Hardziela znacznie szybciej ode mnie. Członkowie gangu są w każdym więzieniu. Systemu łączności mogliby im pozazdrościć ci z CIA i FBI. Vogel odparł, że się tym zajmie. Dodał, że dziesięć kawałków, które dał mi miesiąc wcześniej na drodze przy Vasquez Rocks, okazało się dobrą inwestycją.

— Dzięki, Ted — powiedziałem. — Nie zapomnij o mnie, kiedy następnym razem będziesz potrzebował adwokata.

— Zrobi się, mecenasie.

Rozłączyliśmy się. Z szafki w korytarzu wyciągnąłem swoją rękawicę pierwszego bazowego i ruszyłem do drzwi.

Dałem Earlowi wolne, zaliczywszy mu dzień do tygodnia pracy, więc sam pojechałem lincolnem do centrum. Ruch był niewielki, dopóki nie zacząłem się zbliżać do stadionu Dodgersów. Na otwarcie zawsze sprzedaje się komplet biletów, mimo że mecz odbywa się w dzień powszedni w godzinach pracy. Początek sezonu to wiosenny rytuał przyciągający tysiące ludzi ze śródmieścia. To jedyna impreza sportowa w znanym ze swobodnego stylu życia Los Angeles, gdzie można zobaczyć mężczyzn w sztywnych białych koszulach i krawatach. Wszyscy sana wagarach. Nic nie może się równać z początkiem sezonu, aż przyjdzie czas na jednopunktowe porażki, przerwane passy dobrych rzutów i stracone okazje. Aż zaskrzeczy rzeczywistość.

Byłem pierwszy na trybunie. Mieliśmy miejsca trzy rzędy od boiska — na krzeselkach w części dobudowanej przed sezonem. Levin musiał wybulić mnóstwo forsy na bilety. Przynajmniej mógł to sobie odliczyć z funduszu reprezentacyjnego.

Plan był taki, że mieliśmy się spotkać z Levinem wcześniej. Dzwonił poprzedniego dnia wieczorem, mówiąc, że chce chwilę pogadać w cztery oczy. Oglądając trening i podziwiając zmodernizowany przez nowego właściciela stadion, mieliśmy omówić przebieg mojej wizyty u Glorii Dayton, a Raul miał mi przekazać

najnowsze odkrycia, jakich dokonał w trakcie kilku dochodzeń związanych z osobą Louisa Rouleta.

Ale Levin nie zdążył na trening. Zjawili się czterej pozostali adwokaci — trzech pod krawatem, prosto z sądu — i nie było już okazji do rozmowy na osobności.

Znałem wszystkich czterech adwokatów z tak zwanych spraw statków, w których występowaliśmy na procesach. Właściwie od tych spraw zaczęła się tradycja wspólnych wypraw na mecze Dodgersów. Korzystając ze swoich szerokich uprawnień do powstrzymania napływu narkotyków do Stanów Zjednoczonych, straż przybrzeżna zaczęła zatrzymywać statki w każdym miejscu oceanu. Gdy natrafiali na żyłę złota — a raczej kokainy — konfiskowali statek i aresztowali załogę. Wiele aktów oskarżenia trafiało do sądu okręgowego Los Angeles. Dochodziło więc do procesów, w których czasem skarżono jednocześnie dwanaście albo więcej osób. Każdy podsądny dostawał własnego adwokata, na ogół z urzędu, a honorarium płacił Wuj Sam. Spraw było dużo, mieliśmy z nich niezłe pieniądze i niezłą zabawę. Ktoś wpadł na pomysł, żebyśmy urządzali zebrania na stadionie Dodgersów. Raz na mecz z Cubsami złożyliśmy się nawet na prywatną łóżę. Skończyło się jednak na tym, że dyskutowaliśmy nad sprawą przez kilka minut pod koniec siódmej rundy.

Rozpoczęły się uroczystości otwarcia, a Levina wciąż nie było widać. Z koszyków poszybowały w niebo setki gołębi, które ku radości widzów utworzyły szyk i zatoczyły koło nad stadionem, po czym odleciały. Chwilę później nad stadionem przeleciał lotem koszącym bombowiec B-2, co wzbudziło jeszcze większy entuzjazm. To było Los Angeles. Dla każdego coś miłego, plus szczypta ironii.

Kiedy zaczął się mecz, Levina nadal nie było. Włączyłem komórkę i usiłowałem się do niego dodzwonić, mimo że trudno było cokolwiek usłyszeć. Tłum hałaśliwie witał nowy sezon w nadziei, że tym razem nie skończy się kolejnym rozczarowaniem. W słuchawce odezwała się poczta głosowa.

— Mish, gdzie jesteś? Jesteśmy na meczu, miejsca są fantastyczne, ale jedno ciągle puste. Czekamy na ciebie.

Zamknąłem telefon, spojrzałem na towarzyszy i wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem — powiedziałem. — Nie odbiera.

Zostawiwszy włączony telefon, przypiąłem go z powrotem do paska.

Jeszcze przed końcem pierwszej rundy zacząłem żałować tego, co mówiłem Lornie o przegranej dwadzieścia do zera, która nie mogła mi zepsuć nastroju. Giantsi prowadzili pięć do zera, zanim Dodgersi zdążyli pierwszy raz w sezonie odbić piłkę, i publiczność zaczynała się denerwować. Słyszałem, jak ludzie narzekają na ceny, remont i nadmierną komercjalizację stadionu. Jeden z adwokatów, Roger Mills, rozejrzał się po stadionie i zauważył, że upchali tu więcej reklam niż na samochodzie wyścigowym serii NASCAR.

Dodgersi w pewnym momencie byli bliscy zdobycia przewagi, ale w czwartej rundzie wszystko się posypało i kiedy rzucał Jeff Weaver, Giantsi zdobyli trzy punkty po potężnym wybiciu za ogrodzenie. Wykorzystałem chwilę spokoju podczas zmiany i pochwaliłem się kolegom, jak szybko dostałem decyzję z Drugiego w sprawie Caseya. Wszyscy byli pod wrażeniem, choć Dan Daly przypuszczał, że sąd apelacyjny zareagował tak prędko, bo trzech sędziów jest na mojej liście bożonarodzeniowej. Odciąłem się Daly'emu, mówiąc, że chyba nie czytał notatki korporacji na temat podejrzliwości przysięgłych wobec adwokatów noszących koński ogon. Jego kitka sięgała połowy pleców.

Podczas tej samej przerwy w grze usłyszałem dzwonek telefonu. Chwyciłem komórkę i odebrałem, nie patrząc na ekran wyświetlacza.

— Raul?

— Nie, proszę pana, mówi detektyw Lankford z Departamentu Policji Glendale. Czy rozmawiam z Michaellem Hallerem?



— Tak — odrzekłem.

— Ma pan dla mnie chwilę?

— Mam, ale nie jestem pewien, czy będę pana słyszał. Jestem na meczu Dodgersów. Ta sprawa nie może poczekać? Odzwonię do pana.

— Nie, nie może czekać. Zna pan Raula Aarona Levina? Obawiam się...

— Tak, znam. Coś się stało?

— Przykro mi, ale pan Levin nie żyje. Został zamordowany we własnym domu.

Pochyliłem się w przód tak gwałtownie, że głową uderzyłem w plecy widza siedzącego przede mną. Po chwili wyprostowałem się i zasłoniłem dłonią jedno ucho, przyciskając do drugiego słuchawkę. Wyłączyłem się z otoczenia.

— Co się stało?

— Nie wiemy — odrzekł Lankford. — Dlatego tu jesteśmy. Wygląda na to, że ostatnio pracował dla pana. Mógłby pan tu przyjechać, żeby odpowiedzieć nam na kilka pytań i w miarę możliwości nam pomóc?

Wyrównałem oddech i starając się panować nad głosem, powiedziałem:

— Już jadę.

## Rozdział 23

Ciało Raula Levina leżało w głębi bungalowu stojącego kilka przecznic od Brand Boulevard. Pierwotnie miał to być zapewne pokój telewizyjny albo przeszklony taras, lecz Raul urządził w nim swój domowy gabinet. Podobnie jak ja nie potrzebował zbyt dużej przestrzeni do pracy. Nie przyjmował tu klientów. Nie reklamował się nawet w książkach telefonicznych. Otrzymywał zlecenia od adwokatów, którzy polecali go sobie nawzajem. O jego umiejętnościach i powodzeniu najlepiej świadczył fakt, że umówił się na mecz baseballowy z pięcioma prawnikami.

Powitali mnie umundurowani policjanci i kazali mi zaczekać w salonie, aż zjawią się detektywi, aby ze mną porozmawiać. W korytarzu czuwał jeden z funkcjonariuszy, na wypadek gdybym nagle zerwał się z miejsca i popędził w głąb domu albo do wyjścia. Zajął taką pozycję, że był przygotowany na obie możliwości. Siedziałem, czekając i rozmyślając o swoim przyjacielu.

W drodze ze stadionu doszedłem do wniosku, że wiem, kto zabił Raula Levina. Nie musiałem iść do pokoju w głębi domu, żeby zobaczyć dowody lub o nich usłyszeć i dowiedzieć się, kim był morderca. W głębi duszy już wiedziałem, że Raul znalazł się za blisko Louisa Rouleta. I to na moje polecenie. Pozostawało pytanie, co mam teraz z tym zrobić.

Po dwudziestu minutach z głębi domu wyłoniło się dwoje detektywów. Podniosłem się z miejsca i rozmawialiśmy, stojąc. Mężczyzna przedstawił się jako Lankford — to on do mnie dzwonił. Był starszy i bardziej doświadczony. Jego partnerka nazywała się Sobel. Nie wyglądała na policjantkę, która od dawna prowadzi śledztwa w sprawach zabójstw.

Nie podaliśmy sobie dłoni. Detektywi mieli gumowe rękawiczki. Na butach nosili papierowe ochraniacze. Lankford żuł gumę.

— Na razie ustaliliśmy niewiele — zaczął szorstkim tonem. — Levin w gabinecie siedział przy biurku. Krzesło było odwrócone, więc był zwrócony twarzą do intruza. Dostał jeden strzał w pierś. Z czegoś małego, na moje oko z dwudziestkidwójki, ale musimy z tym poczekać na koronera.

Lankford postukał się w środek piersi. Usłyszałem głuchy odgłos kamizelki kuloodpornej, którą nosił pod koszulą.

Musiałem go poprawić. Przez telefon i teraz wymawiał nazwisko Raula z błędem: „liwajn”.

— No dobrze, niech będzie Levin — zgodził się. — W każdym razie kiedy padł strzał, Levin próbował wstać albo po prostu upadł. Zmarł, leżąc twarzą do podłogi. Intruz przetrząsnął gabinet, no i nie bardzo wiemy, czego mógł szukać ani co mógł zabrać.

— Kto go znalazł? — spytałem.

— Sąsiadka, która zobaczyła jego psa biegającego na dworze. Intruz musiał wypuścić psa przed zabójstwem albo po nim. Sąsiadka poznała psa i odniosła do domu. Zastała otwarte drzwi, weszła i znalazła ciało. Zwierzak nie bardzo mi wygląda na psa obronnego. Taka futrzana kulka.

— Shih-tzu — wyjaśniłem.

Widziałem kiedyś psa i słyszałem, jak Levin o nim opowiadał, lecz nie mogłem sobie przypomnieć, jak się wabił. Rex, Bronco czy jakoś tak — imię zupełnie nie pasowało do niewielkiej postury psa.

Przed zadaniem pytania Sobel zajrzała do notesu.

— Nie znaleźliśmy żadnej informacji o najbliższej rodzinie — powiedziała. — Nie wie pan, czy miał jakichś krewnych?

— Jego matka mieszka chyba na wschodzie. Urodził się w Detroit. Może tam została. Nie wydaje mi się, żeby łączył ich szczególnie bliski związek.

Skinęła głową.

— Znaleźliśmy kalendarz z jego rozkładem zajęć. W zeszłym miesiącu pod prawie każdą datą było pańskie nazwisko. Pracował nad jakąś konkretną sprawą?

Przytaknąłem.

— Nad kilkoma. Głównie jedną.

— Mógłby pan powiedzieć nam o niej coś bliższego? — spytała Sobel.

— Mam sprawę, w której będzie proces. W przyszłym miesiącu. Próba gwałtu i morderstwa. Raul zbierał dowody, pomagał mi przygotowywać obronę.

— To znaczy pomagał znaleźć dziury w śledztwie, tak? — wtrącił Lankford.

Zorientowałem się, że w rozmowie telefonicznej Lankford tylko udawał uprzejmość, aby zwabić mnie do domu Levina. Teraz detektyw zachowywał się inaczej. Wydawało się nawet, jakby żuł gumę agresywniej, niż kiedy wszedł do salonu.

— Wszystko jedno, jak pan chce to nazwać, detektywie. Każdy ma prawo do obrony.

— Jasne, wszyscy są niewinni, tylko to вина rodziców, że za wcześnie odstawili ich od cycka — odrzekł Lankford. — Wszystko jedno. Ten Levin wcześniej był gliną, zgadza się?

Znów wymówił jego nazwisko z błędem.

— Tak, w departamencie Los Angeles. Był detektywem, ale po dwunastu latach odszedł ze służby. Chyba po dwunastu. Będziecie to musieli sprawdzić. I wymawia się „le-win”.

— Dobrze, dobrze. Pewnie nie dawał sobie rady z tym, że pracuje po stronie dobrych, co?

— Zależy, jak na to spojrzeć.

— Możemy wrócić do pańskiej sprawy? — włączyła się Sobel. — Jak się nazywa oskarżony?

— Louis Ross Roulet. Rozprawa ma się odbyć w okręgowym Van Nuys, prowadzić będzie sędzia Fullbright.

— Jest w areszcie?

— Nie, zwolniony za kaucją.

— Czy były jakieś animozje między Rouletem a panem Levinem?

— O żadnych nie wiem.

Podjąłem decyzję. Wiedziałem, jak załatwić problem Rouleta. Będę się trzymał planu ułożonego wcześniej z pomocą Raula Levina. Wrzucę do sprawy bombę głębinową i ucieknę na bezpieczną odległość. Czułem, że jestem to winien Mishowi. Życzyłby sobie, żebym tak postąpił. I nikomu tego nie zlecę. Sam się tym zajmę.

— Może to jakaś gejowska historia? — spytał Lankford.

— Co? Dlaczego pan tak sądzi?

— Taki pieseczek i w całym domu tylko zdjęcia facetów i psa. Wszędzie. Na ścianach, przy łóżku, na fortepianie.

— Proszę się uważnie przyjrzeć, detektywie. To pewnie zdjęcia jednego faceta. Jego partner zmarł kilka lat temu. Nie sądzę, żeby Raul był potem z kimś jeszcze.

— Założę się, że umarł na AIDS.

Nie potwierdziłem jego przypuszczeń. Po prostu czekałem. Z jednej strony denerwowało mnie zachowanie Lankforda. Z drugiej jednak uznałem, że jeśli będzie prowadził śledztwo metodą spalonej ziemi, być może nie od razu włączy Rouleta w krąg podejrzanych. Nie miałem nic przeciwko temu. Musiałem jedynie powstrzymać ich przez pięć czy sześć tygodni, a potem nie będzie mnie obchodziło, czy skojarzą jedno z drugim, czy nie. Do tego czasu wykonam swój plan.

— Nie kręcił się po gejowskich knajpach? — pytał Lankford. Wzruszyłem ramionami.

— Nie mam pojęcia. Ale jeśli to było zabójstwo na tle

homoseksualnym, to dlaczego sprawca przeszukał tylko gabinet, a nie resztę domu?

Lankford skinął głową. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego logiką mojego pytania. Ale zaraz zadał mi nieoczekiwany cios.

— Gdzie pan był dzisiaj rano, mecenasie?

— Słucham?

— Rutynowe pytanie. Ślady wskazują, że ofiara знаła mordercę. Levin sam wpuścił go do gabinetu. Jak już mówiłem, kiedy dostał kulę, prawdopodobnie siedział przy biurku. Na moje oko ta wizyta nie wzbudziła w nim żadnych obaw. Chcemy sprawdzić wszystkich znajomych, wszystkie osoby, z którymi miał kontakty zawodowe i towarzyskie.

— Chce pan przez to powiedzieć, że jestem podejrzany?

— Nie, próbuję wyjaśnić okoliczności i zawęzić obszar poszukiwań.

— Cały rano byłem w domu. Miałem się spotkać z Raulem na stadionie Dodgersów. Wyjechałem na stadion około dwunastej i tam zastał mnie pański telefon.

— A wcześniej?

— Byłem w domu. Sam. Ale mam dowód, bo około jedenastej odebrałem telefon. Mieszkam co najmniej pół godziny drogi stąd, więc jeśli został zamordowany po jedenastej, to mam alibi.

Lankford nie połknął przynęty. Nie podał mi czasu śmierci. Może jeszcze go nawet nie znali.

— Kiedy ostatni raz z nim pan rozmawiał? — zapytał.

— Wczoraj wieczorem przez telefon.

— Kto dzwonił do kogo i po co?

— Zadzwoił Raul i zapytał, czy mogę przyjść na stadion trochę wcześniej. Powiedziałem, że przyjdę.

— Jak to?

— Lubi... lubił oglądać trening przed meczem. Poza tym chciał pogadać o sprawie Rouleta. Nie chodziło o żadne konkrety, ale od tygodnia nie miałem od niego nowych informacji.

— Dziękuję za współpracę — odrzekł Lankford z wyraźną nutą sarkazmu w głosie.

— Zdaje pan sobie sprawę, że właśnie robię coś, przed czym przestrzegam każdego swojego klienta? Rozmawiam z panem bez obecności adwokata i podaję alibi. Chyba zwariowałem.

— Powiedziałem już — dziękuję.

— Czy chce pan nam powiedzieć coś jeszcze, panie Haller? — odezwała się Sobel. — O panu Levinie albo jego pracy?

— Tak, jest jeszcze jedna rzecz. Powinniście ją sprawdzić. Ale to poufna sprawa.

Zerknąłem na umundurowanego funkcjonariusza, który wciąż stał w korytarzu. Sobel podążyła za moim wzrokiem i zrozumiała.

— Posterunkowy, proszę zaczekać na zewnątrz — powiedziała.

Policjant wyszedł wyraźnie niezadowolony, prawdopodobnie dlatego, że został odprawiony przez kobietę.

— No dobrze — rzekł Lankford. — O co chodzi?

— Będę musiał dokładnie sprawdzić daty, ale kilka tygodni temu w marcu Raul pracował nad inną moją sprawą, w której klient złożył donos na dilerów narkotyków. Dzwonił do różnych osób i pomógł go zidentyfikować. Dowiedziałem się, że diler był Kolumbijczykiem i miał różne powiązania. Być może jego przyjaciele...

Urwałem, pozwalając im dopowiedzieć sobie resztę.

— No, nie wiem — powiedział Lankford. — To była dość czysta robota. Nie wyglądała na żaden akt zemsty. Nie poderżnęli gardła ani nie wyrwali języka. Jeden strzał plus przeszukanie gabinetu. Czego mogliby szukać ludzie dilerów?

Pokręciłem głową.

— Może nazwiska klienta. Zgodnie z warunkami umowy miało być utajnione.

Lankford w zamyśleniu skinął głową.

— Jak się nazywa klient?

— Tego nie mogę powiedzieć. Zasada poufności między adwokatem a klientem.

— No i znowu te bzdury. Jak mamy prowadzić śledztwo, jeżeli nie znamy nawet nazwiska klienta? Nic pana nie obchodzi przyjaciel, który leży na podłodze z kawałkiem ołowiu w piersi?

— Owszem, obchodzi. Przypuszczam, że spośród tu obecnych tylko mnie obchodzi. Ale obowiązują mnie przepisy i etyka zawodowa.

— Pańskiemu klientowi może grozić niebezpieczeństwo.

— Ta osoba jest bezpieczna. Przebywa w instytucji zamkniętej.

— Osoba? — podchwyciła Sobel. — To kobieta, prawda?

— Nie będę z państwem rozmawiać o swoim kliencie. Jeżeli chcecie poznać nazwisko dilera, to nazywa się Hector Arrande Moya. Jest w areszcie federalnym. Podobno zarzuty przeciw niemu mają związek ze sprawą prowadzoną w San Diego przez DEA. Tylko tyle mogę powiedzieć.

Sobel wszystko notowała. Uznałem, że dałem im dość powodów, by odwrócili uwagę od Rouleta i motywu homoseksualnego.

— Panie Haller, czy był pan kiedyś w gabinecie pana Levina? — spytała Sobel.

— Kilka razy. Ale co najmniej od dwóch miesięcy go nie odwiedzałem.

— Mógłby pan tam z nami pójść? Może zauważy pan, czy coś przestawiono albo zabrano.

— Czy on tam jeszcze leży?

— Ciało? Tak, zostawiliśmy je tam, gdzie zostało znalezione.

Skinąłem głową. Nie byłem pewien, czy chciałem oglądać zwłoki Raula Levina na miejscu zbrodni. Zaraz jednak pomyślałem, że muszę go zobaczyć i zapamiętać ten widok. Musiałem się utwierdzić w postanowieniu realizacji naszego wspólnego planu.

— Dobrze, pójdę.

— Najpierw proszę to nałożyć i niczego nie dotykać, kiedy



pan wejdzie do pokoju — polecił Lankford. — Nie zakończyliśmy jeszcze oględzin.

Wyciągnął z kieszeni parę ochraniaczy na buty. Usiadłem na kanapie i nałożyłem je, następnie ruszyłem za nimi korytarzem do sali egzekucyjnej.

Włóki Raula Levina były *in situ* — w takim ułożeniu, w jakim je znaleziono. Leżał na brzuchu na podłodze, z głową zwróconą w prawo, z otwartymi ustami i oczami. Ciało było w dziwacznej pozycji — Raul miał lekko uniesione biodro i złożone przed sobą ręce. Wszystko wskazywało na to, że zsunął się z krzesła, które stało za nim.

Natychmiast pożałowałem swojej decyzji. Wiedziałem, że widok martwej twarzy Raula wymaże wszystkie inne związane z nim wspomnienia. Będę próbował o nim zapomnieć, żeby nie widzieć tych oczu.

Tak samo było z moim ojcem. Jedyny zapamiętany przeze mnie obraz to leżący w łóżku człowiek, który po morderczej walce z rakiem ważył nie więcej niż czterdzieści pięć kilogramów. Wszystkie pozostałe obrazy były fałszywe. Pochodziły ze zdjęć z książek o ojcu.

W pokoju pracowało kilka osób. Technicy z wydziału kryminalistycznego i biura medycyny sądowej. Uczucie zgrozy, jakie wzbudził we mnie ten widok, musiało się odbić na mojej twarzy.

— Wie pan, dlaczego nie możemy go przykryć? — odezwał się Lankford. — Przez takich jak pan. Przez sprawę O.J. Simpsona. To się nazywa „przeniesienie dowodów”. Na takie coś adwokaci rzucają się jak wilk na owcę. Dlatego koniec z przykrywaniem ciała. Dopóki go stąd nie wyniesiemy.

Milczałem, kiwając głową. Lankford miał rację.

— Może pan podejść do biurka i powiedzieć nam, czy dostrega pan coś szczególnego? — poprosiła Sobel, która wyraźnie miała dla mnie trochę współczucia.

Byłem jej wdzięczny, bo mogłem odwrócić się od ciała Raula. Biurko stanowiło połączenie trzech stołów do pracy ustawionych

w rogu pokoju. Meble pochodziły z Ikei w niedalekim Burbank. Żaden luksus — prostota i funkcjonalność. Na środkowym stoliku stał monitor komputera, a na wysuwanym blacie znajdowała się klawiatura. Stoliki po bokach wyglądały bliźniaczo podobnie i Levin przypuszczalnie pracował przy każdym nad inną sprawą, by nie pomieszać dokumentów.

Zatrzymałem wzrok na komputerze, zastanawiając się, jakie informacje o Roulecie Levin mógł w nim przechowywać. Sobel to zauważyła.

— Nie mamy informatyka — powiedziała. — Za mały wydział. Pomaga nam fachowiec z biura szeryfa, ale wygląda na to, że wyciągnięto cały dysk.

Długopisem pokazała stojący pod stołem komputer, z którego zdjęto boczną osłonę i postawiono z tyłu.

— Prawdopodobnie nie znajdziemy tu nic nas interesującego — ciągnęła. — A na biurkach?

Najpierw spojrzałem na stół po lewej stronie od komputera. Leżały na nim porozrzucane w nieładzie teczki i papiery. Rozpoznałem niektóre z nazwisk na zakładkach teczek.

— Niektóre dokumenty dotyczą moich klientów, ale to stare sprawy. Zamknięte.

— Pewnie zostały wyciągnięte z szafek — powiedziała Sobel. — Morderca mógł je rzucić na stół, żeby nas zmylić. I ukryć to, co naprawdę zabrał albo czego szukał. A tutaj?

Podeszliśmy do stołu z prawej strony komputera. Panował tu mniejszy bałagan. Na blacie leżał kalendarz, w którym Levin prowadził ewidencję przepracowanych godzin dla poszczególnych adwokatów. Zauważyłem swoje nazwisko powtarzające się przy wielu datach w ciągu ostatnich pięciu tygodni. Rzeczywiście, tak jak twierdzili detektywi, z kalendarza wynikało, że ostatnio pracował praktycznie tylko dla mnie.

— Nie wiem — odrzekłem. — Nie wiem, czego właściwie mam szukać. Nie bardzo mogę pomóc.

— Większość adwokatów nie jest skłonna do pomocy — odezwał się zza moich pleców Lankford.

Nie miałem ochoty odwracać się do niego, żeby powiedzieć coś na swoją obronę. Detektyw stał przy zwłokach i nie chciałem widzieć, co z nimi robi. Wyciągnąłem rękę do stojącego na biurku wizytownika, aby przejrzeć nazwiska na wizytówkach.

— Proszę nie dotykać! — ostrzegła mnie natychmiast Sobel.

Cofnąłem dłoń.

— Przepraszam. Chciałem tylko przejrzeć nazwiska. Nie miałem zamiaru...

Nie dokończyłem. Miałem mętlik w głowie. Chciałem stąd wyjść i napić się. Poczułem, jak do gardła podchodzi mi hot dog, którego z takim apetytem zjadłem na stadionie Dodgersów.

— Hej, zobaczcie — powiedział Lankford.

Odwróciliśmy się z Sobel i zobaczyliśmy, jak technicy z biura medycyny sądowej wolno odwracają ciało Levina. Z przodu koszulki Dodgersów widniała plama krwi. Ale Lankford wskazywał jego ręce, które wcześniej Levin zastąpił ciałem. Dwa środkowe palce lewej dłoni były zaciśnięte, natomiast mały i wskazujący wyprostowane.

— Co jest, kibic Texas Longhorns? — usiłował zażartować Lankford.

Nikt się nie roześmiał.

— Co pan o tym myśli? — zwróciła się do mnie Sobel.

Wpatrując się w ostatni gest przyjaciela, pokręciłem głową.

— Już wiem — rzekł Lankford. — To znak. Kod. Chciał nam powiedzieć, że zrobił to sam diabeł.

Przypomniałem sobie, jak Raul nazwał Rouleta diabłem, twierdząc, że jest w nim samo zło. I wiedziałem, co oznacza ostatnia wiadomość od mojego przyjaciela. Umierając na podłodze we własnym domu, próbował mi to powiedzieć. Próbował mnie ostrzec.

## Rozdział 24

Pojechałem do Four Green Fields i zamówiłem guinnessa, ale szybko przerzuciłem się na wódkę z lodem. Nie było sensu zwlekać. W telewizorze umieszczonym nad barem dobiegał końca mecz Dodgersów. W dziewiątej rundzie chłopcy w niebieskich kostiumach zajęli wszystkie bazy i odrabiali straty, przegrywając już tylko dwoma punktami. Barman nie odrywał wzroku od ekranu, ale mnie nic już nie obchodziły otwarcia nowych sezonów. Nie obchodziły mnie końcówki dziewiątych rund.

Po drugim palącym łyku wódki położyłem na barze telefon i zacząłem dzwonić. Najpierw zadzwoniłem do czterech adwokatów, z którymi byłem na meczu. Gdy dostałem wiadomość, wszyscy wyszliśmy ze stadionu, ale moi koledzy wiedzieli tylko, że Levin nie żyje, nie znali natomiast żadnych szczegółów. Następnie zawiadomiłem Lornę, która rozplakała się do telefonu. Przez chwilę ją uspokajałem, a potem usłyszałem pytanie, którego chciałem uniknąć.

— Czy to przez twoją sprawę? Przez Rouleta?

— Nie wiem — skłamałem. — Mówiłem o niej policji, ale bardziej interesowało ich to, że był gejem.

— Był gejem?

Uznałem, że to dobry sposób, by na chwilę przestała myśleć o śmierci Levina.

- Nigdy się tym nie afiszował.
  - Wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś?
  - Nie było o czym. To było jego życie. Gdyby chciał, żeby ludzie o tym wiedzieli, chyba by im mówił.
  - Detektywi powiedzieli, że to się stało z tego powodu?
  - Co?
  - No wiesz, że został zamordowany dlatego, że był gejem.
  - Nie wiem. Wypytywali mnie o to. Nie wiem, co myśleli.
- Będą brali pod uwagę każdą możliwość i miejmy nadzieję, że do czegoś dojdą.

Zapadła cisza. Zerknąłem w telewizor w chwili, gdy Dodgersi zdobywali ostatnią bazę i stadion eksplodował radością. Barman wydał entuzjastyczny okrzyk i podkręcił fonię. Oderwałem wzrok od telewizora, zasłaniając dłonią ucho.

- Jest o czym myśleć, co? — odezwała się Lorna.
- To znaczy?
- Mówię o naszej pracy. Mickey, kiedy złapią tego drania, który to zrobił, on może zadzwonić do ciebie.

Zagrzechotałem lodem w pustej szklaneczce, żeby zwrócić na siebie uwagę barmana. Chciałem jeszcze jednego drinka. Nie chciałem jednak mówić Lornie, że chyba już pracuję dla drania, który zabił Raula.

- Spokojnie, Lorna. Za bardzo się...
- Ale tak się może zdarzyć!
- Posłuchaj, Raul pracował ze mną i był moim przyjacielem. Przecież nie zmienię zawodu ani przekonań, dlatego że...
- Może powinieneś. Może powinniśmy wszyscy. Tylko tyle chciałam powiedzieć.

Znów się rozpląkała. Barman postawił przede mną nowego drinka. Wychyliłem jedną trzecią naraz.

- Lorno, chcesz, żebym przyjechał?
- Nie, niczego nie chcę. Nie wiem, czego chcę. To wszystko jest takie straszne.
- Mogę ci coś powiedzieć?
- Co? Jasne, że możesz.

— Pamiętasz Jesusa Menendeza? Mojego klienta?  
— Tak, ale co to ma wspólnego...  
— On był niewinny. Raul właśnie nad tym pracował. Obaj pracowaliśmy. Wyciągniemy Menendeza z więzienia.

— Czemu mi o tym mówisz?  
— Bo po tym, co się stało z Raulem, nie możemy wszystkiego rzucić. To, co robimy, jest ważne. Jest konieczne.

Kiedy to mówiłem, słowa wydawały mi się puste. Lorna nie odpowiadała. Chyba zamąciłem jej w głowie — tak jak sobie.

— Rozumiesz? — spytałem.  
— Rozumiem.  
— To dobrze. Muszę jeszcze zadzwonić do paru osób.  
— Powiesz mi, kiedy będzie pogrzeb?  
— Powiem.

Zamknąłem komórkę, postanawiając zrobić przerwę przed następnym telefonem. Myśląc o ostatnim pytaniu Lorny, zdałem sobie sprawę, że być może sam będę musiał zająć się pogrzebem. Chyba że podejmie się tego starsza pani z Detroit, która dwadzieścia pięć lat temu wyrzekła się Raula Levina.

Przesunąłem szklaneczkę na skraj baru i powiedziałem do barmana:

— Nalej mi guinnessa. Sobie też.

Uznałem, że pora trochę zwolnić, a guinness był na to jedynym sposobem, ponieważ jego nalewanie trwało bardzo długo. Kiedy wreszcie barman postawił przede mną piwo, zobaczyłem narysowaną kranem w pianie harfę. Harfę anielską. Uniosłem szklanekę.

— Niech Bóg ma w opiece umarłych — powiedziałem.  
— Niech Bóg ma w opiece umarłych — powtórzył barman.

Pociągnąłem łyk, odnosząc wrażenie, jak gdyby ciemne piwo było zaprawą, którą zalewam klekoczące w brzuchu cegły. Naraz poczułem, że jestem bliski płaczu. Ale w tym momencie zadzwonił telefon. Złapałem go, nie patrząc na wyświetlacz, i odebrałem. Alkohol zmienił mój głos w mało zrozumiały bełkot.

— Mick? — zapytał czyjś głos.  
— Tak, kto mówi?

— Louis. Właśnie się dowiedziałem o Raulu. Bardzo mi przykro.

Oderwałem telefon od ucha, jak gdyby to był wąż, który zaraz mnie ukąsi. Zrobiłem zamach, gotów rzucić komórką w lustro za barem, lecz ujrzałem własne odbicie i przysunąłem aparat z powrotem.

— Wal się ze swoją mamusią, skąd w ogóle...

Urwałem i wybuchnąłem śmiechem, zdając sobie sprawę, co powiedziałem i jaką hipotezę na temat Rouleta miał Raul Levin.

— Przepraszam — przerwał mi Roulet. — Pijesz?

— Zgadłeś, piję — odparłem. — Skąd, kurwa, wiesz o Mis-hu?

— Jeżeli masz na myśli pana Levina, to właśnie miałem telefon od policji z Glendale. Jakaś detektyw powiedziała, że chce ze mną o nim porozmawiać.

Jego odpowiedź momentalnie wycisnęła mi z wątroby co najmniej dwie wódki. Wyprostowałem się na barowym stołku.

— Sobel? Ona do ciebie dzwoniła?

— Chyba tak. Mówiła, że podałeś im moje nazwisko. Podobno chodzi o rutynowe pytania. Właśnie do mnie jedzie.

— Dokąd?

— Do biura.

Zastanowiłem się nad tym, ale nie sądziłem, by Sobel groziło niebezpieczeństwo, nawet gdyby przyjechała bez Lankforda. Roulet nie próbowałby niczego z gliną, zwłaszcza we własnym biurze. Bardziej martwiłem się tym, że Sobel i Lankford już go namierzyli, przez co mogłem stracić szansę osobistej zemsty za Raula Levina i Jesusa Menendezę. Czyżby Roulet zostawił odcisk palca? Albo sąsiadka widziała, jak wchodził do domu Levina?

— Tylko tyle powiedziała?

— Tak. Dodała, że rozmawiają ze wszystkimi ostatnimi klientami, a ja byłem ostatni na liście.

— Nie rozmawiaj z nimi.

- Jesteś pewien?
- Możesz rozmawiać dopiero w obecności adwokata.
- I nie będą niczego podejrzewać, jeżeli im nic nie powiem, nie podam alibi czy czegoś takiego?
- To nie ma znaczenia. Nie mogą z tobą rozmawiać, dopóki nie dostaną mojej zgody. A ja nie wyrażam zgody.

Zacisnąłem wolną rękę w pięść. Czułem się okropnie, udzielając porady prawnej człowiekowi, który prawdopodobnie zabił dzisiaj rano mojego przyjaciela.

- Dobra — odrzekł Roulet. — Odprawię ją.
- Gdzie byłeś dzisiaj rano?
- Ja? W biurze. Czemu pytasz?
- Ktoś cię widział?
- Robin przyszła o dziesiątej. Wcześniej byłem sam.

Przypomniałem sobie kobietę z fryzurą jak kosa. Nie wiedziałem, co powiedzieć Rouletowi, bo nie wiedziałem, kiedy zginął Raul. Nie chciałem wspominać o elektronicznej bransoletce, którą Roulet podobno wciąż nosił na kostce.

— Zadzwoń, kiedy detektyw Sobel wyjdzie. I pamiętaj, bez względu na to, co ona albo jej partner będą ci wmawiać, nie rozmawiaj z nimi. Mogą ci nakłamać. Wszystkie gliny kłamią. Musisz założyć, że wszystko, co ci powiedzą, to kłamstwo. Będą próbować sztuczek, żeby coś z ciebie wyciągnąć. Jeżeli powiedzą, że mają moją zgodę, żebyś z nimi rozmawiał, to kłamstwo. Zadzwoń do mnie, a ja każę im spadać.

- W porządku, Mick. Tak zrobię. Dzięki.

Rozłączył się. Zamknąłem telefon i cisnąłem na bar jak coś brudnego i obrzydliwego.

- Nie ma za co — mruknąłem.

Wychyliłem ponad ćwierć szklanki, po czym znów wziąłem telefon. Nacisnąłem klawisz szybkiego wybierania i zadzwoniłem pod numer komórki Fernanda Valenzuela. Był w domu, wrócił właśnie z meczu Dodgersów. Musiał wyjść przed końcem, żeby uniknąć korków. Typowy kibic z Los Angeles.



- Słuchaj, czy Roulet nosi jeszcze ten lokalizator?
- Tak, nosi.
- Jak to działa? Możesz sprawdzić, gdzie był, czy namierzasz tylko, gdzie jest w tej chwili?
- To GPS. Wysłał sygnał. Można zobaczyć, gdzie gość wcześniej chodził.
- Masz odbiornik przy sobie czy w biurze?
- W laptopie. A o co chodzi?
- Chcę wiedzieć, gdzie dzisiaj był.
- Chwileczkę, muszę włączyć. Zaczekaj.
- Czekałem, kończąc guinnessa. Zanim Valenzuela uruchomił komputer, zamówiłem następnego.
- Gdzie jesteś, Mick?
- W Four Green Fields.
- Coś się stało?
- Tak, stało się. Włączyłeś już czy nie?
- Tak, mam zapis przed sobą. Jaki czas cię interesuje?
- Zaczynaj od dzisiaj rana.
- Dobra. Dzisiaj... hm, niewiele robił. Mam trasę z domu do biura koło ósmej. Potem wyskoczył niedaleko — dwie przecznice dalej, pewnie na lunch — i wrócił do biura. Ciągle tam siedzi.
- Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. Barman postawił przede mną nowe piwo.
- Val, jak takie coś można zdjąć z kostki?
- Pytasz, jak on mógłby ściągnąć? Nie da rady. Bransoletkę się skręca, a do śrub pasuje tylko jeden kluczyk. Jak klucz patentowy. Jedyne egzemplarze są u mnie.
- Na pewno?
- Na pewno. Trzymam go na kółku z kluczami.
- Nie ma żadnych dodatkowych egzemplarzy — nie wiem, u producenta?
- Nie powinno być. Poza tym to i tak nie ma znaczenia. Jeżeli opaska zostanie przerwana — czyli gdyby ją nawet rozkręcił — w systemie włącza mi się alarm. Bransoletka ma też czujnik

masy. Kiedy już założę mu to cacko na nogę, to gdyby czujnik wykrył, że w środku nic nie ma, zaraz dostanę sygnał alarmowy. Nic takiego się nie stało, Mick. Jedyne sposoby to piła. Trzeba by odciąć nogę razem z bransoletką.

Upiłem łyk z pełnej szklanki. Tym razem barman nie zadał sobie trudu, by rysować w pianie.

— A akumulator? Jeżeli się wyczerpie, to sygnał zanika?

— Nie, Mick. Tu też jestem ubezpieczony. Ma ładowarkę i gniazdko w bransoletce. Co kilka dni musi ją na dwie godziny podłączyć. Wiesz, kiedy na przykład siedzi za biurkiem czy drzemie. Jak pojemność akumulatora spadnie poniżej dwudziestu procent, w komputerze włącza mi się alarm, wtedy dzwonię i każę mu podładować. Jeżeli tego nie zrobi, mam drugi alarm przy poziomie piętnastu procent, a kiedy spadnie poniżej dziesięciu, wtedy bransoletka zaczyna brzęczeć i facet nie może ani zdjąć opaski, ani wyłączyć alarmu. W ucieczce to raczej nie pomaga. A przy dziesięciu procentach mogę go namierzać jeszcze przez pięć godzin. Spokojna głowa, w ciągu pięciu godzin potrafię go znaleźć.

— No dobrze.

Technika zdołała mnie przekonać.

— Powiesz mi, o co chodzi?

Poinformowałem go o śmierci Levina, uprzedzając, że policja prawdopodobnie będzie chciała sprawdzić alibi Rouleta na podstawie danych zapisanych w systemie elektronicznego nadzoru. Valenzuela był wstrząśnięty wiadomością. Wprawdzie nie przyjaźnił się z Levinem tak jak ja, lecz znał go równie długo.

— Jak myślisz, Mick, dlaczego to się stało?

Pytał, czy moim zdaniem Roulet był mordercą albo zleceniodawcą zabójstwa. Oczywiście Valenzuela nie był wtajemniczony w ostatnie odkrycia Levina.

— Sam nie wiem, co myśleć — odparłem. — Ale powinieneś uważać na tego faceta.

— Ty też uważaj.

— Będę.

Zamknąłem telefon, zastanawiając się, czy Valenzuela mógł o czymś nie wiedzieć. Czy Roulet znalazł jednak sposób, by zdjąć bransoletkę z kostki albo unieszkodliwić system nadzoru. Wierzyłem w techniczną niezawodność aparatu, ale nie w pierwiastek ludzki. Zawsze trzeba się liczyć z błędem człowieka.

Zbliżył się do mnie barman.

— Hej, nie zgubiłeś czasem kluczyków od samochodu? — zagadnął.

Obejrzałem się, chcąc się upewnić, czy mówi do mnie, a potem przecząco pokręciłem głową.

— Nie — odrzekłem.

— Na pewno? Ktoś znalazł kluczyki na parkingu. Lepiej sprawdź.

Sięgnąłem do kieszeni marynarki, po czym wyciągnąłem do niego rękę. Kluczyki spoczywały na mojej otwartej dłoni.

— Widzisz, mówi...

Szybkim i nieoczekiwanym ruchem barman złapał kluczyki i uśmiechnął się do mnie.

— Ten numer powinien być testem trzeźwości. Właśnie oblałeś — oznajmił barman. — Nigdzie nie pojedziesz, stary — przynajmniej na razie. Kiedy będziesz chciał iść, zadzwonię po tak-sówkę.

Na wszelki wypadek odsunął się od baru, gdybym zaczął gwałtownie protestować przeciw podstępowi. Ale potulnie skinąłem głową.

— Dałem się podejść — powiedziałem.

Barman rzucił kluczyki na blat z tyłu, gdzie stały butelki. Zerknąłem na zegarek. Jeszcze nie było piątej. Przez tłumiącą wszystko alkoholową wata zaczynało przebijać uczucie palącego wstydu. Wybrałem najprostsze wyjście. Najbardziej tchórzowskie. W obliczu strasznego zdarzenia postanowiłem się upić.

— Możesz to zabrać — powiedziałem, pokazując guinnessa.

Wziąłem telefon i wcisnąłem inny klawisz szybkiego wybierania. Maggie McPherson odebrała natychmiast. Sądy zazwyczaj kończyły urzędowanie o wpół do piątej. Ostatnią godzinę lub dwie przed końcem dnia prokuratorzy spędzali przy biurkach.

— Hej, już kończysz?

— Haller?

— Tak.

— Co się dzieje? Pijesz? Masz zmieniony głos.

— Tym razem chyba ty będziesz mnie musiała odwiedzić do domu.

— Gdzie jesteś?

— Na Forum Gnid i Frajerów.

— Co takiego?

— W Four Green Fields. Już chwilę tu siedzę.

— Michael, co się...

— Raul Levin nie żyje.

— O Boże, jak to...

— Morderstwo. To co, odwiedziesz mnie do domu? Chyba przesadziłem.

— Tylko zadzwonię do Stacey, żeby została dłużej z Hayley, i zaraz będę. Nigdzie się nie ruszaj. Czekaj na mnie, dobra?

— Nie martw się, barman nigdzie mnie nie puści.

## Rozdział 25

Zamknąłem telefon, informując barmana, że zmieniłem zdanie i w oczekiwaniu na transport wypiję jeszcze jedno piwo. Wyciągnąłem portfel i położyłem na barze kartę kredytową. Barman najpierw pobrał należność za rachunek i dopiero potem nalał mi guinnessa. Tak długo napełniał szklankę, lejąc piwo wąską stróżką po ściance, że kiedy w pubie zjawiła się Maggie, zdążyłem ledwie umoczyć usta.

— Za szybko się uwinęłaś — powiedziałem. — Masz ochotę się napić?

— Nie, jest za wcześnie. Zabieram cię do domu.

— W porządku.

Zszedłem ze stołka, pamiętając, by zabrać kartę kredytową i telefon, i opuściłem bar, wspierając się na jej ramieniu i czując, jakbym wylał więcej guinnessa i wódki za kołnierz niż we własne gardło.

— Samochód stoi przed samym wejściem — powiedziała Maggie. — Forum Gnid i Frajerów? Co chciałeś przez to powiedzieć?

— Ta knajpa to nasze forum. Gnid i frajerów, czyli prawników.

— Dziękuję ci bardzo.

— Ciebie to nie dotyczy. Jesteś prokuratorem.

- Przyznaj się, ile wypijeś, Haller?
- Gdzieś między sporo a za dużo.
- Tylko mi nie zarzygaj auta.
- Obiecuję.

Dotarliśmy do samochodu, taniego modelu jaguara. To był pierwszy wóz, który kupiła bez mojego udziału i komentarzy na temat jej gustu. Zdecydowała się na jaguara, bo czuła się w nim kobietą z klasą, ale każdy znający się na samochodach wiedział, że to po prostu uszmlinkowany ford. Nie psułem jej radości. Jej szczęście było moim szczęściem — z wyjątkiem jednego razu, gdy uznała, że będzie miała szczęśliwsze życie, jeśli się ze mną rozwiedzie. Nie bardzo się z tego ucieszyłem.

Pomogła mi wsiąść i pojechaliśmy.

— I nie przysypiaj — dodała, ruszając z parkingu. — Nie znam drogi.

— Jedź Laurel Canyon za wzgórze, a na końcu skręć w lewo.

Mimo że o tej porze więcej samochodów powinno zmierzać w przeciwnym kierunku, przedarcie się przez popołudniowy ruch zajęło nam prawie czterdzieści pięć minut. W drodze opowiedziałem jej, co się stało z Raulem Levinem. Maggie nie zareagowała tak jak Lorna, bo tak naprawdę nie znała Levina. Choć od wielu lat był moim detektywem, zaprzyjaźniliśmy się dopiero po moim rozwodzie. To Raul parę razy przywoził mnie wieczorami z Four Green Fields w schyłkowym okresie mojego małżeństwa.

Pilot do bramy garażu został w lincolnie pod pubem, zaproponowałem więc Maggie, żeby zaparkowała przed garażem. Zorientowałem się, że klucze do domu, które miałem na tym samym kółku co kluczyki do samochodu, skonfiskował barman. Musieliśmy obejść dom i wziąć zapasowy klucz — ten, który dał mi Roulet — spod popielniczki stojącej na stoliku na tarasie z tyłu. Weszliśmy tylnymi drzwiami, które prowadziły prosto do mojego gabinetu. Tak było lepiej, bo w moim stanie wolałem uniknąć wspinania się na frontowe schodki. Zmęczyłbym się, a poza tym widok z tarasu na panoramę miasta mógłby przypomnieć Maggie

o jaskrawej nierówności między życiem prokuratora a życiem gnidy i frajera.

— O, śliczne — powiedziała. — Nasza filizaneczka.

Podążyłem za jej spojrzeniem i zobaczyłem, że patrzy na zdjęcie naszej córki zrobione w Disneylandzie. Uradowałem się w duchu, że bezwiednie zdobyłem u niej jakiś punkt.

— Tak — odrzekłem, marnując doskonałą sytuację.

— Gdzie jest sypialnia? — spytała.

— No, no, nie lubisz niczego owijać w bawełnę, co? W prawo.

— Przepraszam, Haller, ale nie zostanę za długo. Stacey zgodziła się na dwie dodatkowe godziny, ale jest taki ruch, że za chwilę będę musiała wracać.

Zaprowadziła mnie do sypialni i usiedliśmy obok siebie na łóżku.

— Dziękuję — powiedziałem.

— Przysługa za przysługę — odrzekła.

— Wydawało mi się, że za tamtą przysługę już się odwdzięczyłaś, kiedy odwoziłem cię do domu.

Położyła mi dłoń na policzku i odwróciła moją twarz do siebie. Pocałowała mnie. Wziąłem to za potwierdzenie swoich domysłów, że naprawdę się wtedy kochaliśmy. Dręczyło mnie, że nic nie pamiętałem z tamtej nocy.

— Guinness — powiedziała, oblizując wargi.

— I wódka.

— Niezłe połączenie. Jutro będziesz cierpieć.

— Jest za wcześnie. Już wieczorem zacznę cierpieć. Wiesz co, może skoczylibyśmy na kolację do Dan Tana's? Na bramce stoi teraz Craig i...

— Nie, Mick. Muszę wracać do Hayley, a ty musisz iść spać.

Uniosłem ręce w geście kapitulacji.

— Dobra, dobra.

— Zadzwoń rano. Chcę z tobą pogadać, kiedy będziesz trzeźwy.

— W porządku.

— Chcesz się rozebrać i położyć?

— Nie, poradzę sobie. Tylko...

Rozciągnąłem się na łóżku i zrzuciłem buty. Potem przeczoiłem się na bok i otworzyłem szufladę w nocnej szafce. Wyciągnąłem z niej fiolkę tylenolu i płytę CD, którą dał mi klient, Demetrius Folks. Był bandziorem z Norwalk, którego ulica znała jako Lila Demona. Powiedział mi, że pewnej nocy miał wizję i wie, że czeka go wczesna i gwałtowna śmierć. Dał mi płytę, każąc mi jej słuchać, kiedy już umrze. Spełniłem jego polecenie. Przepowiednia Demetriusa się sprawdziła. Zginął w ulicznej strzelaninie pół roku po tym, gdy podarował mi CD. Na płycie napisał „Requiem dla Lila Demona”. Była to składanka ballad wypalonych z płyt Tupaca.

Włożyłem CD do odtwarzacza stojącego na nocnej szafce i po chwili odezwały się pierwsze rytmiczne taktory *God Bless the Dead*. Pieśń była hymnem na cześć zmarłych towarzyszy.

— Słuchasz tego? — zdziwiła się Maggie, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

Wzruszyłem ramionami — z trudem, bo opierałem się na łokciu.

— Czasami. Ta muzyka pomaga mi lepiej zrozumieć klientów.

— To ludzie, którzy powinni siedzieć w więzieniu.

— Część pewnie tak. Ale wielu ma sporo do powiedzenia. Niektórzy są prawdziwymi poetami, a ten był z nich największy.

— Był? To ten, którego zastrzelili przed muzeum samochodów na Wilshire?

— Nie, mówisz o Biggiem Smallsie. Ten to wielki Tupac Shakur.

— Nie wierzę, że słuchasz takich bzdetów.

— Mówiłem już. To mi pomaga.

— Zrób coś dla mnie i nie słuchaj tego przy Hayley.

— Bądź spokojna, nie będę.

— Muszę już iść.

— Zostań jeszcze trochę.



Posłuchała, ale siedziała sztywno na brzeżku łóżka. Widziałem, że stara się zrozumieć tekst piosenki. Trzeba było mieć do tego niezłe ucho i trochę czasu. Następną na płycie była *Life Goes On*. Dostrzegłem, jak Maggie tężeje, pochwycawszy niektóre słowa.

— Mogę już iść? — spytała.

— Maggie, jeszcze tylko parę minut.

Odrobinę ściszyłem muzykę.

— Wiesz co, wyłączę to, jeżeli zaśpiewasz mi tak jak kiedyś.

— Nie dzisiaj, Haller.

— Nikt nie zna takiej Maggie McPershing jak ja.

Uśmiechnęła się lekko, a ja milczałem przez chwilę, wspominając dawne czasy.

— Maggie, dlaczego ze mną zostałeś?

— Mówiłam już, że nie mogę zostać.

— Nie, nie pytam o dzisiaj. Mam na myśli to, że nie zerwałaś ze mną kontaktów, nie obgadujesz mnie przy Hayley i zawsze się zjawiasz, kiedy cię potrzebuję. Tak jak dzisiaj. Niewielu znam ludzi, których byłe żony ciągle lubią.

Zamyśliła się na moment.

— Nie wiem. Może dlatego, że widzę w tobie zadatki na dobrego człowieka i dobrego ojca.

Skinąłem głową w nadziei, że ma rację.

— Powiedz mi, co byś robiła, gdybyś nie została prokuratorem?

— Pytasz serio?

— Tak, kim byś była?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Robię to, o czym zawsze marzyłam. Mam szczęście. Po co miałabym to zmieniać?

Otworzyłem fiolkę i połknąłem bez popijania dwie pastylki tylenolu. W głośnikach zaczęła się *So Many Tears*, kolejna ballada dla zmarłych. Wydawała się całkiem na miejscu.

— Chyba byłabym nauczycielką — oświadczyła. — W podstawówce. Uczyłabym dziewczynki w wieku Hayley.

Uśmiechnąłem się.

— Pani McPershing, pani McPershing, pies mi pogryzł zadanie domowe.

Trzepnęła mnie w ramię.

— Nie, to miłe — powiedziałem. — Byłabyś świetną nauczycielką... gdybyś tylko nie kazała dzieciom zostawać po lekcjach bez prawa do kaucji.

— Bardzo śmieszne. A ty?

Pokręciłem głową.

— Kiepski byłby ze mnie nauczyciel.

— Pytam, co byś robił, gdybyś nie był adwokatem.

— Nie wiem. Ale mam trzy lincolny. Chyba założyłbym wypożyczalnię limuzyn. Woziłbym ludzi na lotnisko.

Uśmiechnęła się.

— Na pewno skorzystałabym z twoich usług.

— Świetnie. Mam już jedną klientkę. Daj mi dolara, a przykleję go sobie na ścianie.

Ale przekomarzanie się z nią nie przyniosło żadnej ulgi. Położyłem się na wznak, zasłaniając dłońmi oczy i próbując zapomnieć o tym dniu, o wpatrujących się w wieczną ciemność oczach Raula Levina leżącego na podłodze własnego domu.

— Wiesz, czego się kiedyś bałem? — spytałem.

— Czego?

— Że nie będę umiał rozpoznać niewinności. Że stanie przede mną niewinny człowiek, a ja tego nie zauważę. Nie mówię o wyroku winny — niewinny. Mówię o prawdziwej niewinności.

Maggie milczała.

— A wiesz, czego powinienem się bać?

— Czego, Haller?

— Zła. Zła w czystej postaci.

— Co masz na myśli?

— Wielu ludzi, których bronię, nie jest złych. Owszem, są winni, ale nie są źli. Rozumiesz, o co mi chodzi? Jest różnica. Słuchasz ich, potem słuchasz tych piosenek i wiesz, dlaczego

wybrali w życiu to, co wybrali. Ludzie próbują sobie jakoś radzić, żyć z tym, co mają, a niektórzy nie mają zupełnie nic. Ale zło to co innego. Jest jak... sam nie wiem. Ale istnieje i kiedy przychodzi... Nie wiem, nie umiem tego wytłumaczyć.

— Jesteś po prostu pijany.

— Wiem tylko, że powinienem się tego bać, ale bałem się czegoś zupełnie odwrotnego.

Pogładziła moje ramię. Ostatnią piosenką na płycie była *to live & die in l.a.*, moja ulubiona z całej składanki. Zacząłem cicho nucić, a potem śpiewać refren.

*żyć i umrzeć w Los Angeles  
to jest dopiero miasto  
musisz zobaczyć, żeby zrozumieć  
każdy chce tu być*

Wkrótce przestałem śpiewać i zakryłem rękami twarz. Zasnąłem w ubraniu. Nie słyszałem, kiedy wyszła z domu kobieta, którą kochałem najbardziej na świecie. Potem powiedziała mi, że przed zaśnięciem wymamrotałem tylko: „Nie mogę dłużej”.

Nie miałem na myśli śpiewania.

*Środa, 13 kwietnia*

## Rozdział 26

Spałem prawie dziesięć godzin, ale gdy się zbudziłem, było jeszcze ciemno. Zegar na odtwarzaczu pokazywał piątą osiemnaście. Próbowałem jeszcze zapaść w sen, ale drzwi do niego już się zamknęły. O wpół do szóstej zwlokłem się z łóżka i z trudem utrzymując równowagę, ruszyłem pod prysznic. Stałem tam, dopóki nie zużyłem całej ciepłej wody ze zbiornika. Potem ubrałem się i byłem gotów do kolejnego dnia walki z machiną.

Było jeszcze za wcześnie, żeby dzwonić do Lorny i sprawdzać rozkład dnia, ale w kalendarzu na biurku mam zwykle aktualny harmonogram. Poszedłem do gabinetu i od progu zauważyłem jednodolarowy banknot przyklejony taśmą do ściany nad biurkiem.

Natychmiast podskoczyła mi adrenalina, bo z początku pomyślałem, że banknot to pogróżka albo wiadomość pozostawiona przez jakiegoś intruza. Zaraz sobie jednak przypomniałem.

— Maggie — powiedziałem głośno.

Uśmiechnąłem się, postanawiając nie zdejmować dolara ze ściany.

Wyciągnąłem z aktówki terminarz i sprawdziłem rozkład dnia. Wynikało z niego, że rano mam wolny aż do jedenastej, na

którą zaplanowano posiedzenie sądu San Fernando. Sprawa stałej klientki oskarżonej o posiadanie akcesoriów do zażywania narkotyków. Zarzut niewart funta kłaków, szkoda było czasu, ale Melissa Menkoff miała już dozór za różne narkotykowe grzeszki. Gdyby wpadła za coś tak drobnego jak posiadanie akcesoriów, wyrok zostałby odwieszony i trafiłaby za kratki na sześć do dziewięciu miesięcy

Poza tą rozprawą nie miałem w kalendarzu nic więcej. Po San Fernando nie miałem już żadnych obowiązków, więc w duchu pogratulowałem sobie zapobiegliwości, by zrobić sobie wolne po pierwszym meczu sezonu. Oczywiście nie mogłem wiedzieć, że z powodu śmierci Raula Levina tak wcześnie trafię do Four Green Fields, mimo to nieźle zaplanowałem dzień.

Podczas rozprawy miałem złożyć wniosek o wycofanie z postępowania przeciw Menkoff dowodu — szklanej fajki do palenia cracku, którą policja znalazła w jej samochodzie, gdy zatrzymała ją w Northridge za nieostrożną jazdę. Fajka była w schowku. Menkoff utrzymywała, że nie udzieliła policji pozwolenia na rewizję samochodu, ale funkcjonariusze mimo wszystko przeszukali wóz. Swój wniosek opierałem na tym, że nie było zgody na rewizję i żadnego prawdopodobieństwa sprawstwa. Jeżeli Menkoff została zatrzymana za jazdę zygzakiem, nie było powodu przeszukiwać zamkniętych schowków samochodu.

Zdawałem sobie sprawę, że stoję na straconej pozycji, ale ojciec Menkoff dobrze mi płacił, żebym zrobił co w mojej mocy dla jego trudnej córeczki. Dlatego o jedenastej w sądzie San Fernando zamierzałem dać z siebie wszystko.

Na śniadanie połknąłem dwa tylenole, a potem zjadłem smażoną jajka z grzanką i popiłem kawą. Jajka obficie posypałem pieprzem i doprawiłem salsą. Posiłek doskonale spełnił zadanie i byłem gotów do nowej bitwy. Jedząc, kartkowałem „Timesa”, szukając artykułu o morderstwie Raula Levina. Z niewiadomych powodów nie było o nim żadnej wzmianki. Z początku nie rozumiałem. Dlaczego policja z Glendale miałaby to trzymać w

tajemnicy? Przypomniałem sobie jednak, że Times” codziennie ma kilka regionalnych wydań gazety. Mieszkałem w Westside, a Glendale formalnie stanowiło część San Fernando Valley. Redaktorzy doszli zapewne do wniosku, że wiadomość o morderstwie w Dolinie nie będzie interesowała czytelników z Westside, którzy mieli na głowie własne morderstwa. Dlatego nie było artykułu o Levinie.

Postanowiłem kupić „Timesa” w automacie po drodze do sądu i sprawdzić w tamtejszym wydaniu. Zastanawiając się, do którego automatu mam wysłać Earla, przypomniałem sobie, że nie mam samochodu. Lincoln został na parkingu przed Four Green Fields — jeżeli nikt go w nocy nie ukraść — a kluczyki mogłem dostać dopiero po jedenastej, kiedy otwierano pub. Miałem kłopot. Widziałem kiedyś samochód Earla na parkingu, z którego codziennie go zabierałem. Była to podrasowana toyota o obniżonym zawieszaniu i z chromowanymi felgami. Podejrzywałem, że w środku wiecznie cuchnie trawką. Nie miałem ochoty jechać czymś takim. W północnej części okręgu kierowca takiego samochodu ryzykował, że zatrzyma go policja. W południowej części ryzykował, że dostanie kulkę. Nie chciałem też, żeby Earl przyjechał po mnie do domu. Żaden mój kierowca nie wie, gdzie mieszkam.

Ułożyłem więc plan, że pojedę taksówką do swojego magazynu w North Hollywood i wezmę nowego lincolna. Samochód pod Four Green Fields i tak miał na liczniku ponad osiemdziesiąt tysięcy kilometrów. Pomyślałem, że może nowa bryka pomoże mi pokonać przygnębienie po śmierci Raula Levina.

Gdy umyłem patelnię i talerz, uznałem, że już można bezpiecznie obudzić Lornę i potwierdzić rozkład dnia. Wróciłem do gabinetu, ale kiedy podniosłem słuchawkę, usłyszałem przerywany sygnał — znak, że miałem nagrany co najmniej jedną wiadomość.

Zadzwoiłem pod numer poczty i elektroniczny głos poinformował mnie, że nie odebrałem telefonu o jedenastej siedem poprzedniego dnia. Kiedy głos wyrecytował numer, zamarłem.

To był numer komórki Raula Levina. Nie odebrałem ostatniego telefonu przyjaciela.

— Hej, to ja. Pewnie już wyszedłeś na mecz i chyba wyłączyłeś komórkę. Jeżeli tego nie odsłuchasz, pogadamy na stadionie. Ale znalazłem ci nowego asa. Mam dla...

Urwał na chwilę, słysząc w tle szczekanie psa.

— ...mam dla Jesusa wypiskę z San Quentin. Mandat wolnego człowieka. Muszę kończyć, koleś.

Nic więcej. Odłożył słuchawkę bez pożegnania, kończąc znów tym głupim irlandzkim akcentem, który zawsze działał mi na nerwy. Tym razem zabrzmiał sympatycznie. Już zaczynałem za nim tęsknić.

Wcisnąłem klawisz, żeby jeszcze raz odsłuchać wiadomość. Słuchałem jej jeszcze trzy razy, po czym zapisałem ją i odłożyłem słuchawkę. Siedziałem przy biurku, starając się dopasować wiadomość do tego, co wiedziałem. Pierwsza zagadka wiązała się z godziną telefonu. Na mecz wyszedłem dopiero o wpół do dwunastej. A jednak nie odebrałem telefonu Levina, który dzwonił ponad dwadzieścia minut wcześniej.

Nie rozumiałem, dopóki sobie nie przypomniałem, że dzwoniła Lorna. Siedem po jedenastej rozmawiałem z Lorną. Tak rzadko korzystałem z domowego telefonu i tak niewiele osób znało jego numer, że nigdy nie zamówiłem sobie połączeń oczekujących. Oznaczało to, że ostatni telefon Levina został automatycznie przełączony do poczty głosowej i rozmawiając z Lorną, nawet o tym nie wiedziałem.

To wyjaśniało okoliczności, ale nie treść wiadomości.

Levin coś znalazł. Nie był prawnikiem, ale z pewnością znał się na ocenie dowodów. Znalazł coś, co miało mi pomóc wyciągnąć Menendeza z więzienia. Wypiskę dla Jesusa. Mandat wolnego człowieka.

Pozostawało jeszcze szczekanie psa, ale to akurat łatwo było wyjaśnić. Bywałem kiedyś u Levina i wiedziałem, że jego pies ujada z byle powodu. Ilekroć zbliżałem się do domu, słyszałem szczekanie, zanim jeszcze zapukałem do drzwi. Szczekanie psa

w tle i pośpiech, z jakim Levin odłożył słuchawkę, powiedziały mi, że ktoś podchodził do drzwi. Prawdopodobnie morderca.

Rozmyślałem nad tym przez chwilę. Uznałem, że nie mogę z czystym sumieniem ukrywać przed policją tak ważnej informacji jak godzina telefonu. Treść wiadomości wywoła nowe pytania, na które trudno mi będzie odpowiedzieć, ale istotniejsza była pora telefonu. Poszedłem do sypialni i przetrząsnąłem kieszenie dżinsów, w których byłem wczoraj na meczu. W tylnej kieszeni znalazłem bilety i wizytówki, które dostałem od Lankforda i Sobel, gdy opuszczałem dom Levina.

Wybrałem Sobel, zauważając, że na wizytówce było napisane tylko „Detektyw Sobel”. Bez imienia. Ciekawiło mnie dlaczego. Może tak jak ja miała dwa rodzaje wizytówek w różnych kieszeniach. Jedne z pełnym imieniem i nazwiskiem, a drugie bardziej urzędowe.

Odebrała od razu, a ja postanowiłem sprawdzić, co uda mi się z niej wyciągnąć, zanim przekażę jej swoją informację.

— Jest coś nowego w śledztwie? — zapytałem.

— Niewiele. W każdym razie niewiele, o czym mogę mówić. Na razie porządkujemy dowody. Zrobiliśmy analizę balistyczną i...

— Była już sekcja? — przerwałem jej. — Trzeba przyznać, że szybko.

— Nie, sekcja zostanie przeprowadzona dopiero jutro.

— No to jak zrobiono analizę balistyczną?

Nie odpowiedziała, ale sam się domyśliłem.

— Znaleźliście łuskę. Został zastrzelony z automatu, który wyrzuca łuski.

— Nieźle, panie Haller. Owszem, znaleźliśmy łuskę.

— Broniłem w niejednym procesie. Proszę mi mówić Mickey. Zabawne, morderca przeszukał dom, ale zostawił łuskę.

— Pewnie dlatego, że potoczyła się po podłodze i wpadła do wylotu ogrzewania. Morderca musiałby mieć śrubokręt i dużo czasu.



Skinąłem głową. Szczęśliwy zbieg okoliczności. Nie zdołałbym policzyć, ilu moich klientów wpadło przez szczęśliwy dla glin zbieg okoliczności. Z drugiej strony wielu klientów uniknęło kary, bo im szczęście sprzyjało. Wszystko się ostatecznie wyrównywało.

— Czyli pani partner miał rację, przypuszczając, że to dwudziestkadwójka?

Milczała przez moment, zastanawiając się, czy może ujawnić informacje ze śledztwa osobie, która wprawdzie jest osobiście zainteresowana sprawą, ale jest równocześnie wrogiem — adwokatem.

— Miał rację. A dzięki śladom na łusce wiemy nawet, jakiej broni dokładnie mamy szukać.

Z przesłuchiwania podczas procesów ekspertów balistyki i analityków broni palnej wiedziałem, że ślady pozostawione na łusce pocisku w momencie strzału pozwalają zidentyfikować broń, nawet jeżeli policja jej nie odnalazła. W automacie iglica, rygiel zamka, wyciąg i wyrzutnik zostawiają na łusce ślady, które analizowane razem mogą wskazać markę i model broni.

— Okazuje się, że dwudziestkędwójkę miał pan Levin — powiedziała Sobel. — Ale znaleźliśmy ją w sejfie i to nie był wiodsman. Nie znaleźliśmy tylko jego telefonu komórkowego. Wiemy, że miał komórkę, ale...

— Dzwonił do mnie tuż przed śmiercią.

Na chwilę zapadła cisza.

— Przecież mówił nam pan wczoraj, że ostatni raz rozmawialiście w piątek wieczorem.

— Zgadza się. Właśnie w tej sprawie dzwonię. Raul zadzwonił do mnie wczoraj siedem po jedenastej przed południem i zostawił wiadomość. Dopiero dzisiaj ją odsłuchałem, bo wczoraj poszedłem się upić. Potem zasnąłem, nie wiedząc, że mam od niego wiadomość. Dzwonił z informacją o mojej sprawie, nad którą pracował trochę na boku. Chodzi o apelację, a klient jest w więzieniu. Nic pilnego. W każdym razie treść nie jest ważna, ale godzina. W dodatku kiedy nagrywał wiadomość, słychać, jak

zaczyna szczekać jego pies. Szczeka, kiedy ktoś podchodzi do drzwi. Wiem, bo byłem u niego parę razy i pies zawsze ujadł.

Znów przed odpowiedzią na moment zamilkła.

— Czegoś tu nie rozumiem, panie Haller.

— Czego?

— Wczoraj twierdził pan, że był w domu prawie do południa, a potem wyszedł na mecz. Teraz mówi pan, że pan Levin zostawił wiadomość siedem po jedenastej. Dlaczego nie odebrał pan telefonu?

— Bo w tym czasie rozmawiałem z kimś innym. Nie mam usługi połączeń oczekujących. Możecie sprawdzić w billingach. Rozmawiałem ze swoją sekretarką, Lorną Taylor. Wtedy zadzwonił Raul. Nie zorientowałem się. A on pomyślał, że już wyszedłem na mecz, więc nagrał wiadomość.

— Dobrze, już rozumiem. Prawdopodobnie będziemy potrzebowali pańskiej pisemnej zgody na sprawdzenie billingów.

— Nie ma sprawy.

— Gdzie pan teraz jest?

— W domu.

Podałem jej adres, a Sobel powiedziała, że zaraz u mnie będą.

— Proszę się pospieszyć. Za godzinę muszę jechać do sądu.

— Już jedziemy.

Odłożyłem słuchawkę, czując niepokój. Broniełem kilkunastu morderców, miałem więc kontakt z wieloma detektywami od zabójstw. Ale sam nigdy nie byłem przesłuchiwany w sprawie morderstwa. Lankford, a teraz także Sobel traktowali podejrzliwie każdą moją odpowiedź. Zastanawiałem się, co mogą przede mną ukrywać.

Uporządkowałem rzeczy na biurku i zamknąłem aktówkę. Nie chciałem, żeby widzieli coś, czego nie miałem im ochoty pokazywać. Potem przeszedłem się po domu, zaglądając do wszystkich pokoi. Na koniec wszedłem do sypialni. Pościeliłem łóżko i schowałem do szuflady pudełko płyty „Req-Wiem dla Lila Demona”. Nagle coś sobie uświadomiłem. Usiadłem na łóżku, przypominając

sobie coś, co powiedziała Sobel. Wyrwało się jej, a ja z początku nie zwróciłem na to uwagi. Powiedziała, że znaleźli należącą do Raula Levina broń kalibru .22, ale że to nie była broń mordercy. Mówiła, że to nie był woodsman.

Bezwiednie zdradziła mi markę i model pistoletu, z którego zamordowano Raula. Wiedziałem, że woodsman to automat produkowany przez Colta. Wiedziałem, bo sam miałem sportowy model woodsmiana. Odziedziczyłem go wiele lat temu po ojcu. Gdy dorosłem na tyle, by móc się nim posługiwać, ani razu nie wyciągnąłem go z drewnianej kasetki.

Wstałem z łóżka i podszedłem do szafy. Poruszałem się jak w gęstej mgle. Stawiałem ostrożne kroki, dotykając ściany, a potem skrzydła szafy, jak gdybym musiał szukać drogi. Kasetka z lśniącego drewna leżała na tej półce co zawsze. Zdjąłem ją i zaniósłem do sypialni.

Położyłem kasetkę na łóżku i otworzyłem mosiężny zamek. Zdjąłem ceratową osłonkę, uniosłem wieczko.

Pistoletu nie było.

# CZEŚĆ II

Świat bez prawdy

*Poniedziałek, 23 maja*

## Rozdział 27

Wpłynął czek od Rouleta. Pierwszego dnia procesu miałem na koncie więcej pieniędzy niż kiedykolwiek w życiu. Gdybym chciał, mógłbym dać sobie spokój z ogłoszeniami na przystankach autobusowych i zacząć się reklamować na billboardach. Albo zamiast połowy strony w książce telefonicznej mógłbym wykupić miejsce na okładce. Byłoby mnie na to stać. Nareszcie miałem sprawę licencyjną, która mi się opłacała. Przynajmniej pod względem finansowym. Śmierć Raula Levina była stratą, przez którą moja licencja na zawsze miała pozostać przegraną sprawą.

Po trzech dniach kompletowania ławy przysięgłych byliśmy już gotowi do wyjścia na scenę. Proces został zaplanowany najwyżej na trzy dni — dwa dla oskarżenia i jeden dla obrony. Oznajmiłem sędzi, że wystarczy mi dzień na przedstawienie dowodów przysięgłym, ale tak naprawdę większość pracy miał za mnie wykonać prokurator.

Rozpoczęciu procesu zawsze towarzyszy uczucie elektryzującego napięcia. Człowiek zmienia się w kłębek nerwów. W grę wchodzi wysoka stawka. Na próbę zostaje wystawiona moja reputacja, wolność, a także integralność samego systemu. Perspektywa, że dwunastu obcych ludzi ma oceniać twoje życie i pracę, zawsze przyspiesza tętno. Mam na myśli siebie, adwokata —

sądzenie oskarżonego to coś zupełnie innego. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję i prawdę mówiąc, wcale nie chcę. Mogę to tylko przyrównać do niepokoju i niepewności w chwili, gdy człowiek stoi pośrodku kościoła w dniu własnego ślubu. Przeżyłem to dwa razy i przypominam sobie tamto uczucie, ilekroć sędzia prosi o spokój na sali.

Mimo znacznie większego doświadczenia procesowego od swojego przeciwnika nie łudziłem się co do układu sił. Występowałem sam przeciw gigantycznej paszczy systemu. Nie było wątpliwości, że stoję na straconej pozycji. To prawda, że dla prokuratora miał to być pierwszy poważny proces. Ale tę słabość równoważyła władza i potęga stanu. Prokurator miał do dyspozycji siły całego systemu prawnego. Ja tylko siebie. I winnego klienta.

Siedziałem przy stole obrony obok Louisa Rouleta. Byliśmy sami. Nie miałem asystenta, a za moimi plecami nie było detektywa — z powodu lojalności wobec Raula Levina nie zdecydowałem się zatrudnić żadnego zastępcy. Zresztą nie musiałem. Levin dał mi wszystko, czego potrzebowałem. Proces i jego wynik miał być ostatnim świadectwem jego zdolności śledczych.

W pierwszym rzędzie na miejscach dla publiczności siedzieli C.C. Dobbs i Mary Alice Windsor. Zgodnie z decyzją wydaną przez sąd w postępowaniu przedprocesowym matka Rouleta mogła być obecna na sali tylko podczas mów wstępnych. Została zgłoszona na świadka obrony, dlatego nie wolno jej było słuchać żadnych zeznań. Musiała czekać na korytarzu w towarzystwie swojego pieska Dobbsa, dopóki nie wezwę jej do zajęcia miejsca dla świadków.

Także w pierwszym rzędzie, lecz kilka krzeseł dalej, był sektor moich kibiców reprezentowany przez moją ekszonę, Lornę Taylor. Na tę okazję ubrała się w granatowy kostium i białą bluzkę. Wyglądała prześlicznie i nie odróżniała się od falgangi prawniczek, które co dzień przychodziły do sądu. Ale Lorna przyszła dla mnie i za to ją uwielbiałem.

Poza tym ławy dla publiczności zajmowało niewiele osób. Było kilku reporterów z gazet, którym zależało tylko na garści cytatów z mów wstępnych, oraz paru prawników i zwykłych widzów. Nie zjawił się nikt z telewizji. Proces na razie budził niewielkie zainteresowanie opinii publicznej, i bardzo dobrze. Oznaczało to, że nasza strategia panowania nad wpływem informacji okazała się skuteczna.

Roulet i ja milczeliśmy, czekając, aż sędzia zajmie swój fotel, wezwie przysięgłych i rozpocznie proces. Próbowałem się uspokoić, powtarzając sobie to, co chciałem powiedzieć przysięgłym. Roulet patrzył przed siebie, utkwivszy wzrok w godle stanu Kalifornia umieszczonym pośrodku sędziowskiego stołu.

Asystent sędzi odebrał telefon, powiedział kilka słów i odłożył słuchawkę.

— Jeszcze dwie minuty, proszę państwa — powiedział głośno. — Dwie minuty.

Gdy sędzia dzwoni na salę sądową, wszyscy powinni już być na swoich miejscach gotowi do rozprawy. I byliśmy. Zerknąłem na siedzącego za stołem prokuratorskim Teda Mintona i zauważyłem, że robi to samo co ja. Powtarzał sobie mowę, starając się uspokoić. Pochyliłem się, przeglądając leżące przede mną notatki. Nagle Roulet pochylił się w moją stronę, niemal uderzając mnie głową. Odezwał się szeptem, choć to nie było jeszcze konieczne.

— To już, Mick.

— Wiem.

Od śmierci Raula Levina między Rouletem a mną panowała atmosfera chłodnego tolerowania się nawzajem. Znosiłem jego obecność, bo musiałem. Ale przed procesem ograniczyłem do minimum nasze spotkania, a po rozpoczęciu ograniczyłem do minimum nasze rozmowy. Zdawałem sobie sprawę, że największą słabością mojego planu jest moja własna słabość. Bałem się, że kontakt z Rouletem może wzbudzić we mnie gniew i chęć, by osobiście i fizycznie pomścić przyjaciela. Trzy dni selekcji

przysięgłych były prawdziwą torturą. Dzień po dniu musiałem siedzieć obok niego i wysłuchiwać jego protekcyjnych uwag pod adresem potencjalnych członków ławy. Wytrzymałem to, udając, że go po prostu nie ma.

— Jesteś gotowy? — spytał.

— Staram się — odrzekłem. — A ty?

— Jestem gotowy. Ale zanim się zacznie, chcę ci coś powiedzieć.

Spojrzałem na niego. Siedział stanowczo zbyt blisko. Czuję się nieswojo, nawet gdybym go kochał, a nie nienawdził. Odchyliłem się.

— Co?

On też się odchylił, przysuwając się do mnie.

— Jesteś moim adwokatem, tak?

Dalej starałem się zwiększyć odległość między nami.

— O co ci chodzi, Louis? Tkwimy w tym od ponad dwóch miesięcy, wybraliśmy przysięgłych, a teraz czekamy na początek procesu. Zapłaciłeś mi ponad sto pięćdziesiąt tysięcy i pytasz, czy jestem twoim adwokatem? Oczywiście, że jestem twoim adwokatem. O co chodzi? Co się stało?

— Nic się nie stało.

Nachylił się bliżej, ciągnąc:

— Czyli jeżeli jesteś moim adwokatem, to mogę ci mówić o różnych rzeczach, a ty utrzymasz wszystko w tajemnicy, nawet gdyby chodziło o przestępstwo. Więcej niż jedno przestępstwo. Chroni mnie zasada poufności adwokat-klient, tak?

Poczułem ostrzegawczy skurcz w żołądku.

— Tak, Louis. Chyba że chcesz mi powiedzieć o przestępstwie, które dopiero ma zostać popełnione. W takim wypadku jestem zwolniony z tej zasady i mogę zawiadomić policję, żeby zapobiegła przestępstwu. Właściwie mam obowiązek zawiadomić policję. Adwokat to urzędnik sądowy. O czym chcesz mi powiedzieć? Słyszałeś, że zaczynamy za dwie minuty.

— Zabijałem ludzi, Mick.

— Co?!



— Słyszałeś.

Miał rację. Słyszałem. I nie powinienem udawać zaskoczonego. Wiedziałem, że zabijał ludzi. Wśród jego ofiar znalazł się Raul Levin, którego w dodatku zastrzelił z mojej broni — choć nie miałem pojęcia, jak mu się udało unieszkodliwić bransoletkę GPS. Zdziwiłem się tylko, że postanowił powiedzieć mi o tym tak rzeczowym tonem dwie minuty przed rozpoczęciem własnego procesu.

— Po co mi o tym mówisz? — zapytałem. — Za chwilę będę cię bronił, a ty...

— Bo wiem, że już wiesz. I znam twój plan.

— Mój plan? Jaki plan?

Uśmiechnął się do mnie chytrze.

— Daj spokój, Mick. To proste. Bronisz mnie w tej sprawie. Starasz się, dostajesz grubą forszę, wygrywasz, a ja wychodzę z sądu jako niewinny człowiek. Ale kiedy jest już po wszystkim i masz pieniądze na koncie, zwracasz się przeciwko mnie, bo nie jestem już twoim klientem. Rzucasz mnie glinom na pożarcie, żeby wyciągnąć z więzienia Jesusa Menendezę i odkupić własną winę.

Nie odpowiedziałem.

— Nie mogę do tego dopuścić — ciągnął cicho Roulet. — Teraz jestem twój na wieki, Mick. Zabijałem ludzi i wiesz, co ci jeszcze powiem? Jedną z tych osób była Martha Rentería. Dałem jej to, na co sobie zasłużyła, i jeżeli polecisz do glin albo wykorzystasz to przeciwko mnie, to twoja praktyka adwokacka niedługo się skończy. Owszem, może uda ci się wskrzesić Jesusa. Ale to nie mnie oskarżą o naruszenie etyki. Zdaje się, że nazywają to regułą „owoców trującego drzewa”, a tym trującym drzewem będziesz ty, Mick.

Nadal milczałem. Pokiwałem tylko głową. Roulet świetnie to przemyślał. Zastanawiałem się, jak bardzo pomógł mu Cecil Dobbs. Nie miałem wątpliwości, że ktoś dał mu dobre korepetycje z prawa.

Nachyliłem się nad nim i szepnąłem:

— Chodź za mną.

Wstałem i szybkim krokiem wyszedłem za barierkę, kierując się w stronę wyjścia z sali. Usłyszałem urzędnika wołającego za mną:

— Panie Haller?! Zaraz zaczynamy! Sędzia...

— Za minutę wracam — powiedziałem, nie odwracając się i unosząc jeden palec.

Pchnąłem drzwi do słabo oświetlonego westybulu, który miał tłumić odgłosy z korytarza, by nie dochodziły do sali sądowej. Podwójne drzwi po drugiej stronie prowadziły na korytarz. Stałem z boku, czekając na Rouleta.

Kiedy tylko wszedł do ciasnego westybulu, złapałem go za kłapy i pchnąłem na ścianę. Przycisnąłem go, trzymając dłonie na jego piersi.

— Kurwa, co ty wyrabiasz?!

— Spokojnie, Mick. Po prostu pomyślałem, że powinniśmy sobie wyjaśnić...

— Skurwysynu! Zabiłeś Raula, a on dla ciebie pracował! Próbował ci pomóc!

Miałem ochotę zacisnąć mu rękę na szyi i udusić na miejscu.

— Tu akurat masz rację. Jestem skurwysynem. Ale co do reszty, bardzo się mylisz, Mick. Levin nie próbował mi pomóc. Próbował mnie pogrzyźć i zapomniał o ostrożności. Dostał to, na co zasłużył.

Przypomniałem sobie ostatnią wiadomość od Levina. „Mam dla Jesusa wypiskę z San Quentin. Mandat wolnego człowieka”. Cokolwiek znalazł, odkrycie kosztowało go życie. A przed śmiercią nie zdążył mi przekazać tej informacji.

— Jak to zrobiłeś? Jeżeli już się przyznajesz, chcę wiedzieć, jak to zrobiłeś. Jak zmyliłeś GPS? Bransoletka pokazała, że nie byłeś nawet w pobliżu Glendale.

Uśmiechnął się z miną chłopczyka, który nikomu nie odda swojej zabawki.

— Powiedzmy, że to informacja zastrzeżona, i na tym poprzestańmy. Nigdy nie wiadomo, może jeszcze raz będę musiał odegrać numer w stylu Houdiniego.

Usłyszałem w jego głosie ton groźby, a w oczach dostrzegłem zło, które zauważył Raul Levin.

— Nie próbuj żadnych sztuczek, Mick — powiedział. — Jak się domyślasz, mam polisę ubezpieczeniową.

Przycisnąłem go mocniej, zbliżając twarz do jego twarzy.

— Posłuchaj, gnoju. Chcę dostać pistolet z powrotem. Myślisz, że masz mnie w garści? Gówno prawda. To ja mam cię w garści. Jeżeli nie dostanę broni, zapamiętasz ten tydzień do końca życia. Dotarło do ciebie?

Roulet złapał mnie za przeguby i wolno odsunął od siebie moje ręce. Zaczął poprawiać koszulę i krawat.

— Ośmielę się zaproponować porozumienie — odrzekł spokojnie. — Po zakończeniu procesu wyjdę z sądu jako wolny człowiek. I będę cieszyć się wolnością, a w zamian za to broń nie wpadnie w żadne, nazwijmy to, niepowołane ręce.

Czyli w ręce Lankforda i Sobel.

— Naprawdę bardzo bym tego nie chciał, Mick. Wielu ludzi na tobie polega. Wielu klientów. Ale na pewno nie chciałbyś trafić tam gdzie oni.

Odsunąłem się o krok, powstrzymując się całą siłą woli, by nie skoczyć na niego z pięściami. Po chwili odrzekłem tonem nabrzmiałym od tłumionego gniewu i nienawiści:

— Przyrzekam ci, że jeżeli spróbujesz mnie udupić, nigdy się ode mnie nie uwolnisz. Jasne?

Roulet zaczął się uśmiechać. Ale zanim zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi sali sądowej, zza których wyjrzał woźny, zastępca szeryfa Meehan.

— Sędzia już jest — oznajmił surowo. — Chce was widzieć. Natychmiast.

Spojrzałem na Rouleta.

— Pytałem, czy to jasne?

— Tak, Mick — odparł dobrotliwie. — Jasne jak słońce.

Odwrociłem się od niego i wszedłem na salę, krocząc w stronę bramki w barierce. Sędzia Constance Fullbright nie spuszczała ze mnie oczu.

— Miło, że postanowił nas pan jednak zaszczyścić swoją obecnością, panie Haller.

Gdzie ja to już słyszałem?

— Przepraszam, Wysoki Sądzie — powiedziałem, wchodząc przez bramkę. — Musiałem omówić z klientem pilną sprawę.

— Narada z klientem może się odbywać w sali, przy stole obrony — odparła.

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Wydaje mi się, że zaczynamy w niewłaściwy sposób, panie Haller. Kiedy mój asystent informuje, że rozprawa rozpocznie się za dwie minuty, spodziewam się, że wszyscy — w tym adwokaci oraz ich klienci — będą siedzieć na swoich miejscach.

— Proszę o wybaczenie, Wysoki Sądzie.

— To nie wystarczy, panie Haller. Przed zakończeniem dzisiejszej sesji stawi się pan z książeczką czekową u mojego asystenta. Nakładam na pana karę za obrazę sądu w wysokości pięćset dolarów. Nie pan rządzi na tej sali. To moje zadanie.

— Wysoki Sądzie...

— Proszę wprowadzić przysięgłych — poleciła, uciszając moje protesty.

Woźny otworzył boczne drzwi i dwunastu przysięgłych plus dwóch zastępców zaczęło zajmować miejsca. Nachyliłem się nad uchem Rouleta, który właśnie usiadł, i szepnąłem:

— Jesteś mi winien pięćset dolarów.

## Rozdział 28

Mowa wstępna Teda Mintona była modelowym przykładem prokuratorskiej nadgorliwości. Zamiast poinformować przysięgłych, jakie dowody zamierza im przedstawić i do czego mają prowadzić, starał się wytłumaczyć, jakie mają znaczenie. Próbował nakreślić ogólną sytuację, co prawie zawsze okazywało się błędem. Obraz ogólnej sytuacji opiera się na wskazówkach i sugestiach. Nadaje faktom wagę podejrzeń. Każdy doświadczony prokurator, który występował co najmniej w kilkunastu procesach, radziłby nie przesadzać w wyjaśnianiu przysięgłym sprawy. Ława ma wydać wyrok skazujący, nie musi rozumieć.

— Ten człowiek jest drapieżnikiem — oświadczył Minton.  
— Louis Ross Roulet szóstego marca wieczorem tropił zdobycz. I gdyby nie podziwu godna determinacja tej kobiety w walce o własne życie, mielibyśmy dziś do czynienia z morderstwem.

Na samym początku zauważyłem, że Minton wyznaczył kronikarza. Tak nazywam członka ławy przysięgłych, który w trakcie całego procesu robi notatki. Mowa wstępna nie jest przedstawieniem dowodów i sędzia Fullbright pouczyła o tym przysięgłych, lecz kobieta siedząca na skraju pierwszego rzędu pisała od chwili, gdy Minton otworzył usta. To dobrze. Lubię kronikarzy, bo dokumentują zapowiedzi prawników, a pod koniec sprawdzają, czy wszystko, co zostało zapisane w kronice, usłyszeli na sali rozpraw.

Zerknąłem na listę przysięgłych sporządzoną w zeszłym tygodniu i zobaczyłem, że kronikarka nazywa się Linda Truluck i jest gospodynią domową z Reseda. Była jedną z zaledwie trzech kobiet zasiadających w ławie. Mintonowi bardzo zależało, by wśród przysięgłych znalazło się jak najmniej kobiet, ponieważ, jak przypuszczam, bał się, że kiedy w procesie wyjdzie na jaw fakt, iż Regina Campo świadczyła odpłatnie usługi seksualne, kobiety stracą współczucie i w konsekwencji zagłosują przeciw skazaniu. Sądziłem, że prokurator nie mylił się w swoich założeniach, dlatego z równym uporem starałem się włączyć w skład przysięgłych jak najwięcej kobiet. Każdy z nas wykorzystał przysługujący mu limit dwudziestu sprzeciwów i pewnie dlatego kompletowanie ławy trwało aż trzy dni. W końcu udało mi się wyznaczyć trzy kobiety i brakowało mi tylko jednego głosu, by zapobiec wydaniu wyroku skazującego.

— Wysłuchają państwo zeznań ofiary, której tryb życia z pewnością trudno pochwalić — mówił przysięgłym Minton. — Otóż zapraszała ona do domu mężczyzn, oferując im odpłatny seks. Proszę jednak pamiętać, że przedmiotem procesu nie jest sposób, w jaki ofiara zarabiała na życie. Każdy może paść ofiarą brutalnego przestępstwa. Każdy. Bez względu na to, jak zarabia na życie, prawo nie pozwala, aby kogokolwiek bito, przykładano mu nóż do gardła czy grożono utratą życia. Nieważne, czym się trudni. Cieszy się taką samą ochroną jak my wszyscy.

Zorientowałem się, że Minton jak ognia unika słów „prostytycja” i „prostytytka”, obawiając się, że może zmniejszyć przez to swoje szanse. Zapisałem te słowa w notatniku, z którym miałem stanąć przy pulpicie, wygłaszając swoją mowę. Planowałem uzupełnić luki w wystąpieniu prokuratora.

Minton omówił w zarysie dowody oskarżenia. Powiedział o nożu z inicjałami oskarżonego. O krwi znalezionej na jego lewej ręce. Przestrzegł przysięgłych, żeby nie dali się omamić próbami

obrony, która będzie się ich starała zmylić i zlekceważyć dowody.

— Sprawa przedstawia się jednoznacznie i nie pozostawia żadnych wątpliwości — oznajmił w zakończeniu. — Mają państwo przed sobą człowieka, który zaatakował kobietę w jej własnym domu. Zamierzał ją zgwałcić, a potem zabić. I tylko dzięki bożej opatrności ta kobieta będzie mogła sama o tym państwu opowiedzieć.

Podziękował przysięgłym za uwagę i usiadł przy stole prokuratorским. Sędzia Fullbright spojrzała na zegarek, a potem na mnie. Była jedenasta czterdzieści i sędzia zastanawiała się zapewne, czy zrobić przerwę, czy pozwolić mi na moje otwarcie. Jednym z głównych zadań prowadzącego rozprawę sędziego jest nadzór nad przysięgłymi. Musi dbać o samopoczucie członków ławy i nie dopuścić, by stracili zainteresowanie przebiegiem procesu. Często najlepszym rozwiązaniem okazują się liczne przerwy — długie i krótkie.

Znałem Connie Fullbright co najmniej od dwunastu lat, na długo przedtem, zanim została sędzią. Pracowała i jako prokurator, i adwokat. Znała od podszewki obie strony barykady. Jeśli nie liczyć zbyt pochopnego orzekania kar za obrazę sądu, była dobrym i sprawiedliwym sędzią — dopóki nie przyszło do odczytania wyroku. Wchodziłeś na salę, mając takie same szanse jak oskarżenie, ale jeśli przysięgli uznali klienta za winnego, trzeba się było przygotować na najgorsze. Fullbright była znana z najsurowszych wyroków w okręgu. Jak gdyby chciała ukarać adwokata i klienta za czas zmarnowany na proces. Kiedy był jakiś margines orzekanej kary, zawsze wybierała maksymalną, wszystko jedno, czy chodziło o więzienie, czy dozór. Wśród obrońców pracujących w sądzie Van Nuys zyskała sobie przez to wiele mówiący przydomek. Nazywano ją sędzią Fullterier.

— Panie Haller — zwróciła się do mnie. — Zamierza pan odłożyć mowę?

— Nie, Wysoki Sądzie, ale nie planuję długiego wystąpienia.

— Doskonale — powiedziała. — Zatem wysłuchamy pana, a potem zarządę przerwę na lunch.

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, jak długo będę mówił. Wystąpienie Mintona trwało około czterdziestu minut, moje też zapewne miało się zmieścić w tych granicach. Ale powiedziałem sędzi, że będzie krótkie, ponieważ nie podobała mi się myśl, że przysięgli pójdą na lunch, znając tylko wersję prokuratora, nad którą będą się zastanawiać przy hamburgerach i sałatkach z tuńczyka.

Wstałem i podszedłem do pulpitu ustawionego między stołem oskarżenia a stołem obrony. Sala rozpraw została niedawno wyremontowana. Po obu stronach sędziowskiego biurka znajdowały się miejsca dla przysięgłych. Wszystko zostało wykończzone w jasnym drewnie, łącznie ze ścianą za fotelem sędziowskim. Drzwi prowadzące do gabinetu sędziego były niemal niewidoczne na tle słojów i wzoru drewna. Ich miejsce zdradzała tylko klamka.

Fullbright prowadziła rozprawy jak sędzia federalny. Prawnikom nie wolno było bez pozwolenia podchodzić do świadków, a do przysięgłych w ogóle nie mogli się zbliżyć. Wymagano od nich, by mówili tylko przy pulpicie.

Stojąc przy pulpicie, miałem po prawej ręce ławę przysięgłych, która znajdowała się bliżej stołu prokuratorowskiego niż stołu obrony. Nie miałem nic przeciwko temu. Nie chciałem, aby zbyt dobrze widzieli Rouleta. Wolałem, aby pozostał dla nich nieco tajemniczy.

— Panie i panowie przysięgli — zacząłem. — Nazywam się Michael Haller i reprezentuję podczas procesu pana Rouleta.

Miło mi poinformować państwa, że rozprawa prawdopodobnie nie będzie długa. Zabierzemy państwu najwyżej kilka dni.

Przekonacie się zapewne, że przedstawienie stanowisk stron będzie trwało krócej niż wybieranie składu ławy. Prokurator, pan Minton, postanowił poświęcić dzisiejsze przedpołudnie na zaprezentowanie państwu własnych opinii na temat znaczenia dowodów i osoby pana Rouleta. Ja natomiast proponuję, aby



usiedli państwo wygodnie, wysłuchali stanowisk stron i kierując się zdrowym rozsądkiem, sami ocenili, jakie znaczenie mają dowody i kim naprawdę jest pan Roulet.

Przesuwałem wzrok po twarzach wszystkich przysięgłych po kolei. Rzadko zaglądałem do leżących na pulpicie notatek. Chciałem sprawić na nich wrażenie, jakbym swobodnie mówił z głowy.

— Zazwyczaj odkładam mowę wstępną. W procesie karnym obrona zawsze ma prawo wystąpienia na początku, tak jak zrobił to pan Minton, lub tuż przed przedstawieniem własnego stanowiska. Na ogół wybieram drugą możliwość. Czekam i wygłaszam mowę wstępną przed zeznaniami świadków obrony i okazaniem dowodów. Ta sprawa jest jednak inna. Jej odmienność polega na tym, że dowody oskarżenia są jednocześnie dowodami obrony. Oczywiście wysłuchacie państwo świadków obrony, ale sedno sprawy zostanie przedstawione w dowodach oraz zeznaniach świadków oskarżenia, które sami państwo zinterpretują. Ręczę, że na tej sali powstanie wersja wydarzeń znacznie odbiegająca od tej, którą naszkicował pan Minton. A kiedy przyjdzie kolej na przedstawienie stanowiska obrony, okaże się zapewne, że nie będzie takiej potrzeby.

Zerknąłem na kronikarkę i zobaczyłem, jak jej ołówek wciąż się porusza po stronicy notesu.

— Sądzę, że w ciągu tego tygodnia odkryją państwo, że cała sprawa sprowadza się do działań i motywacji jednej osoby. Prostytutki, która zobaczyła bogatego mężczyznę i postanowiła wziąć go na cel. Wykażą to niezbicie dowody oraz zeznania świadków oskarżenia.

Minton wstał i zgłosił sprzeciw, twierdząc, że przekraczam dopuszczalne granice, stawiając głównemu świadkowi oskarżenia bezpodstawne zarzuty. Sprzeciw nie miał prawnego uzasadnienia. Była to tylko amatorska próba wysłania sygnału przysięgłym. Sędzia zareagowała natychmiast, wzywając nas obu do siebie.

Podeszliśmy do sędziowskiego stołu, a Constance Fullbright

włączyła urządzenie emitujące przez głośnik szum, który uniemożliwił przysięgłym podsłuchanie prowadzonej szeptem narady. Sędzia bez żadnych wstępów zaatakowała Mintoną.

— Panie Minton, wiem, że od niedawna skarży pan w sprawach karnych, i widzę, że w trakcie rozprawy będę musiała udzielać panu lekcji. U mnie nie wolno panu zgłaszać sprzeciwu w trakcie mowy wstępnej. To nie jest przedstawienie materiału dowodowego. Nawet gdyby adwokat twierdził, że alibi może oskarżonemu zapewnić pańska własna matka, nie życzę sobie żadnych sprzeciwów w obecności moich przysięgłych.

— Wysoki Są...

— To wszystko. Proszę wracać.

Przesunęła się z fotelem na środek stołu i wyłączyła urządzenie zgłaszające. Minton i ja bez słowa wróciliśmy na swoje miejsca.

— Oddalam sprzeciw — powiedziała sędzia. — Proszę kontynuować, panie Haller. Przypominam, że zapowiadał pan krótkie wystąpienie.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie. Nie zmieniłem planu.

Zajrzałem do notatek, po czym znów spojrzałem na przysięgłych. Wiedząc, że sędzia skutecznie postraszyła Mintoną, który teraz będzie się bał odezwać, postanowiłem użyć silniejszych środków retorycznych, odejść od notatek i przeskoczyć od razu do podsumowania.

— Panie i panowie, ujmując rzecz w skrócie, do was będzie należała decyzja, kto w tej sprawie jest prawdziwym drapieżnikiem. Pan Roulet, prowadzący poważne interesy przedsiębiorca o nieposzlakowanej opinii, czy prostytutka jawnie uprawiająca proceder świadczenia mężczyznom usług seksualnych, z którego uczyniła niezwykle dochodowy interes. Z zeznań świadków dowiedzą się państwo, że domniemana ofiara tuż przed rzekomą napaścią dopuściła się aktu nierządu z innym mężczyzną. Dowiedzą się również państwo, że kilka dni po tej rzekomo zagrażającej jej życiu napaści kobieta na nowo podjęła proceder uprawiania seksu w celach zarobkowych.

Zerknąłem na Mintonę i zauważyłem, że gotuje się z wściekłości. Wbił wzrok w blat stołu, wzburzony kręcąc głową. Spojrzałem na sędzię.

— Wysoki Sądzie, proszę o pouczenie prokuratora, aby wstrzymał się od demonstracyjnego zachowania. Podczas mowy wstępnej oskarżenia nie protestowałem ani nie starałem się dekoncentrować przysięgłych.

— Panie Minton — wyrecytowała sędzia. — Proszę siedzieć spokojnie i odwzajemnić obronie uprzejmość okazaną panu w trakcie pańskiego wystąpienia.

— Tak, Wysoki Sądzie — odrzekł potulnie Minton.

Nie zakończyliśmy jeszcze etapu mów wstępnych, a prokurator został już dwa razy zbesztany w obecności przysięgłych. Wziąłem to za dobry znak i nabrałem wiatru w żagle. Spojrzałem na ławę przysięgłych. Kronikarka nadal pilnie notowała.

— Wysłuchają państwo także zeznań wielu świadków oskarżenia, które jednoznacznie wyjaśnią pochodzenie dowodów rzeczowych. Mówię o krwi i nożu wspomnianych przez pana Mintonę. Dowody oskarżenia, zarówno z osobna, jak i w całości, wzbudzą uzasadnione wątpliwości co do winy mojego klienta.

Proszę to odnotować. Ręczę, że pod koniec rozprawy będą państwo mogli podjąć tylko jedną decyzję. Uznać pana Rouleta za niewinnego stawianych mu zarzutów. Dziękuję.

Wracając na swoje miejsce, puściłem oko do Lorny Taylor. Skinęła mi głową na znak, że nieźle się spisałem. Moją uwagę przyciągnęły dwie osoby siedzące dwa rzędy za nią. Lankford i Sobel. Musieli się wśliznąć na salę już po tym, jak zlustrowałem ławy dla publiczności.

Usiadłem, nie zwracając uwagi na klienta, który pokazał mi uniesiony kciuk. Myślałem tylko o parze detektywów z Glendale, zastanawiając się, po co przyszli do sądu. Obserwowali mnie? Czekali na mnie?

Sędzia ogłosiła przerwę na lunch i wszyscy wstali, podczas gdy kronikarka i jej towarzysze opuszczali salę rozpraw. Kiedy przysięgli wyszli, Minton poprosił sędzię o kolejną naradę.

Chciał wytłumaczyć powody swojego sprzeciwu i naprawić własny błąd, ale nie na oczach całego sądu. Sędzia nie zgodziła się na to.

— Jestem głodna, panie Minton, poza tym już to sobie wyjaśniliśmy. Proszę iść na lunch.

Opuściła fotel sędziowski, a sala, w której dotąd słychać było tylko głosy prawników, wybuchła gwarem rozmów publiczności i pracowników sądowych. Włożyłem notatnik do aktówki.

— Naprawdę nieźle — powiedział Roulet. — Chyba kontrolujemy przebieg gry.

Spojrzałem na niego ciężkim wzrokiem.

— To nie jest gra.

— Wiem. To tylko takie wyrażenie. Słuchaj, idę na lunch z Cecilem i matką. Chcielibyśmy, żebyś nam towarzyszył.

Pokręciłem głową.

— Muszę cię bronić, Louis, ale nie muszę z tobą jeść.

Wyciągnąłem z teczki książeczkę czekową i ruszyłem do biurka asystenta sędziego, żeby wypisać czek na pięćset dolarów. Kara pieniężna nie była tak dotkliwa jak świadomość, że po skazaniu mnie za obrazę sądu sprawą zainteresuje się korporacja.

Kiedy wychodziłem, ujrzałem Lornę, która z uśmiechem czekała na mnie przy barierce. Zamierzaliśmy iść na lunch, a potem Lorna miała wrócić do siebie, by dyżurować przy telefonie. Za trzy dni wracałem do normalnej pracy i potrzebowałem klientów. Liczyłem, że mój terminarz wkrótce zacznie się wypełniać.

— Dzisiaj chyba to ja powinnam ci postawić lunch — powiedziała.

Wrzuciłem książeczkę czekową do aktówki i zamknąłem ją. Podeszedłem do bramki.

— Byłoby miło — odrzekłem.

Wychodząc za barierkę, zerknąłem na miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą siedzieli Lankford i Sobel. Detektywów nie było.

## Rozdział 29

W trakcie popołudniowej sesji oskarżenie przystąpiło do przedstawienia materiału dowodowego i bardzo szybko przejrzałem strategię Mintona. Pierwszymi czterema świadkami byli: dyżurny z centrali telefonu 911, funkcjonariusze z patrolu, którzy odpowiedzieli na wezwanie Reginy Campo, oraz ratownik z karetki, który opatrzył poszkodowaną, zanim została przewieziona do szpitala. Na tej podstawie można było przewidzieć, że Minton zamierzał zbudować swoją strategię na próbie przekonania ławy, że Campo została brutalnie zaatakowana i naprawdę padła ofiarą przestępstwa. Strategia nie była zła. W większości wypadków okazywała się skuteczna.

Dyżurny z centrali miał przede wszystkim odegrać rolę żywego dodatku do nagrania telefonu Campo. Przysięgli otrzymali wydruki z zapisem jej wezwania, mogli więc śledzić tekst, słuchając pełnego szumów materiału dźwiękowego. Zaprotestowałem, argumentując, że słuchanie nagrania może wpłynąć na emocjonalny stosunek przysięgłych do sprawy i w zupełności wystarczy wydruk, ale sędzia szybko odrzuciła mój sprzeciw, zanim Minton zdążył się odezwać. Odtworzono nagranie i obserwując przejęcie, z jakim przysięgli słuchali krzyku Campo i rozpaczliwego błagania o pomoc, nie miałem wątpliwości, że Minton już po wyjściu z bloków zyskuje przewagę. Campo wydawała się autentycznie

przerażona. Ława usłyszała dokładnie to, o co chodziło Mintonowi. Nie miałem pytań do świadka oskarżenia, zdając sobie sprawę, że dałbym prokuratorowi okazję do ponownego odtworzenia nagrania podczas pytań uzupełniających.

Policjanci z patrolu złożyli różne zeznania, ponieważ po przyjeździe do domu w Tarzana każde z nich robiło co innego. Kobieta została z ofiarą, a mężczyzna poszedł do mieszkania i zakuł w kajdanki domniemanego napastnika, którego obezwładnili sąsiedzi Campo — Louisa Rossa Rouleta.

Posterunkowa Vivian Maxwell zeznała, że ranna Regina Campo była potargana i przerażona. Według jej słów Campo dopypywała się, czy jest bezpieczna i czy intruz został zatrzymany. Mimo że na obydwie pytania otrzymała odpowiedź twierdzącą, wciąż się bała, do tego stopnia, że poprosiła policjantkę o wyciągnięcie pistoletu, na wypadek gdyby napastnikowi udało się wyrwać na wolność. Kiedy Minton skończył przepytywać funkcjonariuszkę, wstałem, by przeprowadzić pierwsze przesłuchanie świadka przeciwnej strony.

— Pani Maxwell — zacząłem. — Czy rozmawiając z panią Campo, pytała ją pani, co się zdarzyło?

— Tak, pytałam.

— O co dokładnie ją pani zapytała?

— Zapytałam, co się stało i kto jej to zrobił. To znaczy, kto ją zranił.

— I co odpowiedziała?

— Że przyszedł do niej jakiś mężczyzna, zapukał do drzwi, a kiedy mu otworzyła, uderzył ją pięścią w twarz. Powiedziała, że zadał kilka ciosów, a potem wyciągnął nóż.

— Mówiła, że wyciągnął nóż po tym, jak ją uderzył?

— Tak powiedziała. Była bardzo zdenerwowana i cierpiała z powodu odniesionych obrażeń.

— Rozumiem. Czy mówiła, kim był ten mężczyzna?

— Nie, powiedziała, że go nie zna.

— Zadała jej pani jednoznaczne pytanie, czy zna tego mężczyznę?

— Tak. Zaprzeczyła.

— A więc otworzyła drzwi obcemu człowiekowi o dziesiątej wieczorem.

— Nie ujęła tego w ten sposób.

— Twierdzi pani jednak, że zaprzeczyła, iż zna tego człowieka, tak?

— Zgadza się. Tak właśnie powiedziała. Powiedziała: „Nie wiem, kim on jest”.

— Czy umieściła pani tę informację w raporcie?

— Tak, umieściłam.

Przedstawiłem protokół spisany przez patrol jako dowód rzeczowy obrony i poprosiłem Maxwell, aby przeczytała jego fragmenty przysięgłym. Fragmenty, w których Campo twierdziła, że nie sprowokowała napastnika i że zaatakował ją obcy człowiek.

— „Ofiara nie zna mężczyzny, który ją zaatakował, i nie wie, dlaczego została zaatakowana” — przeczytała posterunkowa.

Po niej zeznawał jej partner, John Santos, informując przysięgłych, że udał się do mieszkania wskazanego mu przez Campo i zastał w nim mężczyznę leżącego na podłodze w pobliżu drzwi wejściowych. Mężczyzna był półprzytomny i przytrzymywali go dwaj sąsiedzi Reginy Campo, Edward Turner i Ronald Atkins. Jeden z nich siedział okrakiem na piersi napastnika, drugi krępował mu nogi.

Santos zidentyfikował mężczyznę obezwładnionego na podłodze jako oskarżonego, Louisa Rossa Rouleta. Według jego słów Roulet miał krew na ubraniu i lewej dłoni. Doznał również wstrząśnienia mózgu lub innego urazu głowy i z początku nie reagował na polecenia. Santos odwrócił go i skuł mu ręce na plecach. Następnie z futerału na pasie wyciągnął torebkę na dowody i nałożył ją na zakrwawioną dłoń Rouleta.

Policjant zeznał, że jeden z mężczyzn obezwładniających

Rouleta dał mu składany nóż, który był otwarty i miał ślady krwi na ostrzu i rękojeści. Santos powiedział przysięgłym, że umieścić ten przedmiot w torebce i niezwłocznie przekazał detektywowi Bookerowi, który zjawił się na miejscu zdarzenia. Podczas mojego przesłuchania zadałem Santosowi tylko dwa pytania.

— Proszę powiedzieć, czy oskarżony miał krew na prawej dłoni?

— Nie, na prawej dłoni nie było krwi. Inaczej też bym ją zabezpieczył.

— Rozumiem. A więc mamy zakrwawioną lewą dłoń i nóż z krwią na rękojeści. Czy nie wyciągnął pan z tego wniosku, że gdyby oskarżony miał w ręku nóż, musiałby trzymać go w lewej dłoni?

Minton zgłosił sprzeciw, twierdząc, że Santos jest funkcjonariuszem służby patrolowej i pytanie wykracza poza jego kompetencje. Zwróciłem uwagę, że odpowiedź na pytanie wymaga jedynie zdrowego rozsądku, a nie fachowej wiedzy. Sędzia oddaliła sprzeciw i protokolant odczytał świadkowi pytanie.

— Tak mógłbym przypuszczać — odparł Santos.

Po nim zeznawał Arthur Metz, ratownik. Opowiedział przysięgłym o zachowaniu Campo i rozmiarach jej obrażeń, które opatrywał niecałe pół godziny po napaści. Oświadczył, że według jego oceny Campo musiała otrzymać co najmniej trzy potężne ciosy w twarz. Opisał także niewielkie nakłucie na jej szyi. Wszystkie obrażenia określił jako powierzchowne, lecz bolesne. Na stojaku przed przysięgłymi umieszczono powiększenie fotografii twarzy Campo, którą zobaczyłem już pierwszego dnia sprawy. Zaprotestowałem, powołując się na szkodliwy wpływ zdjęcia, ponieważ zostało powiększone do nienaturalnych rozmiarów, ale sędzia Fullbright oddaliła sprzeciw.

Kiedy przyszła moja kolej zadawania pytań Metzowi, wykozystałem fotografię, którą przed chwilą oprotestowałem.

— Kiedy mówi pan, że w pańskiej opinii otrzymała co najmniej trzy ciosy w twarz, co rozumie pan przez słowo „cios”?



— Została czymś uderzona. Pięścią albo jakimś tępym przedmiotem.

— Czyli ktoś uderzył ją trzykrotnie. Czy mógłby pan za pomocą tego wskaźnika pokazać przysięgłym na zdjęciu, w które miejsca twarzy trafiły te ciosy?

Z kieszeni koszuli wyciągnąłem laserowy wskaźnik i pokazałem sędzi. Pozwoliła mi podać go Metzowi. Ratownik skierował czerwone oko wskaźnika na fotografię zmasakrowanej twarzy Campo i zakreślił trzy miejsca, w które jego zdaniem została uderzona. Zakreślił prawe oko, prawy policzek i część obejmującą prawą stronę nosa i ust.

— Dziękuję — powiedziałem, odbierając od niego wskaźnik i wracając za pulpit. — Jeśli więc została trzykrotnie uderzona w prawą część twarzy, ciosy musiały zostać zadane lewą ręką napastnika, zgadza się?

Minton zgłosił sprzeciw, znowu twierdząc, że pytanie wykracza poza kompetencje świadka. Ponownie powołałem się na zdrowy rozsądek, a sędzia ponownie uchyliła sprzeciw.

— Jeżeli napastnik stał przodem do niej, musiał ją uderzyć z lewej, chyba że zadał cios wierzchem dłoni, z bekhendu.

Wtedy możliwe, że uderzył prawą ręką.

Skinął głową, wyraźnie zadowolony z siebie. Był przekonany, że pomaga oskarżeniu, ale wszystko wskazywało na to, że pomaga raczej obronie.

— Sugeruje pan, że osoba, która zaatakowała panią Campo, mogła spowodować tak rozległe obrażenia, uderzając ją trzykrotnie wierzchem dłoni?

Pokazałem fotografię na stojaku. Metz wzruszył ramionami, zdając sobie sprawę, że chyba nie przysłużył się oskarżeniu.

— Wszystko jest możliwe — oświadczył.

— Wszystko jest możliwe — powtórzyłem. — Czy sądzi pan, że można wytłumaczyć powstanie takich obrażeń w inny sposób niż tym, że zostały spowodowane ciosami lewej ręki napastnika?

Metz znów wzruszył ramionami. Nie był zbyt błyskotliwym świadkiem, zwłaszcza występując po dwojgu funkcjonariuszach i dyżurnym z centrali, którzy wykazali się w zeznaniach dużą precyzją.

— A gdyby pani Campo sama uderzyła się w twarz? Czy zrobiłaby to prawą...

Minton zerwał się z miejsca, gwałtownie protestując.

— Wysoki Sądzie, to oburzające! Przypuszczenie, że ofiara sama wyrządziła sobie taką krzywdę, jest nie tylko zniewagą dla sądu, ale dla wszystkich ofiar brutalnych przestępstw. Pan Haller zniża się...

— Świadek powiedział, że wszystko jest możliwe — prze-rwałem, starając się strącić Mintona z ulubionego konika. — Pró-buję tylko zbadać, czy...

— Podtrzymuję — ucięła Fullbright. — Panie Haller, proszę nie posuwać się do takich sugestii, jeśli zamierza pan tylko prze-analizować hipotetyczne przyczyny.

— Tak, Wysoki Sądzie — odrzekłem. — Nie mam więcej pytań.

Usiadłem, zerkając na przysięgłych, a z ich twarzy wyczyta-łem, że popełniłem błąd. Skuteczna w zamiśle kontra trafiła w próżnię. Zamiast zwrócić uwagę na fakt, że napastnik musiał być leworęczny, przysięgli gwałtownie zareagowali na sugestię, że ofiara mogła sama uszkodzić sobie twarz. Trzy kobiety wydawały się szczególnie wzburzone moim wystąpieniem.

Starąłem się mimo wszystko skupić na pozytywnym aspekcie. Dobrze było poznać opinie ławy na temat już teraz, zanim miejsce dla świadków zajmie Campo, którą zamierzałem spytać o to samo.

Roulet nachylił się i szepnął:

— Co to, kurwa, miało być?

Zbywając jego pytanie milczeniem, odwróciłem się do niego plecami i rozejrzałem po sali. Była prawie pusta. Lankford i Sobel nie wrócili, reporterów też już nie było. Pozostała niewielka grupka widzów składająca się z różnych osób — emerytów, studentów

prawa i prawników, którzy wpadli tu odpocząć przed swoimi rozprawami w innych salach. Liczyłem jednak na to, że wśród widzów siedzi wtyczka z prokuratury. Być może Ted Minton występował solo, ale przypuszczałem, że szef znalazł sposób, by mieć oko na niego i sprawę. Wiedziałem, że występuję nie tylko przed przysięgłymi, ale także przed wtyczką Smithsona. Przed końcem procesu musiałem wysłać sygnał alarmowy na drugie piętro i postarać się, żeby dotarł do Mintona. Trzeba było sprowokować młodego prokuratora do desperackiego kroku.

Popołudnie dłużyło się niemiłosiernie. Minton musiał się jeszcze sporo nauczyć o tempie prowadzenia rozprawy i metodach pracy z ławą, a taką wiedzę zdobywa się tylko po latach doświadczeń procesowych. Patrzyłem na przysięgłych — prawdziwych sędziów — którzy zdradzali wyraźne oznaki znudzenia, wysłuchując zeznań kolejnych świadków dodających następne szczegóły do prokuratorskiej relacji z przebiegu wydarzeń szóstego marca. Zadawałem niewiele pytań, starając się mieć taką samą minę, jakie widziałem u członków ławy.

Było jasne, że Minton zostawia najcięższy oręż na drugi dzień. Chciał wezwać prowadzącego śledztwo detektywa Martina Bookera, który miał zebrać szczegóły w jeden spójny obraz, a potem ofiarę, Reginę Campo, która miała przemówić do serc przysięgłych. Był to wypróbowany sposób — zakończyć mocnym akcentem i zaapelować do emocji — który sprawdzał się w dziewięćdziesięciu procentach wypadków, ale przez to pierwszy dzień rozprawy toczył się w tempie dostojnie sunącego lodowca.

Coś się ruszyło dopiero po wezwaniu ostatniego świadka, jaki miał tego dnia zeznawać. Minton poprosił Charlesa Talbota, człowieka, który poderwał Reginę Campo w barze Morgan's i poszedł do niej wieczorem szóstego marca. To, co Talbot miał wnieść do dowodów oskarżenia, było zupełnie nieistotne. Przyszedł na salę w zasadzie tylko po to, by zeznać, że gdy wychodził, Campo była cała i zdrowa. Nic więcej. Ale jego przybycie na salę sądową

pozwoili uratować rozprawę przed osunięciem się w otchłań nudy, ponieważ Talbot prowadził skrajnie odmienne życie niż przysięgli, którzy zawsze chętnie zaglądali w mroczne zakątki półświatka.

Talbot miał pięćdziesiąt pięć lat i tlenione włosy, których kolor nie mógł zwiścić nikogo. Na jego obu przedramionach widniały wyblakłe marynarskie tatuaże. Od dwudziestu lat był rozwiedziony i prowadził całodobowy sklepik o nazwie Kwik Kwik. Dzięki interesowi żył wygodnie i dostatnio — miał mieszkanie w Warner Center, miał najnowszy model corvette i bogate życie nocne, którego istotnym elementem było korzystanie z usług przeróżnych profesjonalistek oferujących płatny seks.

Minton ustalił te fakty już na początku przesłuchania. Powietrze w sali niemal wyczuwalnie znieruchomiało, gdy przysięgli bez reszty skupili uwagę na Talbocie. Prokurator zaczął pytać o wydarzenia wieczoru szóstego marca i Talbot zeznał, że spotkał się z Reggie Campo w barze Morgan's na Ventura Boulevard.

— Czy znał pan panią Campo przed spotkaniem w barze tamtego wieczoru?

— Nie, nie znałem.

— Jak doszło do tego spotkania?

— Po prostu do niej zadzwoniłem i powiedziałem, że chcę się z nią zobaczyć, a ona zaproponowała Morgan's. Znałem lokal, więc się zgodziłem.

— Jak pan do niej zadzwonił?

— Normalnie, telefonem.

Kilku przysięgłych parsknęło śmiechem.

— Przepraszam. Domyślał się, że skorzystał pan z telefonu. Chciałem zapytać, skąd pan wiedział, jak się z nią można skontaktować.

— Widziałem jej ogłoszenie na stronie internetowej, spodobało mi się, to zadzwoniłem i umówiliśmy się. Po prostu. Jej numer jest w ogłoszeniu.

— I spotkał ją pan w Morgan's.

— Tak, mówiła, że tam się zawsze umawia na randki. No i wypiliśmy parę drinków, pogadaliśmy, spodobał się sobie i tyle. Potem do niej poszedłem.

— Kiedy był pan w jej mieszkaniu, uprawialiście seks?

— Jasne. Po to tam poszedłem.

— I zapłacił pan jej za to?

— Czterysta dolców. Warto było.

Zobaczyłem, jak twarz jednego z przysięgłych oblewa się purpurą. Wiedziałem już, że trafiłem bez pudła podczas ustalania składu ławy. Zależało mi na nim, bo przyniósł ze sobą Biblię i czytał ją w trakcie rozmów z pozostałymi kandydatami. Minton tego nie zauważył, skupiając się na przesłuchaniach kandydatów. Ale ja zobaczyłem Biblię, a kiedy nadeszła pora rozmowy z jej właścicielem, zadałem mu niewiele pytań. Minton zaakceptował jego kandydaturę, ja też. Uznałem, że łatwo go będzie nastawić przeciwko ofierze, kiedy się dowie, czym zajmuje się Campo. Krwisty rumieniec na jego policzkach potwierdził moje przypuszczenia.

— O której godzinie opuścił pan jej mieszkanie? — pytał dalej Minton.

— Zdaje się, że za pięć dziesiąta — odrzekł Talbot.

— Mówiła panu, że spodziewa się następnej wizyty?

— Nie, nic takiego nie powiedziała. Właściwie zachowywała się tak, jakby na ten wieczór już skończyła.

Wstałem, zgłaszając sprzeciw.

— Nie sądzę, żeby pan Talbot był kompetentną osobą, aby oceniać zachowanie i zamiary pani Campo.

— Podtrzymuję sprzeciw — oznajmiła sędzia, zanim Minton zdążył wygłosić ripostę.

Prokurator kontynuował przesłuchanie.

— Panie Talbot, czy mógłby pan powiedzieć, w jakim stanie fizycznym była pani Campo, kiedy wychodził pan od niej krótko przed dziesiątą wieczorem szóstego marca?

— Była całkowicie zaspokojona.

Na sali gruchnął gromki śmiech, a dumny z siebie Talbot rozpromienił się w uśmiechu. Zerknąłem na człowieka z Biblią, który mocno zaciskał szczękę.

— Panie Talbot — powiedział Minton. — Mam na myśli stan fizyczny. Czy kiedy pan wychodził, była ranna i krwawiła?

— Nie, miała się doskonale. Kiedy wyszedłem, była zdrowa jak ryba. Wiem, bo miałem ją na haczyku.

Znów się uśmiechnął, zadowolony z wyrażenia. Tym razem nie było słycać śmiechu, a sędzia miała już dosyć jego dwuznacznych uwag. Upomniała go, aby zachował dla siebie bardziej nieprzyzwoite określenia.

— Przepraszam, Wysoki Sądzie — odrzekł.

— Panie Talbot — ciągnął Minton. — Gdy opuścił pan jej mieszkanie, pani Campo nie miała żadnych ran na ciele?

— Nie. Żadnych.

— Nie krwawiła?

— Nie.

— Nie uderzył pan jej ani nie wyrządził żadnej innej krzywdy?

— Nie. To, co zrobiliśmy, odbyło się za obopólną zgodą i było przyjemne. Zero przemocy.

— Dziękuję, panie Talbot.

Zanim wstałem, przez chwilę spoglądałem w notatki. Potrzebowałem przerwy, by wyraźnie oddzielić przesłuchanie prokuratora od mojego.

— Panie Haller? — zniecierpliwiła się sędzia. — Chce pan przesłuchać świadka przeciwnej strony?

Wstałem i podszedłem do pulpitu.

— Tak, Wysoki Sądzie.

Położyłem na blacie notatnik i spojrzałem Talbotowi prosto w oczy. Uśmiechał się do mnie uprzejmie, ale wiedziałem, że jego życzliwość niedługo się skończy.

— Panie Talbot, czy jest pan prawo- czy leworęczny?

— Jestem leworęczny.

— Leworęczny — powtórzyłem jak echo. — Czy to prawda,

że wieczorem szóstego marca, zanim opuścił pan mieszkanie Reginy Campo, poprosiła pana, żeby uderzył ją kilkakrotnie w twarz?

Minton zerwał się z krzesła.

— Wysoki Sądzie, nie ma żadnych podstaw do zadawania pytań tego rodzaju. Pan Haller stara się jedynie zaciemnić sprawę, składając oburzające oświadczenia i nadając im formę pytań.

Sędzia spojrzała na mnie, czekając na odpowiedź.

— Wysoki Sądzie, pytanie mieści się w przyjętej przez obrońcę hipotezie, którą nakreśliłem w mowie wstępnej.

— Zezwalam na pytanie. Proszę jednak o zwięzłość.

Pytanie zostało odczytane z protokołu, a Talbot z uśmiechem wyższości potrząsnął głową.

— To nieprawda. Nigdy w życiu nie skrzywdziłem kobiety.

— Uderzył ją pan trzykrotnie pięścią, prawda, panie Talbot?

— Nie, nie uderzyłem. To kłamstwo.

— Twierdzi pan, że nigdy w życiu nie skrzywdził kobiety.

— Zgadza się. Nigdy.

— Zna pan prostytutkę Shaquillę Barton?

Talbot zastanowił się przed odpowiedzią.

— Nic mi to nie mówi.

— Na stronie internetowej, gdzie reklamuje swoje usługi, występuje jako Okrutna Shaquilla. Może to coś panu mówi?

— Tak, chyba tak.

— Czy kiedykolwiek uprawiał pan z nią płatny seks?

— Tak, raz.

— Kiedy to było?

— Co najmniej rok temu. Może dawniej.

— I nie skrzywdził jej pan wówczas?

— Nie.

— A gdyby weszła na tę salę i powiedziała, że uderzył ją pan lewą ręką, czy byłoby to kłamstwo?

— Bezczelne kłamstwo. Spróbowałem raz i nie spodobała mi się ta ostra jazda. Wolę klasyczne sytuacje. Nawet jej nie dotknąłem.

- Nie dotknął jej pan?
- To znaczy, nie biłem jej i nie zrobiłem żadnej krzywdy.
- Dziękuję, panie Talbot.

Usiadłem. Minton nie kwapił się do pytań uzupełniających. Talbotowi pozwolono odejść, a Minton poinformował sędziego, że chciałby wezwać jeszcze tylko dwóch świadków, ale ich zeznania mogą być dłuższe. Sędzia Fullbright spojrzała na zegar i odroczyła rozprawę do następnego dnia.

Dwóch świadków. Wiedziałem, że chodzi o detektywa Bookera i Reggie Campo. Wyglądało na to, że Minton postanowił zrezygnować z powoływania na świadka kapusia, którego ukrył w szpitalu okręgowym-USC w ramach przedprocesowego programu terapeutycznego. Nazwisko Dwayne'a Corlissa nie figurowało na żadnej liście świadków ani w innych dokumentach oskarżenia. Pomyślałem, że może Minton dowiedział się o Corlissie tego, co zdołał ustalić Raul Levin. W każdym razie było jasne, że oskarżenie nie zamierza wykorzystać jego zeznań. Musiałem to zmienić.

Zbierając papiery i dokumenty, zebrałem się w sobie i postanowiłem porozmawiać z Rouletem. Spojrzałem na niego. Siedział, czekając na sygnał do wyjścia.

— Co o tym myślisz? — zapytałem.

— Myślę, że dobrze ci poszło. Było parę momentów uzasadnionych wątpliwości.

Zatrzasnąłem zamki aktówki.

— Dzisiaj tylko zasiałem ziarno. Jutro zaczniesz kiełkować, a w środę zakwitnie. Jeszcze nie widziałeś najlepszego.

Wstałem, zdejmując ze stołu aktówkę. Była ciężka od dokumentów i laptopa.

— Do jutra.

Wyszedłem przez bramkę w barierce. W korytarzu przed drzwiami sali czekali na Rouleta Cecil Dobbs i Mary Windsor. Kiedy wyszedłem, chcieli ze mną porozmawiać, ale minąłem ich.

— Do jutra — powiedziałem.



— Zaraz, zaraz! — zawołał za mną Dobbs.

Odwrociłem się.

— Tkwimy na korytarzu i nic nie wiemy — rzekł, podchodząc do mnie z Mary Windsor. — Jak idzie?

Wzruszyłem ramionami.

— Na razie oskarżenie przedstawia materiał — odparłem. — Robię uniki, nie opuszczam gardy i uchylam się od ciosów.

Myślę, że jutrzejsza runda będzie nasza. A w środę przyjdzie pora na nokaut. Muszę się do tego przygotować.

Zmierzając do windy, zobaczyłem grupkę przysięgłych, którzy mnie ubiegli i czekali już w kolejce. Była wśród nich kronikarka. Skręciłem do toalety obok wind, aby uniknąć wspólnej jazdy z nimi. Postawiłem aktówkę między umywalkami i umyłem twarz i ręce. Patrząc w swoje odbicie w lustrze, szukałem oznak stresu i śladów, jakie mogła pozostawić sprawa. Wyglądałem jednak normalnie i spokojnie jak na adwokata, który równocześnie gra po stronie klienta i oskarżenia.

Zimna woda orzeźwiła mnie i odświeżony wyszedłem z toalety, mając nadzieję, że przysięgli już zjechali na dół.

W korytarzu ich nie było. Ale przy drzwiach windy stali Lankford i Sobel. Lankford trzymał w ręku złożony plik dokumentów.

— A, jest pan — powiedział. — Właśnie pana szukamy.

## Rozdział 30

Dokument, jaki wręczył mi Lankford, był nakazem rewizji dającym policji prawo przeszukania mojego domu, biura i samochodu w celu znalezienia pistoletu Colt Woodsman Sport Model kalibru .22 o numerze seryjnym 656300081-52. Według upoważnienia wymieniona w nim broń miała rzekomo zostać użyta do dokonania zabójstwa Raula A. Levina dwunastego kwietnia. Lankford z dumą podał mi nakaz, uśmiechając się z wyższością. Czytałem pismo z obojętną miną, jak gdybym załatwiał podobne sprawy co drugi dzień, a w piątki nawet i dwa razy. Ale prawdę mówiąc, nogi się pode mną ugięły.

— Jak to zdobyliście?

Było to niedorzeczne pytanie zadane w niedorzecznym momencie.

— Podpisano, opieczętowano, doręczono — odparł Lankford. — To od czego zaczynamy? Ma pan tutaj samochód, prawda?

Tego lincolna, którym się pan wozi jak luksusowa panienka?

Spojrzałem na podpis na ostatniej stronie nakazu. Zgodę na rewizję wydał sędzia sądu miejskiego z Glendale, o którym nigdy nie słyszałem. Detektywi zwrócili się do lokalnego urzędnika, któremu zapewne zależało na poparciu policji w najbliższych wyborach. Powoli otrząsnąłem się z szoku. Może ta cała rewizja to jakiś bluff.

— To kompletna bzdura — oświadczyłem. — Nie ma uzasadnionej przyczyny. Mógłbym unieważnić ten świstek w dziesięć minut.

— Sędzia Fullbright nie miała do dokumentu żadnych zastrzeżeń — rzekł Lankford.

— Fullbright? Co ona ma z tym wspólnego?

— Wiedzieliśmy, że uczestniczy pan w procesie, więc pomyśleliśmy sobie, że powinniśmy ją zapytać, czy można doręczyć nakaz. Takiej kobiety lepiej nie drażnić. Powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, pod warunkiem że zrobimy to po rozprawie, i nie czeptała się żadnych uzasadnionych przyczyn.

Musieli złożyć wizytę sędzi w trakcie przerwy na lunch, kiedy zauważyłem ich na sali. Podejrzywałem, że pomysł spytania Fullbright o zgodę wyszedł od Sobel. Taki facet jak Lankford z radością zgarnąłby mnie wprost z sali rozpraw, przerywając proces.

Myślałem gorączkowo. Spojrzałem na Sobel, życzliwszą mi z pary detektywów.

— Jestem w trakcie trzydniowego procesu — powiedziałem. — Nie moglibyśmy odłożyć tego do czwartku?

— Za cholerę nie moglibyśmy — odrzekł Lankford, zanim jego partnerka zdążyła się odezwać. — Nie spuścimy pana z oka, dopóki nie przeprowadzimy rewizji. Nie zamierzamy dawać panu okazji do pozbycia się broni. No, gdzie pański samochód, mecenasie z limuzyną?

Ponownie spojrzałem na nakaz. Dokument musiał precyzyjnie określać podlegające przeszukaniu miejsca i okazało się, że mam szczęście. Wymieniono w nim lincolna z kalifornijskimi tablicami rejestracyjnymi NT GLTY\*. Uświadomiłem sobie, że ktoś musiał spisać litery z tablic, kiedy wezwano mnie do domu Raula Levina ze stadionu Dodgersów. Chodziło bowiem o starego lincolna — tego, którym jeździłem tamtego dnia.

\* NT GLTY = not guilty — niewinny.

— Jest w domu. Cały dzień jestem w sądzie, więc nie korzystam z kierowcy. Dzisiaj rano przyjechałem tu samochodem klienta i teraz też miał mnie odwieźć. Pewnie czeka na mnie na dole.

Kłamałem. Lincoln, którym dziś przyjechałem, stał na podziemnym parkingu pod budynkiem sądu. Nie mogłem jednak pozwolić glinom go przeszukać, ponieważ w schowku oparcia na tylnym siedzeniu była broń. Nie ta, której szukali, ale zupełnie nowa. Kiedy Raul Levin został zamordowany, a mój pistolet zniknął z kasetki, uznałem, że potrzebuję ochrony, poprosiłem więc Earla Briggsa, żeby zdobył dla mnie broń. Earl mógł to załatwić bez obowiązkowych dziesięciu dni oczekiwania. Nie wiedziałem jednak, skąd pochodzi broń ani na kogo jest zarejestrowana, a nie chciałem się tego dowiadywać od ludzi z Departamentu Policji Glendale.

Miałem szczęście, bo lincoln z bronią w schowku nie był wymieniony w nakazie. Dokument dotyczył samochodu, który stał w moim garażu, czekając na kupca z firmy wynajmującej limuzyny. Tego lincolna miała przeszukać policja.

Lankford wyrwał mi z ręki nakaz i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Nie musi się pan martwić — oznajmił. — Podwieziemy pana do domu. Chodźmy.

Wychodząc z gmachu sądu, nie natknęliśmy się na Rouleta i jego świtę. Kiedy usiadłem z tyłu grand marquisa, pomyślałem, że słusznie wybrałem lincolna. W moim samochodzie było więcej miejsca i podróżowało się nim bardziej komfortowo.

Lankford zajął miejsce za kierownicą, a ja siedziałem za jego fotelem. Okna w samochodzie były zamknięte i słyszałem, jak detektyw żuje gumę.

— Proszę mi jeszcze raz pokazać nakaz — powiedziałem.

Lankford ani drgnął.

— Nie wpuszczę was do domu, dopóki dokładnie nie zapoznam się z nakazem. Mogę go przeczytać po drodze i oszczędzić wam czasu. Albo...

Lankford sięgnął do kieszeni, wyciągnął dokument i podał mi go przez ramię. Wiedziałem, dlaczego się wahał. We wniosku o wystawienie nakazu gliny zwykle muszą ujawniać szczegóły śledztwa, aby przekonać sędziego o istnieniu uzasadnionej przyczyny przeprowadzenia rewizji. Nie lubią dawać dokumentu do przeczytania zainteresowanej osobie, bo w ten sposób odkrywają karty.

Gdy mijaliśmy salony i komisje samochodowe na Van Nuys Boulevard, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem wystawiony przed salonem Lincolna nowy model Town Car. Potem otworzyłem nakaz i znalazłem streszczenie wniosku.

Musiałem przyznać, że Lankford i Sobel zaczęli świetnie. Jedno z nich — przypuszczałem, że Sobel — postanowiło sprawdzić moje nazwisko w AFS, bazie danych właścicieli broni palnej, i trafiło w dziesiątkę. Komputer AFS potwierdził, że jestem zarejestrowanym posiadaczem broni tej samej marki i modelu co pistolet, z którego zastrzelono Raula.

Ruch był niezły, ale nie dawał im uzasadnionej przyczyny do uzyskania nakazu. Colt produkował model Woodsman od ponad sześćdziesięciu lat. Oznaczało to, że takich pistoletów było pewnie milion, mieli więc milion podejrzanych.

Policja zdobyła już krzesiwo i hubkę. Potem zaczęła rozniecać ogień. W streszczeniu wniosku o nakaz napisano, iż ukryłem przed detektywami fakt, że jestem posiadaczem poszukiwanego rodzaju broni. Dowiedziałem się także, że podczas pierwszego przesłuchania w sprawie wyjaśnienia okoliczności śmierci Levina sfabrykowałem własne alibi, a potem usiłowałem naprowadzić policję na fałszywy trop, informując ich o dilerze narkotyków Hectorze Arrande Moi.

Mimo że podanie motywu nie było warunkiem koniecznym uzyskania nakazu rewizji, we wniosku znalazła się czytelna aluzja. Informowano sędziego, że ofiara — Raul Levin — wymuszała na mnie zlecenia, a po ich wykonaniu odmawiałem płacenia.

Pomijając oburzające kłamstwo tego twierdzenia, kluczowym

elementem przedstawienia uzasadnionej przyczyny był zarzut sfabrykowania alibi. Według wniosku oświadczyłem policji, że w czasie popełnienia morderstwa byłem w domu, ale w poczcie głosowej mojego numeru domowego tuż przed domniemaną godziną zdarzenia nagrano wiadomość, co obalało moje alibi i dowodziło, że jestem kłamcą.

Wściekły przeczytałem wniosek jeszcze dwa razy, ale nie mogłem się uspokoić. Rzuciłem nakaz na siedzenie.

— W pewnym sensie szkoda, że nie jestem mordercą — powiedziałem.

— Tak, a to dlaczego? — spytał Lankford.

— Bo ten nakaz jest głównie wart i dobrze o tym wiecie. Można go zdmuchnąć jak świeczkę. Mówiłem wam, że wiadomość została nagrana, kiedy rozmawiałem przez telefon, i to można łatwo sprawdzić i udowodnić, ale byliście zbyt leniwi albo nie chcieliście tego zrobić, bo zdobycie papierka byłoby trochę trudniejsze. Nawet u waszego posłusznego sędziego z Glendale. Użykaliście ten nakaz przez działanie i zaniechanie w złej wierze.

Siedziałem za Lankfordem, mogłem więc widzieć tylko twarz Sobel. Patrzyłem na nią, szukając oznak wątpliwości.

— A sugestia, że Raul wymuszał ode mnie zlecenia, za które mu nie płaciłem, to już jakiś kiepski żart. Wymuszał? Jak? I kiedy mu nie zapłaciłem? Płaciłem zawsze, kiedy tylko dostałem od niego rachunek. Jeżeli tak samo pracujecie przy innych sprawach, to chyba powinienem otworzyć biuro w Glendale. Tym papierkiem wasz komendant może sobie tyłek podtrzeć.

— Kłamał pan w sprawie broni — odparł Lankford. — I był pan winien Levinowi pieniądze. Mamy to czarno na białym w jego księdze rachunkowej. Cztery tysiące.

— Nie kłamałem. W ogóle nie pytałeś, czy mam broń.

— Kłamstwo nieumyślne. Przez zaniechanie. Jeden— jeden.

— Bzdura.

— Cztery tysiące.

— Jasne, cztery tysiące. Zabiłem go, bo nie chciałem mu zapłacić czterech tysięcy — powiedziałem z drwiną w głosie. — Z motywem trafił pan bez pudła, detektywie. Ale pewnie nie przyszło panu do głowy sprawdzić, czy wystawił już rachunek na te cztery tysiące albo że tydzień przed jego śmiercią zapłaciłem mu sześć tysięcy za inne zlecenie.

Lankford wydawał się zupełnie niezrażony. Z twarzy Sobel wyczytałem jednak, że zaczyna mieć wątpliwości.

— Nieważne, ile ani kiedy mu pan płacił — oświadczył Lankford. — Szantażysta nigdy nie ma dosyć. Trzeba płacić i płacić, aż człowiek znajdzie się w punkcie, z którego nie ma odwrotu. O to właśnie chodzi. O punkt, z którego nie ma odwrotu.

Pokręciłem głową.

— Czym właściwie miałby mnie szantażować? Co takiego na mnie miał, żeby wymuszać zlecenia i kazać mi płacić, aż znajdzie się w punkcie, z którego nie ma odwrotu?

Lankford i Sobel wymienili spojrzenie, po czym Lankford lekko skinął głową. Sobel sięgnęła do aktówki i wyciągnęła z niej teczkę, którą mi podała.

— Proszę sobie obejrzyć — rzekł Lankford. — Kiedy przetrząsał pan dom, nie znalazł pan tego. Schował teczkę w szufladzie komody.

Otworzyłem teczkę i zobaczyłem kilka fotografii. Zdjęcia zrobiono z daleka i byłem na każdym z nich. Fotograf jeździł za moim lincolnem przez kilka dni, pokonując dobrych parę kilometrów. Każde zdjęcie przedstawiało mnie w towarzystwie przeróżnych osób, w których natychmiast rozpoznałem własnych klientów. Sfotografowano mnie z prostytutkami, dilerami prochów i członkami Road Saints. Zdjęcia można było uznać za podejrzone, ponieważ zostały na nich uwiecznione sceny trwające ułamek sekundy. Męska prostytutka w obcisłych szortach wysiada z mojego lincolna. Teddy Vogel podaje mi przez okno samochodu gruby zwitek banknotów. Zaniknąłem teczkę i rzuciłem na siedzenie.

— Chyba sobie ze mnie kpicie. Chcecie powiedzieć, że tym Raul miał mnie szantażować? Tym wymuszał zlecenia? Na tych

zdjęciach są moi klienci. To ma być żart czy czegoś nie zrozumiałem?

— Korporacja adwokacka Kalifornii może nie uznać tego za żart — powiedział Lankford. — Słyszeliśmy, że ma pan z nią na pieńku. Levin musiał o tym wiedzieć. I postanowił to wykorzystać.

Pokręciłem głową.

— Nie do wiary.

Wiedziałem, że muszę przestać mówić. Każdym słowem pogarszałem własną sytuację. Wiedziałem, że trzeba się zamknąć i przeczekać. Czułem jednak przemożną chęć, by ich przekonać. Zaczynałem rozumieć, dlaczego tyle razy policja uzyskuje dowody winy w salach przesłuchań. Ludzie po prostu nie potrafią się zamknąć.

Próbowałem sobie przypomnieć, w jakich sytuacjach zrobiono zdjęcia. Vogel dawał mi zwitek banknotów na parkingu przed klubem Road Saints na Sepulveda. To było już po procesie Harolda Caseya i Vogel płacił za wniesienie apelacji. Męska prostytutka to Terry Jones i broniłem go od zarzutu nagabywania klientów w pierwszym tygodniu kwietnia. Przed rozprawą musiałem go szukać na Santa Monica Boulevard, żeby się upewnić, że zjawi się na sali sądowej.

Uświadomiłem sobie, że wszystkie zdjęcia zrobiono między marcowym porankiem, kiedy dostałem sprawę Rouleta, a dniem śmierci Raula Levina. Czyli teczka została podrzucona na miejscu zbrodni przez mordercę — jako część planu Rouleta, który chciał mnie zrobić w morderstwo, by trzymać mnie w szachu. Policja miała już wszystko, żeby postawić mi zarzut — z wyjątkiem broni. Dopóki Roulet miał broń, trzymał mnie w garści.

Musiałem podziwiać pomysłowość planu, choć wzbudzał we mnie lęk i rozpacz. Próbowałem otworzyć okno, ale przycisk nie działał. Poprosiłem Sobel, aby odkręciła okno. Zrobiła to i do samochodu wpłynęło trochę świeżego powietrza.

Po jakimś czasie Lankford zerknął na moje odbicie w lusterku wstecznym, próbując wznowić rozmowę.



— Sprawdziliśmy pochodzenie tego woodsmana — powiedział. — Wie pan, kto go wcześniej miał?

— Mickey Cohen — odrzekłem obojętnie, spoglądając przez okno na strome wzniesienia Laurel Canyon.

— Jak trafiła do pana broń Mickeya Cohena?

Odpowiedziałem, nie odwracając się od okna.

— Mój ojciec był adwokatem. Mickey Cohen był jego klientem.

Lankford gwizdnął. Cohen należał do najśłynniejszych gangsterów z Los Angeles. Żył w czasach, gdy w rubrykach plotkarskich wiadomości o gangsterach przeplatały się z wiadomościami o gwiazdach filmowych.

— I co? Tak po prostu podarował ojcu pistolet?

— Mój ojciec bronił go od zarzutu udziału w strzelaninie. Cohen zeznał, że działał w obronie własnej. Odbył się proces i Cohena uniewinniono. Kiedy zwrócono mu broń, Mickey dał ją ojcu. Na pamiątkę.

— Pański ojciec zastanawiał się kiedyś, ilu ludzi Mick z niej rozwalił?

— Nie wiem. Właściwie nie znałem ojca.

— A Cohena? Poznał go pan kiedyś?

— Ojciec bronił go jeszcze przed moim urodzeniem. A pistolet zostawił mi w spadku. Sam nie wiem, dlaczego akurat mnie wybrał. Kiedy umarł, miałem pięć lat.

— I wyrósł pan na prawnika tak jak tatuś, a jako dobry prawnik zarejestrował pan broń.

— Pomyślałem, że gdyby ktoś ją ukradł, chciałbym ją odzyskać. Proszę skrócić w Fareholm.

Lankford wjechał we wskazaną przeze mnie ulicę i zaczęliśmy się pięć w górę zbocza do mojego domu. Postanowiłem przekazać im złą wiadomość.

— Dziękuję za podwiezienie — powiedziałem. — Możecie przeszukiwać mój dom, biuro i samochód, jak długo zechcecie, ale muszę wam powiedzieć, że to strata czasu. Nie tylko trafiliście na niewłaściwego faceta, ale nie znajdziecie tej broni.

Zobaczyłem, jak głowa Lankforda drgnęła, gdy spojrzał na mnie w lusterko.

— A to dlaczego, mecenasie? Czyżby już się pan jej pozbył?

— Bo pistolet został skradziony i nie wiem, gdzie jest.

Lankford wybuchnął śmiechem. Dostrzegłem w jego oczach isierki rozbawienia.

— Aha, skradziony. Tak się świetnie złożyło. Kiedy to się stało?

— Trudno powiedzieć. Od lat nie zaglądałem do kasetki.

— Zgłosił to pan policji czy firmie ubezpieczeniowej?

— Nie.

— A więc ktoś kradnie pistolet Mickeya Cohena, a pan tego nie zgłasza. Chociaż zarejestrował go pan właśnie na wypadek kradzieży. Jest pan prawnikiem i tak dalej. Nie wydaje się panu, że to trochę pokręcone?

— Owszem, ale wiem, kto go ukraść. Jeden z klientów. Powiedział mi, że zabrał pistolet i jeżeli to zgłoszę, naruszę zasadę zaufania między adwokatem a klientem, bo informacja o kradzieży doprowadzi do jego aresztowania. Takie błędne koło, detektywie.

Sobel odwróciła się, by na mnie spojrzeć. Chyba uznała, że zmyśliłem to na poczekaniu. I miała rację.

— To jakiś pieprzony prawniczy bełkot, Haller — warknął Lankford.

— Ale to prawda. Jesteśmy na miejscu. Niech pan zaparkuje przed garażem.

Lankford zatrzymał samochód przed bramą i wyłączył silnik. Zanim wysiadł, odwrócił się i spojrzał na mnie.

— Który klient to zrobił?

— Mówiłem już, nie mogę zdradzić jego nazwiska.

— Jedynym pańskim klientem jest Roulet, prawda?

— Mam wielu klientów. Ale powtarzam, nie mogę powiedzieć.

— Nie sądzi pan, że powinniśmy zajrzeć do zapisów z jego elektronicznej bransoletki i zobaczyć, czy ostatnio pana nie odwiedzał?

— Proszę robić, co pan chce. Zresztą Roulet kiedyś u mnie był. Mieliśmy spotkanie. W moim gabinecie.

— Może właśnie wtedy zabrał pistolet.

— Nie twierdzą, że on go zabrał, detektywie.

— Jasne. W każdym razie bransoletka daje Rouletowi alibi w sprawie Levina. Sprawdziliśmy GPS. Czyli zostaje tylko pan, mecenasie.

— Czyli tylko tracicie czas.

Myśląc o bransoletce Rouleta, nagle coś sobie uświadomiłem, ale starałem się tego po sobie nie pokazać. Być może domyśliłem się, gdzie jest zapadnia w odegranym przez Rouleta numerze Houdiniego. Musiałem to sprawdzić później.

— Będziemy tak siedzieć?

Lankford wysiadł i otworzył mi drzwi, ponieważ klamka od wewnątrz była zablokowana, by z tyłu można było przewozić podejrzanych i aresztowanych. Spojrzałem na parę detektywów.

— Chcecie, żebym wam pokazał kasetkę z bronią? Może jeżeli się przekonacie, że jest pusta, dacie sobie spokój i oszczędzicie czas.

— Niekoniecznie, mecenasie — odrzekł Lankford. — Przeszukamy wszystko. Ja się zajmę samochodem, a detektyw Sobel zacznie przeszukiwać dom.

Pokręciłem głową.

— Niekoniecznie, detektywie. Zrobimy inaczej. Nie ufam wam. Macie lewy nakaz, więc moim zdaniem wszystko, co robicie, może być lewe. Będziecie pracować razem, żebym cały czas was widział. Albo zaczekamy, aż sprowadzę drugiego świadka. W ciągu dziesięciu minut może tu przyjechać moja sekretarka. Będzie was pilnować, a przy okazji możecie ją spytać o jej telefon tego dnia, gdy zamordowano Raula Levina.

Twarz Lankforda pociemniała od gniewu, nad którym panował z widocznym trudem. Postanowiłem jeszcze bardziej go przycisnąć. Wyciągnąłem komórkę.

— Zadzwońię do waszego sędziego i spytam, czy...

— Dobrze — przerwał mi Lankford. — Zaczniemy od samochodu. Razem. Potem przeniesiemy się do domu.

Zamknąłem telefon i wsunąłem do kieszeni.

— Doskonale.

Podszedłem do przycisków umieszczonych na ścianie garażu. Wstukałem kod i brama zaczęła się unosić, ukazując niebiesko-czarnego lincolna czekającego na oględziny kupca. Na tablicy rejestracyjnej widniał napis NT GLTY. Lankford spojrzął na samochód i pokręcił głową.

— Tak, wszystko się zgadza.

Wszedł do garażu, wciąż siny z wściekłości. Postanowiłem nieco złagodzić napięcie.

— Detektywie — powiedziałem. — Wie pan, jaka jest różnica między sumem a adwokatem?

Nie odpowiedział. Patrzył ze złością na tablicę rejestracyjną.

— Jedno to śliskie bydlę żerujące w mętnej wodzie, a drugie to ryba.

Przez chwilę jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Potem pojawił się na niej uśmiech, aż wreszcie detektyw wybuchnął gromkim śmiechem. Sobel, która nie słyszała dowcipu, weszła do garażu.

— O co chodzi? — spytała.

— Potem ci powiem — odrzekł Lankford.

## Rozdział 31

Przeszukanie lincolna trwało pół godziny. Następnie detektywi przenieśli się do domu, gdzie zaczęli rewizję od gabinetu. Obserwowałem ich cały czas, odzywając się tylko wówczas, gdy trzeba było coś wyjaśnić w związku z jakimś znalezionym przedmiotem. Prawie ze sobą nie rozmawiali i powoli stawało się jasne, że między partnerami doszło do konfliktu w kwestii kierunku, w jakim postanowił poprowadzić śledztwo Lankford.

W pewnym momencie zadzwoniła komórka Lankforda i detektyw wyszedł na taras, aby porozmawiać bez świadków. Okna były odsłonięte, tak więc stojąc w korytarzu, miałem na oku i Lankforda stojącego na tarasie, i Sobel w gabinecie.

— Nie jest chyba pani zachwycona tym pomysłem, prawda? — spytałem Sobel, upewniwszy się, że jej partner nie może mnie słyszeć.

— Moje zdanie nie jest ważne. Prowadzimy śledztwo, i tyle.

— Pani partner zawsze się tak zachowuje czy tylko wobec adwokatów?

— W zeszłym roku wydał pięćdziesiąt tysięcy dolarów na adwokata, starając się o przyznanie opieki nad dziećmi. I nie udało mu się. Wcześniej przegraliśmy dużą sprawę — o morderstwo — przez jakiś formalny kruczek.

Skinąłem głową.

— I obwinił za to adwokata. Ale kto naruszył przepisy?

Nie odpowiedziała, co odczytałem jako potwierdzenie, że uchylbień formalnych musiał się dopuścić Lankford.

— Chyba już rozumiem — powiedziałem.

Znów zerknąłem na Lankforda. Gestykulował zniecierpliwiony, jak gdyby coś próbował tłumaczyć jakiemuś idiotcie. Być może rozmawiał ze swoim adwokatem. Postanowiłem zmienić temat.

— Nie sądzi pani, że ktoś wami manipuluje w tej sprawie?

— O czym pan mówi?

— Zdjęcia schowane w komodzie, łuska pocisku w kratce nawiewu. Szczęśliwy zbieg okoliczności, nie sądzi pani?

— Co pan sugeruje?

— Niczego nie sugeruję. Zadaję tylko pytania, które wyraźnie nie interesują pani partnera.

Spojrzałem na Lankforda. Wstukiwał numer, dzwoniąc do kogoś. Odwróciłem się i wszedłem do gabinetu. Sobel przeszukiwała szufladę z aktami. Kiedy nie znalazła pistoletu, zniknęła ją i podeszła do biurka. Zniżyłem głos.

— A wiadomość od Raula? — spytałem. — Ta, w której mówił o wypisze dla Jesusa? Jak pani myśli, co to mogło oznaczać?

— Tego jeszcze nie ustaliliśmy.

— Niedobrze. Wydaje mi się, że to ważne.

— Wszystko jest ważne, dopóki nie stanie się nieważne.

Skinąłem głową, nie bardzo wiedząc, co chciała przez to powiedzieć.

— Ten proces, w którym właśnie występuję, dotyczy ciekawej sprawy. Powinna pani wpaść na salę i posłuchać. Mogłaby się pani czegoś dowiedzieć.

Uniosła głowę znad biurka. Nasze oczy spotkały się na moment. Sobel patrzyła na mnie podejrzliwie, jak gdyby się zastanawiając, czy podejrzany o morderstwo nie usiłuje jej przypadkiem podrywać.

— Mówi pan serio?

— Owszem, czemu się pani dziwi?

— Po pierwsze, trudno będzie panu bronić klienta, jeżeli trafi pan do aresztu.

— Nie ma broni, nie ma sprawy. Przecież po to przyjechaliście.

Nie odpowiedziała.

— Poza tym to był pomysł pani partnera. Wyraźnie widać, że pani go nie popiera.

— Typowy adwokat. Wydaje się panu, że zna motywów wszystkich zaangażowanych w sprawę.

— Wręcz przeciwnie. Coraz bardziej się przekonuję, że nie znam żadnych.

Sobel zmieniła temat.

— To pańska córka?

Pokazała stojące na biurku zdjęcie.

— Tak. Hayley.

— Ładnie brzmi. Hayley Haller. Imię na cześć komety?

— Mniej więcej. Inaczej się pisze. Wymyśliła je moja była żona.

Wszedł Lankford, informując głośno Sobel o telefonie. Dzwonił ich przełożony z wiadomością, że dostali nową sprawę zabójstwa w Glendale i mają ją prowadzić bez względu na to, czy sprawa Levina pozostanie otwarta. Ani słowem nie wspomniał, do kogo dzwonił później.

Sobel powiedziała mu, że skończyła przeszukiwać gabinet i nie znalazła broni.

— Powtarzam, że jej tu nie ma — rzekłem. — Marnujecie tylko swój czas. I przy okazji mój. Mam jutro rozprawę i muszę się przygotować do przesłuchania świadków.

— Idziemy do sypialni — zarządził Lankford, nie zwracając uwagi na mój protest.

Wycofałem się do korytarza, żeby ich przepuścić. Podeszli do szafek nocnych stojących po obu stronach łóżka. Lankford otworzył górną szufladę i wyciągnął płytę CD.

— „Req-Wiem dla Lila Demona” — przeczytał. — Chyba ja-ja pan sobie ze mnie robisz.

Nie odpowiedziałem. Sobel szybko otworzyła obie szuflady drugiej szafki, ale nie znalazła w nich nic poza paczką prezerwatyw. Odwróciłem wzrok.

— Sprawdź w szafie — powiedział Lankford. Skończywszy rewizję nocnej szafki, w typowym dla policji stylu zostawił otwarte szuflady. Podszedł do szafy i wkrótce usłyszeliśmy dobiegający ze środka głos:

— Proszę, proszę.

Odwrócił się, trzymając drewnianą kasetkę na pistolet.

— Bingo — powiedziałem. — Znalazł pan pustą kasetkę. Musi pan chyba być detektywem.

Lankford potrząsnął kasetką, po czym postawił ją na łóżku. Albo usiłował się ze mną drażnić, albo rzeczywiście była ciężka. Poczuję ciarki na plecach, uświadamiając sobie, że Roulet mógł jeszcze raz wśliznąć się do domu i podrzucić pistolet z powrotem. Byłaby to idealna skrytka. Ostatnie miejsce, jakie postanowiłbym sprawdzić, kiedy się już zorientowałem, że broń zniknęła. Przypomniałem sobie dziwny uśmiezek Rouleta, kiedy mu powiedziałem, że chcę dostać pistolet z powrotem. Czyżby się uśmiechał, bo już spełnił moje żądanie?

Lankford otworzył zamek i uniósł wieczko. Zdjął ceratową osłonę. Korkowa wytłoczka, w której wcześniej spoczywał pistolet Mickeya Cohena, była pusta. Odetchnąłem głośno i zabrzmiało to prawie jak westchnienie ulgi.

— Nie mówiłem? — spytałem spiesznie, chcąc zatuzsować to wrażenie.

— Tak, coś pan mówił — odparł Lankford. — Heidi, masz torbę? Trzeba zabrać kasetkę.

Spojrzałem na Sobel. Nie wyglądała mi na Heidi. Pomyślałem, że to jakiś przydomek nadany przez kolegów z wydziału. A może nie umieściła na wizytówce swojego imienia, bo nie za bardzo pasowało do twardego detektywa z wydziału zabójstw.

— Jest w samochodzie — odrzekła.

— Przynieś — polecił Lankford.

— Chcecie zabrać pustą kasetkę? — zdziwiłem się. — Po co?



— Jako część łańcucha dowodów, mecenasie. Powinien pan o tym wiedzieć. Poza tym przyda się, bo mam przeczucie, że nigdy nie znajdziemy tego pistoletu.

Pokręciłem głową.

— Akurat się przyda. Kasetka niczego nie dowodzi.

— Dowodzi, że miał pan broń należącą do Mickeya Cohena. Wyraźnie wskazuje na to ta mosiężna tabliczka, którą zrobił pański tatuś albo ktoś inny.

— No i gówno z tego wynika.

— Kiedy stałem na tarasie, do kogoś zadzwoniłem, Haller. Widzi pan, właśnie teraz ktoś zagląda do akt Mickeya Cohena. Okazało się, że w archiwum departamentu zachowały się wszystkie raporty z analiz balistycznych tamtej sprawy. Szczęśliwy zbieg okoliczności, prawda? Sprawa sprzed jakichś pięćdziesięciu lat i wszystko jest.

Natychmiast zrozumiałem. Zamierzali porównać pociski i łuski ze sprawy Cohena z dowodami ze sprawy Levina. Jeśli uda się im połączyć morderstwo Levina z bronią Mickeya Cohena, wystarczy kasetka i informacja z bazy danych AFS, żeby mnie przyskrzynić. Miałem wątpliwości, czy układając swój plan, Roulet zdawał sobie sprawę, jak sprawnie policja będzie mogła zebrać dowody przeciw mnie.

Stałem, nie odzywając się do nich. Sobel wyszła z pokoju, nie zwracając na mnie uwagi, a Lankford utkwiał we mnie mordercze spojrzenie.

— Co jest, mecenasie? — spytał. — Na widok dowodu zapomniął pan języka w gębie?

Wreszcie odzyskałem mowę.

— Jak długo może potrwać badanie balistyczne? — wykrztusiłem.

— Jak dla pana postaramy się o ekspresową analizę. Niech się pan nacieszy wolnością dopóki ma pan okazję, ale niech pan nie wyjeżdża z miasta.

Roześmiał się, niemal upajając się własnym sukcesem.

— Kurczę, myślałem, że tak mówią tylko w filmach. A ja proszę — właśnie to powiedziałem! Szkoda, że nie słyszała tego moja partnerka.

Wróciła Sobel z dużą brązową torbą i czerwoną taśmą do zabezpieczania dowodów. Patrzyłem, jak wkłada kasetkę do torby i zakleja taśmą. Zastanawiałem się, ile czasu mi zostało i czy wszystkie moje plany właśnie legły w gruzach. Poczuję się tak samo pusty jak kasetka, którą Sobel zapakowała do torby z brązowego papieru.

## Rozdział 32

Fernando Valenzuela mieszkał w Valencii. O tej porze, w ostatnich godzinach szczytu, mogłem do niego dojechać w godzinę. Valenzuela kilka lat wcześniej wyprowadził się z Van Nuys, ponieważ jego trzy córki miały iść do szkoły średniej, obawiał się więc o ich bezpieczeństwo i poziom edukacji. Przeprowadził się do dzielnicy, gdzie mieszkali inni ludzie, którzy postanowili uciec z miasta, i droga do pracy zajmowała mu od pięciu do czterdziestu pięciu minut. Ale był zadowolony. Miał ładniejszy dom, a dzieci były bezpieczniejsze. Mieszkał w domu w stylu hiszpańskim krytym czerwoną dachówką, na ładnie zaprojektowanym osiedlu domów w stylu hiszpańskim krytych czerwoną dachówką. Poręczyciel nie mógłby sobie wymarzyć niczego lepszego, choć ta radość kosztowała go co miesiąc grube pieniądze.

Kiedy tam dotarłem, dochodziła dziewiąta. Zaparkowałem przed garażem, którego brama była otwarta. W środku stały minivan i pick-up. Na podłodze między pick-upem a pełnym narzędzi stołem warsztatowym stał duży karton z napisem SONY. Długi i cienki. Gdy przyjrzałem się uważniej, zobaczyłem, że to telewizor plazmowy z pięćdziesięciocalowym ekranem. Podeszedłem do frontowych drzwi i zapukałem. Po długiej chwili otworzył mi Valenzuela.

— Mick, co tu robisz?

— Wiesz, że masz otwarty garaż?

— Cholera jasna! Dopiero co przywieźli mi plazmę. Potrącając mnie, pobiegł przez podwórko zajrzeć do garażu. Zamknąłem drzwi i ruszyłem za nim. Kiedy wszedłem do garażu, Valenzuela stał z szerokim uśmiechem obok telewizora.

— Kurczę, w Van Nuys to by było nie do pomyślenia — powiedział. — Już by go dawno podpieprzyli. Chodź, wejdziemy tędy.

Ruszył w stronę drzwi w głębi garażu, które prowadziły do domu. Pstryknął włącznikiem i brama zaczęła się zamykać.

— Zaczekaj, Val — powiedziałem. — Pogadajmy tutaj. Przynajmniej nikt nie będzie nam przeszkadzał.

— Ale Maria pewnie chciałaby się przywitać.

— Może innym razem.

Podszedł do mnie z zaniepokojoną miną.

— Co jest, szefie?

— To, że spędziłem dzisiaj dużo czasu z glinami pracującymi nad morderstwem Raula. Powiedzieli mi, że Roulet jest czysty, bo tak pokazuje bransoletka.

Valenzuela z zapałem przytaknął.

— Zgadza się, przyszli do mnie parę dni po tym, kiedy to się stało. Pokazałem im system, wytłumaczyłem, jak działa, i wyciągnąłem rejestr z tamtego dnia. Zobaczyli, że był w pracy. Pokazałem im też inną bransoletkę, żeby się przekonali, że nie da rady nic z nią wykombinować. Ma czujnik masy. I nie można jej zdjąć. Kiedy bransoletka zobaczy, że nie jest na nodze, po chwili o tym wiem.

Oparłem się o pick-upa i założyłem ręce.

— A czy ci gliniarze pytali, gdzie ty byłeś we wtorek? Valenzuela wyglądał, jakby dostał w twarz.

— Coś ty powiedział, Mick?

Zerknąłem na karton z telewizorem, a potem spojrzałem mu w oczy.

— Jakimś cudem udało mu się zabić Raula, Val. Teraz dobrali mi się do tyłka i chcę wiedzieć, jak on to zrobił.

— Mick, mówię ci, że facet jest czysty. Nie ma siły, żeby zdjął bransoletkę. Maszyna nie kłamie.

— Tak, wiem, że maszyna nie kłamie...

Po chwili dotarło do niego.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Mick?

Przysunął się do mnie, przyjmując wojowniczą pozę. Przestałem się opierać o bok samochodu i opuściłem ręce.

— Tylko pytam, Val. Gdzie byłeś we wtorek rano?

— Skurwysynu, jak śmiesz mnie o to pytać?!

Sprężył się jak gotowy do skoku drapieżnik. Na moment straciłem czujność, zdając sobie sprawę, że nazwał mnie tak samo, jak ja dziś rano nazwałem Rouleta.

Valenzuela rzucił się naprzód i brutalnie pchnął mnie na pick-upa. Odepchnąłem go mocniej. Wpadł plecami na karton z telewizorem, który przechylił się i upadł na podłogę z głuchym hukiem. Valenzuela siłą bezwładu usiadł na pudle. Rozległ się suchy trzask.

— Kurwa! — krzyknął. — Kurwa! Rozwaliłeś ekran!

— Sam mnie popchnąłeś, Val. Tylko się broniłem.

— Kurwa!

Zerwał się z kartonu i usiłował postawić go z powrotem, ale pudło było ciężkie i nieporęczne. Podszedłem z drugiej strony i pomogłem mu. Stawiając karton pionowo, usłyszeliśmy, jak wewnątrz coś zagrzechotało. Jak kawałki szkła.

— Kurwa mać! — wrzasnął Valenzuela.

Otworzyły się drzwi w głębi garażu i wyrzała zza nich jego żona, Maria.

— Cześć, Mickey. Val, co to za hałasy?

— Wracaj do domu — warknął w odpowiedzi jej mąż.

— Ale ci się...

— Zamknij się i wracaj do domu!

Patrzyła na nas przez chwilę, po czym zamknęła drzwi. Usłyszałem chrobot przekręcanego klucza. Wyglądało na to, że dziś Valenzuela będzie spać z rozbitym telewizorem. Zerknąłem na niego. Miał otwarte usta.

— Kosztował osiem tysięcy — wyszeptał wstrząśnięty.  
— Robią telewizory za osiem tysięcy dolarów?  
Byłem zdumiony. Dokąd zmierzał ten świat?  
— Była promocja.  
— Val, skąd wzięłeś pieniądze na telewizor za osiem tysięcy?  
cy?

Spojrzał na mnie i w jego oczach znów zamigotała wściekłość.

— A jak, kurwa, myślisz? Z interesu. Dzięki Rouletowi mam fantastyczny rok. Ale cholera, Mick, nie zdjąłem mu smyczy, żeby poszedł zabić Raula. Znałem Raula tak samo długo jak ty. Nie zrobiłem tego. Nie założyłem sobie bransoletki, kiedy poszedł zabić Raula. Ani nie poszedłem sam zabić Raula, żeby kupić sobie telewizor. Jak nie wierzysz, to wypieprzaj stąd i wynoś się z mojego życia!

Wyrzucił to z siebie z rozpaczą rannego zwierzęcia. Przypomniałem sobie twarz Jesusa Menendezza. Nie potrafiłem uwierzyć w jego niewinność, kiedy mnie o niej zapewniał. Nie chciałem drugi raz popełnić tego błędu.

— W porządku, Val — powiedziałem.

Podszedłem do drzwi i wcisnąłem włącznik otwierający bramę garażu. Kiedy się odwróciłem, Valenzuela wziął ze stołu warsztatowego składany nóż i zaczął rozcinać taśmę u góry kartonu. Jak gdyby chciał się na własne oczy przekonać o tym, co już wiedzieliśmy. Minąłem go i wyszedłem z garażu.

— Oddam ci połowę za ten telewizor — powiedziałem. — Jutro rano Lorna przyśle ci czek.

— Nie trzeba. Powiem im, że przywieźli go w takim stanie.

Stojąc już przy samochodzie, odwróciłem się do niego.

— To zadzwoń, gdy cię aresztują za oszustwo. Kiedy już wpłacisz za siebie kaucję.

Wsiadłem do lincolna i wycofałem go z podjazdu. Zerknąłem do garażu, Valenzuela przestał rozcinać karton i stał, odprowadzając mnie wzrokiem.

Ruch w stronę miasta był niewielki i wróciłem dość szybko. Kiedy wchodziłem do domu, zadzwonił telefon. Odebrałem go

w kuchni, spodziewając się, że to Valenzuela, który chce mnie poinformować, że przenosi się z interesem do innego adwokata. Nie przejąłbym się taką decyzją. Ale dzwoniła Maggie McPherson.

— Wszystko w porządku? — spytałem.

— Tak.

— Gdzie jest Hayley?

— Śpi. Czekałam z telefonem, aż zaśnie.

— Co się dzieje?

— Dzisiaj w biurze krążyły jakieś dziwne plotki o tobie.

— Mówisz o tym, że niby zamordowałem Raula Levina?

— Haller, to coś poważnego?

Kuchnia była za mała, aby wstawić do niej stół i krzesła. Przez krótki kabel nie mogłem odejść za daleko, przysiadłem więc na blacie. Przez okno nad zlewem widziałem mrugające w oddali światła centrum miasta i łunę na horyzoncie nad stadionem Dodgersów.

— Przymiarkuję, że tak, sytuacja jest poważna. Wrabiają mnie w morderstwo Raula.

— O Boże, Michael, jak to możliwe?

— Jest kilka składników — zły klient, gliniarz z urazem na punkcie prawników, głupi adwokat. Wystarczy doprawić solą i pieprzem — palce lizać.

— Chodzi o Rouleta? To przez niego?

— Nie mogę z tobą rozmawiać o swoich klientach, Maggie.

— Co więc zamierzasz zrobić?

— Nie martw się. Panuję nad sytuacją. Wszystko będzie dobrze.

— A Hayley?

Wiedziałem, o co pyta. Ostrzegła mnie, żeby moje kłopoty w żaden sposób nie dotknęły Hayley. Żeby nie musiała słuchać w szkole, że jej ojciec jest podejrzany o morderstwo, a jego twarz pokazują w telewizji i na pierwszych stronach gazet.

— Możesz być spokojna. Hayley o niczym się nie dowie. Nikt się nie dowie, jeżeli dobrze to rozegram.

Maggie milczała, a ja nie mogłem wymyślić nic innego, aby ją uspokoić. Zmieniłem temat. Starłem się, żeby w moim głosie zabrzmiał ton pewności siebie, a nawet beztrzeski.

— A jak po rozprawie wyglądał dzisiaj wasz Minton?

Z początku nie odpowiedziała, nie mając chyba ochoty zmieniać tematu.

— Nie wiem. Wyglądał normalnie. Ale Smithson wysłał do niego obserwatora, bo to jego pierwszy występ solo.

Skinąłem głową. Liczyłem na to, że Smithson, szef prokuratury w Van Nuys, przyśle kogoś, by miał oko na Mintona.

— Były jakieś wnioski z obserwacji?

— Nie, jeszcze nie. W każdym razie nic nie słyszałam. Słuchaj, Haller, naprawdę się tym martwię. Podobno doręczyli ci dzisiaj w sądzie nakaz. To prawda?

— Tak, ale nie przejmuj się. Powtarzam, panuję nad sytuacją. I wszystko dobrze się skończy. Obiecuję.

Wiedziałem, że nie zdołałem rozwiać jej obaw. Myślała o naszej córce i prawdopodobieństwie skandalu. Być może trochę myślała też o sobie i o tym, jakie miałyby szanse na awans, gdyby jej były mąż został wykluczony z adwokatury i oskarżony o morderstwo.

— Poza tym, gdyby wszystko się rozpieprzyło, masz być moją pierwszą klientką, pamiętasz?

— O czym ty mówisz?

— O firmie Wynajem Limuzyn Adwokackich. Miałaś skorzysać z jej usług, pamiętasz?

— Haller, to naprawdę nie pora na żarty.

— Nie żartuję, Maggie. Myślałem o tym, żeby rzucić tę robotę. Zanim jeszcze wdepnąłem w to gówno. Mówiłem ci tamtego wieczoru. Dłużej nie mogę.

W słuchawce zapadła cisza.

— Bez względu na to, co postanowisz, Hayley i ja przyjmujemy twój wybór.

Skinąłem głową.



— Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem wam za to wdzięczny.  
Westchnęła.

— Nie wiem, jak to robisz, Haller.

— Co takiego?

— Jesteś wrednym adwokatem, masz dwie byłe żony i ośmioletnią córkę. I wszystkie ciągle cię kochamy.

Teraz ja zamilkłem. Mimo wszystko musiałem się uśmiechnąć.

— Dziękuję, Maggie McPershing — powiedziałem wreszcie.

— Dobranoc.

I odłożyłem słuchawkę.

Wtorek, 24 maja

## Rozdział 33

Drugi dzień procesu zaczął się od wezwania Mintona i mnie do gabinetu sędzi. Constance Fullbright chciała porozmawiać tylko ze mną, ale zgodnie z przepisami procesowymi nie mogła spotykać się na osobności tylko ze mną w żadnej sprawie, jeśli nie towarzyszył nam przedstawiciel oskarżenia. Miała przestronny gabinet, w którym stało biurko, krzesła dla gości i trzy zajmujące całe ściany regały pełne książek prawniczych. Wskazała nam miejsce naprzeciwko biurka.

— Panie Minton — zaczęła. — Nie mogę zabronić panu słuchać, ale zamierzam porozmawiać z panem Hallerem. Oczekuję, że nie będzie się pan wtrącał do naszej rozmowy, ponieważ nie dotyczy ona ani pana, ani, o ile wiem, sprawy Rouleta.

Zaskoczony Minton nie bardzo wiedział, jak zareagować. Otworzył tylko bezradnie usta. Sędzia zwróciła się w moją stronę, kładąc dłoń na blacie biurka.

— Panie Haller, czy ma mi pan coś do zakomunikowania? Proszę pamiętać, że siedzi pan obok prokuratora.

— Nie, wszystko jest w absolutnym porządku. Przepraszam, że wczoraj była pani przeze mnie niepokojona.

Przywołałem na twarz uśmiech skruchy, który miał świadczyć, że nakaz rewizji był tylko kłopotliwym i niewartym uwagi szczegółem.

— Nie chodzi o mój spokój, panie Haller. Poświęciliśmy już tej sprawie dużo czasu. Przysięgli, oskarżenie, wszyscy. Mam nadzieję, że ten czas nie okaże się zmarnowany. Nie mam ochoty powtarzać wszystkiego od początku. Mój terminarz pęka w szwach.

— Przepraszam — włączył się Minton. — Czy mogę zapytać...

— Nie, nie może pan — ucięła sędzia. — Nasza rozmowa nie dotyczy meritum procesu, tylko czasu jego trwania. Jeśli pan Haller zapewnia mnie, że nic nam nie przeszkodzi, wierzę mu na słowo. Nie sądzę, żeby potrzebował pan bliższych wyjaśnień.

Utkwiła we mnie znaczące spojrzenie.

— Czy mam pańskie słowo, panie Haller?

Zawahałem się przez moment. Sędzia dawała mi do zrozumienia, że jeśli złamię słowo i śledztwo policji z Glendale spowoduje przerwanie procesu Rouleta, nie ujdzie mi to na sucho.

— Ma pani moje słowo — powiedziałem.

Natychmiast wstała i skierowała się do wieszaka w rogu pomieszczenia. Wisiała tam jej czarna toga.

— Doskonale, panowie, a więc bierzmy się do pracy. Przysięgli czekają.

Razem z Mintonem opuściliśmy gabinet i weszliśmy do sali rozpraw, przechodząc obok biurka asystentki. Roulet siedział przy stole, czekając na mnie.

— Cholera, o co chodziło? — spytał mnie szeptem Minton.

Udawał głupiego. Na pewno słyszał krążące po prokuraturze plotki, o których wspominała Maggie.

— O nic, Ted. Takie tam bzdury związane z inną sprawą. Zamierzasz dzisiaj skończyć?

— To zależy od ciebie. Im dłużej będziesz wciskał kit, tym dłużej będę go musiał wydłubywać.

— Kit, co? Leżysz i krwawisz, i nawet o tym nie wiesz.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie sędzę.

— Umierasz powoli, Ted, jak gdyby pocięło cię tysiąc brzytw. Jedna rana to głupstwo, ale tysiąc to koniec. Witaj w sądzie karnym.

Oddaliłem się od niego, podchodząc do stołu obrony. Gdy tylko usiadłem, Roulet nachylił się do mojego ucha.

— Po co była ta narada u sędzi? — spytał szeptem.

— Po nic. Ostrzegła mnie tylko, żebym podczas przesłuchania nie potraktował ofiary zbyt brutalnie.

— Kogo, tej kobiety? Nazwała ją ofiarą?

— Louis, po pierwsze, staraj się nie podnosić głosu. A po drugie, ona naprawdę jest ofiarą w tej historii. Masz taką rzadką zdolność, że potrafisz sam się przekonać do wszystkiego, ale musimy — to znaczy ja muszę — przekonać przysięgłych.

Nagana spłynęła po nim jak woda po gęsi.

— Co ci dokładnie powiedziała?

— Że nie da mi zbyt dużej swobody w przesłuchaniu. Przypomniała mi, że Regina Campo jest w tej sprawie ofiarą.

— Liczę, że rozedrzesz ją na strzępy, że zacytuję twoje własne słowa z pierwszego dnia naszej współpracy.

— Cóż, od pierwszego dnia naszej współpracy wiele rzeczy się zmieniło, nie sądzisz? Przez twój sprytny plan z pistoletem za chwilę wszystko mi się zawali. Ale oświadczam ci, że nie zamierzam iść do pudła. Jeżeli przez resztę życia będę musiał wozić ludzi na lotnisko, chętnie się na to zgodzę, jeśli nie będę miał innego wyjścia. Rozumiesz, Louis?

— Rozumiem, Mick — odparł gładko. — Jestem pewien, że coś wykombinujesz. Cwaniak z ciebie.

Spojrzałem na niego. Na szczęście nie musiałem mu odpowiadać. Woźny zarządził ciszę i sędzia Fullbright zajęła swoje miejsce.

Tego dnia pierwszym świadkiem Mintona był detektyw z Departamentu Policji Los Angeles Martin Booker. Oskarżenie nie mogło sobie wymarzyć lepszego świadka. Był jak opoka. Odpowiadał na pytania zwięźle, precyzyjnie i bez wahania. Booker

przedstawił kluczowy dowód rzeczowy — nóż z inicjałami mojego klienta — i pod kierunkiem Mintona zdał przysięgłym relację z przebiegu śledztwa w sprawie napaści na Reginę Campo.

Zeznał, że wieczorem szóstego marca miał nocną służbę w biurze Doliny w Van Nuys. Został wezwany do mieszkania Reginy Campo przez dowódcę zmiany z komendy West Valley, który po meldunku funkcjonariuszy patrolu uznał, że napaść na Reginę Campo wymaga natychmiastowej interwencji oficera śledczego. Booker wyjaśnił, że sześć biur detektywów w Dolinie pracuje w pełnym składzie tylko w ciągu dnia. Detektyw pełniący nocną służbę odpowiada na nagłe wezwania i często rozpoczyna śledztwo w sprawach niecierpiących zwłoki.

— Dlaczego uznano tę sprawę za niecierpiącą zwłoki, detektywie? — zapytał Minton.

— Ze względu na obrażenia ofiary, aresztowanie podejrzanego i przypuszczenie, że udało się zapobiec popełnieniu poważniejszego przestępstwa — odparł Booker.

— Jakiego poważniejszego przestępstwa?

— Morderstwa. Wszystko wskazywało na to, że podejrzany zamierzał ją zabić.

Mogłem w tym momencie zgłosić sprzeciw, ale planowałem wykorzystać ten wątek w swoim przesłuchaniu, dlatego dałem sobie spokój.

Minton wypytał Bookera o poszczególne czynności śledcze na miejscu zdarzenia i potem, gdy przesłuchiwał Campo w szpitalu.

— Zanim udał się pan do szpitala, posterunkowi Maxwell i Santos poinformowali pana, jak ofiara przedstawiła przebieg wypadków, zgadza się?

— Owszem, w ogólnym zarysie.

— Czy powiedzieli panu, że ofiara zarabia na życie świadczeniem usług seksualnych?

— Nie, nie powiedzieli.

— Kiedy się pan o tym dowiedział?

— Zacząłem odnosić takie wrażenie, kiedy byłem w jej mieszkaniu i zobaczyłem przedmioty, jakie się w nim znajdowały.

— Jakie przedmioty?

— Określiłbym je jako akcesoria erotyczne. W szafie w jednej z dwóch sypialni znalazłem tylko przezroczyste szlafroczi i prowokacyjne stroje o charakterze erotycznym. W pomieszczeniu stał także telewizor, a w szufladach pod nim znajdowała się kolekcja kaset pornograficznych. Powiedziano mi, że ofiara mieszka sama, ale wszystko wskazywało na to, że używane były obydwie sypialnie. Zacząłem podejrzewać, że właścicielka mieszkania sypia w jednym pokoju, kiedy jest sama, a drugi służy jej do prowadzenia działalności zawodowej.

— Warsztat pracy?

— Można to tak nazwać.

— Czy te odkrycia zmieniły pana opinię o ofierze napaści?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Bo każdy może być ofiarą. prostytutka i papież, nieważne.

Ofiara to ofiara.

Dobrze to przeciwczyli, pomyślałem. Minton zaznaczył coś w notatniku i kontynuował przesłuchanie.

— Kiedy przybył pan do szpitala, czy zapytał pan ofiarę o słuszność swojej teorii dotyczącej obu sypialni i charakteru jej pracy zarobkowej?

— Tak, zapytałem.

— I co panu odpowiedziała?

— Oświadczyła wprost, że jest panienką. Nie próbowała tego ukrywać.

— Czy coś w jej zeznaniu różniło się od relacji o napaści, które zebrał pan na miejscu zdarzenia?

— Nie, nic. Powiedziała, że otworzyła drzwi oskarżonemu, który natychmiast uderzył ją w twarz i wepchnął do mieszkania. Tam zadał jej więcej ciosów i wyciągnął nóż. Powiedział, że ją zgwałci, a potem zabije.

Minton dalej zgłębiał szczegóły śledztwa, zaczynając powoli nudzić przysięgłych. Kiedy nie zapisywałem pytań, które chciałem zadać Bookerowi, spoglądałem na przysięgłych i zauważyłem, że natłok informacji wyraźnie ich dekoncentruje.

Wreszcie, po dziewięćdziesięciu minutach przesłuchiwania detektywa przez oskarżenie, nadeszła moja kolej. Planowałem szybko to załatwić. Podczas gdy Minton dokonywał wiwisekcji całej sprawy, ja chciałem wkroczyć i wydłubać chrząstki z kolan.

— Detektywie Booker, czy Regina Campo wyjaśniła panu, dlaczego skłamała policji?

— W rozmowie ze mną nie skłamała.

— Być może w rozmowie z panem nie, ale funkcjonariuszom z patrolu, Maxwell i Santosowi, powiedziała, że nie wie, dlaczego podejrzany przyszedł do jej mieszkania.

— Nie byłem obecny przy tej rozmowie, więc nie mogę zeznać, czy tak było. Wiem tylko, że była przerażona, bo właśnie została pobita i zagrożono jej gwałtem i śmiercią.

— Twierdzi więc pan, że w takich okolicznościach dopuszczalne jest okłamywanie policji.

— Nie, tego nie powiedziałem.

Zerknąłem do notatek. Nie zamierzałem trzymać się ustalonego porządku pytań. Strzelałem na chybił trafił, próbując wytrącić go z równowagi.

— Czy sporządził pan spis garderoby, jaką znalazł pan w sypialni, której pańskim zdaniem pani Campo używała do uprawiania prostytucji?

— Nie. To było tylko moje spostrzeżenie. Uznałem, że nie jest istotne dla śledztwa.

— Czy któryś z tych kostiumów w szafie mógłby być stosownym strojem do seksualnych praktyk sadomasochistycznych?

— Nie potrafię tego ocenić. Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie.

— A kasety pornograficzne? Czy spisał pan ich tytuły?

— Nie. Powtarzam, nie sądziłem, aby mogły mieć związek ze śledztwem, którego celem było ustalenie sprawy tej brutalnej napaści.

— Przypomina pan sobie, czy tematem któregoś z tych filmów nie był sadomasochizm, krępowanie czy praktyki podobnej natury?

— Nie, nie przypominam sobie.

— Czy pouczył pan panią Campo, aby pozbyła się kaset i strojów przed wizytą przedstawicieli obrony pana Rouleta w mieszkaniu?

— Oczywiście, że nie.

Zaznaczyłem to w notatniku i kontynuowałem.

— Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z panem Rouletem o tym, co się zdarzyło tamtego wieczoru w mieszkaniu pani Campo?

— Nie, nie zdążyłem. Zastłonił się adwokatem.

— Rozumiem, że chce pan przez to powiedzieć, iż skorzystał z konstytucyjnego prawa do milczenia?

— Tak, tak właśnie zrobił.

— Czyli według pańskiej wiedzy nigdy nie rozmawiał z policją o tym, co zaszło?

— Zgadza się.

— Czy pańskim zdaniem pani Campo została uderzona z dużą siłą?

— Sądzę, że tak. Miała poważne rany cięte i opuchliznę twarzy.

— Proszę więc opowiedzieć przysięgłym o spowodowanych ciosami obrażeniach, jakie znalazł pan na rękach pana Rouleta.

— Owinął pięść tkaniną, żeby ochronić rękę. Nie miał żadnych widocznych obrażeń dłoni.

— Czy udokumentował pan ten brak obrażeń?

Booker był zdumiony pytaniem.

— Nie — odrzekł.

— Czyli polecił pan udokumentować i sfotografować obrażenia pani Campo, ale nie widział pan potrzeby, aby udokumentować brak obrażeń pana Rouleta, zgadza się?



— Nie wydawało mi się konieczne fotografowanie czegoś, czego nie było.

— Skąd pan wie, że owinął pięść tkaniną, aby ochronić rękę?

— Pani Campo powiedziała mi, że tuż przed zadaniem ciosu miał owiniętą rękę.

— Czy znalazł pan tę tkaninę, którą rzekomo owinął sobie rękę?

— Tak, była w mieszkaniu. To taka serwetka jak z restauracji. Znaleziono na niej krew ofiary.

— Czy była na niej krew pana Rouleta?

— Nie.

— Czy jakiś szczegół umożliwił identyfikację serwetki jako należącej do oskarżonego?

— Nie.

— Czyli dowodem na to były tylko słowa pani Campo, czy tak?

— Tak.

Odczekałem chwilę, zapisując coś w notatniku. Po chwili podjąłem przesłuchanie.

— Detektywie, kiedy się pan dowiedział, że Louis Roulet zaprzeczył, jakoby zaatakował panią Campo i jej groził, oraz że zamierza zdecydowanie bronić się przed stawianymi mu zarzutami?

— Chyba wtedy, kiedy zatrudnił pana.

Przez salę przemknął stłumiony śmiech.

— Czy brał pan pod uwagę inne przyczyny powstania obrażeń pani Campo?

— Nie, powiedziała mi, co się stało. Uwierzyłem jej. Oskarżony pobił ją i zamierzał...

— Dziękuję, detektywie Booker. Proszę tylko odpowiedzieć na postawione pytanie.

— Właśnie odpowiedziałem.

— Jeśli nie szukał pan innych przyczyn, ponieważ uwierzył pan w relację pani Campo, czy można powiedzieć, że wszystkie zarzuty opierają się jedynie na jej słowach i tym, co według niej zdarzyło się w jej mieszkaniu wieczorem szóstego marca?

Booker zastanawiał się przez chwilę. Wiedział, że prowadzę go prosto w pułapkę, którą sam zmontował, a takie są najbardziej niebezpieczne.

— Nie tylko na jej słowach — odrzekł, sądząc, że znalazł wyjście. — Są jeszcze dowody fizyczne. Nóż. Jej obrażenia. To więcej niż słowa.

Energicznie pokiwał głową.

— Ale czyż przedstawiona przez oskarżenie przyczyna powstania obrażeń i inne dowody nie biorą początku z jej opowieści o tym, co zaszło?

— Można tak powiedzieć — przyznał niechętnie.

— A więc jest drzewem, na którym wyrosły wszystkie te owoce, czy tak?

— Chyba nie użyłbym takich słów.

— Wobec tego jakich słów pan by użył, detektywie?

Miałem go. Booker dosłownie wił się na krześle. Minton wstał i zgłosił sprzeciw, twierdząc, że zadręczam świadka. Musiał to chyba usłyszeć w jakimś filmie albo w telewizji. Sędzia kazała mu usiąść.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie, detektywie — powiedziała.

— Jak brzmiało pytanie? — Booker próbował zyskać na czasie.

— Nie zgodził się pan ze mną, kiedy nazwałem panią Campo drzewem, na którym wyrosły wszystkie dowody w sprawie — odrzekłem. — Jeżeli się mylę, to jak określiłby pan jej rolę?

Booker uniósł ręce w geście kapitulacji.

— Jest ofiarą! Oczywiście, że jest ważna, bo opowiedziała nam, co się stało. Musimy polegać na jej słowach, żeby ustalić kierunek śledztwa.

— W tej sprawie polegacie przede wszystkim na jej słowach, prawda? Na słowach ofiary i głównego świadka przeciw słowom oskarżonego, zgadza się?

— Tak.

— Kto jeszcze widział, jak oskarżony zaatakował panią Campo?

— Nikt więcej.

Skinąłem głową, chcąc podkreślić wagę tej odpowiedzi. Spojrzałem przy tym w oczy przysięgłych siedzących w pierwszym rzędzie.

— No dobrze, detektywie — powiedziałem. — Chciałbym teraz pana spytać o Charlesa Talbota. Jak się pan o nim dowiedział?

— Hm, polecił mi go znaleźć prokurator, pan Minton.

— A czy wie pan, skąd pan Minton dowiedział się o jego istnieniu?

— Przypuszczam, że to pan go poinformował. Miał pan taśmę wideo z baru, na której widać go w towarzystwie ofiary dwie godziny przed zdarzeniem.

Wiedziałem, że to dobry moment na pokazanie nagrania, ale chciałem z tym poczekać. Chciałem, żeby na miejscu dla świadka siedziała ofiara, kiedy przysięgli będą oglądać wideo.

— Wcześniej nie uważał pan, że powinien znaleźć tego człowieka?

— Nie, po prostu nic o nim nie wiedziałem.

— A kiedy wreszcie dowiedział się pan o Talbocie i odnalazł go, czy zbadano jego lewą dłoń, aby ustalić, czy miał jakieś obrażenia, które mogły powstać w wyniku kilkakrotnego uderzenia kogoś w twarz?

— Nie, nie zrobiono tego.

— Dlatego, że był pan przekonany co do swojego wyboru pana Rouleta jako osoby, która uderzyła Reginę Campo?

— To nie była kwestia wyboru. Do takiego wniosku doprowadziło śledztwo. Charlesa Talbota odnalazłem dopiero dwa tygodnie po dokonaniu przestępstwa.

— Twierdzi pan więc, że gdyby miał jakieś obrażenia, do tego czasu już by się zagoiły, zgadza się?

— Nie jestem ekspertem, ale wydaje mi się, że tak.

— Czyli w ogóle nie oglądał pan jego ręki?

- Nie, dokładnie się jej nie przyglądałem.
- Czy przesłuchiwał pan współpracowników pani Talbota i pytał, czy zauważyli stłuczenia lub inne obrażenia w czasie, kiedy popełniono przestępstwo?
- Nie, nie przesłuchiwałem.
- A więc brał pan pod uwagę tylko i wyłącznie pana Rouleta?
- To nie tak. Badam każdą sprawę, analizując wszystkie możliwości. Ale Roulet był na miejscu zdarzenia i został zatrzymany. Ofiara rozpoznała w nim napastnika. Dlatego od początku był podejrzany.
- Był jednym z podejrzanych czy jedynym podejrzanym, detektywie?
- Najpierw był po prostu podejrzany, ale później — kiedy znaleźliśmy jego inicjały na nożu, który przyłożono do szyi Reggie Campo — można powiedzieć, że stał się jedynym podejrzanym.
- Skąd pan wie, że ten nóż przyłożono do szyi pani Campo?
- Ponieważ nam o tym powiedziała, a poza tym miała nakłucie na skórze.
- Chce pan powiedzieć, że przeprowadzono jakąś analizę kryminalistyczną w celu potwierdzenia, że rana powstała od przyłożenia tego właśnie noża?
- Nie, to było niemożliwe.
- A więc znów mamy tylko słowa pani Campo na dowód, że nóż przyłożył jej do szyi pan Roulet.
- Nie miałem powodu w to wątpić. I nadal nie mam.
- Domyślałem się, że nie znając żadnych wyjaśnień, uznałby pan nóż z inicjałami oskarżonego za niezwykle istotny dowód winy, czy tak?
- Tak. Nawet gdybym znał wyjaśnienia. Oskarżony przyniósł ze sobą nóż w jednym celu.
- Czyżby umiał pan czytać w myślach, detektywie?
- Nie. Umiem dedukować. I mówię o wnioskach, jakie wyciągnąłem.

- Jakie pan wyciągnął...
- Na podstawie dowodów w sprawie.
- Cieszę się, że jest pan tak pewny. Na razie nie mam więcej pytań. Zastrzegam sobie prawo powołania detektywa Bookera na świadka obrony.

Nie zamierzałem wzywać Bookera, ale uznałem, że taka groźba zabrzmi dobrze w uszach przysięgłych.

Wróciłem na miejsce, podczas gdy Minton usiłował opatrywać rany Bookera, zadając mu pytania uzupełniające. Ale szkody zostały już wyrządzone i niewiele mógł zrobić. Booker był tylko rozgrzewką dla obrony. Prawdziwa katastrofa miała nastąpić później.

Kiedy Booker opuścił miejsce dla świadków, sędzia zarządziła przedpołudniową przerwę. Powiedziała przysięgłym, że rozprawa zostanie wznowiona za piętnaście minut, ale wiedziałem, że przerwa będzie dłuższa. Sędzia Fullbright była nałogowym palaczem i swego czasu było głośno o karach administracyjnych, jakie nałożono na nią za przemykanie papierosów do gabinetu. Aby uniknąć kolejnych skandali, musiała więc zjeżdżać windą na sam dół, wychodzić z budynku i stawać w bramie, którą wjeżdżały furgonetki z aresztantami. Uznałem, że mam co najmniej pół godziny.

Wyszedłem na korytarz porozmawiać z Mary Alice Windsor i zadzwonić. Wyglądało na to, że w popołudniowej sesji będą już zeznawać moi świadkowie.

Podszedł do mnie Roulet, który chciał porozmawiać o moim przesłuchaniu Bookera.

— Moim zdaniem poszło nam naprawdę dobrze — powiedział.

— Nam?

— Wiesz, co mam na myśli.

— Nie możesz wiedzieć, czy dobrze poszło, dopóki nie usłyszysz wyroku. Daj mi teraz spokój, Louis. Muszę zadzwonić. Gdzie jest twoja matka? Prawdopodobnie będzie potrzebna po południu. Zamierza tu dzisiaj przyjść?

— Rano miała spotkanie, ale będzie. Zadzwoń do Cecila, on ją przywiezie.

Kiedy odszedł, stanął przede mną detektyw Booker i wycelował palec w moją twarz.

— Nic z tego nie będzie, Haller — oświadczył.

— Z czego?

— Z tej głównianej obrony. Rozbijesz sobie łeb.

— Zobaczymy.

— Tak, zobaczymy. Swoją drogą trzeba mieć tupet, żeby próbować zwalić to na Talbota. Nie lada tupet.

— Robię, co do mnie należy, detektywie.

— Też mi robota. Zarabiasz na kłamstwie. Mydlisz ludziom oczy, żeby nie widzieli prawdy. Żyjesz w świecie bez prawdy. Coś ci powiem. Wiesz, jaka jest różnica między sumem a prawnikiem?

— Nie, jaka?

— Jedno to śliskie bydlę żerujące w mętnej wodzie. Drugie to ryba.

— Dobre, detektywie.

Odszedł, a ja stałem na korytarzu, uśmiechając się do siebie. Nie z powodu żartu ani dlatego, że to prawdopodobnie Lankford, powtarzając dowcip Bookerowi, postanowił odnieść obelgę do wszystkich prawników zamiast tylko do adwokatów. Uśmiechnąłem się, bo dowcip stanowił potwierdzenie, że Lankford i Booker byli ze sobą w kontakcie. Rozmawiali ze sobą, co oznaczało, że gra jeszcze się toczyła. Mój plan wciąż mógł się powieść. Jeszcze miałem szansę.

## Rozdział 34

Każdy proces ma swój gwóźdź programu. Świadka czy dowód, który ostatecznie przechyla szalę w jedną albo drugą stronę. W tej sprawie gwóźdź programu nazywał się Regina Campo, ofiara i oskarżycielka, której występ i zeznanie miało rozstrzygnąć wszystko. Ale dobry adwokat zawsze ma w zanadrzu dublera. I miałem — świadka ukrytego za kulisami i czekającego, by ostatecznie przesądzić o wyniku procesu.

Mimo to, kiedy po przerwie Minton wezwał na świadka Reginę Campo, oczy wszystkich zwróciły się na nią i śledziły ją od wejścia na salę aż do wyznaczonego miejsca. Przysięgli po raz pierwszy mieli okazję ujrzeć ją osobiście. Ja też zobaczyłem ją pierwszy raz. Zdziwiłem się, ale niemile. Jej niepewny krok i filigranowa, krucha sylwetka zupełnie nie pasowały do wizerunku podstępnej intrygantki, jaki mozolnie odmalowywałem przed przysięgłymi.

Trzeba przyznać, że Minton szybko się uczył. Podczas przesłuchania Campo doszedł do wniosku, że mniej znaczy lepiej. Starał się być oszczędny w słowach. Zanim przeszedł do przebiegu wypadków z szóstego marca, zadał kilka ogólnych pytań dotyczących jej osoby.

Historia życia Reginy Campo była banalna i smutna, i to właśnie Minton chciał wykorzystać. Atrakcyjna młoda kobieta przed dziesięcioma laty przyjechała do Hollywood z Indiany, marząc o sławie gwiazdy filmowej. Na początku kariery udało się jej

wystąpić w paru programach telewizyjnych. Była nową twarzą i zawsze znalazł się ktoś gotów obsadzić ją w małej, nieważnej rólce. Kiedy jednak przestała być nową twarzą, znalazła pracę w filmach nadawanych przez telewizję kablowe, gdzie często musiała pokazywać się nago. Dorabiała jako modelka, pozując nago i od czasu do czasu odwdzięczając się za różne przysługi seksem. W końcu porzuciła wszelkie pozory i zaczęła uprawiać seks za pieniądze. Feralnego wieczoru trafiła do baru, gdzie spotkała Louisa Rouleta.

Wersja zdarzeń przedstawiona przez Reginę Campo na sali rozpraw nie odbiegała od relacji poprzednich świadków. Była jednak skrajnie odmienna w formie. Campo, o drobnej twarzy i ciemnych, kręconych włosach, wyglądała jak bezbronna mała dziewczynka. W trakcie drugiej części zeznania wydawała się zalękniona i bliska płaczu. Kiedy wskazała mężczyznę, w którym rozpoznała napastnika, jej usta i palec drżały ze strachu. Roulet patrzył na nią z obojętną miną.

— To on — wyrzuciła z siebie. — Taką bestię powinno się zamknąć!

Postanowiłem nie zgłaszać sprzeciwu. Czekałem na swoją kolej. Minton kontynuował przesłuchanie, skupiając się przez chwilę na jej ucieczce, a potem zapytał, dlaczego nie powiedziała prawdy funkcjonariuszom z patrolu, że wie, kim jest mężczyzna, który ją zaatakował, i po co przyszedł.

— Nie miałam odwagi — powiedziała. — Nie byłam pewna, czy mi uwierzą, gdybym im powiedziała, po co przyszedł. Chciałam tylko, żeby go aresztowali, bo bardzo się go bałam.

— Czy teraz żałuje pani tej decyzji?

— Tak, żałuję, bo wiem, że mógłby to wykorzystać, by go zwolniono, a wtedy mógłby zrobić to samo komuś innemu.

Zaprotestowałem, uznając odpowiedź za szkodzącą mojemu klientowi, a sędzia podtrzymała sprzeciw. Minton zadał jeszcze kilka pytań, ale chyba wiedział, że ma już za sobą punkt kulminacyjny i powinien zakończyć, dopóki przysięgli mają w pamięci



drżący palec, którym wskazała winowajcę.

Campo zeznawała przez niecałą godzinę. Dochodziło wpół do dwunastej, ale sędzia nie ogłosiła przerwy na lunch, jak się spodziewałem. Oznajmiła przysięgłym, że chce przeprowadzić jak najwięcej przesłuchań podczas pierwszej sesji, po której wszyscy udadzą się na spóźniony i krótki lunch. Zastanawiałem się, czy wiedziała o czymś, czego ja nie wiedziałem. Czyżby w trakcie krótkiej przerwy dzwoniła do niej policja z Glendale, ostrzegając, że mam zostać aresztowany?

— Panie Haller, świadek czeka — przynagliła mnie.

Podszedłem do pulpitu, zaglądając do notatek. Jeśli miałem użyć do obrony tysiąca brzytw, to przynajmniej połowa z nich musiała zadać rany temu świadkowi. Byłem gotów.

— Pani Campo, czy zatrudniła pani adwokata w celu złożenia pozwu cywilnego przeciw panu Rouletowi w związku z rzekomym zdarzeniem szóstego marca?

Odniosłem wrażenie, jakby spodziewała się tego pytania, ale nie na początku przesłuchania.

— Nie.

— Czy rozmawiała pani z adwokatem o tej sprawie?

— Nikogo nie zatrudniłam i nie złożyłam pozwu. Zależy mi tylko na tym, żeby spotkała go zasłużona...

— Pani Campo — przerwałem jej. — Nie pytałem, czy zatrudniła pani adwokata ani na czym pani zależy. Pytałem, czy rozmawiała pani z adwokatem — jakimkolwiek adwokatem — o tej sprawie i możliwości wszczęcia postępowania cywilnego przeciwko panu Rouletowi.

Patrzyła na mnie z uwagą, starając się odgadnąć, co się za tym kryje. Mówiłem z przekonaniem, jak gdybym coś wiedział, jak gdybym miał na nią haka. Minton prawdopodobnie wyuczył ją najważniejszej zasady składania zeznań: nie daj się przyłapać na kłamstwie.

— Owszem, rozmawiałam z adwokatem. Ale to była tylko rozmowa. Nie zatrudniłam go.

— Czy dlatego, że prokurator poradził pani nie zatrudniać prawnika przed zakończeniem procesu karnego?

— Nie, nic takiego nie mówił.

— Po co rozmawiała pani o sprawie z adwokatem?

Zaczynała się wahać przed udzieleniem każdej odpowiedzi.

Nie miałem nic przeciwko temu. Większość ludzi uważa, że kłamstwo wymaga chwili namysłu. Szczerych odpowiedzi udziela się od razu.

— Rozmawiałam z nim, bo chciałam znać swoje prawa i upewnić się, że jestem chroniona.

— Czy pytała go pani o możliwość zaskarżenia pana Rouleta o odszkodowanie?

— Sądziłam, że rozmowy z adwokatem są poufne.

— Jeśli pani zechce, może pani powiedzieć przysięgłym, o czym rozmawiała pani z adwokatem.

Pierwsze głębokie cięcie brzytwy. Campo znalazła się na straconej pozycji. Bez względu na odpowiedź.

— Wolałabym zachować to dla siebie — odrzekła w końcu.

— Dobrze, wróćmy zatem do szóstego marca, ale chciałbym cofnąć się nieco dalej niż pan Minton. Wróćmy do baru Morgan's, gdzie pierwszy raz rozmawiała pani z oskarżonym, panem Rouletem.

— Dobrze.

— Co robiła pani tego wieczoru w Morgan's?

— Byłam z kimś umówiona.

— Z Charlesem Talbotem?

— Tak.

— Spotkała się pani z nim, żeby ocenić, czy chce go pani zaprowadzić do siebie i uprawiać z nim płatny seks, zgadza się?

Zawahała się przez chwilę, ale skinęła głową.

— Proszę odpowiedzieć — pouczyła ją sędzia.

— Tak.

— Określiłaby pani tę praktykę jako środek bezpieczeństwa?

— Tak.

— Forma bezpiecznego seksu, tak?

- Chyba tak.
- W swoim zawodzie utrzymuje pani intymne stosunki z obcymi osobami, a więc musi się pani chronić, zgadza się?
- Tak, zgadza się.
- Osoby trudniące się tą profesją nazywają to „testem świ-  
ra”, prawda?
- Ja tego tak nie nazywam.
- Ale prawdą jest, że zanim zaprosi pani potencjalnego klienta do mieszkania, spotyka się z nim pani w miejscach publicznych takich jak Morgan's, aby go zobaczyć i upewnić się, że nie jest niebezpieczny i nie ma żadnych odchyłeń, tak?
- Można tak powiedzieć. Ale nigdy nie można być nikogo pewnym.
- To prawda. Czyli będąc w Morgan's, zwróciła pani uwagę na pana Rouleta, który siedział przy tym samym barze co pani i pan Talbot?
- Tak, rzeczywiście tam był.
- I nigdy wcześniej go pani nie widziała?
- Owszem, widywałam go tam i w innych lokalach.
- Czy kiedykolwiek pani z nim rozmawiała?
- Nie, nie rozmawialiśmy.
- Zauważyła pani, że nosi zegarek Rolex?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek widziała pani, jak przyjeżdża lub odjeżdża porsche lub range roverem?
- Nie, nigdy nie widziałam go w samochodzie.
- Ale widywała go pani wcześniej w Morgan's i podobnych lokalach.
- Tak.
- I nigdy z nim pani nie rozmawiała.
- Nigdy.
- Dlaczego więc pani do niego podeszła?
- Po prostu wiedziałam, że jest w obiegu.
- Co pani rozumie przez wyrażenie „być w obiegu”?
- Gdy widywałam go przy innych okazjach, zorientowałam

się, że lubi się bawić. Widziałam, jak wychodził w towarzystwie dziewczyn, które robią to co ja.

— Widziała pani, jak wychodził z prostytutkami?

— Tak.

— Dokąd?

— Nie wiem, opuszczali lokal. Szli do hotelu albo do mieszkania dziewczyny. Nie wiem, co się potem działo.

— Skąd pani wie, że opuszczali lokal? Może po prostu wychodzili na papierosa?

— Widziałam, jak wsiadali do samochodu i odjeżdżali.

— Pani Campo, przed chwilą zeznała pani, że nigdy nie widziała samochodów pana Rouleta. Teraz twierdzi pani, że widziała, jak wsiada do samochodu z kobietą, która tak jak pani jest prostytutką. W którą wersję mam wierzyć?

Zdając sobie sprawę z wpadki, na moment znieruchomiała, ale zaraz znalazła odpowiedź.

— Widziałam, jak wsiada do samochodu, ale nie wiem, co to był za samochód.

— Nie zwraca pani uwagi na takie rzeczy, tak?

— Zazwyczaj.

— Wie pani, czym różni się porsche od range rovera?

— Chyba jeden jest duży, a drugi mały.

— Do jakiego samochodu wsiadał pan Roulet?

— Nie pamiętam.

Zamilkłem na chwilę, uznając, że wykorzystałem do maksimum sprzeczność w jej zeznaniu. Spojrzałem na listę pytań i ruszyłem dalej.

— Czy te kobiety, w których towarzystwie pan Roulet wychodził z lokali, były później widywane?

— Nie rozumiem.

— Czy znikwały? Widywała je pani potem?

— Owszem, widziałam je później.

— Czy miały jakieś obrażenia lub ślady po pobiciu?

— Nie zauważyłam, ale nie pytałam, czy były bite.

— A jednak, biorąc pod uwagę wszystkie te fakty, uznała

pani, że jest bezpieczna, i postanowiła podejść do niego i zaproponować seks, zgadza się?

— Nie mogłam mieć pewności, czy będę bezpieczna. Wiedziałam tylko, że prawdopodobnie przyszedł poszukać dziewczyny, a mężczyzna, z którym byłam w barze, powiedział mi, że o dziesiątej musi wyjść i wracać do pracy.

— Czy może powiedzieć pani przysięgłym, dlaczego nie usiadła pani z panem Rouletem, tak jak z panem Talbotem, i nie przeprowadziła pani „testu świra”?

Zwróciła wzrok na Mintoną. Liczyła na wybawienie z opresji, lecz ratunek nie nadchodził.

— Po prostu pomyślałam, że nie jest niewiadomą.

— Uznała pani, że nie jest groźny.

— Chyba tak. Nie wiem. Potrzebowałam pieniędzy i popełniałam błąd.

— Pomyślała pani, że jest bogaty i mógłby rozwiązać pani kłopoty finansowe?

— Nie, o niczym takim nie pomyślałam. Potraktowałam go jak potencjalnego klienta, który korzystał już z takich usług. Jak kogoś, kto wie, co robi.

— Zeznała pani, że widywała wcześniej pana Rouleta w towarzystwie kobiet, które uprawiają ten sam zawód co pani?

— Tak.

— Są prostytutkami.

— Tak.

— Przyjaźni się pani z nimi?

— Znam niektóre.

— Czy z zawodowej uprzejmości ostrzega pani te kobiety przed klientami, którzy mogą być niebezpieczni lub nie płacą?

— Czasami.

— A one odwzajemniają tę uprzejmość, zgadza się?

— Tak.

— Ile z nich ostrzegało panią przed Louisem Rouletem?

— Żadna, inaczej nie zaprosiłabym go do siebie.

Skinałam głowę i przez dłuższą chwilę studiowałam notatki.

Następnie zacząłem ją pytać o szczegółowy przebieg zdarzeń w Morgan's, przedstawiając zapis wideo z kamery umieszczonej nad barem. Minton sprzeciwił się odtworzeniu nagrania przysięgłym z powodu braku odpowiednich podstaw, ale sędzia uchyliła sprzeciw. Przed ławą przysięgłych postawiono telewizor umieszczony na stoliku na kółkach i odtworzono wideo. Widząc ich zaabsorbowanie, pomyślałem, że są zachwyceni możliwością oglądania prostytutki przy pracy, podobnie jak podpatrywaniem dwojga głównych aktorów sprawy w naturalnej sytuacji.

— Co było w tym liściku, który mu pani podała? — zapytałem, gdy odsunięto na bok telewizor.

— Chyba zapisałam tylko swoje imię i adres.

— Nie podała pani ceny za usługę?

— Być może. Nie pamiętam.

— Ile wynosi stawka, jakiej żąda pani od klientów?

— Zwykle dostaję czterysta dolarów.

— Zwykle? Co wpływa na różnicowanie stawki?

— To zależy od tego, czego życzy sobie klient.

Spojrząwszy na ławę przysięgłych, zauważyłem, że twarz człowieka z Biblią tężeje z zażenowania.

— Czy kiedykolwiek uprawiała pani z klientami praktyki sadoomasochistyczne polegające na dominacji i krępowaniu?

— Czasami. Ale to tylko odgrywanie ról. Nikomu nie dzieje się krzywda. To zwykłe udawanie.

— Chce pani przez to powiedzieć, że przed szóstym marca żaden klient nigdy pani nie skrzywdził?

— Tak, to właśnie chcę powiedzieć. A ten człowiek skrzywdził mnie i próbował zabić...

— Pani Campo, proszę tylko odpowiedzieć na zadane pytanie. Dziękuję. Wróćmy do Morgan's. Tak lub nie. Czy w chwili, gdy dała pani panu Rouletowi serwetkę z adresem i ceną, była pani pewna, że nic pani nie grozi z jego strony i że ma przy sobie wystarczającą ilość gotówki, aby zapłacić czterysta dolarów za usługę?

— Tak.

— Dlaczego więc pan Roulet nie miał przy sobie żadnej gotówki, gdy został przeszukany przez policję?

— Nie wiem. Nie zabrałam mu pieniędzy.

— Wie pani, kto to zrobił?

— Nie.

Umilkłem na dłuższą chwilę, aby wyraźnymi pauzami rozdzielić poszczególne wątki przesłuchania.

— Hm, czy dalej pracuje pani jako prostytutka? — zapytałem. Po chwili wahania Campo przytaknęła.

— I jest pani zadowolona z tego zajęcia?

Minton wstał.

— Wysoki Sądzie, co to ma wspólnego z...

— Podtrzymuję sprzeciw — powiedziała sędzia.

— Dobrze — ciągnąłem. — Czy wobec tego jest prawdą, że kilka razy wyznała pani swoim klientom, że ma nadzieję porzucić tę pracę?

— Tak, to prawda — odrzekła, nie wahając się jak przy wielu poprzednich pytaniach.

— Czy to prawda, że uważa pani potencjalne korzyści finansowe związane z tą sprawą za dobry sposób zerwania z dotychczasowym zajęciem?

— Nie, to nieprawda — zaprzeczyła stanowczo i bez wahania. — Ten człowiek mnie zaatakował. Chciał mnie zabić! O nic innego w tej sprawie nie chodzi!

Podkreśliłem coś w notatniku, robią kolejną pauzę.

— Czy Charles Talbot był pani stałym klientem? — zapytałem.

— Nie, poznałam go tamtego wieczoru w Morgan's.

— I pomyślnie zdał test bezpieczeństwa.

— Tak.

— Czy to Charles Talbot uderzył panią w twarz szóstego marca?

— Nie, to nie on — odparła szybko.

— Czy zaproponowała pani panu Talbotowi, że podzieli się

z nim odszkodowaniem uzyskanym w wyniku procesu cywilnego wytoczonego panu Rouletowi?

— Nie, nie zrobiłam tego. To kłamstwo!

Zwróciłem się w stronę sędzi.

— Wysoki Sądzie, czy mogę poprosić mojego klienta o powstanie?

— Proszę bardzo, panie Haller.

Dałem Rouletowi znak, by wstał. Spojrzałem ponownie na Reginę Campo.

— Pani Campo, czy jest pani pewna, że to jest człowiek, który uderzył panią szóstego marca?

— Tak, to on.

— Ile pani waży, pani Campo?

Odchyliła się od mikrofonu, jak gdyby poczuła się dotknięta niedyskrecją pytania, mimo że odpowiedziała na wiele innych dotyczących jej intymnego życia. Zauważyłem, że Roulet chce usiąść, i dałem mu znak, żeby tego nie robił.

— Nie jestem pewna — powiedziała Campo.

— W ogłoszeniu na stronie internetowej jest informacja, że waży pani pięćdziesiąt kilogramów. Czy to się zgadza?

— Chyba tak.

— Jeśli więc przysięgli mają uwierzyć w pani relację z wydarzeń szóstego marca, muszą uwierzyć, że udało się pani obzwać pana Rouleta i uciec.

Wskazałem na Rouleta, który miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył co najmniej trzydzieści kilogramów więcej od niej.

— Tak właśnie było.

— I udało się pani, mimo że rzekomo trzymał pani nóż na gardle.

— Chciałam żyć. Kiedy zagrożone jest życie, człowiek jest zdolny do rzeczy niemożliwych.

Wykorzystała ostatni argument. Zaczęła płakać, jak gdyby moje pytanie obudziło straszne wspomnienie tamtej chwili, gdy otarła się o śmierć.



— Może pan usiąść, panie Roulet. Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań do pani Campo.

Zająłem miejsce obok Rouleta. Miałem wrażenie, że przesłuchanie poszło nieźle. Moje brzytwy otworzyły mnóstwo ran. Oskarżenie krwawiło. Roulet nachylił się nad moim uchem i szepnął tylko jedno słowo.

— Fantastycznie!

Minton wrócił do pulpitu, by zadać pytania uzupełniające, ale przypominał tylko muchę krążącą nad otwartą raną. Nie mógł unieważnić odpowiedzi, jakich udzielił jego główny świadek, nie mógł też wymazać obrazów, jakie podsunąłem przysięgłym.

Kiedy po dziesięciu minutach skończył, zrezygnowałem z dodatkowych pytań, przekonany, że Minton niewiele wskórał i nie muszę już wkraczać do akcji. Sędzia spytała prokuratora, czy ma jeszcze innych świadków. Minton odparł, że chciałby się nad tym zastanowić podczas lunchu, po którym zdecyduje, czy oskarżenie zakończy przedstawianie materiału dowodowego.

W innych okolicznościach zgłosiłbym sprzeciw, ponieważ chciałbym wiedzieć, czy zaraz po przerwie będę musiał wezwać swojego świadka. Ale nie skorzystałem z tej możliwości. Sądziłem, że czując presję, Minton zaczyna się wahać. Chciałem, żeby podjął decyzję, i miałem nadzieję, że pomoże w tym przerwa na lunch.

Sędzia zwolniła przysięgłych na lunch, dając im tylko godzinę zamiast zwyczajowych dziewięćdziesięciu minut. Nie zamierzała tracić ani chwili. Oznajmiła, że sesja popołudniowa rozpocznie się o trzynastej trzydzieści, i pospiesznie opuściła swoje miejsce. Zapewne miała ochotę na papierosa.

Spytałem Rouleta, czy jego matka może iść z nami na lunch, żebyśmy porozmawiali o jej zeznaniu, które — jak przypuszczałem — miała złożyć w sesji popołudniowej, a może nawet zaraz po przerwie. Roulet odrzekł, że to załatwi, i zaproponował francuską restaurację na Ventura Boulevard. Moim zdaniem mieliśmy

na to za mało czasu i lepiej będzie, jeśli spotkamy się w Four Green Fields. Nie miałem ochoty zapraszać ich do swojego azylu, ale mogliśmy tam zjeść szybko i zdążyć na czas wrócić do sądu. Jedzenie zapewne nie mogło się równać z daniami podawanymi we francuskim bistro, ale zbytnio się tym nie przejmowałem.

Gdy wstałem i odwróciłem się od stołu obrony, zobaczyłem puste ławy dla publiczności. Wszyscy wyszli już na lunch. Został tylko Minton, który czekał na mnie przy barierce.

— Możemy chwilę pogadać? — spytał.

— Jasne.

Czekaliśmy w milczeniu, aż Roulet wyjdzie przez bramkę i opuści salę. Wiedziałem, co usłyszę. Widząc nadciągające kłopoty, prokurator zazwyczaj proponował korzystniejszą ugodę. A Minton wiedział, że ma kłopoty. Zeznanie jego gwoźdźcia programu zakończyło się w najlepszym razie remisem.

— O co chodzi? — spytałem.

— Zastanawiałem się nad tym, co mówiłeś o brzytwach.

— I?

— I... chcę ci złożyć ofertę.

— Jesteś nowy. Ugodę musi chyba zaakceptować ktoś z góry, prawda?

— Mam upoważnienie do pewnych ruchów.

— Zgoda, podaj ofertę, do jakiej masz upoważnienie.

— Zejdę do czynnej napaści z poważnym uszkodzeniem ciała.

— Czyli?

— Spuszczę do czterech.

Oferta oznaczała poważne zmniejszenie kary, ale gdyby Roulet ją przyjął, zostałby skazany na cztery lata. Największe ustępstwo polegało na tym, że czyn tracił znamiona przestępstwa seksualnego. Roulet po wyjściu na wolność nie musiałby się rejestrować jako przestępca seksualny.

Spojrzałem na Mintona, jak gdyby właśnie obraził pamięć mojej matki.

— Chyba trochę za dużo, Ted, zwłaszcza jeżeli przypomnisz sobie występ swojego asa. Widziałeś tego przysięgłego, który zawsze ma przy sobie Biblię? Kiedy dziewczyna zeznawała, wyglądał, jakby za chwilę miał się zesrać w Dobrą Księgę.

Minton nie odpowiedział. Widocznie nawet nie zwrócił uwagi na przysięgłego z Biblią.

— Nie wiem — powiedziałem. — Mam obowiązek przekazać ofertę klientowi i zrobię to. Ale powiem mu też, że byłby idiotą, gdyby ją przyjął.

— Dobra, czego więc chcesz?

— W takiej sprawie może być tylko jeden wyrok, Ted. Poradzę mu, żeby zaczekał do końca. Mam wrażenie, że teraz wszystko pójdzie z górki.

Zostawiłem go przy bramce i ruszyłem środkowym przejściem między krzesłami dla publiczności, spodziewając się, że zawoła za mną i zaproponuje nową ofertę. Ale Minton wytrzymał.

— Oferta obowiązuje tylko do pół do drugiej, Haller! — krzyknął. W jego głosie usłyszałem jakiś zagadkowy ton.

Uniosłem rękę i pomachałem do niego, nie oglądając się za siebie. Wychodząc z sali, nie miałem już wątpliwości — w jego głosie zabrzmiała nutka rozpacz.

## Rozdział 35

Po powrocie na salę z Four Green Fields celowo ignorowałem Mintona. Chciałem go jak najdłużej trzymać w niepewności. Był to element planu, by go sprowokować do kroku, który miał zmienić obraz procesu. Kiedy zajęliśmy miejsca i czekaliśmy na sędzię, wreszcie na niego spojrzałem, czekałem, aż pochwyci mój wzrok, i lekko pokręciłem głową. Oferta odrzucona. Przytaknął, starając się okazać każdym gestem, że święcie wierzy w wygraną i nie rozumie decyzji mojego klienta. Gdy minutę później weszła sędzia i poleciła wprowadzić przysięgłych, Minton natychmiast zwinął żagle.

— Panie Minton, czy ma pan następnych świadków? — zapytała sędzia.

— Wysoki Sądzie, oskarżenie zakończyło przedstawianie stanowiska.

Fullbright zawahała się na ułamek sekundy. Patrzyła na Mintoną odrobinę dłużej, niż powinna. Chyba przysięgli wyczuli jej zaskoczenie. Następnie przeniosła wzrok na mnie.

— Panie Haller, jest pan gotów?

Według zwyczajowej procedury w tym momencie należało poprosić sędzię o zalecenie ławie wydania wyroku uniewinniającego. Ale nie zrobiłem tego, obawiając się, że mogłoby dojść do niecodziennego zdarzenia i sędzia spełniłaby moją prośbę. Nie

mogłem jeszcze dopuścić do zakończenia rozprawy. Oznajmiłem, że obrona rozpoczyna przedstawianie swojego stanowiska.

Moim pierwszym świadkiem była Mary Alice Windsor. Do sali wprowadził ją Cecil Dobbs, który następnie zasiadł w pierwszym rzędzie ław dla publiczności. Windsor była ubrana w bladoniebieski kostium i szyfonową bluzkę. Mijając fotel sędziowski, szła w kierunku miejsca dla świadków dystygowanym, królewskim krokiem. Nikt by się nie domyślił, że na lunch zjadła zapiekankę pasterską w irlandzkim pubie. Szybko uporałem się z rutynowymi pytaniami wstępnymi, ustalając, że z Louisem Rossem Rouletem łączą ją związki krwi oraz biznesu. Poprosiłem sędziego o pozwolenie okazania świadkowi noża, który oskarżenie włączyło do dowodów w sprawie.

Uzyskawszy zgodę, podszedłem do asystentki sędzi i wziąłem broń, nadal opakowaną w torebkę z przezroczystego plastiku. Nóż był otwarty, można więc było zobaczyć inicjały na ostrzu. Zaniośłem go do miejsca dla świadka i położyłem przed Mary Windsor.

— Pani Windsor, czy poznaje pani ten nóż?

Wzięła torebkę z dowodem, próbując wygładzić folię, by znaleźć i odczytać inicjały na ostrzu.

— Tak, poznaję — oświadczyła. — To nóż mojego syna.

— Na jakiej podstawie twierdzi pani, że nóż jest własnością pani syna?

— Ponieważ kilka razy mi go pokazywał. Wiedziałam, że zawsze go ma przy sobie, a czasem nóż przydawał się w biurze, kiedy przywożono broszury i musieliśmy przeciąć taśmy opakowania. Był bardzo ostry.

— Od jak dawna syn miał ten nóż?

— Od czterech lat.

— Pamięta pani bardzo dokładnie.

— Owszem.

— Skąd taka pewność?

— Bo kupił go dla własnego bezpieczeństwa cztery lata temu. Prawie dokładnie.

— Bezpieczeństwa? Co mu groziło, pani Windsor?

— W naszym zawodzie często pokazujemy domy nieznanym osobom. Czasami jesteśmy z nimi w domu sami. Nieraz zdarzało się, że agent z biura nieruchomości został okradziony czy pobity... dochodziło nawet do morderstw i gwałtów.

— Czy wiadomo pani, by Louis kiedykolwiek padł ofiarą takiego przestępstwa?

— Nie, sam nie. Ale znał osobę, która weszła do domu i coś takiego ją spotkało...

— Co ją spotkało?

— Została zgwałcona i okradziona przez mężczyznę uzbrojonego w nóż. Kiedy było po wszystkim, znalazł ją Louis. Zaraz po tym kupił nóż.

— Dlaczego nóż? Czemu nie pistolet?

— Powiedział mi, że z początku miał zamiar kupić pistolet, ale chciał coś mniej rzucającego się w oczy, co mógłby zawsze nosić przy sobie. Kupił więc noże dla nas obojga. Stąd wiem, że stało się to prawie dokładnie cztery lata temu.

Uniosła torebkę z nożem.

— Mój wygląda identycznie, tylko ma inne inicjały. Od tamtego zdarzenia oboje nosimy noże.

— Czyli pani zdaniem, gdyby syn miał nóż wieczorem szóstego marca, byłoby to najzupełniej normalne?

Minton zaprotestował, twierdząc, że nie podałem podstaw, by zadawać pani Windsor takie pytanie, i sędzia podtrzymała sprzeciw. Mary Windsor, nieznająca się na prawie karnym, zrozumiała, że sędzia zezwała na odpowiedź.

— Nosił go codziennie — powiedziała. — Szósty marca był takim samym dniem jak...

— Pani Windsor! — huknęła sędzia. — Podtrzymałam sprzeciw. Nie może pani odpowiadać na to pytanie. Przysięgli nie wezmą tego pod uwagę.

— Przepraszam — odrzekła cicho Mary Windsor.

- Następne pytanie, panie Haller — rozkazała sędzia.
- To wszystko, Wysoki Sądzie. Dziękuję, pani Windsor.

Mary Windsor zaczęła wstawać, lecz sędzia znowu ją upomniała, każąc jej zostać na miejscu. Wróciłem za stół, a Minton wstał i podszedł do pulpitu. Rozejrzałem się wśród publiczności, ale nie dojrzałem żadnych znajomych twarzy z wyjątkiem Dobbsa. Posłał mi pokrzepiający uśmiech, który zignorowałem.

Zeznanie Mary Windsor przebiegło doskonale, ściśle według scenariusza, jaki ułożyliśmy przy lunchu. Zwięźle przedstawiła przyczynę nabycia noża, pozostawiając w zeznaniu pole minowe, na które musiał wkroczyć Minton. Nie zdradziła nic więcej ponad to, co przekazałem Mintonowi podczas ujawnienia dowodów. Jeśli zbroczy z tej drogi, szybko usłyszysz ostrzegawczy trzask pod stopą.

— Kiedy dokładnie doszło do zdarzenia, które skłoniło pani syna do nabycia trzynastocentymetrowego składanego noża?

- Dziewiątego czerwca dwa tysiące pierwszego roku.
- Jest pani pewna?
- Najzupełniej.

Odrzuciłem się, żeby mieć lepszy widok na twarz Mintona. Czytałem w nim jak w książce. Sądził, że coś ma. Podanie dokładnej daty było dla niego jasnym znakiem, że zeznanie wcześniej uzgodniono. Widziałem, że jest podniecony.

— Czy ukazał się jakiś artykuł na temat tej rzekomej napaści?

- Nie.
- Policja prowadziła śledztwo?
- Nie.

— A jednak tak dokładnie pamięta pani datę. Jak to możliwe, pani Windsor? Czy przed zeznaniem ktoś podał pani tę datę?

— Nie. Znam datę, ponieważ nigdy nie zapomnę dnia, w którym zostałam zaatakowana.

Umilkła na chwilę. Zobaczyłem, jak co najmniej troje przysięgłych otwiera usta w zaskoczeniu. Minton zrobił to samo. Prawie usłyszałem ostrzegawczy trzask zapalnika miny.

— Mój syn także nigdy tego nie zapomni — ciągnęła Windsor. — Przyszedł mnie szukać i znalazł mnie w tym domu. Byłam naga i związana. To było dla niego bolesne przeżycie. Sądzę, że między innymi dlatego zaczął nosić nóż. Żałował, że nie zjawił się wcześniej i nie mógł zapobiec temu, co się stało.

— Rozumiem — rzekł Minton, wpatrując się w notatki.

Znieruchomiał, nie wiedząc, co dalej począć. Nie chciał zrobić kroku, bojąc się, że mina eksploduje i urwie mu nogę.

— Pani Minton, coś jeszcze? — zapytała sędzia, niezbyt zręcznie maskując nutkę sarkazmu w głosie.

— Jeszcze chwileczkę, Wysoki Sądzie — powiedział Minton.

Wziął się w garść, znów zajrzał do notatek i spróbował coś z tego uratować.

— Pani Windsor, czy pani lub pani syn zawiadomiliście policję po tym zdarzeniu?

— Nie. Louis chciał to zgłosić, ale ja nie. Uważałam, że to tylko pogłębiłoby uraz.

— Czyli nie istnieje oficjalna dokumentacja przestępstwa, zgadza się?

— Zgadza się.

Wiedziałem, że Minton chce sięgnąć dalej i dowiedzieć się, czy po napaści udzielono jej pomocy medycznej. Ale wyczuwając kolejną pułapkę, nie zapytał o to.

— A zatem twierdzi pani, że na dowód, iż ta napaść rzeczywiście się wydarzyła, mamy tylko pani słowa? Pani i pani syna, jeśli zechce złożyć zeznanie.

— Ależ to się wydarzyło. Co dzień o tym myślę.

— Nikt inny nie może tego potwierdzić.

Utkwiła w prokuratorze kamienne spojrzenie.

— Czy to jest pytanie?

— Pani Windsor, przyszła pani tutaj, aby pomóc synowi, tak?

— Jeśli tylko będę mogła. Wiem, że jest dobrym człowiekiem, który nigdy nie popełniłby tak odrażającego przestępstwa.



— Byłaby pani gotowa uczynić wszystko, co w pani mocy, aby ocalić syna przed wyrokiem skazującym i więzieniem, prawda?

— Ale nie skłamałabym o takim wydarzeniu. Pod przysięgą czy nie, nie skłamałabym.

— Chce pani jednak ocalić syna?

— Tak.

— A ocalenie oznacza, że byłaby pani gotowa do kłamstwa, prawda?

— Nie.

— Dziękuję, pani Windsor.

Minton pospiesznie wrócił na miejsce. W uzupełnieniu miałem tylko jedno pytanie.

— Pani Windsor, ile miała pani lat w dniu tej napaści?

— Pięćdziesiąt cztery.

Usiadłem. Minton nie miał więcej pytań i Windsor została zwolniona. Poprosiłem sędziego, aby do końca procesu pozwoliła jej usiąść w ławach dla publiczności, ponieważ złożyła już zeznanie. Prośba została spełniona bez sprzeciwu ze strony Mintona.

Moim następnym świadkiem był detektyw z Departamentu Policji Los Angeles David Lambkin, krajowy ekspert do spraw przestępczości seksualnej, który pracował nad śledztwem w sprawie „wampira domów na sprzedaż”. Szybko ustaliłem fakty tamtej historii. Detektyw poinformował, że śledztwo dotyczyło pięciu zgłoszonych gwałtów. Szybko przeszedłem do pięciu kluczowych pytań, które miały wesprzeć zeznanie Mary Windsor.

— Detektywie Lambkin, w jakim wieku były znane ofiary tego gwałciciela?

— Wszystkie były kobietami interesu, które odnosiły spore sukcesy. Ich wiek nieco odbiegał od wieku przeciętnych ofiar gwałtu. Najmłodsza miała chyba dwadzieścia dziewięć lat, a najstarsza pięćdziesiąt dziewięć.

— Czyli pięćdziesięcioczeroletnia kobieta pasowałaby do profilu ofiar gwałciciela?

— Tak.

— Czy może pan powiedzieć przysięgłym, kiedy zgłoszono pierwszą, a kiedy ostatnią napaść?

— Tak. Pierwszy gwałt zdarzył się pierwszego października dwutysięcznego roku, a ostatni trzynastego lipca dwa tysiące pierwszego.

— Czyli dziewiąty czerwca dwa tysiące pierwszego roku mieści się w okresie działania gwałciela napadającego na kobiety pracujące w handlu nieruchomościami?

— Owszem, mieści się.

— Czy w trakcie śledztwa doszedł pan do wniosku lub przekonania, że ten osobnik mógł popełnić więcej niż pięć gwałtów?

Minton zgłosił sprzeciw, mówiąc, że pytanie dotyczy domysłów. Sędzia podtrzymała sprzeciw, ale to nie miało znaczenia. Ważne było tylko pytanie i fakt, że przysięgli zobaczyli, jak prokurator nie chce dopuścić, by detektyw na nie odpowiedział.

Podczas swojego przesłuchania Minton mnie zaskoczył. Otrząsnął się po wpadce z Windsor i zadał Lambkinowi trzy solidne ciosy, uzyskując korzystne dla oskarżenia odpowiedzi.

— Detektywie Lambkin, czy grupa śledcza prowadząca dochodzenie w sprawie gwałtów przekazała jakieś ostrzeżenia kobietom pracującym w branży handlu nieruchomościami?

— Owszem. Dwukrotnie rozesłaliśmy ulotki. Pierwsze trafiły do wszystkich licencjonowanych biur handlu nieruchomościami działających w okolicy, a drugie wysłaliśmy indywidualnie do wszystkich licencjonowanych agentów, kobiet i mężczyzn.

— Czy w ulotkach umieszczono informacje o wyglądzie i metodach działania gwałciela?

— Tak.

— Czyli jeśli ktoś chciałby spreparować opowieść, jakoby został zaatakowany przez tego gwałciela, znalazłby w ulotce wszystkie niezbędne informacje, zgadza się?

— Owszem, jest taka możliwość.

— Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Minton usiadł dumny z siebie, a Lambkin został zwolniony, ponieważ ja też nie miałem więcej pytań. Poprosiłem sędzię o kilka minut na naradę z klientem i nachyliłem się do Rouleta.

— To już — powiedziałem. — Tylko ty nam zostałeś. Jesteś czysty i Minton niewiele może ci zrobić. Powinieneś być bezpieczny, chyba że pozwolisz mu się podejść. Nie zmieniłeś zamiaru?

Roulet od początku mówił, że chce zeznawać i zaprzeczyć zarzutom. Powtórzył to przy lunchu. Wręcz się tego domagał. Zawsze byłem zdania, że ze składaniem zeznania przez klienta wiąże się ryzyko, ale i zysk. Wszystko, co mówił, mogło obrócić się przeciw niemu, gdyby oskarżeniu udało się wyciągnąć z tego korzyść dla siebie. Wiedziałem też jednak, że mimo wielokrotnego pouczenia ławy o prawie oskarżonego do milczenia, przysięgli zawsze chcą usłyszeć od oskarżonego, że tego nie zrobił.

— Chcę to zrobić — szepnął Roulet. — Poradzę sobie z prokuratorem.

Odsunąłem krzesło i wstałem.

— Wysoki Sądzie, obrona powołuje na świadka Louisa Rossa Rouleta.

## Rozdział 36

Louis Roulet ruszył w stronę miejsca dla świadków jak koszykarz wprowadzony do gry z ławki rezerwowych. Sprawiał wrażenie człowieka, który od dawna czeka na okazję, by dać odpór niesłusznym zarzutom. Dobrze wiedział, że przysięgli zwrócą uwagę na jego gotowość do zeznań.

Po krótkiej części wstępnej od razu przystąpiłem do rzeczy. Odpowiadając na moje pytania, Roulet uczciwie przyznał, że wieczorem szóstego marca przyszedł do Morgan's poszukać damskiego towarzystwa. Oświadczył, że nie chodziło mu w szczególności o skorzystanie z usług prostytutki, choć nie wykluczał takiej możliwości.

— Byłem już z kobietami, którym musiałem płacić — powiedział. — Dlatego nie miałbym nic przeciwko temu.

Zeznał, że siedząc w barze, nie utrzymywał kontaktu wzrokowego z Reginą Campo, dopóki sama do niego nie podeszła. Według jego słów to ona była stroną inicjującą rozmowę, ale ten fakt wówczas go nie zaniepokoił. Oferta miała charakter otwarty. Regina Campo powiedziała, że po dziesiątej będzie wolna i może ją odwiedzić, jeśli nie ma innych planów.

Roulet wspomniał o próbach znalezienia kobiety, której nie będzie musiał płacić. Trwające godzinę poszukiwania w Morgan's i Lamplighter nie przyniosły jednak skutku, pojechał więc pod adres, jaki dostał od Campo, i zapukał do drzwi.

- Kto panu otworzył?
- Ona. Uchyliła drzwi i spojrzała na mnie.
- Regina Campo? Kobieta, która zeznawała tu dziś przed południem?
- Tak, to była ona.
- Czy przez szparę w drzwiach widział pan jej całą twarz?
- Nie. Uchyliła je tylko odrobinę. Widziałem jedynie jej lewe oko i część lewej strony twarzy.
- W którą stronę otworzyły się drzwi? Czy szpara, przez którą pan ją widział, była z prawej czy lewej strony?
- Stojąc przed drzwiami, widziałem ją przez uchylone drzwi z prawej.
- Uściślijmy to. Szpara była po prawej stronie, zgadza się?
- Zgadza się.
- Czyli jeśli pani Campo stała za drzwiami i wyglądała przez szparę, patrzyła na pana lewym okiem.
- Zgadza się.
- Czy widział pan jej prawe oko?
- Nie.
- A więc gdyby miała siniec, rozcięcie czy inne uszkodzenie na prawej części twarzy, nie mógłby pan tego zobaczyć?
- Nie.
- Dobrze. Co się zdarzyło potem?
- Zobaczyła, że to ja, i zaprosiła mnie do środka. Otworzyła drzwi szerzej, ale wciąż za nimi stała.
- Nie widział pan jej?
- Niezupełnie. Wykorzystała skrzydło drzwi jako rodzaj zasłony.
- Co się później zdarzyło?
- Za drzwiami był przedpokój, z którego do salonu prowadziło przejście. Wskazała mi salon, więc poszedłem w tę stronę.
- Czy to oznacza, że w tym momencie stała za pana plecami?
- Tak. Kiedy skręciłem do salonu, była za mną.

- Czy zamknęła drzwi?
- Chyba tak. Usłyszałem szcęk zamka.
- I co potem?
- Dostałem czymś w tył głowy i upadłem. Straciłem przytomność.
- Wie pan, jak długo pozostawał pan nieprzytomny?
- Nie. Sądzę, że to trwało jakiś czas, ale ani policja, ani nikt inny mi tego nie powiedział.
- Czy pamięta pan, co się działo, kiedy odzyskał pan przytomność?
- Pamiętam, że miałem trudności z oddychaniem, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że ktoś na mnie siedzi. Leżałem na wznak i jakiś mężczyzna siedział na mnie. Gdy próbowałem się poruszyć, zdałem sobie sprawę, że na moich nogach też ktoś siedzi.
- Co się zdarzyło potem?
- Obaj mężczyźni ostrzegli mnie, żebym się nie ruszał, a jeden powiedział, że mają mój nóż i jeśli spróbuję się poruszyć albo uciec, nie zawahają się go użyć.
- Czy wtedy zjawiła się policja i został pan aresztowany?
- Tak, kilka minut później przyszedł policjant. Założył mi kajdanki i kazał wstać. Wtedy zobaczyłem, że mam krew na marynarce.
- A na dłoni?
- Nie widziałem, ponieważ miałem ręce skute za plecami. Ale usłyszałem, jak jeden z mężczyzn, którzy na mnie siedzieli, mówi policjantowi, że mam krew na ręce, i policjant owinął mi dłoń torebką. Tylko to poczułem.
- Jak to się stało, że miał pan krew na ręce i marynarce?
- Wiem tylko, że ktoś musiał je nią wymazać, bo ja tego nie zrobiłem.
- Czy jest pan leworęczny?
- Nie.
- I nie uderzył pan pani Campo lewą pięścią?
- Nie, nie uderzyłem.

- Zagroził pan, że ją zgwałci?
- Nie, nie zagroziłem.
- Powiedział jej pan, że ją zabije, jeżeli nie będzie posłuszną?
- Nie.

Miałem nadzieję wykrzesać z niego choć odrobinę wściekłości, którą widziałem pierwszego dnia w kancelarii C.C. Dobbsa, ale Roulet był spokojny i opanowany. Postanowiłem, że na sam koniec muszę go trochę przycisnąć i wydobyć z niego tę złość. Podczas lunchu mówiłem mu, że chcę ją zobaczyć, i nie byłem pevien, co robił i co się stało z jego gniewem.

- Czy czuje pan złość z powodu oskarżenia o napaść na panią Campo?
- Oczywiście.
- Dlaczego?

Otworzył usta, ale się nie odezwał. Wydawał się oburzony takim pytaniem. Wreszcie odrzekł:

— Jak to dlaczego? Czy kiedykolwiek oskarżono pana o coś, czego pan nie zrobił, i nie mógł pan niczemu zaprzeczyć, tylko czekać? Czekać przez długie tygodnie i miesiące, aż w końcu sprawa trafia do sądu i dopiero tam można powiedzieć, że padło się ofiarą spisku? Ale potem znów trzeba czekać, aż prokurator zbierze bandę łgarzy, każe mi wysłuchiwać ich kłamstw i czekać na swoją kolej. Oczywiście, że czuję złość. Jestem niewinny! Nie zrobiłem tego!

Wpadł doskonale. Powiedział dokładnie to, o co chodziło, a poza tym trafiało to do każdego, kto kiedykolwiek padł ofiarą fałszywych oskarżeń. Lepszej odpowiedzi nie mogłem sobie życzyć, ale przypomniałem sobie o zasadzie: wkroczyć na krótko. Mniej zawsze oznacza lepiej. Usiadłem. Gdyby się okazało, że coś pominąłem, zawsze mogłem to naprawić w uzupełnieniu.

Spojrzałem na sędziego.

— Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Zanim wróciłem na miejsce, Minton już stał, gotów do natarcia. Ruszył do pulpitu, nie odrywając ciężkiego wzroku od Rouleta.

Demonstrował przysięgłym, co myśli o tym człowieku. Jego oczy przypominały promienie lasera przecinające salę. Chwycił się pulpitu, zaciskając na nim dłonie tak mocno, że zbieleły mu kostki. To było przedstawienie dla przysięgłych.

— Zaprzecza pan, że dotknął pani Campo — zaczął.

— Owszem — odparł Roulet.

— Według pańskich słów sama uderzyła się w twarz albo każała to zrobić mężczyźnie, którego przed spotkaniem w barze nigdy nie widziała, i miał to być spisek, zgadza się?

— Nie wiem, kto to zrobił. Wiem tylko, że nie ja.

— Twierdzi pan jednak, że ta kobieta, Regina Campo, kłamie. Przyszła dziś do sądu i bezczelnie skłamała przed sędzią, przysięgłymi i całym światem.

Minton akcentował każde słowo, potrząsając z obrzydzeniem głową.

— Wiem tylko, że nie zrobiłem żadnej z rzeczy, które według niej zrobiłem. Jedynym wyjaśnieniem jest to, że skłamała. To nie ja.

— O tym zdecydują przysięgli, zgodzi się pan?

— Tak.

— Wróćmy do noża, który kupił pan rzekomo dla własnego bezpieczeństwa. Chce pan wmówić przysięgłym, że ofiara tego przestępstwa wiedziała, że ma pan przy sobie nóż, i użyła go w spisku?

— Nie wiem, co wiedziała. Nigdy nie pokazywałem jej noża ani nie wyciągałem go przy niej w barze. Dlatego nie rozumiem, skąd mogłaby się dowiedzieć. Przypuszczam, że znalazła go, kiedy sięgnęła do mojej kieszeni po pieniądze. Zawsze noszę nóż i pieniądze w tej samej kieszeni.

— Ach, więc mamy jeszcze kradzież pieniędzy z kieszeni. Jakich jeszcze rewelacji się od pana dowiemy, panie Roulet?

— Miałem przy sobie czterysta dolarów. Kiedy mnie aresztowano, zniknęły. Ktoś je zabrał.

Zamiast skupić się na sprawie pieniędzy, Minton wołał nie ryzykować, wiedząc, że bez względu na to, jak sobie z nią poradzi,



w najlepszym razie wyjdzie na zero. Gdyby próbował dowodzić, że Roulet nie miał żadnych pieniędzy i od początku zamierzał zaatakować i zgwałcić Campo, zamiast jej płacić, domyślał się, że przedstawiłbym zeznania podatkowe Rouleta, które kazałyby poważnie wątpić, czy nie byłoby go stać na prostytutkę. Taką pułapkę w zeznaniu prawnicy nazywali „sajgonem” i Minton trzymał się od niej z daleka. Postanowił zakończyć. Dramatycznym gestem uniósł zdjęcie zmasakrowanej twarzy Reginy Campo.

— A więc Regina Campo kłamie — powiedział.

— Tak.

— Kazała to sobie zrobić, a może nawet sama to sobie zrobiła.

— Nie wiem, kto to zrobił.

— Ale nie pan.

— Nie, nie ja. Nie zrobiłbym czegoś takiego żadnej kobiecie.

Nie skrzywdziłbym kobiety.

Roulet wskazał na fotografię, którą Minton wciąż trzymał w wyciągniętej ręce.

— Żadna kobieta na to nie zasługuje — powiedział.

Pochyliłem się nad stołem, czekając. Roulet właśnie wypowiedział kwestię, którą kazałem mu wpleść w którąś z odpowiedzi podczas zeznania. „Żadna kobieta na to nie zasługuje”. Teraz Minton miał połknąć haczyk. Nie był głupi. Musiał się zorientować, że Roulet właśnie uchylił drzwi.

— Co ma pan na myśli, mówiąc „nie zasługuje”? Uważa pan, że brutalne przestępstwa sprowadzają się do kwestii, czy ofiara dostaje to, na co sobie zasłużyła?

— Nie, nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć, że bez względu na to, jak zarabia na życie, nie powinna zostać tak brutalnie pobita. Nikt nie zasługuje na takie traktowanie.

Minton opuścił rękę ze zdjęciem. Przez chwilę na nie patrzył, po czym znów spojrzął na Rouleta.

— Panie Roulet, nie mam do pana więcej pytań.

## Rozdział 37

Wciąż miałem wrażenie, że w pojedynku na brzytwy jestem górą. Zrobiłem wszystko, co było możliwe, aby wmanewrować Mintona w sytuację, z której będzie miał tylko jedno wyjście. Teraz miałem się przekonać, czy wszystko, co możliwe, wystarczy. Kiedy młody prokurator usiadł, postanowiłem nie zadawać swojemu klientowi więcej pytań. Wytrzymał atak Mintona i czułem, że złapaliśmy wiatr w żagle. Wstałem i spojrzałem na zegar umieszczony wysoko na ścianie w głębi sali. Było dopiero wpół do czwartej. Potem skierowałem wzrok na sędziego.

— Wysoki Sądzie, na tym obrona kończy przedstawianie stanowiska.

Fullbright skinęła głową i także zerknęła na zegar. Poleciała przysięgłym, by udali się na przerwę popołudniową. Kiedy opuścili salę, spojrzała w stronę stołu prokuratorowskiego, przy którym siedział Minton i pilnie coś notował.

— Panie Minton?

Uniósł głowę.

— Sesja jeszcze się nie skończyła. Proszę uważać. Czy oskarżenie zamierza wystąpić z repliką?

Minton wstał.

— Wysoki Sądzie, chciałbym poprosić o odroczenie rozprawy

do jutra, aby oskarżenie miało czas na powołanie świadków w ramach repliki.

— Panie Minton, mamy jeszcze półtorej godziny. Mówiłam, że chcę efektywnie wykorzystać ten dzień. Gdzie są pańscy świadkowie?

— Szczerze mówiąc, Wysoki Sądzie, nie spodziewałem się, że obrona ograniczy się do przesłuchania tylko trojga świadków i nie...

— Usłyszeliśmy od pana Hallera taką zapowiedź już w mowie wstępnej.

— Tak, ale mimo to wystąpienie obrony trwało krócej, niż można się było spodziewać. Wyprzedziliśmy przewidywany czas rozprawy o pół dnia. Proszę o wyrozumiałość. Miałbym ogromne trudności ze sprowadzeniem świadka do sądu przed osiemnastą.

Odróciłem się, by spojrzeć na Rouleta, który wrócił już na swoje miejsce obok mnie. Skinąłem głową i mrugnąłem lewym okiem, żeby sędzia nie mogła tego zauważyć. Wyglądało na to, że Minton połknął haczyk. Teraz trzeba było się tylko postarać, aby nie wypluł go pod naciskiem sędzi. Wstałem.

— Wysoki Sądzie, obrona nie sprzeciwia się zwłoce. Moglibyśmy wykorzystać ten czas na przygotowanie mowy końcowej i wskazówek dla przysięgłych.

Sędzia posłała mi zdziwione spojrzenie. Rzadko się zdarzało, by obrona nie protestowała przeciwko opieszałości oskarżenia. Ale zasiane przeze mnie ziarno właśnie zaczęło kiełkować.

— To chyba rzeczywiście dobry pomysł, panie Haller. Jeżeli odroczymy rozprawę do jutra rana, mam nadzieję, że bezpośrednio po replice oskarżenia przystąpimy do mów końcowych. I nie będzie żadnych opóźnień poza czasem koniecznym do pouczenia przysięgłych. Czy to jasne, panie Minton?

— Tak, Wysoki Sądzie, będę gotowy.

— Panie Haller?

— To był mój pomysł. Też będę gotowy.

— Doskonale. A zatem wszystko ustalone. Kiedy tylko

przysięgli wróćą po przerwie, zwolnię ich na dziś. Przynajmniej unikną korków, a jutro wszystko potoczy się tak sprawnie, że z pewnością zaczną obrady jeszcze przed popołudniową sesją.

Spojrzała groźnie na Mintoną, a potem na mnie, jak gdyby chciała nas ostrzec, żebyśmy nie ważyli się sprzeciwić. Nie słysząc żadnych protestów, wstała i opuściła salę, zapewne śpiesząc się na papierosa.

Dwadzieścia minut później, gdy przysięgli zostali wysłani do domu, a ja zbierałem dokumenty ze stołu, podszedł do mnie Minton.

— Możemy pogadać?

Poradziłem Rouletowi, żeby wyszedł ze swoją matką i Dobbem, a gdybym czegoś od nich potrzebował, zadzwonię.

— Ale ja też chcę z tobą pogadać — oznajmił.

— O czym?

— O wszystkim. Jak twoim zdaniem wypadłem?

— Wypadłeś dobrze i wszystko dobrze idzie. Wydaje mi się, że sytuacja jest niezła.

Wskazując na stół prokuratorski, do którego wrócił Minton, niższym głosem powiedział:

— On też o tym wie. Chce złożyć nową ofertę.

— Mam zostać i posłuchać, co proponuje?

Pokręciłem głową.

— Nie, nieważne, co proponuje. W grę wchodzi tylko jeden wyrok, prawda?

— Prawda.

Gdy wstałem, poklepał mnie po ramieniu i musiałem się powstrzymać, by się nie wzdrygnąć.

— Nie dotykaj mnie, Louis — powiedziałem. — Jeżeli chcesz coś dla mnie zrobić, to oddaj ten cholerny pistolet.

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i ruszył w kierunku bramki. Kiedy wyszedł, odwróciłem się do Mintony. W jego oczach dostrzegłem cień rozpacz. Pragnął tylko jednego — wyroku skazującego, jakiegokolwiek, byle tylko skazującego.

— Co jest?

— Mam nową ofertę.

— Słucham.

— Obniżę jeszcze bardziej. Do zwykłej napaści. Sześć miesięcy w okręgowym. Przy takim tempie zwolnień pod koniec każdego miesiąca pewnie nie posiedzi nawet sześćdziesięciu dni.

Skinąłem głową. Minton mówił o zarządzeniu federalnym, które miało przeciwdziałać przeludnieniu więzień okręgowych. Nie ważne, jaki werdykt zapadał na sali sądowej; konieczność często powodowała radykalne złagodzenie wyroku. Oferta była niezła, lecz niczego nie dałem po sobie poznać. Wiedziałem, że propozycja przyszła z drugiego piętra. Minton nie mógł mieć pełnomocnictw do tak znacznej redukcji zarzutów.

— Jeżeli ją przyjmie, dziewczyna oskubie go w cywilnym — powiedziałem. — Wątpię, czy się zgodzi.

— To cholernie dobra propozycja — zapewnił mnie Minton.

W jego głosie zabrzmiała nutka oburzenia. Podejrzewałem, że Minton uzyskał kiepskie oceny u obserwatora z prokuratury i dostał polecenie zamknięcia sprawy przyznaniem się do winy oskarżonego. Do diabła z procesem, z czasem sędzi i przysięgłych, byle tylko doprowadzić do skazania. Prokuratura w Van Nuys nie lubiła przegrywać, a od fiaska sprawy Roberta Blake'a minęły dopiero dwa miesiące. Kiedy robiło się gorąco, zależało im wyłącznie na porozumieniu z obroną. Minton był gotów do największych ustępstw, jeżeli tylko uda mu się coś ugrać. Roulet musiał trafić za kratki — choćby na sześćdziesiąt dni.

— Może z twojego punktu widzenia to rzeczywiście cholernie dobra propozycja. Ale jeżeli ją przyjmę, będę musiał przekonać klienta, żeby przyznał się do czegoś, czego — jak mówi — nie zrobił. W dodatku ugoda otwiera drogę do odpowiedzialności cywilnej. I kiedy przez sześćdziesiąt dni będzie siedział w pudle i pilnował tyłka, Reggie Campo ze swoim adwokatem puszcza go z torbami. Sam widzisz. Kiedy spojrzysz z tej strony, to twoja oferta wcale tak dobrze nie wygląda. Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym mu zaczekać do końca procesu. Mam wrażenie, że jesteśmy

górá. Wiem, że facet z Biblią jest nasz, mamy więc przynajmniej jeden głos przeciw skazaniu. Ale kto wie, może mamy wszystkie dwanaście.

Minton rąbnął pięścią w stół.

— Haller, co ty, kurwa, wygadujesz? Dobrze wiesz, że to zrobił. Sześć miesięcy — nie mówiąc o sześćdziesięciu dniach — za to, co zrobił tej kobiecie, to kiepski żart. Żałosna parodia, przez którą nie będę mógł spać po nocach, ale zrozum, mają mnie na oku i widzą, że masz ławę po swojej stronie, dlatego nie mam wyjścia.

Stanowczym gestem zamknąłem aktówkę i zatrzasnąłem zamki.

— Wobec tego mam nadzieję, że trzymasz coś dobrego na koniec, Ted. Bo tylko przysięgli mogą ci dać to, czego sobie życzysz. I muszę ci powiedzieć, że coraz bardziej przypominasz mi faceta, który goły przyszedł walczyć na brzytwy. Lepiej przestań zaślaniać jaja i zacznij atakować.

Wyszedłem za barierkę. W połowie drogi do wyjścia przystanąłem i obejrzałem się na niego.

— Wiesz co? Jeżeli nie będziesz mógł spać po nocach przez tę czy inną sprawę, to musisz rzucić tę robotę i zająć się czymś innym. Bo nie dasz sobie rady, Ted.

Minton siedział przy stole, wpatrując się w pusty fotel sędziowski. Nie zareagował na moje słowa. Zostawiłem go sam na sam z własnymi myślami. Byłem przekonany, że dobrze to rozegrałem. Miałem przekonać się rano.

Poszedłem do Four Green Fields popracować nad wystąpieniem końcowym. Nie potrzebowałem dwóch godzin, jakie przeznaczyła na to sędzia. Zamówiłem guinnessa przy barze i wziąłem szklankę do stołu. Obsługa przy stolikach zaczynała się dopiero o szóstej. Opracowałem ogólne punkty wystąpienia, ale instynkt podpowiadał mi, że będę musiał przede wszystkim odpowiadać na ruchy oskarżenia. We wnioskach przedprocesowych Minton uzyskał już zgodę sędzi Fullbright na wykorzystanie prezentacji przygotowanej w PowerPoint, aby zilustrować sprawę przysięgłym.

Wśród młodych prokuratorów zapanowała moda, by ustawiać na sali rozpraw ekran i wyświetlać na nim grafikę komputerową, jak gdyby przysięgli nie umieli sami myśleć i wyciągać wniosków. Wszystko trzeba im było podawać łopatologicznie jak w telewizji.

Moich klientów rzadko było stać nawet na moje honorarium, nie mówiąc już o prezentacjach w PowerPoint. Roulet należał do wyjątków. Dzięki matce mógłby sobie pozwolić na zatrudnienie Francisa Forda Coppoli, żeby przygotował mu prezentację. Ale nigdy nie podsunąłem mu takiego pomysłu. Należałem do ortodoksyjnej starej szkoły. Wolałem wychodzić na ring samotnie. Minton mógł sobie wyświetlać na ekranie, co dusza zapragnie. Gdy przyjdzie moja kolej, chciałem, żeby przysięgli patrzyli tylko na mnie. Jeżeli ja nie będę potrafił ich przekonać, tym bardziej nie zrobi tego komputer.

O wpół do szóstej zadzwoniłem do Maggie McPherson do biura.

— Chyba już koniec na dzisiaj — powiedziałem.

— Może dla takich adwokackich tuzów jak ty. My, urzędnicy, musimy siedzieć w pracy do zmroku.

— Może zrobisz sobie przerwę i wpadniesz na guinnessa i zapiekankę. Potem wrócisz i dokończysz.

— Nie, Haller, nie mogę. Poza tym wiem, czego chcesz.

Roześmiałem się. Zawsze uważała, że świetnie wie, czego chcę. Zazwyczaj miała rację, ale nie tym razem.

— Tak? No więc czego chcę?

— Znowu będziesz próbował mnie skorumpować, żeby się dowiedzieć, co Minton kombinuje.

— Nic z tego, Maggie. Mintona można przejrzeć na wylot. Obserwator od Smithsona daje mu same pały. Dlatego Smithson kazał mu zwinąć żagle, uzgodnić jakikolwiek wyrok i wycofać się. Ale Minton pracuje nad swoim komputerowym wystąpieniem i chce grać do końca, postawić wszystko na jedną kartę. Poza tym jest autentycznie oburzony, więc bardzo nie podoba mu się pomysł, żeby zwinąć żagle.

— Mnie też nie. Smithson ciągle boi się przegranej, zwłaszcza po sprawie Blake'a. Wciąż woli sprzedać tanio skórę. Tak się nie robi.

— Zawsze twierdziłem, że przegrali sprawę Blake'a w momencie, kiedy nie dali ci awansu. Powiedz im to, Maggie.

— Jeżeli będę miała okazję.

— Kiedyś na pewno będziesz miała.

Nie miała ochoty rozmawiać o braku postępów w swojej karierze. Zmieniła temat.

— Wydajesz się bardziej radosny — zauważyła. — Wczoraj byłeś podejrzany o morderstwo. Dzisiaj masz prokuratora w garści. Coś się zmieniło?

— Nic. To chyba cisza przed burzą. Słuchaj, powiedz mi, czy kiedyś prosiłaś o ekspresową analizę balistyczną?

— Jaką analizę balistyczną?

— Porównanie łuski z łuską i kuli z kulą.

— Zależy, kto to robi — który wydział. Ale jeżeli komuś zależy na naprawdę ekspresowym badaniu, mogliby coś mieć w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Poczułem w żołądku tępe ułknięcie strachu. Uświadomiłem sobie, że moje godziny mogą być policzone.

— Na ogół jednak bywa inaczej — ciągnęła. — Ekspresowa analiza trwa zwykle dwa, trzy dni. A jeżeli chcesz pełnego badania — porównania łuski i pocisku — to jeszcze dłużej, bo pocisk może być uszkodzony i trudno coś na nim znaleźć. Trzeba się przy tym napracować.

Skinąłem głową. Nie sądziłem, by te informacje mogły mi pomóc. Wiedziałem, że znaleźli na miejscu zbrodni łuskę. Jeżeli Lankford i Sobel ustalą, że pasuje do łuski z pocisku wystrzelonego pięćdziesiąt lat wcześniej z pistoletu Mickeya Cohena, przyjdą po mnie, a potem będą się martwić porównywaniem kul.

— Jesteś tam jeszcze? — spytała Maggie.

— Tak. Zamyśliłem się na chwilę.



— Już nie jesteś taki radosny. Chcesz o tym pogadać, Michael?

— Nie, nie teraz. Ale jeżeli będę potrzebował dobrego prawnika, wiesz, do kogo zadzwonię.

— Już to widzę.

— Możesz przeżyć niespodziankę.

Znów zamilkłem. Znajdowałem otuchę w samej świadomości, że po drugiej stronie jest Maggie.

— Haller, powinnam wracać do pracy.

— Dobrze, Maggie. Idź pozamykać tych bandziorów.

— Spokojna głowa.

— Dobranoc.

Zamknąłem telefon i rozmyślałem przez dłuższą chwilę, a potem zadzwoniłem do Sheraton Universal zapytać, czy mają wolny pokój. Postanowiłem na wszelki wypadek nie wracać na noc do domu. Mogła tam na mnie czekać para detektywów z Glendale.

*Środa, 25 maja*

## Rozdział 38

Po bezsennej nocy spędzonej w kiepskim łóżku hotelowym wczesnym rankiem dotarłem na salę rozpraw, ale nie zastałem komitetu powitalnego. Nie czekali na mnie detektywi z Glendale z uśmiechem i nakazem aresztowania. Przechodząc przez wykrywacz metalu, odetchnąłem z ulgą. Byłem ubrany w ten sam garnitur co poprzedniego dnia, lecz miałem nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Włożyłem czystą koszulę i krawat. W bagażniku lincolna mam mały zapas na letnie dni, kiedy jeżdżę przez pustynię i klimatyzacja w samochodzie odmawia posłuszeństwa.

Wchodząc na salę sędzi Fullbright, ze zdziwieniem zobaczyłem, że nie jestem pierwszym aktorem procesu, który zjawił się na miejscu. W ławach dla publiczności stał Minton, instalując ekran do prezentacji. Ponieważ sale rozpraw projektowano przed nadejściem ery prezentacji wspomaganych komputerowo, nie było w nich dobrego miejsca na duży ekran, który byłby widoczny dla przysięgłych, sędziego i prawników. Minton musiał więc wykorzystywać sporą część widowni i każdy, kto usiadłby za ekranem, nie mógłby oglądać przedstawienia.

— Ranny ptaszek — powiedziałem do Mintona.

Uniósł wzrok znad ekranu i zrobił zdziwioną minę, widząc mnie tak wcześnie.

— Muszę to opracować logistycznie. Mnóstwo z tym roboty.  
— Zawsze możesz skorzystać ze staroświeckiej metody i mówić do przysięgłych, patrząc na nich.

— Nie, dzięki. Wolę to. Rozmawiałeś z klientem o mojej ofercie?

— Tak. Nie kupił. Postanowiliśmy dograć to do końca.

Postawiłem na stole aktówkę, zastanawiając się, czy fakt, że Minton przygotowuje scenę do swojego końcowego występu, oznacza, że zrezygnował z montowania jakiegokolwiek zagrywki. Przeniknął mnie dreszcz paniki. Spojrzałem na stół prokuratorski, ale nie dostrzegłem niczego, co pozwoliłoby poznać plany Mintonna. Wiedziałem, że zawsze mogę go spytać wprost, ale do końca chciałem udawać pewność siebie.

Wolnym krokiem podszedłem do biurka woźnego, aby pogadać z Billem Meehanem, zastępcą szeryfa przydzielonym do sali sędzi Fullbright. Zobaczyłem przed nim stertę przeróżnych dokumentów. Powinien mieć wokandę i listę aresztantów, których rano przywieziono do sądu.

— Bill, idę po kawę. Przynieść ci coś?

— Nie, dzięki. Mam dość kofeiny. Przynajmniej na razie.

Z uśmiechem pokiwałem głową.

— Masz tu listę aresztowanych? Mogę zerknąć i zobaczyć, czy są na niej jacyś moi klienci?

— Jasne.

Podał mi kilka spiętych kartek. Był to spis nazwisk wszystkich więźniów przebywających teraz w celach sądowych. Przy każdym wpisano salę, w której aresztowany miał się stawić. Z najbardziej nonszalancką miną, na jaką było mnie stać, przebiegłem wzrokiem listę i szybko odnalazłem Dwayne'a Jeffery'ego Corlissa. Kapuś Mintonna miał się stawić na sali sędzi Fullbright. O mały włos z piersi nie wydarło mi się głośne westchnienie ulgi, ale zdołałem je opanować. A więc Minton zamierzał jednak wykonać ruch, który starannie zaplanowałem.

— Coś nie tak? — spytał Meehan.

Spojrzałem na niego, oddając mu listę.

— Nie, dlaczego pytasz?

— Nie wiem. Po prostu wyglądasz, jakby coś się stało.

— Nic się nie stało. Na razie.

Zszedłem do bufetu na drugim piętrze. Gdy stałem w kolejce, by zapłacić za kawę, zobaczyłem Maggie McPherson, która od wejścia skierowała się do termosów z kawą. Zapłaciłem i zaszedłem ją od tyłu w chwili, gdy wsypywała do kubka proszek z różowej torebki.

— „Sweet 'N Low” — powiedziałem. — Moja była żona zawsze lubiła słodczyce, byle nietuczające.

Odwróciła się.

— Przestań, Haller.

Powiedziała to jednak z uśmiechem.

— Cholera, Haller, przestań — uzupełniłem. — Tak też miała moja była żona. Bardzo często.

— Co tu robisz? Nie powinieneś siedzieć na szóstym i czytać na dobry moment, żeby odłączyć Mintonowi komputer?

— Nie mam się czego obawiać. Powinnaś tam wpaść i sama zobaczyć. Stara szkoła kontra nowa szkoła, odwieczna bitwa.

— Nie sądzę. To ten sam garnitur, który miałeś wczoraj?

— Tak, przynosi mi szczęście. Ale skąd wiesz, w co byłem wczoraj ubrany?

— Och, zajrzałam do sali Fullterier na parę minut. Byłeś zbyt zajęty przesłuchiowaniem swojego klienta, żeby mnie zauważyć.

Ucieszyłem się w duchu, że zwróciła uwagę na mój garnitur. To musiało coś znaczyć.

— Dzisiaj rano też mogłabyś zajrzeć.

— Dzisiaj nie mogę. Mam za dużo pracy.

— Co robisz?

— Przejmuję morderstwo od Andy'ego Seville'a. Odchodzi i zaczyna prywatną praktykę i wczoraj podzielili jego sprawy. Mnie dostała się ta lepsza.

— To miło. Czy oskarżony nie potrzebuje przypadkiem adwokata?

— Nie ma mowy, Haller. Nie zamierzam stracić przez ciebie już żadnej sprawy.

— Żartowałem. Mam co robić.

Zamknęła gorący kubek przykrywką i podniosła, trzymając go przez kilka serwetek.

— Ja też. Chciałabym ci życzyć powodzenia, ale nie mogę.

— Tak, wiem. Lojalność wobec firmy. Tylko pociesz Mintonna, kiedy wróci do was na tarczy.

— Postaram się.

Wyszła z bufetu, a ja usiadłem przy pustym stoliku. Miałem jeszcze piętnaście minut do rozpoczęcia rozprawy. Wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem do swojej drugiej byłej żony.

— Lorna, to ja. Corliss wchodzi do gry. Jesteś gotowa?

— Jestem.

— Dobrze, tylko się upewniam. Zadzwonię do ciebie.

— Powodzenia, Mickey.

— Dzięki. Przyda się. Czekaj na następny telefon.

Rozłączyłem się i chciałem już wstać, gdy ujrzałem detektywa Howarda Kurlena, który zmierzał w moją stronę, mijając słalodem stoliki. Człowiek, który wsadził za kratki Jesusa Menendeza, nie wyglądał, jakby wpadł tu na kanapkę z masłem orzechowym i sardynkami. Trzymał w ręku złożony dokument. Gdy dotarł do mnie, rzucił papier na stół obok mojej kawy.

— Co to za bzdura? — zapytał ostro.

Zacząłem rozkładać kartkę, choć dobrze wiedziałem, co na niej jest.

— Wygląda mi na wezwanie do sądu, detektywie. Sądziłem, że sam pan się domyśli.

— Wiesz, co mam na myśli, Haller. Co to ma być? Nie mam nic wspólnego z tą sprawą i nie zamierzam brać udziału w żadnych twoich brudnych gierkach.

— Nie chodzi o żadne moje brudne gierki. Dostał pan wezwanie na świadka i ma pan być przesłuchany w ramach repliki obrony.

— Repliki na co? Mówiłem już, że nie brałem żadnego udziału w tej sprawie. Śledztwo prowadził Marty Booker, z którym właśnie rozmawiałem. Powiedział, że to na pewno jakaś pomyłka.

Skwapliwie przytaknąłem.

— Wie pan co, lepiej będzie, jak wejdzie pan na salę i usiądzie. Jeżeli to rzeczywiście pomyłka, postaram się jak najszybciej ją wyjaśnić. To powinno potrwać najwyżej godzinę. Potem będzie pan mógł wyjść i dalej ścigać bandytów.

— Może zrobimy inaczej. Wyjdę od razu, a ty sobie możesz wszystko wyjaśniać, kiedy zechcesz.

— Nie mogę tego zrobić, detektywie. To urzędowe wezwanie do sądu i musi się pan stawić, chyba że wcześniej zostanie pan zwolniony z tego obowiązku. Powtarzam, wyjaśnię to jak najszybciej. Oskarżenie ma jednego świadka, potem jest moja kolej i natychmiast się tym zajmę.

— To jakaś kompletna bzdura.

Odwrócił się i wymaszerował z bufetu. Wezwanie zostawił na stoliku — na szczęście dla mnie, bo było lipne. Nie zgłosiłem tego asystentce sędzi, a nagryzmołony pod spodem podpis został wykonany moją ręką.

Bzdura czy nie, nie podejrzewałem, by Kurlen opuścił sąd. Był człowiekiem rozumiejącym prawo i obowiązek. Kierował się nimi przez całe życie. Na to właśnie liczyłem. Kurlen będzie na sali, dopóki nie zostanie zwolniony. Albo zrozumie, po co go wezwałem.

## Rozdział 39

O dziewiątej trzydzieści sędzia poleciła wprowadzić przysięgłych i natychmiast przystąpiła do realizacji porządku dnia. Zerknąłem na publiczność i w ostatnim rzędzie dostrzegłem Kurlena. Miał ponurą minę człowieka, który z trudem tłumi gniew. Siedział niedaleko drzwi i nie wiedziałem, jak długo tam wytrzyma. Przypuszczałem, że będę potrzebował całej godziny, o której wspominałem w rozmowie z detektywem.

Obrzucając spojrzeniem pozostałą część sali, ujrzałem Lankforda i Sobel zajmujących miejsca tuż obok biurka woźnego, które były przeznaczone dla stróżów prawa. Z ich twarzy nie mogłem niczego wyczytać, mimo to ich widok wzbudził we mnie wątpliwości, czy w ogóle będę miał szansę pozostać na sali przez tę godzinę.

— Panie Minton — wyrecytowała sędzia — czy oskarżenie występuje z repliką?

Odwróciłem się w stronę jej fotela. Minton wstał, poprawił marynarkę i po chwili wahania oświadczył:

— Tak, Wysoki Sądzie. Oskarżenie wzywa na świadka Dwayne'a Jeffery'ego Corlissa.

Wstałem, zauważając kątem oka, że to samo zrobił woźny Mehan. Zamierzał pójść do celi i wprowadzić na salę Corlissa.

— Wysoki Sądzie — odezwałem się. — Kim jest Dwayne

Jeffery Corliss i dlaczego wcześniej nic mi o nim nie powiedziano?

— Panie Meehan, proszę zaczekać — powiedziała Fullbright.

Meehan zastygł z kluczem w dłoni. Sędzia przeprosiła przysięgłych, prosząc ich, by udali się do sali obrad i pozostali tam, dopóki nie zostaną ponownie wezwani. Kiedy zniknęli za drzwiami, sędzia utkwiała spojrzenie w Mintonie.

— Panie Minton, zechce pan nam przybliżyć postać świadka?

— Dwayne Corliss jest świadkiem współpracującym z prokuraturą, który rozmawiał z panem Rouletem, gdy po jego aresztowaniu przebywali razem w celi.

— Bzdura! — warknął Roulet. — Nie rozmawiałem z żadnym...

— Proszę o spokój, panie Roulet! — huknęła sędzia. — Panie Haller, proszę pouczyć klienta o konsekwencjach podobnych wybuchów na moich rozprawach.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Wciąż stojąc, pochyliłem się, by szepnąć Rouletowi do ucha:

— Świetnie. Ale teraz bądź cicho i resztę zostaw mnie.

Skinął głową i odchylił się na krześle, zakładając ręce.

Wyprostowałem się.

— Przepraszam, Wysoki Sądzie, ale podzielam oburzenie mojego klienta wobec tej ostatniej rozpaczliwej próby ataku ze strony oskarżenia. Po raz pierwszy słyszymy o panu Corlissie. Chciałbym wiedzieć, kiedy doszło do jego rzekomej rozmowy z moim klientem.

Minton nie siadał. Pomyślałem, że chyba po raz pierwszy podczas procesu obaj stoimy, ścierając się przed obliczem sądu.

— Pan Corliss skontaktował się z nami za pośrednictwem prokuratora, który wystąpił w rozprawie wstępnej — odparł Minton. — Ale przekazano mi tę informację dopiero wczoraj, gdy na zebraniu w prokuraturze zostałem zapytany, dlaczego nie wykorzystuję jej w procesie.



Było to kłamstwo, którego nie chciałem jednak demaskować. Gdybym to zrobił, ujawniłbym niedyskrecję popełnioną przez Maggie McPherson w dniu świętego Patryka, co mogłoby popsuć mój plan. Trzeba było uważać. Musiałem stanowczo protestować przeciwko powołaniu na świadka Corlissa, ale równocześnie przegrać ten spór.

Przybrałem oburzoną minę.

— To niewiarygodne, Wysoki Sądzie. Dlatego, że prokuratura ma kłopoty z przepływem informacji, mój klient ma ponosić konsekwencje niepowiadomienia go o świadku oskarżenia? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie należy pozwolić temu człowiekowi zeznawać. Jest za późno na powoływanie go na świadka.

— Wysoki Sądzie — włączył się pospiesznie Minton. — Nie miałem czasu osobiście przesłuchać pana Corlissa. Przygotowywałem się do wystąpienia końcowego, więc po prostu wydałem polecenie, by dzisiaj przywieziono go do sądu. Zeznanie tego świadka jest kluczowe dla oskarżenia, ponieważ stanowi replikę na kłamliwe oświadczenia pana Rouleta. Jeśli sąd nie dopuści do zeznania, wyrządzi oskarżeniu ogromną szkodę.

Pokręciłem głową z bezradnym uśmiechem. Wygłaszając ostatnią uwagę, Minton groził sędzi wycofaniem poparcia prokuratury, gdyby startowała w wyborach do urzędu przeciw innemu kandydatowi.

— Panie Haller? — zwróciła się do mnie Fullbright. — Chce pan coś dodać, zanim wydam postanowienie?

— Chcę tylko, żeby w protokole znalazł się mój sprzeciw.

— Sprzeciw został odnotowany. Gdyby miał pan zbadać wiarygodność pana Corlissa i go przesłuchać, ile potrzebowałby pan czasu?

— Tydzień.

Teraz Minton uśmiechnął się nieszczercze i pokręcił głową.

— To niedorzeczność, Wysoki Sądzie.

— Chce pan wejść do celi i porozmawiać z panem Corlissem? — spytała mnie sędzia. — Jestem skłonna na to zezwolić.

— Nie, Wysoki Sądzie. Z moich doświadczeń wynika, że wszyscy donosiciele z aresztu kłamią. Rozmowa z nim nic nie da, ponieważ wszystko, co od niego usłyszę, będzie kłamstwem. Wszystko. Poza tym nieistotne jest to, co on ma do powiedzenia, ale to, co inni mają do powiedzenia o nim. Aby to ustalić, potrzebowalibyśmy czasu.

— Wobec tego dopuszczę do tego zeznania.

— Wysoki Sądzie — powiedziałem. — Jeżeli świadek ma stanąć na tej sali, czy mogę prosić o małą uprzejmość wobec obrony?

— Słucham, panie Haller.

— Chciałbym wyjść na korytarz i zadzwonić do swojego detektywa. To potrwa najwyżej minutę.

Po chwili zastanowienia sędziezia skinęła głową.

— Proszę bardzo. Ja tymczasem poproszę na salę przysięgłych.

— Dziękuję.

Wyszedłem za barierkę i szybko ruszyłem przez salę. Pochwyliłem wzrok Kurlena, który posłał mi szyderczy uśmiešek.

Z korytarza zadzwoniłem pod numer komórki Lorny Taylor, która odebrała natychmiast.

— Jak daleko jesteś?

— Powinnam dojechać za jakieś piętnaście minut.

— Pamiętałaś o wydruku i kasecie?

— Jasne, mam wszystko.

Zerknąłem na zegarek. Była za kwadrans dziesiąta.

— Dobra, wszystko idzie zgodnie z planem. Przyjedź, ale czekaj w korytarzu przed salą. Piętnaście po dziesiątej wejdź i podaj mi kasetę. Jeżeli będę przesłuchiwał świadka, po prostu usiądź w pierwszym rzędzie i czekaj, aż cię zauważę.

— Rozumiem.

Zamknąłem telefon i wróciłem do sali. Przysięgli siedzieli już na swoich miejscach, a Meehan wyprowadził z celi mężczyznę w szarym kombinezonie. Dwayne Corliss był szczupły i miał

zlepione w strąki włosy, które nie były zbyt często myte podczas zamkniętej terapii odwykowej w szpitalu okręgowym-USC. Na przegubie miał szpitalny identyfikator z niebieskiego plastiku. Poznałem go. To on prosił mnie o wizytówkę, kiedy pierwszego dnia rozmawiałem z Rouletem w celi.

Corliss został doprowadzony przez Meehana na miejsce dla świadków, po czym złożył przysięgę. W tym momencie pałeczkę przejął Minton.

— Panie Corliss, czy piątego marca bieżącego roku został pan aresztowany?

— Tak, policja aresztowała mnie za włamanie i posiadanie narkotyków.

— Czy przebywa pan obecnie w areszcie?

Corliss rozejrzał się.

— Hm, chyba nie. Jestem na sali sądowej.

Usłyszałem za plecami donośny śmiech Kurlena, ale nikt mu nie zawtórował.

— Chciałem zapytać, czy pozostaje pan w więzieniu, kiedy nie jest pan w sądzie.

— Jestem na zamkniętej terapii odwykowej w skrzydle więziennym szpitala okręgu Los Angeles — USC.

— Czy jest pan uzależniony od narkotyków?

— Tak. Jestem uzależniony od heroiny, ale teraz jestem czysty. Nie biorę od aresztowania.

— Od ponad sześćdziesięciu dni.

— Zgadza się.

— Czy rozpoznaje pan oskarżonego?

Corliss spojrzął na Rouleta i przytaknął.

— Rozpoznaję.

— Skąd zna pan oskarżonego?

— Spotkałem go w celi, kiedy zostałem aresztowany.

— Twierdzi pan, że po aresztowaniu znalazł się pan w pobliżu oskarżonego, Louisa Rouleta?

— Tak, na drugi dzień.

— Jak do tego doszło?

— Obaj siedzieliśmy w areszcie w Van Nuys, ale w osobnych celach. Kiedy przywieźli nas do sądu, byliśmy razem najpierw w furgonetce, potem w celi i kiedy nas wprowadzili na salę na pierwszą rozprawę. Cały czas byliśmy razem.

— Gdy używa pan słowa „razem”, co ma pan na myśli?

— No, trzymaliśmy się blisko siebie, bo byliśmy jedynymi białymi w całej grupie.

— Czy przez cały ten czas rozmawialiście ze sobą?

Corliss przytaknął, a Roulet w tym samym momencie przecząco pokręcił głową. Dotknąłem ramienia klienta, dając mu znak, żeby powstrzymał się od demonstracyjnych zachowań.

— Tak, rozmawialiśmy — rzekł Corliss.

— O czym?

— Przede wszystkim o papierosach. Obaj mieliśmy ochotę zapalić, ale w areszcie nie pozwalają.

Corliss rozłożył ręce w geście „cóż można na to poradzić?”, a kilku przysięgłych, prawdopodobnie palaczy, uśmiechnęło się ze zrozumieniem.

— Czy w rozmowie poruszyli panowie temat, za co pan Roulet trafił do aresztu? — zapytał Minton.

— Tak.

— Co powiedział?

Zerwałem się z miejsca i zgłosiłem sprzeciw, który równie szybko został oddalony.

— Co panu powiedział, panie Corliss? — powtórzył Minton.

— Najpierw zapytał, za co ja siedzę, i mu powiedziałem. A kiedy spytałem, za co on, powiedział: „Za to, że dałem dziwce to, na co zasłużyła”.

— Dokładnie tak brzmiały jego słowa?

— Tak.

— Czy uzupełnił je jakimiś szczegółami?

— Nie, raczej nie. Tego tematu nie rozwinął.

Wychyliłem się, czekając, by Minton zadał następne, oczywiste w tej sytuacji pytanie. Ale nie zadał. Przeszedł do kolejnej kwestii.

— Panie Corliss, czy ja lub ktokolwiek inny z prokuratury obiecał coś panu w zamian za to zeznanie?

— Nie. Sam pomyślałem, że trzeba o tym powiedzieć.

— Jak przedstawia się pańska sprawa?

— Dalej mam zarzuty, ale kiedy skończę terapię, chyba część mi odpuszczą. Przynajmniej narkotyki. Nie wiem jeszcze, co będzie z włamaniem.

— Ale ja nie składałem panu żadnych obietnic w związku z ciężącymi na panu zarzutami?

— Nie, nie składał pan.

— Czy ktoś inny z prokuratury składał panu jakiegokolwiek obietnice?

— Nie.

— Nie mam więcej pytań.

Siedziałem bez ruchu, wpatrując się w Corlissa. Starłem się wyglądać jak człowiek głęboko urażony, który nie za bardzo wie, jak się zachować. Wreszcie sędzia pobudziła mnie do działania.

— Panie Haller, chce pan przesłuchać świadka?

— Tak, Wysoki Sądzie.

Wstałem, oglądając się na drzwi, jak gdybym oczekiwał, że wejdzie przez nie jakiś cudotwórca i w mgnieniu oka wszystko zmieni. Potem zerknąłem na zegar, który pokazywał pięć po dziesiątej. Na sali wciąż był Kurlen. Siedział w ostatnim rzędzie z tym samym szyderczym uśmiechem. Pomyślałem, że być może to jego normalny wyraz twarzy.

Odwróciłem się do świadka.

— Panie Corliss, ile pan ma lat?

— Czterdzieści trzy.

— Znajomi zwracają się do pana Dwayne?

— Zgadza się.

— Używa pan innych imion?

— Kiedy dorastałem, nazywali mnie D.J. Wszyscy tak do mnie mówili.

— Gdzie się pan wychowywał?

— W Mesa w Arizonie.

— Panie Corliss, ile razy był pan aresztowany?

Minton zaprotestował, ale sędzia oddaliła sprzeciw. Wiedziałem, że będę miał pewną swobodę w przesłuchaniu świadka, ponieważ to ja rzekomo padłem ofiarą podstępnej oskarżenia.

— Ile razy był pan aresztowany? — powtórzyłem.

— Chyba z siedem.

— Czyli zwiedził pan w życiu wiele aresztów, prawda?

— Można tak powiedzieć.

— Wszystkie aresztowania zostały dokonane w okręgu Los Angeles?

— Przeważnie tak. Ale wcześniej byłem też aresztowany w Phoenix.

— A więc zna pan działanie wymiaru sprawiedliwości?

— Próbuję tylko przeżyć.

— I czasem wymaga to donoszenia na innych więźniów, prawda?

— Wysoki Sądzie... — zaczął Minton, wstając.

— Proszę usiąść, panie Minton — odrzekła Fullbright. — Okazałam panu dużą wyrozumiałość, pozwalając powołać tego świadka. Pan Haller korzysta teraz z podobnych względów. Świadek może odpowiedzieć.

Protokolant odczytał Corlissowi pytanie.

— Chyba tak.

— Ile razy denuncjował pan innych więźniów?

— Nie wiem. Parę razy.

— Ile razy składał pan w sądzie zeznanie korzystne dla oskarżenia?

— Czy chodzi też o moje sprawy?

— Nie, panie Corliss. O zeznania na korzyść oskarżenia. Ile razy zeznawał pan przeciw innemu więźniowi, dostarczając argumentów oskarżeniu?

— To chyba jest czwarty raz.

Zdumiałem się teatralnie, choć odpowiedź bynajmniej mnie nie zdziwiła.

— A więc jest pan zawodowcem. Można wręcz powiedzieć, że pracuje pan jako uzależniony od narkotyków donosiciel więzienny.

— Po prostu mówię prawdę. Jeżeli ktoś mówi mi o czymś złym, mam obowiązek zgłosić to komu trzeba.

— Ale namawia pan ludzi do tego, żeby zdradzali panu takie rzeczy, prawda?

— Nie, raczej nie. Rozmawiają ze mną, bo jestem życzliwy.

— Życzliwy. Oczekuje pan więc, że przysięgli uwierzą, iż nieznany panu człowiek ni stąd, ni zowąd przyzna się panu — całkiem obcemu człowiekowi — że dał dziwce to, na co zasłużyła. Zgadza się?

— Tak właśnie powiedział.

— Czyli wyznał to, a potem obaj wróciliście do rozmowy o papierosach, tak?

— Niezupełnie.

— Niezupełnie? Co pan przez to rozumie?

— Powiedział mi też, że już wcześniej zrobił coś takiego. Mówił, że uszło mu to na sucho i teraz też ujdzie. Chwalił się, że ostatnim razem udało mu się nawet zabić sukę i nic mu nie zrobili.

Zastygłem na moment. Potem spojrzałem na Rouleta, który siedział nieporuszony jak głaz z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

— Powiedział pan...

Urwałem w pół słowa, jak gdybym znalazł się na polu minowym i usłyszał ostrzegawczy trzask zapalnika pod butem. Kątem oka dostrzegłem, jak Minton wyprężył się czujnie.

— Panie Haller? — zniecierpliwiła się sędzia. Oderwałem wzrok od Corlissa i spojrzałem na nią.

— Wysoki Sądzie, na razie nie mam więcej pytań.

## Rozdział 40

Minton zerwał się z miejsca jak bokser z narożnika nacierający na krwawiącego rywala.

— Chce pan uzupełnić przesłuchanie, panie Minton? — spytała Fullbright.

— Oczywiście, Wysoki Sądzie.

Spojrzał na przysięgłych, dając im do zrozumienia, jak ważne odpowiedzi zaraz padną, po czym zwrócił się do Corlissa.

— Panie Corliss, powiedział pan, że oskarżony się chwalił. Dlaczego się chwalił?

— Powiedział mi, że raz zabił dziewczynę i nic mu za to nie zrobili.

Wstałem.

— Wysoki Sądzie, to nie ma nic wspólnego z rozpatrywaną sprawą i nie stanowi repliki na żaden argument wysunięty poprzednio przez obronę. Świadek nie może...

— Wysoki Sądzie — wtrącił Minton. — Tę informację uzyskał w przesłuchaniu przedstawiciel obrony. Oskarżenie ma prawo ją zbadać.

— Zezwalam na pytanie — odparła Fullbright.

Usiadłem z miną człowieka pognębiołego. Minton drążył dalej. Zmierzał dokładnie tam, gdzie chciałem go zaprowadzić.

— Panie Corliss, czy pan Roulet zdradził jakieś szczegóły tamtego zdarzenia, w którym jak twierdził, nie został ukarany za



zabójstwo kobiety?

— Mówił, że dziewczyna była tancerką z wężem. Występowała w jakiejś knajpie, gdzie scena wyglądała jak jama węży czy coś w tym rodzaju.

Poczułem, jak palce Rouleta oplatają moje ramię i mocno się zaciskają. Jego oddech musnął moje ucho.

— Kurwa, co to ma znaczyć? — zapytał szeptem.

Odwróciłem się do niego.

— Nie wiem. Coś ty naopowiadał temu facetowi?

Odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

— Nic mu nie powiedziałem. To jakaś cholerna pułapka. I ty ją zastawiłeś!

— Ja? Co ty wygadujesz? Mówiłem, że nie udało mi się do niego dotrzeć, bo zamknęli go w szpitalu. Jeżeli nic mu nie powiedziałaś, to musiał to zrobić ktoś inny. Lepiej pomyśl kto.

Ponownie spojrzałem na Mintona stojącego przy pulpicie i kontynuującego przesłuchanie.

— Czy pan Roulet mówił coś jeszcze o tancerce, którą jak twierdzi, zamordował? — zapytał.

— Nie. To wszystko, co mi powiedział.

Minton zajął do notatek, sprawdzając, czy ma coś jeszcze, po czym skinął głową.

— Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Sędzia popatrzyła na mnie. W jej twarzy dostrzegłem coś na kształt współczucia.

— Czy obrona ma jeszcze jakieś pytania do świadka?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, w głębi sali rozległ się szcęk otwieranych drzwi i kiedy się odwróciłem, ujrzałem Lornę Taylor. Szybkim krokiem podeszła do barierki.

— Wysoki Sądzie, czy mogę się naradzić ze swoją współpracowniczką?

— Proszę się pospieszyć, panie Haller.

Podszedłem do bramki i wziąłem od Lorny kasetę wideo wraz

z kartką, która była przymocowana do niej gumką. Zgodnie z moim wcześniejszym poleceniem Lorna szepnęła mi do ucha:

— Teraz właśnie mówię ci szeptem na ucho coś bardzo ważnego. Jak idzie?

Skinąłem głową, zdejmując gumkę i patrząc na kartkę.

— Trafiłaś idealnie — odpowiedziałem szeptem. — Jestem gotów.

— Mogę zostać i popatrzeć?

— Nie, lepiej wyjdź. Nie chcę, żeby ktoś z tobą rozmawiał, kiedy będzie po wszystkim.

Przytaknęła i wyszła. Wróciłem do pulpitu.

— Nie mam pytań, Wysoki Sądzie.

Usiadłem i czekałem. Roulet chwycił mnie za ramię.

— Co ty wyrabiasz?

— Nie dotykaj mnie. Mamy nowe informacje, których nie możemy ujawnić w przesłuchaniu.

Skupiłem wzrok na sędzi.

— Ma pan jeszcze innych świadków, panie Minton? — spytała Fullbright.

— Nie, Wysoki Sądzie.

Sędzia skinęła głową.

— Świadek jest wolny.

Meehan ruszył w stronę Corlissa. Kiedy sędzia spojrzała na mnie, podniosłem się z miejsca.

— Panie Haller, odpowiedź na replikę oskarżenia?

— Tak, Wysoki Sądzie, obrona wzywa na świadka D.J. Corlissa w ramach odpowiedzi na replikę oskarżenia.

Meehan stanął jak wryty, a oczy wszystkich skierowały się na mnie. Uniosłem kasetę i kartkę, które dostałem od Łomy.

— Mam nowe informacje na temat pana Corlissa, Wysoki Sądzie. Nie mogłem ujawnić ich podczas przesłuchania.

— Doskonale. Proszę kontynuować.

— Czy mogę prosić o chwilę na naradę z klientem?

— Proszę krótko.

Znów nachyliłem się do Rouleta.

— Słuchaj, nie wiem, o co tu chodzi, ale to nie ma znaczenia — szepnąłem.

— Jak to, nie ma znaczenia? Jak możesz...

— Posłuchaj. Nie ma znaczenia, bo mogę go zniszczyć. Mógłby nawet twierdzić, że zabiłeś dwadzieścia kobiet. Jeżeli łże, to łże. Jeśli go zniszczę, nic z tego, co mówi, nie będzie się liczyło. Rozumiesz?

Roulet przytaknął i po chwili zastanowienia zaczął się uspokażać.

— To go zniszcz.

— Zniszczę. Ale muszę wiedzieć, czy nic więcej nie wyjdzie. Czy on może jeszcze coś wiedzieć? Mam unikać jakiegoś tematu?

Roulet odrzekł powoli, jak gdyby tłumaczył coś dziecku.

— Nie wiem, bo w ogóle z nim nie rozmawiałem. Nie jestem idiotą, żeby dyskutować z jakimś obcym skurwielem o papierosach i morderstwie!

— Panie Haller? — przynagliła mnie sędzia. Uniosłem głowę.

— Tak, Wysoki Sądzie.

Trzymając taśmę i kartkę, ponownie podszedłem do pulpitu. Po drodze obrzuciłem krótkim spojrzeniem publiczność i zauważyłem, że Kurlen wyszedł. Nie miałem pojęcia, jak długo wytrzymał i ile zdążył usłyszeć. Lankford też zniknął. Została tylko Sobel, która unikała mojego wzroku. Zwróciłem się do Corlissa:

— Panie Corliss, czy może pan powiedzieć przysięgłym, gdzie dokładnie pan był, kiedy pan Roulet rzekomo wyjawiał panu rewelacje na temat morderstwa i napaści?

— Zrobił to, kiedy byliśmy razem.

— Ale gdzie, panie Corliss?

— W furgonetce nie mogliśmy rozmawiać, bo nie siedzieliśmy obok siebie. Ale kiedy przyjechaliśmy do sądu, wsadzili nas do jednej celi z sześcioma innymi ludźmi i tam zaczęliśmy gadać.

— Tych sześciu ludzi było więc świadkami waszej rozmowy, tak?

— Musieli być. Siedzieliśmy razem.

— A więc mówi pan, że gdybym sprowadził tu każdego z nich po kolei i spytał, czy widzieli, jak pan i pan Roulet rozmawialiście, to wszyscy to potwierdzą?

— Powinni, ale...

— Ale co, panie Corliss?

— Pewnie po prostu w ogóle nic by nie powiedzieli.

— Czy dlatego, że nikt nie lubi donosicieli, panie Corliss? Wzruszył ramionami.

— Chyba tak.

— Dobrze, sprawdźmy, czy wszystko dokładnie ustaliliśmy. Nie rozmawiał pan z panem Rouletem w furgonetce, ale rozmawiał pan z nim, kiedy razem byliście w celi. Gdzieś jeszcze?

— Tak, rozmawialiśmy, kiedy wprowadzili nas na salę. Wchodzi się tam do takiej szklanej klatki i czeka, aż wywołają sprawę. Tam też chwilę rozmawialiśmy, dopóki nie wyczytali jego sprawy. Poszedł pierwszy.

— Mówi pan o rozprawie wstępnej, podczas której aresztowany pierwszy raz staje przed obliczem sędziego?

— Zgadza się.

— Czyli rozmawialiście w sądzie i tam właśnie pan Roulet wyjawiał panu, jaki miał udział we wspomnianych przez pana przestępstwach?

— Zgadza się.

— Czy pamięta pan, co dokładnie mówił, kiedy byliście na sali sądowej?

— Nie bardzo. Nie pamiętam szczegółów. Chyba powiedział mi wtedy o tej tancerce.

— Dobrze, panie Corliss.

Pokazałem kasetę, informując, że jest to zapis wideo rozprawy wstępnej Louisa Rouleta, i poprosiłem, aby włączyć ją do dowodów rzeczowych obrony. Minton próbował to zablokować, argumentując, że nie przekazałem mu taśmy w ramach ujawnienia

dowodów, ale sędzia bez mojej interwencji szybko zgasła jego protesty. Po chwili znów zgłosił sprzeciw, powołując się na brak poświadczenia autentyczności nagrania.

— Staram się oszczędzić sądowi czasu — odrzekłem. — Jeżeli zajdzie taka konieczność, osoba, która zarejestrowała tę rozprawę, może się zjawić na sali w ciągu godziny i poświadczyć autentyczność nagrania. Przypuszczam jednak, że Wysoki Sąd może sam potwierdzić autentyczność. Wystarczy jedno spojrzenie na ekran.

— Zezwalam na odtworzenie nagrania — powiedziała sędzia. — Kiedy je obejrzymy, oskarżenie może zgłosić sprzeciw, jeśli będzie miało ochotę.

Do sali wtoczono telewizor i odtwarzacz, które były używane poprzednio. Ekran ustawiono w ten sposób, aby był widoczny dla Corlissa, przysięgłych i sędzi. Minton musiał postawić swoje krzesło obok ławy przysięgłych. Nagranie trwało dwadzieścia minut i ukazywało Rouleta od chwili wejścia do pomieszczenia dla aresztantów do momentu, gdy wyznaczono kaucję i wyprowadzono go z sali. Jediną osobą, z którą Roulet rozmawiał przez cały ten czas, byłem ja. Gdy zapis dobiegł końca, poprosiłem o pozostawienie telewizora na miejscu, na wypadek gdyby znów był potrzebny. Zwróciłem się do Corlissa, pytając z nutą oburzenia w głosie:

— Panie Corliss, czy dostrzegł pan choć jeden moment, kiedy rozmawia pan z panem Rouletem?

— Hm, nie. Nie wi...

— A jednak zeznał pan pod przysięgą i pod karą krzywo-przysięstwa, że gdy przebywaliście na sali sądowej, pan Roulet przyznał się panu do popełnienia przestępstwa.

— Wiem, że tak mówiłem, ale musiałem się pomylić. Chyba wszystko powiedział mi w celi.

— Okłamał pan przysięgłych.

— Nie chciałem. Powiedziałem, co pamiętam, ale chyba się myliłem. Tamtego dnia byłem na głodzie. Coś mi się mogło pomieszać.

— I tak się chyba stało. Proszę mi powiedzieć, czy też coś się panu pomieszało, kiedy zeznawał pan przeciwko Fredericowi Bentleyowi w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku?

Corliss w skupieniu zmarszczył brwi, lecz nie odpowiedział.

— Pamięta pan Frederica Bentleya, prawda?

Minton wstał.

— Sprzeciw. W osiemdziesiątym dziewiątym? Czego obrona usiłuje tym dowieść?

— Wysoki Sądzie — powiedziałem. — Chodzi o ustalenie wiarygodności świadka. To kwestia istotna dla sprawy.

— Proszę dokończyć, panie Haller — poleciła sędzia. — Tylko szybko.

— Tak, Wysoki Sądzie.

Wziąłem kartkę, aby wykorzystać ją jako rekwizyt podczas zadawania ostatnich pytań Corlissowi.

— W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku Frederic Bentley przy pańskiej pomocy został uznany za winnego zgwałcenia szesnastoletniej dziewczyny w Phoenix. Pamięta pan tę sprawę?

— Nie bardzo — odrzekł Corliss. — Od tego czasu dużo brałem.

— Podczas procesu zeznał pan, że Bentley przyznał się do popełnienia zbrodni, kiedy siedzieliście razem w celi na posterunku policji. Czy to się zgadza?

— Mówiłem, że trudno mi sobie przypomnieć.

— Policja umieściła pana w jego celi, bo wiedziała, że chętnie pan donosi, nawet jeśli musi pan zmyślać, prawda?

Podnosiłem głos z każdym kolejnym pytaniem.

— Nie pamiętam — powiedział Corliss. — Ale nigdy niczego nie zmyślałem.

— Osiem lat później mężczyzna, który według pańskiego zeznania przyznał się do popełnienia przestępstwa, został oczyszczony z zarzutów, gdy badanie DNA wykazało, że sperma sprawcy, który zgwałcił dziewczynę, pochodziła od innego mężczyzny. Zgadza się, panie Corliss?

— Nie pamięć... znaczy... to było tak dawno...

— Pamięta pan, jak po zwolnieniu Frederica Bentleya rozmawiał z panem dziennikarzem z „Arizona Star”?

— Mniej więcej. Pamiętam, że ktoś dzwonił, ale nic mu nie powiedziałem.

— Poinformował pana, że na podstawie badania DNA oczyszczono z zarzutów Bentleya, i zapytał, czy sfabrykował pan jego przyznanie się do winy, prawda?

— Nie wiem.

Pokazałem sędzi kartkę.

— Wysoki Sądzie, mam archiwalny artykuł z „Arizona Star”. Pochodzi z dziewiątego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Znalazła go moja współpracowniczka, gdy szukała w sieci nazwiska D.J. Corliss. Proszę o włączenie go do dowodów rzeczowych obrony i oznaczenie jako dokument historyczny potwierdzający milczące przyznanie się do winy.

Moja prośba wywołała zażarty spór z Mintonem na temat autentyczności tekstu i podstaw włączenia go do materiału dowodowego. W końcu sędzia wydała decyzję na moją korzyść. Wyglądała na podobnie wzburzoną jak ja, tyle że w przeciwieństwie do mnie niczego nie udawała, Minton nie miał więc większych szans.

Woźny Meehan podał Corlissowi wydruk, a sędzia poleciła mu odczytać tekst.

— Nie za dobrze idzie mi czytanie, Wysoki Sądzie — powiedział Corliss.

— Proszę spróbować.

Corliss wziął kartkę i pochylił się nad nią.

— Proszę na głos — warknęła sędzia.

Corliss odchrząknął i zacinając się, zaczął czytać.

— „W sobotę ze stanowego zakładu karnego w Arizonie zwolniono mężczyznę bezpodstawnie skazanego za gwałt, który oświadczył, że zamierza domagać się sprawiedliwości dla innych fałszywie oskarżonych więźniów. Trzydziestoczteroletni Frederic

Bentley spędził za kratami osiem lat za gwałt popełniony na szesnastoletniej mieszkance Tempe. Ofiara zidentyfikowała jako sprawcę Bentleya, swojego sąsiada, a badanie nasienia pobranego z ciała ofiary potwierdziło, że miał tę samą grupę krwi co sprawca. Podczas procesu zarzuty wsparło zeznanie informatora, który powiedział, że Bentley przyznał się przed nim do winy, gdy umieszczono ich w jednej celi. Bentley przez cały proces, a nawet po wydaniu wyroku skazującego, utrzymywał, że jest niewinny. Kiedy sądy w stanie zaakceptowały testy DNA jako wiarygodne dowody procesowe, Bentley wynajął adwokatów i zaczął walczyć o prawo przeprowadzenia badań DNA nasienia pobranego z ciała ofiary gwałtu. Sędzia polecił przeprowadzić analizę, która niezbitnie wykazała, że Bentley nie był sprawcą przestępstwa.

Na wczorajszej konferencji prasowej w hotelu Arizona Biltmore Bentley wystąpił z ostrą krytyką więziennych informatorów, domagając się wprowadzenia prawa stanowego, które ustalałoby precyzyjne przepisy regulujące możliwość korzystania z ich usług przez policję i prokuraturę.

Informatorem, który pod przysięgą zeznał, że Bentley przyznał się do gwałtu, był D.J. Corliss z Mesa, aresztowany pod zarzutem posiadania narkotyków. Gdy został poinformowany o oczyszczeniu Bentleya z zarzutów i zapytany, czy złożył przeciw niemu fałszywe zeznanie, odmówił komentarza. Na konferencji prasowej Bentley twierdził z przekonaniem, że Corliss jest donosicielem dobrze znanym policji, która kilkakrotnie wykorzystwała go, by zbliżyć się do podejrzanych. Bentley oświadczył, że jeśli Corlissowi nie udaje się wydobyć z podejrzanego przyznania się do winy, zazwyczaj zmyśla zeznanie. Sprawa przeciwko Bentleyowi...”.

— Chyba wystarczy, panie Corliss — powiedziałam.

Corliss odłożył wydruk i spojrzał na mnie z miną dziecka, które otworzyło szafę i zobaczyło, że za chwilę cała jej zawartość spadnie mu na głowę.

— Czy kiedykolwiek oskarżono pana o krzywoprzysięstwo w związku ze sprawą Bentleya? — zapytałam.



— Nie — odparł stanowczo, jak gdyby ten fakt miał usprawiedliwiać jego uczynek.

— Czy dlatego, że policja była współwinna zorganizowania podstępu przeciw panu Bentleyowi?

Minton zgłosił sprzeciw.

— Jestem pewien, że pan Corliss nie ma pojęcia, co zdecydowało o braku zarzutów o krzywoprzysięstwo.

Fullbright podtrzymała sprzeciw, ale nic mnie to już nie obchodziło. Przesłuchanie doszło do takiego miejsca, że nic nie mogło mi przeszkodzić. Przeszedłem do kolejnego pytania.

— Czy jakiś prokurator lub funkcjonariusz policji prosił pana, żeby zbliżył się pan do pana Rouleta i nakłonił go do zwierzeń?

— Nie, chyba po prostu tak się szczęśliwie złożyło.

— Nie kazano panu nakłonić pana Rouleta do przyznania się do winy?

— Nie.

Przez dłuższą chwilę patrzyłem na niego z obrzydzeniem.

— Nie mam więcej pytań.

Pełnym godności krokiem wróciłem na miejsce i ze złością cisnąłem kasetę na stół.

— Panie Minton? — zwróciła się do prokuratora sędzia.

— Nie mam więcej pytań — odrzekł słabym głosem.

— Dobrze — powiedziała Fullbright. — Przysięgli udadzą się na wcześniejszy lunch. Chciałabym, aby wszyscy wrócili na salę punktualnie o trzynastej.

Uśmiechnęła się sztucznie do przysięgłych, czekając, aż opuszczą salę. Kiedy jednak zamknęły się za nimi drzwi, uśmiech zniknął.

— Chcę widzieć strony w moim gabinecie — oznajmiła. — Natychmiast.

Nie czekała na odpowiedź. Wstała z fotela tak raptownie, że jej czarna toga załopotąła jak peleryna samej śmierci.

## Rozdział 41

Zanim weszliśmy z Mintonem do jej gabinetu, sędzia Fullbricht zdążyła już zapalić papierosa. Zaciągnęła się nim głęboko i od razu zgasiła papierosa o szklany przycisk do papieru, a niedopałek włożyła do zamykanej plastikowej torebki. Zamknęła ją, zwinęła i włożyła do torby. Nie zamierzała pozostawiać dowodów swojej niesubordynacji nikomu, nawet sprzątaczkom. Wydmuchała dym w stronę umieszczonego w suficie wywietrznika, po czym utkwiała wzrok w Mintonie. Widząc wyraz jej oczu, cieszyłem się, że nie jestem na jego miejscu.

— Do cholery, panie Minton, co pan zrobił z moim procesem?

— Wysoki...

— Zamknąć się i siadać. Obaj.

Spełniliśmy rozkaz. Sędzia opanowała się i pochyliła nad biurkiem. Wciąż patrzyła tylko na Mintona.

— Kto dołożył należytej staranności, żeby sprawdzić pańskiego świadka? — spytała spokojnie. — Kto go prześwietlił?

— Hm, to znaczy... przejrzelśmy tylko jego sprawy z okręgu. Nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych. Sprawdziłem nazwisko w komputerze, ale nie używałem jego inicjałów.

— Ile razy dotychczas w okręgu wykorzystano jego zeznania?

— W sądzie tylko raz. Ale udzielał informacji jeszcze w trzech sprawach, jakie udało mi się znaleźć. Nie było nic o Arizonie.

— Nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić, czy nie występował gdzie indziej, ani użyć inicjałów?

— Chyba nie. Przekazał mi go pierwszy prowadzący sprawę prokurator. Pomyślałem po prostu, że wszystko zostało sprawdzone.

— Bzdura — odezwałem się.

Sędzia spojrzała na mnie. Mogłem siedzieć i spokojnie przyglądać się upadkowi Mintona, ale nie zamierzałem pozwolić, żeby pociągnął ze sobą w przepaść Maggie McPherson.

— Pierwszym prokuratorem była Maggie McPherson — powiedziałem. — Prowadziła sprawę raptem trzy godziny. Jest moją byłą żoną i kiedy tylko zobaczyła mnie na rozprawie wstępnej, wiedziała, że musi się wycofać. A ty dostałeś sprawę jeszcze tego samego dnia, Minton. Kiedy twoim zdaniem miała prześwietlić świadka, zwłaszcza że pojawił się dopiero po posiedzeniu wstępnym? Przekazała go dalej i tyle.

Minton otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale sędzia nie dopuściła go do głosu.

— Nieważne, kto powinien to zrobić. Nie zrobiono tego porządnie i dopuszczenie do zeznań tego człowieka było moim zdaniem rażącym naruszeniem zasad przez prokuraturę.

— Wysoki Sądzie — odburknął Minton. — Nie zrobiłem...

— Proszę zostawić tłumaczenia dla swojego szefa. To jego będzie pan musiał przekonywać. Jaka była ostatnia propozycja złożona przez oskarżenie panu Rouletowi?

Minton zamarł, niezdolny wykrztusić słowa. Odpowiedziałem za niego.

— Zwykła napaść, sześć miesięcy w okręgowym.

Sędzia zdziwiona uniosła brwi.

— I nie przyjął pan jej?

Pokręciłem głową.

— Mój klient nie zgadza się na żaden wyrok skazujący. Oznaczałby dla niego ruinę. Wybiera ryzyko i werdykt przysięgłych.

— Chce pan unieważnienia procesu? — spytała.

Zaśmiałem się, potrząsając głową.

— Nie, nie chcę unieważnienia procesu. Prokuratura zyskałaby czas, żeby wszystko naprawić, a potem znów nas zaatakować.

— W takim razie czego pan chce?

— Czego chcę? Mile widziane byłoby zalecenie wydania wyroku. Ostateczne oddalenie zarzutów. W przeciwnym razie czekamy do końca.

Sędzia skinęła głową, kładąc na biurku splecione dłonie.

— Zalecenie wyroku to niedorzeczność, Wysoki Sądzie — powiedział Minton, odzyskując głos. — Zresztą i tak proces się kończy. Równie dobrze możemy poczekać na werdykt ławy. Przysięgłym się to po prostu należy. Przez jeden błąd oskarżenia nie ma powodu zrywać całego procesu.

— Niech się pan nie wygłupia, panie Minton — ucięła sędzia. — Nie chodzi o to, co się należy przysięgłym. Moim zdaniem błąd, który pan popełnił, w zupełności wystarczy. Nie mam ochoty, żeby sprawa trafiła do mnie rykoszetem z sądu drugiej instancji, do czego z pewnością by doszło. Miałabym na głowie pańskie naruszenie zasad...

— Nie znałem przeszłości Corlissa! — kategorycznie oświadczył Minton. — Przysięgam na Boga, że nie znałem.

Po tych stanowczych słowach w gabinecie na chwilę zapadła cisza. Szybko ją jednak przerwałem.

— Tak samo jak nic nie wiedziałeś o nożu, Ted?

Fullbright spojrzała na Mintona, potem na mnie i znów na Mintona.

— Jakim nożu? — spytała.

Minton milczał.

— Powiedz.

Pokręcił głową.

— Nie wiem, o czym mówi — rzekł.

— Wobec tego niech pan mi powie — zwróciła się do mnie sędzia.

— Gdybym chciał czekać na wszystkie dowody aż do ujawnienia, równie dobrze mógłbym od razu dać sobie spokój — powiedziałem. — Świadkowie znikają, zeznania się zmieniają — jeżeli człowiek siedzi i czeka, sprawę ma przegraną.

— Dobrze, ale co z nożem?

— Musiałem zacząć pracę nad sprawą. Poprosiłem więc swojego detektywa, żeby wykorzystał swoje kontakty i zdobył raporty. To uczciwe. Ale już na niego czyhali i podłożyli mu fałszywy raport z analizy broni, więc nic nie wiedziałem o inicjałach. Dowiedziałem się dopiero po formalnym ujawnieniu dowodów.

Sędzia zacisnęła wargi w wąską kreskę.

— To zrobiła policja, nie prokuratura — wtrącił pospiesznie Minton.

— Pół minuty temu twierdził pan, że nie wie, o co chodzi — powiedziała Fullbright. — I nagle pan sobie przypomniał. Nie obchodzi mnie, kto to zrobił. Chce pan powiedzieć, że naprawdę doszło do czegoś takiego?

Minton niechętnie skinął głową.

— Tak, Wysoki Sądzie, ale przysięgam...

— Wie pan, co z tego wynika? — przerwała mu sędzia. — Że od początku do końca tej sprawy prokuratura nie grała fair. Nieważne, kto co zrobił ani czy detektyw pana Hallera postąpił niewłaściwie. Oskarżenie musi być wolne od takich podejrzeń. A dziś na sali rozpraw okazało się, że jest wręcz przeciwnie.

— Wysoki Sądzie, to nie tak...

— Ani słowa więcej, panie Minton. Chyba już dość usłyszałam. Proszę teraz opuścić mój gabinet. Za pół godziny wejść na salę i ogłosić swoją decyzję. Nie wiem jeszcze, jaka będzie, ale z pewnością się panu nie spodoba, panie Minton. Polecam też panu zaprosić na salę swojego szefa, pana Smithsona, aby wysłuchał orzeczenia.

Wstałem. Minton ani drgnął. Siedział jak wrośnięty w krzesło.

— Powiedziałam, że mogą panowie wyjść! — warknęła sędzia.

## Rozdział 42

Poszedłem za Mintonem na salę rozpraw. Była pusta, jeśli nie liczyć Meehana siedzącego za swoim biurkiem. Wziąłem ze stołu teczkę i ruszyłem w stronę bramki.

— Hej, Haller, zaczekaj — powiedział Minton, zbierając akta ze stołu prokuratorskiego.

Przystanąłem przy barierce, oglądając się przez ramię.

— Co?

Minton podszedł do mnie, wskazując tylne drzwi.

— Wyjdźmy tędy.

— Na korytarzu czeka na mnie klient.

— Chodź.

Ruszył do drzwi i podążyłem za nim. W westybulu, gdzie dwa dni wcześniej miałem przeprawę z Rouletem, Minton zatrzymał się i odwrócił, szykując się do przeprawy ze mną. Ale się nie odzywał. Szukał słów. Postanowiłem go jeszcze bardziej pognębić.

— Kiedy pójdziesz po Smithsona, wstąpię chyba do biura „Timesa” na drugim i powiem reporterowi, że za pół godziny będziemy mieli pokaz fajerwerków.

— Słuchaj — wyrzucił z siebie Minton. — Musimy to jakoś załatwić.

— Musimy?

— Zaczekaj z tym „Timesem”, zgoda? Daj mi numer swojej komórki i dziesięć minut.

— Po co?

— Pójdę do prokuratury i zobaczę, co się da zrobić.

— Nie ufam ci, Minton.

— Jeżeli zamiast na tandetnych nagłówkach w gazetach bardziej zależy ci na dobru klienta, to musisz mi na dziesięć minut zaufać.

Odwrociłem wzrok, jak gdybym się zastanawiał nad propozycją. W końcu spojrzałem na niego.

— Wiesz co, Minton, mogłem znosić cały kit, który mi wciśkałeś. Nóż, arogancję i tak dalej. Jestem zawodowcem i co dzień muszę żyć z tym głównym, jakim obrzucają mnie prokuratorzy. Ale kiedy próbowałeś zwalić Corlissa na Maggie McPherson, postanowiłem nie mieć już dla ciebie żadnej litości.

— Słuchaj, nie zrobiłem nic, żeby umyślnie...

— Minton, rozejrzyj się. Jesteśmy tu sami. Nie ma kamer, podsłuchu, świadków. Chcesz mi wmawiać, że usłyszałeś o Corlissie dopiero na wczorajszym zebraniu?

Ze złością wycelował palec w moją twarz.

— A ty chcesz mi wmówić, że usłyszałeś o nim dopiero dzisiaj rano?

Przez dłuższą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

— Może i jestem żółtodziobem, ale nie idiotą — powiedział.

— Cała twoja strategia polegała na tym, żeby mnie zmusić do wystawienia Corlissa. Od początku wiedziałeś, co możesz z nim zrobić. I pewnie sprzedała ci go twoja była.

— Jeżeli możesz to udowodnić, spróbuj — odrzekłem.

— Och, nie martw się. Mógłbym... gdybym miał czas. Ale mam tylko pół godziny.

Wolno uniosłem rękę i spojrzałem na zegarek.

— Raczej dwadzieścia sześć minut.

— Daj mi numer komórki.

Kiedy podałem mu numer, poszedł. Stałem w westybulu jess-cze piętnaście sekund, po czym wyszedłem na korytarz. Roulet



stał przy przeszklonej ścianie wychodzącej na dziedziniec. Jego matka i C.C. Dobbs siedzieli na ławce pod przeciwległą ścianą. W głębi korytarza zobaczyłem detektyw Sobel.

Roulet zobaczył mnie i szybkim krokiem ruszył w moją stronę. Pospieżyli za nim jego matka i Dobbs.

— Co się dzieje? — pierwszy spytał Roulet.

Zaczekałem, aż cała trójka zgromadzi się wokół mnie, po czym odparłem:

— Chyba wszystko zaraz wybuchnie.

— Co to znaczy? — spytał Dobbs.

— Sędzia zastanawia się nad zaleceniem ławie wyroku.

Wkrótce się dowiemy.

— Co to jest zalecenie wyroku? — wtrąciła Mary Windsor.

— Sędzia przejmuje od przysięgłych prawo decyzji i wydaje wyrok uniewinniający. Jest wkurzona, bo mówi, że Minton naruszył zasady, powołując Corlissa na świadka, i ma do niego jeszcze inne pretensje.

— Naprawdę może to zrobić? Uniewinnić go?

— Jest sędzią. Zrobi, co zechce.

— O Boże!

Windsor zakryła usta dłonią i wyglądała, jak gdyby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

— Powiedziałem, że się zastanawia — przestrzegłem. — Nie wiadomo, czy rzeczywiście do tego dojdzie. Zaproponowała mi unieważnienie procesu, ale się nie zgodziłem.

— Nie zgodziłeś się?! — krzyknął Dobbs. — Dlaczego, u licha?

— Bo to bez sensu. Prokurator wniesie oskarżenie jeszcze raz i wznowią proces — tym razem z lepszej pozycji, bo będą znać nasze ruchy. Nie, nie ma mowy o unieważnieniu procesu. Nie będziemy uczyć prokuratury. Potrzebujemy ostatecznego orzeczenia, bez możliwości wznowienia, inaczej czekamy na wyrok ławy. Nawet gdyby był niekorzystny, mamy solidne podstawy do apelacji.

— Czy to nie Louis powinien o tym decydować? — zapytał Dobbs. — W końcu to on...

— Zamknij się, Cecil — fuknęła Mary Windsor. — Zamknij się i przestań wiecznie krytykować to, co ten człowiek robi dla Louisa. Ma rację. Nie będziemy przeżywać tego od początku!

Dobbs wyglądał, jakby dostał od niej w twarz. Odsunął się od nas o pół kroku. Spojrzałem na Mary Windsor i zobaczyłem zupełnie inną twarz. Twarz kobiety, która zbudowała firmę od zera i doprowadziła na sam szczyt. Równocześnie zupełnie inaczej spojrzałem na Dobbsa, zdając sobie sprawę, że od początku szeptał jej na ucho jadowite uwagi na mój temat.

Nie zaprzatając tym sobie głowy, skupiłem się na najważniejszym.

— Prokuratura tylko jednej rzeczy nienawidzi bardziej niż przegranego wyroku — powiedziałem. — Upokorzenia spowodowanego zaleceniem ławie wyroku, zwłaszcza po wykrzyciu naruszenia zasad przez oskarżenie. Minton poszedł na dywanik, a jego szef to polityczna figura i zawsze wie, skąd wiatr wieje. Za kilka minut powinniśmy już coś wiedzieć.

Roulet stał tuż przede mną. Ponad jego ramieniem widziałem, że Sobel wciąż jest w korytarzu. Rozmawiała przez telefon.

— Posłuchajcie — powiedziałem. — Na razie trzeba czekać. Jeżeli nie dostanę żadnego sygnału od prokuratora, za dwadzieścia minut wrócimy na salę i zobaczymy, co sędzia chce zrobić. Zostańcie tu. Jeśli pozwolicie, pójdę do toalety.

Poszedłem w głąb korytarza w kierunku Sobel. Ale Roulet zostawił matkę i jej adwokata i dogonił mnie. Chwycił mnie za ramię, żeby mnie zatrzymać.

— Nadal chcę wiedzieć, gdzie Corliss usłyszał te bzdury — oznajmił stanowczym tonem.

— Co to za różnica? Ważne, że działają na naszą korzyść.

Roulet zbliżył twarz do mojej twarzy.

— Facet zeznaje pod przysięgą, że jestem mordercą. Jak to może działać na naszą korzyść?

— Bo nikt mu nie uwierzył. Dlatego sędzia jest taka wkurzona. Bo wezwali na świadka zawodowego łgarza gotowego wygadywać o tobie najgorsze rzeczy. Na tym właśnie polega naruszenie zasad. Dopuszcili go przed przysięgłych, a potem się okazało, że jest łgarzem. Nie rozumiesz? Musiałem podnieść stawkę. To był jedyny sposób, żeby przycisnąć sędzię, żeby z kolei ona przycisnęła prokuratora. Robię dokładnie to, co chciałeś, Louis. Próbuję cię z tego wyciągnąć.

Przyglądałem się, czekając, aby to do niego dotarło.

— Dlatego odpuść sobie — poradziłem. — Wróć do matki i Dobbsa i pozwól mi się wysikać.

Pokręcił głową.

— Nie, nie odpuszczę, Mick.

Dźgnął mnie palcem w pierś.

— Tu chodzi o coś innego, Mick, i bardzo mi się to nie podoba. Musisz o czymś pamiętać. Mam twój pistolet. A ty masz córkę. Musisz...

Złapałem go za rękę i odsunąłem od siebie.

— Nie waż się nigdy grozić mojej rodzinie — powiedziałem opanowanym głosem, który drżał jednak od gniewu. — Chcesz się odegrać na mnie, świetnie, odgrywaj się na mnie. Ale jeżeli kiedykolwiek zagroźysz mojej córce, zagrzebię cię tak głęboko, że nikt cię nigdy nie znajdzie. Zrozumiałeś, Louis?

Wolno pokiwał głową, a na jego twarzy zjawił się uśmiech.

— Jasne, Mick. Czyli się rozumiemy.

Puściłem jego rękę i ruszyłem w głąb korytarza, gdzie znajdowały się toalety i gdzie czekała Sobel, rozmawiając przez telefon. Szedłem jak ślepiec, myśląc tylko o groźbach pod adresem mojej córki. Otrząsnąłem się jednak, zbliżając się do detektyw Sobel. Na mój widok zamknęła komórkę.

— Witam, pani detektyw — powiedziałem.

— Dzień dobry, panie Haller.

— Mogę spytać, co pani tu robi? Przyszła mnie pani aresztować?

— Przyszłam, bo mnie pan zaprosił, nie pamięta pan?

— Hm, nie bardzo.

Zmrużyła oczy.

— Powiedział pan, żebym wpadła zobaczyć proces.

Uświadomiłem sobie, że mówi o niezręcznej rozmowie, jaką odbyliśmy w moim domu w poniedziałek wieczorem podczas rewizji.

— Ach, tak, zapomniałem. Ale cieszę się, że skorzystała pani z zaproszenia. Wcześniej widziałem tu chyba pani partnera. Co się z nim stało?

— Jest gdzieś w budynku.

Próbowałem zinterpretować tę informację. Nie odpowiedziała mi na pytanie, czy przyszła mnie aresztować. Wskazałem przeciwny koniec korytarza, gdzie było wejście na salę rozpraw.

— I co pani sądzi?

— Ciekawe. Żałuję, że nie jestem muchą na ścianie w gabinecie sędzi.

— Proszę zostać. To jeszcze nie koniec.

— Może zostaną.

Zaczęła wibrować moja komórka. Sięgnąłem pod marynarkę i zdjąłem telefon z paska. Z numeru na wyświetlaczu wynikało, że dzwonił ktoś z prokuratury.

— Muszę odebrać — powiedziałem.

— Naturalnie.

Otworzyłem telefon i zacząłem iść w stronę Rouleta, który spacerował po korytarzu.

— Halo?

— Witam, panie Haller, tu Jack Smithson z prokuratury okręgowej. Jak mija dzień?

— Bywało lepiej.

— Ale nie po tym, co panu zaproponuję.

— Słucham.

## Rozdział 43

Sędzia nie zjawiała się na sali piętnaście minut po wyznaczonej godzinie. Wszyscy czekaliśmy. Roulet i ja przy stole obrony, jego matka i Dobbs za nami w pierwszym rzędzie. Przy stole prokuratorским Minton nie występował już solo. Obok niego siedział Jack Smithson. Pomyślałem, że chyba pierwszy raz od roku znalazł się na sali rozpraw.

Minton wyglądał na przybitego i pokonanego. Patrząc na niego, można by go wziąć za oskarżonego siedzącego obok adwokata. Winnego wszystkich zarzutów.

Na sali nie było detektywa Bookera i zastanawiałem się, czy nad czymś pracuje, czy po prostu nikt nie zadzwonił do niego ze złą wiadomością.

Odwróciłem się, spojrzałem na duży zegar i publiczność. Ekran przygotowany do prezentacji Mintona zniknął. To był znak tego, co miało nastąpić. Zobaczyłem Sobel siedzącą w ostatnim rzędzie, ale nigdzie nie mogłem dojrzeć jej partnera ani Kurlena. Poza tym nie było nikogo innego prócz Dobbsa i Windsor, ale oni się nie liczyli. Rząd zarezerwowany dla dziennikarzy był pusty. Media nie zostały zawiadomione. Dotrzymałem tego punktu umowy ze Smithsonem.

Woźny Meehan zarządził ciszę na sali i sędzia Fullbright zajęła swój fotel, wionąc ku nam zapachem bzu. Podejrzewałem, że w

gabinecie wypaliła jeszcze jednego czy dwa papierosy i obficie spryskała się perfumami, żeby to zamaskować.

— Dowiedziałam się od swojej asystentki, że mamy wniosek w sprawie stan Kalifornia kontra Louis Ross Roulet.

Minton wstał.

— Tak, Wysoki Sądzie.

Zamilkł, jak gdyby nie mógł nic więcej z siebie wydusić.

— Panie Minton, czyżby przekazywał mi pan wniosek telepatycznie?

— Nie, Wysoki Sądzie.

Minton spojrzał na Smithsona, który wykonał przyzwalający gest.

— Oskarżenie wnosi o oddalenie wszystkich zarzutów przeciwko Louisowi Rossowi Rouletowi.

Sędzia skinęła głową, jak gdyby spodziewała się tego ruchu. Usłyszałem, jak ktoś za moimi plecami głośno wstrzymał oddech, i domyśliłem się, że to Mary Windsor. Wiedziała, co się stanie, ale panowała nad emocjami, dopóki nie usłyszy tego na własne uszy.

— Z możliwością wznowienia postępowania czy bez? — spytała sędzia.

— Bez możliwości wznowienia postępowania.

— Jest pan pewien, panie Minton? Oskarżenie nie będzie mogło wytoczyć nowego procesu.

— Tak, Wysoki Sądzie, wiem — odrzekł Minton z nutą irytacji w głosie. Nie miał ochoty, żeby sędzia tłumaczyła mu prawo.

Fullbright coś zapisała, po czym znów spojrzała na Mintona.

— Uważam, że oskarżenie powinno przedstawić jakieś uzasadnienie wniosku. Wybraliśmy ławę przysięgłych i przez ponad dwa dni słuchaliśmy zeznań. Dlaczego oskarżenie podejmuje taką decyzję na tym etapie procesu?

Wstał Smithson. Był wysoki i szczupły i miał bladą cerę. Wyglądał jak typowy okaz prokuratora. Nikt nie chciał, by prokuratorem okręgowym został jakiś grubas, a Smithson miał nadzieję

kiedyś objąć ten urząd. Miał na sobie grafitowy garnitur oraz swój znak rozpoznawczy: bordową muszkę wraz z chustką w identycznym kolorze wystającą z kieszonki. Wśród adwokatów krążyła plotka, że doradca polityczny polecił mu zbudować rozpoznawalny wizerunek medialny, aby podczas wyborów elektorat był przekonany, że już go zna. Dziś znalazł się w sytuacji, w której nie chciał pokazywać swojego wizerunku elektoratowi.

— Jeśli wolno, Wysoki Sądzie — powiedział.

— Proszę o zaprotokołowanie obecności na sali zastępcy prokuratora okręgowego Johna Smithsona z wydziału w Van Nuys. Witamy, Jack. I słuchamy.

— Wysoki Sądzie, poinformowano mnie, że w interesie wymiaru sprawiedliwości należy wycofać zarzuty przeciwko panu Rouletowi.

Wymówił błędnie nazwisko Rouleta.

— Czy to jedyne uzasadnienie, jakie chcesz nam przedstawić, Jack? — spytała sędzia.

Smithson zwlekał z odpowiedzią. Ponieważ na sali nie było dziennikarzy, stenogram z rozprawy miał być jawny i jego słowa miały się przedostać do opinii publicznej.

— Wysoki Sądzie, poinformowano mnie, że w śledztwie i późniejszym postępowaniu prokuratorskim doszło do pewnych nieprawidłowości. Prokuratura opiera się na wierze w nienaruszalność naszego wymiaru sprawiedliwości. Osobiście stoję na jej straży w wydziale Van Nuys i traktuję ją bardzo, bardzo poważnie. Lepiej więc wycofać zarzuty, niż w jakikolwiek sposób sprzeniewierzyć się zasadom sprawiedliwości.

— Dziękuję, panie Smithson. To krzepiące słowa.

Sędzia znów coś zapisała, po czym spojrzała na stół obrony.

— Wniosek oskarżenia został przyjęty — oświadczyła. — Wszystkie zarzuty przeciwko panu Rouletowi zostają oddalone bez możliwości wznowienia postępowania. Panie Roulet, został pan oczyszczony z zarzutów i jest pan wolny.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie — powiedziałem.

— O trzynastej wrócą przysięgli — dodała Fullbright. — Wyjaśnię im, jaką podjęto decyzję. Jeśli przedstawiciele stron życzą sobie być przy tym obecni, z pewnością będą musieli odpowiedzieć na pytania przysięgłych. Obecność nie jest jednak konieczna.

Skinąłem głową, lecz nie powiedziałem, czy przyjdę. Wiedziałem, że nie przyjdę. Przestałem się interesować dwunastką ludzi, którzy byli dla mnie tak ważni przez ostatni tydzień. Znaczyli dla mnie tyle co kierowcy jadący autostradą w przeciwnym kierunku. Minęli mnie i dłużej o nich nie myślałem.

Sędzia opuściła swoje miejsce, a Smithson był pierwszą osobą, która wyszła z sali. Nie miał nic do powiedzenia ani Mintonowi, ani mnie. Zależało mu przede wszystkim na tym, aby się zdystansować od tej prokuratorskiej katastrofy. Spojrzałem na Mintona, którego twarz przybrała kredowobiałą barwę. Przypuszczałem, że niedługo znajdę jego nazwisko w książce telefonicznej. Prokuratura nie będzie miała ochoty go zatrzymać, więc powiększy armię adwokatów, płacąc wysoką cenę za pierwszą lekcję prawa karnego.

Roulet stał przy barierze, ściskając matkę. Dobbs gratulacyjnym gestem poklepywał go po ramieniu. Ale adwokat rodziny chyba jeszcze nie doszedł do siebie po ostrej naganie w korytarzu.

Kiedy skończyły się uściski, Roulet odwrócił się do mnie i z wahaniem podał mi rękę.

— Nie myliłem się co do ciebie — rzekł. — Wiedziałem, że jesteś najlepszy.

— Chcę dostać pistolet — odparłem z kamienną twarzą, bez śladu radości z powodu zwycięstwa.

— Oczywiście.

Odwrócił się do matki. Po chwili wahania otworzyłem aktówkę i zacząłem układać w niej akta.

— Michael?

Zobaczyłem Dobbsa, który wyciągał do mnie rękę ponad barierką. Uścisnąłem ją.



— Dobra robota — rzekł Dobbs, jak gdybym musiał to usłyszeć właśnie od niego. — Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

— Dzięki za szansę. Wiem, że z początku miałeś wątpliwości.

Byłem na tyle uprzejmy, że nie wspomniałem o wybuchu Mary Windsor na korytarzu i o tym, co podobno mówił za moimi plecami.

— To dlatego, że cię nie znałem — odparł. — Teraz już cię znam. I wiem, kogo polecać swoim klientom.

— Dziękuję. Ale mam nadzieję, że twoi klienci nigdy nie będą mnie potrzebować.

Zaśmiał się.

— Ja też!

Potem przysłała kolej na Mary Windsor. Wyciągnęła do mnie rękę.

— Panie Haller, dziękuję za syna.

— Proszę bardzo — odrzekłem bezbarwnym głosem. — Niech pani na niego uważa.

— Zawsze uważam.

Skinąłem głową.

— Może wyjdą państwo na korytarz, a ja dołączę za chwilę. Muszę jeszcze załatwić kilka spraw z asystentką i panem Mintonem.

Odwrociłem się z powrotem do stołu. Potem podszedłem do biurka asystentki.

— Kiedy będę mógł dostać podpisaną decyzję?

— Wydamy ją jeszcze dzisiaj po południu. Jeżeli pan nie przyjdzie, możemy panu przysłać.

— Świetnie. Można też prosić o faks?

Obiecała przesłać pismo faksem i dałem jej numer w mieszkaniu Lorny Taylor. Nie byłem pewien, jak wykorzystam ten dokument, ale przypuszczałem, że decyzja o oddaleniu zarzutów pomoże mi znaleźć jakiegoś klienta.

Gdy wróciłem po aktówkę, zauważyłem, że detektyw Sobel wyszła z sali. Został tylko Minton. Powoli zbierał swoje rzeczy.

— Szkoda, że nie miałem okazji zobaczyć tej komputerowej prezentacji — powiedziałem.

Pokiwał głową.

— Tak, była całkiem niezła. Mogła nawet przekonać przy-  
sięgłych.

— Co teraz zamierzasz robić?

— Nie wiem. Zobaczę, czy uda mi się to przeczekać i zostać  
w prokuraturze.

Wcisnął akta pod pachę. Nie miał teczki. Musiał tylko zejść na  
drugie piętro. Posłał mi surowe spojrzenie.

— Wiem tylko, że nie chcę usiąść przy drugim stole. Nie  
chcę zostać kimś takim jak ty, Haller. Wolę spać spokojnie.

Minął bramkę i zamaszystym krokiem wyszedł z sali. Spojrza-  
łem na asystentkę, sprawdzając, jak zareagowała na jego słowa.  
Zachowywała się, jakby nic nie słyszała.

Nie spiesząc się, podążyłem za Mintonem. Wziąłem aktówkę i  
wychodząc za barierkę, odwróciłem się. Spojrzałem na pusty fotel  
sędziowski i umieszczone przed nim godło stanu. Skinąłem głową  
do nikogo konkretnego i wyszedłem.

## Rozdział 44

Roulet i jego świta czekali na mnie w korytarzu. Rozejrzałem się i zobaczyłem Sobel stojącą przy windach. Rozmawiała przez komórkę, czekając chyba na windę, chociaż nie widziałem, żeby świecił się przycisk.

— Michael, pójdziesz z nami na lunch? — spytał na mój widok Dobbs. — Chcemy to uczcić!

Zauważyłem, że znów zwraca się do mnie po imieniu. Zwyczajstwo u każdego wzbudza życzliwość.

— Hm... — odparłem, wciąż patrząc na Sobel. — Chyba nie mogę.

— Dlaczego? Na pewno dziś po południu nie masz żadnej rozprawy.

Wreszcie spojrzałem na Dobbsa. Miałem ochotę odpowiedzieć, że nie pójdę z nimi na lunch, bo już nigdy więcej nie chcę widzieć ani jego, ani Mary Windsor, ani Louisa Rouleta.

— Chyba zostanę i porozmawiam z przysięgłymi, kiedy wrócą o pierwszej.

— Po co? — zdziwił się Roulet.

— Chciałbym wiedzieć, co myśleli i jakie mieliśmy szanse.

Dobbs poklepał mnie w ramię.

— Trzeba się uczyć, żeby następnym razem być jeszcze lepszym. Nie mam ci tego za złe.

Wyglądał na zachwyconego wiadomością, że nie będę im towarzyszył. Miał swoje powody. Prawdopodobnie chciał, żebym zszedł mu z drogi i umożliwił odbudowanie dobrych stosunków z Mary Windsor. Tę licencję chciał mieć znów tylko dla siebie.

Ustłyszałem stłumiony dzwonek windy i spojrzałem w głąb korytarza. Sobel stała przed otwierającymi się drzwiami windy. Wychodziła z sądu.

Ale wtedy z windy wyszli Lankford, Kurlen i Booker. Razem z Sobel skręcili w naszą stronę.

— Wobec tego zostawiamy cię — rzekł Dobbs zwrócony plecami do nadchodzących detektywów. — Mamy rezerwację w Orso i obawiam się, że jeśli mamy zdążyć wrócić na drugą stronę wzgórze, to już jesteście spóźnieni.

— W porządku — odparłem, wciąż patrząc w głąb korytarza.

Dobbs, Windsor i Roulet odwrócili się, stając twarzą w twarz z detektywami.

— Louisie Roulecie — zaczął Kurlen. — Jesteś aresztowany. Proszę się odwrócić i złożyć ręce za plecami.

— Nie! — wrzasnęła Mary Windsor. — Nie możecie...

— Co to ma znaczyć?! — krzyknął Dobbs.

Kurlen nie odpowiedział ani nie czekał, aż Roulet spełni jego polecenie. Wystąpił naprzód i brutalnie odwrócił Rouleta. Wykonując przymusowy obrót, Roulet utkwiał we mnie wzrok.

— Co się dzieje, Mick? — zapytał spokojnie. — To się nie powinno zdarzyć.

Mary Windsor ruszyła synowi na ratunek.

— Zabierzcie ręce od mojego syna!

Chwyła Kurlena, ale Booker i Lankford szybko wkroczyli do akcji i łagodnie, lecz stanowczo oddzielili ją od Rouleta.

— Droga pani, proszę się odsunąć — polecił Booker. — Bo każę panią aresztować.

Kurlen zaczął odczytywać Rouletowi jego prawa. Windsor stała obok, ale nie zamierzała milczeć.

— Jak śmiecie? Nie wolno wam tego robić!

Wiła się w miejscu, wyglądając, jak gdyby jakieś niewidzialne ręce powstrzymywały ją od kolejnego ataku na Kurlena.

— Mamo — rzekł Roulet i jego głos poskutkowało lepiej niż rozkazy detektywów.

Windsor ustąpiła. Poddawała się, ale Dobbs nie zamierzał kapitulować.

— Za co go aresztujecie? — spytał.

— Jest podejrzany o morderstwo — wyjaśnił Kurlen. — Morderstwo Marthy Renterii.

— To niemożliwe! — krzyknął Dobbs. — Wszystko, co wygadywał ten Corliss, to kłamstwa. Oszałeliście? Przez jego kłamstwa sędzia oddaliła zarzuty.

Kurlen przerwał odczytywanie praw Rouletowi i spojrzał na Dobbsa.

— Jeśli to kłamstwo, to skąd pan wie, że mówił o Marcie Renterii?

Dobbs zdał sobie sprawę z własnego błędu i cofnął się o krok. Kurlen uśmiechnął się.

— Tak właśnie myślałem — rzekł. Chwycił Rouleta za łokieć i znów go odwrócił.

— Idziemy — rozkazał.

— Mick? — powiedział Roulet.

— Detektywie Kurlen — poprosiłem. — Czy mogę chwilę porozmawiać z klientem?

Kurlen popatrzył na mnie, jakby chciał mnie ocenić, po czym skinął głową.

— Minutę. Proszę mu powiedzieć, żeby się grzecznie zachowywał, bo to znacznie mu ułatwi życie.

Pchnął go w moją stronę. Ująłem Rouleta za ramię i odprowadziłem kilka kroków od pozostałych, żeby nikt nie mógł nas słyszeć. Przysunąłem się bliżej i zacząłem szeptać:

— To koniec, Louis. To nasze pożegnanie. Zostałeś sam. Poszukaj sobie innego adwokata.

Utkwił we mnie zaskoczony wzrok. A potem jego twarz pociemniała od gniewu. To była czysta wściekłość i uświadomiłem

sobie, że taką samą wściekłość musiały widzieć Regina Campo i Martha Rentería.

— Nie potrzebuję adwokata — odparł. — Myślisz, że sklecą jakieś zarzuty z tego, co podsunąłeś temu kapusiowi? Lepiej się zastanów.

— Nie będą potrzebowali kapusia, Louis. Uwierz mi, znajdują o wiele więcej dowodów. Może nawet już je mają.

— A ty, Mick? Nie zapomniałeś o czymś? Mam twój...

— Wiem. Ale to już nie ma znaczenia. Nie potrzebuję mojego pistoletu. Cokolwiek się ze mną stanie, będę wiedział, że wsadziłem cię do pudła. A na koniec, po procesie i wszystkich apelacjach, kiedy wreszcie wbiją ci w rękę igłę, to będę ja, Louis. Pamiętaj.

Uśmiechnąłem się ze smutkiem i przysunąłem się jeszcze bliżej.

— To za Raula Levina. Wcześniej ci się upiekło, ale możesz być pewien, że nie tym razem.

Przez chwilę czekałem, aż to do niego dotrze, po czym dałem znak Kurlenowi. Razem z Bookerem wzięli Rouleta między siebie i złapali go za ramiona.

— Wrobiłeś mnie — powiedział Roulet z tym samym spokojem. — Nie jesteś adwokatem. Pracujesz dla nich.

— Idziemy — rozkazał Kurlen.

Ruszyli, ale Roulet strząsnął z siebie ich ręce i znów wpił we mnie wściekle spojrzenie.

— To nie koniec, Mick — rzekł. — Jutro rano wyjdę. Co zrobisz? Pomyśl o tym. Co wtedy zrobisz? Nie możesz chronić wszystkich.

Chwycili go mocniej i brutalnie popchnęli w stronę wind. Tym razem Roulet już się nie opierał, a jego matka i Dobbs pospieszyli za detektywami. W połowie korytarza Roulet odwrócił się i spojrział na mnie przez ramię. Kiedy się uśmiechnął, zrozumiałem.

*Nie możesz chronić wszystkich.*

Przeszył mnie lodowaty dreszcz strachu.

Ktoś czekał już na windę, gdy dotarła tam eskorta Rouleta wraz z jego świtą.

Lankford dał znak czekającej osobie, żeby zrobiła przejście, po czym wszedł do windy. Następnie wepchnięto do niej Rouleta. Dobbs i Windsor także chcieli wejść, gdy zatrzymała ich wyciągnięta ręka Lankforda. Winda ruszyła w dół, a Dobbs z bezsilną złością wduśił przycisk przy drzwiach w korytarzu.

Miałem nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę Louisa Rouleta, ale wciąż czułem strach, który tłukł się w mojej piersi jak uwięziona w lampie ćma. Odwróciłem się, niemal zderzając się z Sobel. Nie zauważyłem, że została.

— Macie coś na niego, prawda? — zapytałem. — Przecież nie zgarnęlibyście go tak szybko, gdybyście nic na niego nie mieli.

Odpowiedziała po długiej chwili.

— O tym postanowi prokurator, nie my. Zależy, co wyciągną z niego podczas przesłuchania. Ale do tej chwili miał niezłego adwokata. Pewnie wie, że nie musi mówić ani słowa.

— To dlaczego nie zaczekaliście?

— Nie ja o tym decydowałam.

Pokręciłem głową. Chciałem jej powiedzieć, że wykonali za szybko ruch. Plan był inny. Chciałem zasiać ziarno, nic więcej. Chciałem, by działali powoli i skutecznie.

Ćma wciąż tłukła się w środku. Wbiłem wzrok w podłogę. Nie mogłem odpędzić myśli, że wszystkie moje zabiegi spełzyły na niczym, pozostawiając mnie i moją rodzinę na pastwę bezwzględ-  
nego mordercy. *Nie możesz chronić wszystkich.*

Sobel odgadła, czego się boję.

— Spróbujemy go zatrzymać — zapewniła mnie. — Mamy to, co powiedział w sądzie kapuś, no i mandat. Pracujemy nad świadkami i analizami kryminalistycznymi.

Spojrzałem jej w oczy.

— Jaki mandat?

Zrobiła podejrzliwą minę.

— Sądziłam, że się pan domyślił. Skojarzyliśmy jedno z drugim, kiedy tylko kapuś wspomniał o tancerce z wężem.

— Tak, o Marcie Renterii. Rozumiem. Ale co to za mandat? O czym pani mówi?

Podszedłem za blisko i Sobel cofnęła się o krok. Nie chodziło o mój oddech, tylko o mój desperacki wyraz twarzy.

— Nie wiem, czy powinnam panu mówić. Jest pan adwokatem. Jego adwokatem.

— Już nie. Właśnie złożyłem wymówienie.

— Nieważne. Mógłby...

— Przecież dzięki mnie go zgarnęliście. Z powodu tej sprawy mogą mnie wykluczyć z korporacji. Może nawet trafię za kratki za morderstwo, którego nie popełniłem. O jakim mandacie pani mówi?

Wahała się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie powiedziała:

— Mówię o ostatnich słowach Raula Levina. Mówił, że znalazł Jesusowi mandat wolnego człowieka.

— I co to znaczy?

— Naprawdę pan nie wie?

— Proszę mi powiedzieć. Błagam.

Dała za wygraną.

— Prześledziliśmy ostatnie ruchy Levina. Zanim został zamordowany, sprawdzał mandaty Rouleta za złe parkowanie. Zrobił nawet wydruki. Spisaliśmy wszystko, co było w gabinecie, i porównaliśmy z tym, co jest w komputerze. Brakowało jednego mandatu. Jednego wydruku. Nie wiedzieliśmy, czy zabrał go morderca, czy po prostu Levin nie zrobił jednego wydruku. No więc sami zrobiliśmy wydruk. Mandat był sprzed dwóch lat, z ósmego kwietnia. Za parkowanie przed hydrantem na Blythe Street w Panorama City.

Wszystko złożyło się w całość, jak gdyby ostatnie ziarenko piasku przesypało się przez środek klepsydry. Raul Levin rzeczywiście znalazł wybawienie dla Jesusa Menendez.

— Martha Rentería została zamordowana ósmego kwietnia



dwa lata temu — powiedziałem. — Mieszkała na Blythe w Panorama City.

— Owszem, ale o tym nie wiedzieliśmy. Nie widzieliśmy związku. Powiedział nam pan, że Levin pracował dla pana nad dwiema różnymi sprawami, Jesusa Menendeza i Louisa Roules-Levin trzymał dokumenty każdej z nich osobno.

— Z powodu zasad ujawnienia. Rozdzielił te sprawy, żebym nie musiał przekazywać prokuraturze żadnych dowodów w sprawie Menendeza.

— Adwokackie sztuczki. W każdym razie nie mogliśmy tego skojarzyć, dopóki kapuś nie wspomniał o tancerce z wężem. To wystarczyło.

Skinąłem głową.

— A więc morderca Raula Levina zabrał wydruk?

— Tak sądzimy.

— Sprawdziliście, czy w telefonach Raula nie było podsłuchu? Ktoś się skądś musiał dowiedzieć o mandatach.

— Sprawdziliśmy. Były czyste. Być może pluskwy zostały usunięte zaraz po morderstwie. A może inny telefon jest na podsłuchu.

Miała na myśli mój telefon. Co mogłoby tłumaczyć, skąd Roulet znał tak wiele moich poczynań, a nawet czekał na mnie w domu, gdy wróciłem ze spotkania z Jesusem Menendezem.

— Każę sprawdzić — powiedziałem. — Czy to znaczy, że w sprawie Raula jestem czysty?

— Niekoniecznie — odrzekła. — Ciągłe chcemy zobaczyć, co wykaże analiza balistyczna. Dzisiaj ma coś przyjść.

Skinąłem głową. Nie wiedziałem, jak na to zareagować. Sobel ociągała się z odejściem, jak gdyby chciała mi jeszcze coś powiedzieć albo o coś spytać.

— Tak?

— Nie wiem. Chce mi pan coś powiedzieć?

— Nie wiem. Nie ma nic do powiedzenia.

— Naprawdę? W sądzie zdawało mi się, że próbuje nam pan bardzo dużo powiedzieć.

Milczałem przez chwilę, usiłując wyczytać coś między wierszami.

— Czego pani ode mnie chce, detektyw Sobel?

— Wie pan, czego chcę. Mordercy Raula Levina.

— Ja też. Ale nie mogę wskazać na Rouleta, nawet gdybym chciał. Nie wiem, jak to zrobił. Tak między nami.

— A więc wciąż pozostaje pan na celowniku.

Spojrzała w stronę wind. Aluzja była czytelna. Jeżeli balistyka potwierdzi podejrzenia, wciąż będę miał kłopot. Będą to mogli wykorzystać przeciwko mnie. Powiedz nam, jak Roulet to zrobił, albo sam pójdziesz do pudła. Zmieniłem temat.

— Jak pani sądzi, kiedy Menendez może wyjść?

Wzruszyła ramionami.

— Trudno powiedzieć. Zależy od dowodów, jakie zbierzemy przeciwko Rouletowi — jeżeli będą. Ale wiem jedno. Nie mogą wytoczyć sprawy Rouletowi, dopóki za to samo przestępstwo w więzieniu siedzi inny człowiek.

Odwrociłem się i podszedłem do przeszklonej ściany. Położyłem dłoń na balustradzie biegnącej wzdłuż szyby. Radość mieszała się we mnie z lękiem, a w piersi wciąż tłukła się ta okropna ćma.

— Tylko na tym mi zależy — powiedziałem cicho. — Żeby go wyciągnąć. I na Raulu.

Sobel stanęła obok mnie.

— Nie wiem, co pan robi — powiedziała. — Ale resztę niech pan zostawi nam.

— Jeśli to zrobię, pani partner wsadzi mnie do pudła za morderstwo, którego nie popełniłem.

— Gra pan w niebezpieczną grę — dodała. — Lepiej przestać.

Zerknąłem na nią przelotnie, po czym znów spojrzałem w dół na dziedziniec.

— Jasne — odparłem. — Teraz mogę przestać. Usłyszawszy to, co chciała, Sobel mogła już iść.

— Powodzenia — powiedziała.

Znów na nią popatrzyłem.

— Nawzajem.

Wyszła, a ja zostałem. Spoglądałem na dziedziniec. Ujrzałem Dobbsa i Mary Windsor idących po betonowych kwadratach w stronę parkingu. Mary Windsor wspierała się na ramieniu adwokata. Nie sądziłem, by nadal wybierali się na lunch do Orso.

## Rozdział 45

Przed wieczorem wiadomości zdążyły się już rozejść. Nie o tajemniczych szczegółach, ale o tym, co wszyscy wiedzieli. Wiadomości o tym, że wygrałem sprawę, uzyskałem wniosek oskarżenia o oddalenie zarzutów bez prawa wznowienia postępowania, a zaraz potem w korytarzu przed salą sądową, w której właśnie go wybroniłem, mój klient został aresztowany za morderstwo. Dzwonili do mnie wszyscy znajomi adwokaci. Jeden po drugim, aż wreszcie wyczerpała mi się bateria w komórce. Ich zdaniem moja sytuacja nie miała żadnych minusów. Roulet był królem klientów licencyjnych. Za jeden proces dostałem stawki według taryfy A i miałem dostać następne honorarium według taryfy A za następny proces. O takim podwójnym łupie większość adwokatów może tylko marzyć. A kiedy im mówiłem, że nie będę go bronił w nowej sprawie, każdy prosił, żebym polecił go Rouletowi.

Osoba, na której telefon czekałem najbardziej, zadzwoniła pod mój domowy numer. Maggie McPherson.

— Czekam na twój telefon cały wieczór — powiedziałem.

Spacerowałem po kuchni. Po powrocie do domu sprawdziłem telefony, ale nie znalazłem żadnych pluskiew.

— Przepraszam. Byłam w sali konferencyjnej.

— Podobno wybrali cię do sprawy Rouleta.

— Tak, dlatego właśnie dzwonię. Chcą go zwolnić.  
— Co ty wygadujesz? Chcą go wypuścić?  
— Tak. Trzymali go dziewięć godzin w sali przesłuchań i nie puścił pary z ust. Może za dobrze go wyuczyłeś, bo milczy jak głaz. Nic z niego nie wyciągnęli, więc mają za mało.

— Mylisz się. Jest dość dowodów. Mają mandat za złe parkowanie i muszą się znaleźć jacyś świadkowie, którzy pamiętają go z Cobra Room. Nawet Menendez może go rozpoznać.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że Menendez odpada. Rozpoznałby każdego, żeby tylko wyjść z więzienia. Jeżeli nawet są inni świadkowie z Cobra Room, to trzeba trochę czasu, żeby ich znaleźć. Z mandatu wynika, że Roulet był w okolicy, ale nie w jej mieszkaniu.

— A nóż?

— Pracują nad tym, ale to też potrwa. Słuchaj, chcemy to zrobić porządnie. To decyzja Smithsona i uwierz mi, on też chce go zatrzymać. Łatwiej byłoby mu przełknąć klapę, jaką mu dzisiaj przygotowałeś w sądzie. Ale zrozum, nie ma podstaw. Na razie. Wyrzucą go, popracują nad analizami i poszukają świadków. Jeżeli się okaże, że to Roulet, zgarniemy go, a twój drugi klient wyjdzie na wolność. Nie musisz się martwić. Ale musimy to zrobić porządnie.

Bezsilnie dźgnąłem pięścią powietrze.

— Cholera, to był falstart. Nie powinni tego robić dzisiaj.

— Chyba pomyśleli, że dziewięć godzin przesłuchania załatwi sprawę.

— Bo byli głupi.

— Nikt nie jest doskonały.

Zdenerwował mnie jej stosunek do sprawy, ale ugryzłem się w język. Potrzebowałem jej informacji, żeby być na bieżąco.

— Kiedy dokładnie go wypuszczą? — zapytałem.

— Nie wiem. Dopiero co zapadła decyzja. Przyjechali do nas Kurlen i Booker przedstawić wyniki, a Smithson odesłał ich z powrotem na komendę. Kiedy wrócą, pewnie wyrzucą go na wolność.

— Posłuchaj, Maggie. Roulet wie o Hayley.

Zapadła okropnie długa chwila ciszy.

— Co ty mówisz, Haller? Pozwoliłeś, żeby nasza córka...

— Na nic nie pozwoliłem. Włamał się do mojego domu i zobaczył jej zdjęcie. Nie wie, gdzie mieszka, nie wie nawet, jak ma na imię. Ale wie, że mam córkę, i chce się na mnie odegrać. Dlatego musisz zaraz jechać do domu. Chcę, żebyś była przy Hayley. Weź ją i wyjdźcie z mieszkania. Na wszelki wypadek.

Coś mi kazało ukryć przed nią fakt, że w sądzie Roulet groził głównie mojej rodzinie. *Nie możesz chronić wszystkich*. Wykorzystałbym ten argument tylko wówczas, gdyby nie chciała zabrać Hayley z domu.

— Wychodzę — powiedziała. — Jedziemy do ciebie.

Wiedziałem, że to powie.

— Nie, nie przyjeżdżajcie do mnie.

— Dlaczego?

— Bo on może tu przyjść.

— To zupełne szaleństwo. Co chcesz zrobić?

— Jeszcze nie wiem. Weź Hayley i jedźcie w jakieś bezpieczne miejsce. Potem zadzwoń do mnie z komórki, ale nie mów, gdzie jesteście. Lepiej, żebym nawet nie wiedział.

— Haller, po prostu zadzwoń na policję. Przecież...

— I co powiem?

— Nie wiem. Że ci grożono.

— Adwokat mówi policji, że ktoś mu groził... faktycznie, zaraz ruszą do akcji. Pewnie wyślą brygadę antyterrorystyczną.

— Ale musisz coś zrobić.

— Myślałem, że już zrobiłem. Myślałem, że resztę życia spędzi w więzieniu. Ale wykonaliście za szybki ruch i teraz musicie go wypuścić.

— Mówiłam ci, że mieliśmy za mało. Nawet gdyby groził Hayley, to i tak za mało.

— Jedź do naszej córki i zaopiekuj się nią. Resztę zostaw mnie.

— Już jadę.

Ale nie odkładała słuchawki. Jak gdyby dawała mi szansa że-  
bym powiedział coś jeszcze.

— Kocham cię, Maggie — powiedziałem. — Obie was ko-  
cham. Bądź ostrożna.

Rozłączyłem się, zanim zdążyła odpowiedzieć. Prawie na-  
tychmiast podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer komórki  
Fernanda Valenzueli. Odebrał po pięciu dzwonekach.

— Val, to ja, Mick.

— Cholera jasna. Gdybym wiedział, w ogóle bym nie odbie-  
rał.

— Słuchaj, potrzebuję twojej pomocy.

— Pomocy? Prosisz mnie o pomoc po tym, o co mnie wcze-  
śniej pytałeś? Kiedy mnie oskarżyłeś?

— Val, to wyjątkowa sytuacja. Źle się wtedy wyraziłem,  
przepraszam cię. Zapłacę ci za telewizor, zrobię, co zechcesz, ale  
teraz potrzebuję twojej pomocy.

Czekałem. Odezwał się po długiej ciszy.

— Czego chcesz?

— Roulet ciągle nosi tę bransoletkę, prawda?

— Prawda. Wiem, co się stało w sądzie, ale on się do mnie  
nie odezwał. Podobno gliny znowu go zgarnęły, więc nie mam  
pojęcia, co się dzieje.

— Zgarnęli go, ale niedługo mają go puścić. Pewnie za-  
dzwoni, żebyś zdjął mu bransoletkę.

— Jestem już w domu. Może do mnie przyjść rano.

— Tego właśnie chcę. Żebyś kazał mu zaczekać do jutra.

— To żadna przysługa, stary.

— To jest przysługa. Włącz laptop i obserwuj go. Kiedy  
wyjdzie z komendy, chcę wiedzieć, dokąd pojechał. Możesz to dla  
mnie zrobić?

— Niby teraz?

— Tak, teraz. Będziesz miał z tym jakiś kłopot?

— Tak jakby.

Przygotowałem się do następnej kłótni. Ale czekała mnie nie-  
spodzianka.

— Mówiłem ci o baterii i alarmie w bransoletce, nie? — odezwał się Valenzuela.

— Tak, pamiętam.

— No więc jakąś godzinę temu włączył się alarm. Akumulator ma poniżej dwudziestu procent.

— Jak długo jeszcze będziesz go mógł namierzać, zanim zupełnie się wyczerpie?

— Od sześciu do ośmiu godzin aktywnego działania, potem spadnie napięcie. Przez następne pięć godzin będzie się włączał co piętnaście minut.

Zastanawiałem się. Chodziło tylko o najbliższą noc. Musiałem też mieć pewność, że Maggie i Hayley są bezpieczne.

— Chodzi o to, że przy niskim napięciu bransoletka zaczyna piszczeć — wyjaśnił Valenzuela. — Usłyszysz go, gdyby się zjawił. Albo zmęczy go ten hałas i sam podładuje baterię.

A może znów wywinie numer Houdiniego, pomyślałem.

— Dobra — powiedziałem. — Mówiłeś, że możesz ustawić w systemie inne alarmy.

— Zgadza się.

— Mógłbyś zrobić coś takiego, żeby włączał się alarm, kiedy Roulet zbliży się do konkretnego miejsca?

— Tak. Na przykład przy molestujących dzieci. Można ustawić alarm, kiedy facet zbliży się do szkoły. Coś w tym rodzaju. To musi być konkretny punkt.

— W porządku.

Podąłem mu adres mieszkania na Dickens w Sherman Oaks, gdzie mieszkały Maggie z moją córką.

— Jeżeli znajdzie się dziesięć przecznic od tego domu, zadzwoń do mnie. Nieważne o której, zadzwoń. To jest właśnie moja prośba.

— Co tam jest?

— Tam mieszka moja córka.

Valenzuela odpowiedział dopiero po długiej chwili.

— Z Maggie? Myślisz, że facet chce tam pójść?



— Nie wiem. Mam nadzieję, że dopóki ma lokalizator na kostce, nie będzie taki głupi.

— W porządku, Mick. Możesz być spokojny.

— Dzięki, Val. I dzwoni pod domowy numer. Komórka mi się wyczerpała.

Podawałem mu numer i zamilkłem, zastanawiając się, co jeszcze mógłbym mu powiedzieć, żeby odkupić zdradę sprzed dwóch dni. Wreszcie dałem sobie spokój. Musiałem się skupić na zagrożeniu.

Wybiegłem z kuchni i wszedłem do gabinetu. Znalazłem w wzytowniku numer telefonu i chwyciłem słuchawkę aparatu na biurku.

Wykręciłem numer i czekałem. Wyrząłem przez okno z lewej i po raz pierwszy zauważyłem, że pada deszcz. Zapowiadało się na długą ulewę i nie wiedziałem, czy pogoda ma jakiś wpływ na satelitarną lokalizację Rouleta. Nagle w słuchawce odezwał się głos Teddy'ego Vogela, herszta Road Saints.

— Mów.

— Ted, tu Mickey Haller.

— Mecenasiu, co u ciebie?

— Dzisiaj nie najlepiej.

— W takim razie dobrze, że dzwonisz. Co mogę dla ciebie zrobić?

Zanim odpowiedziałem, jeszcze raz spojrzałem na deszcz. Wiedziałem, że jeśli nie skończę tej rozmowy, zostanę dłużnikiem ludzi, od których nigdy nie chciałbym być uzależniony.

Ale nie miałem wyboru.

— Masz dzisiaj kogoś w mojej okolicy? — spytałem.

Vogel odpowiedział po krótkim wahaniu. Wiedziałem, że jest ciekawy, dlaczego adwokat dzwoni do niego po pomoc. Nie miał wątpliwości, że prosiłem o umiędzioną i uzbrojoną pomoc.

— Mam paru chłopaków, którzy pilnują klubu. Co jest?

Klub mieścił się na Sepulveda, niedaleko Sherman Oaks. Na to właśnie liczyłem.

— Ktoś grozi mojej rodzinie, Ted. Potrzebuję paru ludzi, żeby obstawili dom, może przyłapali faceta, gdyby było trzeba.

— Uzbrojony i niebezpieczny?

Zawahałem się, ale krótko.

— Tak, uzbrojony i niebezpieczny.

— To chyba coś dla nas. Gdzie mam wysłać ludzi?

Był gotów do działania. Zdawał sobie sprawę, że lepiej mieć mnie w garści dzięki przystudze niż w zamian za słoń zaliczkę. Podałem mu adres mieszkania na Dickens. Podałem mu też rysopis Rouleta i powiedziałem, jak był dzisiaj ubrany.

— Jeżeli pokaże się w okolicach mieszkania, macie go zatrzymać — powiedziałem. — I pospieszcie się.

— Zrobione — odrzekł Vogel.

— Dziękuję, Ted.

— Nie, to ja dziękuję. Miło, że możemy się odwdziżyć. Tyle razy już nam pomagałeś.

Jasne, pomyślałem. Odłożyłem słuchawkę, myśląc, że właśnie przekroczyłem jedną z tych niewidzialnych linii, które człowiek zawsze ma nadzieję ominąć. Wyrząłem przez okno. Deszcz lał się z dachu. Z tyłu nie było rynny i za szybą widać było przezroczystą ścianę wody, zza której przebijały zamglone światła. W tym roku nic tylko deszcz, pomyślałem. Tylko deszcz.

Wyszedłem z gabinetu i wróciłem do środkowej części domu. Na stole we wnęce jadalnej leżał pistolet, który dał mi Earl Briggs. Patrzyłem na broń, rozmyślając o wszystkich ruchach, jakie dotąd wykonałem. Sęk w tym, że poruszałem się na oślep, narażając nie tylko siebie.

Zaczęła mnie ogarniać panika. Chwyciłem słuchawkę telefonu i zadzwoniłem do Maggie. Od razu odebrała. Usłyszałem, że jest w samochodzie.

— Gdzie jesteś?

— Dojeżdżam do domu. Wezmę parę rzeczy i zaraz wyjdziemy.

— To dobrze.

— Co mam powiedzieć Hayley? Że ojciec naraża jej życie?

— To nie tak, Maggie. To on. Roulet. Nie mogłem mieć nad nim żadnej kontroli. Kiedyś wróciłem wieczorem do domu i siedział przy moim biurku. To facet od nieruchomości. Wie jak znajdować adresy. Zobaczył jej zdjęcie. Co miałem...

— Możemy o tym pogadać później? Muszę iść po swoją córkę.

Swoją córkę. Nie naszą córkę.

— Jasne. Zadzwoń z nowego miejsca.

Rozłączyła się bez słowa. Wolno powiesiłem słuchawkę na ścianie. Wciąż trzymałem na niej rękę. Oparłem się czołem o ścianę. Skończyły mi się pomysły. Mogłem już tylko czekać na ruch Rouleta.

Dzwonek telefonu przestraszył mnie, aż odskoczyłem. Słuchawka upadła na podłogę i podniosłem ją za kabel. To był Valenzuela.

— Dostałeś moją wiadomość? Właśnie dzwoniłem.

— Nie, rozmawiałem. Co jest?

— To dobrze, że znowu zadzwoniłem. Właśnie wyjeżdża.

— Dokąd?!

Wrzasnąłem za głośno. Powoli przestawałem nad sobą panować.

— Jedzie na południe Van Nuys. Zadzwoił do mnie i mówił, że chce zdjąć bransoletkę. Powiedziałem, że jestem już w domu i że może do mnie zadzwonić jutro. Kazałem mu też naładować baterię, żeby nie zaczął pisać w środku nocy.

— Dobry pomysł. Gdzie teraz jest?

— Ciągle na Van Nuys.

Próbowałem sobie wyobrazić Rouleta za kierownicą. Jeśli jechał na południe Van Nuys, to znaczy, że kierował się prosto w stronę Sherman Oaks i dzielnicy, gdzie mieszkały Maggie i Hayley. Możliwe też, że przez Sherman Oaks i wzgórze wracał do domu. Musiałem zaczekać, żeby się upewnić.

— Jak aktualne są dane GPS? — spytałem.

— Odczyt jest w czasie rzeczywistym. Widzę go dokładnie

tam, gdzie teraz jest. Właśnie przejechał pod Sto Pierwszą. Może jedzie do domu, Mick.

— Wiem, wiem. Zaczekaj, aż minie Ventura. Następną ulicą to Dickens. Jeżeli tam skręci, to na pewno nie wraca do domu.

Wstałem, nie wiedząc, co robić. Zacząłem krążyć nerwowo po kuchni, przyciskając słuchawkę do ucha. Wiedziałem, że gdyby nawet Teddy Vogel wysłał ludzi natychmiast, mogli się zjawić na miejscu dopiero za kilka minut.

— A deszcz? Nie wpływa na odczyt GPS?

— Nie powinien.

— To pocieszające.

— Zatrzymał się.

— Gdzie?

— Chyba na światłach. Zdaje się, że to Moorpark Avenue. Przeźnię przed Ventura i dwie przed Dickens. Usłyszałem przez słuchawkę alarmowy brzęczyk.

— Co to?

— Alarm, o który mnie prosiłeś.

Sygnał zamilkł.

— Wyłączyłem.

— Zaraz do ciebie zadzwonię.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączyłem się i zadzwoniłem do Maggie.

— Gdzie jesteś?

— Chciałeś, żeby ci nie mówić.

— Wyszłyście z mieszkania?

— Jeszcze nie. Hayley pakuje kredki i książki do kolorowania.

— Cholera, uciekajcie stamtąd! Natychmiast!

— Idziemy jak najszybciej...

— Już! Zaraz zadzwonię. Tylko odbierz.

Zaraz potem zadzwoniłem do Valenzueli.

— Gdzie jest?

— Teraz na Ventura. Musiał stanąć na następnych światłach, bo się nie porusza.

— Na pewno jedzie, a nie zaparkował?

— Nie na pewno. Mógłby... nieważne, znowu ruszył. Cholera, skręcił w Ventura.

— W którą stronę?

Zacząłem chodzić w kółko, boleśnie przyciskając słuchawkę do ucha.

— Hm... na zachód. Jedzie na zachód.

Jechał ulicą równoległą do Dickens w kierunku mieszkania mojej córki.

— Znowu się zatrzymał — zameldował Valenzuela. — Ale to nie jest skrzyżowanie. Chyba stanął między ulicami. I zaparkował.

Rozpaczliwym gestem przejechałem ręką po włosach.

— Pieprzyć to, muszę tam jechać. Komórka mi się wyłączyła. Zadzwoni do Maggie i powiedz jej, że jadę do niej. Powiedz, żeby wsiadała do samochodu i uciekała stamtąd!

Wykrzyczałem numer Maggie i rzuciłem słuchawkę, wychodząc z kuchni. Wiedziałem, że droga na Dickens potrwa co najmniej dwadzieścia minut — jeżeli będę brał zakręty na pełnym gazie — ale nie mogłem dłużej stać, wykrzykując polecenia przez telefon, kiedy mojej rodzinie groziło niebezpieczeństwo. Złapałem leżący na stole pistolet i dopadłem drzwi. Otworzyłem je, wciskając broń do kieszeni kurtki.

Na progu stała Mary Windsor z włosami mokrymi od deszczu.

— Mary, co się...

Uniosła rękę. Zdażyłem dojrzeć metaliczny błysk lufy i w tym momencie padł strzał.

## Rozdział 46

Huk był potwornie głośny, a błysk jasny jak flesz. Kula trafiła z taką siłą, jakby kopnął mnie koń. W ułamku sekundy rzuciło mnie do tyłu. Wylądowałem na drewnianej podłodze, a górną częścią ciała oparłem się o ścianę obok kominka w salonie. Próbowałem sięgnąć obiema rękami do dziury w brzuchu, ale prawa ręka uwięzła mi w kieszeni kurtki. Przyciskałem do rany lewą, usiłując się wyprostować.

Mary Windsor zrobiła krok naprzód, wchodząc do domu. Patrzyłem na nią z dołu. Za jej plecami widziałem ścianę deszczu. Mary Windsor uniosła broń i wycelowała w moje czoło. W jednej chwili ujrzałem twarz swojej córki i wiedziałem już, że nie pozwolę jej odejść.

— Próbowałeś odebrać mi syna! — krzyknęła Windsor. — Myślałeś, że do tego dopuszczę i ujdzie ci to płazem?

I nagle wszystko stało się jasne. Jak kryształ. Wiedziałem, że podobne słowa powiedziała do Raula Levina, zanim go zamordowała. Wiedziałem też, że w pustym domu w Bel-Air nie doszło do żadnego gwałtu. Miałem przed sobą matkę, która spełniała swój obowiązek. Przypomniałem sobie słowa Rouleta. Tu masz rację. Jestem skurwysynem.

Wiedziałem także, że ostatni gest Raula Levina nie miał symbolizować diabła, ale literę M lub W, w zależności od tego, jak się na nią patrzyło.

Windsor zrobiła jeszcze jeden krok w moją stronę.

— Idziesz do piekła — powiedziała.

Przytrzymała dłoń, by strzelić. Uniosłem prawą rękę, która wciąż tkwiła w kieszeni. Windsor pomyślała pewnie, że to obronny gest, bo w ogóle się nie spieszyła. Widziałem, że rozkoszuje się tą chwilą. Dopóki nie strzeliłem.

Siła wystrzału cisnęła do tyłu ciało Mary Windsor, które wylądowało na progu drzwi. Pistolet wypadł z jej ręki na podłogę, a ona wydała przeraźliwy skowyt. Potem usłyszałem tupot nóg wbiegających po schodach na taras.

— Policja! — krzyknął kobiecy głos. — Rzucić broń!

Spojrzałem przez drzwi, ale nikogo nie zobaczyłem.

— Rzucić broń i wyjść z podniesionymi rękami!

Tym razem głos należał do mężczyzny i rozpoznałem go. Wyciągnąłem pistolet z kieszeni i położyłem na podłodze. Odepchnąłem go daleko od siebie.

— Broń rzucona! — zawołałem tak głośno, na ile pozwalała mi dziura w brzuchu. — Ale dostałem i nie mogę wstać. Oboje dostaliśmy.

Najpierw zobaczyłem w drzwiach lufę pistoletu. Potem dłoń i czarny mokry prochowiec, który miał na sobie detektyw Lankford. Wszedł do domu, a za nim błyskawicznie wśliznęła się jego partnerka, detektyw Sobel. Wchodząc, Lankford kopniakiem posłał pistolet daleko od Mary Windsor. Sam cały czas miał mnie na muszce.

— W domu jest ktoś jeszcze? — zapytał głośno.

— Nie — powiedziałem. — Niech pan posłucha...

Usiłowałem usiąść, ale całe ciało przeszył ból. Lankford krzyknął:

— Nie ruszaj się! Zostań tam!

— Moja rodzina...

Sobel krzyknęła coś do radia, wzywając ratowników i transport dla dwóch postrzelonych osób.

— Dla jednej — poprawił ją Lankford. — Nie żyje.

Wskazał lufą na Mary Windsor.

Sobel wepchnęła radio do kieszeni płaszcza i podeszła do mnie. Ukłękła, odsuwając moją rękę od rany. Następnie wyciągnęła mi koszulę ze spodni, aby obejrzeć uszkodzenie. Potem ujęła moją rękę i przycisnęła ją z powrotem do rany.

— Proszę uciskać jak najmocniej — poleciła. — Jest krwotok. Słyszysz mnie pan? Proszę tu mocno przycisnąć.

— Proszę posłuchać — powtórzyłem. — Moja rodzina jest w niebezpieczeństwie. Musicie...

— Chwileczkę.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła komórkę. Otworzyła aparat i wcisnęła klawisz szybkiego wybierania. Rozmówca odebrał natychmiast.

— Sobel. Lepiej go zdejmijcie. Jego matka właśnie próbowała stuknąć adwokata. Był szybszy.

Słuchała przez chwilę, po czym zapytała:

— No to gdzie jest?

Po chwili się rozłączyła. Patrzyłem na nią, gdy zamykała telefon.

— Zdejmą go. Pana córka jest bezpieczna.

— Śledziliście go?

Skinęła głową.

— Podłączyliśmy się pod pański plan, Haller. Mamy na niego sporo dowodów, ale mieliśmy nadzieję na więcej. Mówiłam, że chcemy wyjaśnić sprawę Levina. Pomyśleliśmy, że jeżeli go puścimy, pokaże nam sztuczkę, pokaże, jak zabił Levina. Ale matka za nas rozwiązała tę zagadkę.

Zrozumiałem. Mimo że przez dziurę w brzuchu uchodziło ze mnie życie, zdołałem wszystko skojarzyć. Wypuszczenie Rouleta na wolność było zagrywką. Mieli nadzieję, że przyjdzie się zemścić na mnie i pokaże im, jakiej metody użył, żeby oszukać lokalizator GPS, gdy poszedł zamordować Levina. Tylko że to nie on zabił Raula. Zrobiła to dla niego matka.

— A Maggie? — spytałem słabo.

Sobel pokręciła głową.



— Wszystko w porządku. Też musiała odegrać swoją rolę, bo nie wiedzieliśmy, czy Roulet nie podsłuchuje pana telefonów. Nie mogła panu powiedzieć, że razem z Hayley są bezpieczne.

Zamknąłem oczy. Nie wiedziałem, czy mam być wdzięczny, że nic im nie grozi, czy wściekły na Maggie, że wykorzystwała ojca swojej córki jako przynętę dla mordercy.

Usiłowałem usiąść.

— Chcę do niej zadzwonić. Mówiła...

— Niech się pan nie rusza. Spokojnie.

Odchyliłem głowę, opierając ją o podłogę. Było mi coraz zimniej i jednocześnie czułem, że się pocę. Miałem coraz płytszy oddech i czułem, że z każdą chwilą słabnę.

Sobel znów wyciągnęła radio, pytając centralę o czas przybycia ambulansu. Uzyskała informację, że pomoc zjawi się za sześć minut.

— Niech pan wytrzyma — powiedziała do mnie Sobel. — Wszystko będzie dobrze. Powinno być dobrze.

— Świe...

Chciałem powiedzieć „świetnie” z całym sarkazmem, na jaki mogłem się zdobyć, ale głos mi zamierał.

Obok Sobel stanął Lankford i spojrzał na mnie. W dłoni w rękawiczce trzymał pistolet, z którego strzeliła do mnie Mary Windsor. Poznałem perłową rękojeść. Broń Mickeya Cohena. Moja broń. Broń, z której zabiła Raula.

Skinął mi głową i odebrałem to jako sygnał. Może zyskałem coś w jego oczach, bo zwabiłem mordercę. Może nawet chciał mi zaproponować jakiś rozejm i dać mi do zrozumienia, że może odtąd nie będzie już tak bardzo nienawidzić adwokatów.

Pewnie nic z tych rzeczy. Ale odwzajemniłem gest i ten nieznaczny ruch wywołał atak kaszlu. Poczułem w ustach jakiś smak — wiedziałem, że to krew.

— Tylko nam tu nie jeżdź — rozkazał Lankford. — Gdybyśmy mieli robić usta-usta adwokatowi, nie przeżylibyśmy tego.

Uśmiechnął się i odpowiedziałem uśmiechem. W każdym razie próbowałem. Potem oczy zaczęła mi zasnuwać ciemność. I wkrótce mnie wciągnęła.

# CZEŚĆ III

Pocztówka z Polinezji

*Wtorek, 4 października*

## Rozdział 47

Odkąd ostatni raz byłem na sali sądowej, minęło pięć miesięcy. W tym czasie przeszedłem trzy operacje, by naprawić swoje ciało, zostałem dwa razy pozwany w procesie cywilnym, a moją sprawę badały Departament Policji Los Angeles oraz Korporacja Adwokacka Kalifornii. Moje rachunki w banku zostały wydrenowane przez wydatki na lekarzy, wydatki na życie, utrzymanie dziecka, a nawet rachunki takich jak ja — adwokatów.

Ale przeżyłem i dziś po raz pierwszy od postrzelenia mnie przez Mary Alice Windsor wyjdę, nie podpierając się laską i bez paraliżujących ciało środków przeciwbólowych. To pierwszy prawdziwy krok powrotu. Laska jest oznaką słabości. Nikt nie chce adwokata, który sprawia wrażenie słabego. Muszę umieć stać prosto, prężyć mięśnie, które przeciął chirurg, aby dostać się do kuli, i samodzielnie chodzić, zanim znów będę mógł wejść do sali rozpraw.

Dawno nie byłem w sądzie, ale to nie znaczy, że nie jestem obiektem kroków prawnych. Jesus Menendez i Louis Roulet wytoczyli mi sprawy, które zapewne będą się ciągnęły latami. To osobne pozwy, ale obaj moi byli klienci zarzucają mi zaniedbanie obowiązków i złamanie etyki zawodowej. Mimo wyraźnych oskarżeń w swoim procesie, Roulet nie dowiedział się, w jaki

sposób nawiązałem kontakt z Dwayne'em Jefferym Corlissem w szpitalu okręgowym-USC i przekazałem mu poufne informacje. I mało prawdopodobne, by się kiedykolwiek dowiedział. Gloria Dayton dawno zniknęła. Po skończonej terapii wzięła ode mnie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i wyjechała na Hawaje, aby zacząć nowe życie. A Corliss, który doskonale wie, że lepiej trzymać gębę na kłódkę, wyjawiał tylko tyle co w sądzie, utrzymując, że Roulet opowiedział mu o morderstwie tancerki, gdy byli w areszcie. Uniknął zarzutów o krzywoprzysięstwo, ponieważ mogłaby przez to ucierpieć sprawa Rouleta, poza tym byłaby to forma samobiczowania prokuratury. Mój adwokat twierdzi, że powództwo Rouleta przeciwko mnie jest pozbawione meritum i skończy się na niczym. Pewnie wtedy, gdy nie będę już miał pieniędzy na honorarium adwokata.

Ale Menendez nigdy mnie nie opuści. Zjawia się wieczorami, gdy siedzę na tarasie i oglądam wart milion dolarów widok z mojego domu z milionową hipoteką. Gubernator ułaskawił go i Menendez został zwolniony z San Quentin dwa dni po postawieniu Rouletowi zarzutu morderstwa Marthy Renterii. Ale jeden wyrok śmierci zamienił na drugi. Okazało się, że w więzieniu zaraził się HIV, a od tego gubernator nie mógł już ułaskawić. Nikt nie mógł. Wszystko, co przytrafiło się Jesusowi Menendezowi, biorę na siebie. Żyję z tym ciężarem co dzień. Żaden klient nie budzi takiego strachu jak człowiek niewinny. I żaden nie pozostawia tak strasznych blizn.

Menendez powinien mnie opluć i zabrać mi pieniądze, byłoby to karą za to, co zrobiłem i czego nie zrobiłem. Moim zdaniem ma do tego pełne prawo. Ale bez względu na błędy w ocenie i uchybienia etyczne, jakich się dopuściłem, wiem, że na koniec postarałem się zrobić coś dobrego. Zamieniłem zło na niewinność. Roulet siedzi dzięki mnie. Menendez wyszedł dzięki mnie. Mimo wysiłków jego nowych adwokatów — moje miejsce zajęła spółka Dan Daly i Roger Mills — Roulet nigdy już nie zazna wolności. Z tego, co słyszałem od Maggie McPherson, prokuratura zbudowała

solidny mur dowodów przeciwko niemu w związku z morderstwem Marthy Renterii. Idąc tropem znalezionym przez Raula Levina, odkryli jeszcze jedno zabójstwo popełnione przez Rouleta: zgwałcił i zamordował kobietę pracującą w barze w hollywoodzkim klubie. Analiza kryminalistyczna dowiodła, że śmiertelne rany zadano jej jego nożem. Dla Rouleta badania naukowe miały się okazać niezauważoną w porę górą lodową. Jego statek zderzył się z nią i zatonił. Walczy już tylko o to, żeby przeżyć. Adwokaci prowadzą negocjacje, aby uratować go przed śmiertelnym zastrzykiem. Wspominają o innych gwałtach i morderstwach, do których byłby skłonny się przyznać w zamian za obietnicę życia. Bez względu na wynik negocjacji Roulet jest już stracony dla świata, co dla mnie okazało się ocaleniem. Skuteczniejszym niż interwencja chirurga.

Maggie McPherson i ja także próbujemy zaleczyć własne rany. Maggie w każdy weekend przywozi do mnie naszą córkę i często zostaje z nami na cały dzień. Siedzimy na tarasie i rozmawiamy. Oboje wiemy, że to nasza córka nas uratuje. Nie chowam już urazy za to, że Maggie użyła mnie jako przynęty dla mordercy. A ona nie chowa już chyba do mnie urazy za decyzje, które podjąłem.

Korporacja kalifornijska dokładnie przyjrzała się mojemu postępowaniu i wysłała mnie na wakacje na Polinezję. Tak adwokaci określają zawieszenie za postępowanie nieliczące z etyką adwokacką. POLINEZJA. Wysłali mnie tam na dziewięćdziesiąt dni. Podstawa decyzji była idiotyczna. Nie potrafili udowodnić żadnego naruszenia zasad etycznych w związku z Corlissem, więc przyczepili się do tego, że pożyczyłem broń od Earla Briggsa. Miałem szczęście. Pistolet nie był kradziony ani nierejestrowany. Należał do ojca Earla, więc mój grzech wobec etyki był niewielki.

Nie kwestionowałem nagany udzielonej mi przez korporację ani nie odwoływałem się od decyzji o zawieszeniu. Po tym, jak dostałem kulę w brzuch, perspektywa dziewięćdziesięciu dni

wakacji nie wydawała mi się wcale taka zła. Odsiedziałem okres zawieszenia w szlafroku przed telewizorem, oglądając Court TV.

Ani korporacja, ani policja nie dopatrzyły się pogwałcenia zasad etycznych czy złamania prawa w zastrzeleniu Mary Alice Windsor. Weszła do mojego domu uzbrojona w kradzioną broń. Strzeliła pierwsza, a ja drugi. Lankford i Sobel widzieli z daleka, jak stojąc w drzwiach, pierwsza do mnie strzeliła. Bezdyskusyjna obrona własna. Ale uczucia związane z tym, co zrobiłem, nie były już tak oczywiste. Chciałem pomścić przyjaciela, Raula Levina, ale nie chciałem tego zrobić w tak krwawy sposób. Teraz jestem zabójcą. Oficjalna aprobata stanu tylko nieznacznie łagodzi od-czucia, jakie muszą temu towarzyszyć.

Pomijając wszystkie postępowania i oficjalne wnioski, wydaje mi się, że moje zachowanie w sprawie Menendeza i Rouleta nie licowało z moją własną etyką. A kara za to okazała się surowsza niż jakakolwiek sankcja, jaką mógłby nałożyć na mnie stan lub korporacja. Nieważne. Wezmę ze sobą to brzemie, wracając do pracy, mojej pracy. Znam swoje miejsce na tym świecie i w pierwszym dniu pracy w przyszłym roku wyciągnę z garażu lincolna i ruszę w drogę, szukając słabych i potrzebujących obrony. Nie wiem, dokąd trafię ani jakie sprawy przyjdzie mi prowadzić. Wiem tylko, że wyzdrowieję i będę gotów, by znów stanąć w świecie bez prawdy.

## Podziękowania

Inspiracją dla tej powieści było przypadkowe spotkanie sprzed wielu lat i rozmowa z adwokatem Davidem Ogdenem na meczu baseballowym Los Angeles Dodgers. Za to autor będzie zawsze wdzięczny. Mimo że postać i historia Mickeya Hallera są od początku do końca wytworem wyobraźni autora, książka nie mogłaby powstać bez nieocenionej pomocy i wskazówek adwokatów Daniela F. Daly'ego i Rogera O. Millsa, którzy pozwolili mi oglądać siebie przy pracy i przygotowywaniu obrony, dokładając starań, by świat prawa karnego został opisany na tych stronicach precyzyjnie i zgodnie z prawdą. Za wszelkie błędy i przekłamania winę ponosi wyłącznie autor.

Dzięki uprzejmości sędzi Judith Champagne i jej personelowi z wydziału 124 sądu karnego w Los Angeles autor uzyskał nieograniczony dostęp do sali sądowej, gabinetu sędzi oraz cel, a także otrzymał odpowiedź na każde postawione pytanie. Jestem wielkim dłużnikiem sędzi Champagne, Joego, Marianne i Michelle.

Do powstania książki przyczynili się także Asya Muchnick, Michael Pietsch, Jane Wood, Terrill Lee Lankford, Jerry Hooten, David Lambkin, Lucas Foster, Carolyn Chriss i Pamela Marshall.

Na koniec nie mniej gorące podziękowania autor składa Shannon Byrne, Mary Elizabeth Capps, Jane Davis, Joelowi Gotlerowi, Philipowi Spitzerowi, Lukasowi Ortizowi oraz Lindzie Connelly za ich pomoc i wsparcie podczas pisania powieści.



# Spis treści

## CZEŚĆ I

Interwencja przedprocesowa 9

## CZEŚĆ II

Świat bez prawdy 271

## CZEŚĆ III

Pocztówka z Polinezji 439

Podziękowania 445